

„Uważam, że ta powieść jest moim najlepszym filmem, ponieważ to Ty,
czytając, będziesz go kręcić”. – DANIEL SÁNCHEZ ARÉVALO

Daniel
Sánchez Arévalo

Wyspa Alice



Wydawnictwo
KONA, Dobra

Daniel
Sánchez Arévalo

Wyspa Alice

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Barbara Bardadyn



*Mojej matce, siostrze
i wszystkim kobietom,
które nauczyły mnie opisywać życie*

Dokąd jechać?
Skąd wrócić Chris?



CZĘŚĆ PIERWSZA

MOBY DICK

„Nie znajduje się ona na żadnej mapie; prawdziwie znaczne miejscowości nigdy nie są bowiem na nich umieszczane”.

„Prawda nie zna granic”.

„Bywają pewne osobliwe momenty i okazje w tej dziwnej, zawilej sprawie, którą nazywamy życiem, kiedy to człowiek bierze cały ten wszechświat za ogromny dobry żart, choć bardzo niejasno rozeznaje jego dowcip i więcej niż podejrzewa, że kawał ów zrobiono nie czym innym kosztem, jak jego własnym”.

HERMAN MELVILLE, *Moby Dick*¹ (1851)

Dzień 0. Rok IV p.Ch.

Wypracowanie mojej córki Olivii, kiedy była w czwartej klasie szkoły podstawowej:

Dziś umarł mój tata. To znaczy dziś mijają trzy lata i jest to dzień, który z każdym rokiem coraz bardziej mnie zasmuca, bo kiedy umarł, byłam bardzo mała, miałam sześć lat i niewiele rozumiałam. Myślałam, że wyjechał, a kiedy mama powiedziała mi, że już nie wróci, najbardziej zasmuciło mnie to, że nie przywiezie mi prezentu. Bo mój tata dużo podróżował i zawsze wracał z jakimś prezentem. Ale teraz, kiedy jestem już starsza, jest mi coraz smutniej, bo lepiej znam życie, i chociaż mama i siostra uszczęśliwiają mnie niemal każdego dnia, to tak naprawdę bardzo smutno jest nie mieć taty. Dlatego kiedy umarł, przeprowadziłyśmy się na Robin Island, bo mama mówiła, że jeśli opuścimy nasz stary dom, to szybciej się z tym pogodzimy, i że potrzebujemy odmiany otoczenia. I miała trochę racji, jest nam tutaj bardzo dobrze, bo to jest piękna wyspa, z wyjątkiem dni, kiedy pada deszcz albo śnieg, bo nie lubię deszczu i nienawidzę śniegu, i dlatego, że tutaj prawie wszyscy prawie każdego dnia są dość szczęśliwi, a to zawsze pomaga przetrwać złe rzeczy. Poza tym tak się złożyło, że kiedy przyjechałyśmy tutaj pierwszy raz, urodziła się moja siostra Ruby, a to jest bardzo szczęśliwe. Mam nadzieję, że w przyszłym roku będę jeszcze trochę bardziej smutna niż w tym, bo będzie to oznaczać, że nie zapomniałam mojego taty i że nadal go kocham i za nim tęsknię. To jest dla mnie bardzo ważne.

Koniec.

Dzień 0. Rok I p.Ch.

Może dzień 0 nie istnieje w kalendarzach, ale w życiu i owszem. Moim dniem 0 był dzień, w którym zmarł Chris, chociaż rozważałam też możliwość oznaczenia nim dnia, w którym przeprowadziłam się na wyspę. Ostatecznie uznałam jednak, że śmierć jest bardziej przytłaczająca niż przeprowadzka, a poza tym podobała mi się – w dość pokręcony sposób – gra słów: dzień 0 p.Ch. Po Chrystusie. Po Chrisie.

Właściwie od czasu do czasu żartowałam sobie i zamiast nazywać go Chrisem, wołałam Chris/Christ² (tak go miałam zapisanego w telefonie komórkowym), zwłaszcza wtedy, gdy w uprzejmy sposób starał się narzucić swoje zdanie, używając ładnych słów i pięknie się uśmiechając. W ostatnim czasie dochodziło do tego dosyć często, kiedy dyskutowaliśmy o wyborze imienia dla naszego dziecka (byłam w siódmym miesiącu ciąży). „Kochanie, ty wybrałaś imię dla pierwszej córki, chciałaś imię międzynarodowe, które pisałoby się tak samo po angielsku, hiszpańsku, włosku i francusku. I Olivia jest w porządku. Podoba mi się. Teraz moja kolej. Chcę imię, które brzmiałoby jak klejnot, bo właśnie to będziemy mieli, śliczny klejnot: Ruby”, mówił. A ja: „Przykro mi, ale nie ma mowy, Chris/Christ. Poszukaj innego, bo Ruby brzmi jak imię prostytutki z telenoweli”. „Właśnie splamiłaś pamięć mojej prababki Ruby, Alice”, udając obrażonego. Nigdy nie zwracał się do mnie pełnym imieniem, robił to tylko wtedy, gdy chciał się ze mną podrażnić. Zazwyczaj nazywał mnie Ali, Al, a najchętniej A. Podobało mi się A.

Kiedy zadzwonił telefon, wiedziałam, że to on. Właśnie brałam kąpiel z pianą, z dwiema łyżkami oliwy z oliwek i dużą szklanką pełnego mleka (domowe sposoby na uniknięcie rozstępów na moim wielkim brzuchu), jedząc lody z belgijskiej czekolady (by uczcić pamięć moich przodków). Nie wykonałam nawet najmniejszego ruchu, by wyjść z wanny i odebrać telefon. Miałam tylko nadzieję, że nie obudzi Olivii; kosztowało mnie dużo wysiłku, żeby zasnąć, i to była wreszcie moja chwila relaksu i przyjemności. Chris by to zrozumiał.

Kąpiel się skończyła, kiedy zdałam sobie sprawę, że półlitrowy pojemnik po lodach jest pusty. Wytarłam się, w biust, brzuch i tyłek wkładałam migdałowy krem i odsłuchiłam wiadomość, którą zostawił na automatycznej sekretarce:

Cześć, kochanie. Właśnie skończyłem. Chciałem zdążyć do domu na kolację, ale nic z tego, klient nalegał, byśmy zjedli coś tutaj, w barze w okolicy Yale. Zaraz wracam do domu. Myślę, że będę około dwunastej. Nie czekaj na mnie. Całuję, kochana.

Nie oddzwoniłam, tylko wysłałam mu wiadomość:

Kiedy dzwoniłeś, brałam kąpiel i objadałam się lodami. Ale nie można nazywać mnie grubasem, bo jestem wrażliwa! Dobrej podróży, kochanie. Czekamy

na ciebie we trzy. KCB

Dwie godziny później znowu zadzwonił telefon. Tak naprawdę nie dzwonił, lecz wibrował, a wyświetlacz migał. Zasnęłam w łóżku w czasie maratonu z M*A*S*H (ulubiony serial mojego ojca; dorastałam, oglądając go na okrągło) na kanale poświęconym wyłącznie serialom. Na noc zazwyczaj ściszałam telefon, ale kiedy Chris wyjeżdżał, ustawiałam tryb wibracji, bo dzięki temu byłam spokojniejsza. Ekran się zaświecił. Chris/Christ. Nie przestraszyłam się ani nie zaniepokoiłam, gdy zobaczyłam, że to on. Kiedy jechał nocą, czasem dzwonił do mnie, korzystając z zestawu głośnomówiącego, żeby uporać się z sennością. Uwielbiałam to, że mnie wykorzystywał, aby nie zasnąć za kierownicą. Nie była to cecha kobiety poskromionej, po prostu miałam niesamowitą łatwość zamykania oczu i zasypiania o każdej porze i w każdym miejscu. Tak więc te krótkie przerwy podczas snu nie tylko mi nie przeszkadzały, ale nawet cieszyły. Przypominały mi czas, kiedy byliśmy nastolatkami. Zabierałam do łóżka domowy telefon bezprzewodowy, on robił podobnie i rozmawialiśmy przez całą noc, a dzięki temu, w pewnym sensie, spaliśmy razem.

– Cześć, kochanie. Gdzie jesteś? – zapytałam jeszcze śpiąca.

– Dobry wieczór – odpowiedział kobiecy głos. Wtedy dopiero się przestraszyłam. Raz jeszcze popatrzyłam na ekran komórki. Chris/Christ. W tle słychać było duży hałas. Hałas dobiegający z drogi i silnika. – Czy pani Alice Williams?

– Ech... Tak, to ja. – Natychmiast zaczęły drżeć mi ręce.

– Pani mąż miał wypadek samochodowy. Przewozimy go do szpitala Saint Luke w New Bedford.

– Jak to w New Bedford?

– Pani mąż to Christopher Williams, zamieszkały przy Hope Street w Providence?

– Tak...

– Pani mąż wypadł z drogi US-6 na wysokości Marion.

– Marion? Gdzie to jest?

– Marion, Massachusetts. Na wysokości rzeki Weweantic – dodała, jakby to miało mi pomóc w określeniu położenia.

– Przepraszam, ale nie wiem, o czym pani mówi – powiedziałam otępiała, starając się nie obudzić. Dopóki będę spać, to wszystko będzie tylko koszmarem.

– Powtarzam, proszę pani. Pani mąż miał wypadek samochodowy, trzydzieści pięć kilometrów na wschód od New Bedford. Przewozimy go do szpitala...

– Nie, to musi być pomyłka – przerwałam jej z ulgą, porządkując wreszcie swoje myśli. – To niemożliwe. Mój mąż jest, był w Yale.

Mieszkaliśmy w Providence w stanie Rhode Island. Yale leży w New Haven,

jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód. New Bedford jest w przeciwnym kierunku, na wschodzie. Nie wiedziałam wtedy, w jakiej odległości, ale mniej więcej o godzinę jazdy samochodem.

– Proszę pani, jeszcze raz sprawdziłam jego dokumenty – powiedziała cierpliwie, rozumiejąc, jak trudno jest przyjąć taką informację. – To Christopher Williams.

– Mogę z nim porozmawiać? – wyszeptałam zaniepokojona.

– Jest nieprzytomny. Jego stan jest bardzo ciężki, pani Williams. To ważne, by jak najszybciej pani przyjechała. Szpital Saint Luke w New Bedford.

Kiedy się rozłączyłam, instynktownie spojrzałam na godzinę, którą wskazywał zegar elektroniczny na mojej szafce nocnej. Zobaczyłam, jak zmienia się z 00.01 na 00.02 13 maja 2015 roku. Moją ulubioną liczbą od zawsze była trzynastka, ponieważ uważałam, że wszystkie liczby przynoszą szczęście. Konkretnie szczęście, którym trzeba się dzielić ze wszystkimi. A że nikt nie wybierał trzynastki, całe jej szczęście było dla mnie. Z tym numerem zawsze grałam w każdej drużynie każdej dyscypliny sportu, jaką uprawiałam. Ten numer miałam na plecach. Od tamtej pory trzynastka przestała być moją szczęśliwą liczbą.

I tamten dzień stał się dniem 0 roku I p.Ch.

Po pięciu minutach jazdy, które wydawały się ciągnąć w nieskończoność, doznałam kolejnego wstrząsu od głowy do stóp, ataku paniki przebiegającego po kręgosłupie, bo nagle zdałam sobie sprawę, że zostawiłam Olivię samą, tak jakbym wyszła tylko po to, by wyjąć pocztę i gazetę ze skrzynki przed domem.

Karząc się za ten występki, zadzwoniłam do swoich rodziców, korzystając z zestawu głośnomówiącego. Chciałam, żeby odebrał ojciec.

– Co się dzieje, córeczko? – To była moja matka, zaniepokojona telefonem o tak późnej porze.

– Mamo, Chris miał wypadek. Zabierają go do szpitala.

– O mój Boże. Coś poważnego?

– Nie wiem, mamo. Potem do ciebie zadzwonię i powiem. Wysłałam w pośpiechu. Olivia jest sama w domu. Nie chcę, żeby się obudziła, kiedy nikogo nie będzie. Jeźdźcie tam, proszę.

– Dobrze, dziecko, już jedziemy. O mój Boże, George, obudź się, Chris miał wypadek. A gdzie to się stało, córeczko?

– Niedaleko Yale, gdzie pracował.

Nienawidzę szpitali. Wchodzę i od razu mam mdłości. Zwłaszcza wtedy, gdy się boję. Płatały mi się nogi. Nie wiedziałam, jak to możliwe, że dojechałam aż tutaj. Oczy zaszyły mi mgłą. Cierpię na astenofobię, irracjonalny lęk przed omdleniem w miejscu publicznym. Prawie zawsze zdarza mi się to w sytuacjach stresowych, kiedy czuję się uwięziona, kiedy jestem otoczona obcymi ludźmi albo kiedy znajduję się w centrum uwagi. Wystarczy którykolwiek z tych czynników,

żeby wywołać częstoskurcz, dreszcze, trudności z oddychaniem i atak paniki.

Pielęgniarka zaprowadziła mnie do poczekalni obok OIOM-u.

– Proszę tutaj poczekać. Lekarz przyjdzie, kiedy tylko będzie mógł. W tej chwili operują pani męża.

Zobaczyłam automat z napojami. Potrzebowałam cukru i kofeiny. Nie zdążyłam nawet włożyć ręki do torebki, by poszukać monet. Straciłam przytomność mniej więcej o tej samej godzinie, którą później wpisano do aktu zgonu Chrisa. Czyżbym chciała odejść razem z nim?

Obudziłam się w boksie na sali ostrego dyżuru. Lekarz i siostra przełożona patrzyli na mnie z taką uprzejmością, zrozumieniem i empatią, że wiedziałam, że Chris zmarł. Gdy już to potwierdzili, zastanawiałam się, czy muszę dać naszej córce na imię Ruby, wedle jego życzenia, czy mogę wybrać takie imię, jakie zechcę. Sztuczka umysłu, żeby przetrwać. Człowiek chwytą się takich nic nieznających drobiazgów, kiedy życie sprawia, że ziemia, po której stąpa, zamienia się w lepka, ściskającą, paraliżującą i wchłaniającą go substancję.

Założyli mi wenflon na rękę, żeby podać surowicę, i dożylnie wstrzyknęli też środek uspokajający. Znieczulenie niezbędne do stawienia czoła koszmarowi śmierci. Tylko czy to jest odpowiednie dla kobiety w ciąży? Chociaż prawdopodobnie lepsze to niż ryzykowanie, że zacznę rodzić w tej okropnej sytuacji.

– Nie są jeszcze znane okoliczności śmierci pani męża. Sądzymy, że powodem było urazowe uszkodzenie mózgu spowodowane uderzeniem samochodu. Ale policja poinformowała nas, że na asfalcie nie było śladów hamowania, więc prawdopodobnie zasnął za kierownicą albo stracił przytomność, zjeżdżając z drogi, albo... – Zamilkła, uznając, że spekulowanie na ten temat nie jest najwłaściwsze. – Lekarz sądowy przeprowadzi sekcję zwłok, żeby to wyjaśnić i ustalić dokładny powód.

W tym momencie zdałam sobie sprawę, że podejrzewała również możliwość popełnienia przez Chrisa samobójstwa.

– Ile to potrwa? Kiedy mogą przewieźć ciało do Providence?

– Jedno skrzydło szpitala jest specjalnie przystosowane do czuwania oraz odwiedzin rodziny i przyjaciół. – Widząc, że nie reaguję, dodała: – Zaraz przyjdzie psycholog, który będzie obecny przy pani i krewnych. Bardzo mi przykro, pani Williams. Jeśli pani chce, możemy pani pomóc skontaktować się z rodziną...

– Nie. Chcę jak najszybciej zabrać męża do domu – powiedziałam albo pomyślałam. W tamtej chwili nie potrafiłam rozróżnić tego, co robiłam, od tego, co sobie wyobrażałam. Byłam pewna jednej rzeczy: naszej córce dam na imię Ruby.

Za oknem świtało. Anksjolytyk przestawał działać. Nadszedł czas, by zadzwonić do moich rodziców. Chciałam móc się złamać, płakać i opowiedzieć im wszystko, co się wydarzyło. Szlochając, wyznać, że nie mogę przestać myśleć

o tym, że gdybym odebrała, kiedy dzwonił, być może wciąż by żył. Że nie wiedziałam, co Chris tam robił, że mnie oszukał i że jestem bardzo smutna, przestraszona i że czuję, jakby to wszystko się nie wydarzyło, że to kłamstwo. Że poprosili mnie, abym zidentyfikowała ciało, a kiedy go zobaczyłam, pomyślałam, że nie, to nie on. Bo to nie mógł być on. Chris nigdy mnie nie oszukiwał, a kiedy to robił (zazwyczaj z powodu błahostek), zawsze to czułam, a on się śmiał jak psotne dziecko i za to go uwielbiałam. Dlatego to ciało, które zobaczyłam w kostnicy, nie należało do Chrisa, to nie był prawdziwy Chris. To nie był mój Chris. To wszystko nie było prawdą. „To niemożliwe, tato; to niemożliwe, mamó. Powiedzcie, że to wszystko się nie dzieje”. Zadzwoiłam na telefon ojca. Odebrała matka.

– Tak, mamó, jest w bardzo ciężkim stanie... Nie wiem, na drodze w pobliżu Yale, jechał do domu... Mamó, nie wiem nic więcej. Zadzwoię, jak tylko się czegoś dowiem... Nie, nie chcę, żebyś przyjeżdżała... Nie, nie chcę też, żeby tata przyjeżdżał. Nie chcę, żeby Olivia coś podejrzewała i się przestraszyła... Wolę, żebyście tam z nią zostali... Będę dzwonić i was informować... Na razie.

Nie wiedziałam, że potrafię tak dobrze kłamać, ponieważ prawie nigdy nie musiałam tego robić. Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego nie byłam w stanie powiedzieć prawdy? Nawet tego, że Chris nie żyje? Było tak, jakbym potrzebowała czasu. Czasu na co? Nie miałam pojęcia, wiedziałam tylko, że potrzebuję mniej więcej dwóch godzin. W tamtym momencie trudno było przewidzieć, że czas, którego potrzebowałam, to nie były godziny ani tygodnie, ani nawet miesiące. To była kwestia lat.

Dzień 2. Rok I p.Ch.

„Mój mąż właśnie umarł, a ja go nie znałam”, myślałam. Pierwszy raz uśmiechnęłam się do niego nie dlatego, że był przystojny, zabawny, popularny i inteligentny, ale dlatego, że czułam, że znam go od zawsze. Jakbym przez całe swoje krótkie życie uczyła się do niego uśmiechać. I podczas tego przelotnego uśmiechu, kiedy mijaliśmy się na szkolnym korytarzu, poczułam, że on jest częścią mnie, a ja jestem częścią jego. Kim był mój mąż? A zważywszy, że przez osiemnaście lat byłam zakochana w jego uśmiechu i w tym, który on wywoływał u mnie, kim byłam ja? „Cześć, nazywam się Alice Williams, mam trzydzieści trzy lata i siedzę na korytarzu w kostnicy Monahan Drabble Sherman, a w tle, jako dźwiękowa tapeta, rozbrzmiewa Dire Straits”.

Muzak? Serio? W kostnicy? *Brothers in Arms* Dire Straits była pierwszą płytą, którą Chris kupił sobie na pchlim targu, kiedy był mały. Jego ulubiona. Skąd wiedzieli? Leciła piosenka *So Far Away*. Jakież to stosowne, jakież makabryczne. I jakież absurdalne. Ale kto powiedział o tym pracownikom kostnicy? Nagle uzmysłowiłam sobie, że ja powiedziałam. „Czy chce pani, żeby w czasie czuwania nad zmarłym była jakaś specjalna muzyka? Dysponujemy muzakiem, który można zaprogramować”, poinformowała mnie uprzejma pracownica, odpowiedzialna za to, by strata dla czuwających była bardziej znośna. Nie pamiętam, co jej odpowiedziałam, ale to oczywiste, że skoro puściła tę płytę, musiałam jej o niej powiedzieć. Chociaż mogła to zrobić Tricia, siostra Chrisa. Miałam problemy z pamięcią. Mówiąc „problemy”, mam na myśli to, że zapominałam o wszystkim z wyjątkiem tego, co naprawdę chciałam zapomnieć: że byłam trzydziestotrzyletnią wdową.

Zebrali się tam wszyscy – moi rodzice, babcia, wujostwo, kuzyni, rodzice Chrisa, jego siostra i pozostali krewni, znajomi, koledzy oraz przyjaciele wspólni i tylko jego, i tylko moi – gdyż zawsze uważaliśmy, że ważne jest pielęgnowanie naszych własnych przyjaźni. Cały mój mały i jeszcze do niedawna kontrolowany i uporządkowany świat. Moja bańka mydlana. Bańka, która pękła wraz z tamtym telefonem w środku nocy, budzącym mnie w nieprzyjaznym świetle, którego nie znałam i w którym nie chciałam być. Dlatego w ciągu zaledwie dwóch dni zbudowałam sobie nową bańkę, tymczasową, awaryjną, w której byłam relatywnie żywa, w stanie bliskim hibernacji – istniałam, nie istniejąc. I chociaż wszyscy stali naprzeciwko mnie, nie widziałam ich ani nie słyszałam. Nie chciałam, żeby ze mną rozmawiali ani żeby mnie dotykali. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie chcę się schronić w ich słowach pocieszenia oraz w ich czułych i szczerych objęciach.

Nikomui nie powiedziałam o tym, co zrobił Chris, że nie był tam, gdzie być powinien. Do głowy najczęściej przychodziło mi słowo „wstyd”.

Olivia podeszła, kiedy leciało *Walk of Life*. Jako jedyna miała klucz do mojej

awaryjnej bańki. Ona i Dire Straits.

– Mamusiu.

– Co, córeczko?

– Gdzie jest mój prezent?

– Jaki prezent, kochanie?

– Od tatusia. Zawsze mi przywoził, kiedy był w podróży.

– Nie wiem, złotko.

– Patrzyłaś, czy jest w samochodzie?

– Nie, kotku, nie patrzyłam.

– Myślisz, że umarł przeze mnie?

– Dlaczego tak mówisz, malutka? – Malutka, złotko, kotku, kochanie. Nie wiedziałam, jak się do niej zwracać, żeby ukoić jej (naszą) stratę.

– Może jechał, żeby kupić dla mnie prezent, i umarł. Po drodze.

– Nie, Oli, na pewno kupił już wcześniej i na pewno jest w samochodzie.

Jutro sprawdzę i ci go dam.

– Więc jeśli to nie jest moja wina, to czyja?

– Niczyja. To niczyja wina.

– Więc to nic złego? – Popatrzyłam na nią, nie rozumiejąc. – Tatuś mówi, że za złe rzeczy zawsze ktoś jest odpowiedzialny.

Zapewniłam ją, że nie jest to też wina jej dziadków ani pradziadków (każdego oddzielnie, żyjących i zmarłych), ani Tricii, ani moja, ani nikogo, kogo zna i nie zna. Potem zapytała:

– Więc skoro to niczyja wina, to winny jest tatuś?

– Nie, kochanie, to nie jest też wina taty.

– A dlaczego skrzynia tatusia jest zamknięta? Chcę go zobaczyć.

Trumna była zamknięta. Taką podjęłam decyzję właśnie po to, żeby chronić Olivię. Chciałam, żeby zachowała w pamięci obraz żywego ojca.

– Nie, Oli, tak jest lepiej.

– Kiedy zamykam oczy, widzę tatusia.

– W porządku, tak go zapamiętałaś.

– Widzę go nieżywego, w samochodzie. Brakuje mu części buzi. Jednego oka, wielu zębów i jeszcze kilku rzeczy. I jest zakrwawiony. Bardzo się boję zamknąć oczy, mamusiu.

Pomyślałam, że dusza nie może mi się rozbić na więcej kawałków. Ale owszem, mogła, i to zrobiła. Olivia miała sześć lat i nigdy wcześniej nie miała obsesyjnych wyobrażeń, a przynajmniej tak namacalnych, jeśli już, to nic nieznaczące, małe manie. Pogłaskałam ją po głowie. To ją bardzo uspokajało. Ją i mnie. Lubiłam głaskać jej delikatne jasne włosy, takie same jak włosy Chrisa. Po ojcu miała włosy, usta i uśmiech; po mnie zielone oczy i piegowate pyzate policzki. To, co najlepsze od każdego z nas.

– Kiedy wrócimy do domu, wydrukuję ci zdjęcia z zeszłego lata, kiedy we trójkę byliśmy na Alasce, dobrze?

– To nic nie da, mamusiu. Muszę go zobaczyć. W skrzyni.

Popatrzyłam na nią i pomyślałam: „Jaka moja córka jest bystra. Może jest wielce utalentowana? Powinnam jej kupić fortepian albo podarować szachy. Ale musiałabym to zrobić jeszcze dzisiaj, bo kiedy jako pierwsza kobieta zostanie mistrzem świata w szachach albo da koncert w Carnegie Hall, będzie mogła opowiadać w wywiadach: «W dniu, w którym pochowaliśmy mojego ojca, matka podarowała mi fortepian (albo szachy). To mnie uratowało. Chciałabym zadedykować ten koncert (albo mistrzostwo świata) zmarłemu ojcu, a także matce za to, że mój ból zamieniła w sztukę i pasję»”. Moja córka miała jakiś ukryty talent, a ja musiałam go odkryć. Myślenie o tym dodało mi trochę otuchy.

– To nie jest skrzynia, lecz trumna, kochanie.

Tylko tyle udało mi się powiedzieć. Potem wzięłam ją za rękę i zaprowadziłam do pomieszczenia, w którym wystawiona była trumna Chrisa.

Moją uwagę najbardziej zwróciło to, że sala była wygłuszona. „Co za absurd. Przecież ci, którzy tutaj leżą, są martwi”, pomyślałam. Chociaż prawdę powiedziawszy, gdybym to ja miała odchodzić, też wolałabym to robić, nie słysząc lamentów. Było zimno, bardzo zimno. Ale to normalne. Mięso musi być świeże. Chłód jest dezodorantem zmarłych. Czarny humor nigdy nie był moją mocną stroną. Nie wiem, skąd mnie naszła taka wena.

Moja matka jako pierwsza spostrzegła, że weszliśmy do środka. Rozmawiała z ciotką Sally, nie przestając płakać ani na sekundę. Podeszła i zaczęła uderzać zaciśniętymi dłońmi w oddzielającą nas przesłonę. Nie słyszałam jej, ale mogłam odczytać z ruchu warg, że mówiła: „Co tam robisz, dziecko? Nie powinnaś tam być”. Podeszłam do przesłony. Popatrzyłam na swoją matkę przez dwie albo trzy sekundy. Ona też na mnie patrzyła, mając nadzieję, że coś powiem, ale ja tylko zaciągnęłam zasłonkę, której od dawna nikt nie czyścił, zapewniając Olivii i sobie chwilę prywatności.

Wzięłam metalowy kosz na śmieci (po co zmarłym kosze?), odwróciłam go do góry dnem i postawiłam na nim Olivię, żeby mogła zajrzeć do trumny.

– Jesteś pewna, Oli?

– Tak, mamusiu, chcę...

Otworzyłam wieko. Olivia od razu się uśmiechnęła. To był tak pełen życia uśmiech, iż myślałam, że ożywi Chrisa, że on się zaraz podniesie i powie: „Jak tu zimno. Chodźmy do domu”.

Autopsja wykazała, że Chris nie umarł z powodu uderzenia w samochód, jak podejrzewali policja i biegły. Cierpiał na tętniaka mózgu, który spowodował utratę przytomności podczas jazdy i to doprowadziło do wypadku. Miał malformację tętniczo-żylną. Ulokowaną w mózgu bombę zegarową, która wybuchła w najmniej

odpowiednim momencie. Jakkolwiek bolesne i zimne było to wyjaśnienie, słysząc je, poczułam ulgę, gdyż wykluczało samobójstwo Chrisa. Ponieważ na asfalcie nie znaleziono śladów hamowania, taki przebieg zdarzeń podejrzewali policja i biegły powołany przez ubezpieczyciela. Nie przejmowałam się tym, że nie dostanę odszkodowania, a raczej tym, że kiedy obrażona ostro powiedziałam policji i biegłemu, że Chris był wesołym i witalnym człowiekiem, który zawsze pokonywał każdą przeszkodę, w głębi duszy miałam wątpliwości co do tego – po raz pierwszy w życiu w niego zwątpiłam. Kiedy wyjaśnili mi przyczynę jego śmierci, nie mogłam w nią uwierzyć, bo pomyślałam, że mój mąż prowadził przecież bardzo zdrowy tryb życia. Lekarz sądowy powiedział, że to nie ma nic wspólnego z tym schorzeniem, że jest to wada wrodzona. I w wysokim stopniu dziedziczna. Nikt w jego rodzinie, którą znałam bardzo dobrze, nie zmarł w podobnych okolicznościach ani nie cierpiał na nic takiego. I wtedy po raz drugi w niego zwątpiłam.

– Jaki tatuś jest ładny.

– Bardzo.

– I jak ładnie pachnie. Pachnie tatusiem.

Betty, matka Chrisa, przyszła wcześniej do naszego domu, żeby wziąć z szafy jego ulubiony garnitur, krawat, koszulę i buty, a także jego balsam po goleniu i dezodorant.

– Wygląda, jakby spał.

Olivia pogłaskała zaróżowiony policzek Chrisa. Osoba, która go ubierała, zrobiła mu makijaż, być może po to, żeby ukryć jakieś rany albo siniaki.

– Jest bardzo zimny. Dlaczego tutaj jest tak zimno, mamo?

– Żeby ciało się nie zepsuło.

– Jak hamburgery w lodówce?

– Tak, mniej więcej.

– Czy tatusia ktoś zje?

– Nie, córeczko, oczywiście, że nie...

– Ja zawsze bardziej kochałam ciebie niż tatusia. Gdybyś to ty umarła, byłabym o wiele smutniejsza. O wiele... – powiedziała, nie przestając głaskać swojego ojca.

– Wystarczy, chodźmy już, złotko...

Moja matka wciąż uderzała w przeszłość. Może wysyłała mi wiadomość alfabetem Morse'a? Chciałam zamknąć wieko trumny, ale Olivia mnie powstrzymała.

– Zaczekaj...

Zamknęła oczy, żeby się przekonać, czy zmienił się obraz ojca, który miała w głowie. Po kilku chwilach znów je otworzyła. Wyglądała na uspokojoną.

– Dobrze, możemy już iść.

„Fortepian. Podaruję jej fortepian”, pomyślałam. „Ogromny, najlepszy fortepian na świecie”. Kiedy na nim zagra, uniesie się w powietrze i będzie latał. Żeby nas stąd zabrać. Wszystkie trzy.

Dni 3–5. Rok I p.Ch.

Na noc zostawiałam na nocnej szafce włączoną komórkę. Jakby część mnie miała nadzieję, że zadzwoni, że zabrzmii piosenka, którą miałam przypisaną do jego numeru. *As Long As You Love Me* Backstreet Boys. Był rok 1998. On był w ostatniej klasie szkoły średniej, ja w drugiej. Podobaliśmy się sobie, witaliśmy się na szkolnych korytarzach, patrzyliśmy na siebie w kawiarni, kiedy rozmawialiśmy w naszych grupach znajomych. On posyłał swojego przyjaciela Troya, by powiedział mojej przyjaciółce Suz, że mu się podobam; ja posyłałam moją przyjaciółkę Suz, żeby powiedziała jego przyjacielowi Troyowi, że za nim szaleję. Chodziłam oglądać go na meczach tenisa, on przychodził oglądać mnie na meczach lacrosse'a. I pewnego dnia na imprezie w domu jego przyjaciela Melvina, korzystając z tego, że jego rodzice wyjechali na weekend do kasyna Foxwoods w rezerwacie indiańskim w Mashantucket, w końcu mogliśmy porozmawiać. Po trzech godzinach oraz dwunastu piwach wypitych przez niego i siedmiu wypitych przeze mnie właśnie przy tej piosence w końcu po raz pierwszy odważył się mnie pocałować. Tańczyliśmy upojeni tym wszystkim i już do końca życia zostaliśmy skazani na uwielbianie tego jakże banalnego utworu.

Ale nie, Chris/Christ nie zadzwonił ani nie zmartwychwstał trzeciego dnia.

Obudziłam się rano w maleńkim łóżku Olivii. Nie pamiętam, kiedy do niego przyszłam.

– Kopałaś mnie – powiedziała bardziej rozbawiona niż rozgniewana.

– To nie ja, to dziecko.

Olivia się zaśmiała. Wydawało się, że czuje się dobrze, że nie doznała żadnego urazu, żadnej traumy.

Godzinę później, kiedy sprzątałam po śniadaniu, Olivia weszła do kuchni w swojej różowej fosforyzującej puchowej kurtce.

– Dlaczego założyłaś puchową kurtkę? Przecież jest bardzo ciepło, Oli.

– Nie, tam jest bardzo zimno.

– Tam, czyli gdzie?

– W lodówce... Możemy pójść do lodówki zobaczyć tatusia?

Cóż, chyba jednak nie czuła się dobrze.



Zostałam wybrana „Nauczycielką Roku” w Seekonk River School, gdzie teraz uczyłam plastyki, a kiedyś uczyłam się jako dziecko. Tytuł został więc jakby w rodzinie. Zawsze marzyłam o zdobyciu tej nagrody. Jej przyznanie było procesem otwartym, demokratycznym i uczciwym. Głosowały dzieci. Oceniały swoich nauczycieli w skali od zera do dziesięciu w różnych kategoriach: „Od niego/niej dużo się uczyć”, „Jest zabawny/a”, „Zajmuje się nami”, „Pomaga mi poza

lekcjami”, „Sprawia, że jestem lepszym człowiekiem”, „Lubi zajęcia pozaszkolne”. No tak, brakowało jeszcze, by zapytano, czy plujemy, kiedy mówimy podczas zajęć. Muszę przyznać, że w miesiącu poprzedzającym głosowania/ankiety wszyscy nauczyciele byli trochę bardziej uważni i uprzejmi. Dopadała nas zdrowa i z wielkim trudem skrywana rywalizacja, która była mile widziana, ponieważ koniec końców działała na korzyść uczniów. Walczyliśmy nie tyle o to, by wygrać, ile o to, by nie zająć ostatniego miejsca. Nie żeby ogłaszano pełne wyniki głosowania. Nie, podawano tylko nazwisko zwycięzcy. Ale pozostali zainteresowani oczywiście wiedzieli, które zajęli miejsce. Kto chciałby być ostatni? Nikt. W ciągu ośmiu lat spędzonych do tej pory w szkole zawsze zajmowałam miejsce w czołowej trójce, jednak nigdy nie wygrałam z powodu fantastycznego pana Bucka, nauczyciela przyrody, który był połączeniem Indiany Jonesa z MacGyverem. Organizował pieczołowicie przygotowywane wyprawy, żeby uczyć poprzez zabawę, badanie i odkrywanie małych i niezgłębionych cudów natury, narażając się na „wielkie niebezpieczeństwa” na całym terenie szkoły i sprawiając tym samym, że dzieci czuły się jak w filmie dokumentalnym godnym National Geographic. Wszystko na wyciągnięcie ręki. Jego hasło brzmiało: „Nie patrz na życie. Spróbuj go!”. Pobudzając ciekawość dzieci, był w stanie zbudować specjalny statek kosmiczny z patyków, wprawiany w ruch paliwem przygotowanym ze zrecyklingowanych smarków uczniów, po czym zabrać ich na Marsa w poszukiwaniu wody pitnej i inteligentnych form życia. Tak więc otrzymując to wyróżnienie, powinnam być zaszczycona i wzruszona. Ale nie byłam. Wiedziałam, dlaczego mi je przyznali. Chociaż przeprowadzono stosowne głosowania, byłam pewna, że nie wzięto ich pod uwagę, że nauczyciele, z aktualnym mistrzem panem Buckiem na czele, jednogłośnie postanowili przyznać ten tytuł mnie.

I oto tak długo wyczekiwana nagroda znalazła się w moim salonie. Był to dyplom w postaci pergaminu z czerwonym jabłkiem nad podręcznikiem jako bezdyskusyjnym symbolem nauczania, w hołdzie dla Isaaca Newtona. Obok znajdowała się tablica z moim zdjęciem, na którym się uśmiechałam. „Pani Williams. Nauczycielka Roku”. Ramkę pomalowali moi uczniowie, używając żywych kolorów, które nawiązywały do mojego piegowatego nosa, zielonych oczu z żółtymi plamkami i długich rudych włosów. To nie ja go powiesiłam. Zrobił to mój ojciec na polecenie matki. Znalazłam go po powrocie ze stypy po pogrzebie Chrisa w domu jego rodziców. Kiedy zobaczyłam ten dyplom, miałam ochotę go podeptać i wyrzucić przez okno. A na poważnie pomyślałam o tym, żeby go zwrócić. Zabrać go do szkoły, pójść do pokoju nauczycielskiego i uderzyć nim o stół. „Wsadźcie sobie swoje przekłete miłosierdzie tam, gdzie się wam zmieści...” Ale nie, nie zrobiłam tego.

Dyrektor Preston bardzo się zdziwił, kiedy zobaczył mnie w pokoju

nauczycielskim. Lubił przychodzić godzinę wcześniej niż pozostali pracownicy, żeby nacieszyć się samotnością i spokojem, zanim zjawiały się hordy małych i uroczych diabełków (tak się wyrażał). „I mówiąc małe i urocze diabełki, nie mam na myśli wyłącznie uczniów”, powtarzał ze śmiechem.

– Cześć, Alice. Co ty tutaj robisz? Nie musiałaś przychodzić – powiedział przesadnie troskliwym głosem, jakby każdą sylabą chciał dać jasno do zrozumienia, że jest mu bardzo przykro i bardzo mi współczuje. – Nie dostałaś mojego e-maila?

Napisał do mnie, raz jeszcze składając kondolencje (bo oczywiście był na pogrzebie i wysłał wieniec kwiatów do kostnicy w imieniu Seekonk River School, a do mojego domu w imieniu rodziny Prestonów) i prosząc, bym zapomniała o wszystkich obowiązkach w szkole, bo najważniejsze jest to, abym odzyskała równowagę i nabrała sił na następny rok szkolny. Krótko mówiąc, nie było potrzeby, żebym wracała. Do końca roku zostało niewiele ponad miesiąc.

– Tak, dostałam i jestem bardzo wdzięczna, Nick, ale... Przeprowadziłam Oliwię na zajęcia i... wolę wrócić.

– Alice, nie przejmuj się. Pan Wolf cię zastąpił. Jesteś w siódmym miesiącu ciąży. Według prawa możesz już przestać pracować.

– Ustaliliśmy, że jeśli będę się dobrze czuła, to dotrwam do końca roku.

– Tak, Alice, jasne, że tak... Ale dobrze się czujesz? Na pewno dobrze się czujesz?

Nie odezwałam się i obiecałam sobie, że nie będę płakać. Wcale się o mnie nie martwił. Przeszkadzało mu tylko to, że będzie musiał codziennie patrzeć na kogoś, komu właśnie zmarł mąż. Wdowa w zaawansowanej ciąży nie jest zbyt fortunną postacią w szkole, w której panuje pogodna atmosfera. „Chcę, żeby ta szkoła była kolorowa, żeby wyglądała jak pomalowana przez dzieci. Kreatywna, niezależna, wesoła i jasna”, mawiał. To oznaczało, że jeśli zostanę, nie będą mogli dobrze się bawić, zwłaszcza on, a i pozostali nauczyciele – śmiać się na przerwach, popijając kawę w pokoju albo w radosnym nastroju jedząc w stołówce obiady i komentując wyniki meczów szkolnych drużyn. Nie, nic z tego. Wszyscy musieliby się przejmować biedną Alice. „Ona jest taka delikatna, bo jest artystką, a wszyscy artyści, ci prawdziwi, są delikatni i wrażliwi”. Byłam przekonana, że dyrektor Preston właśnie to powiedział panu Wolfowi, kiedy oznajmił mi, że musi mnie zastąpić. Miałam ochotę wykrzyknąć mu to wszystko w twarz, ale się nie odważyłam. Może dlatego, że rzeczywiście byłam delikatna i utarczki dużo mnie kosztowały. A może to tylko mój umysł płatał mi figla i popadałam w paranoję. Dlaczego wątpiłam w dobre intencje dyrektora Prestona? Dlaczego nie wierzyłam, że jego troska o moje dobre samopoczucie jest czymś naturalnym? W końcu zawsze był wobec mnie troskliwy i serdeczny.

„A tak poza tym, Alice, naprawdę chcesz tutaj być?”, zastanawiałam się.

Dyrektor Preston miał rację. W tej chwili szkoła nie jest miejscem, w którym powinnam przebywać. Ale nie chciałam też siedzieć w domu. Tam wszystko mnie przytłaczało, zwłaszcza kiedy nie było Olivii. A zatem gdzie? Starłam się pomyśleć o jakimś miejscu, w którym poczułabym się lepiej, o aktywności, która by mi pomogła, o przyjaciółce, z którą mogłabym porozmawiać, popłakać, a nawet się pośmiać, jednak nikt ani nic nie przychodziło mi do głowy. Zostałam bez swojego miejsca na świecie. Sama.

Dni 6–7. Rok I p.Ch.

Nie wiedziałam, gdzie położyć bukiet kwiatów. Na ochronnej barierze drogowej? Zapomniałam taśmy klejącej. Powinnam była ją zabrać, żeby przymocować kwiaty. Na ziemi długo nie poleżą. A co ja tam robiłam? „Córeczko, na miejscu wypadku trzeba położyć kwiaty” – powiedziała moja matka. „Pojedziemy tam razem”, nalegała. Dużo mnie kosztowało przekonanie jej, że nie, że to jest intymny gest, coś, co chciałabym zrobić sama. Nie miałam zamiaru zamieniać tego miejsca w cyrk ani w cel rodzinnych pielgrzymek. Na szczęście rodzice Chrisa mnie poparli. „A poza tym, mam, Chris zmarł w miejscu bardzo oddalonym od tego, w którym miał się znajdować. Okłamał mnie. Wiem, że powinno być mi wszystko jedno, bo jest martwy i nikt już nic na to nie poradzi, ale co on robił na tamtej drodze? Dokąd jechał? Nie, nie dokąd jechał. Skąd jechał?” Oczywiście nic takiego nie powiedziałam mojej matce. Oznajmiłam tylko: „Mamo, pojedę sama, koniec rozmowy. Chcę, żebyś została z Olivią, bo chyba nie będziesz się domagać, żebym zabrała ją w miejsce, w którym zabił się jej ojciec”. Wyszłam z domu, zanim mogłaby powiedzieć coś w stylu: „To nie jest miejsce, w którym się zabił, to jest miejsce, w którym jego dusza poszła do nieba”. Moja matka jest osobą żarliwie wierzącą. Ja nie, chociaż w tamtym momencie chciałabym być. Wydawało mi się, że wszystko byłoby znacznie prostsze.

Bariera ochronna wciąż była przełamana, a miejsce odgrodzone policyjną taśmą, chociaż nie istniała już potrzeba jego zabezpieczenia. Zerwałam taśmę, ponieważ uznałam to za brak szacunku – to tak, jakby traktowali Chrisa jak jakiegoś kryminalistę. Był nim? Taśma mi się wyslizgnęła i zaczęła latać po asfalcie ożywiona podmuchami wiatru. Podeszłam do pobocza. Upadek z wysokości czterech metrów. Naprzeciwko rzeka Weweantic, wijąca się między pięknymi domami z prywatnymi przystaniami. Cudowne miejsce, by się zatrzymać, zrobić zdjęcia, obejrzeć zachód słońca, odetchnąć, pospacerować, pomedytować. Wszystko, tylko nie umierać. Zauważyłam, że faktycznie nie było śladów hamowania – dowód na to, że stracił przytomność, zanim zjechał z drogi. Przynajmniej miał słodką śmierć. To nie moje słowa, tak powiedział mi lekarz. Powiedział „słodką”? Nie, nie słodką. Powiedział coś innego. Powinnam zacząć zapisywać. Zapisywać co? Ważne rzeczy. Nie te, które się wydarzyły, lecz te, które od tej pory miały się wydarzyć.

Nie zostawiłam bukietu na drodze ani na barierze ochronnej. Przeszłam jakieś dwieście metrów i dostałam się na otaczający rzekę nasyp. Wróciłam, tyle że dołem, i położyłam kwiaty w miejscu, w którym samochód się przewrócił, tuż przy brzegu. Były tam resztki oleju z auta, szkło i mały krater, powstały wskutek gwałtownego uderzenia.

Myślałam, żeby się pomodlić, jednak zrezygnowałam. Później zaczęłam

rozważać kąpiel w rzece. Ale bałam się, że mogłaby stać się syrenim śpiewem. Dałabym się ponieść prądowi, aż znalazłabym się w morzu. Nie miałam myśli samobójczych, po prostu byłam bardzo zmęczona. Tak więc ograniczyłam się tylko do zrobienia siusiu w dzikiej trzcinie. Wcześniej rozejrzałam się dookoła. Ogarnęło mnie uczucie wstydu i śmieszności. Kobieta w siódmym miesiącu ciąży robi siusiu w miejscu, w którym jej mąż zginął w śmiertelnym wypadku. Nie był to obraz, który by mi się zbyt podobał. Ale naprawdę często musiałam sikać. Było to spowodowane ciążą. Wtedy po drugiej stronie drogi zauważyłam niewielką stację benzynową Sam's Gas. „Alice, tam są kamery monitoringu. Chcesz skończyć na YouTube? Kategoria: Ruda ciężarna sika”. Gdy sikałam, powtarzałam sobie w myślach jak mantrę: kamera monitoringu, kamera monitoringu, kamera monitoringu...

Bycie w siódmym miesiącu ciąży ma swoje zalety. Kto się nie ulituje nad ciężarną? Nie lubiłam tego wykorzystywać ani się tym rozkoszować; nie pozwalałam też obsługiwać się bez kolejki czy szczególnie traktować. Będąc w ciąży, czułam się silna, potężna. Przynajmniej do dnia 0. Jednak teraz dobrze by mi to zrobiło. Bardzo łatwo jest wykazywać empatię wobec ciężarnej, jeszcze łatwiej, gdy właśnie straciła męża w wypadku samochodowym, a najłatwiej ma osoba ze stacji benzynowej, naprzeciwko której się to wydarzyło. Nie mówiąc już o tym, że ta załamana ciężarna zaczyna płakać. To był pierwszy raz, kiedy płakałam publicznie. I robiłam to interesownie, żeby osiągnąć cel: zdobyć nagranie z monitoringu z nocy, kiedy zdarzył się wypadek. Po co? Jeszcze tego nie wiedziałam. Ale chciałam je mieć. Może dlatego, że tysiąc razy odsłuchałam już wiadomość, którą Chris zostawił na sekretarce, szukając czegoś w jego głosie: cienia zawahania, winy albo przynajmniej jakiegoś hałasu w tle. Jakiegoś śladu. Czegokolwiek. Byliśmy razem prawie przez całe życie. Mogłam literować jego ciszę, katalogować każdy lekki wykrzyknik. I nie znajdując niczego podejrzanego, pomyślałam, że wszystko było podejrzanym. Cały nasz związek był podejrzanym. Związek, który wyglądał jak jesienne słońce. Nie potrzebowaliśmy ochrony. Był słodki i odprężający. Teraz się zastanawiam, czy to sprawiło, że był mało ekscytujący i ciekawy. Czy Chris potrzebował czegoś więcej? Czy ja potrzebowałam czegoś więcej i nie zdawałam sobie z tego sprawy? Teraz szukałam tego „więcej” Chrisa. Jego „więcej” stało się moim „więcej”. Rzecz dziwnie paradoksalna, ponieważ wszystkiego robiło się mniej.

– Nagranie zabrała już policja, żeby zbadać okoliczności wypadku – powiedział mi właściciel stacji benzynowej.

„Dobrze, tak lepiej, daj spokój. Spróbowałaś, a teraz wracaj do domu”.

– A nie ma pan kopii? – zapytałam.

– Może – odparł, zadzierając nosa. – Ale proszę mi coś powiedzieć: po co pani to nagranie? – zapytał logicznie.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, by zabrzmiało choć trochę przekonująco. Chciałam się poddać. Przeprasić i wyjść stamtąd z nadzieją, że nie umieszczą na YouTube nagrania tego, jak sikam. Ale wtedy przemówiła za mnie Ruby, dając mi mocnego kopniaka. A może było ich kilka? Skręcałam się z bólu przez trzydzieści albo czterdzieści sekund. Wyglądałam, jakbym za chwilę miała rodzić. Być może przedłużyłam grymas bólu bardziej, niż było to konieczne, i wydałam z siebie dwa zdławione okrzyki (zbyt przesadzone), bo... kto mógłby przestraszyć spokojnego właściciela stacji benzynowej przy podrzędnej, mało uczęszczanej drodze, jeśli nie kobieta, która może urodzić pod jego nosem, w okolicy bez szpitali czy jakiegokolwiek opieki medycznej. Najlepiej, gdyby jak najszybciej sobie poszła.

Pięć minut później byłam już w drodze powrotnej do domu z płytą CD zawierającą nagranie z monitoringu. Dzięki, Ruby.



Terenówka była w katastrofalnym stanie. Kaprys Chrisa/Christa. Luksusowy cadillac escalade ze wszystkimi możliwymi dodatkami i tak ogromny, że często z Chrisem żartowałam, że jeśli się pokłócimy, to zawsze może się do niego przeprowadzić i tam mieszkać. Ostatecznie, co za ironia losu, nie znalazł się w nim, by żyć, lecz by umrzeć.

Bardzo się utożsamiałam ze stanem, w jakim znajdował się samochód. Być może dlatego, kiedy szef warsztatu, do którego go odholowano, powiedział mi, że tylko zajmuje miejsce i że należałoby przeznaczyć go do kasacji, popatrzyłam na niego z poważnym wyrazem twarzy i powiedziałam:

– Nie.

Przeszukałam terenówkę od góry do dołu. Zajrzałam do schowka. Znalazłam w nim wszystkie dokumenty samochodu i kilka papierków po czekoladkach (moje). Nic więcej, nawet nędznego mandatu. Chris był bardzo odpowiedzialnym kierowcą. I bardzo odpowiedzialnym człowiekiem.

Wyświetlacz nawigacji rozbił się na kawałki, ale wciąż działał. Włączyłam go i sprawdziłam, czy ma zapamiętane trasy. Nic. Nigdy go nie używał; chełpił się tym, że miał niezwykle zmysł orientacji i nie potrzebuje pomocy. Na pewno się nie zgubiłeś, Chris?

Na końcu otworzyłam bagażnik. Była tam czarna skórzana torba na laptopa, którą mu podarowałam, oraz pluszowy miś. Śmierdzący Miś. Wokół gąbczastego brzucha miał przewiazaną różową wstążkę z kokardą. Miś, o którego Olivia prosiła od wielu tygodni jak o coś niezbędnego do życia. Gdzie go kupił? Dlaczego nie znajdował się w torebce ze sklepu z zabawkami? Dlaczego nigdzie nie było paragonu? Dlaczego ten zakup nie został odnotowany na żadnym wyciągu z jego kart kredytowych (już je sprawdziłam)? Wzięłam misia i instynktownie go powąchałam. Niczego nie poczułam.

„Dlaczego więc nazywa się Śmierdzący?”, zastanawiałam się.

Kiedy dałam go Olivii, jej twarz się rozpromieniła.

– Śmierdzący Miś! – objęła go i pocałowała, jakby był jej najlepszym przyjacielem na całe życie. – To od tatusia?

– Oczywiście, córeczko. Widzisz? Nie zapomniał o prezencie dla ciebie.

– Ale to z obecnej podróży czy z poprzedniej?

– Z jakiej obecnej podróży, Oli? Co masz na myśli? – zapytałam najdelikatniej, jak umiałam.

– Babcia mi powiedziała, że tatuś wciąż jest w podróży.

„Świetnie, mamo, dzięki. I co mam jej teraz powiedzieć?”

– Jedno pytanie, Oli: dlaczego on nazywa się Śmierdzący Miś? – Olivia nacisnęła tyłek pluszaka. Rozległo się puknięcie.

– Bo puszcza bąki! – wykrzyknęła Olivia, pokładając się ze śmiechu. – Flejtuch! Bąki puszcza się w wannie! – skarciła misia i pobiegła. – Szybko, do łazienki robić kupę!

Wiedziałam, że w jego walizce nie znajdę nic ważnego. Nie mieliśmy z Chrisem tajemnic. Znałam jego hasło do Facebooka, do poczty elektronicznej, kod do odblokowania klawiatury komórki i tak dalej. No dobrze, nie żebym znała je na pamięć. Rzecz w tym, że Chris nie potrafił zapamiętywać takich rzeczy (zawsze mu powtarzałam, żeby do wszystkiego używał tego samego hasła, ale on mówił, że nie, że to nie jest bezpieczne, że czytał o tym w jakimś artykule), tak więc miałam te wszystkie kody zapisane na karteczce samoprzylepnej, przytwierdzonej do monitora komputera w jego gabinecie. Na widoku. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, żeby się zalogować i węszyć. Ufałam mu. A on mnie.

Użyłam ich dopiero po jego śmierci, ale i tak czułam się, jakbym go zdradziła. Sprawdziłam jego pocztę, profil na Facebooku, LinkedIn, Twitterze, Instagramie, jego (nasze) konta bankowe, wyciągi z kart, szuflady i szafy. Nie znalazłam ani nie odkryłam niczego, o czym nie wiedziałabym, że mogę znaleźć albo odkryć, z wyjątkiem tego, że obserwował Taylor Swift na Instagramie. Był jednym z jej trzydziestu milionów followersów. A ja o tym nie wiedziałam...

Porównałam kontakty z jego telefonu z moimi. Numer po numerze, żeby się upewnić, czy wszystkie się zgadzają, czy nie miał żadnego numeru zakamuflowanego pod nazwiskiem kolegi albo kogoś z rodziny. Nic. A w przypadku osób, których nie znałam, dzwoniłam do nich z komórki na kartę. Słuchałam ich głosów i jeśli zgadzały się z profilem kontaktu, rozłączałam się. Też nie znalazłam nic podejrzanego.

Nasze życie było jak puzzle. Nie w znaczeniu chaosu i zamieszania, ale w znaczeniu harmonii i dopasowania. Puzzle, które układaliśmy razem, element po elemencie. Wiedzieliśmy, czego chcemy. Mieliśmy obraz naszego idealnego życia

i wszystkie potrzebne elementy, żeby je stworzyć. Mieszkaliśmy w domu w stylu kolonialnym w Nowej Anglii, przy Hope Street. Wystarczająco blisko i wystarczająco daleko od domu moich rodziców i jego, a w połowie drogi między nimi, tak więc byliśmy bezstronni i zgodni. I wierni naszej rodzinnej miejscowości; tej, w której dorastaliśmy; tej, która widziała, jak zakochujemy się w sobie (sprowokowany zbieg okoliczności, który oboje nas cieszył) w Hope High School (zaledwie kilka minut drogi od naszego domu); tej, która widziała, jak się rozstawaliśmy, żeby studiować na różnych kierunkach i na różnych uczelniach (Chris administrację i zarządzanie na Uniwersytecie Wirginii, a ja sztuki piękne na prestiżowym Uniwersytecie Browna, należącym do Ligi Bluszczowej, też kilka minut drogi od naszego domu, bo właściwie to mieszkaliśmy obok kampusu); wreszcie tej, która po powrocie Chrisa znów otuliła nas miłością, jeszcze silniejszą, dojrzałą i uodporniającą na rozpustę panującą na uczelni i chroniącą przed niebezpieczeństwami wynikającymi z odległości; i tej, która wynagrodziła nas córką Olivią. Ostatnim elementem była Ruby. Zawsze chcieliśmy mieć dwoje dzieci, parę. Była upragnionym dzieckiem. Oboje jej chcieliśmy, pomimo sprzeczek w kwestii imienia. Oboje się o nią staraliśmy i poczęliśmy ją z wielką przyjemnością. To były elementy naszych puzzli. Skończyliśmy układankę. Pejzaż naszego życia był jasny, piękny i idealny. Był już przyklejony, oprawiony i powieszony na ścianie. Żeby go podziwiać, cieszyć się nim i w nim żyć. A teraz czułam się tak, jakbym miała przed sobą puzzle składające się z pięciu tysięcy elementów i nie widziała nawet obrazu, który muszę ułożyć.



Droga była pusta. Przejechały zaledwie dwa samochody, a potem cadillac escalade wypadł z trasy w kierunku nasypu i zniknął z obrazu. Nie jechał szybko. Nacisnęłam pauzę odtwarzacza. Nagranie wskazywało godzinę 23.15. Znów wcisnęłam *play*. Przyspieszyłam obraz. Zatrzymał się samochód z dwoma pasażerami, którzy pośpieszyli z pomocą. Kierowca podszedł do nasypu, jednocześnie łapiąc się za głowę. Nie odważył się zejść. W tym czasie druga osoba dzwoniła pod numer alarmowy. Karetka przyjechała po dwunastu minutach. Wkrótce pojawił się też samochód policyjny z hrabstwa Plymouth i wóz strażacki z Marion, najbliższej miejscowości. Sanitariusze nie mogli wydostać Chrisa z terenówki. Był zakleszczony. Po interwencji strażaków, którzy piłą wycięli drzwi od strony kierowcy, w końcu udało im się go wyjąć i położyć na noszach. Był nieprzytomny. Włożyli go do ambulansu. Policja i strażacy zostali na miejscu wypadku. „Po co to oglądasz, Alice? Co zamierzasz?”, zastanawiałam się, płacząc w ciszy, którą sama sobie wybrałam.

Dni 8–9. Rok I p.Ch.

Miejsce wypadku zaznaczyłam na mapie literą X. Trasa US-6, na wysokości rzeki Weweantic. Drugą literą X zaznaczyłam nasz dom w Providence. I kolejną miejsce, w którym rzekomo powinien być, Yale w New Haven. Tak jakbym potrzebowała wizualnie udowodnić kłamstwo.

Cześć, kochanie. Właśnie skończyłem. Chciałem zdążyć do domu na kolację, ale nic z tego, klient nalegał, byśmy zjedli coś tutaj, w barze w okolicy Yale. Zaraz wracam do domu. Myślę, że będę około dwunastej. Nie czekaj na mnie. Całuję, kochana.

Odsłuchałam tę wiadomość dziesiątki razy. Nie podawał nazwiska klienta, nie podawał nazwy baru... Żadnego rozpoznawalnego hałasu. Panowała jednak zbyt duża cisza. Dziwne. W okolicy Yale. „Całuję, kochana”. Prawie nigdy nie mówił do mnie „kochana”, bo twierdził, że jest to zbyt ważne słowo, żeby częstym używaniem pozbawiać je wartości. Dlatego tak bardzo się ucieszyłam, kiedy usłyszałam je wtedy. Jednak kiedy odsłuchiwałam tę wiadomość teraz, przychodziły mi na myśl sztuczne ciasta stawiane w witrynach cukierni, żeby przykuć uwagę. Wierna kopia, która przetrwa upływ czasu. Prawda, która po dotknięciu staje się kłamstwem. To właśnie starałam się zrobić, dotknąć prawdy Chrisa, żeby odkryć jego kłamstwo.

Gdyby nie miał wypadku, przyjechałby do domu o tej godzinie, o której mówił. O dwunastej. A zatem gdy dzwonił, upewnił się, że ma do pokonania taki sam dystans, jaki dzieli Yale i Providence: sto siedemdziesiąt kilometrów. Wróciłam do mapy. Od miejsca wypadku do domu było sześćdziesiąt siedem kilometrów. A więc przejechał około dziewięćdziesięciu. Traktując ten dystans jako punkt odniesienia, narysowałam okrąg od rzeki Weweantic w kierunku przeciwnym do domu, na wschód, żeby określić, z którego miejsca najdalej mógł wyruszyć. Widząc rezultat tych obliczeń, moja awaryjna bańka pękła niczym szyba pędzącego samochodu, w którą trafił kamień. I zanim zdołałam nakleić na nią plaster, eksplodowała i zalała moje ciało zimnym potem. Sto siedemdziesiąt kilometrów na wschód. To obejmowało praktycznie każdy zakątek wschodniej części stanu Massachusetts, łącznie z Bostonem, i w zasadzie cały półwysep Cape Cod. Czyż nie chciałaś więcej elementów puzzli? Proszę bardzo.

Na lodówce, wśród magnesów i rysunków Olivii, wisiała kartka, na której było napisane: „Wyjazdy taty”. Chris miał być gwiazdą tenisa. Przez ostatnie dwa lata szkoły wygrywał turniej stanu Rhode Island i przyznano mu pełne stypendium na Uniwersytecie Wirginii, który miał jedną z najlepszych drużyn tenisowych w kraju. Tam osiągał znakomite wyniki: został wicemistrzem juniorskiego US Open, przegrywając w finale z Andym Roddickiem. Administrację i zarządzanie ukończył z wyróżnieniem, ale chciał zostać zawodowym tenisistą. W ciągu

zaledwie roku awansował na sto czterdzieste trzecie miejsce w światowym rankingu ATP. Zerwanie ścięgna Achillesa zahamowało jego ledwie rozpoczętą karierę. Ale się nie załamał. „W dzisiejszych czasach w zawodowym tenisie (podobnie jak w prawie wszystkich dziedzinach życia), jeśli nie osiągnąłeś czegoś przed dwudziestym piątym rokiem, już nigdy tego nie osiągniesz. Tak więc jeżeli do dwudziestych siódmych urodzin – daję sobie dwa lata więcej – moja twarz nie znajdzie się na pudełku płatków śniadaniowych, dam sobie z tym spokój”, mówił półżartem, a zarazem bardzo serio. Kiedy nadszedł ten dzień, zrobiłam mu specjalną edycję Fruity Pebbles, jego ulubionych płatków, umieszczając na opakowaniu jego zdjęcie, na którym z uśmiechem na ustach i z opaską na włosach obejmował swoją rakietę. Nie chodziło mi o to, żeby przypomnieć mu o niepowodzeniu, przeciwnie – chciałam mu pokazać, że jest wiele sposobów, aby znaleźć się na pudełku płatków. Owszem, ten nie był wymarzony, lecz niekoniecznie najgorszy, po prostu inny. I wydaje się, że tak to zrozumiał, gdyż ogromnie się wzruszył. Do tego wręcz stopnia, że umieścił pudełko w gablocie z trofeami, razem z paterą za wicemistrzostwo juniorskiego US Open, co było szczytowym osiągnięciem w jego karierze, jego ulubioną porażką, jak sam ją nazywał. Tego samego dnia w obecności całej rodziny ogłosił, że rozstaje się z tenisem. „Chciałem być Andym Roddickiem, który zaledwie po trzech latach od pokonania mnie w finale juniorskiego US Open został numerem jeden na świecie. Mam dwadzieścia siedem lat, od dwóch zmagam się z kontuzją i nawet nie mam odwagi, by sprawdzić, które miejsce zajmuję w rankingu. Nie chcę zajmować się czymś, w czym nie jestem jednym z najlepszych. Rzucam to”, oznajmił z pełnym przekonaniem, nie okazując ani krztyny żalu czy frustracji. Teraz nie mogłam przestać myśleć o tym, czy ta decyzja o rezygnacji z zawodowego uprawiania tenisa, którą – jak się wydawało – podjął w sposób bardzo zdecydowany i spokojny, nie pograżyła go w jakiejś frustracji, nie wywołała życiowego zmartwienia, co mogłoby spowodować ogromną zmianę w jego samoocenie, w jego marzeniach o wielkości (pielęgnowanych od małego). Pustkę, którą nie sposób się dzielić (bo nie znosił wzbudzać w kimś współczucia), a która mogła mieć coś wspólnego z tym, co robił w tajemnicy przede mną.

Wkrótce potem założył firmę zajmującą się produkcją, dystrybucją i sprzedażą kortów tenisowych (chciał być wciąż związany ze swoją pasją). Nawet stworzył i opatentował sztuczną nawierzchnię, która – oprócz tego, że schła w rekordowym tempie – amortyzowała upadki na korcie i pomagała unikać takich kontuzji, jaka przytrafiła się jemu. Poza tym była wykonana z materiału z recyklingu (miał dużą świadomość ekologiczną). Zdominował znaczną część branży kortów tenisowych w Rhode Island i zaczynał rozszerzać działalność na Connecticut i Massachusetts. „To jest dopiero początek”, mówił. Podczas swojej ostatniej podróży właśnie (rzekomo) podpisywał umowę z Uniwersytetem Yale na

wymianę kortów na terenie kampusu uczelni. Gdyby się to udało, jego firma znacznie zwiększyłaby obroty. „Inne uniwersytety idą śladem Yale. Jeśli Yale mnie wybierze, wybiorą mnie pozostałe”, zapewniał.

Starał się łączyć wyjazdy, żeby jak najwięcej czasu spędzać w domu. Był typem domownika. Lubił zajmować się swoimi rzeczami. Lubił zajmować się mną. Dlatego to wszystko musiało mieć jakieś wyjaśnienie. Pozytywne wyjaśnienie.

Newport, Charlestown, Worcester, Manchester, Boylston, Hartford, East Greenwich, Block Island oraz Yale. Tam jeździł od początku tego roku. I znowu ani śladu faktur za hotele, rachunków z restauracji opłacanych kartą, nic z tych rzeczy. Czy wcześniej mnie to nie zaskakiwało? Niekoniecznie. Jego ojciec powtarzał, że płacić trzeba naprawdę, zielonymi banknotami, a nie plastikiem. Bo inaczej można mieć wrażenie, że się nie wydaje, a tak naprawdę wydaje się więcej. „Trzeba mieć świadomość tego, ile się wydaje, bo w przeciwnym razie pewnego dnia, nie zdając sobie z tego sprawy, zostaje się bez pieniędzy”, mawiał. Tak, Williamsowie byli trochę skąpi (choć Chris uważał się raczej za mrówkę), a takie rzeczy ewidentnie się dziedziczy. Nikt nie jest idealny. Gdyby więc przypadkiem zwróciło to moją uwagę, on przypominałby mi słowa swojego ojca, pokazałby plik banknotów, który zawsze nosił w kieszeni w srebrnym klipsie, należącym dawniej do jego dziadka, a mnie wydawałoby się to jak najbardziej wiarygodne.

W moim urządzonej w piwnicy atelier (wcześniej, do czasu narodzin Olivii, miałam je na poddaszu) na środku stał stół wypełniony wszelakimi gratami, których potrzebowałam: farbami do malowania (olejnymi i akrylowymi), pędzlami, ołówkami, plastikowymi talerzami piknikowymi, w których mieszam farby, szmatkami, płótnami, ramami i szkicami, z podświetlarką, mnóstwem książek i moim laptopem, pokrytym drobinami farb wyplutymi z pędzli niczym wojennymi ranami. To był chaos kontrolowany. Prawdziwa martwa natura. Obraz sam w sobie. Lubiłam, kiedy tak to wyglądało. Mimo że miejsce nie było do końca idylliczne – panowała tu duża wilgoć i tęskniłam za naturalnym światłem – był to mój kąt, mój świat, do którego nie wchodził nikt poza mną. Lubiłam, jak wypełniał się życiem i sztuką. Ale nie wahałam się ani sekundy, by to wszystko uprzątnąć. Potrzebowałam miejsca, potrzebowałam prywatności.

Wzięłam mapę drogową, którą wieki temu podarował nam mój ojciec, i zaznaczyłam wszystkie strony ze stanami Connecticut, Rhode Island i Massachusetts. Potem rozłożyłam je na stole (tak, kolejny raz układałam puzzle), tworząc ogromną i szczegółową mapę północno-wschodniego wybrzeża. Następnie różnymi kolorami nakreśliłam wszystkie trasy „służbowych” wyjazdów Chrisa, wybierając najbardziej logiczne drogi. Żadna z jego rzekomych podróży nie przebiegała nawet w pobliżu US-6.

Strona łóżka Chrisa wciąż nim pachniała, odkrywając przede mną bezmiar

jego nieobecności. Ciemną przepaść bez dna, czarną dziurę smutku. Mimo to nie chciałam zmieniać prześcieradła. Przed zaśnięciem (na szczęście nie miałam problemów ze snem – im mniej godzin będę świadoma, tym lepiej) pomyślałam: „Mam nagranie z powrotu Chrisa. Ale skoro tamtędy wracał, to prawdopodobnie pokonał tę trasę w odwrotnym kierunku. Czy będzie to ten sam dzień, w którym pojechał do Yale? Jak się nazywał właściciel stacji benzynowej? Wszystko jedno, Alice, stacja ma swoją nazwę. Teraz śpij”.

I zasnęłam, wcześniej jednak zapisałam to wszystko w notesie. Teraz zawsze miałam go przy sobie, żeby nie zapomnieć tych nielicznych błyskotliwych pomysłów, które przychodziły mi do głowy.

Nie wiem, kiedy wstałam, poszłam do pokoju Olivii i położyłam się w jej łóżku. Na pewno spałam. Ale wiedziałam, co robię, i że to nie sen. Był to dziwny, świadomy epizod somnambulizmu. Byłoby genialnie, gdybym mogła znajdować się w tym stanie w ciągu całego dnia. Wszystko stałoby się o wiele znośniejsze.

– Mamusiu, dlaczego ty możesz przychodzić do mojego łóżka, kiedy chcesz, a ja do twojego nie? – zapytała Olivia i nie czekając na odpowiedź, przyjęła pozycję embrionalną obok mojego brzucha, identyczną z pozycją Ruby, jakby udawała, że jest w środku.

Właściciel stacji benzynowej miał na imię Sam. Skonfundowany patrzył właśnie na przedstawioną mu przeze mnie długą listę dni, z których chciałam dostać nagrania. Były to daty wyjazdów Chrisa.

Styczeń: od 17 do 22 i od 28 do 31. Luty: od 6 do 11 i od 24 do 28. Marzec: od 4 do 7 i od 17 do 23. Kwiecień: od 15 do 19 i od 28 do 3 maja. I wreszcie od 9 do 13 maja.

– Czy znów będzie pani miała zamiar rodzić, jeśli zapytam, po co pani te wszystkie nagrania?

– To możliwe – powiedziałam, głaszcząc się po brzuchu.

– Tylko jedno pytanie: to wszystko z powodu osoby, która miała wypadek?

Postanowiłam nie odpowiadać i zobaczyć, co się stanie. Wydawało się, że poskutkowało.

– Mam dobrą i złą wiadomość – powiedział. – Którą chce pani usłyszeć najpierw?

– Naprawdę będziemy się w to bawić? – Sam naśladował moje milczenie. Też poskutkowało.

– Najpierw złą.

– Dam pani nagrania.

– To jest zła? – zapytałam, nie rozumiejąc.

Sam wziął lepiący się od brudu kalkulator, którego przyciski były pokryte plastikiem, żeby nie zabrudziły się jeszcze bardziej.

– Proszę pani, proszę pani o nagrania z czterdziestu ośmiu dni. –

Wstukał cyfry. – Czterdzieści osiem razy dwadzieścia cztery to tysiąc sto pięćdziesiąt dwie godziny nagrań. To nieco szalone, nie uważa pani? Czego pani szuka? Wiem, czego pani szuka. Terenówki. Chce pani wiedzieć, czy ten escalade jeździł tędy już wcześniej. Czytam dużo powieści kryminalnych. – Wrócił do kalkulatora, nie czekając na moją odpowiedź. – A zatem, gdyby obejrzała pani wszystkie nagrania z podwójnym przyspieszeniem, wystarczającym, żeby zobaczyć każdy samochód, i dziennie poświęciłaby pani na to średnio osiem godzin, to będzie... – Znowu wprowadził cyfry do kalkulatora. – Tysiąc sto pięćdziesiąt dwa dzielone przez dwa... Pięćset siedemdziesiąt sześć godzin... I dzielone przez osiem... Przez siedemdziesiąt dwa dni i siedemdziesiąt dwie noce obejrzałaby pani wszystko – powiedział triumfalnie, jakby właśnie wygrał ze mną w pokera.

– A jaka jest dobra wiadomość? – zapytałam oszołomiona tymi wszystkimi liczbami. Prawda była taka, że w ogóle o tym nie pomyślałam.

– Większość systemów monitoringu przemysłowego wykasowuje zgromadzone nagrania. To nie jest kwestia prawna. W tym stanie można je przechowywać do końca życia, jeśli ktoś ma taką ochotę. To jest kwestia praktyczna i ekonomiczna. Nagrania gromadzone są przez dwadzieścia osiem dni. Dlaczego przez dwadzieścia osiem dni, a nie cały miesiąc? Nie mam pojęcia. – Sam znów popatrzył na moją listę. – Tak więc mogę dać pani nagrania z dni od 15 do 19 kwietnia i od 28 kwietnia do 3 maja, oprócz tych, które już pani ma. – Podniósł wzrok i uśmiechnął się do mnie, tym razem bardziej jak żartowniś niż triumfator. – To jest ta dobra wiadomość. Będzie pani musiała oglądać tylko...

I znowu zaczął coś obliczać. Miałam ochotę rozbić mu ten tłusty kalkulator na głowie. Ale tego nie zrobiłam.

Dni 10–13. Rok I p.Ch.

Na początku na widok każdego samochodu, który przejeżdżał przed moimi oczami, ścisnęło mi się serce. „To ten!”, myślałam. Zatrzymywałam nagranie, przewijałam i okazywało się na przykład, że to mały pistacjowy chevrolet spark. A ja szukałam czarnego, dość dużego cadillaca escalade. Ale z czasem mój wzrok przyzwyczaił się do ciemności, tak że pod koniec mogłam oglądać nagrania nawet z czterokrotnym przyspieszeniem.

Z sześciu przejazdów w obie strony terenówkę udało mi się rozpoznać pięć razy (dwa razy w jedną stronę i trzy razy z powrotem, łącznie z chwilą wypadku). Nie zawsze pokrywały się one dokładnie z datami wyjazdów i powrotów Chrisa. Przypuszczałam, że jeśli w danej podróży wypełniał wszystkie swoje zobowiązania w ciągu jednego albo nawet niecałego dnia, to potem wymykał się nie wiadomo gdzie i po co. Tą drogą, US-6, jechał gdzieś, a potem wracał. Czy za każdym razem z tego samego miejsca? Czy to miało jakieś znaczenie? Dowiedziałam już, że mnie okłamywał i że kłamstwo zawsze prowadziło go do tego samego miejsca. „Już. Wystarczy. Twój zmarły mąż robił coś złego. Czy koniecznie musiało to być coś złego? Miał swój mały sekret, którym nie chciał się z tobą dzielić. Nie możesz z tym żyć, Alice? Czy naprawdę nie można tego zaakceptować? Czyż nie traktował cię dobrze? Czyż cię nie kochał? Nie okazywał ci tego? Nie podziwiał cię? Nie szanował? Nie pragnął? Nie kochał się z tobą? Nie, tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak i tak”.

Ktoś zapukał do drzwi mojego atelier (zamknęłam się od środka, czego nigdy wcześniej nie robiłam). To była moja matka.

– Córeczko, co ty tam robisz?

– To samo co ty, kiedy jesteś w ogrodzie, mamo.

– Masz tam w środku krzewy róż?

– Nie, mam inne rzeczy i sprawy, które lubię robić sama, dla siebie, kiedy nikt mi nie przeszkadza.

– Mnie nie przeszkadza, gdy na mnie patrzysz albo dotrzymujesz mi towarzystwa, kiedy zajmuję się różami.

– A mnie tak.

– Ale przecież ty nie masz róż... – Cisza, nabrałam powietrza i wstrzymałam oddech. – Ach, masz na myśli to, co tam robisz. Ale wiesz przecież, córeczko, że ja jestem bardzo tolerancyjna... – Wciąż nie wypuszczałam powietrza. – A dlaczego nie zasadzisz kilku krzewów róż? Praca na świeżym powietrzu dobrze by ci zrobiła, lepiej niż siedzenie w zamknięciu przez cały dzień.

Kiedy poszła, wstrzymywałam oddech jeszcze przez piętnaście sekund.



Przejechałam US-6 od miejsca wypadku, w przeciwnym kierunku, do punktu wyjazdu albo przeznaczenia, zależy jak na to spojrzeć. Staralam się odtworzyć trasę, którą pokonywał Chris. Zarezerwowałam dla niej czerwony mazak. Jak powinnam ją nazwać? Musiałam ją jakoś nazwać. Trasa wypadku? Trasa śmierci? Trasa horroru? Trasa sekretu? Trasa kłamstwa? A może piękna trasa. Bo naprawdę była śliczna. Typowa droga, która swego czasu była drogą główną, a teraz stała się relikwią dla ludzi, którzy się nie śpieszyli. A może mój mąż tylko jechał, tak po prostu. Lubił prowadzić, to go relaksowało. Czuł niechęć do prawie wszystkich innych środków transportu. Chris nie lubił nie mieć kontroli zawsze i nad wszystkim.

Minęłam stację benzynową. Miałam zamiar się zatrzymać, przywitać z Samem i dać mu prezent w ramach podziękowania. „Proszę, Sam, nowy kalkulator, żebyś wciąż obliczał, czy twoje życie ma sens... Biedak. Nie atakuj go, przecież pomógł”. Pewnie, może właśnie to sprawiło, że zmieniłam zdanie. A gdyby mi powiedział, że nie, że nie da mi nagrań? Co bym zrobiła? Zatrzymałabym się? Zrezygnowałabym ze swoich badań i nieświadomie byłabym mu wdzięczna za to, że w porę mnie powstrzymał?

Nie, to by mnie nie powstrzymało.

Kiedy dojechałam do Wareham, zatrzymałam się na skrzyżowaniu z główną ulicą. Prowadziłam już od dłuższego czasu, jak zahipnotyzowana. Pokonywałam US-6 bardzo powoli, niczym zombie, ignorowałam wszystkie małe skrzyżowania, obawiając się rozejrzeć dookoła. Całkowicie przygnębiona, miałam już zamiar się poddać. „Wracaj do domu, Alice. Zapomnij o tym wszystkim”. Wtem jakiś ptak przysiadł na gałęzi wiśni, tuż obok mojego czerwonego jeepa cherokee. Kuku, zaśpiewał, zwracając moją uwagę. To była kukułka. Popatrzyła na mnie, przechylając łepkę. Chris zawsze patrzył na mnie, przechylając głowę, kiedy zauważał, że jestem wściekła i nie chcę powiedzieć, co mnie do tego doprowadziło. Mówił wtedy łagodnie: „No dalej, A., jesteś wściekła, wiesz, że to widzę, nie każ mi, żebym cię sto razy pytał, dlaczego jesteś wściekła, i nie mów mi sto razy, że nie jesteś wściekła, bo koniec końców i tak mi to powiesz, ale wtedy już oboje będziemy wściekli przez tę gównianą grę”. I co robiłam? To samo co teraz. Nie odzywałam się i unikałam jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego. Ostatecznie Chris miał dość czekania, wstawał i wychodził. A jeśli to był duch Chrisa/Christa? Może jego dusza zamieszkała w tej kukułce? „Czy to nie te ptaki podrzucają swoje jaja do obcych gniazd? Tak, te. Czy jest to jakiś rodzaj podświadomego przekazu? Chce mi coś powiedzieć?” Chris. Obce gniazdo. Kukułka miała mi wskazać drogę, którą powinnam iść. Albo wręcz przeciwnie, chciała mnie zmylić, żebym nie odkryła jego sekretu. Siedziałam cicho. Nie chciałam jej wystraszyć ani wpływać na jej decyzję.

Kukułka odleciała w tej samej chwili, kiedy o tym pomyślałam. To był

Chris, bez wątpienia. Dokąd leciał? Podążyłam wzrokiem za kukułką. Odleciała w tę samą stronę, skąd przyjechałam. „Aha, lecisz do domu, ty tchórze. Chcesz mnie odsunąć od miejsca zbrodni”. Zbladłam. Miejsca zbrodni? O tym nie pomyślałam. A gdyby teraz okazało się, że...

Mało brakowało, a dźwięk klaksonu spowodowałby, że zaczęłabym rodzić. Kiedy mówiłam, że zatrzymałam się na skrzyżowaniu, to naprawdę stałam na jego środku, blokując ruch. Zniecierpliwiony kierowca robił mi wyrzuty w stylu „wiedziałem, że to kobieta!”. Przejechałam kilka metrów i zatrzymałam się na poboczu. „Posłuchaj kukułki, wracaj do domu... W lewo czy w prawo?... Ostrzegała cię. Nie wiesz w cudzych gniazdach... W lewo czy w prawo? Dokąd mam jechać?... Zawróć i jedź do domu. Zdążysz jeszcze na zajęcia aerobiku w wodzie dla kobiet w ciąży... Popatrz, mężczyzna, który na ciebie trąbił, zatrzymał się przed bankiem... Bank, i co z tego? Po co mi teraz bank? Alice, w bankach są kamery monitoringu”. Takie wewnętrzne dialogi prowadziłam już na długo przed całym tym dramatem. Nie były owocem żadnej traumy. Jestem jedynaczką. Siłą rzeczy szybko musiałam się nauczyć bawić się sama ze sobą. „Zobaczmy, czy zostaniesz schizofreniczką, Alice... Przecież to oczywiste, że nie jestem żadną schizofreniczką. Nie słyszę głosów. Słyszę tylko jeden. Mój! Bardzo uciążliwy, owszem, ale wszystko trzeba powiedzieć”.

Placówka nazywała się Pilgrims Bank i wyglądała niemal jak domek dla dzieci. Zauważyłam, że faktycznie na zewnątrz były zainstalowane kamery monitoringu. A kto siedział w okienku? Tak, mężczyzna, który zniecierpliwiony trąbił na mnie na skrzyżowaniu. Miał tłuste włosy, zaczesane na jedną stronę, prawdopodobnie żeby ukryć łysinę w początkowej fazie. Był gruby i miał plamę na krawacie. Jedno z dwojga: albo będzie mi bardzo łatwo, albo bardzo trudno wyprowadzić go w pole. „Jak daleko jesteś w stanie się posunąć, żeby osiągnąć to, co chcesz, Alice? Czy na przykład zapłaciłabyś? Obciągnęłabyś mu w toalecie?” Jemu z pewnością przejdzie to przez myśl, zanim zdecyduje, czy dać ci te nagrania ot tak, na ładne oczy, wiedząc, że może narobić sobie kłopotów.

– Chciałam pana przeprosić.

Gruby mężczyzna od klaksonu z plamą na krawacie i być może ochotą, by ciężarna obciągnęła mu w toalecie, patrzył na mnie, nie rozumiejąc, o co chodzi. „Nie rozpoznał cię, Alice. Nic nie mów. Zmień temat”.

– Przed chwilą zablokowałam panu drogę na skrzyżowaniu.

„Świetnie, Alice”.

– Ach, proszę się nie przejmować. Nic się nie stało – uśmiechnął się uprzejmie. – To ja przepraszam, że na panią trąbiłem. Trochę wcześniej w czasie jazdy wylałem sobie kawę na krawat. Zazwyczaj w schowku mam jeden na zmianę, bo jestem niezgułą i zawsze się brudzę. Tak to jest, jak się je w samochodzie. Ale uwielbiam to i nie mogę się powstrzymać. Kiedy chciałem

zmienić krawat, okazało się, że ten na zmianę też jest poplamiony, bo zapomniałem wziąć nowy. Ostatecznie wyżyłem się na pani, trąbiąc jak ktoś źle wychowany. – Podał mi rękę. – Mam na imię Karl. A pani?

– Angela.

– Piękne imię. W czym mogę pani pomóc, Angelo?

Nagle gruby mężczyzna od klaksonu z plamą na krawacie i być może ochotą, by ciężarna obciągnęła mu w toalecie, stał się Karlem, pracownikiem małego banku, który lubił swoją pracę i naprawdę chciał, żeby jego klienci mieli jak największy zysk ze swoich oszczędności.

– Proszę posłuchać, chodzi o to, że jestem trochę zdesperowana. Potrzebuję pańskiej pomocy.

– Cóż, proszę wyjąć pistolet, dam pani to, co jest w kasie, a nie jest tego dużo, mówię uczciwie, i sprawa skończona. – Podniósł ręce, uśmiechając się, za delikatnie jak na tak zwaliste ciało.

Powiedziałam mu, że niedawno w wypadku samochodowym zginął mój brat. Wykonano sekcję zwłok i okazało się, że wziął metamfetaminę (jestem wielką fanką *Breaking Bad*). W samochodzie znaleziono część narkotyków. Przed wypadkiem zażył jakąś dawkę. Była zanieczyszczona, co spowodowało udar, a w konsekwencji wypadł z trasy. Policja zamknęła sprawę, ponieważ dla niej mój brat był zwykłym ćpunem, który zasłużył na to, co go spotkało, ale ja chciałabym się dowiedzieć, skąd jechał. Byłam przekonana, że właśnie wracał od swojego dilera, a musiałam znaleźć człowieka, który odpowiada za śmierć mojego brata. To, co mu opowiedziałam, było wątkiem popołudniowego okropnego filmu telewizyjnego, który widziałam dwa miesiące wcześniej – jednego z tych, które zaczynasz oglądać i bez względu na to, jak bardzo są słabe, nie możesz przestać. Film nosił tytuł *Mściwa Angela*. Kto by pomyślał, że mi się do czegoś przyda.

Karl rozczulił się tuż po tym, gdy powiedziałam, że mojemu dziecku dam na imię Derek, po bracie. I w ten sposób odkryłam, że Chris jechał US-6 w kierunku wschodnim. Wiem, że chyba nie trzeba było kłamać w tej sprawie. Przypuszczam, że ćwiczyłam już, przygotowując się na kłamstwo, które na mnie czekało. Zarówno kłamstwo Chrisa, jak i moje. Przede wszystkim moje.

Dni 14–18. Rok I p.Ch.

Następnego dnia miałam do załatwienia ważną sprawę, więc nie mogłam kontynuować swojego śledztwa i wyznaczać trasy czerwonym mazakiem.

Moja matka zapukała do drzwi atelier.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, mam. Nie ma potrzeby, żebyś co pół godziny pytała mnie, czy dobrze się czuję.

– Bo przystawiam ucho do drzwi i nawet nie słyszę, czy oddychasz... Pamiętaj, że dzisiaj masz spotkanie z prawnikiem?

– Tak, tak, pamiętam.

– Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszła?

– Nie chcę, mam... – „Cierpliwości, Alice”.

– I tata też nie? Patrzylibyśmy, czy cię nie oszukują. Nie ufam prawnikom od ubezpieczeń.

Otworzyłam drzwi, nie pozwalając, by matka zajrzała do środka.

– Nie martw się, mam. Nic się nie dzieje... Wolę iść sama. Poradzę sobie.

– Dobrze, dobrze... Ale, dziecko, na Boga, po co spędzasz tu tyle czasu zamknięta?

– Mam, to moje atelier. Jestem malarką. Lubię malować. To mnie relaksuje. Dzięki temu mogę na chwilę o wszystkim zapomnieć.

– Nie pachnie farbami, córeczko – powiedziała bez żadnego cienia wrogości. Przeciwnie, chciała okazać mi wsparcie. Nagle zdałam sobie sprawę, że traktuję swoją matkę jak wroga, zamiast widzieć w niej ewentualną współpracowniczkę. Mało brakowało, a bym się załamała i wszystko jej wyznała. Wszystko.

– Dlatego, że rysuję, mam. Ołówki nie pachną.

Zamknęłam drzwi. Oczywiście na klucz.

Prawnik wyglądał jak prawnik w gabinecie prawnika, który wyglądał jak gabinet prawnika w kancelarii prawnej, która wyglądała jak kancelaria prawna.

– Pani mąż miał ubezpieczenie na życie, które obejmuje śmierć spowodowaną wypadkiem. Po sprawdzeniu wyników autopsji i ustaleniu, że nie był pod wpływem narkotyków, że nie popełnił żadnego zaniedbania i że do wypadku doszło z przyczyn naturalnych, broker zatwierdził wypłacenie pełnej sumy ubezpieczenia. Chce pani wiedzieć, ile wynosi ta kwota?

– Półtora miliona dolarów... – powiedziałam niewzruszona. Często żartowaliśmy o możliwości nieszczęśliwego wypadku.

Kiedy prawnik zaczął mi doradzać różne sposoby zainwestowania tych pieniędzy, żeby przyniosły zysk, uprzejmie mu przerwałam. Nie chciałam spekulować tymi pieniędzmi. Nie chciałam z nich korzystać. To były brudne pieniądze, które nie zwrócą mi Chrisa. „Ale może pomogą ci go znaleźć”. Była to

krótkotrwała myśl, którą – mimo że błyskawicznie przeleciała przez peryferie mojego umysłu – chwyciłam w locie i już nigdy nie wypuściłam.

Kiedy wróciłam do domu, właśnie przywieziono fortepian. Nie, nie zapomniałam o fortepianie dla mojej przypuszczalnie wielce utalentowanej córki. W żadnym razie. Właściwie kupiłam go jeszcze w dniu pogrzebu, w kostnicy. Byłam w głównej sali, w swojej awaryjnej bańce, udając, że słucham, nie pamiętam już kogo, kiedy spojrzałam na telefon i wybiegłam do toalety. Wszyscy pomyśleli, że się wzruszyłam, widząc zdjęcie Chrisa na ekranie. Ale nie, to nie dlatego albo nie tylko dlatego. Powód był taki, iż zobaczyłam, że bateria w komórce ma tylko cztery procent energii. Zamknęłam się w toalecie. Otworzyłam wyszukiwarkę i wstukałam: „Sklepy z fortepianami zakup online”. Po dwóch sekundach pojawiły się wyniki. Jak zawsze – i tak jak większość osób – otworzyłam pierwszy link na stronie. Kolejne ogłoszenia wydały mi się zbyt pompatyczne, a oferowane fortepiany drogie. „Geniusze sprawiają, że każdy fortepian dobrze brzmi”, pomyślałam. Tak więc kupiłam fortepian cyfrowy marki Roland (kojarzyłam, że jest dobra) w eleganckim, białym kolorze. Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów. Zajął mi to niespełna cztery minuty.

I teraz ten piękny fortepian – bo naprawdę był ładny – stał w salonie, przy ścianie, na której wisiały wszystkie rodzinne zdjęcia.

– A to po co? – zapytała Olivia, obejmując Śmierdzącego Misia. Nie rozstawała się z nim od momentu, kiedy go dostała.

– Jak to po co? To fortepian, Oli. Żeby grać.

– No tak, ale dlaczego tutaj stoi?

– Jest dla ciebie. To prezent, którego kupienie zlecił tata.

Podniosłam klapę fortepianu i zdjęłam folię, która przykrywała klawisze.

– Nie chcesz nauczyć się grać na fortepianie?

Olivia podeszła. Nacisnęła jeden klawisz. Kilka razy, ale tylko jeden.

– Możesz nacisnąć więcej klawiszy – powiedziałam. – Wszystkie wydają dźwięki. I każdy brzmi inaczej.

Zagrałam całą gamę. Do, re, mi, fa, sol, la, si, do... Olivia patrzyła z dość lekceważącą ciekawością.

– To nie jest prezent od tatusia.

– Owszem, jest.

– Nie, tatuś nie dawał mi takich prezentów.

– Jak to nie? A jakie ci dawał?

– Tatuś dawał mi lepsze prezenty. Zabawne. Gdybyś to ty umarła, tatuś podarowałby mi kucyka, żeby nie było mi smutno, a nie fortepian.

Oczywiście, że nie była geniuszem, ale bystra owszem. Chciała już wyjść z salonu, kiedy wyrwałam jej z rąk pluszaka.

– Zostaw Śmierdzącego Misia, oddaj! Mamo!

Wysokim tonem, jakby należał do Śmierdzącego Misia, powiedziałam:

– *Olivio, jeśli ty nie chcesz fortepianu, to ja go sobie wezmę, bo uwielbiam fortepiany.*

– Nie mów takim głosem, bo mi się nie podoba!

Zignorowałam ją.

– *A wiesz, dlaczego lubię fortepiany? Bo kiedy gram, mogę puszczać bąki i nikt ich nie słyszy. Ha, ha, ha, ha! Mnóstwo muzycznych bąków!*

Posadziłam Śmierdzącego Misia na kolanach i spokojnie uderzałam w klawisze przednimi łapkami pluszaka.

– *Podoba ci się? To moja oryginalna kompozycja. Nosi tytuł „Melodia kupy w największym bąku”. Tańcz dla mnie, Olivio. Tańcz!*

Olivia przestała się kłócić, próbując odzyskać zabawkę. Śmiała się i tańczyła, obracając się dookoła. Dwa tygodnie po śmierci Chrisa w końcu udało mi się ją rozśmieszyć. Nie żeby przez cały ten czas się nie śmiała, ale to nie ja sprawiałam, że była wesoła. Choćby dlatego warto było dokonać tego zakupu. A poza tym miałam czterdzieści pięć dni na zwrot.



Zawsze bardzo odrzucała mnie „kospiranoiczna” Ameryka: kultura strachu, obsesja na punkcie bezpieczeństwa. Nie znosiłam tego. Wcale mi się nie podobało bycie częścią chorego społeczeństwa, które podsyca nieufność. Zawsze byłam ufnym człowiekiem (pomagało mi też otoczenie – wiedziałam o tym, nie byłam ślepa). Jednak teraz dzięki panującej manii – „uważaj, co robisz, bo cię widzę” – podążałam śladami Chrisa. A raczej śladami terenówki cadillac escalade. Trasą czerwonego mazaka.

Dzięki uprzejmości Karla, pracownika banku o wielkim sercu i z plamą na krawacie, wiedziałam, że Chris minął rzekę Wareham, jadąc dalej US-6. Przemierzyłam jego trasę w przeciwnym kierunku, aż dotarłam do pola minigolfa Sand & Surf, przy drodze na Cranberry Highway, gdzie zauważyłam kamerę monitoringu. Kamera monitoringu przy polu minigolfa? Na miejscu było kompletnie pusto.

Pracownik, Charlie (przeczytałam z jego metalowego identyfikatora), spacerował znudzony po wytartej wykładzinie z dołkami, trzymając putter gotowy do użycia niczym karabin. Miał ogoloną głowę i bliznę, która przechodziła przez całą czaszkę aż do brwi.

Historia mojego brata, którego straciłam z powodu narkotyków, tak go wzruszyła, że płakał, nie roniąc łez. Ale jak mówił, to dlatego, że kiedy roztrzaskał sobie głowę, to oprócz utraty jedenastu procent masy mózgu wysechł mu woreczek łzowy. Musiał wpuszczać sobie do oczu krople sześc – siedem razy dziennie, żeby

go nie piekły. On też wpadł w ten okropny i wyniszczający nałóg (dosłowny cytat). Głowę roztrzaskał sobie właśnie wtedy, gdy był pod wpływem kokainy podczas wyjazdu do Miami z kolegą, którego poznał przez Internet i któremu też podobały się te wszystkie zabawy z pistoletami. Nic w tym dziwnego ani pedalskiego, nie? (dosłowny cytat). Do wypadku doszło, kiedy uprawiał *balconing*, co, jak mi wyjaśnił – chociaż nie pytałam – polega na skakaniu z balkonu pokoju hotelowego do basenu. I oczywiście to mu się nie udało. Doznał nagłego zatrzymania krążenia, co trwało dwadzieścia minut, a potem przez półtora miesiąca był w śpiączce. Ale zdarzył się cud, dzięki Bogu, Panu naszemu (dosłowny cytat), obudził się i przysiągł, że już niczego nie będzie brał. Za każdym razem, gdy go kusilo, patrzył w lustro, widział bliznę, która przypominała mu o tym, jak w jednej chwili kurewskie może stać się życie z powodu tego gówna (dosłowny cytat). Inną rzeczą, która pomagała mu pokonać demony, było strzelanie do wiewiórek i ptaków w lesie. Dobra seria strzałów jest znacznie lepsza niż kreska koki, daje większego kopa (dosłowny cytat). Charlie zawsze chciał być żołnierzem piechoty morskiej, ale go odrzucili, gdyż lekko utykał.

– Widzi pani, żebym utykał? – zapytał, chodząc wkoło. Tak, oczywiście, że było widać.

– Jakie utykanie?

– No właśnie. Jakie utykanie, skoro nie utykam!

Później starał się o angaż praktycznie we wszystkich rodzajach Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych, ale z takim samym skutkiem. Następnie próbował szczęścia kolejno w policji stanowej, rejonowej, powiatowej, w straży leśnej i drogówce... Też nic. Aż skończył tutaj, nosząc putter, jedyną broń przeciwko pijakom i zartownisiom. Powiedział, że kamerę monitoringu zainstalowali po bójce podczas turnieju dla dzieci, kiedy jeden z ojców oskarżył drugiego o to, że kopnął drewnianą tablicę pokazującą limit uderzeń, i w ten sposób popchnął piłeczkę swojego syna, żeby wpadła do dołka, dzięki czemu dzieciak został mistrzem. Podczas bójki oskarżony ojciec wbił w brzuch oskarżającego chorągiewkę z dołka. Mało brakowało, a wykrwawiłby się na śmierć.

Charlie nie tylko zaoferował, że przekaże mi wszystkie nagrania z monitoringu, lecz także chciał mi pomóc w śledztwie. Skoro miałam zapuszczać się w niebezpieczne rejony, potrzebowałam ochrony, kogoś, kto będzie mnie ubezpieczał, bez obawy, że dostanie kulkę w klatkę piersiową, chroniąc mnie i małą istotę, którą w sobie noszę (dosłowny cytat).

Uprzejmie odrzuciłam jego propozycję. Kiedy już dostałam nagrania, odważyłam się poprosić go jeszcze o dwie rzeczy: żeby już na zawsze porzucił *balconing*, i jeśli zobaczy kukułkę, żeby do niej nie strzelał, ponieważ wierzę, że to jest duch mojego brata.

Charlie podniósł prawą rękę.

- Obiecuję pierwszą rzecz.
- Opuścił i znowu podniósł.
- I obiecuję drugą.



Nie wszystkie osoby, które pomagały mi nakreślić trasę czerwonego mazaka od punktu wyjścia albo od miejsca przeznaczenia Chrisa (czym to było dla niego? czym to jest dla mnie?), były tak osobliwe, tak solidne czy tak łatwe we współpracy. Niektórzy odmawiali pomocy i wcale nie wzruszała ich moja historia ani mój stan. Inni grozili nawet, że na mnie doniosą za próbę przekupstwa. Jeszcze inni mieli kamery monitoringu tylko jako element prewencyjny, czyli po prostu nie działały. Na niektórych odcinkach miałam luki, musiałam podejmować decyzje na oślep, tylko przypuszczając, że mój mąż przejeżdżał daną drogą, aby potem odkryć, że wcale tak nie było, i wracać po własnych śladach, i próbować innej trasy. Ale na szczęście (albo niestety) mieszkaliśmy w społeczności mającej obsesję na punkcie ochrony swojego terytorium. Nie zachęca ono do tego, byś się zastanowił, czy podoba ci się tu, gdzie jesteś, albo czy robisz to, co lubisz. Zachęca do tego, byś za wszelką cenę chronił to, co twoje, twoje miejsce na ziemi. Do stawiania płotów i ogrodzeń, żeby nikt nie mógł ich przeskoczyć, ale zarazem żeby uniemożliwiały przeskoczenie ich stawiającemu, który siedzi w swojej rachitycznej przestrzeni, gdzie nikt nie może mu przeszkadzać. „O kim ty mówisz, Alice? O Charliem, o Karlu, o Samie? Nie, prawda? Wiesz dobrze, o kim mówisz, wiesz, prawda?... Tak, tak, zamknij się już, kto milczy, ten się zgadza”.

Chris przejechał Buzzard's Bay („Tak, a ty dalej ze swymi mapkami i trasami. Biegnij, uciekaj”), zatrzymując się w motelu Bay Motor Inn (informacja zdobyta dzięki uprzejmości kierownika imieniem Hugo), następnie wjechał na wielkie rondo na wysokości mostu Bourne, gdzie krzyżowało się wiele głównych dróg. Przy rondzie był sklep z bronią, mający nawet strzelnicę, God³ Riffle & Gun Club. Powiązanie Boga z bronią palną – takie rzeczy spotkać można tylko w Ameryce. Czyżby to tutaj Charlie kupił swoje ukochane zabawki?

Okazało się, że właścicielka sklepu, kobieta około pięćdziesiątki, niezbyt uprzejma, miała wszystkie nagrania z ponad pięciu lat. Jej ojciec, zarazem poprzedni właściciel, cierpiał na demencję starczą i mieszkał w domu opieki. Odwiedzała go w każdy poniedziałek rano (to był jedyny dzień, kiedy klub był zamknięty) i przynosiła mu nagrania z całego tygodnia, ponieważ tylko to lubił oglądać i tylko to wrywało go z powolnej i agonicznej śmierci.

– Proszę mi powiedzieć, ile pistoletów jest pani w stanie kupić, żebym dała pani to, czego chce?

Kupiłam volgę 9 mm, pięć opakowań naboju i dziesięć dni nagrań, po czterysta dolarów za każde.

Chris zjechał na US-28 w kierunku wschodnim, przejeżdżając przez most Bourne. Jeden z dwóch mostów prowadzących na półwysep Cape Cod i z powrotem. Cape Cod? Wracał z jakiejś części Cape Cod? Chris nie cierpiał Cape Cod. Przynajmniej tak mówił. Jako dziecko i potem, już jako nastolatka, kilka razy z rodzicami spędzałam letnie wakacje w miejscowości Chatham i miałam stamtąd cudowne wspomnienia. Już później tam nie byłam, częściowo, jak mówiłam, z powodu Chrisa, bo bardzo denerwowały go miejsca, gdzie było zbyt dużo ludzi, zwłaszcza w okresie wakacyjnym. Mówił: „Człowiek wyjeżdża na urlop, żeby mieć spokój, a nie stresować się przez cały dzień, stojąc w korku, by gdziekolwiek dojechać, albo wkurzać się, nie mogąc znaleźć miejsca do zaparkowania”. Na co ja: „Mówisz o Cape Cod, jakby to było miasto czy jedyne miejsce, w którym można spędzać czas. Cape Cod to duży półwysep. Są tam setki miejsc, gdzie można się zaszyć podczas wakacji i nawet niepotrzebny jest samochód”. Ale on się upierał, że nie, że Cape Cod to park rozrywki w całym tego słowa znaczeniu. „Nie znoszę, kiedy wszyscy, jak barany, jadą w to samo miejsce, jakby na całym Wschodnim Wybrzeżu nie było cudownych miejsc, o wiele spokojniejszych i tańszych”. Przypomniało mi się, że podczas jednej z podróży służbowych, około dwóch lat temu, był w klubie sportowym w jakiejś części Cape Cod. Jednak nie doszło do żadnego porozumienia, bo przejrzałam wszystkie jego umowy i nie znalazłam żadnej dotyczącej tamtego rejonu.

Czyżby mnie okłamywał? Od razu nasunęło mi się pytanie, czy jego bezwzględne odrzucenie Cape Cod mogło być spowodowane tym, by trzymać mnie z dala od tego miejsca, od tego, co ukrywał. Nie, to niemożliwe. Chris nie cierpiał tłumów. Nie lubił wielkich miast. Musiał mieć jak najmniejszą liczbę możliwości. Żadnych samolotów. Żadnych miast z kilkoma milionami mieszkańców. Żadnych celów wakacyjnych pielgrzymek. „A poza tym miejsce, do którego można dotrzeć tylko przez most, działa mi na nerwy, nie podoba mi się. Wywołuje u mnie klaustrofobię”, powiedział mi kiedyś. A teraz był tutaj, na ekranie mojego komputera. Kierował się w stronę mostu Bourne, jadąc na Cape Cod.

Dni 19–21. Rok I p.Ch.

Posuwałam się – a raczej wlokłam – średnio dwa–trzy kilometry dziennie. Powoli. W ciszy. Samotnie. Nikomu o tym nie mówiąc. Odwoziłam Olivię do szkoły. Miałam sześć godzin. W tym czasie sprawdzałam, ile mogłam, dalej kreśląc trasę czerwonego mazaka, po czym odbierałam Olivię, trochę się z nią bawiłam, kąpałam ją, robiłam dla niej kolację, kładłam do łóżka, czytałam bajkę jej i Śmierdzącemu Misiowi, a później przeglądałam cały zebrany materiał. Dzięki tej rutynie miałam zajętą głowę i bawiłam się w chowanego – robiłam to ze smutkiem, który wszystko zalewał, z przygnębieniem wywołanym brakiem Chrisa oraz niezłomną i niszczycielską nadzieją, że w każdej chwili może pojawić się za rogiem. Czułam się źle i czułam się winna – podobnie jak wtedy, gdy przegląda się komórkę swojego męża, sprawdza jego pocztę elektroniczną albo kieszenie spodni, kiedy on bierze prysznic (czego nigdy nie robiłam). Ale jednocześnie łączyłam się z Chrisem, jakbym utrzymywała go przy życiu, ponieważ widziałam go na nagraniach, podążałam za nim. I to mi się podobało. To dobre i to złe. Cieszyłam się obiema rzeczami. Gra, tajemnica, pejzaż, smutek, prowadzenie auta, złość, postępy, samotność. Czułam, że jestem bystra. Każdego wieczoru przed snem otwierałam skrzynkę pocztową Chrisa, wchodziłam na jego profil na Facebooku, LinkedIn i pozostałych portalach społecznościowych. Jakbym była sekretarką, która zajmuje się tymi sprawami podczas jego nieobecności. Na wypadek gdyby nagle pojawiło się jakieś nowe powiadomienie, jakiś ślad. Ale nie było niczego, tylko spam albo sprawy służbowe.

Przez cały czas miałam włączony jego telefon. Wskutek wypadku ekran rozbił się na drobne kawałki, ale aparat nadal działał. Nosiłam go w torebce, mając nadzieję, że ktoś zadzwoni. Być może ktoś, kto ma związek z jego tajemnicą i za nim tęskni. Jeśli dzwonił, nigdy nie odbierałam (bez względu na to, czy był to ktoś znajomy, czy nieznajomy), lecz czekałam, aż zostawi wiadomość. Nie chciałam nikogo przepędzić ani ostrzec. Musiałam aktywować jego pocztę głosową, bo mój mąż jej nie używał. To była jego handlowa strategia, której nigdy nie rozumiałam, chociaż jak się wydawało, u niego się sprawdzała. „Mnóstwo osób dzwoni o dziwnych porach, wiedząc, że i tak nie odbierzesz, żeby zostawić ci wiadomość na poczcie. Ludziom trudno jest powiedzieć coś nie prosto w twarz”, twierdził.

W ciągu trzech tygodni od jego śmierci było dziewięć połączeń: jedno od dyrektora z departamentu sportowego Yale z informacją, że zgodzono się na wymianę kortów tenisowych (dostał ten kontrakt – wszyscy bardzo się ucieszyliśmy i zasmuciliśmy zarazem); dwa z T-Mobile’u z ofertą korzystnej umowy dla firm; trzy od różnych dostawców materiałów do jego kortów i trzy z zastrzeżonego numeru – dzwoniący nie zostawił wiadomości. Czyżby miało to jakiś związek z Chrisem i jego kłamstwem? Nie wiedziałam jeszcze, jak to

wszystko określić. Czasem nazywałam to kłamstwem, czasem sekretem, czasem tajemnicą. Być może gdybym tego nie odkryła, nie mogłabym tego skonkretyzować.

Po śmierci Chrisa jego ojciec, Christopher (mieli takie samo imię), i siostra, Tricia, zajęli się interesami, niezakończonymi sprawami, niedokończonymi pracami, zaległymi spłatami i tak dalej. „Ty masz już wystarczająco dużo zmartwień na głowie, Alice. Tym się w ogóle nie przejmuj. I możesz być spokojna, bo oczywiście wszystkie zarobione pieniądze będą dla ciebie i dziewczynek”, powiedział mi teść. Postanowili rozwiązać firmę, mimo że osiągała bardzo dobre wyniki i nie miała długów. Chcieli tylko wywiązać się z podpisanych kontraktów, a nawet zgodzili się na wymianę kortów w Yale (to miał być piękny hołd dla Chrisa). Jednak później planowali ją zamknąć. Nie było sensu trzymania jej bez Chrisa, ponieważ to Chris był firmą. Sam ją założył i nikogo nie zatrudnił, gdyż uważał, że w pojedynkę poradzi sobie ze wszystkimi sprawami i będzie czuwał na wszystkich frontach. Wszechobecny Chris/Christ. Najmował tylko ludzi do robót przy kortach. Wiedział, że kiedyś będzie musiał powiększyć firmę, ale wszystko miało być w swoim czasie. „Krok po kroku, bez pośpiechu, bez konieczności pójścia na ustępstwa, zawsze do przodu”, mawiał. Umowa z Yale miała być punktem zwrotnym, dzięki temu zleceniu wszedłby na wyższy poziom.

Tymczasem moja matka: „Córeczko, gdzie ty tak ciągle jeździsz? Stale tylko tam i z powrotem. Nie nadajesz się już, aby tak się kręcić, przecież niebawem urodzisz. Powinnaś siedzieć w domu”. A ja: „Mamo, jadę do szkoły rodzenia. Mamo, jadę do ginekolożki. Mamo, jadę na jogę. Mamo, jadę na aromaterapię i muzykoterapię, co – jak się wydaje – jest dobre dla dziecka. Mamo, jadę na basen, co – jak się wydaje – też jest dobre dla dziecka. Mamo, jadę kupić ubranka dla dziecka. Mamo, mamo, mamo...”. Ponadto prowadziłam jeszcze ze sobą wewnętrzną walkę – to była specjalność zakładu. Z jednej strony: „Alice, nie spełniasz swoich obowiązków wobec dziecka. Alice, powinnaś robić wszystko to, co mówisz, że robisz. Alice, nie przygotowujesz się jak należy do porodu...”. I z drugiej: „A może tak, może spełniam swoje obowiązki. Robię to, co powinnam, porządkuję zaległe sprawy. Bo chcę, żeby po urodzeniu się Ruby wszystko było posprzątane, uporządkowane, na swoim miejscu. Czyste”. Była to walka z samą sobą, którą zawsze przegrywałam.



Znalazłszy się na Cape Cod, Chris kontynuował jazdę US-28, aż zjechał na US-151, a następnie na Falmouth Road na wysokości Mashpee – cały czas w kierunku wschodnim.

W ten sposób dotarłam do małego lotniska w Barnstable, na wysokości Hyannis, gdzie krzyżowało się wiele dróg i gdzie znajdowało się Airport Shopping

Center (niech Bóg błogosławi Amerykę za postawienie centrum handlowego przy każdym rondzie w kraju). Wśród sklepów usytuowanych wzdłuż US-28 (z kamerami monitoringu nadzorującymi ruch uliczny) znajdowały się warsztat samochodowy, sklep z częściami zamiennymi World Tech Auto Center, centrum urody Salon Centric, sklep z dywanami i wykładzinami Kent's Carpetland oraz sklep detektywistyczny Night Eyes.

Miałam coraz większe doświadczenie i wiedziałam już, że nie było sensu próbować szczęścia w sieciówkach, bo w większości z nich obowiązuje restrykcyjna polityka bezpieczeństwa i prywatności i każda prośba taka jak moja musi być skonsultowana z kimś „z góry”. Tak więc chodziłam tam, gdzie decyzje zależały tylko od jednej osoby, z którą mogłam bezpośrednio negocjować. Mój instynkt już wystarczająco się wyostrzył, żeby nie zastanawiać się w nieskończoność, gdzie wejść i jaką strategię zastosować. „I co teraz”, pomyślałam, gdy odesłano mnie z kwitkiem ze wszystkich lokali w centrum handlowym i pozostało mi tylko spróbować szczęścia w sklepie detektywistycznym. Nigdy nie miałam tak złej passy. Człowiek w warsztacie samochodowym World Tech (pierwsze miejsce, do którego się udałam) najpierw robił mi trudności, kwestionując legalność mojej dziwnej prośby, a potem zażyczył sobie horrendalnej sumy za nagrania. Postanowiłam odrzucić jego propozycję. Nie chodziło tylko o pieniądze. Byłam silna. Uważałam, że jestem bardzo bystra, doskonale przygotowana i przekonana, że uda mi się zdobyć nagrania o wiele taniej. Jakbym za każdym razem sama sobie ustawiała poprzeczkę coraz wyżej. Jakbym pokonywała kolejne poziomy i szukała nowych wyzwań. „Nie, Alice, to nie jest kwestia wyłożenia kasy na stół. Nie, możesz to osiągnąć dzięki własnym argumentom, własnym historyjkom. Możesz nakłonić ich do pomocy swoim uśmiechem i swoim wielkim brzuchem”.

Night Eyes był małym i zaniedbanym lokalem, chociaż napis na szyldzie głosił: Supersklep Ochroniarski i Elektroniczny. I jakby tego było mało, w środku leciała przez głośnik zapętlona ścieżka dźwiękowa z *Różowej Pantery*.

Sklep był pusty. Za ladą siedział mężczyzna w średnim wieku, jedząc pomarańczę i oglądając coś na małym telewizorku, jednym z tych, które wydaje się, że już nie istnieją.

– Cześć, blondyneczka, co mogę pomóc? – zapytał z wyraźnym akcentem, jednak nie byłam w stanie domyślić się jego pochodzenia. Może Rosjanin? Czyżby to były agent KGB, który po zimnej wojnie postanowił urządzić sobie tutaj sklepik detektywistyczny, na tej już nie tak wrogiej ziemi?

„Może jemu trudniej będzie wcisnąć kłamstwo”, pomyślałam, zważywszy, że zajmuje się sprzedażą gadżetów mających na celu wykrywanie kłamców. „Sprzedać mu bajeczkę o bracie narkomanie czy lepiej od razu przejść do rzeczy?” Brakowało mi pewności po ostatnich porażkach. Dostrzegł, że zeszywniałam.

Widział, że się waham.

– Możesz otwarcie powiedzieć problem. Wszystko powiesz tutaj poufne. Jestem ksiądz na spowiedzi. Amen.

– Tak więc... Chodzi o to, że mój brat...

– Miał wypadek samochodowy, prawda? – przerwał mi. – Zginął, prowadząc, przedawkowanie narkotyków.

Popatrzyłam na niego, nie mogąc uwierzyć. Czyżbym w swoim szaleństwie już tutaj była? Nie zapomniałabym przecież jego akcentu ani miłego, aczkolwiek osobliwego sposobu mówienia.

– Dzwonił do mnie Eddie z warsztat samochodowy koniec centrum handlowego – wyjaśnił. – Powiedział: uważaj, szalona ciężarna chce zdobyć nagrania kamery monitoringu. Ostrzegam wszystkie sklepy w pobliżu. Nic nie dawaj. Nie jest legalne. Nielegalne. Nie dawaj. Uważaj, ciężarna lisica.

Miałam ochotę czym prędzej stamtąd uciec. „Alice, daj już spokój, robisz z siebie pośmiewisko. Skończysz w więzieniu za bycie idiotką”.

– I ta historia z brat? Bardzo słaba – stwierdził. – Niedawno był film. Ja oglądałam dużo telewizji, żeby poprawić angielski. Jest lepiej, coraz lepiej. Na początku, jak przyjechać, mówić tylko: „dzień dobry”, „do widzenia” i „spierdalaj, cioto”.

Odwróciłam się już, zamierzając wyjść. Czułam się jak dziewczynka, która zsiadała się w szkole w obecności całej klasy. „Odeszły mi wody?”, przemknęło mi przez myśl i nawet popatrzyłam w dół, żeby się upewnić, czy to prawda. Uczucie było tak namacalne, że wydawało się prawdziwe.

– Czekaj, nie odchodzić. Żartuję z ciebie. Eddie dupek, nie lubię go, bo nigdy nie obniża, kiedy prowadzę samochód naprawić. Na pewno dzwoni do mnie i do wszystkich, żeby ty wrócić potem do niego i wyciągnąć więcej pieniędzy od ciebie.

– Zaproponowałam mu sporą sumę. – To było moje pierwsze składne zdanie, odkąd tu weszłam. – Mam pieniądze. – „Ile pieniędzy chcesz ja zapłacić tobie?”, chciałam zapytać w jego języku, żeby mnie zrozumiał i zgodził się dać mi nagrania, i żebym mogła się wynieść.

– Dlaczego nie przyjść najpierw do mnie? Chce informacji. Poufne. Tajemnica. To sklep detektywistyczny. Jasne jak słońce. Rozczarowany trochę. Dlaczego nie ufa mi? Poza tym tutaj nie pytać. Tutaj tylko rozwiązania znajdować.

Przypominał mi Yodę z *Gwiezdnych wojen*. Ale nie, nie pochodził z odległej galaktyki ani nie był byłym rosyjskim agentem KGB. Był Hiszpanem. Z Malagi. Miał na imię Antonio, jak Antonio Banderas, też z Malagi, doprecyzował. Pomarańcza, którą jadł, była z Walencji, bo według niego pomarańcze z Florydy i Kalifornii były „kawałkiem gówna porównać z hiszpańskimi”. Kryzys sprawił, że wyemigrował z kraju w poszukiwaniu ziemi obiecanej. Kryzys oraz to, że tydzień

po tym, gdy został zwolniony z firmy ochroniarskiej, jego żona zaczęła romansować z jego szefem. Minęło dużo czasu, zanim to odkrył. A potem pomyślał: „Oby ktoś pomógł mi, jak ja pomagam teraz ludziem”. Wtedy wpadł na pomysł otwarcia sklepu detektywistycznego. „W Hiszpanii też bardzo dobrzy detektywi i dużo chorizo. Detektywi to złodzieje informacja. A o to bardzo łatwo w Hiszpanii. Gdy coś można ukraść, kradnij. Gdy nikt nie patrzy, weź sobie, nawet jeśli nie potrzebujesz. To się nazywa hiszpański margines”. Nie opowiedział mi tego wszystkiego podczas tamtego pierwszego spotkania. To jest bardzo krótkie streszczenie wszystkich historii, którymi podzielił się ze mną w czasie wielu kolejnych wizyt.

Polubiłam Antonia. Być może dlatego, że miałam kiedyś chłopaka z Hiszpanii. Nazywał się Diego. Kiedy studiowałam na Uniwersytecie Browna, na sześć miesięcy pojechałam na studia do Madrytu (po raz pierwszy wyjechałam z kraju). Tam go poznałam. Akurat przechodziłam kryzys z Chrisem (tak, jasne, że mieliśmy kryzys) ze względu na oczywiste wątpliwości spowodowane dzielącym nas dystansem, ponieważ studiowaliśmy na znacznie oddalonych od siebie uczelniach, ze względu na to, że całe życie byliśmy razem i nie mieliśmy innych partnerów, ze względu na nowe doświadczenia, ze względu na jego ochotę, by przeżyć coś innego (flirtować z innymi dziewczynami) i ze względu na moją ochotę, by odkrywać świat (zakochiwać się w innych chłopakach). Diego to słodki epizod w moim życiu. Był adiunktem Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Complutense w Madrycie, malarzem (też) i rzeźbiarzem. Wrażliwy, zabawny, bardzo dobrze tańczył (w przeciwieństwie do Amerykanów) i uwielbiałam jego dłonie (to, jak mnie dotykał) oraz jego łydki (na to zwracałam uwagę). To było sześć miesięcy bardzo... wyjątkowych. Sześć miesięcy, w czasie których przeżyłam coś, czego nie doświadczyłam nigdy wcześniej ani później. Przy nim czułam się artystką. To było tak, jakbym wyszła z siebie, z mojego świata, i udawała inną osobę. „Udawała? Inną osobę? Może to właśnie tą osobą tak naprawdę zawsze chciałaś być, ale zabrakło ci odwagi?” Diego miał siostrę, którą uwielbiałam. Miała na imię Olivia. Nigdy nie mówiłam Chrisowi o Diegu. Uzgodniliśmy, że to, co wydarzyło się w tamtym okresie, wydarzyło się i już, jedno drugiemu nie musiało się tłumaczyć.

– A więc, blondyneczka, co mogę pomóc? Strzelaj.

Właśnie w tej chwili wszedł Eddie, ten ze sklepu z częściami zamiennymi do samochodów World Tech. Był bardzo zły. Sądził, że Antonio ze mną negocjuje, żeby wyciągnąć ode mnie więcej pieniędzy za nagrania. „Pieprzeni Hiszpanie, przyjeżdżacie tutaj, żeby zabierać nam naszą pracę i nasze pieniądze. Wracajcie do Meksyku, sukinsyny!”

– Za tysiąc dolarów dam ci to, czego potrzebujesz – powiedział mi Eddie.

Zanim mogłam powiedzieć tak albo nie (chciałam powiedzieć tak), ubiegł

mnie Antonio.

– Siedemset, blondyneczka, i wszystko twoje.

– Pięćset – odpowiedział Eddie. Licytacja jak się patrzy.

– Trzysta dolarów – zaoferował Antonio.

– Nie bądź skurwysynem! – wykrzyknął. – Niech da nam tysiąc i podzielimy się po połowie.

Antonio go zignorował. Popatrzył na mnie i puścił oko.

– Sto dolarów, blondyneczka.

– Doniosę na was policji! To nielegalne! – zagroził nam Eddie. Ale Antonio, bynajmniej niezastraszony, skontrował:

– Jasne, Eddie. Jak chcesz, przyjedzie policja. Potem ty wyjaśnić te samochody, przyjeżdżają w nocy i nie opuszczają warsztatu. W sumie opuszczają, ale w częściach, sprzedawać nielegalnie. Wyjaśnij to policji, dupku.

Nagle nawet jego angielski się poprawił. Eddie zbladł.

– Myślisz, że urodziłem się wczoraj? Idź i wsadź sobie w dupę ukradzioną rurę wydechową.

Eddie wyszedł, wypowiadając wszelkiego rodzaju groźby, które Antonio zignorował, spokojnie kończąc swoją pomarańczę.

– A tak w ogóle, jak nazywasz, blondyneczka? – zapytał, kiedy zostaliśmy sami.

– Grace. – Mściwa Angela oficjalnie przeszła do lepszego życia.

– Ach, tego, miło mi, Grace. Jak Grace, księżna Monako. Też blondyneczka.

– Nie jestem blondynką, jestem ruda.

Zignorował mój komentarz.

– Naprawdę chciałaś zapłacić Eddie tysiąc dolarów?

– Tak. Jeśli chcesz, tobie zapłacę więcej.

– Nie, więcej nie. Tyle wystarczy. Tysiąc dolarów wystarczy, blondyneczka.

– Uścisnął moją rękę. – Ach, i jestem daltonistą. Ty dla mnie zawsze blondyneczka.

Uśmiechnęłam się i odwzajemniłam uścisk. Na dłoni pozostał mi zapach pomarańczy z Walencji. Aromat, który przypomniiał mi Hiszpanię i Diega. „Teraz, kiedy jesteś wdową, mogłabyś go odnaleźć”, pomyślałam i poczułam się bardzo brudna.

Po powrocie do samochodu, z nagraniami na pendrivie, postanowiłam dać sobie spokój z historyjkami i wrócić do taktyki z bezpośrednim oferowaniem pieniędzy i kropka. Czy przypadkiem nie byłam milionerką? Czy przypadkiem nie czułam, że te pieniądze są brudne? A więc trzeba wydać je bez mrugnięcia okiem. Niech idą w cholerę. Te pieniądze przez cały czas przypominały mi o tym, co się wydarzyło, a zatem im szybciej znikną, tym szybciej skończę z żałobą, a przede wszystkim szybciej rozwiążę tajemnicę/sekret/kłamstwo Chrisa. W każdym razie

wracając do domu, wstąpiłam do oddziału swojego banku i otworzyłam konto na Olivię. Wpłaciłam trzysta tysięcy dolarów do podziału z jej siostrą. Jedną sprawą to roztrwonienie mojej małej i brudnej fortuny, a drugą to pozbawienie moich córek szansy pójścia na studia.

Dni 22–30. Rok I p.Ch.

Chris nie przejeżdżał US-28 koło Airport Shopping Center. Sprawdziłam dwa razy. To oznaczało, że skierował się w stronę Hyannis. Sprawdziłam jeszcze raz. Może wyjeżdżał stamtąd? Może stamtąd jechał? Może to ta licząca czternaście i pół tysiąca mieszkańców miejscowość, uważana za „stolicę Cape” (według Wikipedii), była początkiem albo końcem, w zależności od punktu widzenia, trasy Chrisa? Sprawdziłam czwarty raz. Pamiętałam jak przez mgłę, że byłam tam jako dziecko, ale nie wiedziałam, z jakiego powodu. Być może po prostu na jednej z wielu wycieczek podczas wakacji w Chatham.

Tego wieczoru zadzwoniłam do ojca.

– Tata?

– Słucham, dziecko.

– Czy kiedy spędzaliśmy wakacje w Chatham, byliśmy w Hyannis?

– Tak, dwa razy. Ale tylko przejazdem.

– Jak to tylko przejazdem?

– Z Hyannis odpływają promy na Martha’s Vineyard i na Nantucket. Nie pamiętasz, jak popłynęliśmy na Martha’s Vineyard? To jest wyspa, na której kręcono *Szczęki*. Tamtego lata nie było sposobu, żebyś weszła do wody. Byłaś bardzo mała.

– To prawda, już sobie przypominałam... – odrzekłam z uśmiechem. – A Nantucket? Oprócz tego, że to piękna wyspa, kojarzy mi się z czymś innym, ale nie mogę sobie przypomnieć z czym.

– Może z opowieściami, którymi cię zanudzałem, o tym, że Nantucket to port wielorybiczny i że to stamtąd Ismael wypływał na pokładzie Pequoda pod rozkazami kapitana Ahaba.

Moby Dick to ulubiona powieść mojego ojca.

– No tak, jasne. Kiedy byłam mała, często czytałeś mi tę książkę.

Nantucket. Wieloryby. *Moby Dick*. Czy Chris był *Moby Dickiem*, a ja kapitanem Ahabem? Jak skończył się *Moby Dick*? Kto wygrał? Czy złowił wieloryba? Czy kapitan Ahab skończył jako szaleniec, próbując osiągnąć to, co niemożliwe? Nie pamiętałam, ale coś mi mówiło, że skończył źle, bardzo źle. To był znak. „Zostaw to, Alice. Łowienie wielorybów nie jest już legalne. To gatunek objęty ochroną. Ochroną. Ochrona. Chroń się, Alice. Jesteś gatunkiem objętym ochroną. Niestabilnym i kruchym”.

– Słuchaj, tato, masz egzemplarz *Moby Dicka*?

– Pewnie. Pierwsze wydanie z tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego roku.

– Pożyczyłbyś mi?

– Po co?

– Żeby przeczytać.

– Dziecko, został wyceniony na trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Nie wiem, czy to dobry pomysł, by miętosić książkę za trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Ale zapisałem ci ją w testamencie. Kiedy umrę, będziesz z nią mogła zrobić, co zechcesz.

Następnego dnia ojciec przyszedł do mnie z egzemplarzem *Moby Dicka* w twardej okładce. Zdziwiło mnie to, bo powiedziałam mu, że kupię sobie wersję elektroniczną. Ale on nie lubił za bardzo tego, co cyfrowe.

– Dotyk papieru spowoduje, że będziesz bliżej bohaterów. Przewracanie stron sprawi, że poczujesz morską bryzę, płynąc na pokładzie Pequoda.

– Bardzo dziękuję, tato. – Otworzyłam książkę i ją przejrzałam. – O czym jest ta powieść? Nie mam na myśli akcji, ale przekaz.

– No więc... – Zastanawiał się przez chwilę, szukając odpowiednich słów. – O konieczności stawiania czoła złu. Tworzeniu demonów i podążaniu za nimi aż do szaleństwa, głównie po to, żeby nie zajmować się tymi, które mieszkają w nas.

– Tak... – Staralam się, żeby w moim głosie nie dało się wyczuć kuli ogniowej, którą czułam w głowie. – Ale powiedz, tato, książka kończy się źle, prawda?

– Nie, dziecko, kończy się tak, jak powinna się skończyć.

Dał mi buziaka i wyszedł. Mój ojciec nigdy nie chce przeszkadzać ani przerywać nikomu w czymkolwiek. Bierze się to stąd, że nie chce też, żeby jemu przeszkadzano w dyskretnym płynięciu przez życie czy przerywano mu to płynięcie. Poza tym nigdy mnie nie pyta, jak się czuję, bo tym zajmuje się już matka, dopytując o to tysiąc razy dziennie. Mój ojciec mnie czyta, wacha z dystansu. Patrzy na mnie i już wie, bez zadawania pytań. Miłość mojego ojca jest cicha. Jest jak koc, którym okrywasz się wieczorami na sofie, oglądając telewizję. Nie żeby było ci zimno, po prostu dzięki temu czujesz się przytulnie, czujesz się chroniona, jest ci dobrze.

Miałam ochotę go zapytać, czy to ja jestem kapitanem Ahabem albo białym wielorybem. Katem albo ofiarą. Ścigającym albo ściganym. Chociaż później, kiedy zaczęłam czytać powieść, zauważyłam, że obie postaci przyjmowały różne role. Czy to miało być moje nieuchronne przeznaczenie?

– Gdzie jedziemy, mamusiu?

Olivia siedziała w swoim foteliku na tylnym siedzeniu jeepa cherokee. Wpatrywała się w mapę z trasą czerwonego mazaka. W tym momencie uświadomiłam sobie, że wokół panuje bałagan. Puste butelki po wodzie, styropianowe pojemniki ze wszystkich miejsc, gdzie się zatrzymywałam, żeby kupić jedzenie (zawsze jadłam w samochodzie, jak Karl, pracownik banku). Pojemniki, których nie wyrzuciłam, gdyż chciałam je zrecyklingować, jak Pan Bóg przykazał. Puszki po napojach, papierowe kubki, mazaki, notatniki, płyty z muzyką

i mandaty. Wystawili mi ich kilka i za każdym razem, kiedy zatrzymywała mnie policja, pierwsze, co mi przychodziło do głowy, to, że mnie właśnie złapali, że mnie aresztują i że skończę w więzieniu, oskarżona o popełnienie przestępstwa przeciwko prywatności Chrisa.

Było popołudnie. Mogłam zostawić Olivię z moją matką, ale nie chciałam jeszcze bardziej aktywować jej maszyny do zadawania pytań. Tak więc zrobiłam jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy: zabrałam córkę ze sobą.

– Co robimy, mamusiu, gdzie jedziemy? Co to jest?

– Zostaw to, kochanie.

– Wygląda jak mapa skarbów. Szukamy skarbów?

– Tak, Oli – powiedziałam, odbierając jej mapę.

– A jakich skarbów?

– Nie wiem. Dopóki ich nie znajdziemy, nie będziemy wiedzieć.

– A czyje to skarby? Tatuś nam je zostawił?

– Tak, mniej więcej.

– A spotkamy piratów?

– Mam nadzieję, że nie.

– A czy tatusia zabił jakiś pirat, mamusiu?

Chyba jednak powinnam była zostawić ją ze swoją matką.

Dzień 23. Chris wjechał do Hyannis (albo wyjechał) przez Barnstable Road. (Dzięki uprzejmości proboszcza Kościoła Nowoapostolskiego. Darowizna w wysokości stu dolarów).

Dzień 24. Błądzenie po omacku.

Dzień 25. Urodziny Betty, matki Chrisa. Sześćdziesiąte piąte. Moja matka: „Nie może nas tam zabraknąć, dziecko, trzeba utrzymywać z nimi dobre relacje. Bardzo nas kochają. A my ich, naturalnie. Wiem, że to będzie smutny dzień, ale to ważne, byśmy byli wszyscy razem, byśmy spędzili ten dzień wspólnie, w ogrodzie, przy grillu. To jest ważne, nie uważasz, Alice?”

Olivia źle się poczuła na urodzinach. Upał (a uparła się, żeby się przebrać za księżniczkę), zabawy, jedzenie, ekscytacja, bieganie, lody i inne smakołyki. Niestrawność. Udar słoneczny. Wymioty. Gorączka. I oczywiście trochę (albo i dużo) smutku/zdumienia, bo atmosfera była normalna, ale tylko pozornie. Nieobecność Chrisa sprawiła, że zużył się prawie cały tlen.

Dzień 26. Chris przeciął Main Street i dalej pojechał Ocean Street. (Dzięki uprzejmości właściciela lombardu Yankee Peddler. Pięćset dolarów i zakup dziecięcego, ilustrowanego wydania *Wyspy skarbów*, z myszami w rolach głównych, które natychmiast stało się ulubioną książką Olivii).

Dzień 27. Chris jechał Ocean Street i dotarł do portu, dzielonego przez różne kompanie promowe. (Dzięki uprzejmości barmana Black Cat Tavern. Czteryście dolarów). I skręcając w lewo, w Ocean Street, dojechał na miejsce, które wyglądało

na parking. (Dzięki uprzejmości kierownika Hyannis Harbor Hotel. Tysiąc dolarów. Zapłaciłam tak wygórowaną kwotę nie dlatego, że miałam przecucie, iż zbliżam się do końca – albo początku – i w związku z tym była to cenniejsza informacja, ale dlatego, że strasznie się denerwowałam i nie byłam w stanie się targować).

Dzień 28. Zatrzymałam samochód w tym samym miejscu, w którym skręcił Chris, tam, gdzie straciłam go z oczu. Był tu wjazd na parking terminalu jednego z promów. Często skurcz. Przystań promu na Robin Island. Robin Island? Nigdy w życiu nie słyszałam o Robin Island. Miałam trudności z oddychaniem. Po osiemnastu dniach dotarłam do punktu, z którego nie ma odwrotu. Od rzeki Weweantic na wysokości US-6 do terminala promowego na Robin Island. Sześćdziesiąt i pół kilometra. Czyżby tutaj miała się skończyć trasa czerwonego mazaka? Kiedy wysiadłam z terenówki, trzęsły mi się nogi. „Zostań na chwilę w samochodzie, kochanie”, poprosiłam Olivię drżącym głosem. „Och, nigdy nie pozwalasz mi wysiąść, co za nudy, ja też chcę szukać skarbów”, skarżyła się Olivia.

Podeszłam do pracownika, który nadzorował wjeżdżające na prom samochody.

– Przepraszam, czy ten prom płynie na Robin Island?

– Tak, proszę pani, dlatego nazywa się Robin Island Ferry. Tacy jesteśmy tu oryginalni – odpowiedział bez złośliwości.

– I płynie tylko na Robin Island?

– Tak, proszę pani, tylko na Robin Island.

– A czy z wyspy można popłynąć w inne miejsce?

– Tak, proszę pani, z wyspy można popłynąć na Nantucket i na Martha's Vineyard, ale tylko w miesiącach letnich. Jest to jednak trochę bezsensowne, bo tam, naprzeciwko, są terminale bezpośrednich promów na Nantucket i Martha's Vineyard, bardziej nowoczesnych i o wiele szybszych. Jest nawet ekspres. Tak więc, jeśli chce się pani dostać na Nantucket albo Martha's Vineyard, to nie ma sensu płynąć przez Robin Island. Rozumie pani?

Jako że nie odpowiedziałam, mężczyzna spojrzał na mój samochód i na Olivię, która nie posłuchała mnie i wysiadła.

– Jedno auto i dwie osoby? – zapytał.

– Wsiądziemy na statek piratów?

– Olivia, wsiadaj do samochodu.

– Tam i z powrotem?

– Chcę na statek piratów.

– Czterdzieści pięć dolarów. Policzę tylko za jedną osobę, dziewczynkę zapraszam.

– Płyniemy na wyspę skarbów!

Gasłam. Myślałam, że zemdleję. Euforia – jaką wydawało mi się, że czuję z powodu mojego odkrycia – była jednak początkiem ataku paniki. Myślałam, że najszybszą drogą ucieczki będzie zapłacenie – i tak też zrobiłam – starając się ukryć drżenie rąk.

– Proszę wjechać na pas numer jeden. – Pokazał mi miejsce, gdzie czekały już dwa auta.

Wsiadłam z Olivią do samochodu. Odpaliłam i cofnęłam. Mało brakowało, a uszkodziłabym zbliżające się auto. Kierowca słusznie na mnie zatrafił. Nie przeprosiłam, tylko jak najszybciej stamtąd wyjechałam. W lusterku wstecznym zobaczyłam jeszcze pracownika wymachującego rękami i mówiącego coś w rodzaju: „Gdzie jedziesz, kobieto?!”, podczas gdy Olivia utyskiwała:

– Ale, mamusiu, ja chcę płynąć na wyspę skarbów!

Pomimo mdłości dotarłam do domu. Nie zatrzymałam się. To, że nie straciłam przytomności i tam nie upadłam, spowodowane było zwierzęcym instynktem, nakazującym mi chronienie mojej córki. Moich dwóch córek. Inną rzeczą, która nie pozwoliła mi ulec panice, była złość. Byłam wściekła na samą siebie. „Dlaczego musiałaś to wszystko robić? Jaki to ma sens? Czego ty chcesz, zrujnować sobie życie? Zniszczyć siebie? Po co wyruszyłaś w tę podróż? Dokąd chcesz dotrzeć? A teraz żałujesz. Teraz zaczynasz się bać. Aj, biedna ciężarna wdowa. Ale nie ma już odwrotu. Otworzyłaś drzwi, przez które musisz przejść. Teraz się wkurzasz i szamoczesz. Bo udajesz bystrą”.

Weszłyśmy do domu. Olivia zapytała, czy może pooglądać telewizję (nie pozwalałam, by robiła to w sposób bezmyślny). Zgodziłam się. Poszłam na górę i zwymiotowałam w łazience. Kiedy człowiek zwymiotuje, jakkolwiek jest to nieprzyjemne, potem zawsze czuje pewną ulgę. Jednak w tym przypadku nie poczułam jej. Moja konstrukcja zbudowana z emocji zawaliła się, ale wciąż jeszcze we mnie tkwiła. Miałam w środku Moby Dicka, walczącego o swoje życie albo usiłującego zakończyć moje.

Przy kasie terminala promowego była kamera monitoringu. Zobaczyłam ją, gdy tylko przyjechałam tam pierwszy raz. Miałam już dość dobrze rozwiniętą w tym kierunku intuicję. Pilnowała parkingu i wejścia na prom. Dlaczego nie próbowałam zdobyć nagrań? Pracownik wyglądał na sympatycznego i ewidentnie mnie polubił. Na pewno doszłabym z nim do porozumienia, a jeśli nie z nim, to z kimkolwiek, kto pracuje w budynku terminala.

Dlaczego tego nie zrobiłam? Co mi się stało? Zlokalizowałam kryjówkę Chrisa i nagle uciekłam przerażona. Ale oprócz strachu było coś jeszcze. Byłam tak blisko, że każdy fałszywy ruch mógłby przestraszyć zdobywcę. Potrzebna była ostrożność. Nie mogłam nikomu dać łapówki, żeby zdobyć nagrania z kamery monitoringu, gdyż to zaalarmowałoby wszystkich na wyspie. Nie mogłam wejść i pozostać niezauważona. Nie mogłam też podejść do tego pracownika ze zdjęciem

Chrisa i zapytać, czy go zna, czy widział go wcześniej. Mógł być nawet jego kolegą. Jeśli mój mąż często przepływał tym promem, z pewnością ciepło się witali. Chris był bardzo miły. Emanował charyzmą i serdecznością. Te argumenty mogły być jednak tylko wymówką, żeby nie rozwiązywać tajemnicy/sekretu/kłamstwa. A z pewnością byłam ogromnie przestraszona. Ale... „Dobra, wyobraź sobie, że pokazuję zdjęcie temu pracownikowi i on mówi, że tak, że Chris bardzo często przepływał na wyspę, że doskonale go pamięta, bo ma znakomitą pamięć do twarzy. Ale wtedy się zdradzę. To może pogrzebać tajemnicę/sekret/kłamstwo, a przynajmniej motywy. Bo nie chodzi o to, żeby odkryć, czy przepływał, czy nie przepływał na wyspę, chodzi o to, żeby odkryć, co tam robił. Pracownik mógłby kogoś powiadomić, mówiąc coś w rodzaju: »Uwaga, jakaś ciężarna wypytuje o Chrisa, uważajcie na nią«. Nie, nie mogę pytać ani próbować zdobyć nagrań z kamery monitoringu... Dobrze, tak, wszystko pięknie, ale robisz pod siebie ze strachu”.

A poza tym może Chris wcale nie pływał na wyspę. Może po prostu zostawiał escaladę na parkingu. Był to parking publiczny, darmowy, bez kontroli i czynny przez całą dobę.

Dzień 29. Właściciel warsztatu samochodowego zadzwonił do mnie już któryś raz z rzędu, narzekając, że nie może dłużej garażować terenówki Chrisa, i chociaż mówiłam mu, żeby inkasował tyle, ile uzna za konieczne, upierał się, że to nie jest kwestia pieniędzy, ale wolnego miejsca.

Tak więc pojechałam. Przed oddaniem auta do kasacji chciałam jeszcze raz je przeszukać. Miałam przecucie, że mogę tam znaleźć jakiś ślad. Chociaż w rzeczywistości takie wrażenie ogarniało mnie, gdziekolwiek bym teraz spojrzała czy którądykolwiek bym przejeżdżała. W czasie przeszukiwania samochodu właściciel warsztatu ciągnął swoją wnerwiającą gadkę.

– Pani Williams, proszę to zrozumieć, terenówka nie może być naprawiona, jest w fatalnym stanie. Rozumiem pani sytuację, naprawdę rozumiem...

W tym momencie przestałam go słuchać, gdyż opuściłam osłonę przeciwsłoneczną od strony kierowcy (poprzednio już tam patrzyłam) i pod plastikowym jęczyzkiem (gdzie poprzednio nie zaglądałam) znalazłam dwa klucze przyczepione do zwykłego kółka. Jeden klucz był do samochodu, na środku miał przycisk do otwierania i zamykania zamków. I napis: Ford. Drugi klucz był malutki, marki Master, od kłódki albo zamka w rodzaju szafki, skrzynki lub czegoś podobnego. Dwa klucze, jedno kółko. Ford? Czy Chris miał forda? Czy ten klucz był amuletem, relikwią, którą przechowywał po swoim pierwszym samochodzie? Ale nie przypominałam sobie, by kiedykolwiek miał forda. Ani on, ani jego rodzina. Swoją pierwszą samochód odziedziczył po dziadku, to był stary gran sport skylark marki Buick, w którym dochodziło do naszych pierwszych zbliżeń. A ten drugi, malutki klucz? Czy w domu trzymał coś pod kluczem? Z tego, co wiem, nie.

Chodził na siłownię albo do jakiegoś klubu, gdzie miałby swoją szafkę? Z tego, co wiem, nie.

– A poza tym, z całym szacunkiem, pani Williams, nie sądzę, by było dla pani dobre, żeby...

Przerwałam mu.

– Proszę się go pozbyć.

Przed powrotem do domu złożyłam (interesowną) wizytę rodzicom Chrisa. Zanim zadzwoniłam do drzwi, podeszłam do garażu i nacisnęłam na kluczu włącznik zamka centralnego, mając nadzieję, że któryś z samochodów zareaguje. Nic. Po wypiciu kawy z Christopherem i Betty oraz pytaniu (naturalnie) o ich samopoczucie poszłam na górę do pokoju Chrisa. Nic w nim nie zmieniono od czasu, gdy był nastolatkiem, łącznie z plakatami z wizerunkami idoli tenisowych na ścianach, Agassiego, Samprasa, McEnroe'a i Changa; plakatami muzycznymi, z Guns N' Roses i AC/DC, oraz filmowymi, z podobizną Bruce'a Willisa i z filmu *Szklana pułapka*. Półki pełne były jego tenisowych trofeów, a na tablicy korkowej wisiły zdjęcia z kolegami ze szkoły oraz ze mną z balu maturalnego. Teraz było to mauzoleum *in memoriam*. Kiedy się tam zamknęłam, jego rodzice myśleli, że potrzebuję trochę czasu na pobycie sam na sam z Chrisem. Być może była to prawda, nawet płakałam, przeglądając jego rzeczy. Nie znalazłam jednak ani śladu forda. Ani nic, co mogłabym otworzyć drugim kluczem. Żaden z kluczy do niczego się tu nie nadawał.

Po powrocie do domu, przejrzawszy po raz dwudziesty dziewiąty każdy kąt w poszukiwaniu zamka, do którego mógłby pasować mały kluczyk, który nazwałam Kluczem Master, wyczerpana padłam na łóżko i z obydwoma w garści zasnęłam. Nie w sposób świadomy – po prostu padłam, wycieńczona po dwóch godzinach patrzenia na te klucze w łóżku, rozmyślań i starań, by dopasować te elementy puzzli. Drzemka przyniosła efekt, bo gdy obudziłam się o wpół do siódmej rano – bardzo chciało mi się siku – byłam zdeterminowana i miałam wystarczająco dużo energii, żeby wrócić na terminal promowy. Te połączone klucze dodawały mi odwagi niczym magiczne pióro Dumbo. Tyle że pióro Dumbo tak naprawdę niczemu nie służyło. Klucze i owszem. Przynajmniej jeden, na razie.

Dzień 30. Była to szara furgonetka ford ranger typu pick-up. Stała na parkingu terminala promowego. Kiedy przyjechałam, było tam zaparkowanych siedem aut, dwa marki Ford. Taurus i furgonetka. Najpierw podeszłam do taurusa. Nie otworzył się. Kiedy dyskretnie zbliżałam się do furgonetki, udając, że rozmawiam przez telefon, przemknęło mi przez myśl, że intuicja mnie zawiodła. Samochód był szary, a tego koloru Chris nie cierpiał, i dość stary, musiał mieć co najmniej piętnaście lat. Ponadto był niesamowicie brudny, a Chris bardzo dbał o auta. Nie, to nie mógł być ten.

A jednak. To był ten. Znowu poczułam nieodpartą chęć, by uciekać. Nie

wsiadłam do niego od razu. Przeszłam wzdłuż tego auta, patrząc kątem oka dookoła, aby się upewnić, że nikt mnie nie widzi. Ale stało ono na tyłach terminala, w bardziej dyskretnej i mniej uczęszczanej części parkingu.

Furgonetka była praktycznie pusta. Dwie szmatki, butelka wody, pusty kubek po kawie z Dunkin' Donuts i dziecięcy plecak z jednym z żółwi ninja. Był bardzo stary i zniszczony. I pusty. Wydawało mi się, że należał do Chrisa, chyba nawet widziałam go kiedyś w szafie w domu. Ale byłam tak zdezorientowana, że mogłam to sobie wymyślić.

Usiadłam na fotelu kierowcy. Włożyłam kluczyk do stacyjki. Nie od razu, ale odpalił. Bak był prawie pełny. Otworzyłam schowek. Znalazłam w nim papiery auta i ubezpieczenie. Na jego nazwisko. Kupił go, płacąc gotówką, w MBM Auto Sales, u koncesjonariusza używanych samochodów w Hyannis. Prawie trzy lata temu. Trzy lata? Mój Boże... Nie wiem, ile czasu tak przesiedziałam, bez ruchu, przy włączonym silniku, pogrążona we własnych myślach, gdy dostrzegłam trzy małe prostokątne naklejki w różnych kolorach przyklepione do przedniej szyby samochodu. Wsiadłam, żeby zobaczyć, co to jest. Karnet na prom na Robin Island. Roczny karnet upoważniający do dowolnej liczby kursów tam i z powrotem z lat: 2013, 2014 i 2015.

Patrząc na naklejki, pomyślałam, że skoro razem z kluczykiem do furgonetki, która przez ponad dwa lata zabierała go na wyspę, był drugi klucz, Klucz Master, więc to, co otwierał, znajduje się na Robin Island.

– Chris, co ty zrobiłeś? Co mi zrobiłeś? – wyszeptałam bez słów, bo słów mi zabrakło.

Dzień 31. Rok I p.Ch.

Prom na Robin Island był mały. Mógł pomieścić dwanaście samochodów, ustawionych w trzech rzędach. Dopłynięcie na wyspę zajmowało czterdzieści pięć minut. Kiedy się na nim znalazłyśmy, były tam tylko trzy auta: furgonetka z materiałami budowlanymi i druga, należąca do firmy kurierskiej UPS. Żaden z pasażerów nie podziwiał krajobrazu. Tylko jeden wyszedł na pięć minut, by zapalić papierosa. To oczywiste, że wszyscy oni często kursowali na wyspę; dla nich był to zwykły przejazd z punktu A do punktu B, a nie cudowna podróż przez cieśninę Nantucket, podczas której można cieszyć się słońcem, morską bryzą i przyzwoitą temperaturą na początku lata.

Nie mogłam się pozbyć przemożnego uczucia, że jestem nieproszonym gościem. I nie chodziło o to, że któryś z pasażerów krzywo na nas patrzył. Wszyscy byli zbyt pochłonięci swoimi komórkami i tabletami. Kiedy wróciłyśmy na terminal, jego pracownik mnie rozpoznał. Gdy zapytał o moją ucieczkę sprzed trzech dni, powiedziałam mu, że źle się poczułam, że chodziło o dolegliwości ciążowe. Odparł, że w takim razie bez problemu zwróci mi pieniądze i odmówił przyjęcia opłaty za ten przejazd. Był bardzo miły, wyrozumiały i nie miał cienia podejrzeń. A mimo to przez cały czas czekałam, aż ktoś mnie zapyta, po co wybieram się na wyspę. Lecz nie w uprzejmy sposób, bynajmniej, lecz w stylu: „Po kiego diabła płyniesz na wyspę?! Czego tam szukasz?!”. Ale to pytanie takim tonem zadawałam sobie tylko ja. Nikogo nie dziwiła moja obecność na promie. „A dlaczego miałyby ich dziwić? To jest wyspa. Ludzie udają się na wyspy, żeby je zwiedzać, spędzać na nich czas, urządzać pikniki na plaży. Przecież jest już prawie lato”. Chociaż Robin Island była maleńka – mieszkało na niej zaledwie czterysta pięćdziesiąt osób – szczyciła się tym, że potrafiła się uchronić przed masową turystyką, w przeciwieństwie do sąsiednich Nantucket i Martha’s Vineyard, wysp o długiej turystycznej tradycji, gęsto zaludnionych i przygotowanych do tego, by latem zamieniać się w wielkie parki rozrywki dla całych rodzin.

Zabrałam ze sobą Olivię. Nie odważyłam się przyjechać sama. Poza tym myślałam, że razem z córką łatwiej będzie nie wzbudzać podejrzeń. A ona, oczywiście, tryskała szczęściem.

- Mamusiu, patrz, statek!
- Tak, to żaglowiec.
- Mamusiu, patrz, statek!
- Tak, to kontenerowiec.
- Mamusiu, patrz, statek!
- Tak, to jacht.
- Mamusiu, patrz, drugi statek, taki jak nasz!
- Tak, to prom, który płynie w przeciwnym kierunku.

Patrz, ptak. Mewa. Patrz, ryba. Nie wiem, co to za ryba. Patrz. Patrz. Patrz. Patrz. Patrz. Widzę. Widzę. Widzę. Widzę. Widzę. Ale szukałam tylko jednej rzeczy. A właściwie osoby. Chrisa.

Kiedy nazwałam już wszystko, co pokazała mi Olivia, myślałam o podróżach Chrisa, o kartce na lodówce, która była moją mapą. Były tam zapisane jedynie wyjazdy z tego roku. Podążałam jego śladami tylko z ostatnich pięciu miesięcy. A teraz okazało się, że przez ponad dwa lata regularnie jeździł na Robin Island. Zaczęłam obliczać. Mając dwadzieścia pięć lat, doznał kontuzji ścięgna Achillesa. Po półtora roku bezskutecznej rehabilitacji postanowił zrezygnować z tenisa. W dniu swoich dwudziestych siódmych urodzin. Potem przez dwa lata pracował w Williams Consulting, firmie konsultingowej swojego ojca, którą miał odziedziczyć i pewnego dnia odnieść sukces. Odszedł z niej, bo cierpiał na klaustrofobię, która prowadziła do ataków astmy, czego nie miał nigdy wcześniej ani później. Nienawidził żyć pod rozkazami ojca. „Słuchałem go przez osiemnaście lat, niczego nie kwestionując ani się nie sprzeciwiając. Ojciec to ojciec. Teraz nadszedł czas, żebym to ja nim był”, mówił. Nie wiem, jak to zrobił, ale jego ojciec nie poczuł się ani odrzucony, ani urażony jego odejściem, i tego gorącego kartofla, niewygodne dziedziczenie, podrzucił swojej siostrze, Tricii, która właśnie skończyła studia. Chris był bardzo dobry w unikaniu konfliktów i konfrontacji, a ponadto zawsze dostawał to, czego chciał. Potem założył WTT, Williams Tennis Tech. Miał wtedy trzydzieści lat. Tak naprawdę biznes zaczął się rozwijać dopiero dwa lata później i wtedy też Chris zaczął wyjeżdżać. Miał wtedy trzydzieści dwa lata. Przez trzy lata jeździł tutaj regularnie, przynajmniej dwa razy w miesiącu. Jak to możliwe, że niczego nie zauważyłam? To niepojęte. Jak mógł mnie okłamywać w taki sposób? Okłamywać czy robić ze mnie idiotkę? Zastanawiałam się, które z tych wyrażen jest bardziej odpowiednie. Ale czy to miało jakieś znaczenie? Nigdy w życiu nie zwracałam uwagi na niepowodzenia czy wady Chrisa. Oczywiście, że je miał, ale nie traciłam na nie energii ani czasu, zauważałam tylko jego sukcesy i zalety. Czy to był mój wielki błąd?

„Witamy na Robin Island. Zasiedlona w 1652. Liczba mieszkańców: 455”, głosił napis na tablicy na terminalu promowym. Na mapie w postaci płaskorzeźby z brązu wyspa była umieszczona w samym środku trójkąta, który z Hyannis tworzyły dwie pozostałe wyspy (Martha's Vineyard i Nantucket). Obok znajdował się imponujący, wysoki na mniej więcej pięć metrów totem, wykonany z drzewa cedrowego i zwieńczony figurką rudzika z rozłożonymi skrzydłami. Inskrypcja informowała, że totem jest dziełem Indian z plemienia Wampanoagów. „Robin Island. Dawniej znana jako Opechee Island, Wyspa Rudzika⁴. Dla Wampanoagów ruzdzik był symbolem mądrych zmian”. Czyżby przyprowadziła mnie tutaj mądra zmiana? A może zamroczenie żalobą? W jednej sprawie nie miałam wątpliwości: trasa czerwonego mazaka przywiodła rudą do rudzika.

Terminal był o wiele mniejszy niż ten po drugiej stronie jeziora i nie miał kamer monitoringu. Przyniosło mi to bardziej ulgę niż rozczarowanie. Poza tym podobało mi się, że wyspa nie uległa paranoi dotykającej cały kraj. Postanowiłam nie zwracać na siebie uwagi i o nic nie pytać – żeby nie być pytaną. Tego dnia nie byłam przygotowana na więcej emocji. Kolejną rzeczą, która zwróciła moją uwagę, było to, że ludzie jeździli tam tylko elektrycznymi wózkami golfowymi. Później się dowiedziałam, że wynikało to z miejskiego rozporządzenia, przyjętego przez absolutną większość mieszkańców, obligującego wszystkich do poruszania się po wyspie elektrycznymi pojazdami. Bez wątpienia jest to bardzo ekologiczny środek lokomocji.

Podczas tego pierwszego kontaktu z wyspą przez cały czas miałam w głowie jeden wyraz: sielankowo.

– To jest ta wyspa skarbów, mamusiu?

– Tak, myślę, że tak.

– Jedziemy zaatakować piratów!

I pojechałyśmy. Przemierzenie jej od początku do końca nie zajęło nam dużo czasu. Załedwie dziesięć kilometrów średnicy. Nie wysiadałyśmy ani nie zatrzymywałyśmy się w żadnym miejscu – znów ze strachu, że wyjdę na osobę wścibską i podejrzaną. Musiałam dokonać ogromnego wysiłku, aby nie dać się uwieść pięknu krajobrazu. Obawiałam się, że to może mnie zdezorientować. Chciałam informacji. Musiałam jak najlepiej wykorzystać tę pierwszą wizytę. Pragnęłam wykonać swoistą radiografię, uciekając przed syrenim śpiewem wyspy; chciałam wycisnąć z niej wszystko, co się dało – rozłożyć na czynniki pierwsze.

Podczas tej przejażdżki udało mi się zakonotować:

Port (bardzo mały) Heise Harbor, z kilkoma przycumowanymi łodziami rekreacyjnymi i wędkarskimi.

Ambulans wodny.

Koncesjonariusza sprzedającego i wynajmującego łodzie rekreacyjne, elektryczne wózki golfowe i rowery: Burr's Marine.

Główną ulicę, Grand Ave (której wielkości w żaden sposób nie mogłam dostrzec). Przy niej znajdowała się kawiarnia Le Cafe, sklep spożywczy Provisions, klinika weterynaryjna i sklep zoologiczny Family Pet Land (kiedy go mijałyśmy, Olivia po raz enty przypomniła mi, że chce kucyka, że tata obiecał jej kucyka i że ponieważ już go nie ma, to ja muszę go jej kupić, że to jest moje zobowiązanie), sklep z likierami O'Gorman, agencja nieruchomości MacArthy Realty oraz apteka, w której można było kupić także napoje, gazety, książki i inne podobne rzeczy.

Bank Dime Bank.

Komisariat policji i remizę strażacką (razem, bardzo małe).

Pensjonat Karen's Petite Maison.

Kościół prezbiteriański Our Lady of Grace.

Gabinet dentystyczny.

Szkółkę roślin z kwiaciarnią.

Usługi kanalizacyjne, hydrauliczne oraz gospodarowanie odpadami: Dirty Works.

Pocztę.

Zbiornik wody.

Hodowlę ostryg Bishop Oysters.

Stadninę Horse Rush Farm, obok której udało mi się nie przejechać, żeby Olivia nie suszyła mi znów głowy tym nieszczęsnym kucykiem.

Dziki konie na wolności, które biegały między wydмами na plaży. „Jak pięknie”, pomyślałam wściekła na siebie, że ulegam temu pejzażowi.

Domy, mnóstwo domów we wszystkich kolorach i stylach: skromne, zwyczajne, majestatyczne, ale przede wszystkim domy sielankowe. Sielankowe. Sielankowe. Sielankowe.

Młyn, który wyglądał, jakby został wyjęty z obrazu van Gogha.

Latarnię morską, usytuowaną na maleńkiej wysepce, na którą można się było dostać przez mały wiszący most z białego drewna.

Punkt widokowy na szczycie wzgórza, zwieńczony dorodnym dębem, skąd można było obserwować wyspę w jej całej małej wielkiej okazałości. Tam, na Górze Drzewa Pocałunków, jak określała to miejsce inskrypcja, postanowiłam się zatrzymać i po raz pierwszy postawić stopę na wyspie. Przede wszystkim dlatego, że nie było tam nikogo i pozwoliłam sobie – teraz już tak – na delectowanie się widokiem. „Jak dobrze wszystko zostało tu rozmieszczone”, pomyślałam.

Ale... było coś, czego nie dostrzegłam podczas mojej szybkiej przejażdżki po wyspie. Kortów tenisowych. To może wszystko by tłumaczyło. No dobrze, nie wszystko, ale coś na pewno. „Gdzie jesteś, Chris, w którym zakątku się ukrywasz?”

– A po co tutaj przyjechałyśmy? Zapomnieć tatusia?

– Nie. – „Wręcz przeciwnie”, pomyślałam. – Nigdy nie zapomnimy taty.

– A dlaczego to drzewo jest całe w literach, mamusiu? – zapytała Olivia.

Na pniu dębu były wyryte setki, a może nawet tysiące inicjałów zamkniętych w sercach, którymi pary pieczętowały swoją miłość. Domyślałam się, że to odpowiednik, w wersji lokalnej, mostu Neuf w Paryżu albo mostu Milvio w Rzymie (ta mania zakładania kłódek jako okropny symbol prawdziwej miłości). A jeśli są tutaj inicjały Chrisa połączone z inicjałami innej kobiety? Nie odważyłam się szukać, wiedziałam bowiem, że każde Ch, które bym zobaczyła, przebiłoby mi serce. Nie byłam na to gotowa, tym bardziej w obecności Olivii. Poza tym wydało mi się to absurdalne i bezużyteczne, bo tylko zwiększyłyby podejrzliwość, dezorientację i frustrację. „Jasne, bo przecież pozostałe rzeczy, które robisz, są superkreatywne i wypełniają cię radością”.

„I co teraz, Alice? Już tutaj jesteś. Co masz zamiar zrobić? He? Dobrze się czujesz? Czujesz się zwycięsko? Zwycięsko, bo co? Ho, ho, znalazłaś kryjówkę swojego męża. Ho, ho, jesteś najlepsza. Jaka bystra i mądra, a zarazem pomysłowa. Co sobie myślał Chris? Że cię wykołuje? Ciebie? Ha!” Nie miałam czasu, żeby dalej się nad sobą znęcać, bo...

(– Mamusiu, zsikałaś się!)

...odeszły mi wody. Czyż nie umawiałyśmy się, że dzisiaj będzie już bez żadnych emocji? Po dwóch albo trzech sekundach pomyślałam: „Tutaj nie ma szpitala. Ambulans wodny służy pewnie do transportowania chorych do szpitala w Hyannis. Nie mogę oddychać, nie umiem oddychać. Dlaczego nie poszłam do szkoły rodzenia? Przecież masz już jedną córkę, Alice, już rodziłaś, odrobiłaś już lekcje ze wszystkiego. Tak, jasne, ale to było sześć lat temu. Wszystko zapomniałam, nic nie wiem. Boję się. Ile zajął nam przyjazd tutaj? Ile mija czasu od momentu, gdy odejda wody, do porodu? Kiedy odpływa najbliższy prom? Mamo, teraz owszem, chcę do mamy. Kiedy minął termin? Minął już termin? Nawet tego nie wiem. Straciłam poczucie czasu. Jestem nieodpowiedzialna. Nie, jeszcze termin nie minął, w przeciwnym razie moja matka tysiąc razy by mi o tym przypominała. Zrób coś. No dalej, wsiadaj do samochodu i jedź do portu. Nie wiem, czy mogę prowadzić. Bardzo mnie boli. Kiedy odeszły mi wody, gdy byłam w ciąży z Olivią, urodziłam niecałą godzinę później. Nie było nawet czasu, żeby zadziałało znieczulenie zewnątrzoponowe. Oddychaj. Olivia jest przestraszona. Zaraz się rozplacze”.

– Wszystko w porządku, Oli. To Ruby, już jest w drodze. Chodźmy do samochodu, kochanie.

Nie mogłam iść. Silny skurcz spotęgował ból i upadłam na ziemię.

– Dlaczego Ruby robi ci krzywdę, mamusiu? – Olivia już płakała.

W tym momencie zobaczyłam, że ktoś biegnie w naszą stronę. Biegł, bo uprawiał sport, a nie dlatego, żeby mi pomóc. No, może to też, ale dopiero na ostatnich metrach, kiedy dostrzegł, co się dzieje.

– Spokojnie, jestem lekarzem. W zasadzie dentystą, ale wyciągnięcie dziecka nie może być o wiele trudniejsze niż wyciągnięcie zęba mądrości, prawda?... Okej, słaby żart. To nie pora na żarty...

Pomógł mi się podnieść. Zapach jego ciała mnie uspokoił.

– Mam na imię Mark. A ty?

– Alice. To moja córka Olivia.

– Cześć, Olivia. Chcesz mieć braciszka?

– Siostrzyczkę – poprawiła go. – I jeszcze nie teraz, bo muszę dla niej przygotować powitalny rysunek. – Obecność Marka ją też uspokoiła. W zasadzie uspokoiła mnie, a Olivia to wyczuła.

– Na pewno zdążysz. A teraz chodźmy do samochodu.

– Czy na wyspie są piraci? – zapytała Olivia Marka, kiedy pomagał mi wsiąść do auta. Że też akurat teraz musiałam jej podarować tę przeklętą książkę. Kazała mi ją czytać każdego wieczoru.

– Zależy. Chcesz, żeby na wyspie byli piraci? – zapytał ją Mark.

– Taaaak!

– A nie boisz się piratów?

– Nie, bo są myszkami.

– Ach, tak? A więc ja jestem Długi John Silver! I jestem myszą! – wykrzyknął, chwytając w locie Olivie i wsadzając ją do samochodu. Olivia krzyczała raczej rozbawiona niż wystraszona.

Zanim ruszyliśmy, Mark zadzwonił.

– Ben, pewna dziewczyna będzie rodzic. Trzeba przygotować transport. Jedziemy do portu.

W drodze Mark powiedział mi, że na wyspie nie ma służb medycznych. Jest tylko ratownik medyczny, Ben – już w zaawansowanym wieku – który zajmuje się udzielaniem pacjentom pierwszej pomocy (zakładanie wenflonów, podawanie surowicy, reanimacja sercowo-płucna, przywracanie czynności życiowych i tak dalej) podczas transportu do szpitala Cape Cod w Hyannis.

– Ale spokojnie, ambulans wodny zabierze nas tam w ciągu dziesięciu – piętnastu minut – powiedział Mark, widząc moją przerażoną twarz z grymasem bólu wywołanym silnym skurczem, który starałam się ukryć, żeby nie przestraszyć Olivii. Od poprzedniego nie minęły jeszcze dwie minuty.

Nie mogłam nawet dotrzeć do przystani. Kiedy usiłowałam wysiąść z samochodu, opadłam z sił i pojawił się kolejny skurcz.

– Chyba nie dam rady iść.

– Masz coś przeciwko temu, żeby zerknął tam, na dół? – zapytał Mark, od razu podnosząc mi spódnicę, żeby sprawdzić, jakie jest rozwarcie. Właśnie w tym momencie przyszedł Ben. Mówienie o jego zaawansowanym wieku było eufemizmem, bo był już dobrze po osiemdziesiątce i przysięgłabym, że miał początki choroby Parkinsona.

– Już wszystko gotowe. Chodźmy.

– Zaczekaj. Ma dziesięciocentymetrowe rozwarcie.

Ruby ewidentnie miała zamiar pobić rekord swojej siostry.

– Dziesięć centymetrów? Pokaż – Ben włożył okulary i sprawdził.

W tym momencie poczułam, że wstyd bierze górę nad strachem i bólem. Zwłaszcza że przyłączyła się jeszcze szefowa policji, Margaret, która przez radio usłyszała powiadomienie i natychmiast przyjechała. Miała około pięćdziesięciu lat, była niska, szczupła i dobrze zbudowana, a surowym wyrazem twarzy dawała jasno do zrozumienia, że pozory mylą i że jest nieprzejednana. Jakby wzrokiem chciała powiedzieć: „Żadna Maggie, jestem Margaret”. Zajrzała, potwierdziła, że

rozwarcie jest znaczne, i powiedziała:

– Myślę, że ta dziewczyna nie wytrzyma do Hyannis.

Zaskoczyło mnie, że rozmawiali tak, jakbym ich nie słyszała. Jakby moje zdanie w ogóle się nie liczyło. Chociaż tak naprawdę czułam za to wdzięczność, bo byłam już w stanie, w którym nie potrafiłabym podjąć żadnej decyzji.

– Idziemy do mojej kliniki – postanowił Mark. – Alice, oddasz hołd nazwie, pod którą powszechnie znana jest wyspa: Mom's Island⁵.

On i Ben wzięli mnie na ręce, a szefowa Margaret zajęła się Olivią. Po drodze Ben, chcąc mi udowodnić, że jestem w dobrych rękach, opowiedział, że „Boston Globe” poświęcił mu artykuł zatytułowany *Koło ratunkowe na wyspie*, ponieważ, mając osiemdziesiąt sześć lat, jest najstarszym ratownikiem medycznym w całych Stanach Zjednoczonych, a rocznie odbiera około trzystu telefonów, zawsze traktując je z charakteryzującym go profesjonalizmem.

Kiedy weszliśmy do kliniki, okazało się, że w poczekalni jest pacjentka.

– Barbaro, twoje plombowanie będzie musiało poczekać, ale się nam przydasz. Pomożesz sprowadzić na świat dzikie źrebiątko? – zapytał ją Mark. – To weterynarka ze stadniny koni – wyjaśnił, jakby to miało mnie uspokoić.

Barbara nie zastanawiała się ani chwili. Natychmiast wcieliła się w swoją rolę, jak gdyby tylko na nas czekała. Uśmiechnęła się do mnie swoimi błękitnymi oczami o kocim kształcie, a na jej policzkach pojawiły się dwa piękne dołeczki. Otworzyła drzwi do gabinetu i wskazała drogę.

– Na łóżko – powiedział Mark. – Na trzy.

– Nie, nie kładź jej tam – zaoponowała Barbara. – Lepiej na podłodze, na boku, na lewym boku, żeby nie naciskać na żyłę główną.

Położyli mnie na podłodze, na kilku nieprzemakalnych fartuchach medycznych. W tym momencie do świty dołączyły Gail, szefowa ochotniczej straży pożarnej, oraz burmistrzynie DeRoller. Kobiety sprawowały najważniejsze urzędy na wyspie. Tej obserwacji dokonałam kilka miesięcy później. Wtedy mogłam skoncentrować się wyłącznie na oddychaniu.

– Właśnie tak, oddychaj. Nos, usta, nos, usta. Bardzo dobrze – dopingował mnie Mark. – Opieraj się odruchowi parcia. Pozwól, żeby wyszła sama. Tak, super, świetnie sobie radzisz, Alice.

Pomimo okoliczności zaskoczyło mnie, jak łatwo i naturalnie się to odbyło. Wszystko poszło bardzo dobrze, tylko nie po myśli Olivii, niezadowolonej, bo nie wystarczyło jej czasu, żeby w poczekalni dokończyć powitalny rysunek dla swojej siostry, a także nie po myśli Barbary, weterynarki, która – na przekór wszystkiemu – dostała zawrotów głowy, gdy tylko owinęła Ruby ręcznikiem. „Czego się spodziewałaś? Że z mojego brzucha wyjdzie źrebiątko? Olivia oczywiście byłaby zachwycona”, powiedziałam, żeby pokazać jej, a przede wszystkim samej sobie, że jestem spokojna i czuję się dobrze, że nawet mogę żartować, że nawet jestem

szczęśliwa. Bo byłam. Gdy trzymałam Ruby w ramionach, czułam wielki spokój. Wszystko inne przestało się liczyć. Przybyłam na wyspę w poszukiwaniu Chrisa. Już go znalazłam. Chris był w Ruby. Nie na wyspie.

Po urodzeniu łożyska z Ruby przyczepioną do piersi przewieźli mnie do ambulansu wodnego, by następnie przetransportować do szpitala Cape Cod w Hyannis. Zebrało się wielu ciekawskich, żeby powęszyć albo okazać wsparcie i solidarność, kto wie. Pomyślałam, że na tej wyspie wieści bardzo szybko się rozchodzą i że nikt nie może pozostać tutaj niezauważony. To wydało mi się korzystne dla moich interesów.

Od tamtego dnia byłam znana jako „ruda, która postawiła stopę na wyspie i urodziła”.

Dni 34–115. Rok I p.Ch.

Opalałam się.

Opalałam się i obcięłam włosy.

Opalałam się, obcięłam włosy, nałożyłam balsam po opalaniu.

Opalałam się, obcięłam włosy, nałożyłam balsam po opalaniu i znów się opalałam.

I zasadziłam krzew róży w ogrodzie. Właśnie w ten sposób się opalałam, bo nigdy nie lubiłam opalania się dla samego opalania.

Tak mogłabym streścić pierwsze dwa miesiące po narodzinach Ruby.

Chociaż oczywiście robiłam też inne rzeczy.

Po porodzie robiłam to, co musiałam robić: byłam dobrą matką i dobrą córką. Uprzątnęłam swoje atelier z całego zgromadzonego materiału, niezbędnego do wyznaczenia trasy czerwonego mazaka. Schowałam wszystko do pudła, zakleiłam taśmą i podpisałam „Wyjazdy Chrisa”. Później skreśliłam „Wyjazdy” i napisałam „Wyjazd”, bo wyjeżdżał zawsze w to samo miejsce. Potem skreśliłam „Chrisa” i ostatecznie zostało tylko „Wyjazd”. Dużo mnie kosztowało określenie, nazwanie tego wszystkiego. Tak lepiej: kleks, bohomaz w moim życiu. Ale już skończyła się ta gorączka. To normalne, że to wszystko mnie dopadło. Stres, lęk, strach przed nieznanym. Ale przyście na świat Ruby przywróciło mnie do życia. Byłam w otchłani, w połowie drogi między żywymi i zmarłym Chrisem/Christem. Świętowaliśmy narodziny Ruby. Ona przeprowadziła nas na pozytywną stronę życia. Jasną stronę. Dobrze spała, miała apetyt, cały czas się uśmiechała. Była najlepszą rekompensatą za całe cierpienie. Każdego ranka biegałam. Zabierałam ze sobą Ruby w sportowym, trzykołowym i bardzo lekkim wózku, który podarowała mi Tricia, siostra Chrisa. Zaczęłam od czterech kilometrów i zwiększałam dystans, w miarę jak rosła moja forma, aż pokonywałam dziesięć kilometrów. Co ciekawe, tyle wynosiła średnica Robin Island. Czyżbym nieświadomie się na coś przygotowywała? W południe chodziłyśmy na zajęcia jogi do Mommy & Me, idealne, żeby rozluźnić ciało i jednocześnie być ze swoim dzieckiem. A wieczorami robiłam gimnastykę hipopresyjną, żeby przywrócić krocze do poprzedniego stanu. Dostyc szybko odzyskałam dawną figurę, zresztą zawsze dobrze wyglądałam.

Od czasu do czasu zaskakiwałam samą siebie, myśląc o tym, że w pewnym momencie powinnam wznowić swoje życie uczuciowe. Ta myśl wywoływała we mnie duży sprzeciw i smutek. Ale prawda była taka, że miałam trzydzieści trzy lata. Byłam młoda i wywodziłam się z rodu, którego członkowie żyli bardzo długo. Jeśli nic niespodziewanego się nie wydarzy, to miałam przed sobą mniej więcej dwie trzecie życia. Patrząc logicznie, powinnam mieć jeszcze mężczyzn. Bardzo brakowało mi tego, by kogoś kochać i żeby mnie kochano. Lubiłam mieszkać

z kimś, wszystkim się dzielić. Oglądać seriale w łóżku z kimś obok, najlepiej po stosunku. Ale wywracał mi się żołądek na samą myśl o kimś innym niż Chris. Do tego wręcz stopnia, iż sądziłam, że jeśli chodzi o miłość dwojga ludzi, to przeżyłam już wszystko, co miałam przeżyć. I nawet nie wydało mi się to takie straszne.

Ciekawe, że najgorzej czułam się wtedy, gdy wokół byli ludzie. Awaryjna bańka, którą sobie zbudowałam i w której schowałam się jak w skorupie, oddalała mnie i wywoływała poczucie nierealności. Początkowo było mi to potrzebne, jednak teraz nie mogłam jej zniszczyć. Była wadliwym narzędziem, które nie przynosiło mi już żadnego pożytku. Stało się tak, ponieważ teraz chciałam już robić wszystko to, co robili moi przyjaciele, znajomi i rodzina. Chciałam się śmiać i spędzać czas z ludźmi, jeść wspólnie kolacje, dzielić się anegdotami. I robiłam to, oczywiście, że to robiłam. Każdego dnia ktoś był u nas domu. Ludzie przychodzili, przynosili coś do jedzenia, rozmawialiśmy o tym samym, czyli o wszystkim i o niczym, i dzień się kończył. A ja nadal istniałam, nie istniejąc. Noce są zazwyczaj najgorszym czasem w tego typu sytuacjach. Duchy czyhają w ciemności, w każdym zakątku ciszy. Ale to był mój ulubiony czas. Zasnąć, spać, zniknąć. Nietykalne schronienie odporne na zło. Sen mnie nie opuścił. Przeciwnie, wziął na siebie odpowiedzialność, podstawową rolę na tym nowym etapie mojego życia, i nie dał się zastraszyć. Nikt nie był w stanie odebrać mi moich ośmiu godzin. Cztery i cztery. Budziłam się w środku nocy, karmiłam Ruby, ona zasypiała i ja zasypiałam. Natychmiast.

Jednak mimo pozorów normalności, kiedy wszyscy myśleli, że dobrze sobie radzę i powoli przezwyciężam to, co się wydarzyło, w środku czułam ogromną pustkę. I z biegiem czasu wcale nie było lepiej. Robiła się coraz większa. To nie było strapienie ani smutek. Nie czułam się też źle. Po prostu mnie nie było. Depresja pośmiertna? Powinnam pójść do psychologa? Brać antydepresanty? „Nie bądź dla siebie taka surowa, Alice, to normalne, że czujesz pustkę. Pustkę, którą zostawił w tobie Chris. To jest część procesu. Krok po kroku ją zapełnisz. Albo i nie. Przyzwyczaisz się do tej pustki, stanie się częścią ciebie, sąsiednim pokojem. To będzie miejsce Chrisa. Jego miejsce w twoim życiu. I niekoniecznie będzie to coś złego czy mrocznego. Będiesz mogła je udekorować, postawić kwiaty. Nie, lepiej zasadzić, bo nie zwiędną”.



Poszukałam Diega na Facebooku. Była to bardziej prowokacja z mojej strony wobec siebie samej niż cokolwiek innego. Zrobiłam to niechętnie, apatycznie, gdy karmiłam piersią Ruby. Chciałam podręczyć swoje emocje, żeby coś się we mnie poruszyło. Diego Sánchez Sanz. Znalazłam. Dobrze, że Hiszpanie używają dwóch nazwisk. Łatwiej ich namierzyć. Diego bardzo się ze mnie śmiał, bo nie potrafiłam wymówić zet w jego nazwiskach. Prawie nie zareagowałam,

widząc jego facebookowy profil, a przecież mieszkał w Nowym Jorku. To tylko pięć godzin jazdy samochodem. Wydawało się, że dobrze mu się wiedzie. Zdjęcia, które zamieścił (widoczne dla każdego), pochodziły z jego wystawy w jednej z galerii sztuki w dzielnicy Chelsea na Manhattanie. *The ones who looked at me*⁶, taki nosiła tytuł. Były to ogromne, hiperrealistyczne portrety o wymiarach dwa na dwa metry. W obiektyw aparatu patrzyli ludzie, którzy przewinęli się przez życie autora. Czy ja też tam jestem? Oczywiście na to nie zasłużyłam. Zostawiłam go z obietnicą ponownego spotkania. Płakaliśmy na lotnisku Barajas, nie mogąc uwolnić się z uścisku. Po powrocie chciałam się ubiegać o stypendium, żeby wyjechać na studia do Hiszpanii. Chciałam zrobić to, o czym zawsze marzyłam: poznawać świat. Poznawać inne kultury. Być artystką. Planowaliśmy, że spędzimy razem lato, przemierzając z biletem Interrail Europę aż po Grecję. I tam, na jednej z wysp, mieliśmy malować i się kochać. Lecz zniknęłam. Chris czekał na mnie na lotnisku T.F. Greena w Warwick z bukietem czerwonych i żółtych róż, nawiązując do kolorów hiszpańskiej flagi. I nagle wszystko to, co przeżyłam w Madrycie, zostało daleko w tyle, jak sny, które są czasem bardzo intensywne, ale po przebudzeniu niemal od razu się o nich zapomina. Tydzień później wysłałam do Diega e-maila, w którym napisałam o swoim ponownym spotkaniu z Chrisem, o tym, iż czuję, że jest mężczyzną mojego życia, że chcemy dać sobie jeszcze jedną szansę i że chociaż nasz związek był bardzo wyjątkowy i cudowny, to, no cóż, żegnaj, Diego Sánchezie Sanzie. Żegnaj.

A teraz chciałam się znaleźć na obrazie na jego znakomitej wystawie w Nowym Jorku, bo na pewno zostawiłam w nim niezatarty ślad. Na pewno pozostała w nim trauma i obraz powinien być krzykiem na pustyni, rozpaczliwą wiadomością w butelce. Z nadzieją na odzyskanie tej tak krótkiej, lecz intensywnej miłości. Myślałam o tym wszystkim, przeglądając zdjęcia obrazów. Aż w końcu się zobaczyłam. Wtedy dopiero serce mocniej mi zabiło. *Dwie Alice* – tak zatytułowany był obraz. Doskonale pamiętałam tamtą chwilę. Byliśmy na małym poddaszu w madryckiej dzielnicy La Latina. Było gorąco. Kłóciliśmy się. Kochaliśmy się. Jedno po drugim, seks mieszał się ze złością. Zaraz po tym, gdy prawie jednocześnie mieliśmy orgazm, wziął swój aparat, natychmiast posadził mnie na łóżku, żeby wykorzystać tę minutę, bo według niego tylko przez minutę zachodzące słońce zaglądało przez okno. Wściekłam się, ale go posłuchałam. „Co za brak romantyzmu, mógłbyś mnie przynajmniej przytulić po tym, jak się spuściłeś”, powiedziałam. Zignorował to. Przesunął mnie tak, żebym siedziała dokładnie w miejscu, w którym światło oddzielało się od cienia. Słońce dosłownie dzieliło mnie na pół. „Dwie Alice. Jasna strona i ciemna strona”, powiedział, chwytając aparat i ustawiając ostrość. „Ja nie mam ciemnej strony”, odparłam nadąsana (choć w rzeczywistości byłam zachwycona). „Wszyscy mamy ciemną stronę”. I pstryknął. Obejmowałam swoją prawą nogę, skrywając nagość,

podbródek opierałam o kolano, jeszcze spocona, z plamami po łzach i rozmazanym tuszem do rzęs. Tylko jedno pstryknięcie. Odłożył aparat. Rzucił się na łóżko, objął mnie i znów się kochaliśmy.

Nie wysłałam mu zaproszenia do grona znajomych na Facebooku. Nie kliknęłam „Lubię to”. Zapisałam numer telefonu do galerii. Zadzwoiłam i zapytałam o obraz. Nie był sprzedany. Dwadzieścia i pół tysiąca dolarów. Zazdrościłam mu, że spełnił swoje marzenia. Że odniósł sukces jako artysta. „A ty, Alice? Czy chociaż spróbowałaś?” Diego był przystojny. Teraz nawet bardziej niż wtedy. Dojrzały, z brodą (wcześniej jej nie miał) i pierwszymi siwymi włosami. „Skontaktuj się z nim. Jedź do Nowego Jorku. Kawa. Spotkanie. Opowiesz mu całą swoją historię. Będzie twoim powiernikiem. Rozplączesz się, a on cię pocieszy. Będzie pięknie. Po prostu. Wcale nie musi się coś wydarzyć. Na pewno ma kogoś. Normalne. Lepiej. Spacer po parku. Weźmiecie się za ręce. Powspominacie piękne chwile. Pocałunek przy zachodzie słońca. Może numerek. Numerek bez poczucia winy, bez konsekwencji. To nie będzie seks, lecz miłość. I dalej będziesz żyć swoim życiem”. Życie. To właśnie zobaczyłam na obrazie. Był pełen życia. Ja byłam pełna życia. Kupiłam go bez namysłu, kiedy czekałam, aż Ruby się odbije, a ona zwróciła mleko na moje ramię, plamiąc mi koszulkę. Zrobiłam przelew przez Western Union. Żeby nie zostawić śladu, użyłam nazwiska Grace Kelly. Nie chciałam, aby Diego mnie zlokalizował. Poinformowali mnie, że obraz będą mi mogli przesłać dopiero po zakończeniu wystawy, za półtora miesiąca. Nie był to dla mnie problem. Ale obraz nigdy nie dotarł do mojego domu w Providence.



Moje powolne poruszanie się po autostradzie normalności i pustki zmieniło się nagle w dniu, w którym zabrałam dziewczynki na cmentarz i znów załała mnie trucizna. Trucizna potrzeby/pragnienia, by się dowiedzieć. Trucizna? Może to nie była trucizna, może było to antidotum prowadzące do ocalenia. Chciałam, żeby Chris „poznał” Ruby, która właśnie skończyła miesiąc. Chciałam, żebyśmy pobyli razem, we czwórkę, w rodzinie. Potrzebowałam tego. Piknik na grobie.

- Gdzie jedziemy, mamusiu? – zapytała Olivia już w samochodzie.
- Pamiętasz, gdzie żegnaliśmy tatę?
- To miejsce, w którym były łabędzie?
- Tak. Tam jedziemy.
- Bardzo lubię łabędzie.

Musiłyśmy się jednak zatrzymać i wrócić do domu. Olivia uparła się, że zabierze dla taty jeden ze swoich rysunków. Biegiem wpadła do domu. Wyszła chwilę później z kilkoma rysunkami, bo nie wiedziała, który chce mu podarować, i w swojej różowej fosforyzującej puchowej kurtce.

- Dziecko, przecież jest bardzo gorąco. Ugotujesz się.

Zresztą to nie ma znaczenia. Ojciec kojarzył jej się z zimnem. W domu nie można było włączać klimatyzacji. Odmawiała wejścia wszędzie tam, gdzie było zimno, co w środku lata wykluczało praktycznie każdą restaurację, która nie miała ogródka, supermarkety, sklepy, kina i tak dalej, i tak dalej. Nawet *Kraina lodu* przestała być jej ulubionym filmem. Już jej nie interesował, chociaż jeszcze w ostatnie Boże Narodzenie oglądała go w kółko, marząc, żeby być księżniczką Elszą. Co z nią (z nami) będzie po jesieni? Przejdzie jej do tego czasu?

Zgodnie ze swoją nazwą cmentarz Swan⁷ Point miał piękne jezioro, po którym pływały kaczki i łabędzie. Tam był pochowany Chris, w kwaterze kupionej przez jego rodzinę, obok swojego dziadka Richarda, zajmując miejsce w sposób naturalny zarezerwowane dla jego ojca. Nagrobek nie był taki jak wszystkie – była to bryła nieoszlifowanego białego marmuru, który podarował mu właśnie nieżyjący dziadek. Pracował jako kamieniarz i dał mu go razem z dłutem i młotkiem, żeby z biegiem lat nadawał mu kształt, żeby rzeźbił swoje marzenia, szlifował pomysły, uwalniał się od frustracji, żeby rozmyślał, podejmował decyzje, zabijał swój strach. Była to skała wielorakiego użytku; skała, która miała mu pomóc wykuć swój charakter. Chris był bardzo przywiązany do niej. Trzymał ją w ogrodzie u swoich rodziców, a kiedy się pobraliśmy i przeprowadziliśmy do naszego obecnego domu, zabrał ją w pierwszej kolejności. Śpieszył do niej, żeby odgonić zło i celebrować dobro. Ta skała była jego totemem, jego wyrocznią, jego konfesjonalem, jego talizmanem, jego wierną towarzyszką. Chris miał swoje nawyki – każdego dnia, kiedy był w domu, spędzał chwilę ze swoją skałą. Szkoda, że nie mogła mówić. Bo wydaje mi się, że ta skała wiedziała o sprawach, o których ja nie miałam pojęcia. Co więcej, przyznaję, że po jego śmierci dokładnie ją obejrzałam, szukając jakiegokolwiek śladu wyrytego w którymś z jej zagłębień.

Rozłożyłam obrus na grobie. Kanapki, napoje, różne słodczyce i Śmierdzący Miś. Olivia w swojej puchowej kurtce, spocona jak mysz, przygotowywała nowy rysunek (stwierdziła, że żaden z tych, które zabrała, się nie nadawał). Ja dyskretnie karmiłam piersią Ruby. Osoby, które przechodziły obok, patrzyły na nas z uśmiechem wyrażającym zarazem smutek, czułość i zdziwienie. Kiedy tam siedziałyśmy, pomyślałam: „Skoro ja za nim tęsknię, to ktoś jeszcze może za nim tęsknić”. Klik. Trucizna/antidotum. Złość/ciekawość. Tortura/zabawa. Pustka/pełnia. Lokomotywa znowu ruszyła. Co Chris robił na wyspie? To pytanie znów zaczęło kołatać mi w głowie. Wyobrażałam sobie tę inną, która na dodatek musiała przeżywać to wszystko w ciszy, sama (ale czy ja też tak nie robiłam?). Chciałaby go „zobaczyć”, potrzebowałaby mu się wypłakać, pożegnać się. Dlaczego byłam przekonana, że jest jakaś „inna”, że za sekretem/tajemnicą/kłamstwem Chrisa kryło się podwójne życie, romans, kochanka, historia z inną kobietą? Może to któraś z tych, z którymi flirtował w czasie naszego sześciomiesięcznego rozstania na studiach?

Olivia skończyła rysunek. Jej ojciec na grzbiecie łabędzia lecącego między chmurami, a my trzy machamy do niego z ziemi. Nie to widziałam na rysunku, ale Olivia twierdziła, że właśnie to narysowała. A ja widziałam żyrafę zawieszoną na niebie z gnomem na grzbiecie i z trzema wściekłymi szczurami szczerzącymi kły na ziemi i patrzącymi w górę, jakby w oczekiwaniu, że grawitacja zwróci im ich zdobycz, aby mogły ją pożreć. Moje nadzieje, że mam wielce utalentowaną córkę, całkowicie się rozwiały. W tym czasie biały fortepian w salonie pewnie miał już termity, które zjadały klawisze. „Cóż, zostało mi jeszcze kilka dni na zwrot”, pomyślałam.

Okruchy z kanapek dałyśmy łabędom, mimo że karmienie zwierząt było zabronione, i wróciliśmy do domu.

Kilka dni później, korzystając z okazji, że rodzice Chrisa zabrali Olivię na weekend do kuzynek w jej wieku, które mieszkały w Berlinie w stanie Vermont, wróciłam do sklepu detektywistycznego Night Eyes.

Antonio poznał mnie, gdy tylko weszłam. Ruby miałam w nosidełku typu kangurek, z główką wspartą na moich piersiach, czującą bicie mojego serca, którego słuchała, gdy była w brzuchu. Odgłos domu.

– Blondyneczka, miło cię widzieć! Masz córka! Gratulacje! Jak się nazywa?
– zapytał, ścisząc głos i gestem nakazując ciszę, kiedy dostrzegł, że Ruby śpi jak susał. Jakby rozumiała, że mama ma do załatwienia ważną sprawę, i nie chciała przeszkadzać.

– Cześć, Antonio. Ma na imię Ruby. – Powinnam podać mu inne imię?
„Przestań już, Alice, nie bądź paranoiczką”.

– Piękna jak mama.

– Dziękuję.

– I co chcesz? Więcej nagrania kamery monitoringu?

– Nie, teraz chcę kupić kamerę.

– Ach, bardzo dobrze... Teraz ty kolej śledzić. Przejść akcja.

– Tak, mniej więcej...

– Czy to nie mąż? Mam nadzieję, nie będzie typowa historia, mąż ma dziecko i traci zainteresowanie. Oglądać się za innymi. Nie mogę uwierzyć, ktoś oszukuje kobietę piękną jak ty. Gdy ja być twoim mężem, to ja montuję kamery monitoringu, bo nie wierzyć, że ty być ze mną.

W tym momencie bardzo żałowałam, że tutaj przyjechałam. Tłukłam się prawie dwie godziny, żeby kupić zwykłą kamerę, którą mogłabym nabyć przez Internet, zachowując całkowitą anonimowość. Ale nie chciałam zostawiać w sieci żadnego śladu moich decyzji ani poczynań. Czy na pewno to, co robiłam, było złe? Być może nielegalne, ale złe? Może jednak również złe. Ale nie to mnie wtedy martwiło. Chris nie zostawił żadnego śladu (albo prawie żadnego). Ja też nie chciałam ich zostawiać. Jeśli on tak bardzo chciał zatrzeć wszystkie możliwe ślady,

to miał jakiś powód. „Tak, Alice, bo nie chciał, żebyś się dowiedziała. TY. I to nie dlatego, że mógł być szefem kartelu narkotykowego”.

– Przepraszam, to nieważne, nie potrzeba wyjaśnień. Tutaj nigdy wyjaśnień – poprawił się Antonio, widząc moje zagubienie.

– Powiedz, co chcesz, a ja powiem, co potrzebować.

– Kamera. Malutka. Do obserwacji.

– Są setki modeli kamer: india, kerala, otworkowa, guzik, breloczek, pasek, webcam, bezprzewodowa, z wizją nocną, z czujnikiem ruchu. Gdzie chcesz ją umieścić? I po co używać? Fotografia? Wideo? To i to? Mówię: powiedz mi, co chcesz, a ja powiem, co potrzebować.

Poczułam się tak samo bezradna jak wtedy, gdy sprawdzałam te urządzenia w Internecie. Również dlatego postanowiłam przyjechać aż tutaj.

– Nie wiem, coś małego, co można ukryć, żeby móc robić zdjęcia ludzi, którzy idą albo przechodzą przez konkretne miejsce. Coś, co można zostawić na jakiś czas i żeby nie trzeba było zmieniać baterii. Żeby długo wytrzymała. Ach, i żeby była zewnętrzna.

Wybrał kamerę kamuflowaną Bushnell Trophy Cam. Antonio powiedział, że używana jest na grubego zwierza, bo dostrzegł, że ja też wybieram się na polowanie, po czym zaśmiał się, co zabrzmiało bardziej jak „hau, hau” niż „ha, ha”. Była wielkości małego tranzystora i kosztowała dwieście dziewięćdziesiąt dolarów. Całkowicie szczelna, mogła pracować nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach atmosferycznych, miała osiem megapikseli, czujnik ruchu i kartę pamięci Flash o pojemności sześćdziesięciu czterech gigabajtów, czyli około dwudziestu dwóch tysięcy zdjęć w HD. Osiem baterii AA, które w trybie *standby* spokojnie mogły wytrzymać przez rok. Antonio sformatował mi kartę i skonfigurował kamerę, aby robiła zdjęcia (również nagrywała) co trzy sekundy, kiedy wykryje ruch, zaznaczając datę i godzinę. „Tak nie uciec żaden zwierz z rogami”, powiedział Antonio. Chciałam mu powiedzieć, że ta z rogami to ja, ale tylko słabo się uśmiechnęłam i zapłaciłam, oczywiście gotówką.

W samochodzie powiedziałam do siebie: „Dobra, masz już swoją zabawkę, teraz pojedziesz do domu, przemyślisz to i...”. W tym miejscu skończył się mój wewnętrzny dialog, ponieważ postanowiłam od razu pojechać na cmentarz i zamontować kamerę. Liczył się każdy dzień. Może ta „druga” już tam była i wylewała łzy.

Naprzeciwko grobu Chrisa rósł stary krzew, dość gęsty i z grubymi gałęziami. Poczekalam, aż przejdzie stróż, który pewnie marzył o tym, żeby pewnego dnia zmarli ożyli i wyszli ze swoich grobów, by nadać sens jego smutnej i nudnej pracy. Skinął uprzejmie w moją stronę. Też się ukloniłam. Zniknął, a ja podeszłam do krzewu. Kamera miała klips ułatwiający przymocowanie. Ustawiłam wózek Ruby (znowu spała, by nie przerywać misji swojej matki) obok grobu, żeby

mieć jakieś odniesienie, które pozwoliłoby mi wykadrować obraz. Ale nie byłam przekonana do tej metody. „Wózek jest bardzo niski, nie nadaje się, osoba dorosła jest wyższa”, wybełkotałam. Rozejrzałam się dookoła, trzy groby dalej zobaczyłam grabie. Wzięłam je, włożyłam do wózka w pozycji pionowej, uważając, żeby nie dotknąć ani nie obudzić Ruby. Stałam obok. „Dobrze, mniej więcej mojego wzrostu. Szukam kobiety podobnej do mnie czy wręcz przeciwnie? Dlaczego się upierasz, że jest jakaś inna kobieta? To zbyt stereotypowe. Ale my byliśmy stereotypowi, przynajmniej w dobrym znaczeniu tego słowa. A teraz się przekonam, czy także w złym”. Wróciłam do krzewu i wykadrowałam obraz. Potrząsnęłam gałęzią, żeby się upewnić, czy kamera została dobrze przymocowana. Idealnie, nie zsuwała się. Włączyłam ją. I w ten sposób zostało uwiecznione pierwsze z tysięcy zdjęć, które miały być zrobione.



Nie pamiętam, w którym momencie postanowiłam przeprowadzić się na wyspę. Być może tuż po tym, gdy umieściłam na cmentarzu kamerę kamuflowaną. Z powodu wzrostu poziomu adrenaliny, która ogarnęła całe moje ciało w chwili, gdy nacisnęłam przycisk i powstało próbne zdjęcie. Poczułam, jakbym się przebudziła, jakbym była czymś zainteresowana, ożywiona (przypominało to bardziej antidotum niż truciznę). A może zdecydowałam się wtedy, gdy po odwiedzaniu cmentarza każdego dnia przez dwa tygodnie (w rezultacie zmieniłam swoją codzienną trasę biegu, by tam bywać), żeby zmienić kartę pamięci w kamerze i kompulsywnie sprawdzić zdjęcia, nie zauważyłam nic ciekawego i czując frustrację, stwierdziłam, że nie mogę czekać, aż ta osoba przyjdzie, że to ja muszę jej poszukać, na wyspie. A może było to znacznie wcześniej, kiedy odkryłam wyspę i tylko odsuwałam w czasie chwilę prawdy? Możliwe też, że nastąpiło to po urodzeniu Ruby, które potraktowałam jako znak od Boga, wskazujący mi miejsce, gdzie powinnam ją wychować. Chociaż najprawdopodobniej była to suma wszystkich tych czynników, jak dzieje się niemal ze wszystkim w życiu, zwłaszcza gdy w grę wchodzi śmierć. Tak więc ułożyłam w swoich myślach w porządku chronologicznym każdy mały i duży krok, które stawiałam w stronę nowego miejsca zamieszkania: wyglądało to na gwałtowny skręt, nagłą, spontaniczną zmianę kierunku. Tak jakby wszystko wydarzyło się w ciągu trzech dni. „Ależ, dziecko, to wszystko w ciągu trzech dni? To jest szaleństwo! Tak się tego nie robi!”, oburzała się moja matka. Ani nie zaprzeczyłam, ani z nią nie dyskutowałam, gdyż w mojej głowie wyglądało to tak, jakby rzeczywiście minęło tylko tyle czasu. Ale tak naprawdę zajęło mi to trzy miesiące, tyle, ile minęło od śmierci Chrisa i od początku moich poszukiwań detektywistycznych. Ale trzy miesiące to też nie żadna wieczność, biorąc pod uwagę wielką wagę tej decyzji. Co? Jaką wielką wagę? Przeprowadzałam się

w miejsce oddalone od mojego rodzinnego domu o trzy godziny jazdy samochodem, w miejsce sielankowe, sielankowe, sielankowe. Gdzie tu wielka waga? Wielką wagę miała tylko moja małość, ten mój malutki i klaustrofobiczny świat... „I dlatego przeprowadzasz się na malutką i klaustrofobiczną wyspę, na której twój mąż prawdopodobnie chował sekret równie malutki i klaustrofobiczny? Genialnie. Bez wątpienia to wielki postęp”.

W każdym razie podjęłam tę decyzję zgodnie z jedną ze złotych zasad Chrisa – zasadą zen, która głosi, że sprawy najwyższej wagi trzeba traktować delikatnie, a sprawy delikatne z najwyższą wagą. Dlatego też w ciągu dwóch miesięcy po narodzinach Ruby, gdy starałam się prowadzić „normalne” życie, opalałam się, biegałam, chodziłam na zajęcia jogi Mommy & Me i przywracałam kroczki do poprzedniego stanu, robiłam również następujące rzeczy:

Jednego dnia wpisałam w Google’u: „Robin Island agencja nieruchomości” i jako pierwsza wyskoczyła mi MacArthy Realty.

Innego dnia zadzwoniłam i umówiłam się z Miriam MacArthy, właścicielką jedynej agencji na wyspie, która widząc mnie z Ruby w nosidełku, skojarzyła fakty i zapytała: „To ty jesteś tą rudą, która postawiła stopę na wyspie i urodziła, prawda?”. Przytaknęłam, a ona dodała: „Jesteś już sławna na Robin Island. Nic dziwnego, że chcesz się tutaj przeprowadzić”. Uśmiechnęłam się, uścisnęłam jej dłoń i powiedziałam, że nazywam się Alice Dupont i że na razie chcę się jedynie rozejrzeć, i że jeśli któryś dom mi się spodoba, to chciałabym go tylko wynająć na rok. Miriam wyjaśniła mi, że na wyspie nie ma domów do wynajęcia, że wyspa jest jak spółdzielnia sąsiadów, którzy jednogłośnie podjęli decyzję o zakazie wynajmowania czy dzierżawienia domów, żeby chronić to miejsce przed turystami (jest tylko jeden pensjonat z sześcioma pokojami) oraz rozwijać poczucie wspólnoty, prowadzić wspólne życie w harmonii, pokoju i przyjaźni, a także żeby się nie wyludniała i na zimę nie zamieniała w wyspę widmo. Pomimo mojego niezdecydowania Miriam nalegała, że pokaże mi kilka domów i w tym czasie starała się mnie przekonać, że wynajmowanie to wyrzucanie pieniędzy w błoto i że powinnam skorzystać z okazji, ponieważ po przejściu huraganu Sandy i po późniejszych zamieciach to miejsce zostało bardzo zniszczone i teraz jest więcej domów na sprzedaż niż kiedykolwiek wcześniej, a w związku z tym ceny spadły, ale rynek powoli się ożywia.

Innego dnia poszłam do urzędu stanu cywilnego i zmieniłam swoje nazwisko z powrotem na panińskie – Dupont. Poczułam się z tym bardzo, ale to bardzo podle, jednak uznałam, że jest to konieczne, jeśli na wyspie chcę pozostać „niezauważona” i nie powodować zacierania śladów czy ewentualnych kontaktów/motywów Chrisa.

Innego dnia szukałam szkoły w pobliżu, do której mogłabym zapisać Olivię, i dowiedziałam się, że jedna bardzo dobra jest na Nantucket: Nantucket Lighthouse

School, i że mały hydroplan zabiera do niej dzieci każdego ranka niczym szkolny autobus.

Innego dnia zapytałam Olivie, czy chciałyby zamieszkać na tej pięknej wyspie, na której byliśmy jakiś czas temu, na co odparła: „Na jakiej? Na wyspie z Górą Drzewa Pocałunków?”. Powiedziałam jej, że tak, właśnie na tej. Odparła rozentuzjasmowana: „Tak! Bo bardzo mi się podoba i nie zdążyłam wyryć mojej literki na drzewie”.

Innego dnia opowiedziałam o moich planach ojcu, najpierw jemu, ponieważ wiedziałam, że mnie zrozumie, a mimo to przez cały czas myślałam, że głowa mi eksploduje i byłam przestraszona.

Innego dnia zaczęłam się dusić, jakbym zapomniała, jak się oddycha, i wylądowałam na pogotowiu. Powiedzieli mi, że to atak paniki. Stwierdziłam, że to z powodu tego całego szaleństwa. Odsunęłam te plany od siebie i starałam się o wszystkim zapomnieć.

Innego dnia ponownie się dusiłam i ponownie znalazłam się na pogotowiu.

Innego dnia znów mi się to przytrafiło, ale nie pojechałam na pogotowie, ponieważ wcześniej dali mi leki przeciwlękowe (xanax) w razie ataków paniki.

Innego dnia znowu miałam atak. Ojciec powiedział, że może te ataki nie były spowodowane tym, że wyjeżdżam, ale myślą, że mogę tu zostać. „Dziecko, ty nie jesteś kapitanem Ahabem ani Moby Dickiem. Ty jesteś młodym Ismaelem. To jest twoja opowieść. To ty przeżyjesz”, stwierdził, odpowiadając na moje wątpliwości, o których nigdy mu nie wspominałam, jakby przez cały ten czas czekał na odpowiedni moment, żeby jego słowa odniosły pożądaną skuteczną. I tak było. Płakałam na jego ramieniu i powiedziałam, że go kocham.

Innego dnia wróciłam na Robin Island, a Miriam, ta od nieruchomości, jeszcze raz pokazała mi trzy domy, które najbardziej mi się spodobały i które najlepiej pasowały do moich potrzeb (po uprzednim obsesyjnym sprawdzeniu wszystkich detali). Ostatecznie zakochałam się w jednym w stylu wiktoriańskim, z dwoma piętrami i poddaszem, trzema sypialniami, dwiema łazienkami, ogrodem oraz gankiem z widokiem na plażę. Miriam też się podobał, bo stał obok jej domu, i cieszyła się na myśl, że mogłaby być moją sąsiadką.

Innego dnia zadzwonili do mnie z galerii sztuki z dzielnicy Chelsea na Manhattanie, żeby mi powiedzieć, że wystawa już się skończyła i że wyślą mi obraz Diega.

Innego dnia zadzwoniła do mnie Miriam, żeby mi powiedzieć, że złożono jej ofertę na ten dom, który tak bardzo mi się spodobał. Pomyślałam, że to bzdura, ale by uwolnić się od strachu przed jego utratą, łyknęłam xanax.

Innego dnia dałam małą zaliczkę i zastrzegłam, że potrzebuję jeszcze trochę czasu.

Tego samego wieczoru pomyślałam: „Alice, na co ci ten czas? To jest strata

czasu. Jeśli naprawdę chcesz zyskać czas, to kup dom i wyprowadź się, bo to właśnie chcesz zrobić. Liczy się każdy dzień, pamiętasz? Z każdym mijającym dniem coraz trudniej będzie rozwiązać tajemnicę/sekret/kłamstwo”.

Następnego dnia pojawiłam się w banku, aby powiadomić, że potrzebuję pokażnej sumy pieniędzy.

Dwa dni później (tyle zajęło bankowi zrealizowanie tej operacji) kupiłam dom na Robin Island, płacąc siedemset osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów w gotówce, i nie dostałam żadnego ataku paniki, poniekąd dlatego, że niczym tonący brzytwy chwyciłam się tego, co powiedziała mi Miriam, jednocześnie puszczając oko: „Zapewniam cię, że za rok będzie wart przynajmniej dziewięćset tysięcy – milion dolarów. To jest dopiero dobra inwestycja, sąsiadko”.

Tego samego dnia zadzwoniłam do galerii sztuki i podałam adres na Robin Island (48 Shelter⁸ Road), na który zleciłam przysłanie obrazu. I pomyślałam: „Jaka ładna nazwa ulicy, doskonała, by przy niej rozpocząć nowe życie. Droga mojego schronienia”.

Innego dnia opowiedziałam o tym swojej matce, a ona o mało nie umarła z oburzenia. Strasznie się na mnie wściekła, a jeszcze bardziej na ojca, dlatego że mnie zachęcał, a przede wszystkim dlatego, że nie powiedziałam jej o tym wcześniej. „Bo na pewno wcześniej powiedziałeś o tym ojcu. Na pewno!”

Innego dnia pomyślałam, że zorganizuję przyjęcie pożegnalne, ale postanowiłam, że lepiej nie, bo nie chciałam za bardzo rozpowiadać, że wyjeżdżam i dokąd wyjeżdżam.

Innego dnia chciałam ufarbować sobie włosy, ponieważ rudy kolor zawsze zwraca większą uwagę (a ja chciałam, żeby było na odwrót), ale ostatecznie postanowiłam, że tego nie zrobię, między innymi dlatego, że na wyspie byłam już znana jako „ruda, która postawiła stopę na wyspie i urodziła”, więc zmiana koloru byłaby nieco podejrzana. Ale przynajmniej je skróciłam, i to znacznie – nigdy nie miałam tak krótkich włosów ku niezadowoleniu (kolejnemu) mojej matki. Żegnajcie, długie włosy, witaj, krótka, swobodna fryzuro.

Innego dnia porozmawiałam z dyrektorem Prestonem i powiedziałam mu, że rezygnuję z posady nauczycielki w Seekonk River School. Zrozumiał, że potrzebuję zmiany otoczenia, wzruszył się, posmutniał i zapewnił mnie, że moja posada jest dożywotnia i że jeśli będę chciała, to zawsze mogę tutaj wrócić. Pożegnał się, delikatnie pocałował mnie w kącik ust i pochwalił moją nową fryzurę, a ja pomyślałam, że albo jest we mnie zakochany, albo jest gejem.

Innego dnia moja matka upierała się, że chce z nami zamieszkać chociaż na kilka miesięcy, żeby pomóc mi się urządzić, a ja musiałam łyknąć kolejny anksjolityk.

Praktycznie każdego dnia myślałam o tym, że uciekam, aż nadszedł dzień przeprowadzki, kiedy to – kto wie, może z powodu czystego instynktu przetrwania

– stwierdziłam, że się mylę – że ucieczką byłoby właśnie zostanie, że ucieczką byłoby nicnierobienie.

Dzień 116. Rok I p.Ch.

Obudziłam się, nucąc obsesyjnie w myślach: „Alice na wyspie. Alice się izoluje. Alice na wyspie się i–zoluje. Alice się i–zoluje na wyspie. Się i–zoluje. Się i–zoluje. Wyspa, wyspa, wyspa. Izoluje, i–zoluje, izoluje”.

„Rok – obiecałam swojej matce, żeby uśmierzyć jej smutek. – Jeden rok szkolny i wrócimy”.

„Rok – obiecałam sobie, żeby uśmierzyć zawroty głowy, które odczuwałam. – Jeśli nie odkryję tego w ciągu roku, to nie odkryję już nigdy. Ale... rok od śmierci Chrisa czy od dnia przeprowadzki? Nie, rok od śmierci Chrisa. Od czasu, kiedy zaczęłaś śledztwo. Nie oszukuj się dłużej”.

W tych okolicznościach, z tymi dwiema obietnicami i z absurdalną piosenką rozbrzmiewającą w kółko w mojej głowie, przeprowadziłyśmy się na Robin Island. Olivia, Ruby, moja nowa fryzura i ja. Ach, i biały fortepian. Zapomniałam – albo nie chciałam – zwrócić go w wyznaczonym terminie. Może to Ruby miała być wirtuozką w rodzinie?

Po przyjeździe przy 48 Shelter Road czekały na nas dwie rzeczy: obraz Diega Sáncheza Sanza oraz tajemnica/sekret/kłamstwo do rozwiązania. Obie zapakowane i niemające swojego miejsca.

To, co wcześniej było tam, teraz jest tutaj. Tutaj miała być kontynuowana historia Chrisa i miała się zacząć moja. Albo tu kończyła się historia Chrisa, a będzie kontynuowana moja. Nie wiedziałam tego dokładnie.

Nie skończyłam czytać *Moby Dicka* i nie zabrałam tej książki na wyspę. Nie dlatego, że zapomniałam, zrobiłam to celowo. Wolałam sama napisać koniec. I początek też.

„Nazywajcie mnie Ismael (Alice). Lata temu (nieważne, kiedy dokładnie) z niewielką sumą pieniędzy (ponad siedmiuset tysiącami dolarów) w kieszeni i niczym, co jakoś wyjątkowo interesowałoby mnie na ziemi (oprócz moich córek), pomyślałam, że przez pewien czas mogę żeglować i zwiedzać wodną część świata”.

Praca czerwonego mazaka



CZĘŚĆ DRUGA
WYSPA SKARBÓW

„Będziemy mieli pomyślne wiatry, szybką jazdę i niewiele trudności w znalezieniu owej miejscowości”.

„Będę milczał jak grób”.

„Dowiedziałem się, że wyprawiamy się po skarby. Wyobraźcie sobie, mości panowie, że słyszałem to od własnych podkomendnych. No, skarby to rzecz łakoma! Nie lubię wszelkiego rodzaju poszukiwania skarbów, nade wszystko zaś nie lubię, gdy rzecz trzymana jest w tajemnicy, a tajemnicę opowie ktoś papudze”.

„Z gry jego twarzy poznałem, że starał się myśleć, ale proces myślowy postępował tak wolno i niesprawnie, że śmiałem się głośno w swej świeżo odkrytej bezpiecznej kryjówce”.

Robert Louis Stevenson, *Wyspa skarbów*⁹ (1883)

Dzień 0. Rok IV p.Ch.

Na poddaszu mam zainstalowane cztery dwudziestosiedmiocalowe ekrany, które nieustannie przekazują sygnały ze stu pięćdziesięciu czterech ukrytych kamer z osiemdziesięciu dwóch domów (większość ma dwie), lokali i innych ważnych miejsc na wyspie. Rybki w moim akwarium. Jakiś czas temu zastanawiałam się, czy każdą z kamer, jakie umieszczam, nazwać „klatką” czy może lepiej „akwarium”. Wybrałam „akwarium”, bo w zasadzie jest tym samym co klatka, tyle że szyba tworzy iluzję wolności. A kiedy nauczysz się nie uderzać w szklane mury, w końcu zapominasz o tym, jak mały jest twój świat. W końcu zaczynasz wierzyć, że to ty go stworzyłeś (co w gruncie rzeczy jest prawdą) i przestajesz go kwestionować.

Ścianę o wymiarach cztery na trzy metry zajmuje ogromny mural/tablica/mapa wyspy. Są tam zaznaczone nieruchomości oraz ich lokatorzy, z ich stanem cywilnym (małżeństwa w separacji, po rozwodzie, narzeczeństwa, ponowne małżeństwo i tak dalej), stanem ich relacji uczuciowych (klasyfikowane za pomocą trzech rodzajów emotikonów: buźka smutna, normalna i uśmiechnięta), dziećmi, pracą, statusem społecznym i ekonomicznym, liczbą kamer umieszczonych w każdym domu (wszystkie ponumerowane) i ich dokładnym miejscem zamontowania (kuchnia, salon, sypialnia czy gdzie indziej). A także każdy umiarkowanie istotny fakt, który warto wziąć pod uwagę.

Rano zazwyczaj nic się nie dzieje. Nic, co byłoby ważne, co wychodziłoby poza ramy rzeczy zwyczajnych i codziennych. Nic, co nie byłoby płatkami śniadaniowymi, kawą, prysznicem, goleniem, ubieraniem się w pośpiechu, szybkimi buziakami i pożegnaniem.

– Mamo! – Olivia wali w drzwi na poddaszu. – Przeczytałaś moje wypracowanie? Powiedziałaś, że mi sprawdzisz. Bo dziś muszę je mieć na lekcję...

Otwieram drzwi.

– Oli, mówiłam ci już tysiąc razy, żebyś nie uderzała w drzwi.

Wychodzę i zamykam je na cztery spusty.

– Na pewno nie przeczytałaś – naciska poirytowana.

Idę do kuchni, gdzie Ruby je swoją papkę z płatków śniadaniowych.

– Owszem, przeczytałam. Trzy razy. Jest bardzo dobre. Bardzo ładnie napisałaś. Ale powinnaś wiedzieć, że mówi się „zmiana otoczenia”, a nie „odmiana otoczenia”. Przewyciężyć pisze się przez „ż”. I nie może być „to jest bardzo szczęśliwe”, lecz „to jest wielkie szczęście”. Zakreśliłam ci to na czerwono. Popraw, ubierz się i jedziemy na hydroplan.

Jedziemy do portu wózkami golfowymi. Olivia czyta na głos swoje wypracowanie na iPadzie. Jest zdenerwowana. To dla niej bardzo ważne. Siedem razy zmieniała rodzaj, rozmiar i kolor czcionki.

– „Dziś umarł mój tata. To znaczy dziś mijają trzy lata i jest to dzień, który z każdym rokiem coraz bardziej mnie zasmuca, bo kiedy umarł, byłam bardzo mała, miałam sześć lat i niewiele rozumiałam...”

Postanowiłam nie iść na cmentarz. Byłyśmy tam już w weekend z moimi rodzicami i rodziną Williamsów. Dzisiaj jest szkoła, a poza tym po południu Olivia ma lekcję jazdy konnej z Barbarą w Horse Rush Farm. A to dla niej święte.

Docieramy na molo, gdzie czeka już hydroplan, który zabiera Olivię do szkoły na Nantucket. Wysiada, żegna się słowami: „Na razie, mammo!” i biegnie do hydroplanu.

Oprócz weekendów (kiedy przybywają tu sporadycznie turyści, by spędzić na wyspie dzień) prawie nigdy nie otwieram swojego sklepu z oświetleniem i ozdobami Alice in Wonderlight¹⁰. Robię to tylko po wcześniejszym umówieniu. Tak więc po odprowadzeniu Ruby do żłobka, chcąc się czymś zająć, maluję przez trzy godziny, zatracam się w kolorach wyspy i uderzających o brzeg falach, bo w ten sposób dzień mija szybciej. Ale dzisiaj jest mi trudno, nie potrafię się skupić. To normalne. Postanawiam więc pojechać do Hyannis, żeby kupić materiał do mojej nowej kolekcji lamp. I przy okazji, niemal bezwiednie, podjeżdżam pod Night Eyes, żeby kupić coś, co już dawno sobie upatrzyłam i co dzisiaj – być może, aby ukoić niepokój i oczywistą nostalgię odczuwaną tego dnia – postanowiłam sobie sprezentować – dron z kamerą z wizją nocną. Po powrocie do domu ochrzciłam swój nowy nabytek imieniem Huck III, po nieudanych misjach Hucka I i Hucka II. Pierwszego rozbiłam o skały przy latarni morskiej podczas rutynowego lotu. Drugi runął do wody, zestrzelony z łodzi wędkarskiej, kiedy nagrywał rozładowywanie na wyspie przemycanych narkotyków. Huck III, w porównaniu ze swoimi poprzednikami, jest bardziej zaawansowanym modelem drona. Kontroluje się go przez zwykły interfejs z komórki albo tabletu. Zasięg – sześć kilometrów, maksymalna prędkość – czterdzieści pięć kilometrów na godzinę. Z automatyczną funkcją „powrotu do domu”. Od dwóch lat używanie dronów jest zabronione przez Narodową Agencję Bezpieczeństwa. Stało się to po tym, gdy pewna komórka terrorystyczna wykorzystała je do przeprowadzenia ataków i szpiegowania. Ale na wyspie nie ma nikogo, kto kontrolowałby przestrzeń powietrzną. No dobrze, ja to robię.

Kładę dziewczynki do łóżka (Olivia jest bardzo zadowolona, bo nauczycielka postawiła jej piątkę za wypracowanie, a cała klasa biła jej brawo), wychodzę pobiegać, bo muszę pozbyć się napięcia. Biegnę przez czterdzieści pięć minut i cały czas płaczę. Nie jest to jednak smutny płacz. Jest wyzwalający. Dawno zostawiłam za sobą agonię i ogromne przygnębienie. Łzy nie wywołują już bólu, wprawdzie spływają po mojej twarzy, ale mieszają się z kroplami potu.

Biorę prysznic, nie suszę włosów. Wkładam spodnie od dresu, obcięte tuż nad kolanami, i wyświechtaną bluzę Chrisa z Uniwersytetu Wirginii. Jest tak

znoszona i wytarta, że można już tylko przeczytać niektóre litery z napisu: „Un
ersy t W rgi a”.

Wchodzę na poddasze i siadam w starym fotelu, który wyjęłam z kontenera na śmieci i własnoręcznie odrestaurowałam. Jest bardzo miękki i wygodny. Moje ulubione miejsce na zakończenie dnia. Szybko przebiegam wzrokiem po monitorach. Na wyspie panuje spokój. To mnie cieszy. Tej nocy wolę, żeby tak było.

Postanawiam wprowadzić do gry Hucka III. Chcę wypróbować kamerę z wizją nocną. Zakładam inteligentne okulary FPV, uruchamiam drona z poddasza, a ten wylatuje przez główne okno. W ciszy obserwuje wyspę. Gratuluję sobie znacznych postępów w obsłudze. Mam na koncie wiele godzin „wylatanych” z jego poprzednikami; eksperymentowałam i ćwiczyłam w obecności Olivii, która postrzega go jako zabawkę. Jest o wiele zręczniejsza w jego obsłudze ode mnie.

Podczas lotu rozpoznawczego słyszę przez radio policyjne (które zawsze mam włączone bardzo cicho) zawiadomienie gwardii przybrzeżnej hrabstwa Barnstable. Jakiś jacht został wyrzucony na brzeg przy cieśninie Vineyard, na wysokości Mashpee, tam gdzie znajduje się pole golfowe New Seabury Country Club.

Nie zwracam na to większej uwagi, ponieważ jestem skoncentrowana na utrzymaniu drona w pozycji horyzontalnej. Wieje silny wiatr. Dochodzę do wniosku, że wypuszczenie go nie było dobrym pomysłem. Ciekawość wzięła jednak górę.

Na pokładzie jachtu nie znaleziono nikogo. Stan morza określono na cztery w skali Douglasa.

Usiłuję aktywować w dronie tryb „powrót do domu”, ale musiałam go źle skonfigurować, bo nie reaguje.

Obawiają się, że osoba, która sterowała jachtem, wypadła za burtę. Służby ratownicze wyruszają na poszukiwania.

Silny podmuch wiatru. Dron się przechyla. Z trudem udaje mi się go kontrolować. Staram się posadzić go na ziemi.

Wtedy słyszę nazwę jachtu i nazwisko zaginionego członka załogi. Serce bije mi mocniej. Instynktownie patrzę na radio przerażona, domagając się wyjaśnień.

Tracę kontrolę nad Huckiem III. Uderza o dzwonnice kościoła. Zostaje całkowicie zniszczony.

Dzień 117. Rok I p.Ch.

Plaża jest pusta. Kłosa tańczą, poruszane wiatrem z północnego wschodu. Piasek tworzy małe wiry na wydmach. Jest zimno, mimo że mamy dopiero początek września. Jakiś człowiek na brzegu obserwuje wzburzone i hipnotyczne morze. Nie mogę dostrzec jego twarzy. Nie potrzebuję jej widzieć. Rozwiane i poskręcane przez wiatr i sól włosy. Jest bosy i ma na sobie dwukrotnie podwinięte spodnie w kolorze khaki. Piękne wściekłe fale uderzają o brzeg. Prąd strugowy kreśli bruzdy wokół jego stóp. Zbliżam się powoli, jakbym chciała zrobić mu niespodziankę albo jakbym bała się go przestraszyć. Jestem prawie naga, mam na sobie tylko męski sweter, bardzo szeroki, sięgający niemal do kolan. Wydaje mi się, że właśnie się kochałam z tym mężczyzną i że sweter należy do niego. Rzenie kilku dzikich koni. Mewa zawieszona w powietrzu. Czuję spokój. Czuję miłość do tego mężczyzny. Dlatego właśnie nie chcę, żeby się przestraszył: kochany, niech nigdy nie odchodzi. Zbliżam się do niego i obejmuję od tyłu. Ma rozpiętą koszulę. Otaczam go ramionami w pasie. Bawię się włosami na jego brzuchu. Wiem, że to lubi. On chwytą mnie za ręce. Delikatnie. Splata swoje palce z moimi. I bardzo mocno ściska. To, co wydaje się gestem miłości i jedności, zmienia się w zdziwienie, ból i lęk. Odwraca się. To Chris. „Robisz mi krzywdę, Chris, puść mnie”, myślę, ale nic nie mówię, bo bardzo się boję tego, jak na mnie patrzy. Twarz ma zakrwawioną po wypadku. „Co tutaj robisz?” – krzyczy. „Co TUTAJ robisz?!”

Kiedy się obudziłam, myślałam, że sen miałam o tej samej godzinie, o której zadzwoniła dziewczyna z pogotowia ratunkowego, powiadamiając mnie o wypadku Chrisa, 00.01. Ale nie, była 3.24 nad ranem. Po śmierci Chrisa najbardziej bałam się obudzić właśnie o tej godzinie. Zazwyczaj kładłam się wcześniej. Jeśli jednak z jakiegoś powodu jeszcze nie spałam, zatrzymywałam się, przerywałam to, czym się akurat zajmowałam. Nie był to hołd dla Chrisa, lecz czysty przesąd. Irracjonalny strach przed tym, że znów zdarzy się jakieś nieszczęście. A kiedy zegar wskazywał 00.02 i mijała ta feralna minuta, kontynuowałam to, co w danym momencie robiłam, nie przywiązując już do tej sprawy większej wagi.

Przez cały poprzedni dzień byłam jak sparaliżowana, czułam się przygnębiona, zropanczona, otoczona zapakowanymi pudłami i nawet nie wyszłam na ulicę (wciąż okropnie się bałam, że zostanę „przyłapana”). Uporządkowałam tylko rzeczy Ruby i rozpakowałam dwa pudła Olivii z jej zabawkami i rysunkami. Reszta została dosłownie tam, gdzie zostawili ją chłopcy z firmy przeprowadzkowej.

Kiedy odezwał się dzwonek do drzwi, nie zareagowałam. Po trosze dlatego, że nigdy wcześniej go nie słyszałam, a po trosze dlatego, że pomyślałam: „Właśnie mnie złapali”. Nie odważyłam się otworzyć, dopóki nie rozbrzmiało delikatne,

przyjacielskie stukanie. To była Miriam, właścicielka agencji nieruchomości, która sprzedała mi dom. Przyniosła śliczny kosz purpurowych stokrotek z Nowej Anglii.

– Kwitną właśnie o tej porze roku, pod koniec lata. Sama je zebrałam, na wyspie jest ich pełno.

– Są przepiękne – powiedziałam, przyjmując kosz. – Bardzo dziękuję.

– To nie jest prezent ode mnie jako agentki nieruchomości. Już wyciągnęłam od ciebie kasę, nie muszę się podlizywać. To ode mnie jako sąsiadki. Cóż, w rzeczywistości wszyscy tutaj jesteśmy sąsiadami, ale ja jestem twoją sąsiadką bardziej niż ktokolwiek inny. – Mieszkała przy tej samej ulicy, jakieś sto metrów dalej. – Chciałam przyjść wczoraj, żeby cię oficjalnie powitać, ale pomyślałam: „Miriam, zaczekaj jeden dzień, pozwól, by dziewczyna odnalazła się w nowym miejscu, żeby odetchnęła po przeprowadzce”. W końcu psychologowie twierdzą, że jest to jedna z najbardziej stresujących rzeczy obok rozwodu, zwolnienia z pracy i utraty ukochanej osoby. – Przerwała, uzmysławiając sobie, że popełniła gafę. Powiedziałam jej, że mój mąż zginął, ale dwa miesiące wcześniej niż w rzeczywistości, w wypadku lotniczym, kiedy leciał awionetką. Było to prawie niemożliwe do wytropienia i sprawdzenia. W Stanach Zjednoczonych dochodzi średnio do pięciu wypadków lotniczych dziennie, a rocznie ginie w nich ponad pięćset osób. Wszystko posprawdzałam. – Aj, przykro mi...

– Nie przejmuj się, mam już za sobą dwie z tych rzeczy – powiedziałam z uśmiechem, żeby nie czuła się źle. Nie przeszkadzała mi. W zasadzie cieszyła mnie jej obecność, jej pofalowane blond włosy, jej szeroki uśmiech i jej purpurowe stokrotki. Wiedziałam, że zostaniemy dobrymi przyjaciółkami. „Musicie być dobrymi przyjaciółkami, Alice, potrzebujesz sprzymierzeńców, informacji, musisz mieć wiedzę o życiu wszystkich mieszkańców”. – Jak widzisz, niewiele jeszcze rozpakowałam. – Zdałam sobie sprawę, że nie zaprosiłam jej do środka. – Przepraszam, wejdź, jeśli chcesz.

– Nie, dziękuję, znam ten dom aż za dobrze. I nie jestem typową sąsiadką plotkarą. Mam nadzieję, że wybierasz się na piknik na plaży, żeby świętować Dzień Pracy. Wiesz, że jest piknik, prawda?

– Tak, widziałam wiele plakatów, które go zapowiadają. Ale sama nie wiem, mam tyle rzeczy na głowie...

– Krępujesz się, prawda?

„Nie, boję się”.

– Trochę się krępujesz.

– Przecież nikogo nie znam. Co sobie o mnie pomyślą, wdowa z dwiema córkami i tak dalej...

„Przyłapią mnie. Przyłapią mnie. Przyłapią mnie”.

– Będę z tobą szczerą, Alice.

„Nie mam zamiaru nigdzie iść, nie mogę sobie na to pozwolić tak od razu,

mimo że cię polubiłam”.

– Właśnie się rozwiódłam.

„Świeżo po rozwodzie? Dlaczego się rozwiódła? Czyżby to miało jakiś związek z Chrisem?”

– I mam prawie roczną córkę, Chloe – dodała, pokazując elektroniczną nianię.

„Prawie roczną? Chloe? Chris ma kuzynkę o imieniu Chloe. Czy może raczej ciotkę?”

– Jeszcze nikomu o tym nie mówiłam, ale tutaj, na wyspie, wszyscy wszystko wiedzą.

„Wszystko? Trzeba będzie to sprawdzić”.

– Nie chcę iść, bo nie cierpię, jak ludzie plotkują, tym bardziej że będę musiała mówić o sprawach bardzo dla mnie bolesnych. Ale jeśli nie pójdę, to będzie jeszcze gorzej. Bo na pewno mój eks przy piwie opowie kolegom swoją wersję wydarzeń, obsmarowując mnie od góry do dołu. Mam więc dla ciebie propozycję: wybierzmy się tam razem, z naszymi córkami, w ten sposób nie będziesz się czuła tak zagubiona i zaniepokojona. Usiądziemy nieco dalej od pozostałych. Przedstawię ci ludzi, bo będą tam wszyscy, i opowiem ci trochę o bieżących sprawach. A kiedy będę z tobą, nikt też mnie nie odważy się zapytać o rzeczy, o które nie mam ochoty być pytana. Obie na tym zyskamy. Co ty na to? A poza tym bardzo mi się podoba twoja nowa fryzura – dodała, jakby to miało mnie ostatecznie przekonać.

Ale nie było takiej potrzeby. Wszystko podała mi jak na tacy. W moim drugim dniu na wyspie miałam poznać wszystkich mieszkańców, a ponadto chciała mi opowiedzieć o ich życiu. Pracę na miesiące mogłam wykonać w ciągu zaledwie jednego dnia.

Przed wyjściem upewniłam się, czy mam w pełni naładowaną komórkę i otworzyłam dwa pudła w poszukiwaniu plecionej torby, którą sama wykonałam, idealnej, by umieścić w niej telefon dyskretnie nagrywający naszą rozmowę. Zrobiłam nawet próbę w domu, żeby się przekonać, czy dźwięk dobiegający przez dziurki w torbie jest dobry. „Świetnie, Alice. To będzie bułka z masłem”.



Czułam się jak pierwszego dnia w nowej szkole. Podekscytowana, zdenerwowana, pełna nadziei i obaw. Było to coś, co mnie jako nauczycielkę bawiło, kiedy u nowych uczniów widziałam przestraszone twarze, pokorę i potulność. Ale teraz to ja byłam tą nową, to ja musiałam nawiązać przyjaźnię, zbierać dobre stopnie i być popularna. I jak każda dziewczynka w takiej sytuacji czułam się mała i niepewna na Pleasant Beach¹¹, siedząc razem z Miriam na naszych kocach, pod parasolem, w okularach przeciwsłonecznych, w czapeczce

Boston Red Sox, wysmarowana kremem z filtrem SPF 50+ i z Ruby w ramionach. To miało na celu chronić mnie przed wszystkim i ukrywać przed wszystkimi. Straszyl mnie każdy hałas. Szczekanie psów biegających po piasku, mewy szukające resztek jedzenia, fale delikatnie uderzające o brzeg, krzyki bawiących się dzieci czy głośny śmiech rozmawiających dorosłych. Dyski dla psów, latawce i plażowe piłki wyglądały jak broń masowej zagłady. Jakbym zamiast na przyjemnej plaży – co obiecywała sama jej nazwa – w otoczeniu ludzi chcących się rozerwać znajdowała się w epicentrum przegranej bitwy, będąc wrogiem obu stron.

– Ci siedzący przy grillu to Karen i jej mąż, John. Karen jest właścicielką jedyne go pensjonatu na wyspie, Karen's Petite Maison. Otworzyła go, bo czuła się bardzo samotna. John jest inżynierem w marynarce wojennej i przez wiele miesięcy w roku przebywa poza domem, w łodzi podwodnej. Prawie wszyscy jesteśmy mu za to wdzięczni, ale przede wszystkim ona... I ich syn Rick.

– Rick, co ci powiedziałem?! – krzyknął John na swojego syna, który grał w zaimprovizowany mecz futbolu amerykańskiego z chłopcami mniej więcej w swoim wieku.

– Pozwól mu, raz się żyje – powiedziała Karen do męża.

– Raz się żyje, ale można nabawić się kontuzji. Przestań się zajmować się tymi absurdalnymi meczkami i pomóż nam przy hamburgerach.

Miriam mi wyjaśniła, że Rick jest kapitanem szkolnej drużyny żeglarskiej, a jego ojciec jest zdeterminowany, żeby zrobić z niego mistrza olimpijskiego. Od małego pływał na 470. Teraz uczył się w ostatniej klasie i spodziewał się atrakcyjnych ofert stypendium z najlepszych uniwersytetów i dlatego tak ważne było, żeby miał dobry, pełen sukcesów i nieprzerywany sezon kontuzjami. Rick posłuchał ojca z poczuciem upokorzenia, ponieważ został potraktowany jak smarkacz w obecności swoich kolegów, którzy nie omieszkali stroić sobie z niego żartów. Przypomniało mi to ten sam rodzaj presji, której ze strony swojego ojca poddany był Chris, tyle że w kwestii tenisa. Byłam bliska płaczu.

– Wcześniej czy później zostaniesz zaproszona przez Karen na kolację do pensjonatu – ciągnęła Miriam. – Będzie chciała przedstawić cię swojemu bratu, Keithowi, który mieszka sam w zamku na prywatnej wysepce tuż obok Martha's Vineyard. Ma mnóstwo kasy i jest kawalerem, czego jego siostra nie może zrozumieć i za wszelką cenę chce temu zaradzić.

Wyjątkowo piękna i kokieteryjna dziewczyna w koszulce na ramiączkach naciągniętej na krótkie spodenki, spod których wystawały pośladki, podeszła do grilla, żeby wziąć dwa gorące hot dogi.

– Ta dziewczyna to Summer Monfilletto. Niedawno skończyła osiemnaście lat. To oficjalna niania wyspy. Wszystkie dzieci ją uwielbiają. O ich ojcach nie wspominając. Wyrzucili ją ze szkoły, nie wiem, w którym stanie Środkowego Zachodu, i nikt nie wie dlaczego. Matka wysłała ją na rok na wyspę, do ciotki, żeby

zawrócić ją ze złej drogi i żeby przy okazji zarobiła trochę grosza, pracując jako opiekunka do dzieci. Wydaje się, że zostanie. Mówi się, że jest w ciąży. Wkrótce się o tym przekonamy.

Skupiając na sobie nieumiejętnie skrywane spojrzenia niemal wszystkich mężczyzn, Summer podeszła do siedzącej na krzeselku pod kolorowym parasolem czterdziestoparoletniej kobiety, mającej spokojny wyraz twarzy, jakby skrywającej jakiś sekret, o którym nikt nie wiedział, co sytuowało ją ponad pozostałymi mieszkańcami, choć się nie izolowała. Mogła być sędzią Sądu Najwyższego.

– To jej ciotka, Jennifer. Prawie nigdy nie pokazuje się publicznie. Jej mąż, Stephen, od trzech lat jest w śpiączce i leży w domu w stanie wegetatywnym. Szanse, że się wybudzi, są praktycznie zerowe, ale ona nie chce go odłączyć. Opiekuje się nim w domu, sama. Wiele osób się zastanawia, ja zresztą też, jak taka piękna kobieta, wciąż młoda, bo liczy czterdzieści dziewięć lat, mając jeszcze tyle życia przed sobą, może się sama w taki sposób więzić.

Nie rozumiałam nic z tego, co opowiadała mi Miriam. Rozmowy, przedstawianie, powitania, prawdziwe życie – wszystko było tak zamglone, jakbym oglądała to z daleka przez dźwiękoszczelną szybę. Oddzielona od wszystkiego i pogrążona w letargu. Miałam włączony dyktafon w komórce, którą trzymałam w torbie, ale nie byłam pewna, czy łapał to, co mówiła Miriam. Próbę w domu – która sprawiła, iż poczułam, że jestem bardzo przebiegła – przeprowadziłam w całkowitej ciszy. A tutaj, na plaży, dał wiatr (przynajmniej ja to tak postrzegałam). Jednak mój niepokój i mentalne obłąkanie chyba nie zwracały nadmiernej uwagi, gdyż Miriam mówiła bez przerwy, chociaż nie była uciążliwa – mówiła w sposób serdeczny, przyjacielski i pouczający, jak audioprzewodniki w muzeach. Mówiła, bo ją o to poprosiłam, a ona starała się tylko spełnić moją prośbę i ułatwić mi wejście w społeczność wyspy.

Jedna z dziewczyn musiała zauważyć, że od jakiegoś czasu się jej przyglądam, bo spojrzała w moją stronę. Skądś ją znałam, ale nie wiedziałam skąd. Nie zareagowała źle, przeciwnie, nawet uprzejmie pozdrowiła mnie z daleka. Odpowiedziałam skinieniem głowy, umierając ze wstydu, po czym odwróciłam wzrok.

– Właśnie skinęłam w stronę kogoś, kogo powinnam chyba znać, ale nie mam pojęcia skąd – powiedziałam do Miriam, cedząc słowa.

– Gdzie?

– Po lewej. Jakies dwadzieścia metrów. Na dziesiątej – powiedziałam, nie patrząc ani nie wykonując żadnego gestu. – Ta brunetka, która rozmawia ze starszym panem.

Miriam spojrzała we wskazanym kierunku, zanim zdążyłam ją poprosić, żeby tego nie robiła.

– Trzydzieści lat, bardzo ciemna skóra, niski kucyk i właśnie je makaron?

– Tak, chyba tak.

– To Barbara. – Barbara? Nic mi to nie mówiło. – A ten obok to jej ojciec, Frank Rush. Jest weterynarzem. Ma klinikę weterynaryjną i sklep zoologiczny przy Grand Ave. Jest także właścicielem stadniny koni Horse Rush Farm, chociaż od śmierci żony, Rose, przed dwoma laty, to Barbara zajmuje się wszystkim w stadninie. Też jest weterynarzem, specjalizuje się w leczeniu koni.

– Ach, dziewczyna od koni. – W końcu sobie przypomniałam, czując ulgę. Odważyłam się nawet znów dyskretnie spojrzeć w jej stronę. Ta dziewczyna była obecna przy moim porodzie, miała wtedy wizytę u dentysty.

Podszedł do niej chłopak w jej wieku. Właśnie się kąpał. Pozbierał swoje rzeczy, dał jej niewinnego buziaka w policzek, pożegnał się z ojcem i oddalił pośpiesznym krokiem.

– To jej narzeczony, Jeffrey Sorensen. Jest pilotem. Prowadzi wypożyczalnię taksówek powietrznych. Na pewno dostał zlecenie.

Popatrzyłam na Olivię. A raczej zaniepokojona poszukałam jej wzrokiem, jakby od ostatniego razu, kiedy ją widziałam, minęły godziny, a nie minuta. Była jakieś piętnaście metrów dalej, budowała zamki z piasku z dziećmi w swoim wieku. Zadziwiło mnie, jak łatwo potrafiła nawiązywać znajomości (co ewidentnie odziedziczyła po swoim ojcu – ten naturalny dar, by od razu być lubianą i błyskawicznie ze wszystkimi się dogadywać). Była z chłopcem o ciemnych włosach i zielonych oczach. Olivia: „Jak masz na imię?”. On: „Oliver”. Olivia: „Oliver? Ja jestem Olivia. Masz prawie takie samo imię jak ja”. Widać było, że spodobał jej się ten zbieg okoliczności, a także sam chłopiec. „Oliver, wiesz, że mama obiecała, że kupi mi kucyka, żebym była szczęśliwa, bo umarł mój tata?”

– Jakie wszystko jest proste, kiedy jest się dzieckiem, prawda? – Miriam zauważyła, że przestałam słuchać jej monologu i patrzyłam na Olivię. Przytaknęłam.

– Podchodzisz, mówisz „cześć”, zaczynasz się bawić i już jesteście przyjaciółmi.

– Albo narzeczonymi, bo teraz wszystko dzieje się znacznie szybciej. To Oliver, syn Marka i Julii. Marka już oczywiście znasz...

Mark? Jaki Mark? Zastanawiałam się przez chwilę, nie mogąc sobie przypomnieć nawet jednego imienia z tych, które Miriam wymieniła w ciągu tej półtorej godziny opowiadania i przedstawiania mi ludzi. Aż dyskretnie pokazała palcem miejsce, w którym się znajdował. Mark. No jasne, co ze mnie za idiotka. Mark dentysta, mężczyzna, który naprędce zorganizował mój poród, ten, który nawet spocony ładnie pachniał. Siedział plecami do jakiejś kobiety, a może to ona siedziała plecami do niego, do wszystkiego i do wszystkich, bo wzrok miała utkwiony w morzu, była całkowicie pogrążona w swoich myślach i niezainteresowana świętowaniem. Nawet nie miała odruchu, by od czasu do czasu

spojrzeć na swojego syna, co jest mimowolną reakcją, którą my, rodzice, mamy zainstalowaną w autonomicznym układzie nerwowym jak oddychanie. Mark jadł w ciszy i niechętnie (ona niczego nie tknęła). Napięcie panujące między nimi było widoczne jak na dłoni. Oboje pod parasolem przeciwsłonecznym, w takiej samej pozycji, odwrócenii do siebie plecami. Dwa symetryczne byty, przyklejone i rozdzielone przez ten sam pręt, który je łączy. Tak blisko, a tak daleko. Wydawało się, jakby pozowali do artykułu o kryzysie małżeńskim w „Reader’s Digest”.

– Pewnie nie wiesz, że Mark był bardzo znanym dentystą w Nowym Jorku, zajmował się tamtejszymi bogaczami i celebrytami. Ale postanowili odsunąć się od elity i tego całego zgiełku i przeprowadzili się tutaj. To była przede wszystkim jej decyzja. Julia jest pisarką. Czytałaś *Pogrzebową sukienkę*?

– Julia Ponsky? – zapytałam zdumiona. Miriam przytaknęła. – Wow...

Jasne, że czytałam *Pogrzebową sukienkę*. Kto nie czytał?! To była jej pierwsza powieść, która przez wiele tygodni znajdowała się na liście bestsellerów (dlatego ją kupiłam, a poza tym polecał mi ją znający się na rzeczy profesor Buck). Zdobyła dużo nagród, których nie byłam w stanie sobie przypomnieć, zwłaszcza w tym momencie.

– Od miesięcy jest pogrążona w depresji, z której nie może wyjść.

– Twórcza blokada?

Miriam wzruszyła ramionami. Nikt tego nie wiedział. „Jest ładna, co, Alice? Równie dobrze mogłaby być w typie Chrisa. Jest przygnębiona z powodu jego śmierci? Zapytaj Miriam, od kiedy cierpi na depresję. No dalej, śmiało. To niewinne pytanie, nie ma w nim nic dwuznacznego. Zwykła ciekawość czy troska o jedną z twoich ulubionych pisarek. Nie będzie to wyglądać dziwnie ani podejrzanie”. Owszem, to łatwe, ale nie byłam w stanie tego zrobić. Spojrzałam na telefon w sposób mechaniczny, jak ktoś, kto sprawdza, czy dostał nową wiadomość, chociaż nie zabrzmiał żaden dźwięk. Dyktafon nie nagrywał. W którymś momencie się zatrzymał. Czyżby miał jakiś limit? Na pewno miał. A może zapomniałam włączyć nagrywanie? Nie wiem. Wszystko na nic, koniec z moimi marzeniami, by znaleźć skarb bez szukania. Dlaczego skarbem nazywałam kłamstwo, które skrywało wszystko z wyjątkiem klejnotów i złotych monet? A rzeczywistość wyglądała tak, że nie byłam na etapie szukania iksa na mapie, gdyż moja mapa była pusta. Najpierw musiałam nazwać każde puste miejsce.

– Widzisz to zgromadzenie samców alfa? – zapytała Miriam, wskazując jednocześnie grupę mężczyzn pijących piwo. Przytaknęłam. – W grudniu, przy minusowych temperaturach, nadal będą nosić bermudy, żeby pokazać, jak są twardzi i nieustraszeni. Tylko buty sportowe zamienią na timberlandy, a na koszulki włożą puchowe kamizelki. Tak, kamizelki, bez rękawów, bo zakrycie wytatuowanych ramion zimą jest pedalskie. Mój eks to ten blondyn w czapce

założonej na odwrót, najprzystojniejszy ze wszystkich, w zasadzie jedyny przystojny. Mike.

Chociaż nie mógł nas słyszeć, wystarczyło, że Miriam wymówiła słowo eks, żeby Mike nieco się odwrócił i popatrzył na nas lekceważąco. Chciałam powiedzieć, że przypomina zranionego, niebezpiecznego dziką, ale wolałam zachować ostrożność. Bardzo często – ku swojemu zdumieniu – byłam świadkiem tego, jak przyjaciółki czy znajome krytykowały swoich narzeczonych albo mężów, ale – uwaga – kiedy ktoś biorący udział w rozmowie zgadzał się z nimi i też otwarcie zaczynał krytykować ich partnerów, rzeczony przyjacielki czy znajome natychmiast przechodziły do ich obrony i się obrażały.

– Jest wściekły i ma urażone ego. Czekaj, aż popełnię jakiś błąd, żeby odebrać mi prawo do opieki nad Chloe, tylko po to, żeby mi dokuczyć. Bo zupełnie nie interesuje się dzieckiem. Ma firmę zajmującą się gospodarowaniem odpadami. Ale do śmieci to on sam się nadaje.

– No, wreszcie poznam „rudą, która postawiła stopę na wyspie i urodziła”...

To były słowa Karen. Podeszła do nas z butelką białego wina i kilkoma plastikowymi kubkami. Miriam nas przedstawiła.

– Karen, to jest Alice. Alice, to jest Karen.

„Karen, Karen, Karen... Czymże ona się zajmuje?”

– Cześć, Karen, miło mi cię poznać.

Podaliśmy sobie ręce. Uścisk był silny po obu stronach, taki, jaki mi się podoba.

– Mnie również. Witaj na Robin Island. W najpilniej strzeżonym sekrecie na całym Cape Cod i znacznej części Stanów Zjednoczonych. – Karen palcem wskazującym dotknęła noska Ruby. – A to maleństwo?

– To jest Ruby – powiedziałam. Całe szczęście, że pamiętałam jeszcze imię swojej córki.

– No dobrze, wypijmy za twój przyjazd. Trochę zimnego wina? – Karen puściła do mnie oko i pokazała butelkę.

Pomyślałam o tym, jak dobrze zrobiłby mi kieliszek wina. W sumie cokolwiek, co złagodziłoby poczucie zagrożenia, ogarniający mnie lęk. Kieliszek/ochronna peleryna w postaci alkoholu. Nie chciałam jednak sprawiać wrażenia złej matki, ponieważ powszechnie się uważa, że nie można pić, kiedy karmi się piersią. Nie chciałam tutaj przełamywać tego stereotypu, a w zasadzie to najbardziej chciałam nie zwracać na siebie uwagi. Pozostać niewidzialną. Nieszkodliwą. Serdeczną. Niewzbudzającą podejrzeń.

– Ja nie, dziękuję. Karmię piersią Ruby. Nie powinnam pić alkoholu.

Miriam i Karen popatrzyły na siebie i się roześmiały.

– No co ty, przestań! Nie bądź staroświecka! O, przepraszam, nowoczesna! Należysz do mlecznej ligi? Jesteś jedną z tych matek, które na żądanie karmią

piersią swoje dzieci do dwudziestego czwartego roku życia? – powiedziała Karen, odkorkowując butelkę, która była już w połowie pusta. – Kto tutaj rządzi, matka czy dziecko? Ja ci mówię: matka! Wystarczy już tych głupot. Moja matka kopciła jak komin i wielkimi łykami piła swojego burbona przed ciążą, w trakcie ciąży i po niej. I popatrz na mnie. Wyglądam jak róża.

– Ja się piszę – powiedziała Miriam.

Nie wiedziałam, co mam robić. „Musisz stać się popularna, Alice. Nie możesz być nudziarą. Musisz się zintegrować. Muszą chcieć cię w swoim życiu. Muszą ci zaufać i o sobie opowiedzieć. Pij!”

– No dobrze, wszystko, co jest dobre dla matki, musi być też dobre dla dziecka, prawda? – w końcu się poddałam.

– To mi się podoba! – Karen podała mi kubek, który przytrzymałam w górze, aby mogła mi nalać. – Będiesz bardzo szczęśliwa na wyspie. Zobaczysz. Przy okazji, przepraszam za niedyskrecję, ale nie widzę obok ciebie faceta. Przyjechałaś sama z dziewczynkami, prawda? Czy to znaczy, że w twoim życiu nie ma żadnego mężczyzny?

– Karen, nie bądź wścibska, Alice jeszcze sobie pomyśli, że na wyspie wszystkie jesteśmy plotkami i odniesie mylne wrażenie – wtrąciła ironicznie Miriam.

– Nie jestem plotkarką. To normalne pytanie. Zadane uprzejmie i grzecznie. Martwię się o naszą nową sąsiadkę i... No dobra, tak, jestem plotkarką. – Wybuchła śmiechem. Była nieźle wstawiona. Z daleka widziałam, że jej mąż patrzy na nas z dezaprobatą i zadufaniem. – Jesteś bardzo ładna, Alice. Wiesz, że mój brat ma słabość do rudych? Musisz go poznać. Któregoś dnia zorganizuję kolację w pensjonacie. Spodoba ci się. – „Ach, to ta od pensjonatu! Ta, która ma bogatego brata”. – Ma na imię Keith i jest właścicielem wyspy, Napoleon Island. Z zamkiem i czterdziestometrowym jachtem. Tylko dla niego i dla kobiety jego marzeń, której jeszcze nie znalazł. Jest nadziany, Alice.

Miriam i ja wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia.

– Okej. Bardzo chętnie poznam twojego brata.

„Keith, Keith, Keith, Keith... Będę pamiętać?”

– Fantastycznie. – Karen popatrzyła na Miriam. – Ty też możesz przyjść. Już się dowiedziałam, że znowu jesteś do wzięcia. Czy jeszcze jesteś w żałobie?

Zanim Miriam zdążyła zdecydować, czy odpowiedzieć, czy zrobić unik, jakiś hałas zagłuszył rozmowę. Był to hydroplan, ten Jeffreya Sorensena (dlatego tak szybko opuścił piknik), narzeczonego Barbary Rush, tej od koni i omdlenia przy moim porodzie. Przeleciał nad plażą na bardzo niskiej wysokości. Hydroplan do ogona miał przyczepiony wielki transparent, na którym było napisane: AMANDO, WYJDZIESZ ZA MNIE?

Na plaży zapanowało wielkie poruszenie. Krzyki. Wiwaty. Wrzawa. Oklaski.

Wszyscy odwrócili się w stronę głównej bohaterki, Amandy. Młoda, powiedziałabym, że ledwie skończyła dwadzieścia lat. Wyglądała na zachwyconą, że skupiła na sobie uwagę zgromadzonych. Zachowywała się tak, jakby już kiedyś była w podobnej sytuacji. Może jest królową piękności hrabstwa? A przynajmniej balu maturalnego. Uśmiechała się i płakała ze wzruszenia, wyrzucając z siebie okrzyki: „Och, mój Boże! Och, mój Boże! Och, mój Boże!”, jakby się tego nie spodziewała ani nie była na to przygotowana. Ale to oczywiste, że była. Przez całe życie czekała i przygotowywała się na tę chwilę. Była siódma wieczorem. Zachodzące ciepłe słońce wyglądało jak czerwony węzeł, który spinał ten idealny moment. I wtedy pojawił się on, Alex – w tym samym wieku co ona – jechał na grzbiecie majestatycznego białego perszerona. Wszyscy mieszkańcy wyspy, którzy do tej pory znajdowali się w różnych miejscach plaży, zebrali się, i jakby wcześniej to przewidzieli, utworzyli korytarz prowadzący go do dziewczyny. Korytarz, który potęgował wrażenie kolektywnego oczyszczenia.

Wszyscy byli razem, ściśnięci. Każdy element mapy mojego skarbu. Ponad czterysta życiorysów do rozszyfrowania. „I przestań już z tym skarbem. To nie jest skarb, tylko wyrok. A ten klucz, który zawsze masz przy sobie, jakby był amuletem, Klucz Master, który znalazłaś razem z kluczem do furgonetki, nie otworzy niczego dobrego. Ten klucz otwiera pustkę, ciemność, prowadzi do czarnej dziury, która cię wciągnie i z której nigdy nie wrócisz”. „Co tutaj robisz, Alice? Co tutaj robisz?!” – to nie był mój głos, to był głos Chrisa.

Pierwsze, co poczułam, to przeszywający gwizd w obojgu uszach, który z furją pociągnął mnie do tyłu i dachował w mojej głowie.

Alex dotarł do Amandy. Był ubrany cały na białą.

Ostry ból w uszach wywołał falę uderzeniową od głowy do stóp. Tsunami krwi, które opuszczało moje ciało.

Alex zwinnie zeskoczył z konia.

Częstoskurcz. Suchość w ustach. Mocno ścisnęłam Ruby, żeby mój instynkt macierzyński wziął górę nad paniką. Nie poskutkowało.

Alex uklęknął przed Amandą. Ona, wiedząc, co ma nastąpić, nie przestawała powtarzać: „Och, mój Boże. Och, mój Boże. Och, mój Boże...”. Bardzo umiejętnie płakała, nie psując sobie makijażu.

„Gdzie jest Olivia? Nie widzę Olivii. Chcę stąd iść, z wyspy, nie chcę tutaj być”. Oczy zaszyły mi mgłą. Rozpadałam się.

Alex wyjął pudełeczko z pierścionkiem. Amanda zakryła rękami usta w geście zdziwienia.

Sięgnęłam do torebki. Teraz zawsze miałam przy sobie xanax. Trzęsły mi się ręce. Nie mogłam znaleźć, chociaż schowałam go do konkretnej przegródki (razem z Kluczem Master) właśnie po to, żeby nie mieć problemu z odszukaniem tabletki w nagłej potrzebie. Ale ręce mnie nie słuchały. Wszystkie kończyny miałam

sztynne, niezdolne do poruszania się.

– Amando Elizabeth Younker – wypowiedział uroczyście Alex niczym księżę z bajki – powinnaś odpowiedzieć na pytanie z hydroplanu, zanim skończy mu się benzyna.

Na co ona natychmiast zaczęła krzyżeć:

– Tak!! Tak, jasne, że tak! Tak! Tak! Taaaaak!!!

Zapomniałam o oddychaniu. A następnie o życiu.

Alex wyjął pistolet sygnałowy i wystrzelił w niebo. W środku poczułam wybuch. „Odchodzę – powiedziałam i wypuściłam Ruby. – Przepraszam, maleńka...”.

Hydroplan wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, odkrywając napis na drugiej stronie transparentu: POWIEDZIAŁA TAK.

Zgasłam.

Rozpłynęłam się we mgle.



Miriam zajęła się dziewczynkami. Powtarzałam, że nic mi nie jest, że to udar cieplny (choć wcale nie było gorąco). Triumwirat od nagłych wypadków: Ben, ratownik medyczny, Margaret, szefowa policji, oraz Gail, szefowa ochotniczej straży pożarnej, chciał zabrać mnie do szpitala Cape Cod w Hyannis. Ale Mark, który musiał przeczuwać, że mam raczej zaburzenia psychosomatyczne niż cokolwiek innego, zainterweniował, jakby od chwili sprowadzenia na świat Ruby miał prawo do decyzji dotyczących mojej osoby. Ostatecznie zawieźli mnie na komisariat, gdzie trzymają cały zestaw do nagłych wypadków (defibrylator, duralone, adrenalinę, atropinę, surowicę, ciśnieniomierz...), żeby się upewnić, czy wszystko ze mną w porządku. Na całej klatce piersiowej miałam czerwoną wysypkę. Kiedy wykluczono wstrząs anafilaktyczny, Mark, który pojechał z nami, zaoferował, że ze mną zostanie i odwiezie mnie do domu, gdy tylko odzyskam trochę życia. Dzięki temu Ben, Margaret i Gail mogli wrócić na piknik. Martwiło ich to, że wiele osób było pijanych. „Zawsze znajdzie się jakiś żartowniś, któremu zachce się awantury. Tak jest co roku”, powiedziała szefowa Margaret. Kiedy wyszli, Mark zaproponował, żebyśmy się przenieśli do jego gabinetu dentystycznego (naprzeciwko), gdzie będzie nam wygodniej.

Mark znowu zmierzył mi ciśnienie. Leżałam na łóżku i wciąż kręciło mi się w głowie. Już po raz drugi byłam w jego gabinecie, chociaż nie miało to żadnego związku z moim uzębieniem.

– Osiemdziesiąt na sześćdziesiąt, nadal jest bardzo niskie. Pierwszy raz ci się to przytrafiło?

– Skąd, jestem bardzo podatna na omdlenia.

– Mam na myśli atak paniki.

– Nie, ale to był tylko spadek ciśnienia...

– Alice, odebrałem twój poród. Możesz mi zaufać. A poza tym od trzech lat biorę zolof, atak paniki potrafię rozpoznać na kilometr.

Wysypka na klatce piersiowej zaczęła mnie palić – to znak, że powinnam się przyznać.

– Boże, co za wstyd, co ja narobiłam! I to jeszcze podczas zaręczyn.

– Nie przejmuj się, powiemy, że przedawkowałaś nudę. Wszyscy to zrozumieją. Te dzieciaki są stworzone do tego, by zostać najszczęśliwszą i najdoskonalszą parą na wyspie.

Moją uwagę zwróciło to, że w gabinecie wszystko było nowe, jakby jeszcze nie używał tego sprzętu.

– Pewnie nie masz zbyt wielu pacjentów?

– Nie, to jest przykrywka. Zamiast wybielać zęby, pierę brudne pieniądze – zażartował. Po czym dodał: – Raz albo dwa razy w miesiącu jeżdżę do Nowego Jorku. Prowadzę tam klinikę ze współnikiem. Tydzień endoncji wykonanych bogaczom z Upper East Side oznacza spore wpływy. Poza tym dobrze jest wyjechać stąd od czasu do czasu. Wyspy bywają bardzo klaustrofobiczne.

Mark powiedział mi, że pochodzi z Cedarburga w stanie Wisconsin, małego miasteczka jak z bajki, położonego w pobliżu jeziora Michigan. Jego ojciec był jedynym dentystą w całej miejscowości. Człowiek serdeczny i spokojny, który w wolnym czasie łowił łososie w jeziorze, a w swoim garażu wytwarzał ser i piwo. Zawsze chciał, żeby jeden z jego synów, Mark albo starszy, Paul, przejął gabinet i kontynuował rodzinną tradycję (dziadek Marka też był dentystą). Ale Mark nie chciał zostać stomatologiem, lecz lekarzem, takim, który ratuje życie, chirurgiem czy kimś podobnym, i chciał wyjechać z miasteczka, które było tak idylliczne, że się w nim dusił. Poczul więc wielką ulgę, kiedy stało się jasne, że powołanie w genach ma Paul. Kilka lat później, w noc balu kończącego szkołę, Paul, przyjeżdżając już na wydział stomatologii Uniwersytetu Illinois, miał wypadek samochodowy razem ze swoją dziewczyną, Samantha, i jeszcze dwiema parami. Kierowca limuzyny (potem okazało się, że był pijany), którą wypożyczyli, stracił kontrolę nad pojazdem, wypadł z drogi i uderzył w drzewo. Zginęło troje pasażerów, w tym Samantha. Paul wyszedł z tego, ale stracił wzrok i doznał ciężkich poparzeń twarzy i innych części ciała, próbując wydostać ją ze zgniecionej żelastwa płonącego samochodu. Po wypadku cierpiał na silną depresję. Mark źle to znosił. Bardzo kochał brata i chciał sprawić, żeby poczuł się lepiej. Pragnął stać się jego oczami – żeby dzięki niemu mógł widzieć świat i mieć choć trochę radości. Być może dlatego rok później, kiedy kończył szkołę średnią, w ostatniej chwili zmienił zdanie i zamiast pójść na wydział medycyny na Uniwersytecie Michigan, ostatecznie zdecydował się na wydział stomatologii na Uniwersytecie Illinois, gdzie miał studiować jego brat. Na niewiele jednak zdał się ten godny pochwały gest, gdyż

cztery lata później, zaledwie trzy miesiące przed uzyskaniem dyplomu przez Marka, jego brat – który uzależnił się od leków przeciwbólowych, kojących chroniczny ból spowodowany skutkami oparzeń oraz śmiercią ukochanej – popełnił samobójstwo, aplikując sobie mieszankę alkoholu, środków uspokajających, środków zwiotczających i antydepresantów. Ojciec zmarł zaledwie pięć miesięcy później na zawał serca. Zamknęli gabinet ojca, matka przeprowadziła się do córki w Key Biscayne na Florydzie, a Mark wyjechał do Nowego Jorku, gdzie planował powrócić do swojego powołania i zostać chirurgiem, ale miał jeszcze do spłacenia ponad sześćdziesiąt tysięcy dolarów pożyczki studenckiej, którą wziął, aby opłacić studia stomatologiczne. Tak więc zaczął pracować na pół etatu w gabinecie stomatologicznym i równocześnie robił magisterkę z endodoncji klinicznej na Uniwersytecie Nowojorskim.

– A konkludując – kończył Mark swoją krótką opowieść – czego chciałem uniknąć? Bycia dentystą w miasteczku tyleż idyllicznym, co duszącym. Kim ostatecznie zostałem? Dentystą na wyspie tyleż idyllicznej, co duszącej. Bez wątpienia to wielki awans.

Uśmiechnęłam się, myśląc: „Co ci to przypomina, Alice?”. Czulałam się już znacznie lepiej. W końcu ustąpiło drżenie rąk i łaskotanie w głowie.

Przed odwiezieniem mnie wózkiem golfowym do domu Miriam, żebym odebrała dziewczynki, dał mi fiolkę valium.

– Na ataki paniki jest skuteczniejsze niż xanax.

Przez cały czas odnosiłam wrażenie, że Mark chciał zostać ze mną sam na sam tylko po to, żeby mnie poderwać. Nie, nie poderwać, żeby ze mną flirtować. Wysłać sygnały, że jest zainteresowany, ale bez angażowania się. Chociaż może, gdybym nie zobaczyła fatalnego obrazu jego związku, gdybym spostrzegła, że jest zadurzony w Julii, to jego zachowanie potraktowałabym w kategoriach zwykłej sąsiedzkiej solidarności. Dobry sąsiad, który zna się na medycynie. I kropka. Tak więc postanowiłam dłużej o tym nie myśleć, uświadomiwszy sobie, że było to zwyczajne wyobrażenie, które nie miało nic wspólnego z emocjonalnym ani seksualnym pożądaniem (u mnie całkowicie nieaktywnym), lecz z potrzebą, aby przystojny, pewny siebie i zabawny mężczyzna zwrócił na mnie uwagę i się mną zaopiekował. Nie było to pragnienie wobec Marka, ale wobec Chrisa.

Dzień 118. Rok I p.Ch.

Drzwi prowadzące na poddasze były zaryglowane. Tak długo ich nie otwierano, że drewno rozszerzyło się pod wpływem wilgoci. Pchnięcie ramieniem. Au. Jeszcze jedno. Au. Jeszcze jedno. Au. Otworzyły się. Od razu usłyszałam, jak coś ucieka. Pazury stukające o drewno. Krótkie, małe łapki zareagowały na hałas i przebierały w poszukiwaniu kryjówki. „Myszy”, pomyślałam. Nie zabiłabym ich. Złapałabym i wypuściła na zewnątrz z całkowitym spokojem. Od czasu spotkania z kukułką, która patrzyła na mnie tak, jakby była Chrisem, stałam się bardzo wrażliwa na otaczającą nas faunę. Nie wierzyłam w reinkarnację (przynajmniej do wtedy), ale uważałam, że duch Chrisa mógł zamieszkać w każdym stworzeniu z królestwa zwierząt, tak więc nie zabijałam nawet much czy pajaków ani w ogóle żadnego dokuczliwego stworzenia. Wyjątek stanowiły karaluchy. Te deptałam z wściekłością. „Chris, nie wiem, co mi zrobiłeś, ale mam nadzieję, że to nie było aż tak złe, żeby jakiś hinduski bóg skazał cię na zamieszkanie w karaluchu, którego rozgniotłam w stanach Rhode Island i Massachusetts”.

W pomieszczeniu było ciemno. Znalazłam tam tylko drewniany stół, tablicę do pisania kredą, starą i niedokładnie wytartą, oraz złamane krzesło. Zasłony zaciągnięte na duże okna blokowały dostęp słońca i tworzyły wrażenie scenerii okropnej zbrodni, z którą poprzedni właściciele nigdy nie potrafili sobie poradzić.

Odśloniłam okna, a światło i kurz załazy pomieszczenie. I jeszcze szybsze przebieranie przestraszonych łapek, szukających kryjówek. „Spokojnie, myszko, nie zrobię ci krzywdy, tylko uprzejmie cię wyeksmituję”.

Odwróciwszy się, krzyknęłam z przerażenia: groziły mi wściekle zęby. To był szop, za wszelką cenę gotowy bronić tego, co uważał za swoją norę. Chrząkał. Zagradał mi drzwi. „Tylko jedno z nas wyjdzie stąd żywe”, zdawał się mówić.

Nigdy nie słyszałam, żeby Olivia kiedykolwiek wydała z siebie tak głośny i przeszywający krzyk. Właśnie weszła, aby zobaczyć, co robi na górze jej matka, i natknęła się na szopa i nasz pojedynek na śmierć i życie. Krzyk tak bardzo zaskoczył zwierzę, że wystrzeliło w moją stronę, uciekając od dziewczynki. Chwyciło łapami moje lewe przedramię, zostawiając na nim pięć równoległych krwawiących zadrapań. „Boże, ale jestem wściekła”, pomyślałam. Zamiast mnie przestraszyć, sprawił, że zareagowałam. Rozzłościł mnie. Na podłodze leżała drewniana noga od krzesła. Mocne, celne uderzenie. Łup. „Chris, mam nadzieję, że nie ma cię w tym szopie”.

Musiałśmy pochować zwierzę ze wszystkimi honorami. Olivia czuła się winna jego śmierci. Kiedy tylko zobaczyła, że leży bezwładnie na podłodze, zaczęła biadolić: „Och, jaki jest piękny, jaki słodki Puchi-Puchi... Obudzi się teraz, mamoo?”. Pięknie, kolejna trauma dla małej. Pogrzebałyśmy go w wykopanym wspólnie dole w ogrodzie i postawiłyśmy krzyż z jego imieniem – Puchi-Puchi.

A Olivia zmówiła modlitwę: „Puchi-Puchi, odpoczywaj w niebie i pozdrów ode mnie tatę, i mam nadzieję, że zostaniecie przyjaciółmi i że powiesz tacie, że mama nie chciała cię zabić, bo jesteś bardzo słodki, i chciałyśmy, żebyś z nami został. Kochamy cię, Puchi-Puchi, a jeśli znajdziemy twoje dzieci, będziemy się o nie troszczyć i nazwiemy je Puchi-Puchi, tak jak ciebie. Żegnaj, Puchi-Puchi. Będziemy za tobą tęsknić, tak jak za tatą. Amen”.

Poddasze miało być moim centrum dowodzenia, ale wcześniej musiałam je posprzątać. „Wiesz, na co powinnaś je przeznaczyć, Alice? Na pracownię malarską. Spójrz, jakie widoki: drzewa i roślinność przy brzegu morza, ziemia i woda, zieleń i błękit, tworzące idyllę, okno wychodzące na wschód, by cieszyć się brzaskiem, obłoki, wydmy, żaglowce, ptaki... Nie możesz się już tłumaczyć brakiem naturalnego światła, jak w swojej piwnicy w Providence, i brakiem widoków, którymi mogłabyś się inspirować. Nie masz już wymówki. Od jak dawna nie malujesz, Alice? Dlaczego zrezygnowałaś ze swoich marzeń, by zostać wielką malarką? Nie, nie zrezygnowałam. A moi wielcy mistrzowie inspirowali się tym, co mieli najbliżej, niemal nie wychodząc z domu. Andrew Wyeth i Edward Hopper malowali tu cudowne rzeczy, nawet się nie ruszając z miejsca. Dobrze, a zatem dlaczego nie spróbowałaś? Dlaczego nie potrafiłaś połączyć tego ze swoim cudownym życiem? Czy twoje życie było cudowne?”

Postanowiłam powiesić tutaj obraz Diega Sáncheza Sanza. Przeszkadzał mi w salonie. Był zbyt duży. Przeniosłam go już do przedpokoju. Do mojego pokoju. I na korytarz. Wszystko na nic, nigdzie mi się nie podobał. Problemem nie było jednak miejsce, ale sam obraz. Nie to, co przedstawiał, lecz to, kim się stałam. Przepaść (na każdym poziomie) pomiędzy tamtym momentem a chwilą obecną. Z trudem siebie rozpoznawałam. Być może dlatego postanowiłam powiesić go na poddaszu, żeby jeszcze bardziej się nie pogubić. Pokazać sobie drogę do odnalezienia samej siebie. Albo pilnowania się. Ktoś musiał mieć na mnie oko. I była tylko jedna osoba, która mogła to robić – ja.

Zabrałam się do pracy. Użyłam wybielacza i amoniaku, żeby wyczyścić wszystkie zakamarki i ogarnąć wszystkie myśli, które oddaliły mnie od mojego celu.

Spodobała mi się tablica: duża, majestatyczna, inteligentna, jakby pamiętała i zachowała wszystko, co na niej zapisywano. Ta tablica będzie moim sprzymierzeńcem. Pomoże mi zorganizować moje myśli, moje odkrycia. Leżała koło niej paczka z połamaną kredą w różnych kolorach. Wybrałam białą. Oddaliłam się od tablicy o dwa metry i spojrzałam na nią. Uznałam, że to bardzo ważne, by zastanowić się, co napisać najpierw, jakby to miało wyznaczyć drogę, z której nie można już zbroczyć. Myślałam, co chcę odkryć. Jaki jest mój cel? Gdybym musiała zawrzeć to tylko w jednym zdaniu, jak by ono brzmiało? Jakie jest kluczowe pytanie? Zrobiłam krok do przodu. „Chyba już wiem”. Kolejny krok.

„Dobrze się zastanów, Alice”. Kolejny krok. „Tak, już wiem”. Napisałam wielkimi literami:

CO CHRIS ROBIŁ NA WYSPIE?

„Nie natrudziłaś się zbytnio...”. Zapisałam to pytanie w górnym lewym rogu. Jakbym szukała miejsca, w którym pytanie nie będzie przeszkadzać. Skąd nie będzie mnie przytłaczać i blokować, choćby było nie wiadomo jak rozległe. Jednak liczyło się to, aby nie zapomnieć o celu tego wszystkiego, żebym nie oszalała jeszcze bardziej.

Potem napisałam już prawie bez zastanowienia:

Czego szukam?

Oznaki bólu.

Lęk. Smutek. Ból.

Nienormalne zachowanie.

Kryzys.

Prawdopodobne powody, dla których Chris przyjeżdżał na wyspę:

Podwójne życie. Kochanka? Dziecko? Kobieta? To i to?

Coś związanego z rodziną (brat, tajemniczy ojciec albo matka czy coś takiego – sprawdzić rodzinę Chrisa).

Coś nielegalnego (?). Nie sądzę.

Ucieczka/schronienie.

Sposoby sprawdzania/badania/szpiegowania:

Znaleźć przyjaciół. Zintegrować się.

PIES – pomaga w nawiązywaniu kontaktów.

Działalność społeczna. Wytworzyć zaufanie.

Śledzenie.

Umieszczenie mikrofonów.

Ukryte kamery.

Rzeczy, które może otworzyć Klucz Master:

Szafka. Sejf. Skarbiec.

Małe drzwi. Skrzynia. Kredens. Szafa.

Schówek w samochodzie.

Wózek golfowy (albo inny mały elektryczny pojazd).

Wszelkiego rodzaju łańcuchy.

Miejsca, w których należy szukać zamka do Klucza Master:

Bank. Skrytki depozytowe.

Poczta. Skrytka pocztowa. Szafka z przegródkami.

Hotel. Sejfy w pokojach.

Burr's Marine (wypożyczają i sprzedają wózki golfowe).

Domy. Każdy dom. WSZYSTKIE domy!

Ulice. Każdy rower, skuter.

Potem wzięłam kredę w czerwonym kolorze i napisałam na środku wielkimi literami:

DLACZEGO PO PROSTU NIE ZAPYTASZ, ALICE?

DLACZEGO?!!!

Kropkę przy ostatnim wykrzykniku postawiłam z taką siłą i bezradnością, że złamałam kredę i paznokieć.

Dni 119–132. Rok I p.Ch.

Olivia patrzyła na hydroplan, jakby był epicentrum tornado. Dzieci chętnie wsiadały do niego w pierwszym dniu szkoły.

– Ale czy szkoła jest w hydroplanie?

– Nie, hydroplan zabierze cię do szkoły.

– A tutaj nie ma szkoły?

– Nie, tutaj jest tylko żłobek, a ty jesteś już za duża na żłobek. – Oli nadal stała oparta o drzwi samochodu, nie mając zamiaru się ruszyć. – To tak, jakbyś wsiadła do autobusu. Tyle że ten autobus pływa po wodzie i lata.

– Nie wiem, czy mi się podoba. Boję się.

– Ale przecież ty nie boisz się latać. Na Alaskę poleciliśmy samolotem i bardzo ci się podobało, że mogłaś oglądać wszystko z góry.

Mark przyjechał z Oliverem swoim wózkiem golfowym. Wymieniliśmy szybkie spojrzenia i po jego wyrozumiałym uśmiechu poznałam, że zorientował się, w czym rzecz.

– Dlaczego nie wrócimy do domu?

Była bliska płaczu, a ja byłam bliska tego, by się poddać.

– Kiedy wrócisz ze szkoły, będę tutaj czekać z Ruby, żeby zabrać cię do domu.

– Nie chodzi mi o ten dom, chodzi mi o nasz prawdziwy dom.

To trafiło mnie w samo serce. Poczułam, że jestem złą matką, ponieważ w swoim delirium przyciągnęłam ją aż tutaj. Ale przecież podobał jej się ten pomysł. Pytałam ją o to i była zachwycona. „Wyspa skarbów! Będę mieszkać na wyspie skarbów!”, wykrzykiwała. Owszem, ale to tylko dziecko, nie znała reperkusji tej decyzji. „A może przypadkiem ty je znasz, Alice?”

Mark podszedł do nas z Oliverem, który wstydził się i miał spuszczoną głowę.

– Cześć, Olivio. Wiesz, że Oliver też się bał, kiedy pierwszy raz wsiadł do hydroplanu? Prawda, Oli?

Oliver przytaknął, drapiąc się po piegowatej twarzy.

– Ale teraz bardzo mu się podoba – ciągnął Mark. – Jesteście jedynymi dziećmi w całych Stanach Zjednoczonych, które do szkoły latają samolotem. Super, co?

– Nie, nie boję się, leciałam już samolotem na Alaskę, która jest bardzo daleko – powiedziała Olivia, nabierając w obecności chłopca odwagi. Z tymi swoimi czerwonymi pyzatymi policzkami i łypaniem na siebie spod oka wyglądali jak wyjęci z walentynkowego plakatu.

– No dalej, Oli – zachęcił swojego syna Mark. – Weź Olivię za rękę i idźcie razem.

Mark wziął rękę Olivera i pociągnął go w stronę Olivii. Jedna, dwie, trzy, cztery sekundy niepewności, dopóki pilot nie włączył silnika hydroplanu. Olivia ze strachu chwyciła dłoń Olivera. Mark popchnął ich delikatnie.

– Oli i Oli razem do szkoły. No dalej, biegnijcie!

Dzieci pobiegły zawstydzone i podekscytowane, że trzymają się za ręce, jakby chciały, żeby ten moment jak najszybciej minął, ale jednocześnie wiedziały, że pozostanie na zawsze w ich wspomnieniach.

– Oli i Oli razem do szkoły. Co za bezsensowny rym! Udawaj, że tego nie słyszałaś.

Roześmialiśmy się, raz jeszcze podziękowałam mu za pomoc, czekając, aż hydroplan wzbije się w powietrze. Zapytał mnie, czy czuję się już lepiej, powiedziałam, że tak, że na razie fiołka valium pozostaje nietknięta. Bardzo go to ucieszyło, pożegnaliśmy się, wsiadłam do samochodu i odjechałam. W lusterku wstecznym widziałam, że odprowadza mnie wzrokiem.

Tego samego ranka wyszłam pobiegać z Ruby w wózku spacerowym. Bardzo to lubiła, śmiała się i potrząsała rączkami, jakby mnie prosiła, żebym biegła jeszcze szybciej. Nie mogłam mieć idealniejszego od niej dziecka, bardziej empatycznego, cichego i przystosowującego się do każdej sytuacji i zdarzenia w życiu, jakby wiedziała, że przeszła już przez swoją najgorszą traumę (straciła ojca, zanim go poznała) i teraz już wszystko musiało być lepsze, życie powinno się toczyć bez większych zmartwień. Czysta radość. Nie chciało mi się biegać – w domu i w mojej głowie miałam zbyt dużo nierozpakowanych pudeł – ale to pomagało mi się oczyścić, pobudzić, a przede wszystkim mogłam rozejrzeć się po wyspie. Patrzyłam i nikt mnie nie zatrzymywał, nikt nie zadawał mi pytań, wymieniałam uprzejme uśmiechy i obserwowałam. Moją uwagę zwróciła mnogość psów. To tłumaczyło funkcjonowanie kliniki weterynaryjnej na wyspie, na której nie ma lekarza. Jeszcze bardziej niż psy moją uwagę zwróciła psia kultura, społeczne życie skupione wokół tych zwierząt. W Shoreline Park znajdowała się strefa przeznaczona wyłącznie dla psów, Bark Park, z fontannami, przeszkodami i tunelami, gdzie mogły biegać, skakać, pluskać się i bawić, podczas gdy ich właściciele rozmawiali, popijając kawę. Czyżby rozmawiali o Chrisie? „Pamiętacie tego młodego mężczyznę, który przyjeżdżał na wyspę? Ten, który to i tamto. No więc kilka miesięcy temu zginął w wypadku...” Powinnam tam być. Miałam wrażenie, że omijają mnie bardzo ważne informacje. Od śmierci Chrisa minęły prawie cztery miesiące. Czytałam i widziałam to setki razy w wiadomościach: w przypadku dochodzenia jest tak, że im więcej mija czasu, tym trudniej zdobyć informacje na temat... Kogo? Przestępcy? Zaginionego?



Popłynęłam statkiem do Hyannis i stamtąd pojechałam do schroniska dla

zwierząt Animal Rescue League w Brewster. Dorastałam otoczona psami. Kiedy byłam dzieckiem i potem nastolatką, mieliśmy dwa owczarki niemieckie, braci z tego samego miotu, Jacka i Jill, beagle'a Clifforda, Jacka Rusella terriera, który się wabił Hawkeye. A także pudła mojej matki, Cottona. Tak więc posiadanie psa, oprócz tego, że pomogłoby mi wejść w społeczność wyspy, było dla mnie czymś naturalnym, potrzebnym, czymś, czego mi brakowało. Chociaż muszę przyznać, że czułam się też trochę winna, jakbym zdradziła Chrisa. Miał alergię na sierść psów. Dlatego nigdy żadnego nie mieliśmy. Wpuszczenie do domu psa było jak odsunięcie się od niego.

Spacerowanie po schronisku przypominało poruszanie się jednocześnie po sklepie z cukierkami i po celi śmierci. Okropne historie w poszukiwaniu szczęśliwego zakończenia. Działo to bardzo prosto. Te psy, które nie znajdowały domu, były usypiane. Tak więc szukałam psa, który miał najmniejsze szanse w tym nienaturalnym przesiewie. Chciałam zabrać każdego, do którego podchodziłam. Błagalne spojrzenia, skowytania, które chwytają za serce, pragnienia, by kochać i być kochanym. Były wychudzone. Mnóstwo z nich było wychudzonych. Psy porzucone, psy zagubione, o które nikt się nie upominał, psy, które ucierpiały w wypadku, psy chore. Zanim dotarłam do trzeciej klatki, już płakałam. Pracownik schroniska patrzył na mnie pogardliwie, jakbym była bezdomną, która weszła do Tiffany'ego. Jakby myślał, że teraz sobie pochlipuję, ale jeśli nie znajdę szczeniaczka labradora z ogłoszenia, natychmiast pójdę do sklepu zoologicznego. Mylił się, byłam tam po to, żeby wziąć psa tak samo porzuconego jak ja. Leżał w kącie, głowę miał opartą na przednich łapach, jakby już wiele razy widział podobne sceny i całkowicie stracił nadzieję.

– Co mu jest?

– Któremu?

– Temu czarnemu, który leży.

Pracownik był osobnikiem albo najgłupszym ze wszystkich, albo najbystrzejszym. Obrął swoistą strategię. Przyłapałam go na tym, jak patrzył na mnie kątem oka, a kiedy na niego spojrzałam, odwracał wzrok. Ewidentnie była to jakaś strategia. Bystry. Bardzo bystry.

– A co ma mu być? Proszę spojrzeć, gdzie wylądował. Ma pięć lat. Już się poddał.

„Nie, nie poddał się – pomyślałam. – Czeka na swoją szansę. Kopie tunel, żeby stąd uciec. Podobnie jak ja, kiedy postanowiłam przeprowadzić się na Robin Island. Tunel z Providence, który sama wykopałam, a którym podzieliłam się z innymi dopiero wtedy, gdy wystawiłam głowę po drugiej stronie”.

– Jaka to rasa?

– Rasa? Ha! – wykrzyknął, potwierdzając swoje podejrzenia, że jestem hipokrytką i rozpuszczoną bogaczką. – To kundel. A w zasadzie kundlica. To suka.

Czarna twarda sierść z trzema białymi plamami na grzbiecie i jedną na pysku. Bardzo chuda, widać jej było żebra. Uszy oklapnięte.

Otworzyłam drzwi klatki. Pies nawet nie drgnął. Podeszłam bliżej. Ukucnęłam z Ruby w nosidełku.

– Przepraszam, ale nie można wchodzić do klatek – upomniał mnie pracownik.

Nie zwracałam na niego uwagi. Ruby, która zawsze, w każdym momencie, cudownie się zachowywała, obudziła się. Pies podniósł głowę, przyjmując pozycję obronną.

– Proszę pani. Proszę stamtąd wyjść.

Pies obwąchał nosk Ruby i ją polaskotał. Zaśmiała się, wyciągnęła rączki i chwyciła psa za ucho. Nie protestował. Znow się zaśmiała. Pies ją polizał. Tylko raz. Znowu się zaśmiała. Pies z powrotem się położył, jakby nie chciał przywiązywać się do dziewczynki, by potem znowu się nie rozczarować.

– Mówię poważnie, proszę pani, proszę...

– Wezmę go.

Miałam dwie córki: jedną przypominającą huragan i drugą przyczepioną do mojej piersi. Chciałam spokojnego psa, który nie wymagałby ode mnie wielkiego wysiłku.

Mój plan był idealny. Olivia wróci ze szkoły targana wieloma sprzecznymi emocjami. A kiedy przyjdzie do domu i zobaczy psa, ogromnie się ucieszy, nada mu imię i wtedy wreszcie to będzie jej prawdziwy dom, a wyspa naszym naturalnym środowiskiem. Czulałam, jak coś mocno ściska mnie w klatce piersiowej od chwili, kiedy mi powiedziała, że chce z niej wyjechać. Cóż, ja też chciałam wyjechać, i to już kilka razy.

Rodzice czekali na swoje dzieci. Niektórzy rozmawiali. Inni siedzieli w wózkach golfowych zajęci własnymi sprawami, korzystając z ostatnich wolnych chwil, zanim dzieci oraz ich prace domowe nie pochłoną całego ich czasu i energii.

Dostrzegłam Julię. Chciałam do niej podejść. Wydawało się jednak, że w jej spojrzeniu jest znak ostrzegawczy: „Trzymajcie się ode mnie z daleka”. To, że Olivia w podskokach wysiadła z hydroplanu i biegła w moją stronę, żegnając się z Oliverem, Ginger, Tracy, Ryanem, Britney i nie wiem z kim jeszcze, przywróciło mi jeden z atrybutów matki, który straciłam.

Po dotarciu do naszego auta Olivia obeszała je dookoła i policzyła koła. Jeden, dwa, trzy cztery.

– Olivio, co robisz?

A potem przeszła w odwrotnym kierunku, licząc jeszcze raz. Jeden, dwa, trzy, cztery. Wtedy dopiero wsiadła do samochodu.

– Tak, są wszystkie, nie zgubiłyśmy żadnego po drodze – powiedziałam, nie przywiązując do tego większej wagi, gdyż pomyślałam, że to zabawa, której

nauczyła się w szkole. – Jak ci poszło, kochanie?

Słuchając jej szybkiego i ekscytującego sprawozdania, lęk, który zdominował znaczną część mojego terytorium, stracił dwa strategiczne punkty na rzecz smutku (za co byłam wdzięczna, ponieważ smutek jest solidny i są sposoby na jego pokonanie, lęk zaś jest nieuchwytny niczym gaz). Byłam nauczycielką. Powinnam prowadzić lekcje, sprawiać, żeby pierwszy dzień był niezapomniany dla wielu wystraszonych dzieci. Kształtować charaktery. Odkrywać zalety. Minimalizować wady. Nauczać życia.

Psa zostawiłam samego w domu na pół godziny. Na szyi zawiązałam mu bardzo ładną wstążkę, która teraz była zniszczona. Wiadomość, którą zdawał się wysyłać światu, czyli nam, w skrócie brzmiała: „Oszukałem was”, plus złowieszczy śmiech. Nasrał i nasikał w każdym miejscu. Nie zrobił tego wcześniej ani w samochodzie, ani na promie, ani kiedy dotarliśmy do domu, ani po tym, jak dałam mu jeść i pić, ani podczas krótkiego spaceru po ulicy, ani podczas zabawy w ogrodzie. Czekał z tym specjalnie. Na wielką końcową batalię, zdemolowanie i unicestwienie. Poduszki, kapcie i piloty były zniszczone. Zdecydował też, że nadszedł już czas, żeby zająć się nierozpakowanymi pudłami – otworzył je, wywlókł zawartość i poukładał na swój sposób. Podkreślałam: wszystko w ciągu zaledwie pół godziny. Diabeł tasmański po reinkarnacji, teraz w średniej wielkości psie, który patrzył na nas spokojny, z obwisłymi uszami i podkulonym ogonem, doskonale wiedząc, że nie zachował się dobrze. A co najgorsze – w pysku miał Śmierdzącego Misia z oderwaną łapką i bez jednego oka, zaginionego w ferworze walki. Co za niespodzianka!

– Śmierdzący! – wykrzyknęła Olivia i rzuciła się w stronę psa z podobną determinacją i odwagą jak matka chroniąca swoje dziecko przed zagrożeniem.

Dwie godziny później Olivia nadal siedziała zamknięta w swoim pokoju i wciąż była smutna. Weszłam z odnowionym Śmierdzącym Misiem, któremu przyszyłam oko i łapkę. Powiedziałam, naśladując jego głos:

– *Cześć, Olivia, zobacz, już jestem jak nowy. Ale najedliśmy się strachu, no nie? Ale to nie była wina psa, to ja zacząłem się z nim bawić i straciłem głowę.*

Pies nieśmiało zajrzał przez drzwi. Naprawdę wyglądał na skruszonego. Był jak zbliżający się powoli aniołek.

– Zobacz, kto przyszedł, żeby cię przeprosić...

– Ja nie chcę psa. Powiedziałaś, że kupisz mi kucyka. – Objęła Śmierdzącego Misia bardzo teatralnym gestem.

Chciałam powiedzieć, że nigdy jej tego nie obiecywałam i że nie dziedziczę obietnic jej zmarłego ojca. Ale uznałam, że nie jest to właściwe ani sprawiedliwe.

– Ale to przecież nie jest pies. To kucyk. Przyjrzyj się dobrze. Czarno-biały kucyk. Śliczny kucyk. Popatrz.

Uklękałam, siadając wierzchem na psie. Wzięłam jego przednie łapy i je

podniosłam, udając, że jadę konno, a jednocześnie rżałam.

– Pędź, kucyku, pędź!

W normalnych okolicznościach Olivia pokładałaby się ze śmiechu i powiedziała: „Teraz ja, mamusiu, teraz moja kolej!”. Ale nic z tego.

– Nie możemy mieć psów, mamo. – Natychmiast się zatrzymałam, przeczuwając, co będzie dalej. – Tata nie może mieć psów. Źle się czuje.

„Tak, Oli, ale taty nie ma. Już go nie ma i nie będzie”, tak brzmiałaby logiczna odpowiedź. Ale czy mogłabym powiedzieć coś takiego własnej córce? Ona o tym wiedziała. Wiedziała, prawda?

– Jest bardzo posłuszny, Oli, da nam mnóstwo ciepła i miłości. I zapewniam cię, że już nigdy więcej nie zrobi krzywdy Śmierzącemu Misiowi. Był przestraszony, ponieważ to jest jego pierwszy dzień w naszym domu. Tak samo jak ty, kiedy dzisiaj szłaś do szkoły.

– Ja nie zniszczyłam szkoły ani nie zjadłam ręki żadnemu dziecku.

– Wymyślmy mu imię. Jak chcesz, żeby nazywał się nasz kucyk?

– To nie jest kucyk, to nie jest kucyk. To–nie–jest–ku–cyk.

– A może nazwiemy go Kucyk? Podoba ci się?

– Nie, bo to nie jest kucyk, to nie jest kucyk. To–nie–jest–ku–cyk.

– Okej, dobrze. Ale jakoś musimy go nazwać, bez względu na to, jakie to zwierzę. No proszę, wybierz imię, jakie chcesz.

– Toniejestkucyk.

– Już, Olivio, przestań, daj spokój.

– Nie, chcę, żeby tak się nazywał.

– Tak, czyli jak?

– Toniejestkucyk. To jest jego imię.

To był pierwszy sarkastyczny komentarz w jej życiu.

Na domiar złego okazało się, że Kucyk miał fobię społeczną. Nie lubił przebywać z innymi psami. Tak więc nasze spacery po Bark Park okazały się kompletną katastrofą.

Po kilku spędzonych razem dniach zrozumiałam, że mnie nie oszukał ani nie omamił, ani nie przygotował misternego planu, żeby uciec od swojego fatalnego przeznaczenia, zachowując się zupełnie inaczej niż w rzeczywistości. Po prostu narodził się na nowo. Znów był szczeniakiem. Wszystkiego musiał się nauczyć od początku. Dobrego i złego. Wymazał z pamięci wszystkie nieszczęścia, tak jak zapomina się traumatyczne zdarzenie, aby móc żyć dalej. „Coś ci to przypomina, Alice?” Teraz musiał się nauczyć kierować swoim nowym życiem. Podobnie jak ja.

Dni 134–138. Rok I p.Ch.

„Chcesz rozwiązać tę sprawę? Naprawdę chcesz ją rozwiązać? To bardzo proste, Alice, już ci tłumaczę. Zobacz, bierzesz zdjęcie Chrisa, takie, które ci się podoba. Jedno z ostatnich, na którym można go rozpoznać. Może być na przykład to, którenosisz w portfelu. Skanujesz je, powiększasz i pisesz na dole:

Znasz tego mężczyznę?

Czeka nagroda

\$\$\$

Informacja: Alice Dupont

(Ruda, która postawiła stopę na wyspie i urodziła)

Drukujesz sto albo dwieście kopii, rozwieszasz na całej wyspie i gotowe. Zobaczysz, że rezultaty będziesz miała od razu i przestaniesz mieć to paraliżujące wrażenie, że toniesz w ruchomych piaskach”.

To wszystko mówiłam, patrząc na zdjęcie Chrisa, które zawsze miałam przy sobie. Moje ulubione. Ostatnio prawie go nie oglądałam, byłam bowiem pogrążona w nostalgii i samotności. Ale potrzebowałam je czuć i mieć blisko siebie. To zdjęcie było dla mnie ziemią, sensem, potrzebą, prawdą, życiem. Zrobiłam mu je podczas wizyty w wiejskim zoo Charmingfare Farm w Candii w stanie New Hampshire. Zachwycony obserwował Olivie, która zgłosiła się na ochotnika, by nakarmić kozłatko. Bała się i śmiała, kiedy zwierzę próbowało chwycić pyskiem żdźbła siana, które trzymała w ręce. Podchodziła, śmiech, bek, cofała się, pisk, bek. Podchodziła, śmiech, bek, cofała się, pisk, bek. I jeszcze raz to samo. Kiedy próba została zaliczona, chciała oczywiście, żebyśmy zabrali kozłatko do domu. Tam też po raz pierwszy w życiu jeździła na kucyku. Siedząc na grzbiecie konia, z ojcem u boku trzymającym uzdę (ja robiłam zdjęcia), Olivia nie przestawała powtarzać: „Chcę kucyka, chcę kucyka, chcę kucyka...”. I oczywiście Chris jej go obiecał.

Wieczorem w drewnianym domku wiejskiego zoo, w którym pachniało stajnią, zrobiłam mu awanturę o to, że obiecuje rzeczy, których nie możemy jej dać. Później, ot tak, powiedziałam mu, że spóźnia mi się okres. Pojechał do apteki całodobowej, kupił test ciążowy i świeczki zapachowe. Zapaliliśmy je, odprawiając mały, zaimprovizowany miłosny rytuał, wzywając Wenus, boginię miłości, piękna i płodności, ponieważ oboje pragnęliśmy drugiego dziecka i się o nie staraliśmy. Wynik testu był negatywny. Po powrocie do domu Chris wyjechał w jedną ze swoich rzekomych podróży służbowych. Czy był wtedy na wyspie? Myślę, że tak.

Ale nie sprawdzałam informacji z tych dni. Czy było to potrzebne? Nie. No właśnie. Kiedy wrócił, kochaliśmy się, powiedziałam mu, że nadal nie mam miesiączki, zjedliśmy kolację i powtórzyliśmy test ciążowy (już bez rytuału). Wyszedł pozytywnie. „No dalej, przypomnij sobie, Alice, zauważyłaś coś dziwnego po jego powrocie? Kochaliście się dlatego, że tak było trzeba, że lepiej się kochać, bo w przeciwnym razie może się pojawić zbyt wiele pytań, niepewności i wątpliwości, na które zużyje się więcej energii niż na wysiłek fizyczny (który dodatkowo przynosi nagrodę), trwający maksymalnie dwadzieścia minut? Czy to był jeden z tych stosunków? Bo to oczywiste, że mieliście takie stosunki, kto ich nie miał? A gra wstępna? A przytulenie po wszystkim? A radość z ciąży? Pojawiła się jakaś oznaka przygnębienia? No, Alice, trać swój czas na szukanie odpowiedzi, które mnożą pytania. Podsycaj obecność chaosu w sobie. Dlaczego po prostu nie zapamiętasz tego, że było idealnie? Wszystko było idealne. I już. Było idealnie, bo ty robiłaś to idealnie. I znów możesz robić to idealnie. I już. Odpocznij. Przed powrotem na szczyt potrzebny jest odpoczynek. Alice, byłaś alpinistką miłości. Dotrzesz na szczyt zawsze, kiedy będziesz tego chciała. Idź w górę. Nie w dół”.

Schowałam zdjęcie do portfela i zamiast plakatu „poszukiwany” zrobiłam plakat z takim tekstem:

Prywatne zajęcia z malarstwa i sztuk plastycznych

w miejscu zamieszkania.

Dla osób w każdym wieku.

Indywidualne albo grupowe.

Odważ się i odkryj swój artystyczny talent.

Przystępne ceny. Zajęcia próbne gratis.

ALICE

48 Shelter Road

e-mail: malujaczalice@gmail.com

Nie potrzebowałam ich. Mam na myśli pieniądze. Przynajmniej w tamtym momencie. Chciałam tylko dostać się do ich domów. Do każdego domu. I grzebać w brudnych szmatach ich prywatności. Ponieważ naprawdę ważne rzeczy dzieją się

za zamkniętymi drzwiami. A poza tym miałam na to ochotę. Rozpoczął się rok szkolny, a ja dostawałam małego rozumu. Za każdym razem, kiedy odwoziłam Olivie na hydroplan, czułam wewnętrzną złość.

Wydrukowałam sto egzemplarzy ogłoszenia i chodziłam od lokalu do lokalu. Uprzejmie prosiłam o pozwolenie umieszczenia go i zawsze się zgadzano. Zawieszałam je na witrynach albo na drzwiach i zostawiałam trochę drobnych na ladzie. Rozglądając się za ewentualnym przeznaczeniem dla Klucza Master (była to jedyna namacalna rzecz, której mogłam się uchwycić), zbierałam informacje i przydatne fakty o właścicielach, ich rodzinach i zajęciach.

Dime Bank. Conrad. Kawaler albo rozwodnik – do ustalenia. Pies rasy buldog, Chubs, który podobnie jak właściciel cierpi na nadwagę i ma trudności z oddychaniem. Otworzyłam rachunek, wynajęłam skrytkę depozytową (klucz do niej nawet nie przypominał Klucza Master) i po przyjacielsku porozmawiałam z Conradem, dyrektorem. Zapytałam, czy dzieci ze zdjęcia, które stało na jego biurku, są jego, na co odparł, że nie, że to jego bratankowie. Rozważałam zastosowanie przebiegłych sztuczek, by go uwieść i sprawdzić, czy Chris miał tutaj konto. Wyszłam, zastanawiając się, co dzieje się z rachunkiem, kiedy człowiek umiera.

Le Cafe. Mindy Bishop. Żona Matta Bishopa, właściciela hodowli ostryg Bishop Oyster Farm. Wypiłam espresso i kupiłam mieloną kawę z Kolumbii.

Poczta. Lina. Jej mąż, Martin, zarządza zbiornikiem wody. Wynajęłam skrytkę pocztową, żeby się przekonać, czy można to zrobić bez żadnych dokumentów i od ręki. Okazało się, że można. Czyżby Chris miał tutaj skrytkę? I po co? Klucz Master nie pasował też do skrynek.

Sklep spożywczy Provisions. Cung i Michelle Nguyenowie. Dwoje dzieci, bliźniaki, w wieku piętnastu lat, Leyna i Han. Kupiłam gorzką czekoladę, żeby zabić lęk, owoce i warzywa dla równowagi oraz dużą miskę wietnamskiej potrawy Ca Kho To, czyli duszonej karmelizowanej ryby, przygotowanej na wolnym ogniu w glinianym garnku, co Michelle zrobiła według przepisu swojej wietnamskiej babci.

Sklep z likierami O’Gorman. Jodie i Keevan. Dzieci – do ustalenia. Pies Tootsie. Kupiłam butelkę Pinot Noir z White Russian Valley w Oregonie.

Burr’s Marine. Koncesjonariusz sprzedający i wynajmujący łodzie rekreacyjne, wózki golfowe i elektryczne rowery. Rodney Burr. Ojciec Aleksa, narzeczonego Amandy. Ich zaręczyny odbyły się podczas pikniku w Dniu Pracy. Wynajęłam wózek golfowy i elektryczny rower – oba pojazdy na rok – chociaż Rodney upierał się, że kupienie ich albo wzięcie w leasing wyjdzie taniej. Ja jednak trzymałam się swojego planu, czyli pobytu tymczasowego. „Rok, Alice, czego nie odkryjesz w ciągu roku, tego nie odkryjesz już nigdy”. Klucz Master nie pasował ani do stacyjki w wózku golfowym, ani w elektrycznym rowerze.

Szkółka roślin. Lorraine i Peter Southcottowie. Dwoje dzieci, piętnaście i dziesięć lat. Pies rasy bokser. Kupiłam fiołka afrykańskiego.

Kościół prezbiteriański. Ojciec Henry. Wdowiec z piątką dzieci. Datek w wysokości dwudziestu dolarów.

Agencja nieruchomości MacArthy Realty. Miriam. Córka Chloe. Moja kochana sąsiadka. Rozmawiałyśmy o jej byłym – o tym, jakim jest sukinsynem – a ja zastanawiałam się, jak się dostać do jej teczek z aktami. Musiałam sprawdzić, czy Chris był właścicielem jakiejś nieruchomości. To absolutny priorytet.

Komisariat. Szefowa Margaret. Zapytała, jak sobie radzę, i dała mi numer swojej prywatnej komórki, żebym dzwoniła do niej bez wahania w razie jakiegokolwiek problemu. Lubiła być ciągle zajęta, a na Robin Island prawie nie notowano przestępczości. Zdarzały się tylko drobne, nic nieznaczące przypadki wandalizmu (Miriam to podkreślała, kiedy rozważałam przeprowadzkę na wyspę z dziewczynkami). Ponieważ można się tu było dostać jedynie promem (który ostatni kurs latem miał o dziewiątej wieczorem, jesienią i wiosną o ósmej, a zimą o siódmej), wyspa była niczym dzielnicą rezydencjalną, chronioną przez Ocean Atlantycki. Szefowa Margaret cieszyła się, że ma najcudowniejszą nudną pracę na świecie. Mimo to mówiła, że nigdy nie zaniedbuje swoich obowiązków, że najważniejsze jest to, by nie stracić koncentracji i mieć oczy zawsze szeroko otwarte, co było eufemizmem dla kogoś w okularach ze szklami jak denka od butelek. Dlatego wyszłam stamtąd z przekonaniem, że to niemożliwe, aby obecność na wyspie Chrisa mogła być niezauważona.

Klinika weterynaryjna i sklep zoologiczny Family Pet Land. Frank Rush. Ojciec Barbary, narzeczonej pilota Jeffrey'a. Właściciele stadniny koni Horse Rush Farm. Kupiłam smakołyki dla Kucyka oraz gupika pawie oczko, bo Olivia się uparła. „Po co ci w domu ryba, skoro mieszkamy w otoczeniu ryb?”, zapytałam. Na co ona: „Bo chcę zwierzątko”. Ja: „Masz już zwierzątko, Kucyka”. Ona: „Toniejestkucyk nie jest moim zwierzątkiem, tylko twoim”. Nie było sposobu, żeby ją przekonać. Rybce nadała imię Flint w hołdzie dla kapitana Flinta z *Wyspy skarbów*.

Karen's Petite Maison. Karen i John. Syn Rick. Kot Dingleberry. Podarowałam jej fiołka afrykańskiego, chociaż z pewnością wolałaby butelkę białego wina. Zlokalizowałam pomieszczenie z komputerem, w którym mają rejestr gości i prowadzą rezerwacje. Musiałam sprawdzić, czy Chris się tutaj zatrzymywał.

Apteka. Gail. Pielęgniarka i szefowa ochotniczej straży pożarnej. Jej brat jest jednym z pracowników promu. Kupiłam pieluchy dla Ruby i spotkałam kobietę, która na pikniku z okazji Dnia Pracy z wytworną elegancją jadła hot doga. Tę od męża w śpiączce. Tę od siostrzenicy-niani, pięknej i młodziutkiej, która możliwe, że jest w ciąży. Chwilę z nią porozmawiałam. Przypomniała mi, że ma na imię Jennifer. Zachęcałam ją, żeby zapisała się na zajęcia, ale powiedziała, że nie widzi

siebie malującej, że nie wiedziałyby, skąd czerpać inspirację. Zacytowałam jej słowa Edwarda Hoppera: „Wielka sztuka jest zewnętrznym wyrazem wewnętrznego życia artysty”. Ale chyba nie przyniosło to żadnego efektu.

Tymczasem zajmowałam się malowaniem ogromnego muralu na ścianie poddasza niczym malowidła skalnego. Alice, jak jaskiniowiec, maluje wyspę na ścianie o wymiarach cztery na trzy metry, z nieocenioną pomocą pana Google Maps, jego Street View (które nie obejmowało wszystkich zakątków, tylko główne ulice), dopełnianą zdjęciami robionymi na prawo i lewo podczas biegania po wyspie z komórką w ręku, i oczywiście z pomocą Olivii, która traktowała to jak zabawę. Tak więc podczas gdy ona malowała statki, chmury, mewy i inne rzeczy na peryferiach konturu wyspy, nie przeszkadzając mi w pracy, ja nanosiłam wszystkie ulice i główne użyteczne miejsca: latarnię, prom, totem Indian z plemienia Wampanoagów z wieńczącą go figurką rudzika, plaże, szlaki, Haven Creek (strumyk płynący przez wyspę i dzielący ją na pół), młyn, który wyglądał jak z obrazu van Gogha, Górę Drzewa Pocałunków i tak dalej, i tak dalej. Ogromna gra planszowa, na której stopniowo umieszczałam elementy/domy/ludzi, którzy mieli stoczyć batalię. Ja przeciwko wszystkim. Szłam po króla-ducha Chrisa i... jego królową?

Ale mimo że wyspa była bardzo mała i już na tym etapie mogłam zamknąć oczy i nakreślić jej kontur z pamięci, wciąż wydawało mi się, że absolutnie nie jestem w stanie jej ogarnąć. Dlatego uznałam, że nadszedł moment, by sporządzić listę podejrzanych. Osób, na które mogłabym zwrócić trochę większą uwagę. Myślałam, że każda osoba, którą poznałam, skrywa jakiś sekret związany z Chrisem. Tak być nie mogło. Bolała mnie głowa i wpadłam w paranoiczne błędne koło, co nie mogło się dobrze skończyć. Musiałam wszystko trochę doprecyzować. Zapisać to na tablicy. Wskazać temu miejsce.

Przykład I: Miriam, świeżo rozwiedziona i poróżniona ze swoim byłym, z roczną córką. Młoda, ładna, sympatyczna, bezpośrednia i z dużymi piersiami, co Chris uwielbiał. Czy miał coś wspólnego z jej rozwodem? I ta dziewczynka, Chloe, o oczach w kolorze miodu – takich samych jak jego?

Przykład II: Julia Ponsky. Cierpiąca na depresję. Ma napięte relacje ze swoim mężem, Markiem, który często jeździ do Nowego Jorku. Czy jego wyjazdy pokrywały się z wypadami Chrisa na wyspę? Czy depresja Julii była spowodowana zniknięciem/śmiercią Chrisa?

Lista podejrzanych:

1. Miriam.
2. Julia.

Wiem, że była to argumentacja bardzo ryzykowna, pozbawiona podstaw i wystarczająco mocnych dowodów. Że wszystko było oparte na przypuszczeniach, a nie na śladach. I że wytypowane osoby bardziej niż na podejrzane kwalifikowały

się na takie, które należało wykluczyć. Że to nie mogło być coś tak oczywistego. Tak prostego do rozpoznania na pierwszy rzut oka. Ale prawda była też taka, że kiedy napisałam to na tablicy i lista podejrzanych została oficjalnie otwarta, przeszedł mi ból głowy, a w brzuchu poczułam ukłucie nadziei, co bynajmniej nie wydało mi się właściwe.

Dni 140–143. Rok I p.Ch.

Bieganie po wyspie każdego jesiennego ranka o świcie było doświadczeniem tyleż użytecznym, co wyzwalającym. Na początku nigdy nie pokonywałam tej samej trasy, gdyż chciałam zorientować się w terenie. Przebiec każdą ulicę i zakątek na wyspie. Kiedy już dobrze ją poznałam, zaczęłam dokonywać naturalnej selekcji – podobnie jak mój ojciec podczas naszych wypadów do Pensylwanii – wybierając najpiękniejszą trasę, taką, na której najlepiej bym się czuła, taką, która pasowałaby do mnie jak strój uszyty na miarę – wygodny, domowy, swobodny. Dom. Gniazdo. Schronienie. Latarnia. Zawsze kończyłam przy latarni. Tam się zatrzymywałam, łapałam oddech, piłam wodę, upewniałam się, czy z Ruby jest wszystko w porządku, i wracałam do domu. Na początku chciałam, żeby Kucyk biegał ze mną, zażywając ruchu, ale nie było sposobu, by go do tego nakłonić. Był uparty, a każde miejsce, które nie było domem albo sklepem zoologicznym, nie podobało mu się, stawało się nieprzyjazne. Wyciągał się na ziemi jak długi i nie było mowy, żeby zrobił chociaż krok.

– Szukasz wyjścia awaryjnego z wyspy?

Mark mnie zaskoczył. Nie przestraszyłam się, słysząc jego słowa. Złazy się z szumem fal i lekkim wiatrem z południowego zachodu. Obserwowałam wielką bryłę skalną, która podtrzymywała latarnię. Małeńka wysepka. Miała kształt czaszki. Fale i upływ czasu wyraźnie wyrzeźbiły wklęsłe oczy, płaski nos, żuchwę, policzki i podbródek. Czaszkę pirackiego statku. Czyżbym tylko ja to widziała?

– Zauważyłeś, że skały...

– Nazywają ją Małpią Latarnią.

No tak, a myślałam, że jestem superwyjątkowa, widząc coś, czego nikt inny wcześniej nie dostrzegł.

Mark też właśnie biegał. Znów poczułam ten nieprzyjemny zapach jego potu.

– A ty dlaczego nigdy nie pracujesz?

– Oczywiście, że pracuję. Czuwam dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chcesz zobaczyć moje biuro?

– Już dwa razy byłam w twoim biurze.

– Nie, byłaś w gabinecie. Oprócz gabinetu mam jeszcze biuro.

Jego biuro nazywało się po prostu The Office¹². Był to żaglowiec w stylu *vintage*, ale nowoczesny, z drewna mahoniowego, długi na dwanaście metrów. Mark chodził do gabinetu tylko po to, żeby przyjmować pacjentów. Nie cierpiał siedzieć tam i czekać, odbierając telefony czy wykonując papierkową robotę. Dusił się. Dlatego centrum dowodzenia, gdzie przychodził każdego ranka, stanowiła łódź, bez względu na to, czy chciał popływać, czy nie. Żaglowiec był tak doskonale wyposażony, że można było wygodnie na nim mieszkać. Bardziej niż łódź

przypominał dom.

Odcumował i wypłynęliśmy z portu (z włączonym silnikiem, jeszcze bez rozwiniętych żagli). Nawet mnie nie zapytał, czy mam ochotę na rejs. Zrozumiałam, że od chwili, gdy znaleźliśmy się w środku, on rządził.

Morze było spokojne, a wiatr łagodny. Po niebie przesuwaly się nieliczne chmury. Płynęliśmy po cieśninie Nantucket. Miałam na rękach Ruby. Chciałam bronić się przed strachem? „To strach czy pragnienie, Alice?”

– Każdego jesiennego dnia mówię sobie: dobra, Mark, to już ostatni raz w tym roku, ostatni rejs i czekamy do wiosny. Ale... absurdem byłoby czekanie w gabinecie, gdy się ma do dyspozycji takie biuro, prawda?

Postanowiłam zapytać go o to, jak poznał Julię. Wciąż czułam się zakłopotana, uważałam, że robimy coś niestosownego. Uznałam, że to logiczne pytanie i dyskretny sposób, by dezaktywować jakąkolwiek możliwość napięcia seksualnego.

Mark poznał Julię w swoim gabinecie w Nowym Jorku. To był nagły przypadek – w nocy rozpadł jej się ząb trzonowy. Miała bruksizm, zgrzytała zębami podczas snu, czego aż do tamtego momentu nie była świadoma i co tłumaczyło uciążliwe bóle żuchwy i głowy, z jakimi budziła się każdego ranka. A poza tym przechodziła trudny okres, miała blokadę przy pisaniu pierwszej powieści, za co winiła chaos w swoim ówczesnym życiu prywatnym. Spotykała się z kolegą z wydziału literatury porównawczej, Davidem Drouinem. Był od niej o wiele młodszy i wydał już pierwszą powieść, co wywoływało dodatkową presję. Był *enfant terrible* wydziału. Niezdyscyplinowany, trudny, kapryśny, rozpieszczony, a do tego alkoholik i heroinista, ale piekielnie utalentowany, charyzmatyczny, delikatny i wrażliwy. Krótko mówiąc, miał wszystko, żeby zostać jednym z wielkich przeklętych pisarzy współczesnej literatury amerykańskiej, ponieważ wydawało się, że planował żyć tylko do trzydziestki. To wszystko Julia opowiedziała Markowi podczas tamtej wizyty w gabinecie, jakby nie przyszła do dentysty, lecz do psychologa. „Co ja robię z takim małym dzieckiem? Jego powieść wcale nie jest taka dobra. Dlaczego tak się przejmuję, że mógłby zobaczyć mnie ze złamanym zębem trzonowym? Głupio się czuję, że opowiadam ci o tym wszystkim, bo cię w ogóle nie znam. Może to dlatego, że boję się dentystów i chcę, żebyś się nade mną ulitował”. Mark się uśmiechnął i po podaniu znieczulenia, czego prawie nie poczuła, powiedział: „Teraz przez przynajmniej godzinę musisz siedzieć z otwartymi ustami i nie będziesz mogła mówić. Tak więc ja podzielę się pewną refleksją dotyczącą nas obojga: dlaczego zawsze upieramy się, żeby być z niewłaściwą osobą?”. Powiedział tak, bo nie tylko Julia tkwiła w toksycznym związku. Od czasu śmierci swojego brata Mark miał poważne problemy z nawiązywaniem relacji z kobietami. Wierzył w teorię, że Paula nie zabiła wcale ślepotą, przerwana kariera czy też nieznośny ból, który był spowodowany

wypadkiem. Zabiła go strata jego wielkiej i jedynej miłości, Samantha, z którą spotykał się od czasu, kiedy mieli po jedenaście lat. Dlatego Mark bardzo bał się w życiu Samanth i instynktownie ich unikał. Cała bowiem miłość, jaką by mu dały, z dnia na dzień mogłaby się zamienić w ślepotę, w całkowitą ciemność.

Skończył rekonstrukcję zęba i sprawił, że Julia prawie odzyskała uśmiech. Przed wyjściem zapytał ją, czy podczas tej godziny przeznaczonej na refleksję doszła do jakiegoś wniosku. Odpowiedziała: „Tak. Od dzisiaj będziesz moim dentystą, bo nie zrobiłeś mi krzywdy. A nie jestem do tego przyzwyczajona ze strony zarówno stomatologów, jak i ogólnie życia”. A potem dodała: „A ty do jakiego wniosku doszedłeś?”. Na co Mark odparł: „Do takiego, że nie robię krzywdy, bo nie lubię, kiedy się ją robi mnie. I uważam, że nadszedł czas, bym znalazł swoją Samanthę”.

Tego samego dnia Julia rozstała się z Davidem Drouinem, zaczęła się spotykać z Markiem, odblokowała się, stwierdziła, że aby być kreatywną pisarką, nie musi się mieć burzliwego życia, zaszła w ciążę, rozważała aborcję, uznała jednak, że z Markiem czuje się bardzo dobrze i że nie mogła wymarzyć sobie lepszego ojca dla swoich dzieci, skończyła pisać znakomitą pierwszą powieść i urodziła Olivera. Mniej więcej w takiej kolejności.

Natomiast Mark zaczął się spotykać z Julią, zapisał się na implantologię stomatologiczną, zadreślał się, kiedy się okazało, że Julia jest w ciąży, chciał jej powiedzieć, żeby usunęła, ale tego nie zrobił, pieprzył się z jakąś dziewczyną w barze i po raz pierwszy w życiu nie miał wytrysku, odczytał to jako sygnał, wrócił do Julii, przeprosił ją za to, że w ostatnich tygodniach dziwnie się zachowywał, opowiedział jej historię Samanth i Paula i stwierdził, że wierzy, iż to ona jest jego Samanthą i że pragnie mieć dziecko, zdobył dyplom z implantologii i urodził się mu syn. Mniej więcej w takiej kolejności.

Uśmiechnęłam się, pomimo że mnie mdliło. Płynęliśmy już prawie godzinę i zaczęłam się źle czuć. Nic nie powiedziałam, bo wstyd mi było się do tego przyznać. Przeprosiłam go tylko i wyszłam do toalety. Zwróciłam uwagę na jego biurko. Kalendarz, dokumenty, laptop. Zanim jednak postanowiłam cokolwiek zrobić, zalała mnie kolejna fala mdłości, tym razem mentalnych: „Co ty tutaj robisz? Uważasz, że to jest dobry sposób, żeby «wejść» na wyspę? Podczas rejsu z mężem słynnej pisarki? Na pewno ktoś widział, jak wchodzisz na łódź. Wszyscy na wyspie już o tym wiedzą. Masz to wypisane na twarzy. A dlaczego on zwabił cię na łódź? Czego chce? Czego szuka? A ty go zachęcasz? Wysyłasz mu sygnały? Wracaj. Muszę wrócić. Już. Teraz”. Płacz. To Ruby.

Kiedy weszłam, Mark kołysał ją w ramionach (ależ to było czułe). Stał odwrócony do mnie plecami. Natychmiast przypomniał mi się Chris, który podobnie kołysał Oliwię. Poczułam ukłucie – coś pomiędzy bólem a wzruszeniem. Myślałam, że zaraz się rozplaczę. Rzucę się w jego ramiona. Wskoczę do morza.

Zwymiotuję. Cokolwiek.

– Ruby chyba jest głodna – powiedział Mark.

– Tak, czas na karmienie.

Cisza. Kłopotliwy moment. Wzięłam Ruby. „Gdzie mam ją nakarmić?” Zanim zastanowiłam się nad odpowiedzią, wyjęłam pierś i ją przystawiłam. Nic nie wydawało mi się mniej seksowne. To kategorycznie wykluczało jakąkolwiek możliwość flirtowania. Mark delikatnie odwrócił wzrok, jednak bez żadnych gwałtownych ruchów, dając jasno do zrozumienia, że to nie dlatego, że mu coś przeszkadza, a jedynie chce zapewnić mi prywatność. Zrobił łodzią zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i wróciliśmy do portu. Nie rozmawialiśmy w drodze powrotnej, gdyż każde z nas było za bardzo pogrążone w swoich myślach.

Dzień 145–154. Rok I p.Ch.

Uznanie Miriam za podejrzaną numer jeden spowodowało, że niemal natychmiast zaczęłam jej bronić. To niemożliwe, żebym trafiła tak od razu. Polubiłam Miriam, potrzebowałam jej obok siebie na wyspie. Co oczywiście nie powinno mi przeszkodzić w tym, żeby grzebać w jej życiu. Jedno nie wykluczało drugiego. Była podejrzaną, ale bez wielkiego znaku zapytania unoszącego się w powietrzu, wiszącego nad jej głową niczym balon z helem. To było tak, jakbym przyznała jej immunitet dyplomatyczny. Poza tym, żeby poznać jej życie, nie musiałam dokonywać wielkich wysiłków, bo sama niemal natychmiast uznała mnie za swoją odskocznnię w czasie nieprzyjemnego rozvodu. To, co rozpoczęło się jako element strategii w celu zdobycia informacji, stopniowo stawało się przyjaźnią, na którą w tamtym momencie mogłam sobie pozwolić.

– Huragan Sandy zniszczył mnóstwo domów na wyspie. Mike i ja nie mieliśmy wątpliwości, że to doskonały czas na interesy. Znaleźliśmy zainteresowanych inwestorów, kupiliśmy tuzin domów po okazyjnej cenie i otworzyłam agencję nieruchomości. Mike zajmował się ich odnawianiem, a ja sprzedawałam je po cenie trzy albo cztery razy wyższej, niż pierwotnie kosztowały.

– Czyli nieźle mnie złupiłaś.

– Żebyś wiedziała – powiedziała.

Zaśmiałam się.

– A dlaczego swojemu psu dałaś na imię Sandy...? To trochę tak, jakby papużkę nazwać jedenaście-W, nie sądzisz?

Teraz to ona się zaśmiała.

– Nie, głuptasie, Sandy pojawiła się na wyspie po huraganie. Nikt nigdy wcześniej jej nie widział. Myślę, że to oko huraganu przyniosło ją aż tutaj. Znalazłam ją przestraszoną i wygłodzoną i ją przygarnęłam. Nie miała czipa ani niczego, co pozwalałoby na odnalezienie jej właścicieli.

– I sprzedawałaś wszystkie domy, które kupiłaś? – Czytaj: sprzedawałaś któryś dom Chrisowi?

– Nie, skądże. Zostało jeszcze kilka. W tym konkretnym przypadku czas gra na moją korzyść. Popyt prawie zawsze jest większy niż podaż. Trzeba umieć dobrze grać kartami. Poza tym odkąd otworzyłam agencję, zarządzam także wieloma innymi nieruchomościami osób, które nie mieszkają na wyspie. Głównie terenami i lokalami kupionymi jako czysta inwestycja. Ale ogólnie nie ma dużego ruchu. To jest bardzo mała wyspa.

Kiedy jej słuchałam, nie przestawałam robić w głowie notatek: „Muszę się jakoś dostać do jej agencji... Muszę dotrzeć do jej szaf z aktami... Dokumenty, pisma, kupna, sprzedaż domów, wynajem lokali... To wszystko przechowuje w dwóch szafach aktowych... Ona musiała poznać Chrisa...”.

Miriam wyjęła małe pudełko z zestawem dla diabetyków.

– Masz coś przeciwko temu, żebym tutaj zrobiła sobie zastrzyk? – zapytała.

– Nie, absolutnie – odpowiedziałam, chociaż boję się igieł. – Od kiedy jesteś diabetyczką?

– Zdiagnozowali u mnie cukrzycę ciążową. Nawet nie wiesz, jaka to udręka. Żegnajcie, wszystkie zachcianki. Fatalnie to znosiłam, ponieważ doszedł jeszcze niepokój związany z rozpadem mojego małżeństwa. Ale wytrzymałam jak mistrzyni ze względu na zdrowie dziecka. – Zrobiła sobie zastrzyk w brzuch. Odwróciłam wzrok. – Urodziłam i wydawało się, że będzie po wszystkim, bo uważa się, że choruje się tylko w czasie ciąży, ale to nie minęło. I nadal nie mija. A do tego całe to zamieszanie z Mikiem, wysoki poziom glukozy, okazało się ponadto, że tabletki, które brałam, przestały działać, więc pojawiło się jeszcze więcej problemów, jeszcze większy stres. Pragnienie, zawroty głowy, częste oddawanie moczu, utrata wagi. Jeszcze większe zamieszanie. Hiperglikemia. Zamazane widzenie, mrowienie, zmęczenie. Szpital i cukrzyca typu drugiego.

– Mnie bardziej niż cukrzyca typu drugiego pasuje cukrzyca typu eks – stwierdziłam. I roześmiałyśmy się obie.



Agencja nieruchomości MacArthy Realty mieści się w małym domu z czerwonej cegły, z wielkimi oknami pełnymi zdjęć domów na sprzedaż i lokali użytkowych do wynajęcia. Byłam już tam kilka razy i widziałam dwie szafy aktowe zamknięte na klucz. Tylne drzwi wychodziły na uliczkę, na której Miriam zawsze parkowała samochód. Zamek był standardowy i nigdy nie zamykała go, przekręcając klucz dwa razy. Liczyłam, że uda się otworzyć go za pomocą zdjęcia rentgenowskiego. To był cel mojej pierwszej wielkiej misji.

„Strój sportowy. Ciemny. Żeby nikt mnie nie zobaczył. Jaką masz wymówkę? Wysłałam pobiegać, dziewczynki śpią, teraz mam czas dla siebie, krótki jogging, żeby rozładować emocje. Dwa kilometry tam i dwa z powrotem. Mało to jednak nie jest. Ale trzeba biec, nie pozostaje nic innego, to jedyny sposób, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Czarne legginsy, czarna koszulka. Nic jaskrawego. W tej misji musiałam zachować incognito. Latarka? Wystarczy ta w telefonie. Upewnij się, czy jest naładowany. Tak, wszystko w porządku. Wytrychy? Mam. Dziewczynki śpią? Jak susły. Elektroniczna niania? Tak, z zasięgiem trzech kilometrów, najbardziej zaawansowana na rynku. W sam raz. Powinnaś wcześniej ją wypróbować. Przekładamy misję? Nie, nie. Zrobimy to tej nocy. Zdjęcie rentgenowskie czaszki Chrisa, na którym widać uraz spowodowany wypadkiem. Ależ makabryczne, co? Dlaczego je zachowałeś? Na wypadek, gdyby trzeba było podjąć kroki prawne. Gdyby okazało się, że do jego śmierci przyczyniło się zaniedbanie lekarskie. A ponadto była to część dokumentacji potrzebnej, aby

dostać pieniądze z ubezpieczenia. Dlatego je zachowałam. Tej nocy Chris idzie ze mną, żeby wtargnąć do agencji nieruchomości. A co zrobisz z Kucykiem? Nie możesz zabrać go ze sobą, jest zbyt nieprzewidywalny, zbyt bojaźliwy. Ale jeśli zostawisz go samego w domu z dziewczynkami, będzie skomlał, na pewno będzie skomlał. Obudzi je i zamieszanie gotowe. Dasz mu środek uspokajający? Nie, podawanie narkotyków psom jest okrutne. Zostawisz go na zewnątrz? Jeszcze gorzej. Zacznie wyć, obudzi wszystkich w sąsiedztwie, całą wyspę, a później odkopie szopa Puchi-Puchi i zanieś go Olivii, żeby się bawić. Co mam zrobić z Kucykiem? Zabiorę go ze sobą. Myślisz, że przebiegnie dwa kilometry tam i dwa z powrotem? Nie ma mowy. Nie patrz tak na mnie, Kucyku. Wyczuwa, że wychodzę. Narobi hałasu, gdy tylko wystawię nogę za próg. Przekładamy? Nie, rower elektryczny. Wsadzisz go do przyczepki rowerowej dla dzieci, którą ostatnio kupiłaś. Wybrałaś się na przejażdżkę rowerem. Jeszcze lepiej. Będzie szybciej. No dalej, idziemy. Nie, nie, zaczekaj, nie możesz zostawić dziewczynek samych. Co za szaleństwo. Przede wszystkim Ruby. Jest przedłużeniem ciebie. Przecież jest grzeczna i nigdy nie płacze, śpi prawie zawsze po ostatnim karmieniu przez siedem godzin bez budzenia się. Ale może dlatego śpi tak dobrze, bo czuje, że jestem blisko. Może kiedy się oddalę, obudzi się, zacznie płakać i obudzi Olivię. Nie, jeśli pójdę, muszę ją zabrać ze sobą. Przerywamy misję? Nie, wózek golfowy. Pojedziemy wózkiem golfowym. Jeśli mnie złapią, powiem, że jazda uspokaja dziecko, że nie przestawała płakać i zabrałam ją na przejażdżkę. A Olivia? Zostawisz ją samą? Maksymalnie czterdzieści minut. Dwa kilometry. Elektroniczna niania. Niemożliwe, żeby cokolwiek jej się stało. Jeśli cię złapią, odbiorą ci opiekę. To pewne. Rany, to straszne, nie mów tak. Idziemy czy nie? Przerywamy?”

Na początku zależało mi, żeby nie brać niczego jaskrawego, a skończyłam w wózku golfowym z reflektorami razem z dzieckiem i psem. Na szczęście nikogo nie spotkałam. Szczęście debiutantki. Najpierw przejechałam obok agencji. Kiedy dotarłam do końca ulicy, zawróciłam i skręciłam w boczną uliczkę.

Otwarcie tylnych drzwi było zadziwiająco łatwe (wcześniej godzinami ćwiczyłam to w domu). Włożyłam zdjęcie rentgenowskie między framugę a drzwi. Przesunęłam nim do dołu. Raz, dwa, trzy razy i klik, otworzyły się. Nie miałam do czynienia ze skomplikowanym zamkiem – zaleta mieszkania na wyspie rezydencjalnej, gdzie wszyscy się znajdują (albo myślą, że się znajdują) i gdzie drzwi do samochodów i domów często zostawia się otwarte, no chyba że właściciele wyjeżdżają na dłużej.

Światło latarni (jedynej, z Grand Ave) łagodnie wpadało do agencji. Natychmiast zaczęłam szukać kluczy do szaf aktowych. Bardzo możliwe, że w tej atmosferze wzajemnego zaufania Miriam trzymała je po prostu w jakiejś puszcze z gumkami, długopisami, ołówkami i klipsami albo w którejś szufladzie, jednak nie mogłam ich znaleźć. W geście desperacji spróbowałam użyć Klucza Master. To

oczywiste, że nie pasował. Nieważne, przyjechałam tu przygotowana. Wyjęłam telefon, otworzyłam aplikację YouTube z gotową do odtworzenia prezentacją: „Jak otworzyć szafę aktową bez klucza”. Trwała minutę i piętnaście sekund. Autorem nagrania był młody chłopiec, jedenasto- albo dwunastoletni, który śpiewnym głosem graficznie wyjaśniał wszystkie czynności, jakie należy wykonać: „To jest najłatwiejsze przy tego rodzaju szafach. Tak łatwe, że nawet dziecko może to zrobić. Ha, ha, ha. A zatem: wkładasz wytrych w otwór zamka. Jeśli poruszysz nim w środku, poczujesz, że zamek jest dość szeroki. Przekręcasz wytrych w stronę, w którą zamek ma się otworzyć, i kiedy napotkasz opór, przytrzymujesz wytrych i zostawiasz w tej pozycji. Wtedy wkładasz drugi, cieńszy wytrych albo drut, albo klips, i zaczynasz nim poruszać jak ktoś, kto czyści sobie zęby wykałaczką, chociaż moja matka mówi, że robienie tego w miejscu publicznym jest oznaką złego wychowania, ha, ha, ha, ha! I tak do chwili, aż trafisz we właściwe miejsce i zamek się otworzy. Klik. Widzisz? Bułka z masłem”. Kiedy piąty raz odtwarzałam filmik, przez cały czas próbując otworzyć zamek, miałam tego naprawdę dosyć i przeklinałam tego cholernego dzieciaka, pretensjonalnego kujona. A ponieważ na wyspie jest słaby zasięg, prezentacja odtwarzała się beznadziejnie, zacinając się i przeskakując: „Jeśli poooooo ruszyyy w śro dku, poczuje za meme me me mek j st dość szer ki”. Na domiar złego nadeszła północ i latarnia zgasła. I prawie w tym samym czasie zdałam sobie sprawę, że nie dociera tutaj sygnał elektronicznej niani. Coś mogło się stać Olivii, a ja bym o tym nie wiedziała. Zganiłam się w myślach, wstałam i przerwałam misję. Cała nagromadzona nienawiść, jaką czułam do tego jedenasto- czy dwunastolatka, któremu poszło tak łatwo, spowodowała, że kopnęłam szafę. Troszkę ją zniekształciłam, Kucyk zaniepokoił się i zaszczekał, Ruby obudziła się przestraszona, zaczęła płakać i na dodatek zrobiła kupę. Zamknęłam się w toalecie agencji, żeby ją uspokoić i żeby nikt nas nie usłyszał. Zmieniłam jej pieluchę, przestała płakać, zaśmiała się. Zostawiłam otwarty lufcik, żeby mój zapach mnie nie zdradził, i wyszłam. „Zostaniesz na wyspie dłużej, dziewczyno...”



Państwo DeRollerowie, Gwen i Dan Sr., miła para Afroamerykanów, ona burmistrzynie Robin Island, on właściciel sklepu żelaznego Dan's True Value.

– Trzeba się z tym pogodzić. To żona rządzi w domu i nie tylko. A ja w tym czasie sprzedaję śrubki i żywą przynętę. Moi koledzy powtarzają: „Dan, nie jesteś więcej wart niż robaki, które sprzedajesz”. Na tej wyspie głowami rodzin są kobiety: moja Gwen, burmistrzynie; Margaret, szefowa policji; Gail, szefowa strażaków; i Julia, słynna pisarka, która spowodowała, że wyspa stała się rozpoznawalna. Wiele osób przyjeżdża tutaj, ponieważ wie, że ona tu mieszka. Co za zapaleńcy. Zdajesz sobie z tego sprawę, Alice? Same kobiety, wszystkie matki.

Nie bez powodu od pradawnych czasów nazywają wyspę Mom's Island. Znasz tę historię?

– Nie, nie znam, Dan.

– Jeszcze ci ją opowiedzą. Ja ani myślę tego robić, bo za każdym razem, kiedy ktoś ją opowiada, legenda rośnie i przekleństwo jeszcze bardziej przesiewa męski rodzaj na Robin Island – powiedział żartobliwie.

W sklepie był model szafy aktowej identyczny z tymi w agencji Miriam. Na pewno kupiła je tutaj.

– Potrzebuję konewki, kilku haczyków do obrazów, składanej drabiny z dwoma lub trzema stopniami, nożyc do przycinania, przepychacza i... i... niech pomyślę, chyba o czymś zapomniałam... Ach, już wiem, i szafy aktowej, taka jak ta tutaj będzie odpowiednia.

Nie potrzebowałam żadnej z tych rzeczy; wymieniałam to, co kolejno zobaczyłam na półkach. Wszystko to kupowałam dla zmylenia śladów i z powodu mojej paranoicznej weny, która mnie właśnie naszła.

– Mogę dać ci wszystko z wyjątkiem szafy aktowej. Miriam ją zarezerwowała. Jedna jej się zepsuła. Nie można jej otworzyć. – „Ups”.

Dopiero po trzech dniach przywieziono mi szafę aktową, którą zamówiłam u Dana Sr. W tym czasie doszło do mojego pierwszego niespodziewanego zetknięcia się z Julią.

– Wzięli wszystkie? – zapytałam Gail, widząc, że kartki z moim ogłoszeniem zniknęły z apteki.

– To Dan DeRoller Jr. – odparła. – Chce być twoim jedynym uczniem na wyspie i mówi, że zostanie drugim Picassem.

Dan Jr. jest synem Dana i Gwen i cierpi na zespół Downa. Kiedy się urodził, dawano mu cztery lata życia, a ma już szesnaście. Rodzice uczyli go sami, w domu. Był moim pierwszym uczniem. Sam do mnie zadzwonił, nie prosząc o zgodę. Biedak, musiał mieć już dosyć siedzenia ze swoimi rodzicami. Jest uroczy.

– Naprawdę? A ja sobie robiłam nadzieje... Zostawię ci więcej, dobrze?

Gail delikatnie skinęła głową, kompletując zamówienie na witaminy w postaci żelków o wszystkich zapachach i kolorach. Przed wyjściem podeszłam do książek. Na obrotowym regale zobaczyłam dwie powieści, które Julia opublikowała do tej pory: *Pogrzebową sukienkę* w wydaniu kieszonkowym w miękkiej oprawie i *Gdybyś wrócił do domu* w twardej. Wzięłam tę drugą, otworzyłam i przeczytałam krótką biografię autorki na skrzydełku:

W 2009 roku Julia Ponsky dała się poznać szerokiej publiczności jako autorka bardzo chwalonej *Pogrzebowej sukienki*, debiutanckiej powieści, która wyniosła ją do grona najważniejszych współczesnych pisarzy. Uzyskując rekordowy wynik sprzedanych egzemplarzy, przez wiele tygodni utrzymywała się na liście bestsellerów „New York Timesa”; została przetłumaczona na dwadzieścia

pięć języków i okrzyknięta przez Stowarzyszenie Księgarzy Amerykańskich jedną z najważniejszych książek roku, a przez recenzentów „New Yorkera” książką roku. Magazyn „Granta” uznał Julię Ponsky za jedną z najlepszych powieściopisarek, które nie ukończyły jeszcze czterdziestu lat. Stale współpracuje z „Vanity Fair” i „Harper’s”. Studiowała na Uniwersytecie w Princeton i ma dyplom z literatury Uniwersytetu Columbia, gdzie wykładała kreatywne pisanie. Obecnie mieszka na Robin Island, Massachusetts, z mężem i synem.

Gdybyś wrócił do domu jest jej długo wyczekiwaną drugą powieścią.

Spojrzałam na zdjęcie zamieszczone obok biografii. Ładna, uśmiechnięta, pewna siebie... Wyglądała jak aktorka z Hollywood, ale z tych dobrych, z tych, które zdobywają Oscary, w stylu Jennifer Connelly. Zamknęłam książkę i... zobaczyłam Julię przed sobą. Zalała mnie fala gorąca.

– Ojej, cześć...

– Cześć.

– Jestem Alice.

– Julia.

– Tak...

Uścisnęła moją rękę.

– Ale wstyd... – musiałam wyznać, ponieważ moje zakłopotanie było tak oczywiste, że jakakolwiek próba jego ukrycia sprawiłaby, iż zrobiłabym z siebie jeszcze większą idiotkę.

– To mnie byłoby wstyd, gdybyś ją przeczytała.

Odebrała mi książkę z taką delikatnością, że minęło trochę czasu, zanim zdałam sobie sprawę, że nie mam jej w dłoniach. Jakby użyła magicznej sztuczki.

– Nie chciałam, żeby się ukazała. Wydawca mnie zmusił ze względu na umowę. Gail się uparła i ją sprowadza. Prawda, Gail?

Gail podniosła wzrok znad okularów.

– Przecież najlepiej się sprzedaje – powiedziała, po czym wróciła do swojej pracy.

– Bo przychodzę co tydzień i sama ją kupuję.

– Chciałabym, żebyś mi ją podpisała – powiedziałam, wskazując wzrokiem na egzemplarz, który mi zabrała, jakby już należał do mnie, gdyż to ja pierwsza go zobaczyłam.

– Jeśli ci go podpiszę, to nigdy nie zostaniemy przyjaciółkami. Nie żebym chciała być twoją przyjaciółką. Nie teraz. W przyszłości być może tak. A nie można być przyjacielem wielbiciela, który kolekcjonuje dedykacje. Za każdym razem, kiedy podpisuję książkę, zamiast zbliżyć się do czytelnika, stawiam między nami barierę. – I nie czekając na reakcję na swoje słowa, dodała: – Jestem trochę dziwna, nie zwracaj na mnie uwagi.

Julia wzięła cztery egzemplarze *Gdybyś wrócił do domu*, które leżały na

regale.

– Dopisz je do mojego rachunku, Gail – powiedziała, wychodząc.

Dlaczego ta kobieta tak mnie onieśmiela? „Cóż, właśnie przeczytałaś jej biografię, która robi wrażenie. Dokonała ważnych rzeczy, przebiła się, w odróżnieniu od ciebie”.

Tego samego wieczoru już w łóżku zaczęłam czytać książkę Julii (kupiłam e-book na Amazonie). Wytrzymałam tylko do dwudziestej piątej strony. Nie powiem, byłam wyczerpana, ale książka wydała mi się wyjątkowo nudna.



„Nie zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi”. Kucyk patrzył na mnie zdezorientowany i może zazdrosny, ponieważ tym groźnym tonem mówiłam do prostokątnej metalowej konstrukcji z dwiema szufladami i rączkami. W końcu przywieziono mi szafę aktową. Po umieszczeniu jej na poddaszu wzięłam wytrychy i zgasłam światło, chciałam, żeby było zupełnie ciemno. Kucyk zaczął pojękiwać. Czyż nie uważa się, że psy widzą w ciemności?

Po trwających dwie i pół godziny próbach byłam w stanie otworzyć szafę dwoma wytrychami bez patrzenia i nawet szybciej, niż ten jedenasto- czy dwunastoletni chłopak. Tak jest! Miałam ochotę sama nakręcić filmik i umieścić go na YouTube, bo naprawdę byłam bardzo zadowolona z moich postępów. Tytuł: „Jak otworzyć szafę aktową bez klucza i bez patrzenia jeszcze szybciej niż zmanierowany jedenasto- czy dwunastolatek o śpiewnym głosie”.

W przypiływie entuzjazmu pomyślałam: „Dlaczego nie zrobić tego teraz? Jest dwunasta w nocy. Wtorek. Jest nów. Jest zimno. Zaczyna się robić zimno (co przerażało Olivię: O matko, co nas czeka). Na zewnątrz nie będzie nikogo. Wykorzystaj to. Masz dobrą passę. Zaczynasz panować nad sytuacją. No już, pędź do agencji”. I tak zrobiłam.

Otworzyłam szafę za pierwszym razem. Umowy kupna i wynajmu były uporządkowane datami. Sprawdziłam wszystkie od 2012 roku, czyli od czasu, gdy Miriam założyła agencję. Nie było tego dużo. Czy znajdowały się tu wszystkie? Była moja, jako pierwsza albo jako ostatnia, w zależności od punktu widzenia. Tak, musiały być wszystkie. Na wyspie nie było zbyt wielu nieruchomości do kupienia albo wynajęcia. Miriam mi o tym mówiła. Sprawdziłam umowy, szukając jak szalona imienia Chris albo nazwiska Williams. Nic. Sprawdziłam drugi raz, szukając nazwy firmy Chrisa, WTT. Też nic. A ponieważ znałam siebie i wiedziałam, że tej nocy, już po powrocie do domu, albo następnego dnia będę miała całkowitą pewność, że z powodu zdenerwowania przeoczyłam jakiś szczegół, a nie było sensu znów wracać do agencji, żeby nie kusić losu, postanowiłam sfotografować wszystkie dokumenty. Pierwszą stroną każdej teczki i pierwszą stroną umowy. Zabrałam je do toalety w tylnej części lokalu. Bałam się,

że błysk flesza zwróci uwagę kogoś na zewnątrz. „Bardzo dobrze myślisz, Alice. Widzisz? Szybko się uczysz. Jesteś dobra. Świetnie sobie z tym radzisz”. Nawet Ruby i Kucyk, jakby nauczeni poprzednim doświadczeniem, zachowywali się nienagannie.

Wysłałam z agencji nieruchomości jak zwycięzca opuszczający miejsce bitwy, ale wjeżdżając wózkiem golfowym na główną ulicę, musiałam gwałtownie zahamować, żeby nie potrącić Franka, weterynarza i właściciela Family Pet Land. Stał na środku jezdni, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami jak przestraszone, zaskoczone zwierzę na drodze, oślepione światłem reflektorów.

– Frank, ale mnie przestraszyłeś!

– Dlaczego? – zapytał, niczego nie rozumiejąc. Wtedy zdałam sobie sprawę, że jest w pijamie. Przyjechał aż tutaj swoim elektrycznym samochodem. Był źle zaparkowany, stał na chodniku. W pierwszym odruchu pomyślałam, że jest pijany. Potem, że może jest somnambulikiem. – Rose, już czas wracać do domu.

„Rose? Kto to jest Rose?”

– Frank... Ja nie...

– Ty nie, ty nie... Ale zawsze ty tak, ty tak... I uważam, że to dobrze, że pomagasz wszystkim zwierzętom, na które natykasz się na wyspie. I że pracujesz aż do późnych godzin. Ale, kochanie, już czas wracać do domu...

Wtedy sobie przypomniałam, że Rose była jego żoną, która zmarła już kilka lat temu. Frank nie był pijany ani nie był somnambulikiem. To było coś gorszego, coś nieodwracalnego.

– Jasne, że tak, Frank, wracajmy do domu – powiedziałam mu, wcielając się w rolę Rose.

– Chodź, wsiadaj do wózka.

– Nie, kochanie, pojedę swoim wózkiem golfowym. Zobaczymy się w domu, dobrze?

Nie odpowiedział. Widać było, że jest zdezorientowany. Pogubiony. Szukał, sam nie wiedząc czego. Zorientował się?

Wsiadł do wózka, bez żadnych problemów uruchomił silnik i ruszył w stronę domu.

Chciałam za nim pojechać, aby mieć pewność, że dotrze do stadniny koni Horse Rush Farm, i aby powiedzieć jego córce o tym, co mu się przytrafiło, bo powinna zająć się tą sprawą. Ale nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam ryzykować. Miałam nadzieję, że zachowanie Franka było spowodowane demencją starczą i że nie powie swojej córce niczego, co by mogło mnie zdradzić.

Żeby się o tym przekonać, następnego dnia pojechałam do Family Pet Land, by kupić karmę dla Kucyka. Kiedy zobaczył, że wchodzimy, wylewnie się z nami przywitał:

– Moje ulubione dziewczyny, Alice, Ruby i mały Kucyk. Chodź, Kucyku,

śliczny piesek, masz przekąskę od dziadka Franka...

Alice, Ruby, Kucyk? Doskonała orientacja w realiach. Czyżby w nocy mnie oszukał? Udawał, że cierpi na alzheimera? Czyżby Frank przyłapał mnie na gorącym uczynku?

Wyszłam ze sklepu zdezorientowana i zmartwiona. Miriam stała na chodniku przed swoim lokalem i zobaczywszy mnie, biegiem skierowała się w moją stronę. „O mój Boże, złapali mnie, złapali mnie. Frank opowiedział wszystko Miriam”.

– Już dobrze, Alice – powiedziała przejęta. – Co robiłaś? Czy ty wiesz, jak wyglądasz? Tak nie może być. Jesteśmy przyjaciółkami, prawda? Dlaczego więc nigdy mi o niczym nie mówisz? Dlaczego starasz się ukryć to, co jest tak oczywiste?

Miriam patrzyła na mnie z poważnym wyrazem twarzy, a ja powstrzymałam się od płaczu, a przede wszystkim od wyznania jej wszystkiego.

– Wyglądasz na bardzo zmęczoną – ciągnęła. – Widać, że przez całą noc nie zmrużyłaś oka. I nie mów mi, że to z winy Ruby, bo wiem, że śpi jak aniołek. Ale dobrze, jeśli nie chcesz mówić o tym, bo nigdy nie mówisz, rozumiem. Nie będę na ciebie naciskać. Przynajmniej pozwól mi się porozpieszczać i ugościć. Zapraszam cię na obiad. Bo nawet jeśli o tym nie myślisz, zasługujesz na nagrodę. Ponieważ wszystko robisz bardzo dobrze. Rozumiesz mnie, Alice? **WSZYSTKO.**

Wtedy się rozplakałam, chociaż Miriam nigdy tak naprawdę nie dowiedziała się dlaczego.

Dni 171–172. Rok I p.Ch.

– Mamo, na Halloween chcę się przebrać za szopa Puchi-Puchi – oświadczyła Olivia z wielką stanowczością.

Historia Olivii i szopa Puchi-Puchi nie skończyła się na pogrzebaniu go z honorami. Dwa dni po nieszczęśliwym wypadku Olivia powiedziała: „Mamo, muszę ci coś wyznać. Kiedy zobaczyłam szopa Puchi-Puchi, nie krzyczałam ze strachu, ale z radości, bo myślałam, że on jest prezentem dla mnie”. A tydzień po zaadoptowaniu Kucyka: „Ja chciałam szopa Puchi-Puchi jako zwierzątko zamiast Toniejestkucyka”. Pewnego dnia, kiedy Kucyk wreszcie zaczynał rozumieć, że swoje potrzeby musi załatwiać w ogrodzie, Oli przyłapała go, gdy sikał na grób szopa Puchi-Puchi. Krzyknęła na niego histerycznie i pogoniła go kijem, jakby sprofanował grób jej ojca. I oczywiście po tym zdarzeniu Kucyk znowu uznał, że właściwym miejscem do załatwiania swoich potrzeb jest moja sypialnia, salon, łazienka albo kuchnia – w takiej kolejności. Jak to możliwe, że moja córka tak bardzo przywiązała się do dzikiego i wściekłego zwierzęcia, istniejącego w zasadzie tylko w jej wyobraźni, a pogardzała innym, które pragnęło zrobić dla niej wszystko, chciało chronić ją i kochać? „Mam nadzieję, że nie będziesz tak samo postępować z mężczyznami, córeczko, bo jeśli tak, to będzie ci bardzo źle. Tobie i im”.

Tak więc przebrała się za szopa Puchi-Puchi. Śliczny szop chodzący od drzwi do drzwi z plastikowym koszyczkiem w kształcie dyni, by gromadzić w nim góry słodkości. Co wydało mi się interesujące. Chodzenie od drzwi do drzwi oczywiście, a nie zbieranie słodczy. Można obserwować, sprawdzać, co mają w domach, choćby tylko z perspektywy progu. Kilka miłych chwil, żebym mogła się zorientować. Przebrałam się za Gnijącą Pannę Młodą. Kiedy uznałam, że to jest dobry pomysł? Cóż to w ogóle za makabryczny pomysł? Zważywszy, że o wiele łatwiej byłoby przebrać się za Dorotkę z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*, księżniczkę Leię czy Wilnę Flintstone.

Pierwszy dom. Wilkinsonów. Christina i Donald. Emeryci.

– Cześć, jestem Puchi-Puchi i jeśli nie dasz mi słodczy, zjem ci wszystko, co masz w domu, i twojego psa, i twojego kota.

– Kochanie, wystarczy powiedzieć tylko: „Cukierek albo psikus”.

Kolejny dom. DeRollerów. Otworzył Dan Jr. i dosłownie rzucił się w moje ramiona. Ucałował nas – wszystkie trzy – jakbyśmy były jego siostrami.

– Cześć, jestem Puchi-Puchi i jeśli nie dasz mi słodczy, zjem ci wszystko, co masz w domu, i twojego psa, i twojego kota. Cukierek i psikus.

– Albo psikus. Cukierek albo psikus, Olivia.

Kolejny dom. Hurlbuttów. Tina i Josh. Dla obojga jest to drugie małżeństwo. Tina prowadzi żłobek. Josh – nie mam pojęcia, co robi. Troje dzieci. Jodie

(dziewięć lat?), Karen (dwanaście?) i jeszcze chłopiec (czternaście?).

Kolejny dom. Kolejny dom. Kolejny dom. Kolejny dom...

Zaczęło mi się kręcić w głowie. Znowu zbyt wiele informacji, zbyt wielu ludzi. Zbyt wiele nieopowiedzianych historii. Zbyt wiele niewiadomych. Bawiłam się Kluczem Master. Miałam go w kieszeni razem z połową tabletki xanax i połową valium. Obie owinięte folią aluminiową. Doskonale rozróżniałam je w dotyku. Nie miałam zamiaru ich łykać, wystarczyło mi, że je mam.

Do czasu przeprowadzki na wyspę nie byłam świadoma tego, ile wysiłku może kosztować nawiązywanie kontaktów czy przyjaźni z ludźmi, którzy często nawet tego nie zauważają. Wychowywałam się w kontrolowanym i niezmiennym się szybko środowisku. Dorastałam z tymi samymi przyjaciółmi, byliśmy ze sobą od żłobka do szkoły średniej. Mój świat był zamknięty i przewidywalny. Ta sama dzielnica, ta sama podstawówka/szkoła średnia/universytet. Wszędzie blisko. Oaza. I w niej byłam serdeczna, otwarta, sympatyczna, zabawna i życzliwa. Ale kiedy mój świat się zawalił i musiałam zaczynać od zera, uświadomiłam sobie, ile zachodu wymaga nawiązywanie relacji z nieznanymi (przypuszczam, że było tak po trosze dlatego, że nie szukałam przyjaciół, ale podejrzanych). Miałam ogromne trudności z dotraniem do końca każdego dnia, a w zasadzie cyrku, w jako takim stanie: z uśmiechem, tuszem na rzęsach, w przebraniu. Z podobnym trudem myślałam o swoim życiu uczuciowym. Oczywiście było jeszcze za wcześnie, żeby myśleć o jakichś relacjach miłosnych. Ale sama myśl o tym, że będę musiała przejść przez to samo, przez co już przechodziłam z Chrisem... Jeszcze raz?! To był związek gotowany na wolnym ogniu przez ponad osiemnaście lat, jeśli liczyć od momentu, gdy zaczęłam się w nim podkochiwać w tajemnicy jak typowa dojrzewająca nastolatka. Wiedziałam, że nie musi być tak samo, ale trzeba było zaczynać wszystko od zera. Znowu się cieszyć/przyzwyczać się/akceptować zapach, dotyk, pocałunki, seks, manie, traumy, wady własne i czyjeś? I dzielić się chwilami, przyjemnościami, ulubionymi miejscami czy jedzeniem. Pozwolić komuś wejść do życia swojego i dziewczynek. Dzielić dom? Mieć więcej dzieci? Zmienić nazwisko? Dla mnie było to absolutnie niemożliwe.

Kolejny dom. Marka i Julii. Olivia zaniemówiła, widząc Olivera przebranego za Pirata z Karaibów. Wyglądał jak Johnny Depp we własnej osobie. Ani cukierek, ani psikus, ani nic. Julia nie wyszła. Mark ledwie na mnie popatrzył. Posłał mi słaby, sztuczny uśmiech, kiedy mu powiedziałam: „Dziś musi być twój ulubiony dzień w roku, co? Miliony osób propagujące próchnicę”.

Kolejny dom. Kolejny dom. Kolejny dom. I hotel. Karen's Petite Maison. Otworzyła Karen przebrana za macochę z *Królewny Śnieżki* z kieliszkiem w kształcie Świętego Graala w dłoni, z którego z pewnością piła wino.

– Cześć, jestem Puchi-Puchi i cukierek albo psikus. – Zmęczenie zaczynało

pokonywać Olivię. To mnie ucieszyło.

– A co to jest?! Szop i kangur! – Ruby była przebrana za kangura. Ponieważ musiałam ją zabrać w nosidełku, uznałam, że to będzie najbardziej odpowiednie. – Trzeba wezwać brygadę do spraw kontroli zwierząt! – Oczywiście, że była wstawiona.

I wtedy pojawił się John, jej mąż, ubrany w strój gracza futbolu amerykańskiego. Miał na sobie cały komplet: spodnie z ochraniaczami, naramienniki, buty i kask. Barwy Virginia Cavaliers. Serce mi się ścisnęło. John chwycił Olivię. Uniwersytet Wirginii. Arytmia, drżenie prawego oka. „Zjem tego szopa na kolację!”, wykrzyknął John, zabierając ją do środka. Ten sam uniwersytet, na którym studiował Chris. Sztywnienie karku i nogi jak z waty. „Szopów się nie je!”, zaśmiała się Olivia gdzieś w tle. Nie, to niemożliwe. To musi być czysty przypadek, John jest znacznie starszy od Chrisa (choć w przypadku łysych – bo był łysy – czasem trudno określić wiek). Ale nawet ta myśl nie zdołała złagodzić łaskotania w moich rękach i bólu w głowie. „Uśmiechnij się, Alice. Wracaj. Udawaj. Przebranie. Jeszcze tylko dwadzieścia sekund i już cię tu nie będzie”, pomyślałam, kładąc sobie dyskretnie połówkę valium pod język, żeby szybciej się wchłonęło i szybciej przedostało do krwiobiegu, który właśnie groził, że zamknie się w okolicach mojej głowy.

– Wiem, wiem. Śmiesznie wygląda w stroju swojej futbolowej drużyny uniwersyteckiej. Myśli, że wciąż ma dwadzieścia lat i dwadzieścia kilogramów mniej – powiedziała Karen, widząc moją przestraszoną twarz.

John wrócił z Olivią na rękach. Odwróciłam wzrok. Zobaczyłam już to, co miałam zobaczyć. Nie chciałam tu umierać. Chciałam tylko wyjść i pójść do domu. Nie byłam w stanie sformułować normalnego czy logicznego pytania, jak na dobrą sąsiadkę przystało, w stylu: „Na jakiej pozycji grałeś, John?”, „Z którego rocznika jesteś, John?”. Nic. Nie mogłam zwerbalizować żadnego składnego zdania, żeby nie było widać burzy, która się we mnie rozpętała. Całe szczęście, że byłam przebrana za Gnijącą Pannę Młodą, ponieważ nie mogli dostrzec mojej bladeści w całym jej wymiarze.



Trzy pudła były podpisane: „Rzeczy Chrisa”. Tylko trzy? W trzech pudłach zmieściło się całe jego życie? Tak naprawdę nie było w nich ubrań. Po śmierci sportowe ubrania (przede wszystkim bluzy, koszulki i krótkie spodenki) Chrisa przeszły do mojej szafy, chociaż moja najlepsza przyjaciółka ze szkoły średniej, Suz, która zalecała się do Chrisa i była w nim zakochana, zanim zaczęłam z nim chodzić, powtarzała, że pozbycie się ich było krokiem oczyszczającym i potrzebnym, abym mogła poradzić sobie z jego stratą. „Jeśli chcesz, ja się tym zajmę”, powiedziała stanowczo. A ja pomyślałam: „Jasne, chcesz tylko wziąć sobie

jego ubrania”. Kiedy zobaczyłam, jak głośno płakała i zemdląła podczas mszy za duszę Chrisa, była jedną z pierwszych osób, które wydały mi się podejrzane. Jednak zanim jeszcze odzyskała świadomość, odrzuciłam tę możliwość. Chris nie cierpiał czirliderek. Nigdy żadnej nie zaprosił nawet na lody. „Wiesz, dlaczego zacząłem grać w tenisa jako dziecko? Bo w tej dyscyplinie nie ma czirliderek – mówił impulsywnie, a zarazem zabawnie. – One mnie nie dopingowały, one mnie rozpraszały. Ale nie rozpraszały w sensie: «patrz, jakie są seksowne ze swoimi pomponami i w krótkich spódniczkach». Nie, rozpraszały, ponieważ nie rozumiałem, dlaczego nie siedzą cicho, dlaczego nie przestaną podskakiwać i krzyczeć swoimi piskliwymi głosikami. Rozpraszały mnie, doprowadzając do przygnębienia. W taki sposób mnie rozpraszały”. Nie, Suz zawsze była wolna od jakichkolwiek podejrzeń. Powinnam była jej dać chociaż skarpetki Chrisa. Cóż, nie mam litości.

Pozostałe ubrania Chrisa: garnitury, pantofle, buty sportowe, płaszcze i inne rzeczy trafiły w ręce: po pierwsze, kuzynów i bliskich krewnych, którzy przychodzili z wizytą, oraz, po drugie, Armii Zbawienia. Chciałam, żeby wszystko poszło od razu do Armii Zbawienia, ale w tamtym momencie brakowało mi sił na taką batalię, więc ją przegrałam. Taka była decyzja Betty, matki Chrisa, która uznała, że to fantastycznie, jeśli na jakimś ślubie, chrzcinach, komunii, pogrzebie czy uroczystym rodzinnym spotkaniu któryś z kuzynów Chrisa pojawi się w jego garniturze, sprawiając, że innym żołądek podejdzie do gardła. Dla mnie bowiem noszenie jego ubrania w pewnym sensie oznaczało, że jest w domu, oddaję mu hołd (zasłużył na to?) i czuję go blisko. Perspektywa zobaczenia innej osoby w jego ubraniu nawet mnie nie zasmucała, raczej drażniła, i miałam ochotę od razu wyjść, trzaskając drzwiami. „Co w gruncie rzeczy już zrobiłaś, Alice”.

Przez chwilę patrzyłam na pudła, nabierając odwagi, aby je otworzyć, jakbym się bała, że w środku jest potwór, który żywi się wszystkimi wspomnieniami, potwór z ostrymi zębami i na dodatek albinos z powodu braku światła. Olivia płaczącym głosem zawołała mnie ze swojego pokoju. Od nadmiaru słodczy rozboleła ją brzuch. Zwymiotowała w łazience, a ja przytrzymałam jej głowę. Kucyk, solidaryzując się z nią, też to zrobił niemal w tym samym czasie; rozgniewał tym moją córkę, gdyż skradł jej chwilę, kiedy mogła być w centrum uwagi, a ponadto zabrudził podłogę w jej pokoju. Kiedy wszyscy zasnęli, nie zastanawiając się dłużej, otworzyłam pudła (zresztą wcześniej miałam już czas na przemyślenia).

Przede wszystkim szukałam roczników Chrisa z Uniwersytetu Wirginii, żeby sprawdzić, czy znajdę Johna lub jakąś notkę, podpis, dedykację, jakie przyjaciela niekiedy sobie dają. Miałam nadzieję, że nie wylądowały w śmieciach podczas generalnych porządków, które lubiliśmy robić. „Operacja wyrzucania balastu”, tak je nazywaliśmy. „Żeby lżej było kroczyć przez życie”. Chris nie odcinał się od lat

spędzonych na uniwersytecie, ale nie lubił nostalgii ani oglądania się za siebie. Zawsze do przodu, nowe projekty, nowe rzeczy. Nowe życie na Robin Island za moimi plecami?

Znalazłam dwa roczniki – z pierwszego i z ostatniego roku. Niemal natychmiast przypomniałam sobie, dlaczego nie było pozostałych. Chris zachował pierwszy, ponieważ lubił wiedzieć (i porównywać), gdzie zaczynało się i kończyło niemal wszystko w jego życiu. I ostatni – z tego samego powodu, a ponadto wtedy tenisowa drużyna Virginia Cavaliers została mistrzem kraju NCAA, a Chris zakończył sezon tylko z jedną porażką, zajął trzecie miejsce w rankingu ITA i dotarł do finału juniorskiego US Open. Pierwszy raz i ostatni. Coś w rodzaju przed i po. Reszta go nie interesowała, mówił, że nie było tam nic interesującego. A może było tam coś bardzo interesującego i chciał to ukryć? Bo przerwę w naszym związku mieliśmy właśnie wtedy, gdy był na trzecim roku studiów.

Nigdy wcześniej nie przeglądałam roczników. Czułam, że to jest prywatna pamiątka, poufna, mówiąca o przeżytych przygodach, historiach, których ja nie doświadczyłam w pierwszej osobie. Bez urazy, bez pytań, bez zazdrości. Nie otwierałam i nie szperałam. Pamiętam, jak źle znosił naszą rozłąkę na pierwszym roku. Nawet pod koniec pierwszego trymestru chciał przenieść się na Uniwersytet Browna, żeby być bliżej mnie, chociaż ta uczelnia miała gorszą drużynę i gorszy program tenisowy. Ale nie pozwoliłam mu na to. Takie decyzje ostatecznie zawsze powodują konsekwencje na przyszłość. Naprawdę chciałam, żeby studiował w możliwie jak najlepszym miejscu dla niego i dla jego kariery. Nie była to poza tolerancyjnej narzeczonej. Przypuszczam, że była to prawdziwa miłość.

Zaczęłam sprawdzać rocznik z pierwszego roku. Przeszłam od razu do sekcji sportowej, do części poświęconej futbolowi amerykańskiemu. Nic, nie znalazłam Johna. W tym z ostatniego roku też nie. Jeszcze raz przejrzałam rocznik z pierwszego roku. Już cały, strona po stronie. Żadnego rezultatu. I jeszcze raz ten z ostatniego roku, od początku do końca. I kiedy byłam już całkowicie przekonana, że studia Chrisa i Johna na tym samym uniwersytecie były zwykłym zbiegiem okoliczności, znalazłam go. Za pierwszym razem go przeoczyłam. Był praktycznie nie do poznania. Nie był łysy (fryzura w stylu lat dziewięćdziesiątych), miał kanciaste rysy twarzy i wąsy. Był przystojny, silny i dobrze zbudowany. Piąty od prawej w pierwszym rzędzie: „John Rushlow, koordynator defensywy, były student i zawodnik Cavaliers 1984–1988”, napisano pod zdjęciem. Był drugim trenerem drużyny. Stał obok głównego trenera, dumny z powrotu do swojego ukochanego zespołu w roli członka sztabu szkoleniowego.

Po raz trzeci sprawdziłam rocznik z pierwszego roku, wiedząc już, czego szukam, jednak niczego nie znalazłam, nie było go. To oznaczało, że nie byli jednocześnie na uniwersytecie przez wszystkie lata, lecz tylko przez niektóre, i to wtedy, gdy John skończył już studia i związany był wyłącznie z drużyną futbolu

amerykańskiego. Jaka istniała realna możliwość, że się znali? Niewielka. Chris nie należał do żadnego bractwa, nie cierpiał tego. Nie był też wielkim imprezowiczem, studiował dla tenisa, tenisa, tenisa, przyszłości, przyszłości, przyszłości. Poza tym sezon futbolu amerykańskiego to jesień–zima, a sezon tenisowy to wiosna. Tak więc szanse, że się zetknęli, były bliskie zeru. Nie było widocznego związku. Jednak im więcej znajdowałam powodów i obliczeń wykluczających ich ewentualną znajomość, tym mocniej czułam, że John w naturalny sposób pasował do kategorii podejrzanego, bardziej niż Miriam i Julia, zakwalifikowane przeze mnie w porywie desperacji. Zresztą zastanawiałam się nad przesunięciem ich obu na drugi plan, a skupieniu się tylko na Johnie jako głównym podejrzanym. Ale tego nie zrobiłam, bo chciałam czuć, że posuwam się do przodu, że się nie cofam.

John – Chris – Uniwersytet Wirginii – futbol/tenis – w tym samym czasie są na uczelni co najmniej przez rok – przypadek? znali się? – PODEJRZANY NUMER TRZY.

Na początku ucieszyłam się, że podejrzanym jest mężczyzna. Jednak później dopadło mnie przygnębienie, gdyż pojawił się cały wachlarz możliwości, których do tej pory nie brałam pod uwagę. W każdym razie, przewyciężywszy początkowy szok i irracjonalny strach (choć logiczny) po moim odkryciu, poczułam, że jestem bystra. Nieoceniona. Że jestem bliżej.

Następnie poszukałam w Google’u: „Karmienie piersią wino szkodliwe efekty”. Istniała zgoda co do tego, że jeśli się pije z umiarem, nie przekraczając dwustu mililitrów, dziecko nie będzie narażone na ryzyko. Tak więc wypłam półtora kieliszka (dokładnie odmierzyłam ilość) pinot noir dla uczczenia mojego małego odkrycia.

Przed pójściem do łóżka zajrzałam do pokoju Olivii, żeby się upewnić, czy śpi spokojnie. Coś jednak zwróciło moją uwagę: wszystkie słodczyki poukładała według kształtu, rozmiaru i koloru, tworząc kwadraty (jeśli słodczyki miały kształt prostokątny lub kwadratowy) albo koła (jeśli były okrągłe). Teraz zrozumiałam to, co mówiła mi, gdy wymiotowała, a co ja potraktowałam jako delirium hiperglikemiczne spowodowane moją lekką naganą, że za bardzo objada się słodczymi. „Zjadłam tylko te, które nie pasowały, mamó, te, których było za dużo”. Nie przejęłabym się tym za bardzo, ale zauważyłam, że nie tylko słodczyki były poddane starannemu procesowi segregacji. Również pluszaki były ułożone na podłodze od największego do najmniejszego, oparte o ścianę niczym podczas okazania na komisariacie. Zmieniałam kolejność kilku pluszaków i zjadłam trzy cukierki, żeby zepsuć tę perfekcyjną geometrię. Byłam ciekawa, co się stanie.

Następnego dnia, kiedy zobaczyłam, że mój pokój jest wywrócony do góry nogami, pierwszą reakcją była mieszanka paniki i paranoi. Ubrania porozrzucane na łóżku, otwarte szafy, opóźnione szuflady. „Przyłapali mnie. Weszli do domu, żeby mnie okraść. Szukać. Szukać czego? Pudeł Chrisa. Ktoś wie, że jesteś na jego

tropie. Upolowali cię. Trzeba uciekać, życie twoje i dziewczynek jest zagrożone”. Kiedy skończył się mój mały wielki melodramat, po sprawdzeniu, czy zawartość pudeł Chrisa pozostała nietknięta, wściekłam się, podejrzewając o ten chaos Kucyka. Ale z tego, co wiem, psy nie potrafią jeszcze otwierać szuflad i w nich grzebać. W takim razie kto?

Olivia siedziała w swoim pokoju plecami do drzwi i spokojnie malowała. Oparłam się o framugę i zapukałam dwa razy, żeby zwrócić jej uwagę. Nie zareagowała. Wtedy już wiedziałam, że to ona.

– Olivia, co zrobiłaś w moim pokoju? – zapytałam, nie ukrywając złości. Zwracałam się do niej pełnym imieniem tylko wtedy, gdy chciałam ją zrugać. Wystarczyło, by wiedziała, że zrobiła coś złego.

Nie odwróciła się. Nie popatrzyła na mnie ani nie przestała malować, kiedy mówiła:

– Jeśli ty zamieniasz miejsce moich rzeczy, to ja też zamieniam miejsce twoich, Alice. – Wydaje mi się, że po raz pierwszy w życiu zwróciła się do mnie po imieniu. Ewidentna prowokacja, coś w stylu: „Ja też umiem grać w twoją grę”.

Kiedy kazałam jej w ramach kary natychmiast posprzątać mój pokój, zauważyłam, że pluszaki znów były poukładane według ich wysokości, a słodycze według kształtu, nieomal perfekcyjnie. Ale nie tylko to. Również książki poustawiała od największej do najmniejszej, a rysunki zgodnie z dominującą gamą kolorystyczną. Znów uchwyciłam się myśli, że mam w rodzinie geniusza, odrzucając ewentualność, że moja córka jest w początkowej fazie zaburzeń obsesyjno-kompulsyjnych.

Dzień 173. Rok I p.Ch.

Mogło się wydawać, że żyłam, oddając się wyłącznie szukaniu śladów obecności Chrisa na Robin Island, węsząc, tropiąc, zagłębiając się w tajemnice wyspy i jej mieszkańców. Ale tak nie było. Przez większość czasu zajmowałam się Ruby i Olivią. Moim głównym zajęciem i zmartwieniem było bycie mamą. Pod tym względem nie chciałam niczego zaniedbać. Jak więc sobie radziłam? Jak znajdowałam wolne chwile, żeby robić to wszystko, co robiłam? Szczerze? Nie wiem. Kiedy urodziła się Olivia, wystarczało mi sił tylko dla niej. Nie byłam w stanie skoncentrować się na niczym więcej. Przez pierwszych sześć miesięcy byłam pogrążona w szalonym nurcie emocji i odpowiedzialności. Byłam szczęśliwa, niewyobrażalnie szczęśliwa, ale zarazem wyczerpana, na granicy wytrzymałości i z szalejącymi hormonami. Odczuwałam jakby ciągły *jet lag*. Ani głowa, ani ciało nie pozwalały mi na robienie niczego więcej. Nawet na to, żeby usiąść i poczytać książkę, obejrzeć film, a tym bardziej malować. Kiedy Olivia spała, ja też spałam, wyłączałam się. Kiedy się budziła, ja też się budziłam, razem z nią i dla niej. W moim świecie nie mieściło się nic innego oprócz karmienia piersią, zmieniania pieluch, smarków, beknięć, spojrzeń, paluszków, czosnku, butelek ze smoczkami, płaczu, uśmiechów, grzechotek, pierwszych papek, wymiotów, buziaków, buziaków, mnóstwa buziaków i miłości. Miłość całego świata skoncentrowana w małym i pięknym ciele Olivii.

Tak więc kiedy urodziła się Ruby, postanowiłam tymczasowo zawiesić swoją „misję” po części dlatego, że sądziłam, iż wejdę w podobną fazę jak przy pierwszym dziecku. Tym bardziej że Chrisa już nie było, nie mógł mi pomagać, rozpieszczać ani dbać o mnie, a byłam w żałobie, czułam się rozbita psychicznie i przeżywałam ogromną traumę. Ale wbrew wszelkim prognozom smutek, ból i pustka w połączeniu z wątpliwościami i złością, które wywoływał jego sekret/kłamstwo/tajemnica, pchały mnie do przodu, wyzwalały we mnie determinację, dawały mi energię i zachęcały do działania. Tak jakbym zrobiła podział na twardym dysku swojego życia. Świat równoległy do świata macierzyństwa. Dwa światy, dwa równoczesne, pasujące do siebie życia, tworzące jedną całość wewnątrz jednej osoby, wewnątrz mnie.

Jednak teraz, siedząc w poczekalni gabinetu psycholożki, zastanawiałam się, dlaczego tak długo zwlekałam z przyprawieniem tutaj Olivii. Dlaczego tak się upierałam i zaprzeczałam jej ewidentnie dziwnemu zachowaniu i rosnącym obsesjom? Tłumaczyłam sobie, że był to logiczny i krótkotrwały skutek śmierci jej ojca. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby się okazało, że jest to nieodwracalne i może mieć konsekwencje w całym jej życiu. Równoległe z tą myślą mieszkało we mnie inne przekonanie – odmienne, potężne i stanowcze, że absurdem było tu przychodzić, bo przecież dziewczynka czuje się doskonale, i że to tylko strata

czasu i pieniędzy. Na szczęście, zanim ta energia spowodowała opuszczenie przeze mnie poczekalni, wyszła psycholożka, by nas przyjąć. Doktor Ruth Poulton. Specjalistka od dzieci. Miała gabinet w Sandwich, obok Sandwich Montessori School. Wybrałam ją po długich poszukiwaniach w Internecie pod hasłem: „najlepszy psycholog dziecięcy na Cape Cod”.

Weszłam sama. Chciała ze mną porozmawiać, zanim przyjmie Olivię. Pierwszą czynnością, którą zrobiłam po wejściu do gabinetu, było omieszczenie wzrokiem wiszących na ścianie dyplomów. Middlebury College w Vermont. Studia dyplomowe w Bowdoin College w Maine. Kurs rozwoju dziecka w Saint Joseph’s College, również w Maine.

– Powiedz mi, Alice, jak własnymi słowami opisałaś problem Olivii? Dlaczego postanowiłaś ją tutaj przyprowadzić?

– Kiedy zmarł jej ojciec, wydawało się, że wszystko jest w porządku. Oczywiście była bardzo smutna, ale dość dobrze radziła sobie z tą sytuacją. Spędziła spokojne lato. Bawiła się, była wesoła, dobrze jadła i spała, chociaż sporadycznie miała koszmary. Zauważyłam tylko, że boi się zimna. Ale to się nie pogłębiało, nawet teraz, kiedy robi się naprawdę chłodno. – „Widzisz? Skoro nic jej nie jest, to co tutaj robisz?” – Ale po przeprowadzce na wyspę stopniowo zaczęła zachowywać się nieco obsesyjnie, jakby rutyna zamieniła się w manię.

– Dlaczego przeprowadziłyście się na Robin Island?

– Potrzebowałam zmiany otoczenia. Pomyślałam, że nam wszystkim trzem dobrze to zrobi.

– Rozumiem. To jest cudowna wyspa. Możesz mi opowiedzieć o kilku tych maniach?

– Porządek. Pluszaki, książki, słodycze, zabawki ma w swoim pokoju poukładane według ich wysokości, koloru, kształtu... I zaczęła wszystko liczyć na głos. Koła samochodu za każdym razem, kiedy z niego wysiada, stopnie schodów, kiedy po nich wchodzi... – „To jest dziecko, uczy się dodawać. To normalne, Alice. Nie jest wariatką. Jest geniuszem! Powiedz, żeby zrobiła jej test na inteligencję, i tyle. Zobaczysz, co wyjdzie”. – Chciałam, żeby nauczyła się grać na fortepianie, nawet jej go kupiłam, ale muzyka jej nie interesuje, bo mówi, że piosenki są chaotyczne, że skacze się z jednego klawisza na drugi bez ładu i składu. Lubi tylko grać gamy, od do do si. Od niskich dźwięków do wysokich. Nie ma sposobu, żeby zagrała cokolwiek innego.

Gdy Olivia była w środku z Ruth Poulton, ja – chcąc złagodzić lęk przed tym, co psycholożka może u niej „znaleźć” – poszukałam na Facebooku Johna. Znalazłam go. Rozważałam wysłanie mu zaproszenia do grona znajomych, ale to by oznaczało, że miałby dostęp do moich postów (choć od wieków żadnego nie zamieściłam), a przede wszystkim do moich albumów ze zdjęciami (pełnych fotografii Chrisa ze mną w różnych sytuacjach i pozach). Już kilka razy kusilo

mnie, żeby je usunąć, a nawet zamknąć konto, ale to wywołałoby wielkie rodzinne zamieszanie, więc postanowiłam tego nie robić. Cmentarzysko słoń. Cmentarzysko Chrisa. Bo były tam dziesiątki postów – których nie przeczytałam ani oczywiście nie odpowiedziałam na nie – kondolencji i ciepłych słów po tym strasznym zdarzeniu. Zawsze lubiłam mieć otwartą tablicę, żeby ludzie mogli pisać. To był duży błąd. I chociaż profil na Facebooku można personalizować, uznałam, że będzie lepiej, jeśli założę sobie nowy, na swoje panięńskie nazwisko, i tam będę umieszczać aktualne zdjęcia z moimi maleństwami na wyspie. Profil wyspiarski, niemający nic wspólnego z moim wcześniejszym życiem. W ten sposób mogłabym wejść w kontakt z sąsiadami z wyspy i rozmawiać z nimi w sposób bardziej naturalny i pewny. Potem pomyślałam, że sensowniej (i mniej podejrzanie) będzie dodać najpierw Karen, a potem Johna, gdyż ją lepiej znałam. I w ten sposób odkryłam, że Karen i Mark są kuzynami, co bardzo mnie zaskoczyło, ponieważ nie przypominałam sobie, abym kiedykolwiek widziała ich razem, nic też o sobie nie mówili.

Kiedy Olivia wyszła, Ruth poprosiła mnie samą na rozmowę. Pokazała mi rysunek, który moja córka namalowała kredkami świecowymi. Poprosiła ją, aby narysowała „teraz”, to, co znaczy dla niej słowo „teraz”. „Jakie to trudne dla dziecka”, pomyślałam. Ale wydawało się, że Olivia doskonale zrozumiała koncepcję. Ona, jej siostra i jej matka na środku kartki, trzymające się za ręce i unoszące w powietrzu; pod spodem wyspa (zielono-brązowa gmatwanina), otoczona morzem, latarnia (czerwono-biały słup), wiatrak (brązowa kula z przypominającym skrzydło znakiem X u góry) i coś podobnego do szopa Puchi-Puchi. Kilka statków (jeden należący do piratów), wieloryby, ryby i sporo mew na dokładkę. I jeszcze krzyż na niebie, przybity do ciemnoniebieskiej, prawie czarnej i bardzo groźnej chmury. Bez wątplenia grób jej ojca. Namalowała nas zawieszane w powietrzu. No dobrze, ja trzymałam (albo ciągnęłam) za ręce moje córki. To otchłań. Owszem, „teraz” bardzo przypominało teraz. Ach, i ani śladu Kucyka.

Ruth nie skomentowała rysunku, przynajmniej na razie. Pokazała tylko kredki, których użyła Olivia.

– Czarnej nie wzięła, bo była najkrótsza. Brała pozostałe i rysowała nimi tak długo, aż wszystkie zyskiwały podobną długość i końcówkę o takim samym, spiczastym kształcie. Kiedy już to się stało, uznała, że jej „teraz” zostało ukończone.

– Tak... – powiedziałam, czując kneblujące mnie jak taśma klejąca poczucie winy.

– Możliwe, że ma zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne. To, co nazywamy ZOK-iem.

– To z powodu śmierci ojca?

– Wszystko wskazuje na to, że tak.

– Ale minęło już ponad pięć miesięcy – „sto siedemdziesiąt trzy dni, bo je liczę” – i jeszcze do niedawna nie robiła nic... dziwnego.

– Czasem takie rzeczy pozostają niewidoczne i ujawniają się dopiero po pewnym czasie. W każdym razie ważne jest, aby nie określać tego jako coś dziwnego czy złego ani jej nie strofować i nie sprawiać, by czuła się z tego powodu źle. Po prostu stara się wprowadzać porządek w swoje życie. Przynajmniej na zewnątrz. Bo w środku musi mieć niezły chaos.

Nic nie powiedziałam, bo mój głos załamałby się i nie mogłabym powstrzymać płaczu. Wydawało się, jakby mówiła o mnie. Czyżbym to ja musiała pójść do psychologa? Miałam zaburzenia psychiczne? Czy były poważne? I co najważniejsze: czy zarażałam nimi swoją córkę?

– Dzieci ogólnie często naśladują to, co widzą, to, czego doświadczają. Poza tym mogę powiedzieć, że Olivia jest dziewczynką inteligentną, wrażliwą i empatyczną. Takie rzeczy wymagają obserwacji, ale prawdopodobnie naśladuje wzorzec zachowania podpatrzony u kogoś bliskiego, kto ma duży wpływ na jej życie.

– Nie zajmuję się marnowaniem kredek świecowych, aby miały taką samą długość – broniłam się, ponieważ poczułam się dotknięta.

– Oczywiście. Z wiekiem nasze mechanizmy stają się bardziej perfekcyjne...

– I zanim byłam w stanie otworzyć usta, dodała łagodnym głosem: – Przepraszam, Alice, nie chcę, żebyś poczuła się atakowana czy winna. Nie taki jest mój zamiar, naprawdę. Ani nie sugeruję, że masz zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne. Powiedziałam ci, że ważne jest, by Olivia nie czuła się źle ani winna z powodu tego, co robi, ale to dotyczy również ciebie – ty też nie powinnaś się tak czuć. Wiem, że masz teraz dużo na głowie i jestem pewna, że dobro córek jest dla ciebie najważniejsze. Ale musisz martwić się nie tylko o nie. Musisz także martwić się o siebie. Olivia jest zdrową i wesołą dziewczynką, a będzie jeszcze zdrowsza i weselsza. Niespełna sześć miesięcy temu przeżyła najbardziej traumatyczne i ciężkie chwile: śmierć ojca. A ponadto narodziny siostry. Musi na nowo uporządkować swoje otoczenie. Jej problem trzeba tylko kontrolować i właściwie go traktować. Kierować jej obawami. Wszystko będzie z nią w porządku, zobaczysz. Ale żeby tak się stało, potrzebuje, żeby z tobą też wszystko było w porządku.

Kiedy czekałyśmy na prom na stacji w Hyannis, czułam, jak działa na mnie jakaś siła, która chce mnie z tego miejsca odsunąć, zawrócić mnie do Providence. Sprawić, abym o wszystkim zapomniała. Dla własnego dobra i dobra swoich córek. Czułam węzeł zaciśnięty na przeponie, który ledwie pozwalał mi oddychać. Z każdym krokiem postawionym w kierunku Robin Island moje płuca przyjmowały mniej powietrza. Wiedziałam, że to prawda – Olivia nie będzie się

dobrze czuła, dopóki ja nie będę się dobrze czuła. I nie było sensu ukrywać, że jest inaczej (co często robiłam), ponieważ i tak to widziała. Czuła. A ja? Czego potrzebowałam, żeby czuć się dobrze? Zamknąć sprawę. Rozwiązać tajemnicę/sekret/kłamstwo Chrisa. Musiałam poznać prawdę. Nie wiedziałam, czy to, co robię, i to, co miałam zrobić, było trafne i właściwe. Pewnie nie. Ale wiedziałam, że była to jedyna rzecz, która pomagała mi utrzymać się na powierzchni, dzięki niej miałam energię, byłam żywa, a nawet pełna nadziei. I być może się oszukiwałam – było to bardziej niż prawdopodobne – ale to oszukiwanie przynajmniej wywoływało we mnie serię pozytywnych wibracji, które musiałam przekazywać swoim córkom.

A ponieważ nie miałam zamiaru ukrywać się za tymi refleksjami, przed wjazdem na prom i powrotem do domu chciałam upewnić się właśnie co do tego, że wracamy do domu.

– Posłuchaj, Oli, jedno pytanie. Czy teraz, kiedy mieszkamy na wyspie już prawie od dwóch miesięcy, podoba ci się?

– Tak, pewnie, że mi się podoba.

– Mniej czy bardziej niż wtedy, gdy tu przyjechałyśmy?

– Bardziej, bo poznałam Olivera i lubię latać do szkoły hydroplanem, chociaż na początku się bałam.

– A gdzie wolisz mieszkać: na Robin Island czy w Providence?

– Czy wyspę można zabrać w inne miejsce?

– Jak to w inne miejsce?

– Możemy zabrać wyspę do Providence i mieć wszystko razem? Wtedy będę miała przyjaciół z obu miejsc w jednym miejscu.

– Nie, wysp nie da się ruszyć. Obawiam się, że musisz wybrać.

– Jeśli pojedziemy do Providence, możemy zostawić na wyspie Toniejestkuczka?

– Nie, Oli, jeśli pojedziemy, zabierzemy Kuczka z nami.

– A więc Robin Island. Chociaż są trzy rzeczy, które chciałabym zmienić.

– Dobrze, to powiedz, jakie są dwie pozostałe, bo wiem już, że jedną jest Kucyk.

– Dwie pozostałe rzeczy, które chciałabym zmienić, to to, żeby żył Puchi-Puchi i tata też. I żeby mieszkali z nami.

Uszczypnięcie w duszę. Serce mi się schowało.

– Tak, ja też bym chciała, Oli... – powiedziałam, przytulając ją. – I jeśli kiedyś będziesz chciała, żebyśmy wróciły do Providence, powiesz mi i wyjedziemy. Zgoda?

– Zgoda...

Pocałowałam ją w policzek.

– Mamusiu, czy ty wciąż jesteś smutna z powodu tatusia?

– Bardzo, córeczko. Bardzo.

– Ja też.

Zobaczyłam, że Olivia z trudem powstrzymuje łzy, być może dlatego, że sama to robiłam.

– Chcesz, żebyśmy przez chwilę popłakały z powodu taty? – zapytałam.

– Dobrze – powiedziała, nie mogąc już dłużej wytrzymać.

I płakałyśmy, obejmując się, przez prawie całą drogę. Tak, wracałyśmy do domu.

Dni 174–183. Rok I p.Ch.

Podczas gdy trawiłam w myślach trop dotyczący Johna i zastanawiałam się, jaki ma być mój następny krok – ale bez żadnego pośpiechu – zaspokoiliam swoją niecierpliwość, otwierając nową drogę śledztwa. Odrzuciwszy podejrzenie, że Chris kupił na wyspie dom, natychmiast pomyślałam, że mógł kupić albo wynająć łódź i stanowisko cumownicze w przystani jachtowej. Czy Klucz Master mógł być od głównej kabiny albo czegoś podobnego na łodzi? Nie pamiętałam, żeby Chris kiedykolwiek żeglował czy wykazywał szczególne zainteresowanie morzem. Ale rzekomo nie cierpiał też Cape Cod, a proszę, jestem tutaj, mieszkam w samym sercu The Cape, ponieważ on przyjeżdżał tu przez ponad dwa lata. Tak więc wszystkie przypuszczenia i pewniki musiały zostać poddane kwarantannie aż do czasu ustalenia nowego porządku.

Do Burr's Marine nie można było dostać się tak łatwo, jak do agencji nieruchomości Miriam. Była to nowoczesna konstrukcja, z dużymi, szerokimi oknami, z których rozciągał się widok na wspaniałe, nowe łodzie rekreacyjne. Przed wtargnięciem do środka chronił system alarmowy. Krótko mówiąc, był nie do przejścia. A poza tym dlaczego, chcąc mieć łódź, miałabym kupować ją tutaj? Mogłabym ją kupić u innego koncesjonariusza albo z drugiej ręki. Jedno było pewne: jeśli miałabym spędzać miesiące na łodzi na Robin Island, to musiałabym ją cumować w porcie.

Właścicielem przystani jachtowej był Pat Heise, stąd jej nazwa: Heise Harbor Waterway & Boatyard.

– Dzień dobry, panie Heise.

– Dzień dobry, Alice. Mów mi Pat, żebyś nie czuł się staro. W czym mogę ci pomóc?

Powiedziałam mu, że będąc na wyspie, pomyślałam o małej łodzi. O czymś prostym, żeby popływać z córkami po zatoce. Pat był bardzo uczynny i sympatyczny. W swoim biurze miał tablicę przypominającą moją mapę-mural, z planem portu i ponumerowanymi wszystkimi stanowiskami cumowniczymi, oznaczonymi pinezkami w trzech kolorach: czerwonym, pomarańczowym i zielonym. Domyśliłam się, że czerwone i pomarańczowe oznaczały różne rodzaje wynajmu, a zielone wolne stanowiska. Zapamiętałam dwa z nich wraz z kolorami, żeby później potwierdzić to na miejscu. Nie było szaf aktowych, lecz zamknięta na klucz szafka, w której trzymał zapewne umowy, dokumenty i tak dalej. I oczywiście komputer, który z pewnością też miał zabezpieczenie w postaci zmienianego co jakiś czas hasła. Ponadto tylne wejście było zamknięte: kilka kłódek i pręt z kutego żelaza. Drzwi główne chronił podwójny zamek. Rentgen Chrisa na nic by się tu nie przydał.

Pat mi wyjaśnił, że muszę zrobić kurs, jeśli chcę zdobyć zezwolenie na

sterowanie łodzią, ale że mogę go zrobić online i że jest bardzo łatwy. Jeśli chodzi o stanowisko cumownicze, wszystko zależało od rodzaju łodzi, ale na podstawie tego, co mi powiedziałam, oszacował, że kosztowałyby około półtora tysiąca dolarów rocznie.

– Skoro jesteś początkująca, to lepiej, żebyś zaczęła od czegoś małego i nie ponosiła zbyt dużych kosztów. Możesz znaleźć łodzie z drugiej ręki w znakomitym stanie i w bardzo przystępnej cenie. Zresztą mam tutaj kilka do sprzedania i do wynajęcia. Chcesz je zobaczyć?

– Teraz?

– Tak. Chyba że nie masz czasu.

– Nie, nie, jasne. Świetnie.

Pat pokazał mi kilka rodzajów łodzi, których nazwy nic mi nie mówiły: pneumatyczną, zodiac, pólszywną i z włókna szklanego. Ceny wahały się od dziesięciu do dwudziestu tysięcy dolarów. Wszystkie małe, rekreacyjne. Nie nadawały się do tego, by w nich mieszkać. Pat zbyt dosłownie potraktował moje potrzeby.

– Słuchaj, Pat, wszystkie są fantastyczne, ale czy mógłbyś pokazać mi też większe łodzie? Takie, na których można pływać na przykład przez dwa dni, na których można spać, gotować, słowem, normalnie żyć. To nie jest na teraz, ale chciałabym się zorientować.

Pokazał mi te bardziej wyszukane. Wśród nich żaglowiec Stephena, będącego w śpiączce męża Jennifer. Nie dlatego, że był na sprzedaż, ale bardziej jako ciekawostkę. Jennifer już nigdy sama nie postawiła na nim nogi, ale nadal płaciła za wynajem. Pat uważał, że to utrzymywanie i żaglowca, i Stephena przy życiu było nieco makabryczne... Ja nie. Zrobiłabym tak samo. Prawdę powiedziawszy, w pewnym sensie właśnie to robiłam. Też utrzymywałam Chrisa przy życiu.

– Tamten biedak także został porzucony – powiedział, pokazując kolejną łódź. – Rio osiemset Cabin Fish. Dziewięć metrów długości. W pełni wyposażona łazienka. Kabina z małżeńskim łóżem, zewnętrzny prysznic, sofa mogąca być podwójnym łóżkiem, zlew, kuchenka i lodówka. Bardzo elegancka łódź rekreacyjna i wędkarska.

– Dlaczego została porzucona?

– Bo właściciele zniknęli. Nie przyjeżdżają już prawie od roku.

Właściciele? Para? Prawie od roku? Kiedy zmarł Chris? Zawsze skrupulatnie odliczałam mijające dni, a teraz nie wiedziałam, ile czasu minęło od jego śmierci. Sto siedemdziesiąt ileś. „Nie, nie minął prawie rok. Minęło mniej więcej sześć miesięcy. Ale, Pat, mówiąc «prawie od roku», masz na myśli naprawdę prawie rok czy kilka miesięcy?”

– Dzwoniłem do nich. Ale na próżno. Nikt nie odbiera. – Miałam włączoną

pocztę głosową Chrisa. Gdyby Pat dzwonił, zostawiłby wiadomość, przedstawiając się i przypominając o zaległościach w opłatach. Chociaż oczywiście mógł mieć inny telefon. – Teraz, jeśli mam być z tobą szczerą, nie żebym życzył im czegoś złego, broń Boże, ale dla mnie to lepiej. Jeśli po upływie osiemnastu miesięcy po nią nie wrócą i nie zapłacą tyle, ile są mi winni, to łódź stanie się moją własnością. I oczywiście sprzedałbym ci ją w dobrej cenie.

Pokazywał mi kolejne łodzie, ale już go nie słuchałam. Mogłam wpaść w korkociąg, w błędne koło paniki, oko huraganu czy otchłań z różnymi potworami. Tak się jednak nie stało. „Dzień 174. jest dniem 174. p.Ch. To nie jest prawie rok. Tego się trzymaj, Alice”. Jak nazywała się ta łódź? Nazwa by mi coś powiedziała. The Call of the Wild¹³. Tak samo jak powieść Jacka Londona. To jedna z ulubionych powieści Chrisa z czasów, kiedy był nastolatkiem. Opowiada o rozpieszczonym domowym psie, który mieszkał sobie wygodnie w willi w Kalifornii, aż pewnego dnia został porwany i sprzedany jako pies zaprzęgowy na zimne pustkowia Alaski w czasie gorączki złota. Musiał wykorzystywać swój pierwotny instynkt, aby przeżyć w nieprzyjaznym i dzikim świecie. Czy to był sekret/tajemnica/kłamstwo Chrisa? Jego ucieczka od domowego życia. Nie. Albo tak. Nie wiedziałam. Może. W tamtym momencie miałam pewność tylko co do jednego: treść książki była bliższa mojej rzeczywistości niż kłamstwa Chrisa.

W nocy wróciłam do portu. Powtórzyłam ten sam *modus operandi*: wózek golfowy, Ruby, Kucyk, elektroniczna niania w pokoju Olivii, zdenerwowanie, adrenalina, podekscytowanie i wyrzuty sumienia. Cały zestaw. Czas: trzydzieści minut.

Zostawiłam Ruby śpiącą w swoim koszyku w wózku golfowym. Kucyk pojękiwał trochę, kiedy wchodziłam na łódź. Użyłam małej latarki led, żeby zajrzeć do środka. Nic, nie zobaczyłam niczego. Niczego, co nie byłoby typowe dla takiej łodzi. Niczego, co pozwoliłoby mi na zidentyfikowanie właścicieli. Żadnego osobistego przedmiotu. Zajrzałam przez wszystkie okna pod wszystkimi możliwymi kątami. Do zamka kabiny próbowałam włożyć Klucz Master. Nie pasował. Bez zastanowienia zbiłam łokciem szybę w drzwiach wejściowych do kabiny. Nie zrobiłam sobie krzywdy ani nie narobiłam prawie żadnego hałasu. Przeczesałam całą łódź, aż znalazłam coś, co jak przypuszczałam, dało jej nazwę. Pies. Zdjęcie pyska alaskana malamute w małej, owalnej ramce z podpisem na dole: Buck. Imię psa z powieści. Nie mógł należeć do Chrisa, który miał alergię na sierść psów. Chyba że oszukiwał mnie również w tej sprawie, kto to teraz może wiedzieć. Bo po dokładnym rozejrzeniu się dookoła oprócz zdjęcia dostrzegłam, że sierść psa była wszędzie – na poduszkach, materacach i na podłodze.

Po wyjściu poczułam potrzebę uczczenia mojego braku odkrycia. Wykluczanie poszczególnych rzeczy przynosiło mi ulgę. Zamiast frustracji czułam, że niepostrzeżenie zbliżam się do celu. Albo powoli się oddalam. Skąd miałam to

wiedzieć?

Od czasu Halloween kilka razy spotkałam Marka. Prawie zawsze kiedy przywoziłam lub odbierałam Olivię z hydroplanu. Julia przyjeżdżała bardzo rzadko, a kiedy to robiła, zawsze czekała w wózku i tylko witałyśmy się na odległość. Gdybym nie wiedziała, że cierpi na depresję, pomyślałabym, że jest nieznośną diwą. Chociaż mogła być nieznośną diwą cierpiącą na depresję, prawda? Z Markiem rozmawiałam o tym, o czym można rozmawiać przez trzy albo cztery minuty najczęściej w obecności jeszcze jakiegoś ojca czy matki. O sezonowych warzywach, owocach i rybach, o psotach i osiągnięciach dzieci, o sporcie, ale tematem głównym była pogoda.

Czasami widywaliśmy się na targu Shoreline Park, kiedy kupowaliśmy wszystkie te sezonowe produkty, o których wcześniej mówiliśmy. Tam rozmowa była bardziej przyjacielska. Powiedział mi, że jeśli będę potrzebować więcej „zapasów”, mając na myśli valium, to ma nadzieję, że wiem, gdzie mogę przyjść. „Oczywiście po wcześniejszym umówieniu się”, dodałam z uśmiechem. „Zawsze oczywiście możesz wpaść do biura. Tam możesz przyjść w każdej chwili, bez uprzedzania”. Składał mi jakąś propozycję? Wydawało mi się, że tak. Na pewno tak. Ale nagle, zamiast podtrzymać spojrzenie przez dodatkową nanosekundę, żeby to potwierdzić, spojrzał na dynie kabocha i rzucił się na nie, żeby mu ich nie wykupili.

I tak było przez cały czas. Byłam skonfundowana. To jak nieustające przeciąganie liny. Serdeczny – zdystansowany. Przyjacielski – chłodny. Miły – powściągliwy. Sympatyczny – obojętny. Figlarny – poważny. Prowokacyjny – szorstki. Teraz chcę, teraz nie chcę. Chcę, ale nie mogę. Mogę, ale nie chcę. Podobasz mi się, dlatego się oddalam. Zbliżam się, bo się ciebie nie boję. Na łodzi dajesz pierś swojemu dziecku na moich oczach, to znaczy, że ci się nie podobam, nie przeszkadzam ci, nie interesuję cię. Do widzenia. Czasem sprawiał, że czułam się wyjątkowo, że coś nas łączyło, jakaś bliska relacja, a innym razem zachowywał się zupełnie normalnie, był miły, jak na dobrego sąsiada przystało, i tyle. Nie żebym chciała mieć z nim romans (nie miałam do tego głowy), ale kiedy dowiedziałam się, że jest kuzynem Karen, zrobiło się miejsce, przez które mogłam się wślizgnąć, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Johnie i jego ewentualnych powiązaniach z Chrisem.

Pewnego dnia minęliśmy się podczas porannego joggingu. Biegliśmy po różnych stronach drogi w przeciwnych kierunkach. On ze słuchawkami w uszach, ja też. Uśmiechnęliśmy się do siebie i wymienili pozdrowienia. Biegłam dalej. Dziesięć sekund później przestraszył mnie, dotykając moich pleców. Zawrócił i mnie dogonił. Nie przestając biec, powiedział coś, ale nie usłyszałam. Zdjęłam słuchawki.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałem, że nie podoba mi się twoja trasa. Wiem, że każdy ma swoją i że jest ona święta, ale twoja jest naprawdę nieszczerólna. Musiałem ci to powiedzieć, bo jestem dobrym sąsiadem.

– Tak? Dziękuję bardzo, sąsiedzie. Jesteś bardzo miły. A można wiedzieć, co jest nie tak z moją trasą?

– Omijasz najpiękniejsze miejsce na wyspie.

– Ach tak? A co to za miejsce?

– To, gdzie o mały włos nie urodziłaś, gdzie się poznaliśmy: Góra Drzewa Pocałunków.

– Wolę biegać wzdłuż wybrzeża i patrzeć na morze, niż zagłębiać się w wyspę. A tak w ogóle, to skąd znasz moją trasę? Czyżbyś mnie śledził?

– Śledził cię? Gdybym cię śledził, umarłbym z nudów. Nie mogę nawet nazwać tego, co robisz, bieganiem, to raczej poruszanie się z chodzikiem.

– Drocysz się ze mną, bo chcesz się ścigać?

– Chyba tak.

– Kiedy tylko chcesz.

– To może teraz?

– Biegam już pół godziny.

– Ja trzy kwadransy.

– Ja pcham wózek z dzieckiem i psem.

Mark mnie zatrzymał. Wydostał Kucyka z wózka i wziął go na ręce.

– Teraz jest po równo – powiedział. – Do Góry Drzewa Pocałunków. Raz, dwa, trzy, start.

I pobiegł, nie czekając na odpowiedź. Minęła chwila, zanim zareagowałam. Ale i tak wygrałam z dużą przewagą.

Góra Drzewa Pocałunków zawdzięcza swoją nazwę Nathanielowi Havenowi, handlarzowi z przedsiębiorstwa cukrowniczego z Barbadosu. W 1652 roku za półtora tysiąca funtów cukru kupił wyspę od Thomasa Mayhew po epidemii leptospirozy, która doprowadziła do wymarcia całego plemienia Wampanoagów. I pierwszą rzeczą, którą zrobił po przybyciu na nowe terytorium, było dostanie się z szesnastoletnią narzeczoną, Grizzel, na najwyższe wzniesienie na wyspie w celu rozejrzenia się po okolicy i zdecydowania, gdzie zbudować dom. Wybrałszy strumień z pitną wodą (który już zawsze będzie nosił jego nazwisko – Haven Creek – i u ujścia którego znajdował się śliczny młyn w holenderskim stylu) w najbardziej na południe położonej części wyspy, pocałowali się pod dorodnym dębem i wyryli na pniu swoje inicjały w sercu. Z czasem miejsce to, które było zaledwie niewielkim wzgórzem, zaczęto nazywać górą, aby przydać mu powagi, i wszyscy mieszkańcy wyspy oraz nieliczni turyści przychodzili tutaj, żeby zostawić świadectwo swojej miłości.

Odkąd przeprowadziłyśmy się na wyspę, byłam tutaj tylko raz z Olivią, która

oczywiście uparła się, żeby w pniu wyryć w sercu inicjały swoje i Olivera, co pomogłam jej zrobić. A potem – żeby w kolejnym sercu dodać inicjały swoje oraz Chrisa. „Teraz ty i tatuś, mamusiu. No proszę!” Zrobiłam to, żeby jej nie urazić, ze smutkiem i z wielkim bólem, jakbym wycinała je nożem na własnym ciele, ponieważ pomyślałam, że może Chris już tu był, zostawiając w jakimś miejscu tego wytatuowanego miłością drzewa swoje inicjały z inicjałami innej kobiety.

Mark dobiegł z językiem na brodzie i z Kucykiem na plecach, zachwyconym, że ktoś zwraca na niego uwagę i się nim zajmuje.

Staliśmy przez chwilę w ciszy, słuchając morza, mew i sokoła z czerwonym ogonem, który czuł się ważniejszy od reszty. Widok stąd rzeczywiście był piękny; mając panoramę liczącą trzysta sześćdziesiąt stopni, można było obserwować wyspę w całej okazałości. „Gdzie jesteś, Chris? Wiem, że tu jesteś. Wiem, że teraz patrzę na jakieś miejsce, do którego jeździłeś przez ponad dwa lata”.

Mark opowiedział mi historię Nathaniela Havena, której nie znałam. Po śmierci Havena jego dwaj synowie, Nathaniel II i Giles, odziedziczyli po połowie wyspy, z rodzinnym domem w środku, przy Haven Creek. I zamiast podzielić się wszystkim jak bracia, zaczęli ze sobą walczyć o granice dziedziczonej ziemi oraz prawo do strumienia i wyłączne, nie wspólne, korzystanie z niego. Walka skończyła się tajemniczą śmiercią obu, wywołaną przez dziwną chorobę. Legenda głosi, że matka, Grizzel, która miała dość ciągłych brutalnych kłótni (do których ich ojciec nigdy by nie dopuścił), otruła synów nasionami modligroszka różańcowego, rośliny rosnącej w pobliżu plaży, zawierającymi trującą glikoproteinę zwaną abryną. Jedno jej nasionko może zabić dziecko. A według Grizzel jej synowie byli właśnie źle zachowującymi się dziećmi. Od tamtej pory to trzy kobiety (matka i dwie wdowy po braciach) były głowami swoich rodzin, tworząc prawdziwe poczucie wspólnoty i zamieniając wyspę w krainę szczęścia i pokoju. W hołdzie dla mamy Grizzel, która miała – tak samo jak ja – rude włosy, Robin Island znana jest powszechnie jako Mom’s Island. Takie było pochodzenie nazwy wyspy i o tym Dan Sr. nie chciał opowiadać. Chociaż dla mnie w tamtym momencie nie była to Wyspa Mamy. To była Wyspa Taty. Wyspa Chrisa.

I tyle. Byliśmy spoceni. Z północnego zachodu zerwał się wiatr i zrobiło się zimno. Postanowiliśmy wracać, zeszliśmy z góry i pobiegliśmy, już oddzielnie, każde do swojego domu. Gdy nasze drogi się rozchodziły, Mark krzyknął w pełnym biegu:

– Wciąż czekam, kiedy odwiedzisz mnie w biurze. – I pobiegł dalej, nie spodziewając się odpowiedzi.

Tego samego popołudnia, kiedy pojechałam do portu po Olivię, zobaczyłam go rozmawiającego z Lorraine, właścicielką szkółki, o bodziszku Baby Blue Eyes. Że na łądogach pojawiły się dziury. Żadnego spojrzenia. Że może rośliny mają za mało światła. Podeszłam bliżej. Lorraine obawiała się, że to wina przeklętego

modraszka pelargoniowego. Musiał mnie widzieć, na pewno spostrzegł mnie kątem oka. Te koszmarnie gąsienice modraszka żyją na łądych i żywią się sokiem roślinnym. „Cześć”, przywitałam się z pewnej odległości. Mówiła, żeby przyszedł potem do szkółki, to da mu specjalny środek owadobójczy, który wytepi plagę. Wykonał w moją stronę delikatny gest ręką. „Bardzo ci dziękuję, Lorraine, zobaczymy, czy uda się uratować moje maleństwa”. Miałam ochotę pójść do jego domu i podeptać te bodziszki Baby Blue Eyes.

„Dlaczego tak bardzo obchodzi mnie to, co robi, mówi albo to, co przestaje robić i mówić? Bo jesteś nim zafascynowana, Alice. Nie wiesz, w jakim stopniu ani w jakim sensie, ale prawda jest taka, że czujesz się z tym źle, bo dopiero co owdowiałaś, bo on ma żonę i syna, bo od lat nie zwróciłaś uwagi na żadnego innego mężczyznę, a on uratował cię na wyspie dwa razy: kiedy rodziłaś i kiedy dostałaś ataku paniki na plaży, a wszyscy wiemy, jak takie rzeczy mogą zbliżyć. To jest niepokojące i dezorientujące, lecz także stymulujące. Nowe. I im bardziej z tym walczysz, tym bardziej pociąga cię to, co zabronione. I to oczywiste, że wysyłał ci sygnały. To oczywiste, że mu się podobasz. Bawi się z tobą? Nie wiem. Nie sędzę. Prawdopodobnie on też toczy jakąś wewnętrzną walkę. W każdym razie, jeśli potrzebujesz pretekstu, żeby usprawiedliwić swoje zbliżanie/przyciąganie, pomyśl, że Mark może doprowadzić cię do Johna. A od Johna do Chrisa”.

– Myślę, że potrzebujesz trochę tego.

Przed odwiedzeniem Marka w biurze wstąpiłam do szkółki, żeby kupić pojemnik środka owadobójczego na modraszka pelargoniowego. („A niech to, chyba mamy plagę”, powiedziała Lorraine). Był to wybieg – chciałam do niego pójść i jednocześnie dać mu do zrozumienia, że owszem, byłam tam, bardzo blisko, słyszałam rozmowę, a on postanowił mnie zignorować, ale – jak może się przekonać – nie chowam urazy.

Mark spojrzał na pojemnik. Wydawał się wszystkim zaskoczony: moją nagłą wizytą i tym, że wiedziałam o jego dramacie z bodziszkami.

– Dzięki – tylko tyle zdołał powiedzieć.

– Dlaczego czasami jesteś dla mnie bardzo miły, a potem nagle przestajesz być miły?

Byłam tak wyczerpana swoją wewnętrzną debatą, że zabrzmiało to łagodnie i serdecznie. Zwyczajnie.

– Myślę, że aby odpowiedzieć, muszę otworzyć butelkę wina.

– Tylko otworzyć?

– No dobrze, otworzyć i wypić kieliszek.

Uśmiechnęłam się. Też miałam ochotę na swoją dzienną dawkę dwustu mililitrów.

Między pierwszym a drugim kieliszkiem wina zapytałam Marka, dlaczego

nie utrzymuje relacji z Karen, swoją kuzynką.

– Julia nie znosi Karen. A Karen nie znosi Julii. Co było pierwsze: jajko czy kura? Nie wiem.

– Nigdy też nie widziałam cię z Johnem.

– Kiedy trochę lepiej go poznasz, będziesz wiedziała dlaczego.

– Nie strasz, bo w przyszłym tygodniu idę na kolację do hotelu Karen.

Odkąd przeprowadziłyśmy się na wyspę, wynajdowałam wszelkiego rodzaju wymówki, żeby uprzejmie przesunąć na później wizytę w jej hotelu, ale gdy odkryłam ewentualny związek między Chrisem a Johnem, postanowiłam przyjąć zaproszenie. To była idealna okazja, żeby wcielić w życie plan, o którym od dawna myślałam.

Między drugim a trzecim kieliszkiem wina Mark wreszcie opowiedział mi o Julii i jej depresji. Wszystko poprzedzone prostym pytaniem, którego do tej pory nie odważyłam się zadać: Co się dzieje z Julią? Pytanie, które Mark podjął, gdy jeszcze nie wybrzmiało. Było widać, że ma dużą ochotę, by to z siebie wyrzucić.

– Czasami myślę, że cierpi na depresję, bo ja jej na to pozwalałam. Przejąłem jej rolę w rodzinie. Zajmuję się wszystkim, żeby ona mogła rozkoszować się swoim nieszczęściem bez żadnych konsekwencji. I możliwe, że ich nie ma, przynajmniej jeśli chodzi o Olivera, bo oczywiście jest wobec niego bardzo czuła i zachowuje się mniej więcej normalnie. Ale... – Przerwał. – Wiesz co? Myślę, że to jest kłamstwo. Że ona wcale nie cierpi na depresję ani nie ma kryzysu twórczego. Że sobie to wszystko wymyśliła. Uważam tak, bo wiem, że pisze. Na całe godziny zamyka się w swoim gabinecie. Słyszę, jak stuka w klawisze laptopa. I uwierz mi, że od dawna prawie z nikim nie wymienia e-maili. Po drugiej powieści zerwała kontakt nawet ze swoim wydawcą i agentem. To tak, jakby rodziła się na nowo, zmieniała. Uważam, że to dobrze. Ale nie rozumiem, dlaczego się tym ze mną nie dzieli. Dawniej każdego wieczoru czytaliśmy razem w łóżku to, co napisała w ciągu dnia. Przychodziła, dawała mi kartki, średnio trzy albo cztery. Czytałem, komentowałem, wyrażałem swoją opinię. I jeśli mi się podobało, była bardzo zadowolona i... No wiesz. A jeśli mi się nie podobało, musiałem ją pocieszać i... No wiesz... Teraz to „no wiesz” przeszło do historii.

– A prosiłeś, żeby pozwoliła ci przeczytać to, co pisze?

– Nie. O takie rzeczy się nie prosi. W przypadku Julii istnieje bardzo cienka granica między okazywaniem zainteresowania a dręczeniem. Julia jest dość osobliwa.

– A nie masz ochoty, by rzucić okiem, chociaż po kryjomu, tak, żeby tego nie widziała? – „Niczego nie planuj, Alice”.

– Nie. Po trosze z szacunku, a po trosze dlatego, że... nie interesuje mnie to. Nie jestem ciekawy... – Nalał sobie trzeci kieliszek wina i uzupełnił mój, choć miałam jeszcze połowę. – A wiesz, co jest w tym najgorsze? – Napił się. – Że teraz

za wszystko obarczam winą swoją żonę, a to ja od miesiący nie mam chęci do życia. – Napił się. – Jestem apatyczny. Zdystansowany. Nie mam ochoty na... „no wiesz”. – Napił się. – Słucham siebie i mam ochotę przywalić sobie w gębę. – Opróżnił kieliszek. – Chyba próbuję wzbudzić w tobie litość...

– Dlaczego? – zapytałam, ale doskonale znałam odpowiedź. I on wiedział, że ją znałam. Patrzyliśmy na siebie. Czułam się źle. Nie podobało mi się to. – Wzbudzanie litości nigdy nie działa – powiedziałam. Chociaż w tym przypadku owszem, trochę działało. I wiedziałam, że on o tym wie.

Po powrocie do domu uświadomiłam sobie, że Mark nie odpowiedział mi na pytanie, z powodu którego otworzył wino. Mimo to uważałam, że nie było to już potrzebne. Miałam nadzieję, że tego samego popołudnia, kiedy pojedę do portu po Olivię, znów zobaczę, jak rozmawia z Lorraine o mszycach, dlatego nie dojrzę na jego twarzy winy, wstydu i źle skrywanego zakłopotania, wynikającego z niepożądanego źdźbła mojego pożądania.

Dni 188–190. Rok I p.Ch.

Już od ponad miesiąca udzielałam lekcji malowania, ale głównie dzieciom, których rodzice chcieli, aby były one zajęte przez godzinę, żeby w tym czasie móc robić swoje rzeczy, a jednocześnie czuć się dobrymi rodzicielami, bo pomagającymi rozwijać swoim pociechom ich artystyczne zdolności. Sądziłam, że wejście do tych domów będzie kluczem do ujawnienia tajemnic, które skrywali. Tam, gdzie byłam, mój wzrok zawsze dyskretnie błędził po pomieszczeniach w poszukiwaniu zamków, do których pasowałby Klucz Master. Było to coś, co robiłam nieustannie (kompulsywnie) i mimowolnie (obsesyjnie). Szybko jednak zdałam sobie sprawę, że bez względu na to, jak długo będę się spoufalala i starała o zaufanie tych ludzi, nikt nie opowie mi tak po prostu o swoich najgłębiej skrywanych sekretach. Musiałam wiedzieć, co mówią, kiedy nie podejrzewają, że ktoś może ich słuchać. Wtedy właśnie odkrywa się różne rzeczy.

Pojechałam do Night Eyes, sklepu detektywistycznego prowadzonego przez zabawnego Antonia z Malagi. Przywitała mnie nachalna melodia z *Różowej Pantery*. Przed kolacją w Karen's Petite Maison musiałam zaopatrzyć się w pewne rzeczy.

– Blondyneczka! Cieszę się znów cię widzieć.

Nie spodobało mi się, że natychmiast mnie rozpoznał i przywitał się z taką wylewnością. Wolałabym puszczenie oka współnika, w stylu: „Twój sekret jest moim sekretem”.

– Co mogę pomóc teraz?

– Chcę nagrywać rozmowy.

– Nasze? Dobry pomysł. Będzie piękna pamiątka dla dzieci.

Spróbowałam zaśmiać się z żartu, naprawdę chciałam, ale mi nie wyszło.

– Powiem ci coś, Grace. Masz skórę idealną. Nie zmarszczki. To jest bardzo dobre. Daje piękno. Ale to oznaka, że nie śmiać się wystarczająco. Czemu służy być piękna, jeśli nie możesz śmiać się z rzeczy życia? Twój mąż nie rozśmieszać, blondyneczka?

– Antonio, już ci mówiłam, że nie jestem blondynką. A mój mąż nie żyje.

Chciałam go dotknąć, upokorzyć. Ten rodzaj urazy i złości był mi kompletnie obcy. W moim życiu – tyleż pięknym, co pozbawionym gróźb i testów na przetrwanie – gniew, złośliwość i pogarda były tak bezużyteczne, jak owłosienie na ciele, kość ogonowa, wyrostek czy zęby mądrości. Elementy, które wraz z ewolucją człowieka przestały mu być potrzebne do tego, żeby przeżyć. Teraz znów rozwijałam te emocje, potrzebowałam ich. Złość zaczynała przenikać do moich myśli, biorąc górę nad smutkiem i lękiem. Rzecz niekoniecznie zła i bardziej związana z Chrisem i jego kłamstwem/sekretem/tajemnicą niż z Antoniem i jego żarcikami.

– Grace, już mówiłem, że jestem daltonistą. Bardzo mi przykro, mąż zmarł...
– I dodał szybko, jakby to było jedno słowo: – Chceszamniwyjśćblondyneczka?

Tym mnie rozbroił. Dokuczał mi z taką delikatnością, że mnie rozśmieszył. Czarna chmura, która unosiła się nad moją głową, została przepędzona.

– Nie, serio. Bardzo mi przykro. Przepraszam niezdarność – powiedział Antonio, wyjmując jednocześnie urządzenie, które jakby trzymał dla mnie od pierwszego dnia naszej znajomości, jakby wiedział, że po nie wrócę. Była to czarna skrzyneczka wielkości opuszki dużego palca.

– Tego właśnie potrzebujesz: minipodsłuch GSM. – Pokazywał mi różne części, tłumacząc jego działanie: – Wkładasz karta SIM telefonu. Ukrywasz urządzonek, gdzie chcesz nagrywać rozmowa, która nie daje spokoju. Dzwonisz numer karty SIM z własnego telefonu albo z komputera z programem, który zawiera zestaw. I gotowe, słuchać i nagrywać.

Kupiłam cztery. Nie wiedziałam jeszcze, czy znajdę w sobie taką odwagę, jakiej potrzeba do tego typu ingerencji w prywatność i ewentualnego poradzenia sobie z konsekwencjami, w razie gdyby mnie przyłapano. Ale chciałam być przygotowana.

W centrum handlowym Cape Cod są sklepy głównych operatorów sieci telefonii komórkowych: Sprint, AT&T, Verizon, T-Mobile i Metro PCS. Kupiłam telefon w każdej z nich, bez umowy, na kartę i, oczywiście, płacąc gotówką.

I proszę bardzo, wracam na Robin Island ze swoim łupem, słuchając stacji z przebojami z lat dziewięćdziesiątych, jedząc pizzę pepperoni i śpiewając na całe gardło *Missing* zespołu Everything But The Girl. I płaczę, ale nie smucę się, podczas refrenu: *I miss you, like the deserts miss the rain. And I miss you, like the deserts miss the rain...* Krótkie autotolerancyjne i potrzebne chwile w środku wielkiej batalii.

Podczas wkładania kart SIM do urządzeń, numerowania każdej z nich i zapisywania odpowiednich numerów telefonów zastanawiałam się nad pseudonimem wojennym, który mogłabym nadać tym maleńkim, czarnym prostokątnym kasetkom, przypominającym pudełka zapalek. Pionki? Nie. Żołnierze? Też nie. Szkraby? Niewykluczone. Karaluchy? Może. Przyczepiłam je do dwustronnego rzepa samoprzylepnego, żeby można je było umieścić na każdej powierzchni. Gdzie je wypróbować? Potrzebowałam pola do ćwiczeń. W domu. Pierwsze wypróbuję w domu. Tutaj może mnie przyłapać tylko Kucyk. Dlatego zanim ukryłam je pod sofą, spryskałam preparatem odstraszającym psy.

Kiedy usłyszałam dzwonek do drzwi, jeszcze leżałam na podłodze z ręką pod sofą, upewniając się, że urządzenie zostało dobrze przytwierdzone.

– Oli, otwórz drzwi, to pewnie Summer! – krzyknęłam.

Summer Monfilletto, kuzynka Jennifer, ta, która rozpaliała do czerwoności całą męską społeczność wyspy i część spoza wyspy. Ta, którą wszyscy

podejrzewali, że jest w ciąży. Pierwsze urządzenie miało nagrać nudną nastoletnią nianię, a ja właśnie wybierałam się na kolację pułapkę w Karen's Petite Maison, żeby poznać Keitha, nadzianego brata Karen i właściciela wysepki.

Trudno jest opisać, co czułam, wybierając ten pierwszy numer z komputera na poddaszu, który łączył się z urządzeniem i je aktywował. Jakbym zapalała lont bomby, nie wiedząc ani gdzie, ani kiedy eksploduje. Prawdopodobnie w moją twarz. W każdym razie był to wyjątkowy, a nawet ekscytujący moment, kiedy włożyłam słuchawki i usłyszałam bardzo wyraźnie – mimo miejsca, w którym znajdowało się urządzenie – następującą rozmowę:

– Jak się wabi pies?

– Toniejestkucyk.

– Toniejestkucyk. Co to za imię?

– Takie, na jakie zasłużył pies, który nie jest kucykiem, chociaż moja mama upiera się, że nim jest. Ale jest wielką kłamczuchą. Pies i moja mama. Ty jesteś kłamczuchą, Summer?

– Zależy.

– Od czego?

– Od tego, kto pyta.

– To jest kłamstwo?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Nie.

– Poudajemy, że ty jesteś moim kucykiem?

– Dobra.

– To jest kłamstwo?

– Trochę. Ale to jest twoje kłamstwo.

– Podoba mi się moje kłamstwo.

– A więc będę twoim kucykiem.

Radość, jaką czułam z powodu nagrania rozmowy, była znacznie mniejsza od zazdrości, która mnie zaatakowała z powodu tego, że nigdy nie odbyłam tak prostej, głębokiej, egzystencjalnej rozmowy ze swoją córką. A może jednak tak? W każdym razie właśnie w tamtym momencie postanowiłam, jak nazwę te urządzenia: donosiciele.



Mimo że przyszedłam do Karen's Petite Maison z konkretną misją – albo może właśnie z tego powodu – miałam ochotę uciec stamtąd już w chwili, kiedy tylko weszłam. Chociaż prawdę powiedziawszy, było to coś, co ostatnio zdarzało mi się bardzo często. Sytuacja wydawała się równie kłopotliwa i niewygodna, jak normalna i spokojna. Rodzinna kolacja z zaproszonym gościem. Sprawimy, że

będzie się czuła jak u siebie w domu. Zobaczymy, czy stać ją na to, żeby wyjść za mąż tylko ze względu na pieniądze i cieszyć się, że owdowiała w tak młodym wieku. Ni mniej, ni więcej.

Kiedy Karen przedstawiła mi swojego brata, który właśnie przyrządził sałatkę z pomidorów i cykorii z własnego ogrodu, pomyślałam, że wygląda jak typowy aktor z Hollywood. Przystojny, z klasą, elegancki, dobrze wychowany, powściągliwy, wysoki, męski, idealnie ogolony, z włosami z przedziałkiem na prawą stronę i delikatną grzywką.

– Mój brat przez piętnaście lat miał narzeczoną, której imienia nie chcę nawet wspominać, spryciara, zdzira, naciągaczka – wypaliła Karen po przedstawieniu nas sobie. – Powiem ci tylko, że była ruda. I tyle. Keith zawsze miał słabość do rudych.

Zanim mogłam zareagować, Karen zostawiła nas samych w kuchni, żebyśmy przełamali pierwsze lody, co wywołało efekt odwrotny do zamierzonego. W końcu Keith powiedział:

– Teraz pewnie sobie myślisz: „Mój Boże, po co ja tu przyszedłam”. Ale przekonasz się, że będzie dobrze, a nawet zabawnie. John i Karen uwielbiają błyszczeć w towarzystwie. A tym bardziej gdy mają nowo poznanych gości, takich jak ty. Potraktuj to tak, jakbyś oglądała program telewizyjny. *Show John and Karen*. Na żywo! Chciałbym tylko przeprosić cię z góry za każdą niestosowną uwagę, jaką dzisiejszego wieczoru rzuci moja siostra. A będzie ich wiele, zapewniam cię.

– No i jak tam? – Karen weszła do kuchni. – Ojej, to mnie jest gorąco, czy temperatura skoczyła tutaj o kilka stopni?

Keith popatrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć „Widzisz? A nie mówiłem”. Natychmiast się rozluźniłam i mogłam się skoncentrować na myśleniu o tym, jak i kiedy wykonam swój plan.

Jak przewidywał Keith, rozmowę podczas kolacji zdominował John (którego nie widziałam od czasu Halloween), opowiadając o Ricku i jego uniwersyteckich szansach.

– Yale, Georgetown, Charleston, Boston College, Stanford, Brown, Akademia Marynarki Wojennej, Old Dominion, St. Mary's i Harvard. Wszystkie te uczelnie się z nami skontaktowały. Top dziesięć w krajowym rankingu uniwersyteckich mistrzostw w żeglarstwie. I możemy wybrać, którą chcemy.

Zauważyłam, jak Rickowi włosy jeżyły się na karku i zaciskał zęby za każdym razem, kiedy ojciec w liczbie mnogiej mówił o jego życiu. To niewiarygodne, że mając zdrowego syna, sportowca, chłopaka przystojnego, odpowiedzialnego i inteligentnego – przynajmniej pozornie – chciał go tresować i zmuszać, żeby bez słowa sprzeciwu przyjął kopię jego życia, zamiast pozwolić mu na rozwinięcie skrzydeł i zachęcać, aby doskonalił się emocjonalnie

i intelektualnie. A właściwie nie zmuszał go do realizowania kopii swojego życia, lecz takiego, które chciałby mieć. Stał się zabawką w rękach ojca. Utarte zwroty z podświadomie opresyjnym przekazem:

Chcę tylko, żebyś miał jak najlepsze życie. (Dzięki tobie powtórzę swoje życie).

Żebyś miał dostatnią terażniejszość i przyszłość. (Na moich usługach).

Żebyś nie popełnił tych samych błędów, co twój stary. (Bo nie osiągnąłem w życiu niczego ważnego i to mnie frustruje).

Czasem jestem twardy i wymagający, wiem, ale jeszcze będziesz mi za to wdzięczny. (Będziesz dręczył swojego syna, kiedy będziesz go miał, i zrobisz mu to samo, co ja tobie).

Nie masz żadnych ograniczeń. Będziesz mistrzem olimpijskim. (Zazdroszczę ci. Jesteś lepszy ode mnie. Zachęcam cię, dopinguję, Kocham, nienawidzę).

Kocham cię, synu. (Jesteś dla mnie i tylko dla mnie).

Karen piła wino – dość dużo – i od czasu do czasu wtrącała: „Nie męcz biednego chłopaka, John”. Robiła to jednak z mniejszym zainteresowaniem i naciskiem niż wtedy, gdy proponowała mi więcej purée ziemniaczanego z sosem jus do duszonej dziczyzny, która była przepyszna, trzeba to przyznać. A ja, mimo że wypiałam swoje dwieście mililitrów wina (no, może trochę więcej), współczułam Rickowi, że ma tak narzuconą przez ojca przyszłość, ale jednocześnie cieszyłam się, że rozmowa nie skupia się na mnie.

Od czasu do czasu wymieniałam spojrzenia z Keithem. Chociaż temat ten nie został poruszony, to po jadalni przechadzał się biały słoń z transparentem, na którym widniało: „Alice i Keith, to jest pułapka. I jak? Podobacie się sobie? Jak się sprawy mają?”. Polubiłam Keitha za jego wygodne milczenie i wyrozumiałe spojrzenia. Byłam naprawdę ciekawa, dlaczego nie ma dziewczyny.

Nie wiem, w którym momencie John zmienił temat rozmowy, żeby opowiedzieć mi, jak to Keith wzbogacił się dzięki niemu. Chodziło o patent na półprzewodniki. Pomysł, który John – według jego wersji – podsunął mu pewnej nocy, kiedy się upili, i który Keith później rozwinął i zrealizował, żeby następnie sprzedać wszystko międzynarodowej firmie Silicon Valley, zajmującej się produkcją wszelkiego rodzaju procesorów i mikroczipów, za miliony i do tego dziesięć procent akcji oraz miejsce w zarządzie firmy (do której musiał jeździć tylko dwa razy w roku), ze „złotym spadochronem” i nie wiem, czym tam jeszcze, co pozwalało mu cały wolny czas przeznaczyć na uprawę pomidorów na swojej wysepce.

– A ja nie chciałem nic. NIC. Zaproponował mi część, ale odmówiłem. To jego zasługa, pomysły nic nie znaczą, latają w powietrzu, należą do wszystkich. Liczą się tylko ci, którzy mocno chwytają je w locie i realizują. – Wszystko to opowiadał bez cienia urazy, przeciwnie, był dumny, a przede wszystkim spokojny.

– Tam, na wojnie, nigdy nie wiadomo, co się może stać. Dobrze jest wiedzieć, że gdyby mnie zabrakło, moja żona i syn mają zabezpieczenie w postaci Keitha.

– Nie będziemy mieli tyle szczęścia – powiedziała Karen, już nieźle wstawiona. Uśmiechnęła się, widząc rozgniewaną twarz swojego męża. – To żart, kochanie, byłabym najsmutniejszą wdową w całej okolicy. Poza tym jesteś inżynierem materiałowym, więc jest raczej mało prawdopodobne, żeby coś ci się stało.

Te słowa też nie spodobały się Johnowi, który zbył je niewygodnym milczeniem. Przerwał je Keith, otwierając butelkę białego wina własnej roboty ze szczepu Sauvignon Blanc, który sprowadził z Chile. Wykorzystałam ten moment, żeby przeprosić i pod pretekstem pójścia do toalety wprowadzić w życie swój plan: umieścić donosiciela.

Bicie serca poczułam aż w opuszkach palców, kiedy naciskałam klamkę do małżeńskiej sypialni. „Jeśli cię przyłapią, powiesz, że szukałaś toalety i zabłądziłaś... Ach, genialnie, szukałaś toalety, leżąc na podłodze i grzebiąc pod małżeńskim łóżkiem. Na pewno uwierzą... Nie, pod łóżkiem nie. Pod łóżko wszyscy zaglądamy od czasu do czasu. Pod łóżkiem chowają się koty. Pod łóżkiem... A to co? Butelka wódki... Zostaw to, wyjdź stąd... Regał z trofeami Ricka... Co one tutaj robią? Nie powinny stać w jego pokoju? No tak, chłopak żeglujecie dla swojego ojca, a zwłaszcza wygrywa... Wewnątrz trofeum? Nie, potrzebuję jakiegoś stałego mebla. Czegoś, co się nie rusza ani nie będzie ruszane. Ta wielka szafa na ubrania. Musi ważyć z tonę. Wejdź na krzesło. Włóż rękę w szparę na samej górze. Co za obrzydlistwo, pełno kurzu i brudu. Nigdy tu nie sprzątaj. Świetnie. To jest idealne miejsce... Szybko, zmykaj... Słyszę hałas... Nie, to nie hałas, tylko szum w twojej głowie... Czyżbym była schizofreniczką? Ty może i tak, ja nie”.

Przed wyjściem obejrzałam szybko zestaw zdjęć na komodzie, poustawianych chronologicznie, według dat. Fotografia Johna tuż po urodzeniu, podobna Karen, rodziny Johna (kiedy był małym chłopcem), rodziny Karen (kiedy była małą dziewczynką), z ostatniego dnia Johna w Hilton Central High School, z ostatniego dnia Karen w Henrietta High School, fotografia Johna z lat osiemdziesiątych jako zawodnika futbolu amerykańskiego w drużynie Virginia Cavaliers, fotografia Karen z aparatem na zębach i trwałą ondulacją, z bratem z okazji srebrnych godów ich rodziców, z przysięgi na wierność fladze Johna po jego wstąpieniu do marynarki wojennej, ze ślubu, z narodzin Ricka, fotografia Johna w mundurze na lotniskowcu z Rickiem na rękach ubranym jak chłopiec okrętowy, z otwarcia Karen's Petite Maison, z pierwszych mistrzostw w regatach Ricka (które wygrał jako pięciolatek), Ricka wygrywającego kolejne mistrzostwa w wieku około sześciu lat, Ricka wygrywającego kolejne mistrzostwa w wieku około siedmiu lat i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. „Jak łatwo jest streścić pozorne

życie”, pomyślałam, kiedy wychodziłam na korytarz i – teraz już rzeczywiście – szłam do toalety. Było to streszczenie, które nie zawierało Chrisa. Byłoby zbyt łatwo. „A tego wcale nie chcemy, prawda?” Na regale też nie dostrzegłam roczników z Uniwersytetu Wirginii.

Gdy przeprowadzałam całą tę operację, słyszałam, jak John tłumaczył, nie wiem komu, prawdopodobnie samemu sobie, jak ważna jest praca inżyniera materiałowego, że na pokładzie łodzi podwodnej Seawolf jest odpowiedzialny za światłowody, co może się wydawać błahostką, ale to są żyły łodzi podwodnej i jeśli jest jakiś choćby mały problem, którego on natychmiast nie rozwiąże, to nic nie funkcjonuje. NIC. Pociski Tomahawk na niewiele wtedy się przydadzą.

Po zejściu ze schodów, zamierzając wejść już do jadalni, zatrzymałam się w przedpokoju. Mam czas na jeszcze jedno zadanie? Drzwi do biura były otwarte. Zobaczyłam na stole komputer stacjonarny. Słyszałam wentylator CPU. Był włączony. Postanowiłam, że jednak nie wejdę, że byłoby to kuszenie losu. Ale wtedy usłyszałam, jak Karen przerywa Johnowi.

Karen: Kochanie, naprawdę jesteśmy ci ogromnie wdzięczni za twoje wielkie poświęcenie dla rodziny i kraju, naprawdę, ale... Jesteśmy tutaj z jakiegoś powodu... Keith, powiedz coś Alice, co? Dlaczego jesteś taki milczący, pomijając oczywiście to, że John nie pozwala nikomu dojść do słowa? To dlatego, że ci się podoba, prawda? W szkole średniej, zawsze kiedy podobała ci się jakaś dziewczyna, zachowywałeś się jak niemowa. Jest bardzo ładna i delikatna, nieprawdaż? Zaproś ją na swoją wyspę i jacht.

Jako że nie miałam zamiaru wracać do stołu w połowie takiej rozmowy, niewiele myśląc, wśliznęłam się do biura. Ekran komputera był czarny.

John: A mnie niepokoi, że przyjeżdża tutaj wdowa z dwiema córkami. Mam złe przeczucia...

Karen: Przestań. A jakie jest lepsze miejsce na leczenie ran?

John: Tak, ale... Jest dziwna. Wyczuwam, jakby uciekała przed przeszłością, nie wiem... podejrzaną. Jest coś, o czym nie mówi...

Ruszyłam myszką i komputer się aktywował: „Witamy w Karen’s Petite Maison”.

John: Może zabiła swojego męża, Bóg jeden raczy wiedzieć...

Karen: Przestań, nie podsuwaj mi takich myśli...

Kliknęłam na kartę „Rezerwacje”. Wyskoczył komunikat: „Wpisz hasło”. „Jasne, czego się spodziewałaś, bystrzacho?”

Keith: A ja muszę przyznać, że to jest najfajniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek mi przedstawiliście.

Ucieszyły mnie te słowa. Do tego wręcz stopnia, że – chociaż nie miałam tego w planach – nabrałam odwagi i wyjęłam drugiego donosiciela. Wzięłam dwa, tak na wszelki wypadek.

John: No proszę, popatrz tylko, wreszcie obudziliśmy bestię, którą masz w sobie... Alleluja!

„Gdzie go umieścić? No dalej, szybko. Zegar z kukułką, za zegarem. Stań na krześle. Ostrożnie, bo jest na kółkach. Dosięgniesz? Jest bardzo wysoko. Spróbuję. Stań na palcach. Szybko. A tak w ogóle, po co ci tutaj mikrofon?”

John: Dlaczego jej tak długo nie ma?

Rick: Może uciekła. I słusznie.

Mogłabym powiedzieć, że straciłam kontrolę, przesunęłam krzesło, pośliznęłam się, odruchowo chwyciłam się zegara i z hukiem upadłam, przewracając krzesło i ciskając zegar o podłogę, ponieważ po raz pierwszy tego wieczoru usłyszałam głos Ricka. Ale byłoby to zbyt proste wytłumaczenie mojej głupoty.

Chwila konsternacji. „Co to było?”, padło z ust Karen. Dźwięk przesuwanego krzesła po parkiecie. Szybkie kroki dwóch osób w kierunku hałasu.

Kiedy Karen i John znaleźli się w przedpokoju, ja byłam już na zewnątrz, z dala od biura, z kontuzją biodra, przez którą ledwo mogłam się ruszać. Stałam jak wryta przy schodach, jakby natknęli się na mnie, kiedy wracałam z toalety i się przestraszyłam.

– Hałas dobiegał chyba z tamtego pokoju – powiedziałam i wskazałam biuro, udając, że nie wiem, co jest za drzwiami.

W lewej ręce z całej siły ściszałam donosiciela. Wyrwałam sobie paznokcie, było widać żywe mięso. Kiedy poszli do biura, wykorzystałam ten moment i schowałam donosiciela do kieszeni. Myślałam, że stracę przytomność z powodu upadku, bólu i strachu. „Nie, nie rób tego, Alice”. Poprawiłam sobie włosy, na wypadek gdybym była potargana. W ustach czułam metal. Krwawiłam. Nie pamiętałam, żebym uderzyła się w głowę. Widziałam jak przez mgłę. Chciałam stamtąd wyjść. Musiałam stamtąd wyjść.

– Zegar z kukułką dziadka! – wykrzyknęła wściekła Karen i wybiegła z biura. Wzrokiem szukała swojego perskiego kota, który wspinał się właśnie na filar balustrady przy schodach. – Dingleberry, zabiję cię! Chodź no tutaj!

I pobiegła za nim. John na mnie popatrzył. Przyłapał mnie. „Zemdlej, Alice. Teraz będzie lepiej, jeśli zemdlejesz”. Zorientuje się, że w środku moje ciało wyje z bólu. To był koniec.

– Dingleberry – fuknął. – Czy może istnieć bardziej absurdalne imię dla najgłupszego kota na świecie? Chociaż jestem mu za to wdzięczny, bo miałem już dosyć tej przeklętej kukułki, budzącej mnie co godzinę.

Odwrócił się i skierował ku jadalni. W tym samym momencie opuścił mnie cały ból i głośno zaśmiałam się w duchu. Poczułam, że wcale nie jest takie złe to moje nowe życie z tyloma przeszkodami i wyzwaniem. Czułam się jak w grze komputerowej – wciągnęłam się i chciałam grać dalej. Ile zostało mi jeszcze

dotychczasowych? Bo to że jedno właśnie wykorzystałam – nie ulegało wątpliwości.

Dni 191–195. Rok I p.Ch.

Obudziłam się pełna energii, ponieważ czekały na mnie nagrania z donosicieli. Byłam bardzo ciekawa, co wychwyciły. Nie wiem, dlaczego wyobrażałam sobie, że gdy tylko John i Karen zostali sami, zaczęli się kłócić i robić sobie nawzajem wyrzuty z powodu zachowania podczas kolacji. Ale nie. W ich sypialni panowała cisza, zmałona jedynie szumem telewizora. Zasnęli niemal natychmiast. Po półgodzinie oboje już chrapali. Na całą noc zostawili włączony telewizor na kanale z telezakupami.

W takiej sytuacji skupiłam uwagę na donosicielu z mojego salonu. Ściągnęłam nagranie z komórki, dodałam je do elektronicznej bransoletki, której używałam podczas biegania, włożyłam słuchawki ergonomiczne i nacisnęłam *play*.

Kiedy otwierałam okna, wietrzyłam pokoje, zbierałam poduszki, książki i zabawki porozrzucane po podłodze:

Summer: Chodź, Olivia, już czas iść do łóżka.

Olivia: Nie, chcę jeszcze trochę pooglądać.

Summer: Obejrzałaś już trzy odcinki *Dora poznaje świat*. Twoja mama powiedziała, że możesz tylko dwa, najwyżej.

Olivia: Ale muszę obejrzeć parzystą liczbę; jeśli nie, wtedy mam koszmary...

Kiedy rozwieszałam pranie na sznurze w ogrodzie (nie lubię suszarek, natomiast uwielbiam zapach ubrań suszonych na dworze):

Summer: Chodź, teraz już naprawdę. Czas spać.

Olivia: Nie, jeszcze jeden, proszę.

Summer: Powiedziałaś, że muszą być parzyste. Obejrzałyśmy już cztery. Sześciu nie będziemy oglądać...

Olivia: Sześć to moja ulubiona liczba...

Kiedy grabiłam liście (co ciekawe, nikt nie cierpi tego robić, ale mnie to relaksuje), a Kucyk biegał dookoła, tarzając się w stertach, które gromadziłam:

Summer: Jeśli powiesz mi teraz, że twoją ulubioną liczbą jest siedem, to wyrwę ci nos.

Olivia: Nie, siedem nie jest moją ulubioną liczbą, bo jest ulubioną liczbą wszystkich. A moja mamusia mówi, że szczęście liczb trzeba dzielić między ludzi. Dlatego wybrałam sześć i dlatego, że mam tyle lat. Ale kiedy skończę siedem lat, to sześć wciąż będzie moją ulubioną liczbą. A kiedy skończę osiem, to może zamienię na osiem, bo wyczerpie się już moje szczęście z szóstki. A teraz idę spać.

Kiedy odciągałam sobie mleko elektronicznym laktatorem:

Ruby płacze.

Summer: Co ci jest, perelko? Nie płacz, moje maleństwo. Chodź tutaj. Chcesz, żebym zaśpiewała ci piosenkę? Chcesz? Zaśpiewamy coś razem. Coś

ładnego.

Znajduje w komórce *Wrecking Ball* Miley Cyrus.

„O nie, tylko nie Miley Cyrus, proszę. Nie niszczy dziecku gustu, jest malutka”.

Summer: *I came in like a wrecking ball. I never hit so hard in love... All I wanted was to break your walls...*

Ruby przestaje płakać.

„Nie przestawaj płakać, Ruby, krzycz, nie ulegaj, bądź silna”.

Summer: *All you ever did was break me... Yeah, you wreck me...*

Ruby się śmieje.

Westchnęłam i popatrzyłam na Kucyka. Pojękiwał.

– A tobie co jest? Dlaczego piszczysz?

Siedział na tylnych łapach. Wzrok miał utkwiony w małym akwarium. Flint, mały żółty gupik z wylupiastymi oczami, zmęczył się pływaniem tam i z powrotem, nie osiągnąwszy żadnego celu. Leżał bezwładnie na powierzchni wody.

– O nie, znowu, Flint... – Zdarzyło się to już trzeci raz. Westchnęłam. Potem popatrzyłam na Kucyka. – A ty dlaczego płaczesz? Z żalu czy dlatego, że chcesz go zjeść?

Kucyk popatrzył na mnie i – przysięgam – odpowiedział: „Z obu powodów”.

Kiedy jechałam do Family Pet Land, żeby kupić następnego gupika, który miał zastąpić Flinta III, aby Olivia się nie zorientowała i nie miała kolejnej traumy związanej ze śmiercią:

Summer (przez telefon): Mam już tego trochę dosyć, naprawdę... Nie wiem, ile mi zostało, wolę nie liczyć, bo to mnie przytłacza... Tak, dziewczyno, ale zrozum, że przecież teraz, kiedy nie ma już odwrotu... Moja matka? O niczym nie wie. I się nie dowie. Od razu ci to mówię. Nie rozmawiam z nią... Tak, już widać brzuszek... Skąd mam wiedzieć, co zrobię, jak będzie widać bardziej, dziewczyno, nie dręcz mnie, do diabła! Zadzwoiłam do ciebie, żeby sobie ulżyć, a nie żebyś robiła mi wykład... Przepraszam, to przez te szalejące hormony... Ha, ha! Ja nie jestem zawsze taką zdzirą! To ty jesteś zdzirą!...

– Nie, ten nie, ten bardziej po lewej – kierowałam Frankiem, który z siateczką w dłoni starał się wyłowić wskazywanego przeze mnie gupika. Były ich dziesiątki.

– Ale przecież wszystkie są jednakowe, Alice – narzekał.

– Nie, wszystkie nie są jednakowe. Wydaje się, że są, ale nie są. Nie, nie, ten też nie, ten obok, właśnie ten obok.

Frank miał już dosyć i podał mi siateczkę.

– Trzymaj, obsłuż się sama.

Wzięłam siateczkę i od razu rzuciłam się na klona Flinta.

– A poza tym za każdym razem żyją krócej – poskarżyłam się.

– Bo źle wybierasz. Gdybyś pozwoliła wybrać mnie...

Złapałam gupika, którego chciałam. Frank włożył go do plastikowej torebki z wodą. Odpoczywaj w pokoju, Flicie III. Żyj długo, Flicie IV. Witaj w domu pani Dupont.



Kiedy trzy dni po nagraniu rozmowy Summer zadzwoniła do mnie jej ciotka, Jennifer, pomyślałam, że mnie przyłapała. Jak? Wszystko jedno. W mojej twórczej paranoi mogłam przygotować setki odpowiedzi na sekundę, które potwierdzałyby te bezpodstawne przypuszczenia. Nawet kiedy powiedziała, że dzwoni do mnie dlatego, że wreszcie poczuła chęć, by zapisać się na lekcje malowania, wciąż myślałam, że to jest podstęp. Pułapka. Zasadzka. Uważaj, Alice.

W pokoju Stephena moją uwagę najbardziej zwróciło światło. Ogromne okno wychodzące na południe, z widokiem na plażę i morze. Wydmwy wyglądały tak, jakby uczesały się na tę okazję, a morze unosiło się nad sobą. Oddychało się spokojem. Wyobrażałam sobie, że zobaczę tu zupełnie inną scenerię, bardziej zimną, jak w szpitalu. Bezwładne ciało podłączone do rurek, głośne maszyny, które dostarczają tlenu. Monitory kontrolujące czynności życiowe. Kroplówki dostarczające pożywienia. I owszem, to wszystko było, ale Jennifer ukryła to za światłem, życiem i zapachem. Bardzo ładnie pachniał, talkiem, jak dziecko. Rozbrzmiewał Burt Bacharach, *I'll Never Fall in Love Again* (odpowiednia piosenka dla nas obu). Później Jennifer powiedziała mi, że to ulubiony kompozytor Stephena, że pochodził z Kansas City, podobnie jak on, i że na dodatek Bacharach urodził się w tym samym roku, co ojciec Stephena, w 1928. Kiedy ich związek był już ugruntowany (pogodzono się z faktem, że Stephen był starszy od Jennifer o dwadzieścia lat), niespodziewanie wsadził ją do samolotu do Sydney i zabrał do słynnego Sydney Opera House właśnie na koncert Burta. W ten weekend poprosił ją też o rękę. Widząc Stephena, poczułam zdrową zazdrość. Chciałabym mieć Chrisa w takim stanie. Przynajmniej czegoś bym się trzymała. „Co ty mówisz, Alice, to okropne. To wszystko jest okropne. To jest dopiero otchłań, a nie to, co ty masz”. Co by się stało, gdyby Chris zapadł w śpiączkę? Czy robiłabym to, co robię? Czy może zmartwiona czekałabym cierpliwie, aż się wybudzi, i wtedy go zapytała: „Słuchaj, kochanie, jest taka pewna niewiele znacząca sprawa, która jednak nie daje mi spokoju: co, do diabła, robiłeś na Robin Island? I nie mów mi teraz, że masz amnezję”.

Stephen spał. Może to brzmi jak truizm, ale naprawdę nie odnosiło się wrażenia, że jest w śpiączce. Wyglądał tak, jakby ucinał sobie przyjemną drzemkę albo po prostu z zamkniętymi oczami słuchał swojej ulubionej muzyki i medytował. Jego biała broda była idealnie przystrzyżona, a siwe włosy uczesane. Emanował wielkim spokojem. Czulałam, że tam, w tym pokoju, wszystko jest

w porządku. Miałam dużą ochotę się rozplakać i przytulić do niego.

– Pamiętasz, jak się spotkałyśmy i powiedziałaś mi, że aby malować, trzeba się inspirować tym, co jest najbliżej? – zapytała Jennifer. – Dla mnie nie istnieje nic bliższego niż Stephen. I nie szukaj żadnego zawilego wytłumaczenia, bo go nie ma.

I nie szukałam. Zaczęłyśmy pracować nad kompozycją, operowaniem przestrzeni. Podstawowe rzeczy. I ołówkiem.

– Najpierw trzeba się upewnić, czy proporcje są dobre. Chodzi o to, żeby zaczynać od zewnątrz do wewnątrz, malować od ogółu do szczegółu, od tego, co najprostsze, do bardziej skomplikowanych rzeczy. Żeby nie czuć się przytłoczonym i móc posuwać się do przodu.

– Tak jak w życiu – stwierdziła Jennifer.

– Jak długo jest w takim stanie? – zapytałam, kiedy poczułam pewien stopień zaufania między nami i mogło to zabrzmieć naturalnie, a nie jak niezdrowa wścibskość.

– Trzy lata.

Mniej więcej przez taki okres Chris jeździł na wyspę. Rozejrzałam się dookoła, bawiąc się trzymanym w ręce donosicielem. Wydawało się, że klimatyzator był dobrym miejscem. Jennifer musiała tutaj spędzać znaczną część dnia, sądząc po dużej liczbie codziennych rzeczy, które wypełniały pokój życiem: polne kwiaty, rośliny doniczkowe, przybory do męskiej higieny i pielęgnacji, książki na nocnej szafce, płyty CD obok odtwarzacza, laptop, tablet, zeszyt z sudoku, telewizor i tak dalej. Byłam pewna, że dużo rozmawia ze swoim mężem. Komentuje bieżące sprawy, czyta mu powieści, dzieli się wspomnieniami, najczęściej tymi dobrymi, żeby miał ochotę się wybudzić, ale z pewnością potrzebowała także sobie ulżyć, a było jasne, że nie robiła tego w obecności kogokolwiek innego, przynajmniej na wyspie. Czyżby miała niezłatwione sprawy ze Stephenem, podobnie jak ja z Chrisem? Czy gdyby tak było, wyciągałaby je na światło dzienne, mówiłaby o nich, czy to w formie wyznania, czy wyrzutów? Mogłam się założyć, że Jennifer czuła się trochę winna, że jej mąż znajduje się w takim stanie, podobnie jak ja czasem zastanawiałam się nad tym, co zrobiłam źle, że Chris miał jakiś sekret/tajemnicę/kłamstwo, wypełniające znaczną część jego życia.

– Czy jego stan jest nieodwracalny? – Powinnam była zapytać odwrotnie, żeby zabrzmiało mniej agresywnie. – To znaczy, czy... są szanse, że...? – dodałam niezdarnie, próbując to naprawić.

Delikatnie pokręciła głową.

– Śmierć mózgu... To oszczędza mi mówienia do niego i czytania mu książek wieczorami, co mimo wszystko robię... – powiedziała z gorzkim uśmiechem.

– Bardzo dobrze rysujesz. Na pewno nie robiłaś tego wcześniej?
– Pewnie mówisz to wszystkim uczniom, pochlebcy.
– Nie, naprawdę. – Uśmiechnęłam się. – Jesteś bardzo zręczna przy szkicowaniu. Bardzo delikatnie operujesz ołówkiem. Nie walczysz z nim, a to jest bardzo ważne.

– Na studiach ogromnie się nudziłam, zwłaszcza na zajęciach z ekonometrii.
– Ekonometria? To jeden z przedmiotów na wydziale administracji i zarządzania, gdzie studiował Chris. – I wiesz, kto był tym nudnym profesorem prowadzącym te zajęcia? – Od razu wiedziałam, że to był on. – Stephen.

– Zakazana miłość...

– W rzeczy samej. Dopóki nie otrzymałam dyplomu, nie odezwał się do mnie słowem. Co więcej, później wyznał, że zaliczał mi, chociaż na to nie zasługiwałam, ponieważ nie chciał, żebym przychodziła na poprawkę. Bardzo się bał, że nie będzie w stanie się kontrolować.

– I jak zrobił pierwszy krok?

– Nie zrobił. To ja zrobiłam, niechcący. Na imprezie po rozdaniu dyplomów ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby przygotować czekoladową tartę z marihuaną, nikogo wcześniej nie ostrzegając. Ja nigdy w życiu nie paliłam. A ponadto uwielbiam czekoladę. Tak więc zjadłam spory kawałek tej tarty. Dziesięć minut później dzwoniłam do drzwi mieszkania Stephena w miasteczku uniwersyteckim, będąc na niezłym haju. Krzyczałam, że nie rozumiem, dlaczego tak mnie ignoruje. Byłam pewna, że widzę smoki, po czym zemdlałam. Jego nie było nawet w domu. Przyszedł dwadzieścia minut później i znalazł mnie leżącą na wycieracze, w wymiocinach dookoła. Nie chciał dzwonić po pogotowie, żebym nie miała problemów. Kazał mi duszkiem wypić litr mleka i położył na sofie. Kiedy obudziłam się rano, na stole stała świeżo zaparzona kawa i tosty. Jego nie było. Tydzień później, a dzień przed moim wyjazdem z miasteczka uniwersyteckiego, zebrałam się w sobie, pokonałam ogromny wstyd, jaki czułam, upiekłam czekoladową tartę, oczywiście bez marihuany – od tamtego czasu już jej nigdy nie próbowałam – i zaniósłam mu do domu. Zostawiłam ją na wycieracze, gdzie mnie znalazł. Nie chciałam się z nim widzieć, chciałam tylko zostawić tartę i karteczkę z podziękowaniami. Dwa tygodnie później napisał mi mejla: „Nie ma za co. Pozdrowienia. PS Bardzo smaczna tarta”. Pozdrowienia? To jakieś żarty, pomyślałam. Cztery dni później odpowiedziałam: „Jeśli chcesz, dam ci przepis. Pozdrowienia”. Pół godziny i butelkę wina później dopisałam: „Albo zrobię ci jeszcze jedną”. A godzinę i dwa kieliszki wina później: „I zjemy ją razem... Jeśli chcesz. Pozdrowienia”. Po pięciu dniach odpowiedział: „Tak, chcę. Pozdrowienia”. Te pozdrowienia były najlepszymi pozdrowieniami, jakie dostałam w całym swoim życiu.

Zaskoczyło mnie, jak łatwo mi szło. Byłam przejęta, pogubiona, serce waliło

mi jak młotem, zastanawiałam się, gdzie umieścić donosiciela, a ona od razu opowiedziała mi historię swojej miłości. Może nie trzeba jej szpiegować? Może wystarczy tylko się z nią zaprzyjaźnić.

– Na jakim uniwersytecie wydarzyła się ta piękna historia przedmiłosna?

– W Dartmouth, w Tuck School of Business.

– A co się stało Stephenowi?

Dałam się ponieść euforii i sądziłam, że to właściwe pytanie, ale Jennifer odparła:

– Słuchaj, nie jesteś chyba taką plotkarą jak Karen, co?

– Nie, przykro mi, przepraszam, ja nie...

– To żart, głuptasie – uspokoiła mnie. I wtedy powiedziała coś, co spowodowało, że krew odpłynęła z mojej głowy: – Stephen doznał zawału mózgu.

Gula w gardle. Dreszcze. Suchość w ustach. „Czy to nie to samo co tętniak? Nie to samo, co miał Chris?”

– Płynęliśmy łodzią i kiedy opuszczał żagle, poczuł ostry ból w głowie. Niedługo potem zaczął wymiotować i stracił przytomność. Bardzo się bałam. Łódź zbczyła z kursu, bo ja nie miałam pojęcia, jak nią kierować...

– Przykro mi – zdołałam powiedzieć tylko tyle. Zimne dłonie. Mdłości. Częstoskurcz.

– To nie była sprawa ryzyka. To choroba dziedziczna. Jego ojciec też na to zmarł, ale ponieważ był nałogowym palaczem, pijakiem i cierpiał na nadciśnienie, nikt nie myślał o obciążeniu dziedzicznym do chwili, aż przytrafiło się to Stephenowi.

Czy lekarz nie powiedział mi, że to, co miał Chris, było wrodzone? Czy może powiedział „dziedziczne”? Czy „wrodzone” oznacza to samo co „dziedziczne”? W tamtym momencie nie byłam w stanie tego rozróżnić. Mrowienie. Drżenie. Poty. Nie mogłam wymówić słowa ani nawet udawać. Jennifer to zauważyła.

– Zbladłaś. Takie rzeczy poruszają, prawda?

Moja głowa wykonała wysiłek i przytaknęłam. Z wielkim trudem.

– A nie zadasz mi pytania za milion dolarów? Tego, które prawdopodobnie zadaje sobie cała wyspa? – Popatrzyłam na nią, dając do zrozumienia, że nie wiem, co ma na myśli, chociaż chyba wiedziałam, o co jej chodzi. – Dlaczego robię to wszystko? Dlaczego utrzymuję go przy życiu, skoro nie ma już odwrotu?

„Powiedz jej, że to rozumiesz. Opowiedz jej swój sekret. Prawdę, którą skrywa twoje kłamstwo. Płacz. Zwierz się jej, Alice. Rozwiej chmury. Może ona zna rozwiązanie wszystkiego. A jeśli nie, to cię zrozumie. Nikt nie zrozumie cię lepiej niż ona. I ci pomoże. Zobaczysz. Będzie twoją powierniczką. To pomoże Jennifer nadać sens własnemu życiu. Podobnie jak tobie”.

– Jeśli to nie problem, teraz napiłabym się herbaty, którą mi proponowałaś –

powiedziałam. Nie wiem nawet, jak udało mi się opanować, ale chciałam pokazać Jennifer, że mnie to nie obchodzi, że nie mam zamiaru jej osądzać, że to, co robi, jest dla mnie w porządku, jeśli ona tego właśnie potrzebuje.

– Zielonej? – zapytała z uśmiechem. Była wdzięczna za dyskrecję. Czyżby wystawiała mnie na próbę?

– Tak, poproszę.

Zostałam sama ze Stephenem. Zrezygnowałam z umieszczenia donosiciela. Wydawało mi się to niestosowne. Brak szacunku dla zaufania, które mi okazała. Ale wtedy przypomniałam sobie, że Chris opowiadał mi, że kiedy był mały, jako bodajże siedmiolatek, przechodził przez okres, kiedy uważał, że jest adoptowany. Wszystko przez kuzyna Kenny'ego, który mu to powiedział, a skoro on był adoptowany, to Chris też. Dlaczego? Ponieważ zarówno jego matka, Kira, jak i ciotka, Betty, matka Chrisa, miały przerwę między górnymi zębami, między jedynkami. I jego siostra Susan oraz kuzynka Tricia, siostra Chrisa, też miały identyczne przerwy jak ich matki. A oni nie, żaden z nich nie miał przerwy między górnymi jedynkami. Wniosek: byli adoptowani. A jako że Kenny był o dwa lata starszy, Chris uwierzył w to bez wahania i wrócił do domu z płaczem. Jego rodzice zastali go pakującego walizki, bo był przekonany, że wyrzucą go z domu. Nie pamiętał, w jaki sposób wybili mu to z głowy. Tak czy inaczej, już nigdy więcej o tym nie myślał. Czyżby kuzyn Kenny miał rację?

Tamto wspomnienie oraz gwizdek czajnika z gotującą się wodą odczarowały Jennifer, wybudziły mnie z hipnozy, a w pokoju zapanowała atmosfera podejrzliwości. Długie palce Stephena. Jego proste włosy. Jakiego koloru mogą być jego oczy? Jaki ma numer buta? Jak się robi test DNA? Zastanawiałam się nad tym wszystkim, gdy wchodziłam na krzesło, żeby umieścić donosiciela w klimatyzatorze.

Kiedy wróciłam do domu, już trochę spokojniejsza, przypomniałam sobie, że lekarz sądowy powiedział mi, że Chris miał wadę wrodzoną. I że być może, ale tylko być może, ją odziedziczył.

Otworzyłam przeglądarkę internetową i wpisałam w Google'u: „Jak zrobić test DNA”. 31 500 000 wyników w ciągu 0,42 sekundy. Kliknęłam w pierwszy adres, który nie był sponsorowany, gdzie pokazano, jak odpowiednio (w domowych warunkach) postępować podczas zbierania próbek.

Później przez wiele godzin czytałam wszelkiego rodzaju artykuły na temat zawałów i tętniaków mózgu. Dowiedziałam się, że pacjenci z tętniakiem z powodów dziedzicznych stanowią od dziesięciu do dwudziestu procent wszystkich chorych i że jedną z najczęstszych przyczyn zawału mózgu jest pęknięcie tętniaka. Wobec tego uznałam, że obie nasze córki powinnam niezwłocznie poddać badaniom diagnostycznym. A Stephen został właśnie kolejnym podejrzanym.

Stephen – mąż Jennifer – w śpiączce.

Tętniak – śmierć mózgu – genetyczne.

Ojciec albo krewny Chrisa? Zrobić test DNA.

PODEJRZANY NUMER CZTERY.

Dni 196–199. Rok I p.Ch.

Plaża jest pusta. Kłosa tańczą, poruszane wiatrem z północnego wschodu. Piasek tworzy małe wiry na wydmach. Jest zimno, mimo że mamy dopiero początek września. Jakiś człowiek na brzegu obserwuje wzburzone i hipnotyczne morze. Nie mogę dostrzec jego twarzy. Nie potrzebuję jej widzieć. Rozwiane i poskręcane przez wiatr i sól włosy. Jest bosy i ma na sobie dwukrotnie podwinięte spodnie w kolorze khaki. Piękne wściekłe fale uderzają o brzeg. Prąd strugowy kreśli bruzdy wokół jego stóp. Zbliżam się powoli, jakbym chciała zrobić mu niespodziankę albo jakbym się bała go przestraszyć. Jestem prawie naga, mam na sobie tylko męski sweter, bardzo szeroki, sięgający mi niemal do kolan. Wydaje mi się, że właśnie się kochałam z tym mężczyzną i że sweter należy do niego. Rzenie kilku dzikich koni. Mewa zawieszona w powietrzu. Czuję spokój. Czuję miłość do tego mężczyzny. Dlatego właśnie nie chcę, żeby się przestraszył: kochany, niech nigdy nie odchodzi. Zbliżam się do niego. W rękę ukrywam donosiciela. Szukam miejsca, w którym mogłabym go ukryć, żeby się nie zorientował.

Olivia: Mamo...

Ja (szepem): Szszsz, cicho...

W tylnej kieszeni spodni. Mogę go tam ostrożnie wsunąć. To jest dobre miejsce.

Olivia: Mamo...

Ja (szepem): Nie teraz, Olivio, idź stąd...

Udaje mi się go włożyć. Bardzo powoli zabieram rękę i kiedy już mam zrobić krok do tyłu, Chris, bo to jest Chris, nagle się odwraca i mocno łapie mnie za ramię.

Olivia krzyknęła, widząc, że gwałtownie siadam na łóżku. Lekko chwyciła mnie za ramię, chociaż we śnie wydawało się, że trzyma mnie łapa lwa. Ruby się obudziła, a Kucyk wszedł pod łóżko. Oboje pojękiwali.

– Co się dzieje, Oli? Przestraszyłaś mnie... – powiedziałam, uspokajając Ruby.

– Dlaczego mówiłaś, żebym sobie poszła?

– Co? Jak to? Coś mi się śniło, Oli. Co ci jest? Dlaczego nie śpisz, kochanie?

– Znów miałam ten okropny koszmar.

Okropny i powracający koszmar Olivii był niepokojąco podobny do mojego. Ojciec niesie ją na barana. Biegają, skaczą, bawią się, śmieją. „Pędź, koniku, ihaha!”, krzyczy Olivia. Coraz szybciej, coraz szybciej, aż wzbijają się w powietrze, cwałem w stronę nieba. Coraz wyżej, coraz wyżej i docierają do chmur. I kiedy je przekraczają, jej ojciec znika. Olivia może chodzić po chmurach, co bardzo jej się podoba, ale jest smutna, bo jej tata nie wraca, jest przestraszona, płacze, wypytuje o niego i boi się, bo ziemia jest bardzo daleko i z góry wygląda na

bardzo małą. Aż nagle wchodzi w kałużę (w rzeczywistości się zsikała), która zamienia się w dziurę, i spada w pustkę. Szybciej, szybciej, w dół, swobodne spadanie. I tuż przed uderzeniem o ziemię obudziła się zasikana, zapłakana i przestraszona.

Mój koszmar, w różnych wariantach, pojawił się wcześniej niż koszmar Olivii. Oczywiście nie mówiłam jej o tym. Przerazał (i w pewnym sensie cieszył) taki poziom mimetyzmu i przeniesienia. Dwie wersje tego samego kosmaru. Dwa kosmary i ten sam strach.

– Chodź, połóż się do łóżka ze mną i z Ruby, kochanie.

– Nie, bo jest Toniejestkucyk.

– Uwierz mi, że jeśli będziesz w łóżku, to on stamtąd nie wyjdzie.

Kucyk nauczył się zachowywać dwumetrowy dystans od Olivii. Dla własnego bezpieczeństwa narzucił sobie trzymanie się od niej z daleka.

– Nie ufam mu, chodźmy do mojego.

– Oli, twoje jest o wiele mniejsze, a poza tym jest zasikane.

Olivia zgodziła się niechętnie. Położyła się do łóżka i obróciła wokół własnej osi. Potem powtórzyła to w przeciwnym kierunku.

– Oli, co robisz?

– Odstraszam kosmary.

– To przy okazji odstraszy też moje.

– Nie, sama musisz odstraszyć swoje. Zrób to. Obróć się.

Było tak, jak gdyby nastąpiła zamiana ról i to ja byłam małą, przestraszoną dziewczynką, która potrzebowała wierzyć swojej matce. Posłuchałam jej i obróciłam się wokół własnej osi.

– A teraz w drugą stronę. Jeśli tego nie zrobisz, nie zadziała.

Obróciłam się w przeciwnym kierunku.

– Już. Bardzo dobrze. Dobranoc, mamusiu.

– Dobranoc, córeczko.

Zadziało. Spałyśmy spokojnie przytulone przez całą noc. We trzy w pozycji embrionalnej, złączone, jedna w drugiej, tworząc matrioszkę miłości. Zasłużony odpoczynek wojowniczek.

Następnego dnia w skrzynce pocztowej znalazłam pierwszy na wyspie list. Zaproszenie na ślub. Ślub Aleksa i Amandy, tych, którzy zaręczyli się na pikniku w Dniu Pracy, co spowodowało, że dostałam ataku paniki.

Zadzwoiłam, żeby potwierdzić naszą obecność, ale wcześniej podjęłam decyzję: kupię więcej donosicieli. Znacznie więcej. Ze dwadzieścia. Oczywiście w Night Eyes. Tam kupiłam też – jakbym w ten sposób chciała odwrócić uwagę od tak dużej liczby urządzeń do podsłuchu – telefoniczny modulator głosu, który zobaczyłam na wystawie tuż obok napisu „Profesjonalny telefoniczny modulator głosu. 14 różnych tonacji. Wszystkie BARDZO autentyczne i naturalne. Łatwy

w użytku! 399\$, teraz 299\$”. Typowy zakup pod wpływem impulsu, dla którego na razie nie znajdowałam jeszcze żadnego konkretnego zastosowania.



Wszystkie urządzenia do podsłuchu rozłożyłam na stole, ogromnym stole (najbardziej pasującym jednak do jadalni) ze starej sosny, polakierowanym, w niebieskim kolorze. Pozostałość po poprzednich właścicielach; relikwia, która zasłużyła na to, by ratować ją przed zniszczeniem. Teraz stał się moim centrum dowodzenia. Olivia przyłapała mnie, jak wkładałam karty SIM do donosicieli.

– Mamusiu, co robisz? Co to wszystko jest?

Do tej pory nie miałam świadomości, że zaczynam gromadzić zbyt wiele rzeczy, których nikt nie powinien widzieć, a już na pewno nie moja córka. Dotąd były to tylko nudne dane, nie do zauważenia dla żadnego dziecka: nazwiska, szczegółowe relacje rodzinne, adresy, wykonywane zawody, zdjęcia domów, miejsc. Lista podejrzanych. Lista pytań. Książki telefoniczne, karteczki samoprzylepne, notesy. Dla Olivii poddasze było miejscem, w którym mama robiła nudne rzeczy. Wyjątek stanowiła namalowana na ścianie mapa, do której pozwalałam jej od czasu do czasu dodać jeszcze kilka mew, żaglówkę, słońce czy księżyc. Ale dłużej tak być nie mogło. Musiało stać się jasne, że to jest miejsce mamy i tylko mamy, że nie można tu wchodzić bez pozwolenia. Nie, nie można tu wchodzić i kropka.

– Co to wszystko jest? Co to za pudełeczka? – dopytywała się Olivia.

– Te pudełeczka są po to, żeby przepędzać takie szopy jak ty.

– Ja nie jestem szopem.

– Ach, nie? Zaraz się przekonamy. – Wzięłam donosiciela. – Puchi-Puchi...

Przywołujemy ducha szopa Puchi-Puchi... Och, Puchi-Puchi, który jesteś w niebie, powiedz mi, czy Olivia jest Puchi-Puchi tak jak ty. Puchi-Puchi. Puchi-Puchi – wzywałam szopa i powoli zbliżałam się do Olivii, która wyglądała jak zahipnotyzowana, wierząc we wszystko. – Uwaga, uwaga: Puchi-Puchi się wypowie. Puchi-Puchi mówi mi, że Olivia jest... – tu dramatyczna pauza – ...szopem!

– Neeeeee – wykrzyknęła, uciekając przerażona.

– Uciekaj, szopie! Uciekaj stąd!

Potem wzięłam tabliczkę i namalowałam to:



Hold dla Grizzel Haven. Miejsce, w którym mama zajmuje się swoimi rzeczami. Mała prywatna działka potrzebna, by znaleźć trochę spokoju w domu, w którym rządzą potrzeby najmłodszych. Coś, co nie byłoby podejrzane i co każdy dorosły człowiek by zrozumiał, uszanował i jeszcze temu przyklasnął.

Ale potrzebowałam czegoś jeszcze. Udałam się do Dan's True Value, sklepu żelaznego Dana DeRollera Sr.

– Cześć, Dan.

– Cześć, Alice, w czym mogę ci pomóc?

Myślałam, żeby dla niepoznaki poprosić o wiele innych rzeczy, a dopiero potem o to, czego naprawdę potrzebowałam, lecz to, czego potrzebowałam, było tak zwyczajne, że nie wymagało zbędnych ceregieli ani skomplikowanego sposobu kupowania.

– Potrzebuję kłódki.

– Jakiego rodzaju?

– Żeby zawiesić na drzwiach.

– A czego pilnują te drzwi?

– Czegoś, co zwykła i mała kłódka może strzec.

– Chyba nie trzymasz tam Deklaracji Niepodległości.

– Cóż, trochę tak. Trzymam własną deklarację niepodległości.

– Ach, dobrze, rozumiem. Mam to, czego potrzebujesz.

I wtedy ją wyjął. Średniego rozmiaru kłódkę. Zwyczajną, taką, jaką można kupić w każdym sklepie. Ale miała pewien wyjątkowy szczegół, przynajmniej dla mnie wtedy. Klucz do niej był taki sam jak Klucz Master. Ta sama marka, taki sam

klucz. Klucz standardowej wielkości, popularnej marki, ale dzięki niemu miałam pewność, że Chris kupił kłódkę tutaj. Oczywiście moje odkrycie niczego nie rozwiązywało, potwierdzało tylko to, co wiedziałam jeszcze przed przeprowadzką na wyspę: że Klucz Master otwiera coś, co znajduje się tutaj, na wyspie. Różnica była tylko taka, że w tym momencie wiedziałam już z całą pewnością, że znalazłam zamek, który otwiera ten klucz, Klucz Master.

Dzień 200. Rok I p.Ch.

Stało się to w dniu, kiedy spadł pierwszy w tym roku śnieg. Jakby był on dodatkową ozdobą starannej dekoracji przygotowanej na ceremonię zaślubin. Biały koc potrzebny do stworzenia onirycznego korytarza aż do kościoła prezbiteriańskiego Our Lady Of Grace.

Jeśli wierzyć plotkom, termin ślubu musiał zostać przyśpieszony, ponieważ dziewczyna zaszła w ciążę. Że pierwotnie planowano go na wiosnę. Ale było oczywiste, że Alex i Amanda jako idealna para, następcy tronu na Robin Island, nie mogą sobie pozwolić na taką skazę.

Siedzący za organami ojciec Henry zaczął grać pierwsze akordy utworu *Jezus zawsze będzie mą radością*. Wszyscy wstali. Do ojca Henry'ego przy ołtarzu dołączyli jego trzej synowie, by akompaniować mu na skrzypcach.

– Jeśli znów zjawi się na koniu, wychodzę – wyszeptła mi do ucha Miriam, która stała obok mnie z Chloe.

Ja oczywiście przyszłam z Ruby i Olivią, z którą tego ranka przeżyłyśmy mały dramat, ponieważ kiedy wyjrzała przez okno i zobaczyła, że wszystko pokryte jest śniegiem, zaczęła płakać ze strachu. „Dlaczego wszystko jest białe?! Co jest pod spodem? Nie wiemy, co tam jest, mamusiu. Nie chcę wychodzić. Nie chcę postawić nogi na śniegu...” Uspokoiliam ją, przypominając, jak bardzo zawsze lubiła śnieg i ślizganie się na lodzie. I kiedy ubrałam ją ciepło od stóp do głów, odważyła się wyjść ze mną, żeby ulepić bałwana obok grobu szopa Puchi-Puchi. Musiałam zamknąć w domu Kucyka, żeby nie zniszczył go jeszcze bardziej. Zaczęłyśmy toczyć śniegowe kule. Dobrze nam szło. Pierwsza kula – największa, druga – średnia i trzecia – głowa. Potem zawiązałyśmy mu szalik, włożyłyśmy czapkę, zrobiłyśmy oczy (dwa guziki), nos (marchewka) i ręce (dwie gałęzie). Olivia patrzyła na rezultat ze sporym zaniepokojeniem.

– Co się dzieje, Oli? Nie podoba ci się?

– Boję się.

– Jak możesz się bać? Przecież to bardzo sympatyczny bałwan. Chcesz nadać mu imię?

– Nie... – powiedziała, stawiając dwa kroki do tyłu. Cały czas się w niego wpatrywała, tak jakby się obawiała, że za chwilę się na nią rzuci.

– Dobrze, jeśli ci się nie podoba, nie ma sprawy, nic się nie stało, rozwalimy go.

I zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, krzyknęła:

– Nie, nie zabijaj go!

– Oli, przestań się wygłupiać, to śnieg. Śnieg nie jest żywy.

– Jest. Jest żywy, bo się rusza, spada z nieba. – Nie miałam czasu, żeby z nią polemizować, bo dodała: – Może tatuś go zesłał. Może jest w środku.

- Jak to tata jest w środku?
- Śnieg pochodzi z nieba, a tatuś jest w niebie. Nie zabijaj bałwana.

I pobiegła do domu. „A co się stanie, kiedy temperatura trochę wzrośnie i śnieg się roztopi?”, pomyślałam. Na domiar złego Kucyk zrobił kupę w jej pokoju w ramach zemsty za izolację. Znowu krzyk i płacz. Nie chciała wyjść z domu ani iść na ślub, mimo że miał na nim być Oliver i wszystkie jej przyjaciółki. Tak więc sięgnęłam po to, po co zawsze się sięga w tego rodzaju męczących dyskusjach – po szantaż.

- Pójdziemy na ślub, a ja zrobię ci prezent.
- Dobrze. Chcę kuczka, prawdziwego kuczka.
- Kucyk latem, bo teraz na zewnątrz byłoby mu bardzo zimno.
- Nie, bo spałby ze mną w pokoju.
- Oli, nie możesz spać z kuczkiem. Kuczki mieszkają w stajniach.
- To wyślij do stajni Tonie jest Kuczka.

I tak przez całą godzinę. Wyciągnęła ode mnie iPada mini z wyświetlaczem Retina, ponieważ lepiej ogląda się na nim kreskówki, a przede wszystkim chciała korzystać z FaceTime'a, by rozmawiać z Oliverem.



Alex nie pojawił się na koniu. Było jeszcze gorzej: przyszedł do kościoła, grając na gitarze akustycznej, z mikrofonem przytwierdzonym do głowy. Śpiewał temat z zaręczyn, witając wszystkich podbródkiem, i po dojściu do ołtarza stanął obok skrzypków. Wszystko bardzo wystudiowane.

W torebce miałam valium. Nie chciałam, żeby znów przytrafiło mi się to, co na pikniku. Gdy widziałam wszystkich mieszkańców wyspy zebranych w jednym miejscu, znacznie rósł poziom mojego lęku. Pojawiało się znajome już łaskotanie i ból głowy, które łączyły się z nieustannym strachem przed omdleniem, co było normą w tego rodzaju stresowych sytuacjach. Kiedy się dowiedziałam, że moja fobia ma nazwę (astenofobia), uspokoiłam się i poczułam się trochę mniej dziwna, mając świadomość, że nie jestem jedyna. Podobnie jak zmniejszył się, choć tylko trochę, poziom mojego zmartwienia o Olivie, kiedy sprawdziłam tego ranka, że jest także nazwa na lęk przed zimnem (cheimafobia) i śniegiem (chionofobia). Irracjonalne lęki, których używamy niczym drugiej skóry, żeby się okryć, żeby chronić się przed agresją, żeby się odizolować, tracąc tę złą, ale też dobrą – i prawdopodobnie większą – część życia. Nigdy jednak nie potrafiłam tego kontrolować, a po śmierci Chrisa wszystko się nasiliło. Pierwszy raz zemdlałam na meczu lacrosse'a w szkole podstawowej, kiedy miałam dziewięć lat. Podczas przypadkowego zderzenia spadła mi ochronna maska, i to akurat w chwili, gdy koleżanka z mojej drużyny podawała mi piłkę. Trafiała w moje oko, wskutek czego upadłam jak rażona piorunem. Kiedy się ocknęłam, mecz już się skończył.

Przegrałyśmy 2:3, chociaż prowadziłyśmy 2:0. „Widzisz? Jeśli mdlejesz, przegrywasz”, musiałam pomyśleć, kierując się dziecięcą logiką. A teraz, bez względu na to, ile razy sobie powtarzałam: „Alice, niech porażki zastaną cię śpiącą. Tak jest lepiej, nie sądzisz?”, na niewiele się to zdało. Przypuszczam, że ma to związek z moją ogromną potrzebą posiadania wszystkiego pod kontrolą. Dlatego ograniczyłam swój świat do małego kręgu, z możliwie najmniejszą liczbą niewiadomych. A teraz miałam przed sobą ponad trzysta niewiadomych. Nieskończone możliwości, które pewnie warte były kilku tabletek valium. Ale czułam się dobrze. Owszem, byłam przytłoczona, chociaż pomagało mi to, że znałam już praktycznie ponad połowę obecnych w kościele osób. Mówiąc „znałam”, mam na myśli nazwiska, wykonywane zawody i miejsca zamieszkania. Każdego wieczoru poświęcałam przynajmniej godzinę na przeglądanie i studiowanie notatek zdobytych do swojej osobliwej rozprawy doktorskiej: „Antropologia Robin Island. Badanie jednostek ludzkich i ich ewentualnego związku z Chrisem Williamsem”. Jedna lub kilka obecnych na ślubie osób znało odpowiedź na moje podstawowe pytanie: „Co Chris robił na wyspie?”. Po trzech miesiącach spędzonych na wyspie zdałam sobie sprawę, że niemożliwe było odwiedzić to miejsce i pozostać niezauważonym. Można być dyskretnym, chłodnym, skrytym, ale nie niewidzialnym. To niemożliwe.

„Gdybyś mogła wskazać teraz «winnego», Alice, kto by to był? Dokąd chciałabyś, żeby zaprowadziła cię mapa Chrisa? Gdzie chciałabyś, żeby znalazł się X? Kto według ciebie ma kufer ze skarbem, który może otworzyć Klucz Master?”

Mark siedział dwa rzędy przede mną, po drugiej stronie głównej nawy. Julia u jego boku, nieobecna duchem, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal, jakby była na pogrzebie. Nie, raczej jakby to był jej pogrzeb. Mark nie mógł się oprzeć, by się nie odwrócić i popatrzeć na mnie z ukosa. Zrobił taką minę, jakby chciał powiedzieć „O matko, mam tego ślubu po dziurki w nosie” albo „O matko, mam swojej żony po dziurki w nosie”. A ponieważ spojrzał na mnie dwa razy, uznałam, że obie te interpretacje są słuszne.

Wtedy pojawiła się ona, panna młoda, Amanda. Na grzbiecie białego konia, tego samego, na którym Alex przyjechał na zaręczyny. Jednak tym razem koń (biedacek, co za męka) do końcówek grzywy miał przyczepione róże. Zebrani wydali z siebie „och”, będące połączeniem podziwu, zachwytu i przerażenia. Ona siedziała bokiem. Jej ojciec, Doug Younker, szef terminalu promowego na Robin Island, trzymał uzdę, prowadząc konia.

– Chodźmy stąd już – powiedziała Miriam, prawie wstając.

Powstrzymałam ją rozbawiona.

– Siedź spokojnie, no co ty, zachowuj się.

W tym czasie, gdy Miriam modliła się po cichu (nie symbolicznie, ale dosłownie, składając dłonie): „Proszę, Boże, spraw, żeby koń się zesrał, spraw,

żeby koń się zesrał”, Olivia mi mówiła, że chce wyjść za mąż za Olivera i też wjechać do kościoła na kucyku, jeśli miałoby się to stać niedługo, albo na koniu, jeśli będą już starsi, i dziękowała mi za to, że zabrałam ją na ślub, bo była bardzo zadowolona. „W takim razie nie kupię ci iPada”, powiedziałam. „Nie ma mowy!”, odparła.

Koń się nie zesrał. Później Karen dowiedziała się, że podali mu środek zapobiegający takiej profanacji. Po kilku sekundach Miriam sprostowała kłamstwo, które Karen sama wymyśliła. A robiła to stale w przypadku różnych drobiazgów, żeby się przekonać, z jaką szybkością rozprzestrzenia się plotka. Zwykły demograficzny i statystyczny eksperyment, by sprawdzić spoistość i poziom rozplotkowania społeczności wyspy. Poinformowała mnie, że do tej pory rekord należał do historyjki o ciąży Summer, co – jak się potem okazało – było prawdą (o tej porze roku nie mogła już tego ukryć nawet pod luźną sukienką).

Ojciec Henry był człowiekiem uprzejmym, roztropnym i nie lubiącym odbiegać od tematu, więc dalszy ciąg ceremonii przebiegł bez większych cudaczných zdarzeń. Ostatnim dziwactwem było zastąpienie typowego samochodu nowożeńców dwoma śnieżnymi skuterami (jakby faktycznie wiedzieli, że spadnie śnieg), każdy z imieniem nowożeńca.

– Niech się zderzą, proszę, niech się zderzą, proszę – modliła się Miriam i patrzyła, jak państwo młodzi odjeżdżają, trzymając się za ręce. Demonstrowali swoje umiejętności za kierownicą, zostawiając za sobą ślad z płatków róż, jakby byli eskortowani przez stado rudzików.

Czyżby to też ćwiczyli? Z pewnością.



A dlaczego nakreślony przeze mnie plan wymagał naszej obecności na ślubie? W tej uroczystości mieli uczestniczyć wszyscy mieszkańcy wyspy. Nikogo nie mogło zabraknąć. Przyjęcie weselne zaplanowano w ogrzewanych namiotach na terenie posiadłości rodziców Aleksa, Maggie i Rodneya Burrów, właścicieli Burr’s Marine.

Wszyscy opuścili swoje domy i prawdopodobnie zostawili je otwarte. Prom nie kursował tego dnia – tak zdecydował ojciec Amandy, Doug, który nawet zaprosił wszystkich pracowników na uroczystość. W ten sposób zamknęli dostęp do wyspy, jakby to było prywatne terytorium, chroniąc ją przed ewentualnymi turystami. Tak więc przez ograniczony czas miałam dostęp do wszystkich domów. Wykonałam już wiele obliczeń i przygotowałam listę miejsc, gdzie według mnie należało umieścić donosicieli. Wyszło mi dwanaście lokalizacji – sprawdziłam w nich wcześniej drzwi wejściowe, okna, ewentualne alarmy, zwierzęta domowe, które mogłyby wpaść w histerię... Miałam te miejsca zaznaczone na mapie, zmierzyłam także, ile czasu zajmie mi przejechanie wózkiem golfowym z jednego

do kolejnego. Łączny czas, dodając trzy minuty na umieszczenie donosiciela, wynosił pięćdziesiąt minut. Zbyt długo, by pozostać niezauważoną? Być może, ale tak dobrej okazji nie miałabym przez długie miesiące. Tak więc musiałam sobie poradzić. Wybrałam moment na dokonanie ataku: między drugim daniem a krojeniem tortu (nikt nie pójdzie do domu, zanim nie spróbuje weselnego tortu). Wymknę się, a Miriam powiem, że idę nakarmić Ruby w jakieś dyskretne miejsce, i poproszę ją, żeby miała oko na Olivię, która siedziała przy stole dla dzieci. Dwadzieścia minut później wyślę jej esemesa, którego wcześniej przygotowałam i zapisałam w folderze wiadomości roboczych – poinformuję ją, że Ruby ułało się na moją sukienkę, kiedy trzymałam ją na ramieniu, by się jej odbiło, i że jadę do domu, żeby się szybko przebrać. To będzie tłumaczyło długi czas mojej nieobecności. Ale nie wzięłam pod uwagę komplikacji spowodowanych śniegiem. To bez wątpienia wszystko opóźni i zmusi mnie do wykonania na bieżąco kilku modyfikacji.

Pięćdziesiąt minut. Dwadzieścia donosicieli przygotowanych w torebce. Dwanaście lokalizacji. Wózek golfowy. Dziecko w koszyku. Czas start.

To był co najmniej malowniczy i zabawny obrazek. Wózek golfowy pokonujący zaśnieżone ulice i nieustannie się ślizgający. Ja za kierownicą, ubrana w ciemnoniebieską sukienkę typu smoking i białą kurtkę puchową z rękawem trzy czwarte, z Ruby w koszyku u boku, dobrze odzianą i opatuloną kocem polarowym, który zapewnia ciepło nawet przy minusowych temperaturach. Wcześniej przystosowałam wózek golfowy do zimy, zakładając drzwi winylowe, które chroniły przed wiatrem i zimnem. Wyliczam to wszystko sama dla siebie, żebym nie czuła się bardzo źle z powodu tego, że zaniedbuję swoje dziecko – choć były to chwile – włamując się do kolejnych domów.

Oprócz tego, że planowałam ulokować donosicieli, miałam też zawieszony na łańcuszku na szyi Klucz Master na wypadek, gdybym natknęła się w czasie tej misji na odpowiednią kłódkę.

Moja trasa w kolejności wchodzenia do domów:

– Dom szefowej Margaret. Jeden donosiciel. W piwnicy. Nie żebym ją o coś podejrzewała, ale była szefową policji. W piwnicy miała radio policyjne włączone dwadzieścia cztery godziny na dobę, wyrzucające z siebie wszystkie zgłoszenia do straży pożarnej i policji z hrabstw Barnstable, Dukes oraz Nantucket – od kotów na drzewach i ulicznych kłótni, po pożary w fabrykach i napady z bronią w rękę na stacjach benzynowych. Szybko się w to wciągnęłam, jakby to był mój ulubiony program radiowy. Ale po prostu był zabawny. A przede wszystkim dzięki niemu czułam się trochę mniej winna i samotna w moich czynach przestępczych.

Mówię Ruby, że ją kocham. Następny.

– Dom Jodie i Keevan O’Gorman, właścicielek sklepu z likierami. Mieszkają na piętrze, nad sklepem. Weszłam tylnymi drzwiami, znów używając zdjęcia

rentgenowskiego Chrisa. Umieściłam donosiciela w salonie i zanim wyszłam, zobaczyłam pojemnik z kilkoma pękami kluczy. Czyżby były tam też klucze do sklepu? Nie może być, co? Owszem, może. Leżały z breloczkiem w kształcie leprechauna na szczęście, który na odwrocie miał napisane ręcznie „sklep”. Niech żyje Święty Patryk. Ulokowałam donosiciela pod ladą.

Dziękuję Ruby za to, że jest taka grzeczna. Następny.

– Dom Conrada, dyrektora oddziału banku. Dwa donosiciele. W sypialni i w salonie. Chciałam go poznać. Dowiedzieć się, jak mogłabym go podejść. Wciąż byłam zdeterminowana, żeby sprawdzić, czy Chris otworzył rachunek w banku albo wynajął skrytkę depozytową.

Upewniam się, czy Ruby jest dobrze okryta. Następny.

– Kościół prezbiteriański Our Lady of Grace. Dwa donosiciele. W gabinecie ojca Henry’ego i w konfesjonale. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie będzie czuł potrzeby, żeby opowiedzieć o stracie Chrisa, a przeczuwałam, że towarzyszyłoby temu poczucie winy. Oczywiście, że tego potrzebowałam. Zastanawiałam się jednak, czy powinnam to zrobić. W końcu obowiązuje tajemnica spowiedzi. To jednak mogło nie tylko ukoić mój niepokój, lecz także pomóc mi w rozwiązaniu tajemnicy.

Daję Ruby buziaka. Następny.

– Dom Marka. Dwa donosiciele. W sypialni małżeńskiej i w salonie. Przecisnęłam się przez wejście dla psa, bardzo starego golden retrievera, który wabił się Pynchon i który na szczęście mnie uwielbiał. Obsypał mnie liźnięciami, łagodząc moje absolutne poczucie własnej śmieszności. Chciałam umieścić donosiciela także w gabinecie Julii, ale był zamknięty na klucz i na nic się tu zdał rentgen Chrisa.

Zagaduję do Ruby. Śmieje się. Następny.

– Dom Jennifer. Jeden donosiciel. W sypialni Summer. Trudno było mi do niego wejść z różnych powodów: bardzo się bałam, a drzwi były zamknięte. Ale Summer zostawiła otwarte okno do swojej sypialni (żeby ją przewietrzyć i usunąć ten niedający się z niczym pomylić zapach marihuany; nie mogę, dziewczyna pali, będąc w ciąży!). Wspięłam się na schodek i dostałam do środka. Po umieszczeniu donosiciela miałam ochotę zabrać Summer skręty, bo była nieodpowiedzialna. Ale tego nie zrobiłam. Zeszłam do pokoju Stephen. Podeszłam do niego powoli, starając się nie robić hałasu, jakbym się bała, że obudzę go ze śpiączki. Założyłam lateksowe rękawiczki i wyjęłam patyczek kosmetyczny, który miałam w papierowej kopercie. Włożyłam go do ust Stephen i przez dwadzieścia sekund, nie za mocno i nie za lekko, pocierałam nim o wewnętrzną stronę policzka. Potem drugim końcem patyczka zrobiłam to samo pod drugim policzkiem. Chodziło o pobranie komórek skóry oraz śliny. Schowałam patyczek do koperty (podkreślali, żeby nie używać plastikowej torebki) i ją zakleiłam. Ucieszyłam się, ale tylko

trochę, z moich detektywistycznych umiejętności. Przed wyjściem przeprosiłam Stephena za kłopot i pocałowałam go w czoło, wierząc, że to przyniesie mi szczęście.

Ruby płacze. Biorę ją na ręce. Uspokajam ją. Następny.

– Dom DeRollerów. Dwa donosiciele. W sypialni małżeńskiej i w gabinecie Gwen, gdzie zazwyczaj urzęduje jako burmistrzynie.

Jeszcze raz dziękuję Ruby za to, że jest taka grzeczna. Następny.

– Łódź Marka. Żadnego donosiciela. Chciałam dostać się do kabiny głównej, ale była zamknięta na klucz. Miałam to na uwadze, ale chciałam spróbować.

Ruby śpi. Następny.

– Family Pet Land. Jeden donosiciel. Poprzedniego dnia byłam tutaj z Kucykiem na badaniach kontrolnych i zostawiłam otwarty rygiel w jednym z okien na tyłach domu. Chciałam kontrolować Franka, przede wszystkim po tamtym nocnym epizodzie, kiedy go zaskoczyłam (albo on zaskoczył mnie), wychodząc z agencji nieruchomości.

Jako że czas mnie gonił, postanowiłam przełożyć na inny dzień umieszczenie donosiciela w agencji Miriam i w jej domu, do którego niedawno dała mi zapasowy klucz, ponieważ – jak mówiła – byłyśmy dobrymi sąsiadkami i najlepszymi przyjaciółkami. Oczywiście ja nie zrewanżowałam się swoim kluczem.

Wstąpiłam do domu i się przebrałam – włożyłam sukienkę z polnymi makami i długim rękawem. Miałam ją przygotowaną. Poprawiłam trochę makijaż. Spryskałam się dezodorantem, bo pomimo zimna bardzo się spociłam, i zanim wróciłam na przyjęcie, udałam się jeszcze w ostatnie miejsce: Karen's Petite Maison. Poszłam od razu do biura, pogłaskałam Dingleberry, dałam jej nagrodę, podobnie jak wszystkim zwierzętom, które spotkałam w różnych domach. Umieściłam donosiciela pod pulpitem biurka, w szparze między szafką z szufladami a drewnianą listwą. Łatwo. Ale wydawało się, że w tym pomieszczeniu wisiła nade mną jakaś klątwa, ponieważ kiedy się podnosiłam, rozdarłam sukienkę o wystający gwóźdź. Dingleberry patrzyła na mnie z zadowoleniem, jakby właśnie dokonała się sprawiedliwość. Musiałam jeszcze raz pojechać do domu. To oznaczało dodatkowe, dwunastominutowe opóźnienie.

Kiedy wróciłam na uroczystość weselną, już pokrojono i podano tort, a Amanda i jej ojciec zatańczyli do *Eternal Flame* grupy The Bangles. Byłam wdzięczna, że mnie to ominęło.

Gdy tylko weszłam, kompletnie zdrętwiała pod każdym względem, z Ruby na rękach, omiotłam wzrokiem salę w poszukiwaniu Olivii. Podskakiwała w rytmie *Gangnam Style* razem z innymi dziewczynkami. Olivia bardzo chciała zwrócić na siebie uwagę Olivera, który z powodu nieśmiałości albo braku zainteresowania nie chciał wyjść na parkiet. Widząc swoją córkę tańczącą, poczułam taką ulgę i przyływ adrenaliny, że miałam ochotę do niej dołączyć. Ponieważ właśnie

zrobiłam to. Moja misja zakończyła się zwycięsko.

Obserwowałam, jak Miriam kłóci się Mikiem, który stał przed nią (i Chloe siedzącą na jej kolanach) z rękami na biodrach, delikatnie pochylony, pijany, wygrażając, plując śliną i oskarżając ją o coś, czego nie byłam w stanie usłyszeć. Pomyślałam, że lepiej nie podchodzić i się nie wtrącać, ale ze względu na jego irytujące zachowanie i euforię, jaką byłam ogarnięta, postanowiłam interweniować.

– Coś się dzieje?

Mike popatrzył na mnie pogardliwie, przygryzając wargę.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedziała Miriam, która nie była przestraszona, przynajmniej tak mi się wydawało. – Mike właśnie sobie idzie. Prawda, Mike?

Mike wziął swoje piwo, opróżnił butelkę jednym haustem i odszedł. Gdy przechodził obok, dotknął mnie ramieniem w sposób zamierzony, ale delikatny, żebym nie mogła oskarżyć go o agresję, jednak jasno okazując mi pogardę.

Czy zawsze był taki nieprzyjemny? Trudno było mi uwierzyć, że on i Miriam kiedykolwiek byli razem. Dzięki zaufaniu, jakim już się darzyłyśmy, mogłam jej o tym powiedzieć, i zrobiłam to już kilka razy. Nigdy nie próbowała się usprawiedliwiać, ale kiedy opowiadała o powodach, które doprowadziły ich do obecnej sytuacji, zawsze się gubiła, gmatwała albo po prostu unikała tego tematu. Widocznie z biegiem czasu ten choleryczny, mający mnóstwo możliwości młodzieniec, w którym się zakochała, stał się sfrustrowanym pseudodorosłym bez przyszłości, który zmarnował znaczną część swojego życia. Znow zaczął pić, brać narkotyki i spotykać się z bandą wyrzutków, z którymi czuł się dobrze. „I wszystko się spieprzyło”, mówiła Miriam, uznając temat za zakończony. Ale ja tak nie uważałam. Musiało być coś jeszcze, na pewno. I chciałam to sprawdzić.

Kiedy Mike poszedł do kontuaru, Miriam zaczęła się trząść i zrobiła się bardzo blada.

– Przez tego sukinsyna spadł mi cukier... – powiedziała, a raczej chciała powiedzieć, gdyż zdołała tylko wycedzić: „Przez tego insyna sadł m ukier...”.

Drżały jej ręce, więc z wielkim trudem wyjęła z torebki swój zestaw. Wcześniej wstrzyknęła sobie większą dawkę insuliny niż zazwyczaj, bo wiedziała, że na przyjęciu będzie dużo jeść, a ponadto sięgnie po coś słodkiego i napije się trochę wina. Ale źle to wykalkulowała.

– Wyjmij ukier torebki rosze... – powiedziała, mierząc sobie poziom glukozy. Czterdzieści cztery. Był bardzo niski.

Wyjęłam dwie saszetki cukru z jej torebki. Zawsze miała kilka pod ręką. Otworzyłam je, a ona łączywie pochłonęła ich zawartość.

– Żeby mnie nie zobaczył, proszę, nie chcę dać satysfakcji temu skurwysynowi – wybełkotała.

Uspokoilałam ją, mówiąc, że jest dość daleko, bawi się ze swoimi kumplami,

i że nikt niczego nie zauważył. Dałam jej trochę coca-coli, która stała na stole. Czekałyśmy. W spokoju, nic nie mówiąc. Nigdy nie widziałam jej tak bezbronnej.

– Naprawdę długo ci zeszło... – powiedziała już w sposób płynny, kiedy odzyskała kolory. – Zrobiłaś to celowo. Na pewno. Niech moja hiperglikemia spadnie na twoje sumienie.

Zaśmiałam się i odparłam:

– No tak. A ile czasu tobie zajmuje wybranie sukienki, kiedy początkowo postawiłaś na zupełnie inną? Całą wieczność, co? No więc widzisz.

– Ta podoba mi się bardziej.

Była to czerwona sukienka skater z delikatnie plisowanym dołem, od Karen Miller.

– Mnie też, dlatego jej nie włożyłam. Trzymałam ją na lepszą okazję...

Zawibrował mój telefon (był wyciszony). To była wiadomość. Od Marka.

Kiedy wyszłaś, tęskniłem za tobą i byłem zazdrosny, bo myślałem, że jesteś z innym.

Wydało mi się to mało poważne i nie na miejscu. Oczywiście wypił kilka kieliszków za dużo, jak prawie wszyscy. Spojrzałam w jego stronę. Był odwrócony plecami. Siedział cztery stoliki dalej po mojej prawej stronie. Dwie miuty później dostałam kolejną wiadomość:

Przepraszam za poprzedni esemes. Był zupełnie niestosowny. Bardzo mi się podoba twoja nowa sukienka. Mówiłem Ci już, że mi się podobasz?

Ta jeszcze bardziej mnie zdenerwowała. Chociaż może słowo „zdenerwowała” nie jest najwłaściwsze. Jeszcze bardziej mnie dotknęła. Pierwsza była prostackim kokietowaniem. Drugą wchodził w romantyzm. Niewinność. W to, co dopiero się zaczyna. Przestraszył mnie. Nadal na mnie nie patrzył. Julia siedziała obok niego w bezruchu, z kieliszkiem szampana w dłoni. Pisał to wszystko przy niej? To też mi się nie podobało, ponieważ nie było zbyt dyskretne. Przyszła trzecia wiadomość:

Jestem trochę pijany, nie zwracaj na mnie uwagi.

Dobrze, świetnie, Mark, już więcej do mnie nie pisz. Wystarczy, daj spokój. Ale nie, znowu napisał:

Zobaczymy się później w moim biurze?

Nie poszłam. Byłam wyczerpana po tym jakże intensywnym dniu. Po tym i po tych dwustu, które go poprzedzały. Chciałam położyć dziewczynki spać i aktywować donosicieli. Wypróbować je i upewnić się, czy dobrze działają. Żałowałam tylko, że nie mogłam umieścić donosiciela na jego łodzi. To była dobra okazja, by dopełnić mój plan. Jednak tamta propozycja nie była niewinnym zaproszeniem. Wiedziałam, że jeśli pójdę, to stanie się to, co miało się stać.

Dni 201–215. Rok I p.Ch.

Odsłuchiwanie rozmów okazało się bardzo frustrujące. Większość z nich to były szумы. Niedające się ogarnąć. Gubiłam się. Nie mogłam skupiać się na poszczególnych zdaniach. To mnie przerastało. Trudne – by nie powiedzieć niemożliwe – było łączenie tego z opieką nad moimi córkami: płacze, kupy, pieluchy, karmienie piersią, ulewanie, zabawa, sprzątanie domu, pranie, zakupy, odbieranie ze szkoły, prace domowe, znów zabawa, jedzenie, spanie i tak dalej. Aż doszłam do wniosku, że to nie umysł miał słuchać i przetwarzać informacje, lecz ciało. Musiałam pozwolić, żeby słowa płynęły, i nie zwracać na nie uwagi, zajmować się swoimi sprawami. Miały być jak dźwięki dobiegające z ulicy, jak muzyka, której słucha się przez słuchawki, nie przywiązując do niej większej wagi. Ponieważ w momencie, w którym podczas rozmowy pojawi się jakiś „Chris” albo jakiś „Williams”, moje ciało zareaguje automatycznie. Na pewno.

Być może, żeby zatrzeć to przytłaczające wrażenie, postanowiłam wprowadzić do gry mój dokonany pod wpływem impulsu zakup. Problem polegał jednak na tym, że modulator głosu okazał się małą porażką. Czternaście superprofesjonalnych głosów, które obiecywał, w rzeczywistości różniło się między sobą tylko zmianą wysokości tonu. Rezultat zawsze okazywał się nieco metaliczny, sztuczny i cyfrowy. Kobiące tony były jeszcze dosyć wiarygodne, ale męskie okazały się parodią – brzmiały jak głos kogoś, kto chce zrobić żart koledze, naśladując negatywną postać z filmu o superbohaterze. Modulator nadawał się tylko do bardzo krótkich rozmów i z hałasem w tle, kiedy głos mógł się zlewać z innymi dźwiękami. Ściągnęłam wiele odgłosów z parku i z miasta, niepodobnych do dźwiękowego pejzażu Robin Island, i odtwarzałam podczas konwersacji.

Oto zapisy najbardziej znaczących rozmów wychwyconych przez donosicieli oraz moje próby z wykorzystaniem modulatora głosu. W kolejności chronologicznej:

Modulator głosu. Tryb: męczyzna – częstotliwość 13.

Dzień 203. Godzina 17.00.

Dzwoni telefon komórkowy Johna. Odbiera.

John: Tak?

Ja: John?

John: Tak, to ja. Kto mówi?

Ja: Chris.

John: Chris? Jaki Chris? Twój głos brzmi bardzo dziwnie.

Cisza.

John: Halo? Jest bardzo głośno. Jesteś tam?

Rozłączam się.

Dom szefowej Margaret. Dzień 204. Godzina 8.30.

Szefowa Margaret odbiera wezwanie.

Szefowa Margaret: Szefowa Margaret przy telefonie.

Maureen (urywany oddech i chaotyczne słowa): Szefowo, tu Maureen, pomocy, proszę, właśnie mnie zaatakował.

Szefowa Margaret: Spokojnie, Maureen, spokojnie, powoli. Powiedz mi, gdzie jesteś.

Maureen: W swoim domu, zamknięta. Zaatakował mnie, kiedy wychodziłam. Nie pozwala mi wyjść. Czeka na mnie na zewnątrz. Bardzo się boję, szefowo.

Szefowa Margaret: Jadę tam... Zidentyfikowałaś napastnika?

Maureen: Tak, to Joe.

Szefowa Margaret: Joe? Jaki Joe?

Maureen: Indyk Joe.

Szefowa Margaret: Indyk Joe? Nie znam nikogo o takiej ksywie.

Maureen: To nie jest ksywa. To dziki indyk, szefowo. Bardzo dziki.

Szefowa Margaret: Zaatakował cię indyk?

Maureen: Tak, i nie pozwala mi wyjść z domu. Pamiętasz, jak przez cały rok tuczyłam indyka na Święto Dziękczynienia?

Szefowa Margaret: Nie, Maureen, nie pamiętam.

Maureen: Tak było, szefowo, i akurat dzień przed świętem uciekł. Musiał wyczuć pismo nosem. Teraz wrócił. Joe. Nazwałam go Joe. I jest żądny zemsty. Szybko, szefowo!

Dom Jennifer. Sypialnia Summer. Dzień 204. Godzina 20.30.

Stukanie do drzwi.

Jennifer: Otwórz drzwi.

Summer: Poczekaj...

Jennifer: Summer, w tej chwili otwieraj drzwi.

Summer: Mówię, żebyś poczekała!

Uderzanie pięściami w drzwi.

Jennifer: Otwieraj!

Summer: Już!

Cisza. Drzwi się otwierają.

Jennifer: Co to za zapach?

Summer: Jaki zapach? Ja nic nie czuję.

Jennifer: Czuć nawet w kuchni. Pachnie marihuaną.

Summer: A ty skąd to wiesz?

Jennifer: Summer, nie żartuj sobie ze mnie.

Summer: To mnie uspokaja. A jeśli ja jestem spokojna, to plód też. To nie może być szkodliwe.

Odgłos wymierzanego policzka.

Jennifer: Jeśli jeszcze raz zapalisz, to cię...

Summer: To co? Co mi zrobisz? Nic nie możesz mi zrobić. Nic.

Trzaśnięcie drzwiami.

Summer płacze w swojej sypialni. Jennifer – w pokoju Stephena.

Modulator głosu. Tryb: męczyzna – częstotliwość 10.

Dzień 205. Godzina 10.00.

Dzwoni telefon w oddziale banku.

Conrad: Dzień dobry, Dime Bank. W czym mogę pomóc?

Ja: Dzień dobry. Chciałbym zapytać o saldo swojego konta.

Conrad: Przepraszam, źle pana słyszę. Co by pan chciał?

Ja: Saldo. Zapytać o swoje saldo.

Conrad: Saldo? Proszę podać numer konta.

Ja: Zapomniałem.

Conrad: Kim pan jest, bo pana nie rozpoznaję? I gdzie pan jest, bo słyhać przejeżdżające samochody? Jest pan pewien, że to nie jest pomyłka? Dodzwonił się pan do oddziału banku na Robin Island.

Ja: Tak, przepraszam.

Rozłączam się.

Family Pet Land. Dzień 206. Godzina 3.22.

Dzwoneczek przy drzwiach.

Frank: Rose, gdzie jesteś? Chodź, idziemy do domu, no już. Rose, wiem, że tam jesteś. Ale ty lubisz siedzieć tu przez cały dzień. Rose? (cisza) Rose?

Cisza.

Frank (zaniepokojony): Rose, nie strasz mnie, wychodź natychmiast stamtąd, gdzie jesteś...

Cisza. Dzwoneczek przy drzwiach.

Frank (oddalając się): Rose?!

Family Pet Land. Dzień 206. Godzina 11.10.

Dzwoneczek przy drzwiach wejściowych.

Frank: Cześć, Kucyku, śliczności. Masz smakołyk, chodź, głuptasku.

Ja: Dzień dobry, Frank. Jak się masz? Dobrze spałeś?

Frank: Jak suseł, Alice. Dziękuję. W czym mogę ci pomóc? (cisza) Znowu Flint?

Ja: Tak, znowu...

Frank: No to do roboty, łowimy. Flint V idzie na mój rachunek.

Ja: Dziękuję ci, Frank.

Modulator głosu. Tryb: męczyzna – częstotliwość 12.

Dzień 206. Godzina 13.11.

Dzwoni telefon komórkowy Johna. Odbiera.

John: Tak?

Ja: Cześć, John.

John: Cześć. Kto mówi?

Ja: Chris.

John: Znowu? Chris? Jaki Chris? Wymagasz ode mnie, żebym znał wszystkich Chrisów na świecie?! I dlaczego w tle jest taki hałas? Halo? Jesteś tam? Skąd dzwonisz? Dlaczego twój numer jest zastrzeżony?

Rozłączam się.

Dom Jennifer. Sypialnia Summer. Dzień 206. Godzina 21.30.

Stukanie do drzwi.

Jennifer: Summer, czy możesz otworzyć na chwilę, proszę? (cisza) Przyniosłam ci coś do jedzenia. Siedzisz zamknięta od dwóch dni. Musisz wyjść, żeby się przewietrzyć. Otwórz... (cisza) Chcę cię przeprosić, nie chciałam cię wtedy uderzyć. Przepraszam, naprawdę... Ale musisz być bardziej odpowiedzialna. To nie jest zabawa.

Drzwi się otwierają.

Summer: Wiem. I też przepraszam... Tylko że czytałam w Internecie, że palenie nie jest złe, że nie jest gorsze niż branie tabletek na zgagę. Przysięgam, że tak czytałam. Poza tym to jest marihuana z uprawy ekologicznej, bez pestycydów i innych świństw. Wydałam na nią mnóstwo kasy.

Jennifer: Summer, nie zaczynajmy znowu...

Summer: Dobrze, dobrze, już nie będę tego robić.

Jennifer: Dziękuję, kochanie. Dasz mi buziaka?

Buziak.

Jennifer: Przepraszam, że puściły mi nerwy.

Summer: Jeśli chcesz, dam ci trochę marihuany. Bardzo pomaga w takich przypadkach...

Jennifer się śmieje mimo odczuwanego żalu i niezadowolenia.

Dom szefowej Margaret. Dzień 207. Godzina 11.30.

Szefowa Margaret odbiera wezwanie.

Szefowa Margaret: Szefowa Margaret przy telefonie.

Maureen: Szefowo, on wrócił.

Szefowa Margaret: Kto?

Maureen: Joe.

Szefowa Margaret: Ach, no tak, indyk Joe.

Tępe uderzenie w okno.

Maureen: Aaach! Jest drugi. Przyszedł z drugim. Teraz są dwa, szefowo!

Szefowa Margaret: Maureen, nie każ mi drugi raz jechać na darmo.

Dostałam już ponad dziesięć wezwań od różnych osób z tą samą historyjką o indyku Joe. Zaczynam myśleć, że to jakiś żart. Nabijacie się ze mnie?

Maureen: Jasne, że nie, szefowo. Nigdy. Problem polega na tym, że włączasz syrenę, szefowo. Jeśli włączasz syrenę, on ma czas, żeby zwać. Joe jest bardzo sprytny. Rekrutuje innych, szefowo. Jest jak w *Planecie małp*!

Szefowa Margaret: Tak, identycznie.

Karen's Petite Maison. Biuro. Dzień 208. Godzina 1.35.

Odległy, przygaszony głos.

Karen: John?

Kilka pośpiesznych kliknięć myszką.

Karen: John?

John: Tak, jestem tutaj.

Karen próbuje otworzyć drzwi. Są zamknięte na klucz.

Karen: Co robisz o tej godzinie? I dlaczego drzwi są zamknięte?

John: Przez Dingleberry, żeby nie weszła, bo jest bardzo męcząca. Przeglądam briefing oddziału specjalnego. Wiesz dobrze, że tydzień przed wejściem na pokład zawsze cierpię na bezsenność. A ty, co robisz?

Karen: Nic, idę po kubek mleka z miodem.

John: Aha, okej. Zaraz wracam do łóżka.

Miauczenie kota, który drapie w drzwi.

Karen: Dingles? Czy to Dingleberry?

Donioślejsze miauczenie. Dobiega z biura.

Karen: Ale przecież jest tam z tobą. Nie mówiłeś, że zostawiłeś ją na zewnątrz?

John: Ach... Nawet się nie zorientowałem (że tak). Zastrany kot.

Modulator głosu. Tryb: kobieta – częstotliwość 3.

Dzień 211. Godzina 13.00.

Conrad (do telefonu): Dime Bank. W czym mogę pomóc?

Ja: Dzień dobry. Chodzi o to, że mój brat zmarł ponad rok temu.

Conrad: Przykro mi, łączę się z panią w bólu.

Ja: I tak, wciąż porządkuję jego papiery i widzę, że miał konto w tym banku.

Conrad: Aha...

Ja: Chciałabym je zamknąć i przelać środki.

Conrad: Tak, ale rzecz w tym... Nie chcę, by zabrzmiało to nieuprzejmie, ale nie mogę załatwić niczego przez telefon. Musiałaby pani stawić się w placówce z pełnomocnictwem, które potwierdzi pani bezpośredni związek ze zmarłym.

Ja: Tak...

Conrad: Tak czy inaczej, kim był pani brat?

Cisza.

Conrad: Halo?

Rozłączam się.

**Kościół prezbiteriański Our Lady of Grace. Konfesjonał. Dzień 212.
Godzina 17.00.**

Ojciec Henry rozmawia z Karen.

Karen: To, co tutaj powiem, jest tajemnicą, prawda?

Ojciec Henry: Naturalnie. Tajemnicą spowiedzi. Nic stąd nie wyjdzie.

Karen: Dobrze. Chodzi o to, ojczy, okazuje się, że John...

Ojciec Henry: Co się dzieje z Johnem?

Karen: On coś robi. Nocami, kiedy ja już śpię...

Ojciec Henry: Coś? Co takiego?

Karen: Nie wiem. Ale to coś złego, na pewno. Bo zamyka się w biurze. A nie mamy teraz gości.

Ojciec Henry: Pytałaś go?

Karen: Ja? Za żadne skarby. Co za wstyd. Proszę dać spokój.

Ojciec Henry: I czego ode mnie oczekujesz?

Karen: Czy ja wiem, proszę z nim porozmawiać. Proszę mu powiedzieć, żeby przyszedł się wyspowiadać. Za trzy dni wyjeżdża ze swoim oddziałem. Żeby pojechał czysty, wolny od grzechów.

Ojciec Henry: Nie mogę go zmusić, żeby przyszedł do spowiedzi.

Karen: A czy kiedykolwiek to zrobił? Czy kiedykolwiek przyszedł się wyspowiadać?

Ojciec Henry: Karen, przed chwilą upewniałaś się, czy to, o czym się tutaj mówi, jest poufne.

Karen: Tak, ale miałam na myśli siebie, a nie jego. Był, prawda? Czy to, co robi, jest bardzo złe?

Ojciec Henry: Nie powiem ci, czy był, czy nie. W każdym razie zapytam cię o coś: Czy John dobrze cię traktuje? Czy jest dobrym mężem?

Karen: Nic nadzwyczajnego. Nie zwraca na mnie większej uwagi, ale też za bardzo mi nie przeszkadza. Przypuszczam, że jest jak normalny mąż. Przynajmniej tak myślałam, aż odkryłam, że robi dziwne rzeczy.

Ojciec Henry: A może te dziwne rzeczy, które robi za twoimi plecami, pozwalają mu być normalnym mężem. W każdym razie, jeśli tak cię to martwi, powinnaś sama z nim porozmawiać.

Karen: Ojczy, właśnie powiedziałam, że mam normalnego męża. Takich rzeczy nie robi się z normalnym mężem. Z normalnym mężem się nie rozmawia.

Ojciec Henry: *Touché.*

Dom szefowej Margaret. Dzień 213. Godzina 9.30.

Szefowa Margaret zostawiła włączone radio w swoim samochodzie patrolowym. Jest u Maureen. Wreszcie udało jej się osaczyć indyka Joe.

Szefowa Margaret: Joe, spokojnie! Ani kroku dalej, Joe, słyszysz? Nie zbliżaj się, nie chcę cię zabić.

Maureen: Proszę strzelać, szefowo! Bez litości.

Szefowa Margaret: Joe, spokojnie! Spokojnie!

Maureen: Uwaga na plecy!

Strzał.

Dziesięć minut później.

Szefowa Margaret dokonuje wezwania przez radio w swoim samochodzie patrolowym.

Szeryf Will: Szeryf Will, policja hrabstwa Nantucket.

Szefowa Margaret: Szeryfie, tu szefowa Margaret.

Szeryf Will: Hej, szefowo, co słyszeć?

Szefowa Margaret: Mam tu pewną sytuację. Potrzebuję posiłków.

Szeryf Will: Nie mów. (krzyczy) Troy, na łódź! Płyniemy na Robin Island! (do szefowej) Co się stało, szefowo?

Szefowa Margaret: Jestem uwięziona. Zostałam zaatakowana...

Szeryf Will: Przez kogo?

Szefowa Margaret: Przez dzikiego indyka. Od kilku dni sieje strach na wyspie.

Śmiech szeryfa.

Szeryf Will: Naprawdę chcesz, żebym płynął na wyspę z powodu indyka, szefowo?

Szefowa Margaret: To nie jest jeden indyk. Teraz są trzy. Są dzikie. Jestem zamknięta w swoim samochodzie. Otoczyły mnie.

Szeryf Will: Więc odpal i przejedź je.

Szefowa Margaret: Nie mogę. Zaatakowały mnie, kiedy wsiadałam do samochodu i kluczyki upadły mi na ziemię.

Szeryf Will: No to strzel do nich, a potem zjedz.

Szefowa Margaret: Rozbroiły mnie.

Szeryf Will: Rozbroiły cię?

Szefowa Margaret: Uderzyły mnie w plecy i straciłam pistolet.

Szeryf Will (śmieje się): Mamy wezwać Gwardię Narodową? Czy myślisz, że sami sobie poradzimy?

Szefowa Margaret: Proszę, szeryfie, byłabym wdzięczna, gdybyś się nie śmiał. Widziałeś *Planetę małp*?

Modulator głosu. Tryb: męczyzna – częstotliwość 11.

Dzień 214. Godzina 14.20.

Dzwoni telefon komórkowy Johna.

John: Tak?

Ja: Cześć, John, mówi Chris Williams.

John: Chris Williams?

Ja: Tak.

John: To ty wydzwaniasz do mnie od kilku dni?

Ja: Tak.

John: Dlaczego używasz modyfikatora głosu? Myślisz, że jestem durniem?

Milczę.

John: Jestem żołnierzem. Poszukam cię, a kiedy cię znajdę, sprawię ci niezły łomot. Za to, że podajesz się za Chrisa Williamsa. Bo ty nie jesteś Chrisem Williamsem. Chris Williams, którego znałem, nie żyje. I wiem, że ty o tym wiesz.

Rozłączam się. Wyjmuję kartę SIM. Niszczę komórkę i młotkiem rozbijam modulator głosu. Wszystko palę.

Łódź Marka. Dzień 215. Godzina 13.50.

Mark: Nigdy mi o sobie nie opowiadałaś.

Ja: Przecież rozmawialiśmy o mnie.

Mark: Opowiadasz mi o swoich córkach i niewiele więcej.

Ja: Bo nie ma nic więcej do opowiedzenia.

Mark: No proszę, Alice... Czuję, jakbym cię nie znał.

Ja: Może tak jest lepiej, co? Łatwiej.

Mark: Nie wiem, może...

Cisza.

Ja: Dobrze. Jedno pytanie, zadaj mi jedno pytanie, jakie chcesz, a ja odpowiem całkowicie szczerze.

Mark: Tylko jedno?

Ja: To jest twoje pytanie?

Mark: Nie, cholera. To się nie liczy, nie...

Śmieję się. On się śmieje.

Ja: Dobrze wybrane pytanie może dać bardzo wiele.

Mark: Dobrze, już... (cisza) A więc... Mam ich tak wiele...

Ja: Na pewno wszystkie tak naprawdę zawierają się w jednym. Matce wszystkich pytań. Znam to z doświadczenia...

Mark: Nie mogę się skoncentrować... Nic nie przychodzi mi do głowy.

Ja: Widzisz?

Mark: Co?

Ja: Może wcale o nic nie chcesz mnie pytać. Może nie mówimy o mnie, bo nie chcesz.

Mark: Może.

Ja: Może mnie nie znasz, bo nie chcesz.

Mark: Może. Ale może nie jestem w stanie się teraz skoncentrować, bo mam wielką ochotę cię pocałować.

Cisza. Słyszę, jak rumienią mi się policzki.

Mark: Właściwie moje pytanie mogłoby być takie: Masz taką samą ochotę mnie pocałować jak ja ciebie? Ale go nie zadam. Przede wszystkim ze strachu, że powiesz, że nie. Tak więc nie, to nie będzie moje pytanie.

Cisza. Słyszę, jak pragnienie chowa się za strachem. Albo odwrotnie.

Mark: Co robisz na wyspie?

Cisza. Słyszę moją ochotę, by rzucić się do ucieczki.

Mark: To jest moje pytanie. To jest pytanie, które za każdym razem chcę ci zadać. Zawsze się zastanawiam, co tobą kierowało, żeby być ze mną tutaj i teraz. Ale przypuszczam, że odpowiedź na to pytanie może się zmieniać każdego dnia, w każdym momencie, bo ja też zadaję sobie to pytanie i odpowiedź prawie zawsze jest inna, bo jest poddawana czemuś tak kapryśnemu i sprzecznemu, jak żądze, frustracje, potrzeby, pustka, strach, pragnienia... Ale skoro jesteś ze mną tutaj i teraz, to ma to związek z jednym: że przeprowadziłaś się na wyspę.

Cisza. Słyszę moją ochotę, by rzucić się w... jego stronę.

Mark: Tak więc powtarzam pytanie: co robisz na wyspie?

Cisza. Słyszę swoje pocałunki.

Od śmierci Chrisa minęło dwieście piętnaście dni. Siedem miesięcy i jeden dzień. I sześć miesięcy i jeden dzień od porodu. Wciąż zastanawiałam się, czy minęło wystarczająco dużo czasu. Wystarczająco dużo czasu na co? Aby nie czuła się tak winna i brudna. Być może dlatego, zanim się pocałowaliśmy, zatrzymałam się odrobinę, czego Mark prawdopodobnie nawet nie zauważył. Ale chciałam, żeby to on wykonał ostatni ruch, zanim spotkają się nasze usta, żeby w przyszłości móc uczynić go odpowiedzialnym za to, co mieliśmy przeżyć. Coś w rodzaju: „To ty zacząłeś!”

Donosiciela, który nagrał tę rozmowę, ulokowałam zaledwie kilka minut wcześniej, korzystając z okazji, że Mark wyszedł na pokład, żeby przynieść chłodzącą się w morzu butelkę białego wina, którego temperatura miała mieć sześć stopni Celsjusza. Według niego taka właśnie jest idealna.

Wolałabym, żeby pierwszy raz nie był tak piękny albo żeby rozmowa, która doprowadziła nas do tego momentu, miała mniejsze znaczenie. Sytuacja też nie była wymarzona. Łódź przycumowana w porcie, my w kabinie w godzinach pracy, z zaciągniętymi zasłonkami, w ciągu dnia, z Ruby i Kucykiem śpiącymi w głównej kabinie. Patrząc wstecz, chyba wolałabym skorzystać z tamtego niestosownego zaproszenia, które otrzymałam w dniu ślubu. Myślę, że czułabym się mniej brudna.

Przed pójściem do jego biura wiedziałam już, co się wydarzy. Dlatego chciałam naładować się argumentami, które by to usprawiedliwiały. Zasłaniać się wymówkami, że to jest część mojego śledztwa. Ryzyko zawodowe. Konieczny krok, żeby stworzyć związek, w którym miałabym nad Markiem władzę. Seks jako waluta wymienna. Pragnienie, potrzeba, władza, chemia, uwiedzenie, strategia. Wszystko naraz się we mnie wymieszało. I im dłużej zwlekałam, by stawić temu

czoło, tym kula śnieżna robiła się większa. „To nie jest usprawiedliwienie, Alice, to jest rzeczywistość. Założysz donosiciela. Potrzebujesz informacji. I dobrze wiem, że nigdy nie zrobiłaś niczego podobnego, bo to do ciebie nie pasuje. Chociaż nie pasowało do ciebie też to, co zrobiłaś, to, co robisz. Zmieniasz się. Przechodzisz w inne miejsce. Ani lepsze, ani gorsze. Inne. Nie osądzaj się, Alice. Rozwijasz się z całym dobrem i złem, jakie to ze sobą niesie. Uczysz się rzeczy, o których nigdy nie myślałaś, że będziesz ich potrzebowała. Uczysz się poznawać siebie poza sobą. I dlatego wcześniej musisz znaleźć Chrisa. To będzie koniec, Alice. To, co masz zrobić, jest tylko jednym ze środków do osiągnięcia celu”.

Z tego pierwszego razu bez wątplenia najbardziej podobało mi się to, że Mark zasnął zaraz po orgazmie. Uznałam, że to znacznie lepsze niż cała reszta. Potrzebowałam tego. Momentu intymności dalekiego od uwodzenia. Komfortu i bliskości. Czucia skóry. Ale oprócz tego, że chciałam zostawić donosiciela, przyszedłam tutaj także po to, by korzystając z każdej sposobności, poszperać w jego aktówce, sprawdzić jego terminarz, dostać się do jego laptopa, żeby znaleźć daty jego wyjazdów do Nowego Jorku, by potem porównać je z datami wyjazdów Chrisa. Wstałam, starając się go nie obudzić. Był przytulony do moich pleców. W ten sposób osiągnęliśmy orgazm. Nie widząc swoich twarzy. Być może ze wstydu. I tak zastygliśmy, na łyżeczkę, ale bez zbyt dużego kontaktu, nie całkiem połączeni. Delikatnie odsunęłam rękę, którą trzymał na mojej talii, założyłam majtki i poszłam do kabiny głównej. Od razu podeszłam do biurka, ale kiedy zobaczyłam wciąż śpiącą Ruby i Kucyka, zostałam spoliczkowana przez rzeczywistość. Wyrzuty sumienia. Chodząc nago po kajucie, czułam się sprośna i brudna. Do tego stopnia, że postanowiłam przerwać misję. „A może chcesz jeszcze raz uprawiać z nim seks i szukasz wymówki?” Chciałam natychmiast opuścić łódź i wziąć prysznic. Była dwunasta w południe. Ciemność wszystko by zatarła. W środku dnia znacznie trudniej było to znieść.

Mark przyszedł w slipkach i koszulce. Wyglądał na równie skruszonego albo nawet bardziej ode mnie. Po raz pierwszy widziałam go tak bezbronno. Widziałam chłopca i mężczyznę. Dobrego i złego. Mądrego i głupiego. Zarozumialca i wrażliwca. Wszystko razem. Wszystko skupione w jego potarganych włosach. Czułam, że w tym momencie mogłabym zapytać go o cokolwiek, a on odpowiedziałby szczerze i bez wahania. Czułam, że chcę się znów z nim kochać, bo tego nie robiłam. Robiłam coś innego, co wydaje się tym samym, ale nie jest tym samym. Coś, co ma związek z tym, co chcesz, żeby ta druga osoba czuła, a nie z twoim własnym pragnieniem.

– Przepraszam, ale wino i seks... – tłumaczył się ze swojej drzemki po orgazmie.

„Nie przejmuj się, to typowo męskie zachowanie. Prawie tak samo, jak bycie niewiernym żonie”. Ileż złości. Wobec niego, wobec Chrisa (bo wyobrażałam go

sobie w podobnej sytuacji) czy wobec siebie samej?

– Nic się nie stało – odparłam tylko.

Ruby zaczęła kwękać, gdyż wyczuła, że chcę uciec, nie mówiąc ani słowa więcej. Dzięki, malutka.

Na marginesie I: Indyk Joe został powalony trzema strzałami po okrutnym obłączeniu. Maureen nagrała to smartfonem, wrzuciła na YouTube i filmik od razu stał się hitem Internetu. Mówiono o tym we wszystkich wiadomościach telewizyjnych i pisano w gazetach. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami z Massachusetts oskarżyło szeryfa Willa o okrucieństwo wobec zwierząt, chociaż mało brakowało, a straciłby oko.

Na marginesie II: Potwierdziło się, że John nie tylko był na uniwersytecie w tym samym czasie, co Chris, lecz także to, że go znał. Jak się dowiedział, że Chris zmarł? Zastanawiałam się – nie znajdując na razie pomysłu – jak mogłabym nadal iść po tej nitce do kłębka w czasie, kiedy John następne cztery miesiące miał spędzić na pokładzie łodzi podwodnej praktycznie odizolowany od świata.

Dni 216–226. Rok I p.Ch.

Umieszczenie donosicieli wytrąciło mnie z równowagi. Nie mogłam słuchać, ogłuchłam. Gwałtowny wzrost poziomu hałasu powodował intensywny gwizd w uchu, który wszystko blokował. Otworzyłam sobie nieskończoność dróg, które jednak oddalały mnie od konkretów. Od małego konkratu, który zdobyłam do tamtej pory: papierowej torebki z próbką DNA Stephena.

Otworzyłam przeglądarkę internetową i wpisałam w Google'u: „Test na ojcostwo Massachusetts”. W niespełna sekundę pojawiło się siedemset osiemdziesiąt tysięcy wyników. Znow kliknęłam na pierwszy, który nie był sponsorowany. Obiecywali wszelkiego rodzaju rozwiązania na wszelkiego rodzaju przypadki za cenę czterystu dolarów. Rzuciwszy okiem na stronę, zauważyłam sekcję: rozwiązania w przypadku osoby zmarłej lub zaginionej. Kliknęłam. Otworzyło się nowe okienko, w którym pokazano różne opcje pozwalające sprawdzić, czy dwie osoby łączy jakiś stopień pokrewieństwa. Na tej samej stronie była zakładka informująca o lokalizacjach: „Znajdź najbliższą placówkę”. Poszukałam.

Mimo że laboratorium genetyczne mieściło się w Hyannis, postanowiłam z czystej przezorności wybrać bardziej odległe, w Mashpee, znajdujące się ponadto w pobliżu gabinetu psycholożki mojej córki, tak więc mogłam pójść tam podczas terapii Olivii.

Było bardzo dyskretne. Szyld głosił: Laboratorium Badań Klinicznych. Nie było niczego, co zwracałoby uwagę i mogło spłoszyć potencjalnych klientów, szukających prywatności, i coś mi mówiło, że wszyscy byli za to wdzięczni tak samo jak ja. Mimo to, zanim weszłam, poczułam lekką arytmie połączoną z bólem głowy, jakby w środku znajdowały się biura FBI, SWAT i opieki społecznej, chcącej odebrać mi córki. W najlepszym razie. Ale nie, była tam tylko przemiła recepcjonistka, która musiała zauważyć moją przestraszoną twarz i to, że chciałam załatwić sprawę jak najszybciej.

Po wypełnieniu formularza przekazałam jej dwie próbki, które miałam ze sobą: jedną Stephena, a drugą Chrisa. Przeglądałam jego pudła z ubraniami w poszukiwaniu włosa. Ale nie mógł to być byle jaki włos – musiał być z cebulką (czytałam o tym). Chris miał krótkie jasne włosy, łatwo rozpoznawalne. Gorączkowo sprawdzałam pod lupą wszystkie jego czapki i sportowe ubrania, które przechowywałam. Nic. Aż znalazłam gumę do żucia przyklepioną do jego krótkich spodenek do gry w tenisa. „Porażka ma gorzki smak – mawiał Chris. – To nie jest utarty zwrot, tylko przeklęta rzeczywistość. Kiedy przegrywam, zaczynam czuć w ustach smak mętnej wody. Nie cierpię tego. Pewnego razu podczas jednego z meczów przegrałem pierwszego seta i przegrywałem w drugim 2:5. Wśród publiczności siedział chłopiec żujący gumę. Poprosiłem go o jedną, bo naprawdę

nie mogłem już dłużej wytrzymać, i chłopiec dał mi gumę o smaku pikantnego cynamonu. Nie cierpiałem tego smaku, ale w tamtym momencie napiłbym się nawet benzyny, byle tylko pozbyć się ohydneho posmaku w ustach. I co się stało? Odwróciłem losy meczu i wygrałem 3:6, 7:5, 6:1. Oczywiście od tamtej pory uzależniłem się od gumy o smaku pikantnego cynamonu i zawsze podczas meczów miałem w kieszeni jedną – jako talizman – i kiedy przegrywałem, kiedy katastrofa była blisko, wkładałem ją do ust. Pewnie, że nie zawsze działało. Gdyby tak było, zostałbym numerem jeden na świecie. Ale ta guma wybawiła mnie z niejednego kłopotu”. A teraz ta przeżuta i zaschnięta guma leżała na ladzie w laboratorium w zamkniętej plastikowej torebce. Recepcjonistka patrzyła na nią skonfundowana.

– A zatem chce pani wiedzieć, czy patyczek jest ojcem gumy. – Roześmiała się. – Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać.

Ja też nie mogłam powstrzymać śmiechu.

– W filmie to byłby znakomity pomysł. Ale w prawdziwym życiu...

– W prawdziwym życiu też da się to zrobić. Ale wymaga kilku dodatkowych kroków i szczególnej metody. Trzeba to wysłać do CSI, ale do Las Vegas, bo są znacznie lepsi niż ci z Miami czy Nowego Jorku, którym nie ufam. – Znów się roześmiała. A ja razem z nią. – Przepraszam, przepraszam... Ludzie, którzy tutaj przychodzą, są bardzo dziwni i przysięgam ci, że przynoszą jeszcze bardziej nieprawdopodobne rzeczy. A trzeba ich traktować bardzo poważnie. Pewnego razu przyszedł pan, żeby zrobić test na ojcostwo. Kiedy poprosiłam go o próbki jego rzekomego dziecka, wyjął zasraną pieluchę, położył ją na ladzie i powiedział: „Chcę wiedzieć, czy to dziecięce gówno jest mojego syna...”. I takich historii mogłabym pani opowiedzieć tysiące. Czego człowiek się nie naogłada...

Później wróciła do sprawy, z którą przyszłam, i powiedziała, że z próbką śliny nie będzie problemu, ale guma to już inna sprawa. O wiele droższa i wynik może się okazać niejednoznaczny. Wtedy powiedziała mi coś, co sprawiło, że poczułam się jak idiotka.

– Zobaczmy, rozumiem, że skoro przyniosła pani gumę do żucia, to dlatego, że nie może pani w żaden inny sposób zdobyć niczego solidniejszego do wykonania testu. Ale – zawahała się – jeśli chce pani wiedzieć, czy guma jest synem próbki śliny, to jest coś o wiele prostszego. Czy guma ma syna albo córkę? Ponieważ test na ojcostwo zawsze można wykonać między dziadkami a wnuczkami. I jeśli będzie pozytywny, to w naturalny sposób łączyłoby to gumę z próbką śliny. Dlatego pytam, oczywiście nie mając najmniejszego zamiaru się wtrącać. – znowu wahanie. – Czy guma ma dziecko, od którego można pobrać próbkę śliny?

Ruby się zaśmiała. Ja nie. Już chciałam jej powiedzieć, że nie, że guma nie ma dzieci (choć jedno z nich miałam ze sobą w nosidelku), żeby nie doznać upokorzenia. Ale nie, poddałam się, a ona pobrała próbkę śliny od Ruby. Jeszcze

jedna historyjka, którą będzie mogła opowiedzieć innym klientom.

Na wyniki czekało się od trzech do czterech tygodni i miałam je otrzymać poufnie przez kuriera.



Od prawie czterech miesięcy mieszkaliśmy na Robin Island i niemal udawało mi się trzymać swoją matkę na dystans, starając się, by zrozumiała, że nie mogę przyjeżdżać z wizytą w każdy weekend. Przynajmniej na początku. Że potrzebowałam poczucia, że zaczynam od zera. Że potrzebowałam niezależności. Ale oczywiście mojej matce to wszystko nie mieściło się w głowie. Tak więc kiedy przyjechałyśmy do Providence w Wigilię Bożego Narodzenia i weszłam do ogrodu – który wyglądał przepięknie ze świętym mikołajem w załadowanych prezentami saniach, zaprzężonych w renifery, które wspinały się po fasadzie – musiałam znieść całą masę wyrzutów, podczas gdy Olivia aż trzy razy liczyła renifery. („Tak, Oli, dziewięć, zawsze jest ich dziewięć”).

– Ja, córeczko, naprawdę tego nie rozumiem. Ani ja, ani nikt. – Podniosła głos. – George, prawda, że ty też nie rozumiesz?! Siedzisz tam sama, pośrodku niczego... Co my ci zrobiliśmy? Czuję się fatalnie, córeczko, jakbym była winna tej tragedii. Jakbyśmy ci przeszkadzali... Nie wiem, zostawiłaś nas w taki sposób... Nic ci wtedy nie mówiłam, bo rozumiem i szanuję twoją stratę i twój ból. Ale minął już kawał czasu, odkąd wyjechałaś. I wciąż jesteś zamknięta w sobie, a ja coraz bardziej się zamartwiam. Nie śpię po nocach. – Znów podniosła głos. – Prawda, że nie śpię, George?! My też bardzo przeżyliśmy tę stratę. Był dla nas jak syn. Prawda, George?! Płakaliśmy po nim i nadal to robimy, i modlimy się za niego i za ciebie oczywiście też. Bo nie chcę stracić także ciebie, córeczko. W takich chwilach człowiek musi szukać oparcia w swoich najbliższych. A jesteśmy nimi, czyż nie? To znaczy twoimi najbliższymi? Bo czasem w to powątpiewam. I dlaczego wróciłaś do swojego nazwiska?

– To nie jest moje nazwisko, to jest nasze nazwisko.

– Nie rozumiem dlaczego. Będzie się wydawać, że wyrzekłaś się nazwiska swojego zmarłego męża.

– Komu będzie się tak wydawać, mammo?

– Ludziom, twojej rodzinie, rodzinie Chrisa, wszystkim, którzy dzisiejszego wieczoru usiądą tutaj przy wigilijnym stole.

– A tobie, czy tobie będzie się tak wydawać, mammo?

– Trochę tak, córeczko, nie będę cię okłamywać. Trochę tak. – Popatrzyła na mojego ojca montującego dodatkowy stół, przy którym mieliśmy posadzić dzieci. Naskoczyła na niego: – A ty nic nie powiesz? Mam dosyć bycia zawsze tą złą. Umówiliśmy się, że oboje ją przekonamy, że to jest jakieś wariactwo i że musi wrócić do domu. A ty nic, tylko siedzisz tam jak jakiś głupek...

Ojciec przerwał to, co robił, i popatrzył na nią z poważnym wyrazem twarzy. Nie agresywnie, ale dostojnie, z szacunkiem, niczym profesor literatury, który ma zamiar mówić o Szekspirze.

– Marie.

– Tak, tak mam na imię. Już myślałam, że o tym zapomniałeś, bo nigdy tak się do mnie nie zwracasz.

Podszedł do niej.

– Bardzo cię kocham, Marie.

Pocałował ją w czoło. Odwrócił się i kontynuował swoją pracę. Moja matka się wzruszyła; została całkowicie udobruchana.

– Widzisz? Za takie rzeczy wszystko mu wybaczam. Za takie rzeczy jestem w nim zakochana już od prawie pięćdziesięciu lat. Niegodziwiec, gorszy niż niegodziwiec.

– Ach, a zatem to wystarczy, żeby cię udobruchać?

Podeszłam do matki, naśladując ojca. Pocałowałam ją w policzek.

– Mamo, ja też bardzo cię kocham.

– Nie, w twoim przypadku to nie zadziała... – Jednak zanim zdążyła skończyć zdanie, po jej policzkach już płynęły łzy. – Tak, oczywiście, że działa. Widzisz, jak niewiele wystarczy, żeby mnie zadowolić? Niegodziwcy. Oboje jesteście niegodziwcami.

Wysłałam pobiegać. Chciałam przewietrzyć się po tyradzie mojej matki i przy okazji zmienić kartę pamięci w kamerze Bushnell Trophy Cam, która była zakamuflowana na cmentarzu. Dziewięć tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt dwa nowe zdjęcia w niewiele ponad cztery miesiące. Miałam już co robić podczas świąt.

Myślałam, że przeszła mi już awersja do szczerych i pełnych ubolewania rodzinnych kondolencji. Że mieszkając daleko przez tyle czasu, nie będę się przed niczym bronić. Że pozwoliłabym, a nawet byłabym wdzięczna za opiekowanie się mną w tych trudnych momentach. Jednak kiedy po wyjściu spod prysznicza przez okno w swoim pokoju zobaczyłam podjeżdżającego minivana z moją babcią, Brigitte, trzema wujkami, trzema kuzynami i ich czworgiem dzieci, zdałam sobie sprawę, że nie, jeszcze nie byłam przygotowana na wylewne serdeczności i troskę. Święta Bożego Narodzenia i pobyt w Providence sprawiały, że brak Chrisa stał się jeszcze bardziej dojmujący.

Przed zejściem na kolację zaspokajałam swoje pragnienie, by wracać na Robin Island, sprawdzając zdjęcia z kamery na cmentarzu (niczego nie znalazłam) i po raz czwarty odsłuchując rozmowę Marka i Julii z tego południa. Znałam ją już prawie na pamięć.

Julia: Co robisz?! Co ty robisz?!

Julia z trzaskiem zamyka klapę laptopa.

Mark: Byłem ciekaw. Mówisz, że niczego nie piszesz, a słyszę, jak całymi wieczorami stukasz w klawiaturę.

Julia: Stukanie w klawiaturę to nie pisanie. Każdy może stukać w klawiaturę. A pisać nie. Jeśli jesteś ciekaw, to poproś.

Mark: Na coś by się to zdało?

Cisza.

Mark: Przeczytałem niewiele, ale bardzo mi się podoba to, co napisałaś, przepraszam, wystukałaś w klawiaturę.

Cisza.

Mark: Czytanie tego sprawiło mi ból, zmieniło postrzeganie wielu rzeczy, ale właśnie dlatego wiem, że to, co piszesz, jest bardzo dobre.

Cisza.

Mark: Bardzo mnie poruszyło, że głównym bohaterom nadałaś imiona Paul i Samantha.

Julia: Nigdy w życiu nie okazałaś mi braku szacunku w taki sposób.

Mark: Pamiętasz, co ci powiedziałem, kiedy się poznaliśmy, kiedy przyszedłaś do gabinetu z bolącym zębem? Zapytałem cię, czy wiesz, dlaczego zawsze upieramy się, żeby być z niewłaściwą osobą?

Cisza.

Mark: Może my jesteśmy niewłaściwymi dla siebie osobami. Ja twoją. A ty moją.

Cisza.

Mark: Tamtego dnia powiedziałaś mi też, że nie lubisz, kiedy inni robią ci krzywdę, a ja ci powiedziałem, że też nie lubię ani robić jej komuś, ani żeby robiono ją mnie. Jednak teraz nie jestem już taki pewien, czy nawzajem nie wyrządzamy sobie krzywdy. Może nie jestem twoim Paulem. Ani ty moją Samanthą.

Cisza.

Mark: To niebywale, jak wszystko obróciłaś o sto osiemdziesiąt stopni. Wygląda na to, że to ja jestem odpowiedzialny za tę gównianą sytuację... Chcesz, żebym się wyprowadził? Chcesz, żebyśmy się rozwiedli? Powiedz mi, co chcesz zrobić. Powiedz cokolwiek, tylko przestań milczeć, bo to jest nieznośne. Od zbyt długiego czasu to jest nieznośne...

Cisza.

Mark: Przynajmniej dzisiaj pokaż inną twarz. Tylko dzisiejszego wieczoru. Do momentu, aż nie wyjdą twoi rodzice, żeby nie zasypali cię gradem pytań. Będziemy udawać, że jesteśmy względnie szczęśliwym i stabilnym małżeństwem. Tylko jeden wieczór. Dobrze?

Cisza.

Julia: Dobrze.

Rozmowę tę słyhać było z daleka. Odbywała się w gabinecie Julii, a wychwycił ją donosiciel z sypialni. Przez wiele dni wydawało mi się, że nie działa, bo nie wyłapywał głosów, lecz jedynie sporadyczne hałasy. Aż zdałam sobie sprawę, że Julia nie dzieli z Markiem sypialni. Każdej nocy spała na sofie w swoim gabinecie, wcześniej stukając w klawiaturę przez trzy albo cztery godziny niemal bez przerwy. Wydawało się, że raczej ucieka, niż pisze. O tym powiedział mi Mark.

Wyjazd do Providence kilka dni po tym, gdy poszłam do łóżka z Markiem, wykluczył możliwość kolejnego spotkania i umocnił mnie w przekonaniu, że było to tylko jednorazowe zdarzenie, które już nigdy więcej się nie powtórzy. Dziеляcy nas dystans pozwoli mi uzmysłowić sobie, że było to niebezpieczne, nierozważne i nie na miejscu. Nie chciałam być kochanką żonatego mężczyzny. No dobrze, to jeszcze mogłabym tolerować, mogłabym się poświęcić dla sprawy. Jednak niedopuszczalne było zakochanie się w żonatym mężczyźnie. Nie mogłam na to pozwolić. Chociaż w rzeczywistości bez względu na to, jak bardzo się starałam, nie potrafiłam wyrzucić go z głowy. Nie chodziło jednak o aspekt miłosny czy romantyczny. Na to nie byłam jeszcze gotowa. Po prostu był obecny. Przytwierdzony.

A teraz jeszcze ta dyskusja z Julią. Cieszyłam się, że wpłynęłam na Marka i zainteresował się powieścią (to niesamowite uczucie wiedzieć, że pociąga się za sznurki), ale jednocześnie zaskoczyło mnie (zirytowało?) to jego zbliżenie, choć niezdarne, do żony.

Olivia weszła do pokoju bardzo blada i zmęczona, ściskając Śmierdzącego Misia.

– Mamusiu...

Kucyk wszedł pod łóżko, przepraszając, że żyje.

– Co się dzieje, Oli?

– Jest mi niedobrze. Czy Ziemia się kręci?

Wzięłam ją na ręce, posadziłam na kolanach i dotknęłam policzkiem jej czoła. Było rozpalone.

– Ziemia kręci się bez przerwy, kochanie.

– Tak, ale teraz bardziej.

– Nie, kręci się tak jak zawsze.

– Nie, tutaj kręci się szybciej niż na wyspie.

Położyłam ją na łóżku i sama ułożyłam się obok niej. Mogłabym tak zostać przez całą noc.

– Przywitałaś się z kuzynami?

– Tak, jest ich czterech.

– Dlaczego lubisz wszystko liczyć?

– Bo numery nigdy się nie gubią.

- Jak to się nie gubią? Co masz na myśli?
- Nadaję numery rzeczom, żeby sobie nie poszły.
- A dokąd miałyby iść?
- Nie wiem, w inne miejsce. Jeśli nadam im numer, zostaną.
- Ludzi też liczysz?
- Pewnie. Każdy ma swój numer.
- A ja jakim jestem numerem?
- Ty? – „Numerem jeden, powiedz mi, że jestem numerem jeden, córeczko, proszę cię. Potrzebuję tego”. – Ty jesteś numerem cztery, mamusiu.
- Jak to numerem cztery?!
- Tak, bo kiedy się urodziłam, najpierw zobaczyłam lekarza, potem dwie pielęgniarki, potem tatusia i potem ciebie.
- Zaczęłaś liczyć zaraz po urodzeniu?
- Nie, co ty, niedawno pokazałaś mi wideo z moich narodzin, nie pamiętasz?
- Ach, tak, to prawda... Ale w takim razie powinnam być numerem pięć. Lekarz, dwie pielęgniarki, tata i ja. Jestem piąta. Numer pięć.
- Nie, bo tatusia już nie ma. Nie zdążyłam go policzyć i został bez numeru.

Kiedy już miałam jej wytłumaczyć, jak ważne jest przyznanie numeru jej ojcu i że prawdopodobnie powinien to być numer jeden, zwymiotowała na łóżko. Zabrałam ją do łazienki, żeby tam pozbyła się reszty, i kiedy przytrzymałam jej głowę, pomyślałam, że ja robię to samo, co ona. Od śmierci Chrisa liczyłam prawie wszystko i też nie przyznałam mu żadnego numeru. Na mojej liście podejrzanych on powinien być numerem jeden. Albo zero.

Przed zejściem na kolację, kiedy Olivia wreszcie zasnęła w moim łóżku – po uprzedniej zmianie koca – pomyślałam o tym, że się myliłam, że problem nie tkwi w nadaniu Chrisowi numeru (ani przez nią, ani przeze mnie), lecz w tym, żeby przestać wszystko liczyć. Jednak z uwagi na aktualną sytuację nas obu odrzuciłam tę konstatację na ósmym z czternastu stopni, które składały się na schody.



W moim pokoju stało też łóżko rozkładane, na wypadek gdyby któraś koleżanka chciała zostać na noc, chociaż zawsze myślałam, że będzie ono dla mojego braciszka, który nigdy się nie pojawił. Bardzo pragnęłam mieć brata albo siostrę. To było coś, co odgrywało kluczową rolę przy poczęciu Ruby. Zawsze brakowało mi w domu kogoś jeszcze. Kogoś, kogo mogłabym uczyć (może dlatego zostałam nauczycielką), z kim mogłabym dzielić się sekretami, zabawkami, z kim mogłabym się kłócić i przeżywać małe wielkie codzienne przygody. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nie byliśmy wielodzietną rodziną, jak ta w *Dźwiękach muzyki*, zważywszy, że moja mama była gospodynią domową o tradycyjnym podejściu do życia. W dzieciństwie, kiedy ciągle pytałam o to, dlaczego nie mam braciszka,

moja matka się uśmiechała i mówiła, że jestem tak idealna, że nie ma już potrzeby szukać kogoś więcej. Kiedy dorosłam, przeczuwałam, że musiało mieć to związek z przedwczesną menopauzą mojej matki, bo gdy dostałam pierwszą miesiączkę, mając jedenaście lat, ona nie miała w domu podpasek. Wtedy nie zwróciło to mojej uwagi, ale mijały miesiące i lata, a ja zawsze byłam jedyną osobą w naszym domu, która używała tych rzeczy. Słowa „jesteś idealna” siedziały mi w głowie, a raczej zostały do niej wbite. Przypuszczam, że przez całe życie starałam się sprostać wszystkim wymaganiom, być podwójnie dobra. Znać tyle, ile dwoje dzieci. A teraz ta dziewczynka, która chciała dokonać niemożliwego i podwójnie otrzeć się o perfekcję, popełniała przestępstwo, leżąc ze słuchawkami w uszach w swoim łóżku razem ze śpiącymi dwiema córkami i psem, słuchając przez komórkę nowej rozmowy Marka i Julii.

Julia: Masz. Czytaj.

Szelest kartek. Cisza.

Mark: Jesteś pewna?

Julia: Nie.

Mark: Bardzo mi przykro z powodu tego, co zrobiłem.

Julia: Mnie nie. Już samo to, że zadałeś sobie sporo trudu, by rozszyfrować hasło do mojego laptopa, wydało mi się piękne.

Mark: Data twoich urodzin. Dziewiąty dzień siódmego miesiąca siedemdziesiątego dziewiątego roku. Zbyt łatwe. Powinnaś zmienić na coś bardziej wyszukanego. Mniej oczywistego. Na przykład zamiast dziewięć siedem siedem dziewięć zrobić na odwrót: dziewięć siedem siedem dziewięć.

Śmiech Julii. Śmiech Marka.

Julia: Gdzie byłeś?

Mark: A ty?

Julia: Naprawdę podobało ci się to, co przeczytałeś?

Mark: Bardzo.

Cisza.

Julia: Możemy udawać jeszcze przez chwilę?

Mark: Co udawać?

Julia: Że jesteśmy względnie szczęśliwym i stabilnym małżeństwem.

Mark: Już wszyscy poszli, nie trzeba.

Julia: Owszem, trzeba.

Cisza. Pocałunki.

Ciała opadają na łóżko.

Jęki i sapanie.

Czułam dumę, a zarazem wstręt. Dumę, ponieważ częściowo spowodowałam ten rozejm. A wstręt z powodu tego, że zrobiłam to, co zrobiłam, a na dodatek poczułam zazdrość. W tej chwili postanowiłam, że nigdy więcej nie pójde

z Markiem do łóżka. Było to pierwsze postanowienie z wielu, które poczyniłam.

Wiedziałam, że w salonie spotkam ojca siedzącego w swoim fotelu obok barku, w ciszy, samego, z szeroką szklanką whisky bez lodu. To były jego chwile. Cisza była prawdopodobnie jedną z rzeczy, które sprawiały mu największą przyjemność. W dzieciństwie, kiedy budziłam się z powodu jakiegoś koszmaru i schodziłam na dół, widziałam ojca siedzącego w fotelu, oświetlonego bardzo słabym światłem stojącej obok starej lampy, tyłem do mnie, nieruchomego, wpatzonego w ciemność za oknem, i to mi wystarczyło, żeby się uspokoić. To sprawiało, że czułam, iż wszystko jest na swoim miejscu, w porządku, i mogłam wracać do łóżka, nie zamieniając z nim ani słowa. Tej nocy potrzebowałam jednak czegoś więcej.

Usiadłam na sofie, zwinęłam się i przykryłam patchworkowym wełnianym kocem, uszytym przez moją matkę.

– Trzymaj. – Ojciec podał mi szklaneczkę whisky jak lekarz przepisujący coś pacjentowi, któremu nie mogło nawet przyjść do głowy, żeby zapytać, co to takiego. Po prostu to bierze i kropka. – Jeszcze nie spróbowałem.

Mój ojciec lubił czuć, że ma kontrolę, że nie ulega emocjom ani potrzebom chwili. Lubił mieć przed sobą coś, czemu trudno się oprzeć, jak ta osiemnastoletnia whisky single malt, i czuć, że może nad nią dominować. Był najbardziej cierpliwą osobą, jaką znałam. Gdyby było inaczej, prawdopodobnie nie mógłby znieść tej tykającej bomby zegarowej, jaką była moja matka. A może właśnie dlatego, żeby ją zaakceptować, musiał stać się mistrzem zen.

Zaczekałam, aż naleje sobie szklaneczkę. Wtedy wzniosłam do góry swoją i się napiłam.

– Jesteś bardzo nieobecna, córeczko.

– Nie jestem nieobecna. Jestem zamknięta w sobie, tak jak ty.

– To właśnie mówię, kiedy chcę, żeby zostawiono mnie w spokoju, a w rzeczywistości jestem nieobecny. Tak jak ty... Pamiętasz, kiedy zdechł nasz pies Jack?

– Niezbyt dobrze, byłam bardzo mała. Ile wtedy miałam? Cztery lata?

– Chyba tak. Przez wiele dni byłaś smutna. Nie chciałaś nawet bawić się z Jill, bo bałaś się, że z nią stanie się to samo.

– Tak, coś sobie przypominam.

– Wiesz, jak sobie z tym poradziłaś?

Pokręciłam głową.

– Malując. Podarowałam ci twój pierwszy zestaw akwareli. Sama nauczyłaś się ich używać. Wiesz, co namalowałaś jako pierwsze?

– Portret Jacka – przypomniałam sobie natychmiast. Uśmiechnęłam się. – Tato, zaraz, zaraz: porównujesz Chrisa do psa? Chcesz, abym podarowała Olivii zestaw akwareli, żeby namalowała portret swojego ojca?

Powiedziałam to bez żadnej złośliwości, ale wydawało się, że mojemu ojcu nie spodobało się, że trywializuję. Może dlatego, że zawsze bardzo starannie wybierał moment, kiedy decydował się mieszać do moich spraw.

– Nie porównuję Chrisa do Jacka. Ani nie mówię, że Olivia potrzebuje akwareli. Chcę ci tylko powiedzieć, że uważam, że Olivia potrzebuje czegoś, co będzie ją tak pasjonować, jak ciebie malowanie. I że prawdopodobnie jest to coś prostego, coś, co jest w zasięgu twojej ręki. Daj jej to, tak jak ja dałem tobie akwarele.

Wtedy wziął pierwszy łyk swojej whisky i uśmiechnął się, dostrzegając moje łzy.

Dni 228–230. Rok I p.Ch.

Wracając na Robin Island, jeszcze z głową jak bęben i litanią wyrzutów mojej matki, która uważała, że byliśmy zbyt krótko, zatrzymałam się w sklepie detektywistycznym Night Eyes. Zostawiłam w samochodzie Olivię z iPadem, który przyniósł jej święty mikołaj – w ten sposób wywiązałam się z obietnicy.

– No, ulubiona blondyneczka! Co sprowadza tutaj? – Wylewność Antonia i jego angielski z błędami były tyleż pokrzepiające, co kompletnie niestosowne w miejscu, w którym powinna dominować dyskrecja.

Minął prawie miesiąc od czasu, kiedy rozlokowałam dziewiętnaście donosicieli. Dobra wiadomość: żadnego incydentu, który mógłby mnie zdradzić. Zła wiadomość: nie zrobiłam dużych postępów w moich śledztwach („Dlaczego używasz liczby mnogiej, skoro to jest tylko jedno śledztwo? Bo jest tylko jedno, prawda, Alice?”). Zawsze odnosiłam wrażenie, że donosiciele w rzeczywistości były żołnierzami gotowymi poświęcić się dla swoich starszych braci. Te, które jako pierwsze schodzą z pokładu, idą przodem i wykonują brudną robotę. Oczywiście, że jakiś mógł doświadczyć chwały i zakończyć swoją misję z honorami, jednak większość działała tylko po to, żeby oczyścić teren, a na koniec paść podziurawiona od kul. Donosiciele były moim sposobem na zyskanie pewności siebie, na pokazanie samej sobie, że mogłam dostać się do domów ludzi z czymś maleńkim, łatwym do umieszczenia i prawie niemożliwym do znalezienia. Bo dobrze wiedziałam, jaki jest mój prawdziwy cel. Było nim nie tylko słuchanie. Było nim słuchanie i oglądanie. Potrzebowałam kamery szpiegowskiej.

– Cześć, Antonio. Potrzebuję widzieć.

– Wiem. Jesteś całkowicie ślepa, bo nie widzisz mojej urody.

– Kamera, Antonio. Chcę kamerę.

– Ach, siła obrazu. To nie mieć żadnego porównania.

Ruby zaczęła kwękać, nie dlatego, że chciała poprzeshkadzać, ale by mi przypomnieć, że nadszedł czas karmienia. Była jak zegarek. Kolejna, w której rozwijał się ZOK?

– Marudna dziewczynka – powiedział Antonio. – Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Jest głodna, to pora karmienia. Już, zaraz, kochanie. – Uspokajałam Ruby, kołysząc ją w ramionach, i zajmowałam się swoją sprawą. – Potrzebuję kamery typu pinhole, bezprzewodowej, z zewnętrznym akumulatorem, czujnikiem ruchu i przekazującą sygnał jako streaming, o zasięgu ponad jednego kilometra.

– No, no, no... Widzę, odrobiłaś lekcje, blondyneczka...

– Mieć dobrego nauczyciela – powiedziałam, naśladując jego sposób mówienia.

– Obym ja nauczyć się angielski tak szybko, jak ty szpiegować.

Kiedy Ruby się zorientowała, że matka nie spełnia jej życzenia, zaczęła się dopominać coraz głośniej. Miałam na sobie specjalną koszulkę do karmienia piersią z poziomym rozcięciem, które umożliwiało jej dyskretne rozchylenie. Krótko mówiąc, operacja była szybka i prosta. Ruby w mgnieniu oka została przystawiona do piersi. Niemożliwe było, aby Antonio mógł cokolwiek zobaczyć, ale oczywiście puścił wodze fantazji.

– Trzecie spotkanie i już pokazujesz piersi. Może trochę za szybko, blondyneczka... – powiedział ze wzrokiem utkwionym w moją pierś, której nie widział.

Zaśmiałam się.

– Kamera, Antonio...

– Ach, jasne, blondyneczka. Ile chce wytrzymały baterie?

– Czy ja wiem... Całe życie?

– Tak samo jak ja, żeby trwać ten moment...

Antonio nie pytał mnie, po co mi kamera, ani nie żartował na ten temat. Nauczył się, żeby za bardzo nie nadużywać zaufania. Zadał mi tylko proste pytania, na które mu odpowiedziałam. Spędziłam wiele godzin w Internecie, szukając kamery, porównując ich marki i modele. Wiedziałam, czego potrzebuję, ale chciałam też, aby ktoś mi doradził, doprowadził do perfekcji mój pomysł. Wewnętrzna czy zewnętrzna? Wewnętrzna. Odległość między kamerą a odbiorcą sygnału? Co najmniej pięć kilometrów. Otwarta przestrzeń czy ze ścianami? Ze ścianami. Z dźwiękiem? Tak. Rodzaj światła? Każdy, żeby się dostosowywała. Cena? Nie gra roli.

Ze wszystkich modeli kamer, które mi pokazał – a było ich wiele – przede wszystkim po to, żeby przekonać się, czy uda mu się dostrzec moją pierś w chwili nieuwagi Ruby, najbardziej spodobała mi się (znajdująca się już wcześniej na mojej liście) minikamera IP z soczewką typu pinhole. Kąt widzenia 90 stopni i matryca CMOS o rozdzielczości 626x582 piksele. Aktywuje się po wykryciu ruchu i nawet przez rok może pozostać w trybie *standby* z baterią litową o napięciu 3,7 wolta. Z trybem nocnym. Była tak mała, że dawała się schować w każdym przedmiocie (to podstawowa właściwość, biorąc pod uwagę moje potrzeby). Miała wbudowany minikomputer, by łączyć się z Internetem poprzez stały adres IP. Pozwalała na oglądanie w czasie rzeczywistym tego, co działo się w danym miejscu, nawet jeśli człowiek znajdował się tysiące kilometrów od niej. Miała też funkcję nagrywania. Można ją było kontrolować z wielu różnych urządzeń. Cena: pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów. Na razie chciałam tylko jedną. Ale Antonio zaproponował mi zniżkę na drugą. „Jedna kamera nigdy wystarczyć. Kamery jak oczy. Potrzeba dwóch, żeby widzieć lepiej cudowne dziewczyny jak ty”. Tak więc kupiłam dwie. Zrobiłam sobie bożonarodzeniowy prezent.

Zanim zapłaciłam – Ruby była już najedzona – zapięłam koszulkę.

Wyobraziłam sobie, jak Antonio sprawdza nagrania z monitoringu w sklepie i stara się wyłapać na obrazie mój sutek. Nie obchodziło mnie to, dopóki miałam zapewnioną jego lojalność, zrozumienie i milczenie.



Zjechałyśmy z promu, przejechałyśmy obok totemu i twarz Olivii odzyskała zdrowy kolor. Zaróżowione policzki niczym z kreskówki znów stały się oprawą jej uśmiechu. Odczytałam to jako dobry znak, znak, że już traktuje wyspę jak swoje miejsce, że tęskni za domem, za swoimi sprawami i za Oliverem – zawsze ten Oliver. Być może źle się czuła w Providence, ponieważ tam wszystko za bardzo przypominało jej o ojcu. Teraz musiałam tylko sprawić, żeby przestała liczyć wszystkie przeklęte rzeczy na świecie.

Zanim wróciłyśmy do domu, zjadłyśmy obiad z Miriam w Le Cafe. „Stęskniłam się za tobą, sąsiadko”, powiedziała. „A ja za tobą”, odparłam, bardzo się ciesząc, że naprawdę tak czułam. Upewniwszy się, że będzie mi towarzyszyć na kolacji z okazji czterdziestych piątych urodzin Karen, z udziałem tylko kilku jej przyjaciółek i brata (tak, kolejna pułapka), wstąpiłam do sklepu żelaznego Dana DeRollera, żeby odebrać zamówienie, które złożyłam mu przez telefon: listwy do podobrazia 60x40, szpulę o wymiarach 2,10x10 metrów tkaniny lnianej w naturalnym kolorze (trochę grubszej niż ta, której zazwyczaj używałam) i dwa opakowania farb akrylowych do gruntowania płótna. Lubię sama przygotowywać podobrazia. Jest to rytuał poprzedzający malowanie, być może po to, żeby uwolnić się od strachu przed pustką, przed stawieniem czoła czystemu płótnu. Nawet gruntowałam je, pokrywając dwiema lub trzema warstwami jasnego szarego koloru. Biel wyprowadzała mnie z równowagi, oślepiała i blokowała.

Nie miałam zamiaru namalować obrazu. A w zasadzie tak, z tym że ten obraz później miał się przeistoczyć w dekoracyjny zegar. Kupiłam przez Internet (to, owszem, mogłam zrobić tą drogą) wszystko, co niezbędne do wykonania zegara ściennego: mechanizm kwarcowy z wahadłem bez kuranta, zestawy wskazówek, sekundnik i rzymskie cyfry.

Zrobiłam wiele zdjęć fasady Karen's Petite Maison. Był bardzo podobny do tego z obrazu Edwarda Hoppera *Dom przy torach kolejowych*. Dom w stylu Drugiego Cesarstwa, który był inspiracją do stworzenia motelu Normana Batesa w *Psychozie*. Tak więc z uwagi na podobieństwo postanowiłam namalować go, naśladując wielkiego mistrza.

Moim celem było zrobienie obrazu-zegara i podarowanie go Karen, żeby zastąpił stary zegar z kukułką dziadka, który przypadkowo zepsułam. Urodzinowy prezent z niespodzianką w środku, gdyż miała być w nim ukryta kamera, którą właśnie kupiłam, żeby obserwować jej biuro przez małą dziurkę na wysokości cyfry XII.

Obraz wyszedł mi znacznie lepiej, niż się spodziewałam. Przypuszczam, że malowanie niejako na zamówienie, dość szybko i z naśladowaniem stylu, pozwoliło mi pozbyć się presji. W ciągu zaledwie dwóch dni powstał prawdopodobnie jeden z najlepszych obrazów, jaki kiedykolwiek stworzyłam. Teraz musiałam go podziurawić, żeby umieścić na nim zegar i przytwierdzić do płótna cyfry z pomocą Olivii, która otwarcie skrytykowała system numeracji rzymskiej, twierdząc, że jest chaotyczny. Według niej pionowe kreski i krzyżyki nie powinny być ustawione w takiej kolejności.

Na koniec zostawiłam to, co najtrudniejsze i najważniejsze: zainstalowanie kamery. Jednak to również okazało się dosyć proste. Kiedy przytwierdziłam ją za pomocą kleju Loctite i taśmy klejącej (wystawiając na próbę trzęsienia ziemi i pazurów Dingleberry), z bardzo bliska spojrzałam na obraz i dziurkę, przez którą patrzyła kamera, aby się upewnić, czy jest niewidoczna. Była. Zostało już tylko zabezpieczenie obrazu z tyłu, łącznie z pułapką. Powzięłam ekstremalne środki ostrożności. Przygotowałam obudowę z mocnego drewna (żadnej sklejki) z otworem na środku, żeby można było obsługiwać mechanizm zegara, ustawiać go i zmieniać baterie, ale bez możliwości dostrzeżenia czy dobrania się do kamery. Przykręciłam ją do ramy i umieściłam blaszkę, żeby śrubki znalazły się poza zasięgiem jakiegokolwiek śrubokręta. Potrząsnęłam nim energicznie, jakbym była pijakiem, który stracił rozum, czyli Karen. Idealnie. Wszystko pozostało na swoim miejscu. Teraz tylko ja musiałam znaleźć swoje miejsce. Ale to miało być już znacznie trudniejsze.

– Proszę, proszę, proszę, jakie cudo, Alice! – wykrzyknęła rozentuzjasmowana Karen, kiedy wręczyłam jej prezent. – Cóż za wspaniała artystka! Przypomina pracę tego malarza, który maluje przygnębionych ludzi.

– Hopper – powiedziałam.

– Tak!

– Chciałabym...

– Bardzo mi się podoba. Będę musiała zapisać się na twoje zajęcia.

– Cóż, nie jest tak wyjątkowy ani cenny jak zegar twojego dziadka, ale chciałam ci go podarować...

– Co ty mówisz, obraz podoba mi się o wiele bardziej. Jest tylko dla mnie. Chodź, pomożesz mi go powiesić.

Na początku obraz z kamery był wypikselowany i się zacinał. Przeklinałam wszystkie wydane pieniądze, a przede wszystkim włożony wysiłek, potwierdzając tym samym uczucie towarzyszące mi niemal przez cały czas, odkąd przeprowadziłam się na wyspę, a mianowicie, że robię z siebie idiotkę, że nie mam zielonego pojęcia, z czym mam do czynienia, i że wszystko skończy się źle, bez względu na to, którą drogą pójdę. Ale trwało to tylko przez kilka chwil, jakby obraz przeciągał się po długim letargu. Po kilku sekundach przekaz był już wyraźny

i płynny. Ponieważ na nadzwyczajnym zgromadzeniu mieszkańców postanowiono nie instalować na wyspie anten nadawczych sieci komórkowych (co oznaczało słaby zasięg), sygnał z kamery był wyraźny i bez zakłóceń. Brawa dla władz miejskich i ich determinacji, by chronić zdrowie mieszkańców i środowisko.

Karen patrzy prosto w kamerę, na zegar, sprawdzając, czy jest dobrze i prosto powieszony. Dwa kroki do tyłu i szeroki uśmiech. Ja stoję za nią.

Karen: Genialnie, idealnie... (Zmienia jej się wyraz twarzy, odwraca się do mnie). Ale zaraz, zaraz... Czy to nie jest przypadkiem pułapka?

Ja: Pułapka na co? Nie rozumiem.

Karen: Dlaczego przyniosłaś mi go teraz?

Ja: Cóż, są twoje urodziny. To prezent dla ciebie.

Karen: Ale dlaczego nie zaczekałaś do wieczora? Do kolacji?

Ja: Nie wiem, chodzi o to, że...

Karen: Tylko mi nie mów, że nie przyjdiesz na kolację. I dlatego przysłaś teraz? To jest pułapka, żebyś mogła się wymigać?

Ja: Nieprawda, wstydziłabym się tylko dać ci go przy wszystkich, w razie gdyby ci się nie spodobał... Dlatego pomyślałam, że...

Karen: Nie wykręcaj się. Przyjdiesz czy nie przyjdiesz?

Ja: Pewnie, że przyjdę. („To część mojego planu, moja obecność jest kluczowa”). Za nic w świecie nie chciałabym stracić tego wieczoru.

Biuro opustoszało, a kamera przeszła w stan spoczynku. Aktywowała się godzinę później, kiedy Karen odkurzała. Następnym razem, kiedy Dingleberry wskoczyła na stół, żeby węszyć, aż w końcu zasnęła na tacy z dokumentami. Kilka minut później weszła Karen – z kieliszkiem wina w dłoni – żeby odebrać telefon.

Karen (odbiera): Karen's Petite Maison. W czym mogę pomóc?... Oczywiście, proszę powiedzieć, który dzień pana interesuje... Walentynki? Dobry dzień, proszę poczekać, muszę sprawdzić...

Karen porusza myszką i włącza się ekran. Wystukuje trzy cyfry na klawiaturze numerycznej.

Pauza. Przewinęłam. Zoom na klawiaturę, dwieście procent. Play. Trzy cyfry: 128. Pauza. Przewinęłam. Play. Nie, to było 108. Pauza. Przewinęłam. Play. 108. Tak, to było 108. Nie miałam co do tego wątpliwości, między innymi dlatego, że hotel Karen znajdował się pod numerem 108 przy West Neck Road. „Błogosławione oczy, jak mi was brakowało”.

– Dziewczyny, jak wam się podoba prezent od Alice?! Prawda, że jest wspaniały?! Nie macie już szans, bo dzięki temu prezentowi Alice wysunęła się na prowadzenie w wyścigu po Keitha...

Karen była niebywale ożywiona. „Czterdzieści pięć, dziewczyny! To jest jak równik życia, prawda? Cholera! Czterdzieści pięć brzmi zbyt poważnie, prawda? Fatalnie to znoszę! Liczba czterdzieści pięć patrzy mi w twarz i mówi, że jestem

brzydka i stara. To okropne!” To oraz nieobecność Johna, który już jakiś czas temu wyjechał do bazy marynarki wojennej w Groton w stanie Connecticut, skąd miał wyruszyć ze swoim oddziałem, pozwalało jej bez żadnych ograniczeń urządzić ten osobliwy show: połączenie występu komediantki z nocnego klubu i sprzedawczyni samopompujących materacy w telesklepie.

Na szczęście oprócz Keitha zaprosiła na kolację również Miriam, Jennifer i Barbarę, z którą wcześniej prawie nie miałam kontaktu. Ucieszyłam się więc, bo to stwarzało szansę na trochę lepsze jej poznanie, a poza tym nie musiałam sama znosić męczącej Karen.

– Słuchajcie, ale ta kolacja jest sekretem i ma pozostać między nami, bo jak inni się dowiedzą, to się obrażą. Ale ja sobie powiedziałam: „Nie, ta kolacja musi być prywatna, z moim bratem. Zabawna, z wolnymi dziewczynami”. A wy jesteście najlepszymi wolnymi dziewczynami na wyspie. Cóż, przepraszam Jennifer, ty jeszcze nie jesteś wolna, ale co tam, nie zaszkodzi nawozić pole, siać nasiona... Wiesz, co mam na myśli?

Na twarzy Jennifer zobaczyłam, że pożałowała, iż przyjęła zaproszenie. Zresztą w tym momencie wszystkie miałyśmy taki sam wyraz twarzy, nawet Keith (choć on właściwie cały czas miał taki). Namawiałam Jennifer, żeby przyszła, bo wyglądała na naprawdę przytłoczoną sytuacją z Summer. Nieustanne kłótnie i godzenie się były wyczerpujące, niszczyły wszystko wokół. Uznałam, że dobrze jej zrobi wyjście z tak dusznego otoczenia. A poza tym przy lejącym się strumieniami alkoholu kto wie, czyby się nie odważyła i czegoś nie opowiedziała. Każda z nich.

– Ja też nie jestem wolna, Karen – powiedziała Barbara, która wyglądała na najmniej skrępowaną. – Jeffrey i ja wciąż jesteśmy razem.

– Słyszałam coś innego. Wróble ćwierkają, że twojego pilota widziano na wyspie i w okolicach z pewną dziewczyną z Martha’s Vineyard. Bogatą dziewczyną. Chłopak nie jest głupi.

Barbara, przyłapana na kłamstwie, zrobiła się czerwona jak burak.

– Cóż, dajemy sobie czas, to wszystko. – Chciała zakończyć temat.

„Dlaczego dają sobie czas?”, pomyślałam. Od jak dawna go sobie dają? Delikatny dreszcz przebiegł moje ciało. Jak niewiele kontrolowałam. Wszystko było jeszcze tak bardzo poza moim zasięgiem...

– Tak, jasne, dajecie sobie czas. Zawsze tak się mówi. To jest eufemizm, czy jak tam się to nazywa. – Karen zaczynał plątać się język i myśli. – Ty potrzebujesz innego mężczyzny, który sprawi, że będziesz latać jeszcze wyżej niż Jeffrey i jego powietrzna taksówka. Keith oprócz jachtu ma też helikopter, wiesz o tym, prawda?

Wyglądało to jak reality show *Kawaler do wzięcia*. Uczestniczka numer jeden: Miriam MacArthy z agencji nieruchomości MacArthy, świeżo po rozwodzie i ze śliczną córeczką imieniem Chloe. Uczestniczka numer dwa: Jennifer Fay

z mężem w stanie wegetatywnym i z krnąbrną siostrzenicą, będącą w ciąży nie wiadomo z kim. Uczestniczka numer trzy: Barbara Rush ze stadniny koni Horse Rush Farm, piękna weterynarka o błękitnych oczach o kocim kształcie, prawie wolna, prawie bez zobowiązań, szukająca nowego pilota, który sprawi, że będzie latać wysoko. I ostatnia, lecz nie mniej ważna, uczestniczka numer cztery: Alice Dupont, artystka multidyscyplinarna, wdowa z dwiema córkami, Oliwią i Ruby. Do wyboru, do koloru, panie i panowie. Blondynka, szatynka, brunetka i ruda. Jedna rozwiedziona, jedna prawie wolna, jedna wdowa i jedna na dobrej drodze, by wdową zostać. To będzie zaciekle rywalizacja. Kogo wybierze nasz kawaler do wzięcia, Keith Zarpentine?

Pod nieobecność Johna Keith był bardziej rozluźniony i rozmowny. Poza tym, prowadząc rozmowę, zostawiał Karen mniejsze pole do zabawy w Kupidyna z zatrutymi strzałami, za co wszystkie byłyśmy mu wdzięczne.

– Rodzeństwo: Karen, Katherine i Keith. KKK. Dlaczego rodzice robią coś takiego? Co podświadomie chcieli przekazać światu? KKK. – Keith się roześmiał. – Prawda jest taka, że nasz ojciec, niech spoczywa w pokoju, zawsze był trochę rasistą. – I dodał, jakby to był wstydlivy sekret: – Był zwolennikiem Tea Party.

– Nie opowiadaj bzdur, popieranie Tea Party nie oznacza, że się jest rasistą – obruszyła się Karen. – Nie bądź demagogiem.

– Nie, masz rację, oznacza bycie nietolerancyjnym kurewskim liberałem.

Po raz pierwszy usłyszałam, jak Keith przeklina. Nie ulegało wątpliwości, że została mu jakaś niezłałatwiona sprawa z ojcem.

– A ty za kogo się teraz uważasz, za demokratę? – zgałła go Karen.

– Zawsze byłem demokratą.

– Ha! Nawet sam w to nie wierzysz. Nie można być obrzydliwie bogatym i demokratą, to się wyklucza. Przykro mi, braciszku. Tak więc wybieraj. Obrzydliwie bogaty czy demokratą? Miriam, Jennifer, Alice czy Barbara? Chociaż z tyloma pokojami, jakie masz w swoim zamku, mógłbyś zakwaterować je wszystkie. Może powinienes wstąpić do mormonów...

Śmiech Karen. Cisza.

– Chyba potrzebujemy więcej wina... – powiedziałam, podnosząc się i zabierając ze stołu pustą butelkę. – Przynajmniej niektórzy...

– Tak, niech leje się wino, prawdziwy eliksir. Nudziarze, jesteście nudziarzami...

Postanowiłam, że nie zrobię tego podczas kolacji. To byłoby jak kuszenie losu. Zbyt nieprzewidywalne. Za dużo osób i zbyt wiele nieoczekiwanych możliwości. A z tym wulkanem Karen w trakcie erupcji wszystko przecież mogło się zdarzyć. Tak więc, kiedy poszłam do kuchni, naprawdę poszłam do kuchni. Przeszłam obok biura, nawet się nie zatrzymując. Lepiej było to zrobić innym razem, innego dnia. Może odwiedzę ją, kiedy będzie robić zakupy albo kiedy

pójdzie do sklepu z likierami, bo tam spędza dość dużo czasu, wybierając najlepsze trunki, i wtedy wykorzystam jej nieobecność, by przeprowadzić operację. Ale to mnie opętało, dobrze mi szło, byłam odważna i na dodatek wstawiona. Tak więc w drodze powrotnej z kuchni, już z otwartą butelką, weszłam do biura. Dobiegały mnie stłumione głosy, jakby z oddali.

– Ale jedna sprawa, Jenny – pytała Karen. – Cięża twojej siostrzenicy była planowana czy raczej było to „Ups, niespodzianka, niespodzianka...”?

– Myślę, że to ją powinnaś o to zapytać.

Aktywowałam komputer, który był w trybie uśpienia. Karen nie dawała za wygraną:

– A co nam powiesz o ojcu? Była tutaj przez całe lato, chodziła od domu do domu. Taka ładna, zgrabna i sympatyczna. To nieuniknione, że ludzie gadają i krążą różne plotki.

– W większości przypadków to ty je rozpuszczasz – wtrąciła Miriam.

Weszłam do menu głównego hotelu. Kliknęłam w kartę „Rezerwacje”. Zostałam zapytana o hasło. 108. Weszłam. Ha.

– Jej siostrzenica jest pełnoletnia... – mówił Keith.

– Tak, widzisz, osiemnaście lat...

– No właśnie, jest już pełnoletnia. Może robić, co chce, i sama podejmować decyzje.

– Ojej, co ty powiesz, braciszku? Może ją też powinnam była zaprosić na kolację?

Przeszłam do historii rezerwacji. Zamiast robić zdjęcia, postanowiłam nagrać wideo ekranu, zjeżdżając myszką na dół i obejmując rezerwacje z ostatnich trzech lat. Nie zwracałam uwagi na nazwiska. Nie chciałam za bardzo patrzeć. Nie teraz. Później, w domu. Nie chciałam znaleźć czegoś, czego potem nie potrafiłabym ukryć i co wpłynęłoby na moje zachowanie.

– Gdyby mieszkała pod moim dachem – mówiła właśnie Karen – to przynajmniej chciałabym wiedzieć, kto jest ojcem.

– To jej życie i trzeba to uszanować – odpowiedziała Jennifer. – A poza tym kto ci powiedział, że nie wiem, kto jest ojcem?

– O! To mi się podoba! Wkurzyłaś się. No pewnie, że wiem, że wiesz.

Przełączyłam komputer w tryb uśpienia i wyszłam. Dingleberry spała na tacy z dokumentami i nawet się nie poruszyła. Pierwszy raz odwiedziłam biuro Karen bez żadnych incydentów.

– A ty co? Zbierałaś winogrona na to wino? – rzuciła Karen w moją stronę, kiedy tylko weszłam.

– Nie. Karen, to są twoje czterdzieste piąte urodziny, sama mówiłaś, że to trudny wiek. Wiemy, że ciężko jest ci przekroczyć ten równik, więc pozwól, że przekroczymy go razem z tobą, nie wyrzucaj nas za burtę. Kochamy cię i bardzo

cenimy. Tak więc, proszę, pozwól, że zaśpiewamy ci *Sto lat* i zjemy ten cudownie wyglądający czekoladowy tort, który upiekłaś.

Powiedziałam to z nutką wyniosłości i wyższości, co jest u mnie zupełnie niespotykane, ale bez wątpienia byłam rozemocjonowana z powodu mojego ostatniego zwycięstwa. Karen, która nie była przyzwyczajona do tego, by ktokolwiek ją hamował i przerywał jej tyrady (po prostu ją znosiliśmy), rozplakała się jak mała dziewczynka, na poły zawstydzona, na poły wzruszona moimi słowami. Przeprosiła nas wszystkich, rozplýwała się nad nami w zachwytach, wyznając, że jesteśmy jej ulubionymi sąsiadkami na wyspie i że przez prawie cały czas czuje się taka samotna, i że już nigdy nie będzie opowiadać niestosownych rzeczy ani plotkować. Zdmuchnęła świeczki, zaśpiewaliśmy *Sto lat*, otworzyliśmy butelkę szampana i po raz pierwszy, odkąd byłam na wyspie, poczułam się swobodnie w otoczeniu ludzi, nie poddając samej siebie bombardowaniu pytaniami. Po prostu dobrze się bawiłam w gronie przyjaciół.

Na poddaszu przeniosłam wideo z komórki na laptopa. Przeglądając rezerwacje, słuchałam rozmowy Summer i Jennifer.

Summer: Gdzie jest moja marihuana?

Jennifer: Powiedziałaś, że nie będziesz już palić.

Summer: Tak, ale jest moja. Oddawaj mi ją!

Jennifer: Nie krzycz, proszę.

Summer: Dlaczego? Może w ten sposób się obudzi. Obudź się, wujku Stephenie!

Jennifer: Summer, teraz wszystko jest między nami w porządku. Nie niszczy tego, proszę.

Summer: To oddaj mi marihuanę.

Dźwięk odsuwanej krzesła. Jennifer wstała.

Jennifer: Ty piłaś?

Summer (śmieje się): Jest Boże Narodzenie, trzeba uczcić przyjście na świat Dzieciątka Jezus... Poza tym w Danii wykonano badanie na ponad sześćdziesięciu trzech tysiącach kobiet w ciąży, które potwierdziło, że to nie szkodzi płodowi. Czytałam w Internecie.

Summer znów się śmieje. Jennifer wymierza jej policzek.

I wtedy to znalazłam.

8 marca 2013. Chris Williams.

1 noc. Pokój 202. Gość.

Zatrzymałam wideo. Straciłam poczucie czasu. Możliwe, że spędziłam godzinę w bezruchu, patrząc na tę datę. Tylko jeden dzień. Spędził jedną noc w hotelu. Nie ma nic ani wcześniej, ani później.

Gość? Zaprosili go. Został już wcześniej zaproszony przez Johna? Czy spotkał go przypadkiem, kiedy był na wyspie? Dlaczego mi o tym nie powiedział? Dlaczego nie powiedział mi o Johnie? Jaki miał powód, żeby mi o nim nie mówić? Pokój 202? To na poddaszu, na drugim piętrze. Największy pokój. Z jacuzzi i innymi atrakcjami, tak mi mówiła Karen. Był tam sam czy z kimś?

Podobnie jak Olivia musiałam schronić się w świecie liczb, żeby wyjść z szoku.

8 marca 2013. Piętnaście dni po moich trzydziestych pierwszych urodzinach, które uczciliśmy romantyczną nocą w hotelu The Chanler w Newport, położonym na skarpie ze spektakularnym widokiem. Czy zauważyłam coś dziwnego? Nie.

8 marca 2013. Przypuszczalnie jego pierwszy dzień na wyspie. Chris zmarł 13 maja 2015 roku. Dwa lata i sześćdziesiąt siedem dni. Siedemset dziewięćdziesiąt siedem dni później. Czy od tamtego dnia jeździł na Robin Island?

8 marca 2013. Dzień 299. roku III p.Ch.

Dzień 232. Rok I p.Ch.

Rok się kończył. Nareszcie. Chciałam go nazwać najgorszym rokiem w moim życiu, jakby w ten sposób przegródka w szafce już się zapełniła i nie mógł nadejść jeszcze gorszy, aby odebrać mu to miejsce. Ale z drugiej strony był to rok, w którym urodziła się Ruby. Nie mogłam w ten sposób napiętnować swojej córki. Nie mogłam pozwolić, żeby taka myśl zajmowała miejsce w mojej głowie i żebym w jakiś sposób przekazała ją Ruby.

Ważne było to, aby dobrze zakończyć ten rok i jeszcze lepiej rozpocząć nowy. Z moimi córkami, z naszym nowym życiem. Czymś własnym. By wszystko wróciło na swoje miejsce. Obudziłam się ożywiona. Był piękny szarawy dzień w kolorze srebra i nie było tak zimno, jak wcześniej. Idealny na długą przejażdżkę rowerem po pomoście zbudowanym przy plaży. Williamsowie podarowali nam rower tandem z dwoma kołami z tyłu, żeby był bardziej stabilny przy wożeniu dziewczynek. „Ja siadam z przodu, mamusiu. Będziemy się ścigać i zawsze wygram”, powiedziała Olivia, kiedy chciałyśmy go wypróbować. Jednak nie wyglądała na uradowaną, kiedy usłyszała, że wybieramy się na przejażdżkę.

– Nie chcę jechać na plażę – oznajmiła Olivia. Nie lubiła też piasku. Nie dawało się go policzyć. – Umówiłam się z Oliverem.

– Jak to umówiłaś się z Oliverem?

– Powiedział, żebym przyszła się pobawić do niego do domu. Właśnie rozmawiam z nim przez FaceTime’a.

Pokazała mi chłopca na swoim tablecie, który zrobił się czerwony, kiedy przysunęłam się do ekranu.

– Oli, nie można przeszkadzać ludziom w sylwestra.

– Julia się zgodziła – powiedziała do mnie, a potem zwróciła się do Olivera:

– Prawda, że twoja mama się zgodziła?

Julia, która przemknęła z tyłu, wykonała gest będący połączeniem aprobaty i rezygnacji. Komiczny ruch, którego nigdy wcześniej u niej nie widziałam.

– Widzisz? Julia mówi, że tak! – cieszyła się Olivia.

Moja komórka zagwizdała. Nowa wiadomość. Od Marka.

I ojciec też mówi, że tak. Że tak się składa, że będzie w biurze.

Nie, nie taki był plan. Tak nie skończy się ten rok.

Druga wiadomość od Marka:

Spotkaj się ze mną.

Nie. Chciałam zakończyć rok, robiąc coś kreatywnego.

Trzecia wiadomość od Marka:

I w ten sposób zakończymy rok, robiąc coś kreatywnego.

Wiadomości te wywoływały we mnie zarówno niechęć, jak i radość. Odrzucałam go i pragnęłam. „Za kogo ty się uważasz, żeby dysponować mną

w taki sposób?” Odkąd wróciłam z Providence, nie widzieliśmy się ani do siebie nie pisaliśmy. W tym czasie nadal byłam świadkiem, jak to, co zaczęło się w Wigilię jako szopka przed rodziną Julii, zakończyło się prawdziwym pogodzeniem. Julia na powrót była radosna, a on pełen werwy. Ona dawała mu to, co napisała, a on czytał zachwycony. Uprawiali seks. A nawet – niemal najważniejsze ze wszystkiego – znów razem się śmiali. Czułam ulgę, którą stopniowo zacierałam winę, przyklejoną do mnie jak zaschnięta guma do żucia, a także pewną dumę, ponieważ po części byłam za to odpowiedzialna, i oczywiście trochę zazdrość. Ale powtarzałam sama sobie, że to nie była zazdrość o Marka, że czułam ją dlatego, że tęskniłam za takim samym partnerskim porozumieniem. W każdym razie tę historię uznałam za zakończoną. I otrzymałam jego trzy wiadomości o dziesiątej rano 31 grudnia. Godzina, dzień. Wszystko było znacznie paskudniejsze i brudniejsze niż erotyczna wiadomość w środku jakiegokolwiek innej, nieistotnej nocy. Na domiar złego nagle pogoda się zepsuła i zaczął padać śnieg, co przemawiało na korzyść planów Olivii.

Kiedy zastanawiałam się nad czymś alternatywnym, co by mi pozwoliło nie ulec pokusie, wychwyciłam spojrzenie Kucyka, który leżał na podłodze obok kaloryfera i zdawał się mówić: „Wiesz, że tam pójdziesz, wiem o tym. Będziesz udawać, że jesteś na spacerze z Ruby i ze mną. I nagle, niechcący, zajdziemy do portu i zobaczymy światło na łodzi Marka. A poza tym będzie coraz bardziej prószyc. I tak, skoro nikogo nie będzie w pobliżu, wejdiesz na chwilę, ale tylko na chwilę, żeby przeczekać śnieg. I ja, Alice, bardzo się z tego ucieszę, bo nie cierpię spacerów, nie cierpię wychodzenia z domu i podobnie jak Olivia nie cierpię śniegu. Tak więc weź prysznic, spryskaj się tymi perfumami, które tak bardzo mu się podobają, i jak najszybciej skończmy tę farsę”. To wszystko powiedział mi Kucyk, i to z pogardą. Przysięgam.

Niczego nie ułatwiło mi to, że Julia była wyjątkowo miła, kiedy zostawiałam Olivię. Podczas naszych spotkań w aptece, od czasu do czasu na zakupach, przy przywożeniu albo odbieraniu dzieci, na spacerze... zawsze miała dla mnie uprzejme spojrzenie, bez uśmiechu, który nigdy się nie zarysował, chłodne pozdrowienie: dzień dobry, do widzenia... Jednak tym razem szeroko się do mnie uśmiechnęła, biło od niej nieistniejące do tej pory światło, zapytała o święta, jak było, czy spędziłam je z rodziną, zaproponowała, że zaopiekuje się Ruby i Kucykiem, żebym miała kilka godzin dla siebie (nie ma różnicy dwoje czy troje dzieci, jeden czy dwa psy, stwierdziła), powiedziała, że ładnie pachnę, spodobały jej się moje perfumy, jakie to? White Musk z The Body Shop. I na koniec zaproponowała, żebym weszła i napiła się herbaty. „Zgódź się, Alice, wypijesz herbatę i stłumisz każdą pokusę. Wykorzystaj tę okazję, żeby zacząć spoufalac się z nią, a oddalać się od niego, ponieważ to ona skrywa sekret. Powiedz tak”. Uprzejmie odrzuciłam obie propozycje. I bez względu na to, jak bardzo bym

udawała, że nie wiem, dlaczego to zrobiłam, nie należy w to wierzyć, bo tak naprawdę dobrze wiedziałam. Powiedziałam jej, że wrócę za dwie godziny, i pojechałam na łódź Marka, klucząc bardziej, niż było to konieczne, jakbym się bała, że mnie śledzi, jakbym starała się zgubić i uniknąć tego, co było nieuniknione.

Mark otworzył stugramową puszkę rosyjskiego kawioru, który dostał w prezencie od jednego z pacjentów w Nowym Jorku, i przygotował Agua de Valencia, koktajl na bazie szampana, soku pomarańczowego, wódki i dżinu. Powiedziałam mu kiedyś o tym koktajlu, że bardzo mi zasmakował podczas pobytu w Hiszpanii. Byłam zaskoczona, że o tym pamiętał. To bardzo miły gest z jego strony. Wypiliśmy za nowy rok.

On też był wyjątkowo radosny. Zadowolony i dowcipny, opowiadał mi anegdoty o swoich ekscentrycznych, bogatych nowojorskich pacjentach. Przez dłuższą chwilę myślałam nawet, że może nie chce, byśmy poszli do łóżka, że po prostu ma ochotę na rozmowę i że cała ta bezsensowna gadka służyła przygotowaniu terenu, aby opowiedzieć mi, jak dobrze układa mu się z Julią, i że to jest coś w rodzaju pożegnania, by podziękować mi za miłe chwile i aby się upewnić, że między nami wszystko jest w porządku i że nadal możemy się przyjaźnić. To by mi odpowiadało. Przynajmniej tak sądziłam. Skoro jednak tak bardzo spodobała mi się ta wizja, to dlaczego sama tego nie zasugerowałam? Ale Mark nie mówił o Julii ani nic dobrego, ani nic złego i po trzech Agua de Valencia (ja ledwie spróbowałam) i kawiorze powiedział, że za mną tęsknił, i nie czekając na podobne słowa z mojej strony – ponieważ wiedział, że się ich nie doczeka – pocałował mnie. Pocałowaliśmy się.

– Znowu to zrobiłaś.

– Co takiego?

– Zatrzymałaś się.

– Jak to zatrzymałam się?

– Tak, tuż przed tym, jak nasze usta mają się spotkać, zatrzymujesz się.

Zrobiłaś to za pierwszym razem.

A ja myślałam, że tego nie zauważył.

– Ja to zrobiłam? – udawałam.

– Tak, zrobiłaś.

– Nie sądzę, że to zrobiłam.

– Owszem, zobacz. Pocałujemy się jeszcze raz. Na trzy zbliżamy się jednocześnie.

– Dobrze.

– Raz, dwa, trzy.

Pocałowaliśmy się.

– Widzisz? Znowu to zrobiłaś.

Tak, znowu to zrobiłam. Ale tym razem wbrew własnej woli.

– Żałujesz przed każdym pocałunkiem?

– Może trochę.

– Ja odwrotnie.

– Odwrotnie?

– Żałuję po każdym pocałunku. Bo bardzo mi się to podoba.

Wtedy to ja go pocałowałam. Tak mi się wydaje.

– Kto pierwszy wraca do mojego domu? Ty czy ja? – zapytał Mark, obudziwszy się ze swojej obowiązkowej drzemki po stosunku. Obejmował mnie w pasie.

– Najmniej podejrzanym byłoby, gdybyśmy wrócili razem.

– Tak, za rękę – Mark się roześmiał. – Jeśli nie masz nic przeciwko, ja wrócę pierwszy, bo przygotowanie duszonych ostryg zajmie mi kilka godzin.

Zgodziłam się. Mark wstał i zaczął się ubierać.

– Może wcześniej powinieneś wziąć prysznic. Spryskałam się perfumami.

– Uwielbiam ich zapach.

– Julia też. Powiedziała mi to dzisiaj.

Nie spodobało mu się, że o niej wspomniałam. Zauważyłam, że się zdenerwował i mało brakowało, a zapytałby, co to, do cholery, miało znaczyć. Myślę, że zrobiłam to celowo. Był tak zrelaksowany, że aż byłam wściekła. Chciałam, żeby poczuł się trochę źle. Nie chciałam być jedyną osobą, która czuła się okropnie.

– Wiesz co? Masz rację. Wezmę prysznic... – powiedział, nie chcąc psuć tego momentu, i poszedł pod małej prysznic w kabinie.

Zaciągnął zasłonę. Ja tymczasem weszłam do głównej kabiny, gdzie – jak zawsze – słodko spały Ruby i Kucyk. Wzięłam z torebki telefon komórkowy i od razu zajęłam się laptopem Marka. Kiedy przyszedł do biura, pisał e-maila. Nie zamknął go ani nie wyłączył laptopa. Weszłam do terminarza i zrobiłam to samo, co w biurze Karen: nagrałam wszystkie miesiące od stycznia do czerwca. Wszystkie spotkania i wyjazdy do Nowego Jorku.

Nawet nie śpieszyłam się ani nie denerwowałam. Byłam tak melancholijna, że nie mógł mnie przyłapać. To nie był moment, aby ktokolwiek przyłapywał mnie na robieniu czegoś złego, bo już to zrobiłam.

Wysłałam dwadzieścia minut po Marku. W tym czasie nakarmiłam Ruby i przejrzałam wideo, które nagrałam z komputera Marka. Znałam już na pamięć daty wyjazdów Chrisa, więc teraz mogłam porównywać je bez konieczności zerkania do notatek. Mark jeździł do Nowego Jorku dwa razy w miesiącu na cztery albo pięć dni, a zatem istniało duże prawdopodobieństwo, że daty się zbiegały. Ale wyglądało to tak, jakby się umówili, by jeździć na przemian. Pokrywały się terminy tylko dwóch wyjazdów i nawet wtedy nie wszystkie dni. W każdym razie

zakładałam, że jeśli Julia popełniała cudzołóstwo z Chrisem, to w te dni, kiedy Mark był nieobecny. Wychodziłam z takiego założenia, kiedy sam Mark robił to ze mną, tutaj, na wyspie, teraz, panie i panowie, pod waszym nosem, kiedy zajmowałam się swoją córką. Co to za gówniane śledztwo! Co zamierzałam? Co za okropny dzień. Absurd. Przyrzekałam sobie kiedyś, że nie będę robić tych wszystkich rzeczy, które robiłam. I nie mam na myśli tylko tego konkretnego dnia.

Opuszczając łódź, zatrzymałam się nagle, bo coś zwróciło moją uwagę – ruch. Był sylwester, druga po południu. Na ulicy nie było żywej duszy i wszystkie sklepy zostały już zamknięte. Co tu robi łódź rybacka, z której rozładowują towar? „Korzystaj z okazji i dzisiaj kup świeże ryby, bo jutro na połów nie wypłynie żadna łódź”, powiedział mi poprzedniego dnia Ray Schepler, sprzedawca ryb. A teraz proszę, był tutaj w nieprzemakalnym płaszczu, rozładowując skrzynki z dwoma innymi mężczyznami, których nie znałam. To pewnie członkowie załogi. Spojrzałam na rejestrację łodzi. Była z Maine. Maine? To dziwne. Dość daleko.

Wtedy podjechała furgonetka. Należała do Dirty Works, firmy Mike’a zajmującej się gospodarowaniem odpadami. Mike wysiadł. Miał na sobie krótkie dżinsowe spodnie, sandały i białe skarpetki, jakby było lato. Zagwizdał na nich. Otworzył boczne drzwi samochodu, a oni włożyli do niego dwie skrzynki.

– Człowieku, jeszcze się rozchorujesz – powiedział Ray Mike’owi.

– Rozchoruję się, jeśli to gówno będzie tak samo niedobre jak ryby, które sprzedajesz.

– Zamknij się, cioto. Ja obracam tylko świeżutkim towarem. Znasz mój slogan: *Fresh like a Ray*¹⁴. Świeży jak twoje jaja w tej chwili.

Zaśmiali się. Mike dał mu wypchaną kopertę. Dopiero kiedy furgonetka odjechała, zdałam sobie sprawę, że się zagapiłam, nie nagrywając tego wszystkiego telefonem. Pierwsza naprawdę znacząca rzecz, którą odkryłam, była szczęśliwym zbiegiem okoliczności i na dodatek nie miałam jej nagranej. Co ze mnie za detektyw!

Zjadłyśmy kolację z moimi rodzicami, korzystając ze Skype’a. „Córeczko, lepiej by było, gdybyśmy tego dnia byli razem”. „Mamo, bo się rozłączę”. „Nie, nie, już dobrze, świętujmy w spokoju”. „To właśnie mówię”.

O ósmej zorganizowałam udawane odliczanie do Nowego Roku. Olivia uderzała chochlą w rondel i razem krzycałyśmy: „Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden! Szczęśliwego Nowego Roku!” Potem musiałyśmy to powtórzyć, bo Olivia powiedziała, że trzeba było doliczyć do zera, bo jeśli tego nie zrobimy, to będzie nieważne. Więc odliczałyśmy jeszcze raz: „Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, zero! Szczęśliwego Nowego Roku!” Ale to też nie było ważne, gdyż Olivia nie była przekonana co do odliczania od tyłu. To ją smuciło. Należało liczyć po kolei. Uznałam, że to bardzo sensowne. „Dalej, liczymy po kolei. Jeden, dwa...!”

„Nienienienienie, od zera! Musi być od zera!” „Aj, tak, przepraszam. Jeszcze raz. Zero, jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć! Szczęśliwego Nowego Roku po raz czwarty!” „Dobrze, dobrze. Jeszcze raz, mamusiu, jeszcze raz!” Powtórzyłyśmy to jeszcze trzy razy, aż wszystkim dzwoniło w uszach od uderzeń Olivii w rondel. Sokiem wzniosłyśmy toast za 2016 rok. Niech żyje 2016!

Godzinę później udało mi się poskromić dziką liczącą dziewczynę i położyć ją do łóżka.

– Światło, iPad i Olivia w trybie uśpienia. Trzy, dwa, jeden, zero, już.

– Doooooobrze...

Olivia wyłączyła iPada, dwukrotnie otwierając i zamykając ochronne etui. Jeden, dwa. Położyła go tak, że idealnie przylegał do krawędzi nocnej szafki. Obróciła się wokół własnej osi, a potem drugi raz w przeciwnym kierunku.

– Oli, a może jednej nocy, tylko jednej, spróbujesz tego nie zrobić? – Najciekawsze było to, że odkąd pierwszy raz zrobiliśmy to razem, ja nadal każdej nocy obracałam się jak ona. Działo się połowicznie, ale działało. – To mogłoby być twoje postanowienie noworoczne. – I przy okazji również moje.

– Co to jest postanowienie noworoczne?

– Kiedy kończy się rok, postanawiamy zmienić rzeczy, które nam się nie podobają albo które nam nie służą, żeby nie powtarzać ich w nowym roku.

– Ale mnie się to podoba. I mi służy.

– Proszę cię tylko, żebyś spróbowała i się przekonała, że nic się nie stanie i że świat się nie skończy.

– A nie mogę poprosić o inne postanowienie?

– O postanowienia się nie prosi, tylko się je robi.

– To nie jest jak życzenie?

– Tak, oczywiście, jest jak życzenie. Życzenie, które ty sama musisz sobie wyznaczyć.

– A więc nie mogę poprosić, żeby tatuś wrócił?

Uklucie w sercu.

– Nie. Nie możesz o to poprosić, kochanie. To musi być coś, co ty będziesz w stanie zrobić. Jak na przykład nie obracać się w łóżku. Albo dobrze traktować Kucyka. Albo żebyś się nie bała, kiedy ktoś mówi ci do widzenia. To byłyby dla ciebie dobre postanowienia.

Cisza. Wydawało się, że zastanawia się nad moimi słowami.

– Nie podobają mi się te postanowienia.

Kolejna przegrana batalia. Pocałowałam ją i zgasłam górne światło, zostawiając tylko małą nocną lampkę w kształcie Świnki Peppy.

– Do widzenia, córeczko. Kocham cię.

– Nie, to nie.

- Do przyszłego roku, córeczko. Kocham cię.
- Nie, to też nie...
- Doskonale wiedziałam, że liczyło się tylko „do jutra”.
- Do jutra, córeczko. Kocham cię.
- Do jutra, mamusiu. I nie zamykaj drzwi.

Zostawiłam drzwi uchylone, jak chciała. Wcześniej strach przed zimnem. Następnie ZOK. Teraz znajdowała się w fazie, w której nie cierpiała, kiedy ktoś mówił do niej do widzenia, ponieważ się bała, że już nigdy więcej nie zobaczy tej osoby. Jej ojciec pożegnał się z nią słowami „do widzenia”, kiedy widział ją po raz ostatni. „Do widzenia, moja księżniczko, moje kochanie”, powiedział jej. Ona odpowiedziała mu lakonicznym: „Do widzenia, tatusiu, do widzenia”. Teraz, po kilku miesiącach, włączyło się to wspomnienie, zamieniając w nowy lęk. Zdałam sobie z tego sprawę dwa tygodnie wcześniej w porcie, kiedy żegnała się z Lori Mambretti, nauczycielką, która w tamtym tygodniu opiekowała się dziećmi w hydroplanie. Olivia wybiegła z niego i krzyknęła w locie: „Do jutra, pani Mambretti”. „Do widzenia, Olivio”. Zawróciła w biegu, zbliżyła się do hydroplanu i znów krzyknęła, oddalając się od niego: „Do jutra, pani Mambretti”. „Do widzenia, Olivio”. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Wyglądało to jak niewinna zabawa dziecka, które ma nadmiar energii. Przestała dopiero wtedy, gdy Lori – biedaczka, miała już tego dosyć – wreszcie powiedziała: „Do jutra, Olivio”. Kilka dni później dosłownie się rozchorowała, kiedy byłyśmy na bożonarodzeniowym przedstawieniu w ostatnim dniu szkoły i żegnając się z mnóstwem dzieci i ich rodzinami, uświadomiła sobie, że sytuacja jest nie do opanowania. Kręciło jej się w głowie, co wszyscy zrzucili na karb panującego w sali zaduchu oraz stroju niedźwiadka, który miała na sobie. Dzieci wystawiły baśń *Złotowłosa i trzy niedźwiadki*. Ona była szczęśliwą Mamą Niedźwiedzicą, przede wszystkim dlatego, że Oliver był Tatą Niedźwiedzim.

Kiedy opowiedziałam o tym psycholożce, starała się wytłumaczyć Olivii, że „do widzenia” niekoniecznie musi oznaczać ostateczne pożegnanie. To jest pozdrowienie. Miłe słowa, które wymieniasz ze spotykanymi osobami. Ale dla Olivii w tym czasie świat, jej świat, był tak kruchy, że jedno słowo mogło wszystko zmienić. Tak się czuła moja córka. Tak ja się czułam. „A potem powiedział do ciebie: «Do widzenia, moja królowo, moje kochanie». I też już go nie zobaczyłaś”, przypomniała mi Olivia, kiedy starałam się zrozumieć, dlaczego odrzuciła słowa „do widzenia”. Skoro zaczęłam obracać się w łóżku wokół własnej osi (raz w każdą stronę), czy to oznaczało, że zacznę też do końca życia unikać słów „do widzenia”? Ile jeszcze urazów w nas się ujawni?



Miriam zaprosiła mnie na sylwestra do swojego domu. Karen do pensjonatu.

A ponadto DeRollerowie, ojciec Henry, Frank Rush, Burrowie, Nguyenowie, O’Gormanowie, w zasadzie każdy sąsiad na wyspie, którego spotkałam w ostatnich dniach. Uprzejmie odrzuciłam wszystkie zaproszenia. Poniekąd dlatego, że czułam się winna, miałam wyrzuty sumienia. Szpiegowałam większość tych osób, które tak gorąco mnie zapraszały. Nie miałam prawa iść do ich domów. Zostałam ukarana. Znamienne, że im więcej ciepła i troski okazywali mi ludzie, tym większe ogarniało mnie poczucie samotności. Samotność była moją wierną (niestety) towarzyszką życia od czasu śmierci Chrisa, ale teraz obwinałam ją najbardziej, ponieważ zaczynała przynosić konsekwencje w postaci strachu przed szaleństwem w najstraszniejszym i najbardziej przygnębiającym znaczeniu tego słowa. Odkrywałam samą siebie, zbyt często uciekając się do mantry, która trzymała mnie przy najzwyczajniejszych realiach mojego życia: „Cześć, jestem Alice Dupont, moje córki to Olivia i Ruby, mieszkamy pod numerem czterdzieści osiem przy Shelter Road”. Tak więc postanowiłam, że aby przegnać demony, najlepiej będzie zostać w domu. Chciałam zniszczyć swoją samotność, stawić czoło potworowi. Ta noc była do tego najlepsza.

Brak przyjaciela spowodował, że pograżyłam się w wewnętrznym dialogu o takiej intensywności i prowadzonym z taką determinacją, iż zaczęłam się obawiać wszelkiego rodzaju chorób psychicznych. Miałam dosyć spędzania dnia na rozmawianiu z samą sobą czy gawędzeniu z Kucykiem, żeby w ten sposób się usprawiedliwić. Miałam dosyć patrzenia na obraz Diega Sáncheza Sanza i odczuwania, że z każdą chwilą coraz bardziej oddalam się od kobiety, którą przedstawiał. Kim ona była? Nie wiedziałam. Czy ja kiedykolwiek byłam tą osobą? Teraz rozpoznawałam siebie tylko w cieniu, po ciemnej stronie. Robiłam odwrotnie, niż należało postępować w podobnych okolicznościach. Kiedy niespodziewanie wpadasz do morza, należy ułożyć się na plecach i unosić na wodzie, nie tracąc energii. A ja machałam rękami, desperacko walcząc o utrzymanie się na powierzchni, i zupełnie opadłam z sił. Moje ciało zaczynało robić się zbyt ciężkie. Topiłam się we własnej psychice.

W tym momencie miałam włączonych trzynaście donosicieli, nadających jednocześnie odgłosy typowego świętowania końca roku. Gmatwaninę hałasów, śmiechów, rozmów, stukających się kieliszków, krzyków, śpiewów, tańców, telewizorów. Wszystko wymieszane, obracające się i łączące z burzą w mojej głowie. Burzą idealną. Burzą bez wcześniejszej ani późniejszej ciszy. Niekończącą się. Cały ten nieustający strach i hałas, zalewający moją głowę i zamieniający się we łzy, sprowadzał się do jednego ze słów, których najbardziej się obawiałam: *chaos*.

„Zrzuć balast, Alice”.

„Nie, dopóki nie znajdę rozwiązania. Muszę to rozwiązać”.

„Przestań, nic nie mów. Nie myśl”.

„Jak to możliwe, że mam tylko czterech podejrzanych? Cztery miesiące i tylko czterech podejrzanych? Tak nie może być”.

„Wyłącz się”.

„W tej chwili to rozwiążę”.

„Zostaw mnie w spokoju”.

„Ja mam cię zostawić w spokoju? To ty zostaw mnie w spokoju”.

„Mike, za to, że jesteś handlarzem narkotyków, skończonym dupkiem, i za to, że zatruwasz życie jedynej osobie na wyspie, którą uważam za przyjaciółkę, uznaję cię za podejrzanego numer pięć”.

„Rayu Scheplerze, za to, że jesteś handlarzem narkotyków, kłamcą, i za to, że nie zawsze dajesz mi najlepsze ryby, uznaję cię za podejrzanego numer sześć”.

„Summer, za to, że jesteś źle wychowana, niezdolna i wyzywająca, a sądząc po datach, możesz nosić dziecko Chrisa, uznaję cię za podejrzaną numer siedem”.

„Jennifer, za to, że – mimo iż jesteś najbardziej elegancką i subtelną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałam – za sprawą swojej siostrzenicy stwarzasz wokół siebie bardzo dziwny klimat, nie wspominając już o twoim pograżonym w śpiączce mężu, uznaję cię za podejrzaną numer osiem”.

„Stephenie, dlatego... Ach, nie, przecież Stephen jest już podejrzanym”.

„Karen, dlatego, że nie wiadomo, co robiłaś z Chrisem w pokoju hotelowym dwieście dwa, i dlatego, że na pewno pijesz tak dużo, żeby o nim zapomnieć, uznaję cię za podejrzaną numer dziewięć”.

„Conradzie, dlatego, że – mogę się założyć – swego czasu otworzyłeś Chrisowi rachunek, a teraz zostawiasz jego pieniądze dla siebie, uznaję cię za podejrzanego numer dziesięć”.

„Szefowo Margaret, dlatego, że... że jesteś szefową Margaret, i to wystarczy, uznaję cię za podejrzaną numer jedenaście”.

„Franku Rush, dlatego, że nie wierzę, że twoje epizody demencji czy alzheimera są prawdziwe, uznaję cię za podejrzanego numer dwanaście”.

„Barbaro Rush, za to, że dałaś sobie czas z pilotem Jeffreyem, i za te twoje piękne błękitne oczy o kocim kształcie, uznaję cię za podejrzaną numer trzynaście”.

„Ale zaczekaj... Czy nie mógł przyjechać na wyspę z inną osobą? To dyskretne miejsce, gdzie można uciec z inną kobietą. Jak to możliwe, że nie pomyślałam o tym wcześniej? Nie mogę w to uwierzyć”.

„Kuzynko Keegan, za to, że wciąż jesteś panną i podczas wigilijnej kolacji płakałaś przy stole, wspominając Chrisa, uznaję cię za podejrzaną numer czternaście”.

„Suz, moja najlepsza przyjaciółko ze szkoły średniej, potajemnie zakochana w Chrisie, liderko czirliderek, i chociaż Chris was nie cierpiał i nie chciał was znać, to nie mogę już nikomu ufać, dlatego uznaję cię za podejrzaną numer piętnaście”.

„Wszystkie dziewczyny studiujące na Uniwersytecie Wirginii między tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym a dwa tysiące drugim rokiem, ze szczególnym naciskiem na rok dwa tysiące, kiedy zerwaliśmy na sześć miesięcy, uznają was, wszystkie razem, za podejrzane numer szesnaście”.

„Kolejnych dwanaście podejrzanych osób pojawiło się ot tak, w mgnieniu oka. Jest już znacznie lepiej. Rozwiązanie na pewno jest tutaj. Nie muszę już dłużej szukać. Wszystko jest tutaj. Muszę to rozwiązać”.

„Wpadasz w błędne koło, Alice. Wyjdź”.

„Muszę to rozwiązać natychmiast. Teraz. Bo jeśli tego nie zrobię, przyłapią mnie. Do domu wpadną policja i służby specjalne”.

„Wpadasz w korkociąg”.

„Odbiorą mi opiekę nad córkami. To jest jakieś szaleństwo. Zobacz, co narobiłaś, Alice. Muszę to rozwiązać, zanim skończy się rok”.

„Zrób postanowienia noworoczne”.

„Jeśli będę patrzeć na mapę mural wystarczająco długo... Pojawi się”.

„Zadzwoń do swoich rodziców. Idź pobiegać”.

„Sam się narysuje. To stereogram”.

„Przestań ścigać wieloryba”.

„Jest tu ukryty obraz w 3D”.

„Nie jesteś Mobyem Dickiem ani kapitanem Ahabem, ani sympatycznym Ismaelem”.

„Nie skupiaj wzroku na niczym konkretnym, a mapa się pojawi”.

„Nie ma żadnej mapy”.

„X się narysuje”.

„Nie ma mapy. Nie ma iksa”.

„Trzeba dać się nieść”.

„Nie masz łodzi ani załogi”.

„Zaczynam już widzieć ziemię na horyzoncie”.

„Szukasz skarbu, który nie istnieje. Klucz Master niczego nie otwiera”.

„Wyczuwam niebywałą wspaniałość obrazu”.

„Do Nowego Roku nie została nawet minuta. Wytrzymaj. Brakuje niewiele”.

„Do czego? Jutro jest jutro. Jutro niczego nie zmienia”.

„Oddychaj, znowu zapominasz o oddychaniu”.

„Zamknij się! Już dobrze, już odzyskałam oddech. Spokojnie. Cisza. Nie musisz na mnie patrzeć. Zamknij oczy, będziesz lepiej widzieć”.

„Zaczyna się końcowe odliczanie. Początkowe odliczanie, Alice. Wyjdź”.

„Dziesięć sekund, żeby wszystko rozwiązać. Mam czas”.

Dziesięć!

„Stephen jest ukrywającym się ojcem albo bratem Chrisa. Chris dowiedział się o tym, bo... Nie wiem, ale to nie ma znaczenia”.

Dziewięć!

„Chodzi o to, że dowiaduje się, że jest w śpiączce, i zaczyna go odwiedzać. Pierwszą noc spędza w hotelu, ale później, gdy odwiedza go co jakiś czas, mieszka w domu Jennifer”.

Osiem!

„Jennifer utrzymuje Stephena przy życiu, bo lubi, gdy Chris przyjeżdża”.

Siedem!

„Wtedy Chris poznaje Summer, uprawia z nią seks i zostawia biedną dziewczynę z brzuchem”.

Sześć!

„Wcześniej czy później poznaje też Miriam, oczywiście również uprawia z nią seks i rozbija jej małżeństwo. W związku z tym Chloe też jest jego córką”.

Pięć!

„Później, pewnego dnia, kiedy nie ma Marka, spotyka Julię na ulicy, nie, na plaży, spacerując, patrzą na siebie, uśmiechają się, i z nią też uprawia seks. Tam, w tamtym miejscu, na wydmach”.

Cztery!

„I tak, w ten oto sposób, za każdym razem, kiedy Chris przyjeżdża na wyspę, uprawia seks z jakąś kobietą”.

Trzy!

„W związku z tym wszystkie dzieci urodzone w ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat są jego. Jego!”

Dwa!

„Rozwiązane! Widzisz, jak było łatwo?! Została ci nawet jeszcze jedna sekunda”.

Jeden!

„Mapa, X i skarb znalezione”.

Zero!

Szczęśliwego Nowego Roku!

Dzień 233. Rok I p.Ch.

Plaża jest pusta. Kłosa tańczą, poruszane wiatrem z północnego wschodu. Piasek tworzy małe wiry na wydmach. Jest zimno, mimo że mamy dopiero początek września. Jakiś człowiek na brzegu obserwuje wzburzone i hipnotyczne morze. Nie mogę dostrzec jego twarzy. Nie potrzebuję jej widzieć. Rozwiane i poskręcane przez wiatr i sól włosy. Jest bosy i ma na sobie dwukrotnie podwinięte spodnie w kolorze khaki. Piękne wściekłe fale uderzają o brzeg. Prąd strugowy kreśli bruzdy wokół jego stóp. Zbliżam się powoli, jakbym chciała zrobić mu niespodziankę albo jakbym się bała go przestraszyć. Jestem prawie naga, mam na sobie tylko męski sweter, bardzo szeroki, sięgający mi niemal do kolan. Wydaje mi się, że właśnie się kochałam z tym mężczyzną i że sweter należy do niego. Rzenie kilku dzikich koni. Mewa zawieszona w powietrzu. Czuję spokój. Czuję miłość do tego mężczyzny. Dlatego właśnie nie chcę, żeby się przestraszył: kochany, niech nigdy nie odchodzi.

Chcę go objąć. Chcę wybiec mu na spotkanie. Zrób to, kto ci broni? Chwytaj moment i zachowaj go na zawsze. Jest twój. Ty jesteś jego. Biegnę. Dwie osoby stają mi na drodze. Skąd się wzięły? Nieważne. Jestem już coraz bliżej. Dziesięć osób przede mną. Nie, wcale nie jestem bliżej. Dwadzieścia osób. Odwracają się do mnie plecami. Omijam je. Nie widzę Chrisa. Trzydzieści osób. Wszyscy chcą Chrisa. Czterdzieści osób. Wszyscy idą w jego stronę. Pięćdziesiąt osób. Prawie nie mogę już dalej iść. Sześćdziesiąt osób. Krzyczę i je odsuwam. Siedemdziesiąt osób. Upadam na ziemię. Osiemdziesiąt osób. Pełzną, błagając, żeby zrobili mi przejście. Sto osób. Docieram do brzegu. Rozpoznaję ślady stóp Chrisa. Nie ma go. Podnoszę się i z płaczem wykrzykuję jego imię. Wyję w stronę morza. Chris! Ledwie mogę oddychać. Boję się odwrócić, ponieważ wiem, że patrzy na mnie ponad czterysta osób. Ponieważ wiem, że mam za plecami całą wyspę. A przede wszystkim, ponieważ wiem, że Chrisa nie ma. „Alice”, rozpoznaję ten głos. To Ruby. Chociaż jeszcze nie mówi, wiem, że to jest jej głos. „Alice”, powtarza. Nie odwracaj się. To pułapka. „Dlaczego nie nazywa mnie mamą?”, zastanawiam się. „Mamo”, mówi. Odwracam się. Ruby nie ma. Ani Olivii. Ani Kucyka. Ani Chrisa. Są wszyscy ci, którzy nie są nami. Nie ma moich córek, odebrali mi moje córki. Próbuję wykrzyknąć jego imię, ale głos grzęźnie mi w gardle. Szefowa Margaret wyjmuje swój rewolwer. „Chris jest nasz”, mówi i do mnie strzela.

Upadłam, straciłam przytomność, jak w meczu lacrosse’a, kiedy zostałam uderzona piłką w oko. Utonęłam. Podałam się burzy, którą sama rozpętałam. Kiedy obudziłam się na brzegu Nowego Roku, podobnie jak po tamtym meczu, też przegrałam. Straciłam jedno dodatkowe życie w mojej grze wideo. Ile jeszcze mi ich zostało? Czy będę musiała zaczynać znów od zera?

Wydawało mi się, że minęły godziny, ale ludzie wciąż jeszcze świętowali i wznosili toasty. Słyszałam odgłosy fajerwerków dobiegających z plaży. Wybuchy

widać było przez okno na poddaszu. Oświetlały moją twarz jak flesz aparatu fotograficznego. Przestraszony Kucyk pojękiwał pod stołem. Od razu pomyślałam o moich córkach. To przyniosło mi ulgę. Nie istniało większe szaleństwo ani większa utrata kontroli niż zaniedbywanie ich. Później powiedziałam sobie na głos: „Cześć, mam na imię Alice i mieszkam w...”. Jednak nie dokończyłam zdania, bo czułam się dobrze. Hałas zniknął. Cały hałas. Po tym wszystkim, owszem, spodziewałam się trochę spokoju po burzy. Wystarczająco, aby się podnieść, poczuć twardy grunt pod nogami i uświadomić sobie, gdzie jestem, a przede wszystkim to, że pomyliłam książkę.

„Jesteś rozbitkiem, Alice. Rozbitkiem na wyspie. Na Robin Island. Jesteś Robinsonem Crusoe. Nie chodzi o znalezienie skarbu. Chodzi o przeżycie. A nie przeżyjesz, jeśli nie znajdziesz Piętaszka. Potrzebujesz Piętaszka”.

Co ciekawe, Nowy Rok przypadał właśnie w piątek.

Wstałam i podeszłam do obrazu Diega. Odwróciłam go. Nie chciałam się więcej oglądać. Ale to mi nie wystarczyło. Nie chciałam nawet czuć swojej obecności na tym obrazie. Przeniosłam go do garażu i oparłam o ścianę. Dwadzieścia i pół tysiąca dolarów, które zapłaciłam za obraz, porzucone między pudłami i gratami. Odnosiłam wrażenie, że żegnam się z samą sobą. Najgorsze było to, że nie posmutniałam, kiedy powiedziałam sobie do widzenia. Przyniosło mi to ulgę.



CZEŚĆ TRZECIA
ROBINSON CRUSOE

„Oddałbym był wszystko za możliwość dotknięcia stopą tej tak często przeklinanej ziemi. Człowiek poznaje wartość rzeczy dopiero po ich utracie”.

„Życie nabrało teraz dla mnie nowej wartości, uczułem się na wyspie jak we własnym domu”.

„Szczytem mądrości ludzkiej jest dostosować swe usposobienie do okoliczności i zachować spokój ducha na przekór szalejącym na świecie burzom”.

„Ludzie w naszym położeniu stać winni wyżej ponad wszelki strach, gdyż każdy wynik, śmierć czy życie, oznacza oswobodzenie z wygnania. Przypomniałem mu własne życie moje na dowód, że wszystko dla mnie lepsze niż obecna sytuacja”.

„[...] nie wiedzieli, że bliskie jest ich ocalenie i że są już bezpieczni, w chwili kiedy się uważali za straconych”.

DANIEL DEFOE, *Robinson Crusoe*¹⁵ (1719)

Dzisiaj Karen znowu wróciła do picia. Przez ponad rok była trzeźwa. Zresztą zaledwie dwa tygodnie temu na cotygodniowym spotkaniu Anonimowych Alkoholików przyznano jej potwierdzający to medal. Medal, który od tamtej pory nosiła na szyi i z dumą wszystkim pokazywała. Ja też jestem bardzo zadowolona. Trzymanie jej z dala od alkoholu dużo mnie kosztowało. Musiałam wzmocnić nadzór w pensjonacie, umieszczając kamery we wszystkich pokojach gościnnych (oprócz tych, które były już w biurze, sypialni, łazience, kuchni i salonie), ponieważ czasem pod nieobecność gości zdesperowana wchodziła do pokoiów w poszukiwaniu butelki w ich rzeczach. W takich przypadkach musiałam szybko działać. Dzwoniłam do niej.

– Cześć, Karen, co robisz?

– Nic takiego, sprzątam pokoje gości.

Tak, jasne.

– Spotkamy się w Le Cafe na kawę?

– Nie wiem, teraz nie bardzo mi pasuje.

– No chodź, proszę. Pomożesz mi z moimi nowymi projektami lamp.

– Jeśli chodzi ci o to, żebym kupiła ich więcej, to nie ma szans, nie mam już gdzie ich stawiać.

– Nie, naprawdę bardzo mi zależy na twojej opinii. Tylko jedna kawa, a potem wrócisz do swoich zajęć.

I tak przez cały rok. Za każdym razem, kiedy przeczuwałam, że ma ochotę się napić, dzwoniłam do niej albo od razu pojawiałam się w hotelu, żeby ustawić zapórę przeciwalkoholową. Ding-dong. Cześć, Karen, co robisz? Ding-dong. Cześć, Karen, pójdziemy zrobić zakupy na targu? Ding-dong. Cześć, Karen, pojedziemy do kina do Hyannis? Ding-dong. Cześć, Karen, wybierzemy się na przejażdżkę rowerem? Ding-dong. Cześć, Karen, pójdziemy na pilates? Ding-dong. Cześć, Karen, zjemy śniadanie?

Zjemy obiad? Zjemy kolację? Ding-dong. Ding-dong. Ding-dong.

Muszę jednak powiedzieć, że było warto. Robiłam to aż do dzisiaj. Dzisiaj nie byłam w stanie jej powstrzymać. Poniekąd dlatego, że dopiero świtało, a o tej porze trudno jest wymyślić dobrą wymówkę, żeby zadzwonić albo złożyć niespodziewaną wizytę. Ale przede wszystkim dlatego, że zatelefonowano do niej, by przekazać najgorszą z możliwych wiadomości.

Kiedy w Karen's Petite Maison dzwoni telefon, Karen śpi. Nie zdąża odebrać za pierwszym razem. Ale po chwili telefon znowu dzwoni. To musi być coś pilnego. I jest. Dzwonią ze straży przybrzeżnej hrabstwa Barnstable. Jacht jej brata został wyrzucony na plażę, na wysokości Mashpee, tuż obok pola golfowego New Seabury Country Club, którego zresztą był członkiem. Wiadomość zastaje

mnie w trakcie lotu rozpoznawczego mojego najnowszego nabytku, nowego klejnotu w koronie, drona Hucka III. Z wrażenia go rozbijam. Bardzo lubię Keitha. Informuję Karen, że prawdopodobnie jej brat płynął sam. Od czasu do czasu lubił tak robić. Ma dyplom kapitana i jest doświadczonym marynarzem. Ale ślad po nim zaginął. Nie znaleziono go na łodzi. Zniknął.

Po przetworzeniu informacji mój wzrok natychmiast kieruje się na kamerę 51, którą zainstalowałam na jachcie Keitha. Command plus Caps Lock plus 51. Kamera nie przesyła sygnału, ekran jest czarny. Próbuję ją włączyć. Control plus Command plus P. Nie działa.

Kiedy Karen odkłada słuchawkę, natychmiast rzuca się w stronę łazienki, gdzie w szuflce ma ukrytą flaszkę wódki. Myślałam, że zabrałam jej wszystkie butelki, które miała pochowane. Ubolewam, że ta mi umknęła. Nie lubię popełniać prostych błędów. Teraz jednak muszę się zająć czymś o wiele ważniejszym: przejrzeć cały materiał nagrany przez kamerę 51, żeby poznać okoliczności zniknięcia Keitha. Aj, mój kochany Keicie, co się stało?...



Przez ponad tydzień przeczesywali teren. Ani śladu ciała. Policja kryminalna sumiennie sprawdziła to, co zostało z jachtu. Nie znalazła nic istotnego, z wyjątkiem małego śladu krwi Keitha na pokładzie.

Wiadomość o zdarzeniu zajęła znaczną część serwisów informacyjnych, pojawiła się w lokalnych, a nawet krajowych gazetach. Wszystko wskazuje na to, że Keith utonął. Był na pokładzie swojego jachtu w cieśninie Vineyard, kiedy ogłoszono alarm i stan morza określono na cztery w skali Douglasa. Wyszedł na pokład, żeby zabrać komputer i papiery, które zostawił. Pośliznął się. Uderzył się w głowę (stąd krew) i wypadł za burtę. Jacht zboczył z kursu i osiadł na mieliźnie.

Ale to są tylko przypuszczenia. Rekonstrukcja zdarzeń na podstawie znalezionych dowodów. Karen mi powiedziała (choć byłam też tego bezpośrednim świadkiem z poddasza), że przyszła do niej policja stanowa, która stara się znaleźć przyczynę tego zdarzenia, i że przesłuchujący ją byli bardzo agresywni.

W tym momencie jest bardzo pijana:

- Czy pani brat miał wrogów?
- Jest milionerem, jest sympatyczny, wykształcony i przystojny. Pewnie, że miał wrogów. Wzbudza zazdrość.
- Jakieś nazwisko?
- Proszę sprawdzić wszystkich, którzy są pod nim na liście „Forbesa”, a jest ich sporo.
- A jak pani radziła sobie z tym, że jemu tak dobrze się powodziło?
- Co chce pan przez to powiedzieć? Co to za pytanie? Mój brat jest dla mnie

najświętszy. I proszę nie mówić o nim w czasie przeszłym!

Natomiast biegły z zakresu ubezpieczeń nie wyklucza hipotezy samobójstwa, żeby nie wypłacić znacznej sumy pieniędzy. Karen, też pijana, kategorycznie zaprzecza takiej możliwości.

– Co pan sugeruje? Mój brat nigdy by tego nie zrobił.

– Tak, ale... Jaki miał ostatnio nastrój?

– Dobry, jak zawsze.

– Zauważyła pani coś dziwnego w jego zachowaniu?

– Nie.

– Czy pani brat był zadowolony ze swojego życia?

– Jak miał nie być. Jest milionerem! Ma własną wyspę!

– W takim razie dlaczego zażywał antydepresanty?

– Bo tak. Bo teraz wszyscy je biorą. Nie ma w tym nic dziwnego.

– Żałował, że nie ma rodziny?

– Przecież ma rodzinę. Ja jestem jego rodziną. My jesteśmy jego rodziną!

I proszę nie mówić o nim w czasie przeszłym!



Minęły trzy miesiące i chociaż sprawa wciąż jest otwarta, przestali szukać ciała. Od czasu zniknięcia Keitha nie czuję się najlepiej, po części dlatego, że go nie ma (dziewczynki i ja kochamy go do szaleństwa), a po części dlatego, że na łodzi, w lampie, miałam kamerę w kształcie steru. Policja kryminalna nie znalazła kamery ani żadnego znaku świadczącego o tym, że Keith z kimś był. Ale owszem, ktoś był z Keithem. Widziałam go. To mężczyzna. Nie można go było zidentyfikować, ponieważ przeszedł bardzo blisko kamery. Ekran był praktycznie zamazany. Nawet po cyfrowej obróbce nie mogłam wyraźnie niczego zobaczyć. A dźwięk nie działał już od dawna. Nie wiadomo dlaczego. Zbyt wiele czynników naraz: złe połączenie, wilgoć, zakłócenia wywołane przez transponder radarowy... Ale ja wiem, kto to był. To John. Chociaż (albo właśnie dlatego) w tym czasie miał być w trasie – miał objeżdżać szkoły średnie na całym Wschodnim Wybrzeżu i rekrutować chłopców, którzy byliby gotowi oddać życie za ojczyznę.

Przed skasowaniem wszystkich nagrań z jachtu Keitha, które przechowywałam na twardym dysku (filmowy środek ostrożności), przeniosłam plik wideo z dnia zdarzenia na pendrive'a (oprócz tego także wiele innych obciążających nagrań, które zgromadziłam przez lata) i zakopałam go obok grobu szopa Puchi-Puchi i części dynastii Flintów (mamy już Flinta XXVII). Oczywiście jest to informacja, którą nie mogę podzielić się z policją. Tak więc postanowiłam sama przeprowadzić dochodzenie. Odkąd odkryłam to nagranie, śledziłam Johna, czekając, aż popełni jakiś błąd. Jego telefon komórkowy mam na podsłuchu, a komputer zhakowany. Śledzę każdy jego krok. Wiem, że przyłapanie go jest

kwestią czasu. Dotąd był bardzo dyskretny. Ale mam niezbędne doświadczenie oraz cierpliwość, żeby rozwiązać tę zagadkę. John nie uniknie kary. Ani John, ani nikt inny. Przynajmniej dopóki ja będę stała na straży.

Olivia się obudziła, wyjrzała przez okno i rozplakała się, gdy zobaczyła, że w ogrodzie wciąż leży śnieg.

- Co się stało, kochanie?
- Jest śnieg.
- Pewnie, że jest śnieg. Wczoraj też był.
- Ale jest nowy rok. Przecież zmienił się rok, prawda?
- Tak, jasne.
- To dlaczego jest śnieg? Wszystko powinno być nowe.

Rozważałam wyjaśnienie jej, że to nie jest pierwszy rok jej nowego życia, że powinna już wiedzieć, jak to funkcjonuje, że nie zaczyna się od zera, a życie jest ciągłe. W jakiś dziwny sposób bardzo się jednak utożsamiałam z jej nastawieniem. Też czułam się otępiała, dezorientowana i zablokowana, jakbym zapomniała, jak się idzie przez życie, i nie ufała tej białej warstwie puchu oraz temu, co się pod nią kryje.

– Oli, w zeszłym roku też był śnieg w pierwszy dzień nowego roku, nie pamiętasz? Byliśmy w górach, jeździliśmy na nartach.

Oczywiście, że pamiętała, i prawdopodobnie dlatego nie podobał jej się teraz ten nowy początek. Przed rokiem byliśmy we trójkę (a raczej we czwórkę, bo byłam już w ciąży) w Wachusett Mountain w stanie Maine, gdzie Olivia po raz pierwszy w życiu przypięła narty i nauczyła się zjeżdżać pługiem.

W niewłaściwym momencie przyszło mi do głowy zaprowadzenie córki do lodówki w kostnicy. Ile błędów mogłam popełnić w zeszłym roku? Nie byłam przyzwyczajona do popełniania błędów, być może dlatego, że żyjąc w swoim idealnym, poukładanym świecie, nigdy nie znajdowałam się w okolicznościach, w których mogłabym je popełniać.

A jakie podjęłam trafne decyzje? Kusilo mnie, żeby sporządzić listę i zobaczyć, jaki jest bilans. Ale kto decyduje o tym, co jest błędem, a co trafną decyzją? Ja, bez dwóch zdań. Chciałam wskazać swój pierwszy błąd od czasu śmierci Chrisa i porównać go z ostatnim, jaki popełniłam w minionym roku. A potem narysować linię prostą między oboma, żeby zobaczyć, o ile skrzyło moje życie z poziomej linii, po której powinnam była kroczyć.

Moim pierwszym błędem było bez wątpienia to, że nikomu nie powiedziałam prawdy. Nie zdołałam wyznać, że Chrisa nie było w Yale, że miał wypadek na drodze US-6, przy rzece Weweantic. A mój ostatni błąd... Jaki był mój ostatni błąd? Wypicie zbyt dużej ilości wina poprzedniej nocy? Nie, mój ostatni błąd był taki sam jak pierwszy: nikomu nie powiedziałam o tym, co robię. Kiedy usiadłabym naprzeciwko jakiegokolwiek zdroworozsądkowo myślącej osoby i opowiedziałabym jej o tym, w co się wpakowałam, od razu wszystko zawaliłoby

się jak domek z kart, nie wytrzymałoby własnego ciężaru. Ulotniłby się równoległy świat, po którym krążyłam. Wróciłabym do rzeczywistości. A przede wszystkim poczułabym ulgę. „I niewykluczone, że nawet twoja córka pozbyłaby się lęku przed zimnem i śniegiem, Alice”.

Podczas gdy zastanawiałam się nad tym, jak poradzić sobie z tym nowym epizodem chionofobii, powiedziałam jej, żeby zeszła na dół i obejrzała swoją dzienną dawkę bajki *Dora poznaje świat*.

Krzyk, jaki wydała, wpadając do salonu, przeszył mnie na wskroś.

– Mamooooo!!!! W salonie jest jakiś pan!

Rzuciłam się w stronę schodów, szukając po drodze jakiegoś solidnego narzędzia, którym mogłabym obronić swoją córkę i swój dom. Znalazłam tylko pociąg zabawkę.

– Wynocha stąd! – krzyknęłam, wymachując nim. Jeden z wagoników się urwał.

To był Frank z Family Pet Land. Siedział na sofie, był w swoim świecie. Popatrzył na nas zdziwiony, nie rozumiejąc, skąd to całe zamieszanie. Na kolanach trzymał neser. Okazało się, że przyniósł gramofon przenośny z lat sześćdziesiątych marki Victrola.

– Frank? Co ty tutaj robisz? – zapytałam, przytulając Olivię, która znowu płakała. – To Frank, Oli, przecież dobrze go znasz.

– Cześć, piękna – powiedział Frank, uśmiechając się do niej. Olivia powoli się uspokajała.

– Ale nas przestraszyłeś, Frank.

– Przepraszam, powinienem zadzwonić. Ale nie chciałem obudzić Rose.

– Tak... – powiedziałam, nie wiedząc, jak wybrnąć z tej sytuacji.

– Kim jest Rose, mamó? – zapytała Olivia.

– Rose to żona Franka.

Frank się zaśmiał.

– Chciałbym. To moja narzeczona. Moja narzeczona śpioch. Już się obudziła?

Olivia chciała coś powiedzieć, ale zakryłam jej usta ręką.

– Pójdziemy sprawdzić, czy się obudziła. Zaraz wrócimy.

Pomyślałam, żeby zadzwonić do Barbary i poprosić, aby odebrała swojego ojca, jednak widząc Franka siedzącego na sofie, tak uprzejmego i spokojnego, pogrążonego we własnym świecie, pomyślałam o swoim ojcu, a przede wszystkim o naszej ostatniej rozmowie. „Chcę ci tylko powiedzieć, że uważam, że Olivia potrzebuje czegoś, co będzie ją tak pasjonować, jak ciebie malowanie. I że prawdopodobnie jest to coś prostego, coś, co jest w zasięgu twojej ręki”, powiedział.

Do tej pory nie zdecydowałam się nawet zbliżyć do stadniny koni Horse

Rush Farm, ponieważ wiedziałam, że w chwili, kiedy to zrobię, Olivia oszaleje z radości i znów zacznie mnie zdręzczać, żebym kupiła jej kucyka. Wiedziałam jednak, że wcześniej czy później to się stanie. Barbara zrobiła na mnie bardzo pozytywne wrażenie podczas kolacji w Karen's Petite Maison. Powiedziała, żebyśmy przyszły, kiedy tylko chcemy. Olivia będzie mogła nakarmić konie, a nawet pojeździć na kucyku. Miała trzy kucyki. Ponadto był to okres łączenia koni w pary: mogły one do woli biegać, bawić się, zabiegać o swoje względy i robić inne podobne rzeczy. Widziałam to kilka razy podczas codziennego biegania po wyspie. To był bardzo witalny, dziki i wyzwalający spektakl. Olivia byłaby zachwycona. I może faktycznie nadszedł już czas, żeby kupić jej kucyka albo konia. Była mała i lekka. Mogła być z niej wspaniała amazonka. Pomyślałam, że lepiej skakać przez przeszkody, niż zajmować się ich liczeniem.

Powiedziałam Frankowi, że – na przekór wszelkim prognozom – Rose postanowiła dzisiaj wcześniej wstać i udała się do stadniny, że musieli minąć się po drodze i że ja z wielką chęcią go tam zawiozę. Założyłam Olivii kilka warstw ubrań, a także rękawiczki, czapkę i szalik. Bardzo się sprzeciwiała. Wkurzyłam się. Wsadziłam ją do wózka golfowego wbrew jej woli, wzięłam Ruby i razem z Frankiem pojechaliśmy do stadniny koni. To był mój ostatni joker, mój ostatni as w rękawie. Jeśli nie zadziała, będę musiała się poddać.

Kiedy Olivia otworzyła oczy (miała je zamknięte przez całą drogę w geście protestu) i zobaczyła biegające i bawiące się w śniegu konie, zaniemówiła na dłuższą chwilę, po czym spojrzała na mnie i zapytała z promiennym uśmiechem:

– Mamo, zostaniemy na wyspie?

– Pewnie, że tak, Oli.

– A dlaczego nigdy mnie tutaj nie przywiozłaś?

Nie ciągnęła oskarżeń, bo akurat zobaczyła ślicznego białego kucyka z czarnymi plamami, które wyglądały tak, jakby były rozmieszczone przez wysokiej klasy projektanta.

Mój as w rękawie zadziałał. I pomyślałam, że w zeszłym roku nie popełniłam żadnego błędu. Że jedyną osobą, która popełniła błąd, był Chris. Ale ta myśl trwała tylko chwilę, ponieważ Kucyk (pies), szczekając, rzucił się za prawdziwym kucykiem. Okazało się potem, że ten kucyk ma właściciela i nie jest na sprzedaż ani do wynajęcia, ani w ogóle na nic. Ale Barbara, ogromnie wdzięczna za to, że zajęłam się Frankiem (szukała go przez dwie godziny), błyskawicznie przejęła kontrolę nad sytuacją, osiodłała kucyka Pandę (takie miał imię z powodu podobieństwa do tego zwierzęcia) i pomogła Olivii na niego wsiąść. „Właściciel na pewno dziś tutaj nie przyjdzie”, powiedziała mi, puszczając oko. Wiedziałam, że w chwili, gdy Olivia usiądzie na grzbiecie kucyka, nigdy nie będzie chciała z niego zejść. Dobra wiadomość była taka, że Olivii nie było zimno. A raczej nie zwracała uwagi na chłód.

Zła: kucyk kosztował cztery i pół tysiąca dolarów, a jego utrzymanie dwa–trzy tysiące dolarów rocznie. Jednak po wydatkach, jakie poniosłam, żeby znaleźć się tu, gdzie teraz byłam, uznałam, że wymówka w postaci pieniędzy nie jest odpowiednia.

Zła, ale naprawdę zła wiadomość: nie było kucyków na sprzedaż. Snow White, matka Pandy, była żrebna i miała urodzić na wiosnę. Tak więc trzeba było czekać, a z tego powodu dla Olivii reszta zimy mogła się stać nie do zniesienia. Ale Barbara raz jeszcze puściła do mnie oko, mówiąc: „Nie ma problemu, możesz nadal przychodzić i jeździć na Pandzie. Do wiosny pewnie nikt nie zdecyduje się tutaj przyjść”. Stadnina była otwarta dla wszystkich tylko wiosną i latem, kiedy organizowano letnie obozy dla dzieci i konne przejażdżki po wyspie z przewodnikiem. Jesienią i zimą pełniła funkcję stadniny, stajni oraz szkółki jeździeckiej dla właścicieli koni.

Olivia przez całą przejażdżkę nie przestawała się uśmiechać. Prawie się nie odzywała, jakby chciała delektować się każdą sekundą i każdą zapamiętać. Nie słyszałam też, żeby cokolwiek liczyła. Chociaż czasem, zwłaszcza w obecności innych osób, robiła to po cichu. Barbara trzymała uzdę i prowadziła kucyka. Skorzystałam z okazji, żeby porozmawiać o alzheimerze Franka.

– Zdiagnozowali go już przed kilkoma miesiącami. Objawy nie są jeszcze wyraźne. Traci orientację przede wszystkim w nocy, kiedy się budzi i nie wie, gdzie jest. Wtedy zazwyczaj wybiera się do kliniki. W ciągu dnia przeważnie czuje się dobrze. To bardzo dziwne, że trafił do twojego domu... – Wtedy coś jej przyszło do głowy. – Chyba że... Poczekaj. Gdzie mieszkasz? Nie, nie mów. Pod numerem czterdzieści osiem przy Shelter Road, nieprawdaż?

Przytaknęłam.

– Ten dom należał do moich dziadków ze strony matki wiele, wiele lat temu, ponad pięćdziesiąt. Moja matka była wtedy nastolatką. Mój ojciec chodził tam, kiedy się do niej zalecał. Słuchali razem muzyki na gramofonie przenośnym mojej matki. Elvis, Jerry Lee Lewis, Ritchie Valens, Sinatra, Johnny Cash, Andrews Sisters.

Zagadka rozwiązana.

– I bardzo ci dziękuję, że nie zrobiłaś mu awantury i nie sprawiłaś, że poczułby się źle, ani że nie próbowałaś mu wmówić, że się pomylił. Neurolog mi powiedział, że lepiej jest traktować go normalnie, serdecznie.

– Przynajmniej tyle można zrobić. Biedak musi być wystarczająco zawstydzony, kiedy zauważa, że coś jest nie tak, więc nie trzeba mu jeszcze tego wypominać.

Zresztą niedługo po przyjeździe do stadniny Frank wrócił do normalnego stanu (albo do rzeczywistości) i powiedział mi: „Alice, już najwyższy czas, żebyś przyjechała z wizytą do stadniny”. Ależ zawiły jest ludzki umysł. Albo wręcz

przeciwnie – to tak prosty mechanizm, że kiedy wszystko zaczyna się sypać, chwyta się tego, co najważniejsze: serca, wiecznej miłości do nieżyjącej żony. Tak jakby poprzez chorobę Alzheimera mógł kontynuować swoją miłosną historię. Albo zaczynać ją od początku.

– Nic się nie martw, będę miała na niego oko – powiedziałam Barbarze, żeby ją uspokoić.

– Dobrze. I za każdym razem, kiedy pojawi się w twoim domu, a wydaje mi się, że teraz będzie się to często zdarzać, przejażdżka Olivii na kucyku gratis.

– Tak, tak, niech Frank przychodzi do naszego domu codziennie! – wykrzyknęła uradowana Olivia.

Roześmiałyśmy się.



Odkrycie, że Chris spędził noc w Karen's Petite Maison, prawdopodobnie swoją pierwszą noc na wyspie, było kamieniem milowym w moim śledztwie. Ale prowadziło również do kolejnego pytania: gdzie nocował podczas pozostałych wizyt tutaj?

Przy pierwszej nadarzającej się okazji, a była nią wyprawa Karen do fryzjera w Hyannis, poszłam do pensjonatu. Chciałam rzucić okiem na pokój 202, w którym zatrzymał się Chris. Zabrałam ze sobą Ruby. Odrabiającą lekcje Olivię zostawiłam z jedną z córek ojca Henry'ego, Wendy, która była w ostatniej klasie szkoły średniej i zarabiała jako prywatna nauczycielka. W rzeczywistości Olivia już wcześniej skończyła pracę domową (była bardzo obowiązkowa), ale uwielbiała rozwiązywać zadania z matematyki. Kluczowa sprawa, jeśli chodzi o ciągłe podtrzymywanie swoich obsesji.

Pokój 202 jest bez wątpienia najpiękniejszy i najbardziej luksusowy w Karen's Petite Maison, ale od czasu, kiedy był tutaj Chris, minęły już prawie trzy lata. „Co spodziewałam się znaleźć? Co miałam nadzieję otworzyć?”, zastanawiałam się, stojąc na środku pokoju z Kluczem Master w kieszeni. Może bardziej niż znaleźć i otworzyć chciałam sprowokować, chciałam podsyć płomień gniewu. Wyobrażenie sobie tutaj Chrisa z inną kobietą, w jacuzzi na tarasie, oglądającego zachód słońca nad Pleasant Beach, zapalało we mnie trudny do ugaszenia ogień. To bolało, ale jednocześnie dawało mi energię, która była niezbędna, żeby iść dalej.

Dzięki tej wyprawie odkryłam też, jak (prawdopodobnie) John dowiedział się, że Chris nie żyje. Po przejrzeniu całego domu w poszukiwaniu roczników albo zdjęć z Uniwersytetu Wirginii w gazetniku w toalecie obok ich sypialni znalazłam wiele egzemplarzy kwartalnika wydawanego przez stowarzyszenie studentów Uniwersytetu Wirginii. W egzemplarzu z trzeciego kwartału 2015 roku była notatka w dziale nekrologów.

Chris Williams. Student. Absolwent z rocznika 2002. Zmarł w wieku 35 lat. Uzyskał dyplom *cum laude* na wydziale administracji i zarządzania. Mistrz kraju NCAA z tenisową drużyną Virginia Cavaliers. Numer 3 w rankingu IAT. Półfinalista juniorskiego US Open. Składamy najszczerze kondolencje. Nasze myśli są z rodziną i przyjaciółmi tego prawdziwego Cavalier.

Ucieszyłam się, że notatka była taka standardowa. Jeszcze jedna wśród wielu. I że nie było żadnych osobistych faktów ani zdjęcia rodziny czy mojego imienia.

Zawibrował mój telefon, był wyciszony. Widząc, że to wiadomość od Karen, instynktownie zaczęłam szukać miejsca, w którym mogłabym się schować. Pod łóżkiem. „Przyłapała mnie”, pomyślałam, chociaż nie było możliwe, żeby mogła już wrócić. Wysłała mi wiadomość.

Alice! Przypominam ci, że dziś jest spotkanie mieszkańców w urzędzie miejskim. Nie chcę, żeby cię zabrakło, liczę na twoje wsparcie, bo będzie gorąco!!! Powiedz, że nie zapomniałaś! A teraz idę ufarbować te przekłete siwe włosy!

Strasznie głupio się poczułam, czytając tę wiadomość pod jej małżeńskim łóżkiem. Przede wszystkim dlatego, że Ruby leżała na nim i smacznie spała. Położyłam ją, żeby mieć swobodę w działaniu. Uśmiechnęłam się. Nie miałam nawet ochoty maskować swojej niezdarności. Kiedy wyszłam z domu Karen i byłam już na neutralnym gruncie, odpisałam jej:

Jasne, że przyjdę! Potem się zobaczymy. Będzie ciężko z tymi twoimi czterema siwymi włosami! Przesadzasz, jak zwykle przesadzasz.



W pierwszą niedzielę każdego miesiąca, tuż po kazaniu ojca Henry'ego, w urzędzie miejskim odbywały się spotkania mieszkańców wyspy. Dyskutowało się na nich o wcześniej zaproponowanych przez mieszkańców sprawach, o czym powiadamiano na tablicy ogłoszeń. Zazwyczaj były to spotkania przebiegające w luźnej atmosferze, które wydawały się bardziej pretekstem do tego, by zjeść, napić się i zacieśnić sąsiedzkie więzi, krytykując okoliczne wyspy. Jednak tamtego dnia omawiano sprawę, która już wcześniej wywoływała kontrowersje: zainstalowanie CCTV, kamer monitoringu wizyjnego. Była bardzo silna frakcja opowiadająca się za objęciem monitoringiem wyspy ze względów bezpieczeństwa, żeby „nasze żony i dzieci mogły swobodnie chodzić po ulicach, mając zagwarantowaną nietykalność” (*sic!*). Tę walkę rozpoczął poprzedni burmistrz, Spencer, który upierał się, że to, co sielskie, nie jest sielskie samo z siebie, tylko nad tą sielskością należało najpierw popracować. Należało to zaprojektować i kontrolować. Należało zamienić wyspę w jedno z tych osiedli z kratami, w których każdy ruch jest rejestrowany. Chciał w ten sposób odstraszyć każdego, kto odważyłby się zakłócić panującą na wyspie harmonię. Krótko mówiąc, uosabiał

kulturę strachu. Przegrał tę walkę nieznacznie. Ostatecznie podał się do dymisji i opuścił wyspę. Z kolei nowa burmistrzynie, Gwen DeRoller, oraz szefowa policji, Margaret, uważały, że zaufanie rodzi zaufanie, że tutaj wszyscy się znają i że właśnie w tym poczuciu wspólnoty tkwi bezpieczeństwo, bo jeden chroni drugiego.

– Tak, bardzo dobrze, fantastycznie, ale przychodzę do domu i odkrywam, że mój syn pali marihuanę, i chcę wiedzieć, skąd ją wziął, kto mu ją dał. W jaki sposób narkotyki dostały się na wyspę – mówiła Karen, która na nowo rozpoczęła tę starą debatę. – A wiecie, dlaczego chcę to wiedzieć? Bo w przeciwnym razie mój mąż odkryje to własnymi kanałami i wierzcie mi, że wtedy konsekwencje będą o wiele poważniejsze. Dla mojego syna i dla tych, którzy mu ją dali.

Było to stwierdzenie, po którym pojawiło się wiele głosów za monitoringiem i przeciw: „Myślisz, że to powstrzyma tych, którzy chcą handlować narkotykami?”. „Ta społeczność jest krucha i wrażliwa. Trzeba ją chronić”. „Wielu z nas jest tutaj właśnie dlatego, że uciekła przed tym paranoicznym światem, który jest tam, na zewnątrz”. „Ekskluzywność znaczy czuć się chronionym”. „Ekskluzywność znaczy czuć się wolnym”. „Lepiej zapobiegać niż leczyć”. „Jasne, a co będzie później? Instalowanie kamer w domach, tak? Od kiedy będą zamontowane...” Podczas tej dyskusji myślałam o tym, ile zaoszczędzono by mi zachodu, gdyby już wcześniej założono tutaj kamery monitoringu wizyjnego. Ale myślałam też, że wtedy to byłoby dla mnie jak skazanie. Albo może jak wyzwolenie? W każdym razie nie mogłabym robić niczego, co robiłam.

– A ty, Alice? Co o tym wszystkim sądzisz? Bo nudzi mnie już wysłuchiwanie ciągle tych samych argumentów – zapytała mnie siedząca obok Miriam, która należała do frakcji popierającej CCTV. Czyżby chciała przepędzić Mike’a?

Wszyscy popatrzyli na mnie tak, jakby ta decyzja zależała ode mnie, jakbym była osobą, która raz na zawsze miała zakończyć tę dyskusję.

– Mieszkam na wyspie dopiero od niedawna. Nie czuję się uprawniona do zajmowania stanowiska w tej sprawie. Zaakceptuję to, na co zdecyduje się większość – powiedziałam, chociaż oczywiście byłam na NIE ze względu na przekonania oraz własne dobro.

– Tchórz, czerwona, anarchistka, antysystemowiec. Gdybym wiedziała, nie nalegałabym, żebyś przyszła... – powiedziała mi Karen, cedząc słowa, ale bez żadnej złośliwości.

Później mi wyznała, że jej tak naprawdę jest wszystko jedno. Chciała tylko ożywić spotkanie. „W szkole średniej należałam do kółka dyskusyjnego, jestem w tym dobra”, powiedziała. „Zwłaszcza po dwóch kieliszkach wina”, pomyślałam.

Propozycja monitoringu została odrzucona również teraz – już dziewiąty raz w ciągu czterech lat. Dwadzieścia dziewięć osób było przeciw, dwadzieścia pięć za, a dwie wstrzymały się od głosu: burmistrzynie DeRoller (która, chociaż była

zdecydowanie przeciw, podkreślała, że z racji swojego stanowiska musi być bezstronna i akceptować decyzje pozostałych) i ja.

Po spotkaniu, kiedy jedliśmy, zwróciłam uwagę na tablicę, na której znajdowały się zdjęcia z poprzednich edycji Cherry Blossom Art Fair. Były to targi sztuki, które prawdopodobnie zbiegają się z kwitnieniem wiśni i są organizowane na pożegnanie ciężkiej zimy. Od 7 do 14 marca, chociaż na uwolnienie się zapachów i kolorów w rzeczywistości zazwyczaj trzeba czekać aż do połowy kwietnia albo nawet do maja. Jednak w roku, w którym targi zorganizowano po raz pierwszy, w 1977, odnotowano rekordowo wysokie temperatury i wiśnie zakwitły wcześniej. Stąd nazwa targów. To było najważniejsze wydarzenie na Robin Island. Pisało o nim wiele przewodników turystycznych. Stoiska targowe były niezwykle interesujące. Wszyscy mieszkańcy wyspy mieli prawo do zorganizowania swojego, ale jeśli ktoś był spoza wyspy, a chciał wziąć udział w imprezie, to oprócz wpłacenia wpisowego musiał przejść proces kwalifikacyjny.

Dowiedziałam się, że za najlepsze stoisko przewidziana jest nagroda w wysokości siedmiu i pół tysiąca dolarów, i postanowiłam, że ją zdobędę. Miałam niewiele ponad dwa miesiące. Nie chodziło o to, że potrzebowałam motywacji. Było coś znacznie ważniejszego. Nadszedł czas, żeby zmienić strategię. Musiałam zapomnieć o myśleniu o tym, co jest teraz, i zaplanować strategię długofalową. Trzeba było przygotować bardziej ambitne plany, które mogłyby przynieść rezultaty na większą skalę i dzięki którym jeszcze bardziej mogłabym zagłębić się w prywatność mieszkańców. Klucz do tego znajdował się na targach.

– Przygotujesz stoisko? – zapytał Mark, podchodząc. Sprawił, że poczułam się spięta.

Kiedy poszliśmy do łóżka pierwszy raz, postanowiliśmy – co oczywiste – zachowywać wobec siebie pewien dystans w miejscach publicznych.

– Możliwe – odpowiedziałam, zadzierając nosa.

– A co będziesz sprzedawać?

– Będziesz musiał poczekać do marca, żeby się dowiedzieć.

Wystarczyło zaledwie jedno spojrzenie, żeby moje pierwsze noworoczne postanowienie diabli wzięli.

Tym razem trwało to krócej niż na poprzednich spotkaniach. Było mniej słów. Mniej ceregieli. Było bardziej wyuzdanie. Bardziej zwierzęco. Spontaniczniej. Śmielej. I mimo że zrobiłam to, czując wściekłość na siebie (dlatego że nie wymyśliłam żadnego „oficjalnego” powodu, który usprawiedliwiłoby to spotkanie, jako że miałam już jego terminarz i ulokowałam na łodzi donosiciela), to z tych trzech razy, kiedy byliśmy w łóżku, ten okazał się zdecydowanie najlepszy. I to mnie rozstroiło. Do tej pory traktowałam Marka jak pionka na planszy do gry na wyspie. A teraz poczułam – po raz pierwszy od czasu śmierci Chrisa – mrowienie w żołądku przypominające pączkującą miłość.



– Powiedz prawdę: nie przychodzić tutaj, żeby szpiegować inne osoby. Przychodzić tutaj szpiegować mnie.

– Przyłapałeś mnie, Antonio. Poprawiłeś swój angielski...

– Dzięki, blondyneczka. Szczęśliwego Nowego Roku.

Czy Antonio mógłby być moim Piętaszkiem? Jest wystarczająco dziwny, nieświadomy, entuzjastyczny i nic nie jest w stanie go zaskoczyć. Nie będzie mnie osądzał, nie doniesie na mnie, a przede wszystkim mi pomoże.

– Potrzebuję więcej kamer.

– Jest określenie na ludzi jak ty: *spy yonky*. Za każdym razem potrzebować dawki coraz częściej. Uważaj, blondyneczka, szpiegowanie jest bardziej uzależniającym narkotykiem niż heroina.

– Antonio, nie sądzę, aby dobrą strategią zarządzania własnym interesem było sprawianie, żeby klienci źle się czuli, kupując u ciebie towary.

– Zgadza się, blondyneczka. O ilu działkach mówimy tym razem? Jedna? Dwie?

– Powiedzmy, że zostanę twoją najlepszą klientką.

– Ty zostać najlepszą klientką od momentu wejścia do sklepu. – Uśmiechnęłam się. Po chwili zapytał: – Dzisiaj nie karmisz dziecka? Myślę mała bardzo głodna.

Wracając promem na Robin Island, czułam się jak handlarz bronią z mnóstwem granatników i trupów w bagażniku. Wiozłam dwa dwudziestosiedmiocalowe ekrany (kupione w Best Buy), regeneratory sygnału, routery i pięćdziesiąt kamer, które kupiłam w Night Eyes. Były różnych marek, ponieważ Antonio nie miał na składzie wystarczającej liczby tych urządzeń jednej firmy. Ale w końcu jedne lepsze, inne gorsze, co za różnica, wszystkie zostaną wykorzystane w tym samym celu: zdobycia nagrody głównej na Cherry Blossom Art Fair.

Dni 239–257. Rok I p.Ch.

Postanowiłam przyjść na targi z pięćdziesięcioma zegarami szpiegowskimi. Konstruując je, czułam się efektywna, kreatywna i radosna. Jednak kiedy skończyłam pierwszą partię, zdałam sobie sprawę, jaka jestem głupia. Przyjęłam za pewnik, że zegary kupią tylko mieszkańcy wyspy. A przecież targi są bardzo popularne w regionie i przyjadą na nie ludzie z okolicznych wysp i miejscowości. Po co mi szpiegowski zegar w jakiejś chatce w Woods Hole? Tego rodzaju perturbacje sprawiały, że czułam się mała, samotna, opuszczona, a przede wszystkim głupia. Bardzo głupia. Myślałam, że jeśli będę chociaż średnio bystra, to od razu rozwiążę tę zagadkę.

Zastygłam, patrząc na jeden z zegarów w kształcie rudzika. „Indianie z plemienia Wampanoagów cię ostrzegali, rudzik z totemu ci to powiedział. Inskrypcja informowała: dla Wampanoagów rudzik był symbolem kierunku mądrych zmian. A ty, co zrobiłaś? Zamieniłaś kierunek na dezorientację. Zamieniłaś mądrość na głupotę. Zamieniłaś zmianę na stagnację. Teraz zrób totem, ukoronuj go swoim popiersiem i zamieść następujący podpis: «Dezorientacja w głupiej stagnacji». To jest twój leitmotiv”. Rozbiłam zegar o podłogę. Nie wyszedł mi wcale tak dobrze.



W czasie gdy starałam się stworzyć na nowo swój plan, znalazłam schronienie przy Marku. Zaczęliśmy widywać się dosyć często. Prawie codziennie. Kiedy wreszcie pogodziłam się z tym, że nasze spotkania nie były już częścią mojego śledztwa, dałam się ponieść. Podekscytowanie tym, co zabronione, wzięło górę (ale tylko trochę) nad poczuciem winy. Podobnie jak podekscytowanie tym, co nowe (też tylko trochę), wzięło górę nad wyrzutami sumienia. I mimo że ta walka sprzeczności nie dawała mi spokoju i była daleka od rozstrzygnięcia (i oczywiście nie zwiastowała pozytywnego zakończenia), postanowiłam otworzyć nowy rozdział seksualności w swoim życiu. Bo owszem, chciałam i powinnam skoncentrować się na seksualności, żeby móc trzymać na dystans uczucia, które – chociaż nadal byłam w żałobie – powoli pozwalały przenikać promieniom światła w postaci potrzeby kochania i bycia kochaną.

Pomimo zauroczenia i podniecenia nasze spotkania były ograniczone pośpiechem, rozkładem dnia i ciasnotą miejsca. Nie mogło być inaczej. To ja narzucałam ich częstotliwość. To ja postanowiłam chodzić tam prawie codziennie. Tak jakbym chciała przyspieszyć procesy. Jakie procesy? Wszystko działało się względnie szybko. Jakbym chciała jak najszybciej ten związek wyczerpać. Przypuszczam, że dlatego, aby przestać to robić, aby przeszła mi ochota. Ale im częściej to robiłam, tym bardziej mi się podobało i bardziej się w to wciągałam.

Znajdowałam się w oku huraganu Mark. Tak czy inaczej, wydaje mi się, że wynikało to z mojej bardzo wielkiej samotności. Bardziej niż seksu potrzebowałam ciepła. Być może dlatego nie mogłam pozbyć się wrażenia, że jestem trochę wykorzystywana (i zazdrosna?). A poza tym, co ciekawe, im częściej się widywaliśmy, tym bardziej czułam (i słyszałam za pośrednictwem donosiciela), że jest z Julią. Po długim okresie zobojętnienia odkrywali się na nowo. Wiele razy zaskakiwałam samą siebie, gdy zaabsorbowana słuchałam, jak się kochają, i nie byłam w stanie wyłączyć donosiciela. Mark już nie opowiadał mi o Julii. Nie mówił, że czuje się lepiej, że zmniejszyła dawkę antydepresantów. Nic. Tak jakby teraz jego związek z nią należało ukryć i mu zaprzeczyć. Jakbym to ja była jego żoną, a nie kochanką.

Ale to nie był problem Marka, lecz mój. Żyłam życiem innych. Może to był ten skarb, którego powinnam szukać: skarb, który skrywało moje życie, a nie życie Chrisa (a tym bardziej nie Marka). Nie miałam jednak żadnych śladów ani iksa, ani mapy, ani załogi, ani pirackiego statku. I nawet nie zboczyłam z kursu. „Jesteś rozbitkiem na wyspie, pamiętasz, Alice?”



– Cześć, Frank. Mam dla ciebie prezent.

– Dla mnie? Z jakiej okazji?

– Ponieważ bardzo dobrze traktujesz mnie, moje córki, a przede wszystkim Kucyka.

– O, przepraszam, to ja powinienem dać prezent tobie, bo jesteś moją najlepszą klientką.

– Cieszę się, że nią jestem. Proszę, trzymaj.

Wręczyłam mu prezent. Był to ścienny zegar szpiegowski w kształcie gupika.

– Jaki piękny! To Flint, prawda?

– Tak. Żebyś powiesił go w klinice.

– Ogromnie mi się podoba. Bardzo dziękuję.

Chociaż jeszcze nie zdecydowałam, jaką obrać strategię w kwestii zegarów szpiegowskich na Cherry Blossom Art Fair, to wciąż pracowałam, posuwałam się do przodu, ponieważ czas naglił, i to bardzo. Poza tym martwiłam się o Franka. Epizody zapominania zdarzały mu się coraz częściej. Od tamtej pory pojawił się w naszym domu jeszcze dwa razy. Olivia szalała z radości, kiedy widziała go w drzwiach („jazda na Pandzie gratis!”). Kiedy przychodził, nie dzwoniłam do Barbary ani nie odwoziłam go z powrotem do Horse Rush Farm. Pozwalałam, żeby został. Praktycznie przyjęliśmy go do rodziny jako dziadka Franka. Pojawiał się zazwyczaj w weekendy, czyli – jak mówiła Barbara – kiedy rodzice Rose pozwalali jej zapraszać do domu gości. Zawsze przychodził z gramofonem przenośnym,

który już od dawna nie działał. Olivia uwielbiała bawić się w udawanie Rose i jeść z nim naleśniki, co Frank i Rose musieli robić jako nastolatki. Nie można powiedzieć, że Frank był w innym świecie, w innej rzeczywistości. Wyglądał, jakby bujał w obłokach. Widać było, że się nie poddawał, że toczył wewnętrzną walkę. Znajdował się w miejscu zarówno przytulnym i znajomym, jak i nieprawdziwym i mrocznym. Walczył o to, żeby nie zatracić się definitywnie, ale nie potrafił albo nie chciał stamtąd wyjść. Dziecko rodziło się na nowo, a dorosły cierpiał. Gdy widziałam go siedzącego w kuchni i przyglądającego się widelcowi, jakby zobaczył go po raz pierwszy w życiu i starał się znaleźć dla niego zastosowanie, czułam mieszkankę smutku, czułości i utożsamiania się z nim, gdyż ja również starałam się dowiedzieć tak podstawowych rzeczy, jak to, czy moje życie nie jest jednym wielkim kłamstwem.

Barbara się bała, że podczas którejś z tych wypraw zrobi sobie krzywdę, że będzie miał wypadek w czasie jazdy czy w klinice, gdzie miał pod ręką wszystkie weterynaryjne przyrządy. Rozważała nawet zachęcenie go albo wręcz zmuszenie do przejścia na emeryturę, ale wiedziała, że to by go zabiło. Dlatego podarowałam mu zegar szpiegowski, abym mogła go bardziej pilnować. I szczerze mówiąc także dlatego, że miałam już po dziurki w nosie oglądania na monitorze wyłącznie przekazu z biura Karen's Petite Maison. Zastanawiałam się, jak nazwać każdy z sygnałów, które dostawałam. Wahałam się między klatką a akwariem, aż pewnego dnia popatrzyłam na Flinta, który zapamiętałe pływał dookoła, starając się znaleźć wyjście z akwarium, i zdecydowałam się na taką właśnie nazwę: akwarium. Teraz, pod nieobecność Johna i kiedy już odkryłam, że Chris spędził jedną noc w pensjonacie, akwarium Karen było tak nudne i bezproduktywne, jak obserwowanie Flinta. Poza tym byłam sfrustrowana, patrząc, ile pije. Zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy nie powinnam zainterweniować w tej sprawie. Jasne, tylko jak? „Słuchaj, Karen, umieściłam w twoim biurze ukrytą kamerę, nazywam ją akwarium, i wiesz, widzę, jak bez przerwy się upijasz”. Nasza przyjaźń nie była jeszcze tak zażyła, zresztą ona sama przyznawała czasem, że mocno popiła poprzedniego wieczoru, przepraszając i śmiejąc się z samej siebie. Robiła to tak naturalnie i z taką świadomością swoich czynów, że człowiek tracił pewność siebie i myślał: „Dobrze, jesteśmy przecież dorośli i sami najlepiej wiemy, co robimy”. „Wyciągnij z tego morał, Alice. Powinnaś założyć Stowarzyszenie Anonimowych Szpiegów i zostać jego pierwszym członkiem. Cześć, mam na imię Alice i jestem szpiegiem, jeszcze mało doświadczonym, ale szpiegiem. Witaj, Alice”.



I wtedy kurier przyniósł mi wynik testu na pokrewieństwo Stephena i Chrisa. Był w tekturowej kopercie, cienkiej i dyskretnej, bez żadnego logo firmy czy nazwiska nadawcy. Ale wiedziałam, co jest w środku. Myślałam o tym każdego

dnia. Czekałam na to z niecierpliwością, prawie tak samo, jak na powrót Johna z jego misji. A mimo to zaskoczyło mnie, że się nie zdenerwowałam, że serce nie zabiło mi mocniej i nie miałam żadnych innych objawów. Czyżbym przyzwyczajała się już do życia między tym, co nielegalne, a tym, co zabronione? Przed otwarciem koperty nawet nie wykonałam żadnego rytuału. Dostałam ją, otworzyłam i popatrzyłam. Były to trzy kartki z różnymi wyjaśnieniami i danymi. Ale liczyło się tylko jedno zdanie:

Prawdopodobieństwo pokrewieństwa: 0,00001%.

Sama nie wiem, czy ta bliska zeru możliwość mnie wkurzyła, czy raczej dodała otuchy. Ponieważ w rzeczywistości bardzo bym się ucieszyła, gdyby to okazało się wyjaśnieniem całej tajemnicy – gdyby Chris był spokrewniony ze Stephenem. Gdyby byli rodziną, a w związku z tym, ja też bym nią była.

Co ciekawe – to, co myślałam, że mnie pogrzyży, wskazało mi drogę. Żyłam w strachu, że znajdę się w ślepej uliczce, że obudzę się pewnego dnia i nie będę miała się czego uchwycić. Zawsze musiałam mieć otwartą drogę, okno, przez które mogłabym wejść albo uciec. Jednak w tym przypadku, wykluczając tak solidny ślad, zamiast poczuć, że się oddalam, czułam, że przybliżam się do celu. To mnie pobudziło, ożywiło. Teraz już naprawdę trzeba było otworzyć cały wachlarz możliwości, przygotować nowe akwaria, które przyjmą inne rybki.

To spowodowało, że postanowiłam trzy rzeczy:

Po pierwsze, zrobić po dwa zegary każdego modelu. W ten sposób będę mogła wystawić te bez kamer, bez obawy, że zegary szpiegowskie trafią nie do tych osób, co trzeba. A jeśli będzie mnie interesował nabywca jakiegoś modelu, to sprzedam mu ten specjalny, zapakowany, który będę trzymała pod ladą. Oczywiście to wszystko wymagało dwa razy więcej pracy. Nie mogłam już stracić ani sekundy. Nawet na to, by się zbesztać, gdyż to był oczywisty sposób rozwiązania tej sprawy, a wymyślenie go zajęło mi prawie miesiąc.

Po drugie, już więcej nie iść do łóżka z Markiem.

Po trzecie, nazwać swoje stoisko na targach „Alice in Wondertime”¹⁶. Bo to był mój czas. Mój moment. I musiałam go wykorzystać.

Dni 297–306. Rok I p.Ch.

Po raz pierwszy, odkąd dni i lata liczyłam według „kalendarza Chrisowego”, poczułam, że zmęczenie fizyczne wzięło górę nad zmęczeniem psychicznym. Ból pleców przewyciężył ból duszy. Dziękowałam za to w duchu. To było o wiele znośniejsze. Musiałam zarywać noce, żeby zdążyć na czas – spałam średnio po cztery godziny – i całkowicie zniknęłam z bieżącego życia wyspy. Niemal wszystko, co nie miało bezpośredniego związku z Olivią, Ruby i, oczywiście w mniejszym stopniu, z Kucykiem, ulotniło się na półtora miesiąca. Na inaugurację Cherry Blossom Art Fair stawiałam się z siedemdziesięcioma dwoma zegarami, po dwa z każdego z trzydziestu sześciu różnych modeli, które zaprojektowałam. Pomimo zmęczenia i podkrążonych oczu – jakich nigdy wcześniej nie miałam – byłam szczęśliwa. Udało się. Ale to wszystko sprawiło oczywiście, że po drodze zostawiłam kilka ofiar.

– Dlaczego nigdy nie pozwalasz sobie pomóc? – zapytała Miriam. Moje wycofanie bardzo ją bolało. – Proponuję ci pomoc przy zegarach. Odmawiasz. Dobrze, rozumiem. To są twoje rzeczy, twoja sztuka. Szanuję to, podziwiam, uwielbiam to, co robisz. Potem z życzliwością proponuję ci pomoc przy rozłożeniu stoiska. Też nie. Później nie chciałaś mnie przy obsłudze klientów, a nie po to zajmuję się sprzedawaniem, żebyś musiała siedzieć tam sama przez cały dzień. Możemy się przecież zmieniać, bez prowizji czy czegoś podobnego w zamian, tylko ze względu na przyjaźń, bo lubię z tobą przebywać, spędzać z tobą czas, śmiać się, ale też nie. Nie wiem, jestem zdezorientowana, bo myślę, że może ty wcale nie chcesz, abym była twoją przyjaciółką. Sprawiasz, że czuję się jak uciążliwa sąsiadka. Cholera, to mnie zasmuca. Bo bardzo mi na tobie zależy. Sprzedałam ci dom najtaniej, jak mogłam, ponieważ od czasu, gdy cię poznałam, zauważyłam, że czuję z tobą pewną więź, przekazałaś mi bardzo pozytywną energię. Dostrzegłam twoją siłę i wrażliwość. Widzę wszystko. I zobacz, popatrz na nas, stoimy tutaj i kłócimy się pierwszy raz, co zawsze jest ważnym wydarzeniem w relacjach wszystkich przyjaciół, ale zauważ, co się dzieje: cały czas tylko ja mówię, nie wiedząc, co ci siedzi w głowie. Bo prawie niczym się ze mną nie dzielisz.

Następnego dnia poszłam do niej do domu z zegarem (szpiegowskim, rzecz jasna) w kształcie księżycy w pierwszej kwadrze, uśmiechniętego i otoczonego gwiazdami, które tworzyły cyfry.

– Szczęśliwej pierwszej kłótni – powiedziałam nieśmiało, wręczając jej zegar.

– Myślisz, że minie mi złość za sprawą zegara w kształcie księżycy, bo wiesz, że jestem Rakiem i jestem podatna na zmianę nastrojów?

– Tak, tak właśnie myślę. A że dzisiaj jest pełnia, to będziesz łagodniejsza.

– Widzisz? – powiedziała, już płacząc. – Ty znasz mnie tak dobrze. Ale czy ja znam ciebie?

Zapadła cisza. Po chwili wypaliłam. W jej stylu.

– Nie pozwalam ci, żebyś mi pomagała, ponieważ odkąd zmarł mój mąż, nikomu nie pozwalam sobie pomagać. Tym bardziej nie pozwalam, by ktokolwiek wchodził do mojego życia. Jesteś bez wątpienia osobą, której najbardziej pozwoliłam się do siebie zbliżyć. Tobie może się wydawać, że to mało, bo to jest mało, wiem o tym. Ale dla mnie to jest dużo. To wiele znaczy. I zapewniam cię, że jesteś moją przyjaciółką. A skoro już mówimy sobie o wszystkim, to powiem, że jesteś też trochę uciążliwa. Ale wiesz co? Cieszę się, że taka jesteś; wiem, że jesteś osobą zaufaną i chociaż nie nadużywam tego zaufania, to bardzo pomaga mi to, że wiem, że jesteś blisko i mogę na ciebie liczyć. I ja też poczułam tę więź, kiedy cię poznałam. I gdybyś nie dała mi zniżki na ten przepiękny dom i nie byłabyś moją kochaną sąsiadką, to możliwe, że nie podjęłabym tak radykalnej decyzji w swoim życiu. A ponadto jestem Rybą z ascendentem w Raku i księżyc w pełni też ma na mnie duży wpływ. Ogromny – powiedziałam i też się rozplakałam.

Uścisnęłyśmy się. I płakałyśmy razem. Potem mnie zapytała:

– Czy to oznacza, że pozwolisz mi pomóc sobie w targach?



Podczas pierwszych dni targów praktycznie wyczerpałam zapasy towaru, zbierając przy tym mnóstwo pochlebstw. Otrzymałam nawet propozycję od bardzo drogiego i ekskluzywnego sklepu z artykułami dekoracyjnymi z Martha's Vineyard, gdzie za zegary pewnie mogliby wyszarpać sporo pieniędzy od nieliczących się z nimi bogaczy (ja sprzedawałam je po siedemdziesiąt – sto dolarów). Sukces był tak wielki, że musiałam nadal pracować nocami, aby przygotować kolejne partie. Najważniejsze było to, że wielu sąsiadów z wyspy – tych, którzy mnie interesowali – już kupiło albo zamówiło zegary. Krótko mówiąc, moje kamery miały zostać „zaadoptowane” i akwaria umieszczone w wielu domach.

Julia i Mark spacerowali między stoiskami, trzymając się za ręce. Ale w miarę jak zbliżali się w moją stronę, Mark stawał się opieszalszy – kto wie, może chciał uniknąć spotkania trzech stron, a może naprawdę zamierzał kupić tę laskę, którą zobaczył dwa stoiska wcześniej, ze stuletniego orzecha i z ręcznie wyrzeźbionym uchwytem z kości słoniowej. Nie przestawał jej podrzucać, jakby to był rapier muszkietera.

– Cześć, Alice.

– Cześć, Julio.

– Ty to zrobiłaś? – zapytała, podziwiając zegary.

– Tak.

– Są piękne. Kupiłabym wszystkie.

– Dziękuję.

Dlaczego komplement pochodzący z jej ust miał dla mnie większe znaczenie od innych? Aż się zaczerwieniłam. Julia skupiła uwagę na zegarze z twarzą słonia.

– Ten pasowałby idealnie do pokoju Olivera.

– Jeśli go kupisz, drugi dam ci za połowę ceny. Do twojego gabinetu. – „Uważaj, bo domyśli się, o co ci tak naprawdę chodzi”. – Czy gdzie tam zechcesz.

– Ten z okładek starych książek wygląda, jakby został zrobiony specjalnie dla mnie.

W rzeczy samej, tak to sobie wykonywałam.

– To prawdziwe okładki starych książek, które znalazłam na pchlim targu – powiedziałam, nie przywiązując do tego wagi.

– A zatem dobrze, wezmę oba.

– Nie, nie, zaczekaj!

Olivia przybiegła z Oliverem. W zasadzie nie trzymali się za ręce, to raczej Olivia mocno ścisnęła jego dłoń i ciągnęła go za sobą. Odkąd zniknął śnieg, była pełna energii.

– Dla Olivera jest zegar Puchi-Puchi, żeby miał taki sam jak ja.

Pewnego dnia Olivia zobaczyła, że robię zegar w kształcie szopa. „Ten jest dla mnie, mamu. Puchi-Puchi jest do mojego pokoju”, powiedziała. Na co ja: „Nie, dziecko, to są zegary na targi”. Chociaż później pomyślałam: „Zaraz, a może to jest jednak dobry pomysł. Umieszczenie kamery w jej pokoju pozwoliłoby mi obserwować ją, kiedy jest sama, by w ten sposób lepiej poznać jej obsesyjno-kompulsyjne zachowania i jej pomóc”. Ale nie. Jak mogłabym zrobić coś takiego własnej córce? Jak mogłabym szpiegować córkę? Nie, nie mogłam tego zrobić. A gdyby mnie przyłapała? Nigdy by mi tego nie wybaczyła. Co ze mnie byłaby za matka, gdybym nie potrafiła pomóc swojej córce w przezwyciężeniu nerwicy natręctw bez uszanowania jej prywatności, kontrolując każdy jej ruch? Nie, nie mogłam umieścić kamery w zegarze Puchi-Puchi. Ona była przecież kolejną ofiarą, podobnie jak ja. Tak więc dokończyłam zegar Puchi-Puchi bez szpiegowskiej kamery i zaniósłam do jej pokoju. „Gdzie chcesz go powiesić, Oli?” Olivia rozejrzała się dookoła, szukając odpowiedniego miejsca. Nie mówiąc ani słowa, wzięła jedną ze swoich kredek świecowych, weszła na łóżko i namalowała malutki punkt, który – mogłabym przysiąc – był dokładnie na środku ściany, niczym w układzie współrzędnych kartezjańskich, gdzie przecinają się osie X i Y. Bałam się nawet wbijać gwóźdź, gdyż najmniejsze odchylenie mogło oznaczać dramat. Może przeznaczeniem mojej córki jest zostać wielką matematyczką albo astrofizyczką jak Stephen Hawking, z wizją przestrzenną wykraczającą daleko poza czarne dziury? Kiedy skończyłam, zobaczyłam skrzywioną buzię Olivii.

– O co chodzi?

– Źle ci wyszło.
– Nie, Oli, wbiłam tam, gdzie mi pokazałaś.
– Mówię o zegarze. Źle wyszedł.
– Dlaczego?
– Jedna wskazówka jest większa od drugiej.
– Ale tak musi być. Krótka wskazuje godziny, a długa minuty. – Nie wyglądała na przekonaną. – Nastawić ci go?

– Nie. Chcę, żeby zawsze jedna wskazówka była na górze, a druga na dole.
– A nie będziesz chciała wiedzieć, która jest godzina w danym momencie?
Nie chcesz słyszeć tykania zegara?

– Nie. Duża na górze, a mała na dole.
– Chcesz, żeby zawsze była szósta po południu?
– Godzina szopa Puchi-Puchi – powiedziała z wielką stanowczością.
– No dobrze. Godzina szopa Puchi-Puchi. Zegar zostanie tak już na zawsze.

A teraz Olivia chciała, żeby Oliver miał w swoim pokoju replikę jej zegara (w nim – i owszem – była zamontowana kamera szpiegowska). W żadnym wypadku nie chciałam sprzedać zegara z kamerą do pokoju jakiegokolwiek dziecka. Nie wydawało mi się to... „Chcesz powiedzieć etyczne? Masz czelność wymawiać słowo «etyka»? Nie, nie etyczne. Nie wydaje mi się to przyzwoite. Pewnie, bo cała reszta jest przyzwoita”.

– Prawda, że jest śliczny? Nie chcesz mieć takiego samego zegara Puchi-Puchi jak ja? Chcesz, Oliver? Chcesz?

Oliver wzruszył ramionami, nie potrafiąc się sprzeciwić Olivii. „Źle ci to wróży na przyszłość, chłopcze”.

Cóż, mogłam nie włączyć kamery, ale byłam zła, że zmarnuję jedno ze swoich akwariów.

Julia wyglądała na zachwyconą całą sytuacją. Ostatnio wyglądała na zachwyconą niemal przez cały czas. Była o wiele bardziej uprzejma i towarzyska.

Gdy zawijałam oba zegary w folię bąbelkową, podszedł do nas Mark, trzymając w ręce laskę, czym zadał kłam mojej teorii, że chciał uniknąć kłopotliwej sytuacji dla nas obojga.

– Zobaczcie, jaka piękna laska. – Podrzucił ją dwa razy niczym mażoretka.
– Kochanie, po co ci laska? – zapytała Julia.
– Dodaje mi powagi, nieprawdaż? – powiedział, opierając się na niej, jakby był angielskim lordem.

– Tak, jasne, bardzo dużo powagi... Kupiłam dwa zegary od Alice. Zapłać, bo ja nie mam już gotówki.

– Tylko po to jestem ci potrzebny, żebyś wyciągała ode mnie kasę.
– Kochanie, rocznie zarabiam dziesięć razy więcej od ciebie – powiedziała rozbawiona, nie mając jednak zamiaru go urazić, po czym dała mu buziaka.

Zbierało mi się na wymioty, gdy przyglądałam się tej prozaicznej scenie. Widziałam ich już mnóstwo za pośrednictwem donosiciela – zachowywali się tak, kiedy byli sami, ale patrzenie na nich, gdy mówią i robią takie rzeczy, było dość nieprzyjemne i wywoływało smutek, ponieważ przypominało mi to, jak zachowywałam się z Chrisem. A teraz był tu Mark, który wyglądał na oddanego i zabawnego męża, zakochanego w swojej żonie i w swoim życiu, a jednocześnie miał romans ze mną. Czyżby Mark był wiernym odzwierciedleniem Chrisa? Czyżby pokazywał mi jego *modus operandi*, drogę prowadzącą do ujawnienia jego podwójnego życia?

– Zobaczmy się dziś wieczorem? – zapytał Mark.

Zaniepokojona zwlekałam z odpowiedzią, jakbym zapomniała, że Julia właśnie odeszła, żeby obejrzeć apaszkę, a Oliver i Olivia już z powrotem wałęsali się między stoiskami.

– Ostatnio bardzo mnie zaniedbywałaś – nie dawał za wygraną. – Unikasz mnie?

– Nie unikam cię. Byłam bardzo zajęta.

Odkąd rozpoczęłam produkcję zegarów i obiecałam sobie, że już nie pójde z nim do łóżka, uległam tylko raz. W dniu swoich trzydziestych czwartych urodzin. 21 lutego. Oczywiście nie powiedziałam mu, że mam urodziny, nie chciałam, żeby czuł się aż tak ważny. Ale ja potrzebowałam je uczcić. Bo mimo że przedpołudnie spędziłam z Olivią i Ruby na przejażdżce na kucyku w Horse Rush Farm, a potem przygotowałam uroczysty obiad, na który przyszły Miriam i Chloe, czułam w środku jakiś supeł, który tylko Mark mógł rozwiązać. A najgorsze było to, że to zrobił – że przez godzinę, którą spędziliśmy razem na jego łodzi, czułam się dobrze. I nie podobało mi się to. Chciałam tylko, żebyśmy się kochali i nic więcej. Żeby pozbyć się ciężaru i napięcia. Ale dał mi (albo sprawił, że poczułam) coś, co do tej pory dawał mi tylko Chris: schronienie. Potrzebuję mieć swój kąt, swój pancerz, swoje miejsce na świecie. Wszystko uporządkowane. Od czasu do czasu potrzebuję położyć się skulona w pozycji embrionalnej. Objąć się i kochać. Objąć kogoś, kto mnie kocha, i żeby ten ktoś mnie objął i kochał. Wszystko to się wydarzyło. Przynajmniej w mojej głowie i w sercu. Być może trwało to tylko kilka sekund, ale wystarczyło, żeby uruchomiły się wszystkie moje alarmy, żebym wstała i szybko stamtąd wybiegła, podając mało wiarygodną wymówkę („Muszę pójść do apteki, zanim zamkną, bla, bla...”). Czyżbym się zakochiwała? Byłam zakochana? Tak się wystraszyłam, że wykluczyłam jakiegokolwiek kolejne spotkanie.

– Zrobiłem coś złego?

– Nie, nie zrobiłeś nic złego, przeciwnie, wszystko robisz bardzo dobrze. Nic, tylko na was patrzeć.

Nie mogłam się powstrzymać przed nutą złośliwości. Musiał zdać sobie z tego sprawę, bo uśmiechnął się do mnie uprzejmie, z ulgą. Tak jakby

w rzeczywistości martwił się tylko moją ewentualną utratą zainteresowania, a nie tym, że nie kochaliśmy się od trzech tygodni. Poza tym uwielbiał to, że jestem zazdrosna.

– Sto pięćdziesiąt dolarów – powiedziałam. Gdyby płaciła Julia, wzięłabym tylko sto dwadzieścia.



I nagle w środku tego nadmiaru zajęć, jakbym nie miała już wystarczająco dużo na głowie, biorąc pod uwagę cały ten pośpiech, zmęczenie, nadzieje, godziny spędzone na targach, zarwane noce, zegary i akwaria, jeden z donosicieli – jakby chciał odzyskać dobre imię przed pójściem w zapomnienie po przegranej z obrazem – zarejestrował następującą rozmowę w sypialni Summer:

Summer (histeryczny płacz): Cholera, co to jest? Ale ohyda! Ciociu Jenny! Co się ze mną dzieje?!

Jennifer: Spokojnie, Summer. Odeszły ci wody. Wszystko jest pod kontrolą. Zadzwoń do Bena, żeby przygotował ambulans wodny.

Summer: To jest lepsze. Co za obrzydlistwo! Jest gorzej niż w filmach.

Jennifer: Summer, spokojnie, oddechaj, nie dzieje się nic, co nie byłoby normalne w takiej sytuacji. Jest już ponad dwa tygodnie po terminie. Przedwczoraj oglądał cię ginekolog i rozwarcie było minimalne. Chodź, idziemy do samochodu. Możesz chodzić?

Summer: Nie, cholera, nie zdążymy dojechać do szpitala! Wypada mi, czuję to!

Jennifer: Skurcze są jeszcze bardzo rzadkie. Jest wystarczająco dużo czasu, żeby zdążyć do szpitala.

Summer (urywany oddech): Uderz mnie w twarz. Uderz, ciociu Jenny, histeryzuję ze zdenerwowania, uderz mnie w twarz, tak jak potrafisz, proszę.

Cisza. Uderzenie w twarz.

Summer (szlocha, ale jest spokojniejsza): Dziękuję.

Cztery dni później Summer i Jennifer wróciły do domu z dzieckiem. Podczas przerwy na obiad zamknęłam stoisko na targach i poszłam razem z Miriam i dziewczynkami złożyć im wizytę, z prezentem w postaci zegara szpiegowskiego, rzecz jasna.

Olivia (wręczając jej zegar): To zegar wieloryb. Jest ode mnie, Miriam, Chloe, Ruby i mamy.

Summer (sprawiając wrażenie nieobecnej): Dziękuję.

Jennifer z trudem ukrywa smutek. Bardziej niż narodziny przypomina to wszystko pogrzeb.

Miriam (szepcze do Jennifer): Myślę, że zaczyna mieć świadomość tego, jaka była nieświadoma.

Jennifer (nie spodobała jej się ta uwaga): Jest zmęczona, to wszystko. To był bardzo długi poród.

Dziewczynka zaczyna płakać. Jest głodna. Wychodzimy.

Zostają same.

Jennifer: Musisz nakarmić dziecko.

Summer: Nie, bo zdeformują mi się piersi. Czytałam w Internecie.

Jennifer (cierpliwie): Summer, to jest dla niej najzdrowsze. Pomaga jej tworzyć własną naturalną ochronę.

Summer: Ochronę przed kim? Przed tobą? Więc ja się nakarmię.

Jennifer (tracąc cierpliwość): Masz ją nakarmić! W tej chwili!

Nieustannie kłótnie przerywały tylko wtedy, gdy ktoś je odwiedzał. Wówczas się uśmiechały i stwarzały pozory, że wszystko jest w porządku. Mniej więcej, ponieważ Summer nie wysilała się za bardzo, by udawać.

Wizyta Aleksa i Amandy, już z widocznym brzuszkiem, co potwierdzało teorię, że przyspieszyli ślub z powodu ciąży:

Amanda: Aj, już nie mogę się doczekać, kiedy będę miała własne.

Summer: Weź ją sobie, będziesz mogła poćwiczyć.

Wizyta Karen:

Karen (pijana): Jaka ona śliczna... A ojciec jej nie odwiedza?

Summer: Tak, już idzie, zaraz tu będzie. Zaczekaj, to ci go przedstawię...

Gniewna mina Jennifer.

Summer: Nie, no co ty, to żart. Ojciec nie żyje.

Nie żyje? Powiedziała: nie żyje? Zatrzymałam i przewinęłam wideo.

Summer: Ojciec nie żyje.

Jeszcze raz.

Summer: Ojciec nie żyje.

Jeszcze raz.

Summer: Nie żyje.

Cisza. Cisza. Cisza.

Wzięłam kalendarz. Summer urodziła 298. dnia p.Ch. Według wyznaczonego terminu miało to być ponad dwa tygodnie wcześniej. Tak więc prawdopodobna data porodu wypadła na około 278–284. dzień p.Ch. Jeśli odejmiemy czterdzieści tygodni ciąży, czyli dwieście osiemdziesiąt dni, to do zapłodnienia doszło około dnia 0 p.Ch., kilka dni wcześniej albo kilka dni później. Mogło się zbiec z ostatnim wyjazdem Chrisa. Znowu to samo? Naprawdę rozważałam taką możliwość? Nie, nie takie pytanie powinnam sobie postawić. „To nie czas na pytania, Alice, zadałaś już sobie wszystkie możliwe pytania. Teraz jest czas odrzucania, rozwiewania wątpliwości, eliminowania zmiennych z równania”. Tak, nie, być może. Dlaczego Chris nie miałby przespać się z osiemnastoletnią piękną o filigranowym, proporcjonalnym i zmysłowym ciele, o blond włosach i

zielonoszmaragdowych oczach? Chris, którego znałam, a przynajmniej tak mi się wydawało, nigdy by tego nie zrobił. Przenigdy. Ale teraz jego postać była bardzo daleko. Nieostra. Zamazana. Czy tego właśnie chciałam? Zetrzeć i pozbyć się go raz na zawsze? Nie, chciałam go odzyskać. Tęskniłam za nim. Dlatego to wszystko robiłam.



Na zakończenie tygodnia targów, jakby oficjalnie zainaugurowano sezon porodów, zadzwoniła do nas Barbara, aby powiedzieć, że kucyk Snow White zaraz się oźrebi.

Myślałam, że poród odbędzie się w stajni, w zamknięciu, ale nie. Stało się to na środku pastwiska. „W miejscu, które wybrała mama kucyk”, powiedziała mi Barbara.

– Chodź, Olivio, chodź ze mną. Podejdz. Nie bój się. Pomożemy Snow White – powiedziała Barbara do Olivii. Wzięła ją za rękę i bardzo ostrożnie i delikatnie przeprowadziła ją przez cały proces, sprawiając, że czuła się tak, jakby to ona sama wykonała całą pracę. – Widzisz, jak zaczyna wychodzić? Złap tutaj, złap za nóżki dziecko kuczka. Mocno. I ciągnij, ciągnij bez obaw.

Niewiele razy widziałam Olivie tak szczęśliwą i podekscytowaną jak wtedy, gdy własnymi rękami wyciągała kuczka z jego matki, gdy obserwowała, jak pokazuje się główka zawinięta w łożysko. Bardzo się wzruszyłam, przypominając sobie pomoc Barbary, kiedy na świat przychodziła Ruby.

– To chłopiec czy dziewczynka? – zapytała Olivia, chodząc wokół kuczka i licząc mu nogi. Tak, cztery, żadnej nie brakowało.

– Dziewczynka – odpowiedziała Barbara. – W naszej rodzinie są same dziewczyny.

– Dziewczynka! Super!

Kiedy źrebię wstało, Olivia zaczęła je ścisnąć, nie przejmując się tym, że pobrudzi się lepłą mieszanką zawartości łożyska i krwi. Dobry krok w kierunku pozbycia się jej manii czystości.

– Mogę już na nim jeździć, Barbaro? Mogę?

– Nie, jeszcze nie. Trzeba trochę poczekać, ale teraz możesz nadać mu imię.

Olivia zaczęła nerwowo podskakiwać, jakby chciało jej się siku, i wymieniać rozmaite imiona, które po chwili z różnych powodów odrzucała. „Szkoda, że nie może być Puchi-Puchi, bo jest już jeden Puchi-Puchi, i to jaki!” Nadawanie imion nie sprawiało jej najmniejszego problemu. Stało się to jedną z jej ulubionych rozrywek (ZOK). Jednak w tym przypadku sprawa była o wiele poważniejsza. Szukała imienia dla swojego kuczka. Miał zostać jej na całe życie. Nie mogło to być jakieś przypadkowe imię. Musiała wymyślić coś wyjątkowego, niezwykłego, coś...

Nagle Oli się zatrzymała, jakby niespodziewanie, bez ostrzeżenia, wyczerpała się jej bateria.

– Sunset – powiedziała. – Będzie miała na imię Sunset¹⁷.

Nie wiem, czy była świadoma, że właśnie w tej chwili zachodzące słońce znajdowało się za młynem, który przecinał je na pół, że kiedy to powiedziała, była prawie szósta po południu, czyli godzina, którą na zawsze wybrała dla swojego zegara, i że kucyk był tej samej miedzianej maści (z wyjątkiem grzywy i nóg, które były białe), co kolor chmur, nadających oprawę temu momentowi. Momentowi, którego nigdy by nie przeżyła, gdyby jej ojciec nie umarł i nie znalazłybyśmy się na wyspie. Momentowi, którego ani ona, ani ja nigdy nie zapomnimy. Poczułam się lekka i szczęśliwa jak rzadko kiedy. Wreszcie wszystko się układało i miało sens. Właśnie tworzył się nowy świat, którego obie potrzebowałyśmy.

Dni 307–328. Rok I p.Ch.

Tak jak przewidziałam, zdobyłam nagrodę za najlepsze stoisko na Cherry Blossom Art Fair. Siedem i pół tysiąca dolarów, które chciałam przeznaczyć na kupno i utrzymanie kuczka Olivii. Nie potrzebowałam pieniędzy. Miałam znacznie lepszą nagrodę: moje dwa dwudziestosiedmiodłowe monitory, które przekazywały obraz z czterdziestu ośmiu kamer. Czterdzieści osiem akwariów w trzydziestu czterech domach. Chociaż powinnam powiedzieć odwrotnie: trzydzieści cztery domy w czterdziestu ośmiu akwariach. Moje jedno wielkie akwarium. Oglądanie tego spektaklu czarno-białej codzienności (monitory ustawiłam na czarno-biały obraz, żeby był płynny) zakrawało na mały cud. Nigdy nie sądziłam, że zajdę tak daleko. Jednak moja euforia szybko zamieniła się w zmartwienie. Chociaż obejmowałam dopiero niewielki procent gospodarstw domowych na wyspie, około dwadziestu pięciu procent, nie byłam w stanie tego ogarnąć. Jeśli chciałabym śledzić wszystko, co otrzymywałam, nie miałabym czasu absolutnie na nic więcej. Zbyt szybko biegłam i straciłam kontrolę. Wykonałam zbyt duży skok. Uczucie spadania, którego doświadczałam od czasu śmierci Chrisa, momentami przyprawiało mnie o zawroty głowy. „Nie musisz oglądać wszystkiego i przez cały czas – powtarzałam sobie, nie wiedząc, na czym skupić uwagę. – Musisz dać się ponieść. Stopniowo zaczniesz kontrolować sytuację i będziesz w stanie rozróżnić to, co ważne. Zwłaszcza że tak naprawdę przeważnie nie dzieje się nic interesującego”.

Co ciekawe, przez pierwsze dni moją uwagę zawsze przykuwało to, co już znałam: pierwsza kamera, którą umieściłam, ta w Karen's Petite Maison, i druga, ta u Franka w Family Pet Land. Obserwowanie Karen, która robiła to samo, co zawsze (czyli najczęściej piła), uspokajało mnie. To, co na początku wywoływało we mnie frustrację i poczucie, że stoję w miejscu, teraz przynosiło ukojenie, bezpieczeństwo i sprawiało, że czułam się jak w domu. A poza tym podsycalo moje oczekiwania i kontrolowało moją niecierpliwość, kiedy przypominałam sobie, że zostało już niewiele czasu do tak wyczekiwanego powrotu Johna. To akwarium było niczym kompas. A północ wskazywała Johna.

Natomiast obserwowanie Franka było jak patrzenie na horyzont, żeby oczy mogły odpocząć po wielogodzinnej pracy z komputerem. To był inny sposób czuwania. Nie chodziło o ustalanie faktów w moim śledztwie. Chodziło o skupienie się na konkretniej osobie i troszczenie się o nią i jej dobre samopoczucie. Lubiłam to robić: w środku nocy wybiegać z domu, przedostawać się wózkami golfowymi do Family Pet Land i uniemożliwiać Frankowi posilenie się pokarmem dla kotów z puszki, którą właśnie otworzył i której zawartością ceremonialnie smarował bajgiel, mając zamiar ją degustować, jakby był to pasztet strasburski. Przypuszczam, że ta pomoc humanitarna sprawiała, że czułam się jeżeli nie lepiej,

to chociaż trochę mniej źle, gdyż niemożliwe było obserwowanie tych wszystkich akwariów i zachowanie spokojnego sumienia. Tak więc Frank, z tym swoim roztargnieniem, zapominaniem, swoim nowym upodobaniem do karmy dla kotów i swoją „Rose tu” i „Rose tam”, przyczyniał się do usprawiedliwienia tej całej szopki, którą urządziłam.

Inną rzeczą, która pomagała mi zachować równowagę, było wykorzystywanie akwariów pod kątem poszukiwania ewentualnych klódek albo małych zamków, do których pasowałby Klucz Master. Robiłam zdjęcia ekranu z różnych pomieszczeń, żeby potem móc je powiększać i dokładnie oglądać. Skoncentrowanie się na czymś tak określonym, jak to, utrzymywało mnie na powierzchni i zapobiegało mentalnej powodzi.



W ciągu pierwszych tygodni po targach sztuki lista podejrzanych powiększyła się o trzy osoby. Myślę jednak, że miało to związek bardziej z moją potrzebą usprawiedliwienia tej całej akcji rozmieszczania akwariów niż z pojawieniem się prawdziwych tropów.

Carrie Anne Kowalsky, panna, siostra bliźniaczka Mindy Bishop, właścicielki Le Cafe, mieszkała w Hartford w stanie Connecticut, ale często przyjeżdżała na wyspę, by odwiedzić swoją siostrę, chociaż w rzeczywistości był to pretekst do podrywania facetów. Zatrzymywała się w małym domku przylegającym do domu Bishopów, ale cieszyła się tam całkowitą prywatnością, a ponadto jacuzzi na świeżym powietrzu. Idealne miejsce do schadzek. Stan Connecticut był jednym ze stanów, gdzie Chris jeździł najczęściej. Sprawdziłam umowy WTT i znalazłam jedną, sprzed trzech lat, na renowację kortów tenisowych w Hartford Tennis Club. Z tych powodów Carrie Anne Kowalsky została podejrzaną numer siedemnaście.

Gail Siegal, właścicielka apteki, szefowa strażaków i oficjalna pielęgniarka na Robin Island, oszukała swojego wujka, Donalda Wilkinsa, kiedy ten przyszedł sprawdzić los na loterię. Cierpiał na częściową głuchotę i nie usłyszał krótkiego dźwięku, jaki wydała maszyna Massachusetts State Lottery, skanując los i pokazując nagrodę. Cztery tysiące pięćset trzydzieści osiem dolarów. Gail postanowiła zachować pieniądze dla siebie, ponieważ jej wujostwo, Wilkinsowie, byli bardzo bogaci, a przy tym tak samo skąpi. Nigdy niczego od nich nie dostała, chociaż codziennie przychodzili do jej domu, aby sprawdzić ciśnienie cioci Christinie. Poza tym mieli na wyspie kilka niezamieszkanymi nieruchomości, a tymczasem ona musiała znosić u siebie w domu swojego brata, Curtisa, bezrobotnego i niedawno rozwiedzionego. Podzieliła się z nim połową wygranej. Dzień później pożałowała. Chciała zwrócić pieniądze, ale jej brat się na to nie zgodził i wziął całą sumę, obiecując, że się wyprowadzi. Gail, zanurzona w studni

poczucia winy, ostatecznie z własnej kieszeni wyjęła cztery tysiące pięćset trzydzieści osiem dolarów i oddała wujkowi Donaldowi. „Zobacz, wujku, wygrałeś na loterii!” A Curtis i tak się nie wyprowadził. Z tych powodów uznałam Wilkinsów, wszystkich razem, za podejrzanych numer osiemnaście.

Suzette Tompkins, nasza cudowna instruktorka pilatesu, poszła na casting do *The Voice*. Widziałam, jak w domu nagrywała prezentację na wideo:

Cześć, nazywam się Suzette Tompkins i mieszkam na Robin Island, wysepce, której prawie nikt nie zna, między Martha's Vineyard i Nantucket. Mam dwadzieścia osiem lat i jestem instruktorką pilatesu, chociaż zawsze marzyłam o tym, żeby zostać piosenkarką. Moją idolką jest Taylor Swift. Dlatego zaśpiewam *You Belong With Me*. Jadę do was.

Wypadła naprawdę nieźle. A kiedy śpiewała, przypomniałam sobie, że ostatnią osobą, którą Chris zaczął obserwować na Instagramie, była Taylor Swift, chociaż nigdy wcześniej nie przejawiał najmniejszego zainteresowania ani nią, ani jej muzyką. Z tych powodów uznałam Suzette Tompkins, chociaż odpadła w castingu, za podejznaną numer dziewiętnaście.



Mike porwał Sandy, psa Miriam. Wszedł do domu, kiedy – jak co tydzień – byliśmy na zajęciach pilatesu. Gdy Miriam wróciła, psa już nie było. Ani śladu po nim. Szefowa Margaret, przy współpracy z burmistrznią Gwen DeRoller i zastępem strażaków, zebrała grupę wolontariuszy do poszukiwań Sandy. Podzieliliśmy się strefami i przeczesywaliśmy wyspę, ale bez powodzenia.

- Mamo, czego szukamy?
- Sandy, pieska Miriam. Zgubił się.
- To dlatego Miriam jest smutna?
- Tak, Oli.
- Ja nie chcę, żeby Miriam była smutna.
- Ani ja, kochanie.
- Mam dobry pomysł, mamusiu.
- Jeśli chcesz zasugerować, żebyśmy oddały jej Kucyka, to od razu ci mówię, że nie.
- Skąd wiedziałaś?
- Bo jestem czarownicą i czytam w twoich myślach.
- Ach, tak? To o czym teraz myślę?
- Teraz nie myślisz, teraz liczysz listwy w płocie domu Burrów.
- Jejku, naprawdę jesteś czarownicą! – wykrzyknęła na poły wystraszona, na poły urzeczona.

Miałam nagranie, które obciążało Mike'a, ale z oczywistych powodów nie mogłam go wykorzystać. Mimo to zasugerowałam Miriam, że to może jej eks stoi

za tym, co ona sama już wcześniej podejrzewała – chciał wykorzystać to jako kartę przetargową podczas prawnej batalii o opiekę nad Chloe. Jednak w trakcie przesłuchania przeprowadzonego przez szefową Margaret Mike zapewnił, że nic nie wie o sprawie i zupełnie go to nie obchodzi. „Sandy spadł z nieba, więc może w taki sam sposób odszedł”. Mike nie zgodził się na przeszukanie Dirty Works bez nakazu sądowego, którego nie mogli zdobyć. Mnie najbardziej martwiło to, że mógł zabić psa. Nieraz próbowałam umieścić donosiciela albo akwarium w Dirty Works, ale było to miejsce trudne do sforsowania. Mike miał zamontowane kamery, które pilnowały budynku z zewnątrz. Pomyślałam, że jedyną możliwością, żeby dostać się do środka, jest nawiązanie z nim bliskich relacji, na co nie byłam w stanie się zdobyć. Na razie.



Trzy tygodnie po porodzie Summer znów ją odwiedziłam. Już czwarty raz. Staralam się wykorzystać każdą chwilę nieuwagi czy nieobecności Summer, żeby pobrać próbkę śliny dziecka, ale nie miałam szczęścia. Powoli zdobywałam jej zaufanie, żeby się przekonać, czy ujawni mi coś o rzekomo nieżyjącym ojcu noworodka. Też nic. Zazwyczaj przychodziłam do niej wtedy, gdy Jennifer wychodziła na zakupy. Bez niej Summer była bardziej rozmowna. Rozluźniała szyki obronne, a nawet słuchała i można było zobaczyć, jaka jest naprawdę: zagubiona i przestraszona dziewczynka, która właśnie została matką. „Coś ci to przypomina, Alice?”

– Na pewno chcesz pójść z nią na spacer?

Zaproponowała mi, żebym zabrała dziecko na spacer, nawet na dwie godziny. Zdaniem Jennifer nie było takiej potrzeby, bo ona mogła to zrobić. Zresztą dziewczynka więcej czasu spędzała z nią niż z własną matką, która tylko ją karmiła piersią (ostatecznie wynegocjowała z Jennifer, że będzie jej dawać pierś trzy razy dziennie; reszta z butelki), a poza tym siedziała zamknięta w swoim pokoju. Powiedziałam jednak Jennifer, że jej też dobrze by zrobił krótki odpoczynek (naprawdę widać było, że jest zmęczona). Wyglądało to tak, jakby obie cierpiały na depresję poporodową.

– Jasne, że tak. Ty przez cały rok tak fantastycznie zajmowałaś się moimi córkami. Odpoczywaj. Porozmawiaj ze swoją cicią. I kiedy mówię: porozmawiaj, to znaczy porozmawiaj, a nie kłóć się. Wrócę za dwie godziny na jedno z twoich trzech karmień. (Ups, lapsus, nie powinnam wiedzieć, że jedno z karmień, które zostało wynegocjowane, odbywa o trzeciej po południu. Co za niezręczność. Fatalnie. Ale Summer była tak nieobecna, że się nie zorientowała). – Tak z ciekawości: nadałaś już imię dziewczynce?

Summer zaprzeczyła, kręcąc głową. Zwilgotniały jej oczy.

– Nie przejmuj się, jeszcze je wymyślisz. Nie ma pośpiechu.

Myślałam, że na tym etapie mojej działalności jestem już przyzwyczajona do robienia „złych” rzeczy, do nieosądzania i niepotępienia siebie. Ale nie. Kiedy dyskretnie pobierałam próbkę śliny dziecka w środku dnia w Shoreline Park, czułam, że krew płynęła w moich żyłach nie tak, jak powinna – wydawało się, jakby bawiła się ze mną w chowanego. Wcale nie pomagała świadomość znikomego prawdopodobieństwa, że dziecko Summer jest dzieckiem Chrisa.

– Możemy dać jej na imię Olivia? – zapytała Olivia.

– Nie może mieć takiego samego imienia jak ty, kochanie.

– Ale to jest bardzo ładne imię.

– Tak, ale ludzie by się mylili.

– No to Olivia Druga.

– I przestań już z tymi numerami, córeczko...

– Mamo, a ty możesz mieć więcej dzieci? – zapytała bez zastanowienia.

– Jasne.

– Z tatą?

„Ech, co? Jak to z tatą? Ależ dziecko, co to za pytanie?”

– Oli, myślę, że na razie jest nam dobrze we trzy, prawda?

– Tak, na razie tak. – Odetchnęłam z ulgą. – Ale jeśli później będziemy chciały mieć kolejne, to mogłoby być taty?

Zamarłam. Co jej powiedzieć?

– Nie, Oli, nie mogłoby być taty.

– Aha, okej – powiedziała, usiłując ukryć rozczarowanie. Kolejna trauma dopisana do listy?

– Olivia Druga to jest dobre imię, jak tak sobie teraz myślę... – postanowiłam zmienić temat. – Jeśli chcesz, możemy nazwać dziecko Olivia Druga.

Zanim udałam się do laboratorium DNA w Mashpee, zostawiłam Olivię na jej cotygodniowej sesji terapeutycznej. Pozbywszy się początkowej nieufności, teraz chodziła tam zachwycona, żeby mówić – jak twierdziła – o „swoich sprawach”. Dzięki temu czuła się dorosła. Ruth, jej psycholożka, opowiedziała mi, że Olivia mnóstwo razy czuła się w szkole fatalnie, bo ledwo mogła pohamować impulsy obsesyjno-kompulsyjne, i że jednocześnie wstydziła się, że inni zobaczą, jak liczy różne rzeczy, i że czasem nie wychodziła na przerwę, aby poustawiać ławki i krzesła, które były supernieuporządkowane (*sic!*), albo wycierała tablicę, bo przeszkadzały jej ślady kredy, albo temperowała swoje kredki (a także te, które miała w zasięgu ręki), żeby nadać im taką samą długość. Pozytywne było to, że wydawało się, iż tych nowych manii nie przybywało. Narodziny Sunset, lekcje jazdy konnej, które rozpoczęła z Barbarą, i marzenia o tym, by zostać wybitną amazonką, bez wątplenia przyniosły owoce. Bardzo pomagało to, że miała w życiu cel, coś, czego mogła się uchwycić. Teraz, krok po kroku, trzeba było zacząć

„negocjowanie”, żeby porzuciła niektóre ze swoich manii i żeby zdała sobie sprawę, że świat się z tego powodu nie skończy. „Nasz świat już się skończył prawie rok temu”, kusilo mnie, żeby jej powiedzieć, i to nie raz. Ale Ruth nie była moją psycholożką, tylko Olivii. Chociaż przy okazji jednej z wizyt nie mogłam się powstrzymać i zapytałam, czy rozmawianie z samą sobą na głos, i to często, całymi godzinami, jest symptomem czegoś. A ona odpowiedziała: „Nie, symptomem czegoś jest niesłuchanie samej siebie”.



Myślałam, że Conrad, dyrektor oddziału banku, umarł. Pewnego piątkowego wieczoru zasnął na sofie przed telewizorem, jedząc chipsy tortilla z masłem orzechowym. Nic dziwnego. Następnego dnia wciąż spał. Też nic dziwnego. Ale do pierwszej po południu się nie obudził, a jego pies Chubs wyjadł masło orzechowe ze słoika i oblizał twarz Conrada, który w ogóle nie reagował. Oddycha czy nie oddycha? Trudno było ocenić, ale nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, a Conrad zawsze głośno chrapał. Miałam jego numer telefonu. Dał mi go już dawno temu, mówiąc: „Jeśli zechcesz, w któryś weekend wybierzemy się na spacer z psami i będziemy mogli porozmawiać bez dzielącego nas biurka”. Nigdy do niego nie zadzwoniłam. Aż do teraz. Nie odebrał. „Co robić?”, zastanawiałam się. Chociaż tak naprawdę jeśli nie żył, niewiele mogłam i powinnam zrobić. Zadzwoniłam drugi raz. W końcu się obudził. Nie zdążył odebrać telefonu, z czego się ucieszyłam. Wydawało się, że czuje się dobrze, był trochę zamroczony, ale nic mu nie dolegało. Co takiego wziął, że przez czternaście godzin spał jak zabity? Zganił Chubsa za to, że wyjadł masło orzechowe. Zrobił sobie brunch (gofry z syropem truskawkowym i jajecznicę na bekonie), wziął prysznic i do mnie oddzwonił.

– Cieszę się, że dzwoniłaś, Alice. Chociaż się też zmartwiłem, bo pomyślałem, że może coś się stało. Coś się dzieje?

– Nie, nie, nic. Chciałam tylko zapytać, czy miałbyś ochotę na spacer z psami. Ale może teraz jest już trochę późno... – powiedziałam, starając się wymigać.

– Dlaczego trochę późno?! Bynajmniej. To idealna pora. Będziemy mogli obejrzeć razem zachód słońca.

Nie mogłam powiedzieć nie. To nieuniknione, że obserwując przez akwaria ryby, mieszkańców wyspy, moich sąsiadów, znajomych i przyjaciół, zaczynałam się martwić o nich i być odpowiedzialna za ich dobre samopoczucie. Dbać o nich. Przychodziło mi to w sposób naturalny. Przybyłam na wyspę, żeby ją zdobyć, pokonać i rzucić do swych stóp, a teraz okazuje się, że zaczynam wygrywać i nie pociąga to za sobą negatywnych skutków.

Spacer z Conradem był raczej przyjemny. Widać było, że jest bardzo

wdzięczny za towarzystwo, a ja czułam się i dobrze, i źle. Dobrze, bo zgodziłam się na spacer, a źle, bo nie zrobiłam tego wcześniej. Przy okazji dowiedziałam się, że jest znakomitym naśladowcą. Strasznie się ubawiłam, kiedy robił chronologiczny przegląd prezydentów Stanów Zjednoczonych, parodiując ich najślynniejsze wypowiedzi i gafy. Akurat kiedy był przy Billu Clintonie i jego pamiętnym: „To był seks oralny, ja byłem pasywny, więc się nie liczy”, mijaliśmy Marka, który widząc, jak pokładam się ze śmiechu, z pewnością pomyślał: „Zamieniłaś mnie na tego grubasa?”. Przynajmniej ja myślałam, że tak właśnie pomyślał. Korzystając z tego przymusowego spaceru, kiedy już wracaliśmy, zapytałam Conrada, jakby ze zwykłej ciekawości, o to, co dzieje się z pieniędzmi na rachunku, kiedy właściciel konta umiera i nikt się o nie nie upomina. Powiedział, że jeśli nie ma współwłaściciela konta ani spadkobierców albo sposobu, by się z nimi skontaktować, to pieniądze zostają zamrożone. „W Stanach Zjednoczonych jest ponad trzydzieści miliardów dolarów, o które nikt się nie upomina. Szaleństwo”. Powiedział mi też, że istnieje strona internetowa, missingmoney.com, dotycząca tego problemu. Weszłam na nią od razu po powrocie do domu. Szukałam nazwiska Chrisa i swojego, ale niczego nie znalazłam. To odkrycie ani mnie nie ucieszyło, ani nie zasmuciło. Jedna rzecz mniej. Jedna rzecz więcej. W zależności od tego, jak na to spojrzeć.

Mark kilka godzin po tym, gdy zobaczył mnie na spacerze z Conradem, przysłał mi następującą wiadomość (potwierdzając teorię, że jest zazdrosny):

Pojedźmy razem na weekend do Nowego Jorku. Tęsknię za Tobą.

Wkurzyłam się, czytając to. Natychmiast dostałam białej gorączki. „Że też masz czelność... Wiesz, w czym rzecz? Że masz wszystko: dom, żonę, dziecko, psa i kochankę. Prawdziwy amerykański sen. Skoro już jest ci tak dobrze z Julią, to z nią jedź do Nowego Jorku. A zresztą powinienes mi za to podziękować, bo byliście w rozsypce, kiedy was poznałam... Tak więc, proszę cię, ciesz się swoją żoną i swoim idealnym życiem i zostaw mnie w spokoju!”, powiedziałam sama do siebie, próbując stłumić ochotę, by pojechać z nim do Nowego Jorku. Udało mi się. Połowicznie, ale mi się udało.

Nie wiedziałam tylko, że ta wiadomość miała przyczepioną bombę. Zdałam sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy wybuchła.

Sypialnia Marka i Julii. Dzień 325. Godzina 17.30.

Mark wychodzi spod prysznica. Ręcznik ma zawiązany wokół bioder. Julia stoi przy komodzie, ma poważny wyraz twarzy.

Julia: Kogo zaprosiłeś na weekend do Nowego Jorku?

Mark: Nie wiem, o czym mówisz.

Mark orientuje się, że Julia ma jego telefon.

Mark: Dlaczego zaglądasz do mojego telefonu? Po kiego diabła go wzięłaś?

Pobiegłam po komórkę na kartę, której używam do komunikacji z Markiem.

Była wyciszona. Sprawdziłam, czy ktoś dzwonił. Nie. Musiałam wysilić pamięć, żeby sobie przypomnieć, że nie mam aktywnej poczty głosowej.

Julia: Od tygodni jesteś taki sam jak wcześniej.

Mark wkłada białą koszulkę, chociaż jest mokry. Jest zdenerwowany.

Julia: Znowu dzieje się to samo.

Mark: Czyli co?

Julia: Unikasz mnie, jesteś nieobecny.

„Dlaczego nie skasował wiadomości? Zrobił to celowo. Chciał, żeby go przyłapała. To jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy”.

Mark: Przypominam ci, że to, co mi się przytrafiło, było z twojej winy.

Julia: Ach tak, a to co ma być? Twoja zemsta? Nie, przepraszam, następstwo twojej zemsty...

Mark: Nic mi nie jest. Oddaj telefon.

Mark włożył slipy i dżinsy, jakby wstydził się kłócić nago albo jakby chciał być ubrany na wypadek, gdyby musiał uciekać.

Julia: Komu wysłałeś wiadomość?

Mark: Oddaj mi ten pieprzony telefon!

Julia: Wolisz, żebym sama zadzwoniła, żeby sprawdzić?

Mark: Oddawaj mi go!!

Julia: Numer znam na pamięć.

Julia rzuca mu telefon do rąk, delikatnie, bez agresji. Mimo to wypada Markowi na podłogę, na wykładzinę, ale chyba jest cały.

Mark (patrzac, czy telefon działa): Wysłałem koledze.

Julia (cytuje z pamięci): „Pojedźmy razem na weekend do Nowego Jorku. Tęsknię za Tobą...”. Koledze? Uważasz, że jestem idiotką? Nawet nie masz zapisanego tego numeru.

Mark: Jak dobrze się składa, że mnie przyłapałaś, masz już materiał do swojej powieści. Biegnij, zacznij pisać.

„Co zamierzasz, Mark? Zwrócić jej uwagę? Odplacić się? Oczyszczyć? Zemścić się? Na niej? Na mnie? Ale jak można być takim kretyńcem? Ty jesteś kretyńcem, a ja kretyńką!”

Mark wychodzi. Boso, w ręku trzyma buty sportowe.

Julia zostaje sama. Bierze swój telefon. Wstukuje numer.

„Nie dzwoń, Julia”.

Powstrzymuje się przed wykonaniem połączenia. Ostatecznie rezygnuje.

Połówka valium.

Skasowałam wszystkie wiadomości. Wyjęłam kartę SIM z telefonu. Chciałam ją zniszczyć. Powstrzymałam się. Czemu miałyby służyć jej zniszczenie? Lepiej ją zachować, lepiej mieć sytuację pod kontrolą.

Markowi nie przyszło do głowy, żeby do mnie zadzwonić albo wysłać

wiadomość o tym, co się stało. Byłam mu za to wdzięczna, ponieważ czując wielką złość, myślę, że nie mogłabym się pohamować i wyrzuciłabym mu to, co zobaczyłam. Nie rozumiałam jego bezczelnego i dwuznacznego zachowania. Byłam zszokowana, widząc go takim. Jakby był zupełnie inną osobą niż ta, którą znałam. Czyżby przy mnie odgrywał inną rolę? Przypuszczam, że tak samo, jak ja przy nim. Kiedy widziałam go z Julią, czułam zazdrość. Lecz było coś, czego jeszcze bardziej nie mogłam znieść: nie podobał mi się ten krnąbrny Mark. Odsuwałam się od niego. To było pozytywne, prawda? Nie, wiedziałam już, że niekoniecznie.

W każdym razie, odsuwając na bok wszystkie emocjonalne konotacje, teraz należało sprawdzić, czym było to, o czym wspomnieli. „Przypominam ci, że to, co mi się przytrafiło, było z twojej winy”, zarzucił jej Mark. O czym mówił? Jediną rzeczą, która minimalnie jednała mnie z tak zachowującym się Markiem, była chęć dowiedzenia się, czy to nie on przyczynił się do kryzysu/depresji Julii, osobistej, emocjonalnej czy twórczej. Czy to sama Julia, sprawiająca wrażenie, jakby zapadała się w bagno, ostatecznie doprowadziła do kryzysu w ich małżeństwie? Czyżby miało to jakiś związek z Chrisem? Powątpiewałam w to, ale... dlaczego Mark nic mi o tym wszystkim nie powiedział? Dlaczego nie usprawiedliwił swojego cudzołóstwa? Byłam mu za to z drugiej strony wdzięczna. Nie jest zbyt miło mówić drugiej osobie, że flirtujesz z nią tylko z powodu urazy.

Julia każdego ranka przychodziła do Le Cafe. Nie musiano wymyślać bardziej pomysłowej nazwy, ponieważ była to jedyna kawiarnia na wyspie. Julia siadała przy stoliku tuż przy oknie wychodzącym na Grand Ave i przez wiele godzin pisała na swoim laptopie. Obserwowałam ją przez akwarium, które tam umieściłam. Właścicielka kawiarni, Mindy Bishop, zamówiła u mnie zegar w kształcie filiżanki parującej kawy. Powiesiła go na ścianie tuż nad ladą, obok oprawionego w ramkę pierwszego dolara, którego zarobiła po otwarciu lokalu. Dzięki temu miałam doskonały widok na wszystkich klientów.

Weszłam, udając roztargnioną, jakbym nie dostrzegła Julii (i jakbym nie przyszła tam z zamiarem zobaczenia się z nią). Podeszłam do lady, przywitałam się z Mindy i zamówiłam mokkę na wynos.

– Cześć, druhnno – powiedziała do mnie Julia, prawie nie odrywając wzroku od monitora i nie przestając pisać.

– O, cześć, Julio, jak się masz? Nie wiedziałam, że przychodzisz tutaj pisać.

– Nie piszę. Stukanie w klawiaturę to nie pisanie.

Nagle Julia zamknęła laptopa. Była zła. Przestraszyłam się, myślałam, że na mnie naskoczy, że dowiedziała się, iż wiadomość od Marka była dla mnie. Julia musiała dostrzec moje przerażenie, gdyż się uspokajająco uśmiechnęła.

– Dziś nie jest dzień na pisanie. Lepiej się nie zmuszać. Kiedy nie wychodzi, to nie wychodzi.

– I co wtedy robisz?
– Źle się czuję, wątpię w siebie i zamieniam kawę na kieliszek wina. Piszesz się na to?

– Piszę się.

– Mindy, podasz nam dwa kieliszki białego wina?

Mindy układała babeczki, które sama upiekła.

– Nie mam zezwolenia na sprzedaż napojów alkoholowych.

– E...? – nie dawała za wygraną Julia, pokazując, że jesteśmy same w kawiarni. – Dwa kieliszki tego chardonnay, które trzymasz w lodówce, proszę.

Począwszy od tamtego dnia, moje spotkania z Julią w Le Cafe stały się częste. Polubiłam ją – lubiłam z nią rozmawiać, spoufalać się i zasięgać języka. Ale myślę, że robiłam to przede wszystkim dlatego, że im bliżej byłam niej, tym bardziej oddalałam się od Marka. Tym bardziej panowałam nad pokusą. Tak jakby w moim umyśle było jakieś prawidło, które nakazywało mi zająć stanowisko: albo jedno, albo drugie. Albo Mark, albo Julia. Ale nie oboje. „Wybieraj, Alice”.

Dni 332–336. Rok I p.Ch.

Nie wiem, czy opuszczenie wyspy zaledwie miesiąc po „zainstalowaniu” wszystkich zegarów szpiegowskich było torturą czy ulgą, czy może połączeniem tych dwóch odczuć (cały czas się jeszcze uczyłam korzystać z takiej liczby akwariów i z takiej ilości danych), ale we wszystkich szkołach były wiosenne wakacje. A poza tym mogłam łączyć się z nimi przez laptopa, a nawet przez telefon komórkowy.

Olivii się nie spodobało, że musi rozstać się z Pandą, Sunset i Oliverem, więc przez całą drogę liczyła słupy telefoniczne przy drodze. Dochodziła do stu i zaczynała liczyć od początku, uprzednio robiąc sobie kreskę długopisem na wierzchu dłoni. Mnożyć nauczyła się wcześniej, niż pisać. Czuła, że to podstawa, aby mieć kontrolę nad swoimi rzeczami.

Od razu po przyjeździe poszliśmy do Holy Name Church, kościoła katolickiego moich rodziców, na recital chóru seniorów, do którego należała moja matka (to ona go założyła). Gdy śpiewali *Es ist ein Ros Entsprungen* Michaela Praetoriusa, zaczęłam czuć mrowienie na całym ciele, a w uszach słyszałam delikatny gwizd, jakby brakowało mi cukru i było to preludium do omdlenia. Przez chwilę zrzucałam to na karb tego, że nie byłam w tym kościele od czasu mszy pogrzebowej Chrisa. Potem pomyślałam, że mogło to mieć związek z tym, że – pomimo godnych pochwały wysiłków, pięknej inicjatywy, a także dumy z mojej matki – nie śpiewali zbyt dobrze. Ale nie, tak naprawdę nie sądziłam, że było to spowodowane którąkolwiek z tych rzeczy. W każdym razie te objawy ustąpiły natychmiast, kiedy popatrzyłam na Olivię. Była jeszcze bledsza niż ja.

– Mamo...

– Co ci jest, córeczko?

– Kręci mi się w głowie...

– Znowu, kochanie?

Olivia przytaknęła.

– Recital zaraz się skończy. – Wzięłam ją na ręce i posadziłam na kolanach.

– No tak, liczysz słupy, jadąc samochodem, więc to normalne, że kręci ci się w głowie.

Tyle że od naszego przyjazdu minęły już dwie godziny, a wcześniej nie zauważyłam u niej żadnych tego typu symptomów. Jej zawroty głowy nie miały nic wspólnego z ośmioma tysiącami czterystu sześćdziesięcioma czterema słupami, które naliczyła, podobnie jak moje nie miały nic wspólnego z fałszującymi głosami.

Wcześniej położyłam Olivię do łóżka. Jej objawy były kalką tych, które miała podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Zawroty głowy, podwyższona temperatura, duszność, pieczenie i wysypka na łokciach. Ewidentne objawy

psychosomatyczne. To wyglądało tak, jakby czuła – podobnie jak ja – że lekarstwo na nasze choroby znajduje się na wyspie. Lekarstwo, które będzie w stanie sprawić, że poczujemy się dobrze. I nie chciała zbaczać z drogi prowadzącej do ozdrowienia. Mojego ozdrowienia. Naszego ozdrowienia.

Zasnęła, kiedy głaskałam ją po głowie. Odprężało mnie kreślenie abstrakcyjnych figur na jej jasnych, gładkich włosach, identycznych jak włosy Chrisa, który zresztą też uwielbiał, gdy go tak dotykałam, przede wszystkim kiedy siedzieliśmy na sofie, oglądając nasze ulubione seriale. Po dniu 0 już nigdy nie byłam w stanie wrócić do żadnego z nich, chociaż nadal je emitowano. Byłoby mi zbyt smutno. Tak więc nie wiem, co się stało z moimi ukochanymi Donaldem Draperem i Tyrionem Lannisterem, a przede wszystkim z moimi (oraz Chrisa) ulubionymi postaciami – Walterem Whitem i Jessem Pinkmanem. Zostały nam do obejrzenia dwa ostatnie odcinki *Breaking Bad*. Trzymaliśmy je niczym największy skarb na wyjątkową okazję, która nie zdążyła się pojawić. Przezornie unikałam wszelkich rozmów na temat tych seriali. Nigdy nic nie wiadomo.

Mój ojciec obserwował nas, opierając się o framugę drzwi. Nie wiem, jak długo tak stał. Był bardzo dyskretny. Odkąd przyjechałam, niewiele rozmawialiśmy, między innymi dlatego, że moja matka zdominowała wszystkie konwersacje.

– Pamiętasz pradziadka Ernsta?

– Tego z marynarki handlowej?

– Tak, tego.

– Bardzo słabo. Tylko z opowieści twoich i dziadka Vince’a.

– Uwielbiałem chodzić do portu, żeby go pożegnać, kiedy odpływał, i popatrzeć, jak podnosi kotwice na tych wielkich okrętach. Pracował w maszynowni, wsypywał węgiel do kotłów. Za każdym razem, kiedy wracał po kilku miesiącach spędzonych na pełnym morzu, przytrafiało mu się to samo.

– To znaczy co?

– To, co Olivii. To się nazywa syndrom zejścia na ląd.

– Wyspa to nie jest statek, tato.

– Dla niej może jest. – Zawahał się. – I może dla ciebie też, bo widzę, że jesteś bardzo blada. – Pauza. – Statek w środku burzy, którzy zboczył z kursu.

– Tato, ciągle wyjeżdżamy i wjeżdżamy na wyspę. Może to dlatego, że Olivia cieszy się z nadejścia wiosny?

– Tak, może – powiedział, nie chcąc dalej ciągnąć tej rozmowy.

Jego przekaz był jasny i klarowny. Przez moment czułam się jak szpiegowany szpieg. Jakby mój ojciec śledził z bliska wszystkie moje poczynania od śmierci Chrisa.

– Tato, czy to on się powiesił?

– Tak – odparł, wychodząc z pokoju.

Nie mogłam spać. Swędziały mnie nogi, a kiedy się zapominałam, zaciskałam zuchwę. Dreszcze, wynikające z niezafatwionych spraw, przeszywały moje ciało. Mark, Julia, Summer, Jennifer, John, Karen, Frank i tak dalej. Czułam, że domagają się mojej uwagi. Wołali mnie z mojego wnętrza. Byli zamknięci w moim umyśle. Albo gorzej: ja byłam zamknięta w ich umysłach. Niczym tkwiące głęboko obrazy, które pozostają przez kilka chwil w siatkówce nawet po zamknięciu oczu. To, co widzi mózg, kiedy oczy przestają patrzeć. I w tym przypadku te obrazy nie znikaly. „Masz drgawki, Alice”. I nagle, nie zdając sobie z tego sprawy, znalazłam się w gabinecie ojca naprzeciwko swojego laptopa, z przeglądarką internetową otwartą na stronie, która prosiła o wpisanie hasła, by dostać się do przekazywanych w technologii streamingu obrazów z kamer szpiegowskich. Kilka razy wpisałam i kasowałam hasło: Puchipuchi2015. Podróż do wyrzutów sumienia i z powrotem. „Alice, jesteśmy na wakacjach czy nie jesteśmy na wakacjach? Jesteśmy na wakacjach. A co się robi na wakacjach? Odpoczywa. I nie mów mi, że dopiero od niedawna masz akwaria, bo wcale nie od niedawna. Dobrze, może jednak? Ale nie miałaś chwili wytchnienia. Pracujesz od trzystu trzydziestu dwóch dni. Więc nic się nie stanie, jeśli odpocznesz przez kilka dni. Pięć dni, tylko pięć dni. Dobrze ci to zrobi”.

Opuściłam klapę laptopa. Położyłam się do łóżka, obróciłam się wokół siebie, a potem zrobiłam to samo w przeciwnym kierunku. Działo połowicznie.

„Dobrze, jestem na wakacjach, ale... Oglądanie zdjęć? Czy mogę chociaż przejrzeć nową partię zdjęć z kamery kamuflowanej na cmentarzu? To nie jest na wyspie. To jest tutaj. To jest dozwolone, prawda? (To była pierwsza rzecz, o której pomyślałam następnego ranka, kiedy zostałam sama. Rodzice zabrali dziewczynki do Roger Williams Zoo. Postanowiłam nie jechać. Była to dla mnie próba ognia – zostać kompletnie sama i nie ulec swojemu uzależnieniu. Chciałam wystawić się na próbę. Udowodnić sobie, że dam radę). Dobrze. Masz pozwolenie. Dwa tysiące siedemset dwadzieścia dwa zdjęcia. Tylko tyle? W ciągu trzech miesięcy tylko tyle zdjęć? Może kamera się zepsuła? Nie. Była zima. Ciężka zima. Zimą nikt nie przychodzi na cmentarz. Wszystko jest pokryte śniegiem. Zimą nawet martwi nie są martwi. Są zahibernowani”.

W ciągu zaledwie czterech godzin przejrzałam wszystkie zdjęcia. Nic. I teraz co? Terapia zajęciowa, tego potrzebowałam. „Od jak dawna nie malujesz? Mam na myśli malowanie dla siebie samej. Ech? Od jak dawna?”

Usiadłam na ganku przed białym płótnem ze swoimi farbami olejnymi i pędzlami. Zawsze zostawiałam zestaw malarski w miejscach, które uważałam za dom, w razie gdyby naszła mnie wena albo potrzeba, jak w tym przypadku. Zanim jednak pociągnęłam pędzlem, usłyszałam w telefonie sześć kolejnych sygnałów przychodzących wiadomości. Były od Marka:

Cześć, to ja, Mark.

Nowy numer, tylko dla Ciebie.

Jestem w biurze, zostanę tutaj przez kilka dni.

Z Julią nie układa mi się dobrze.

Przyjdź, kiedy zechcesz.

Przyjdź...

Zaczęły mnie swędzieć nogi. Czy przypadkiem ten syndrom abstynencji, na który cierpiałam i który przypisywałam zespołowi objawów *spy yonky* (zlekceważonemu, kiedy usłyszałam o nim od Antonia), nie miał też związku z Markiem? Czy przypadkiem nie starałam się od niego uwolnić? „Cześć, mam na imię Alice i od czterdziestu dziewięciu dni nie kochałam się z Markiem. Witaj, Alice”.

Pomyślałam, że nieobecność potęguje miłość albo nienawiść, albo i to, i to. Obserwowanie zachowania Marka w ostatnich tygodniach skłoniło mnie do refleksji, że może Chris oddalał się ode mnie, żeby nadal mnie kochać. Że może wyspa była miejscem, gdzie przyjeżdżał, żeby za mną tęsknić. Kiedy wracał, zawsze był bardziej namiętny niż w zwyczajne dni. Te, za którymi teraz tęskniłam. Za tymi namiętymi też oczywiście tęskniłam. Ale mniej.

Patrzyłam na białe płótno. Nałożyłam trochę czarnego koloru na paletę, wzięłam cienki pędzel, rozmieszałam farbę, zanurzyłam delikatnie włosie pędzla i napisałam w prawym dolnym rogu: „Alice 2016”. Czy to był teraz mój świat? Mały obraz, cały biały, pusty? Gdzie się podziały moje marzenia, żeby zostać wielką malarką?

Dostałam kolejną wiadomość. Tym razem od swojej matki:

Wracamy do domu, megadramat z Olivią. Teraz wszystko OK.

Gdy przyjechali, Olivia spała. Wyszłam do samochodu i wzięłam ją na rękę. Nie obudziła się, ale zwróciłam uwagę, że chwyciła się mojej szyi i mnie powąchała. Już czuła się bezpiecznie. Wzruszyło mnie to jej niezauważalne dla nikogo innego zachowanie. Przestraszyłam się na myśl, że rozchorowała się pod moją nieobecność, że mnie potrzebowała i że zależała ode mnie tak samo, jak ja od niej. Potężne, egoistyczne i niezbyt zdrowe uczucie.

Od razu po dotarciu do zoo i przejściu przez bramkę Olivia popędziła, niczym wystrzelona z procy, w stronę wybiegu dla pand rudych. Przywitała się z całą rodziną pand, nadając im imiona. A raczej numery. „Cześć, pando Numer Jeden; cześć, pando Numer Dwa; cześć, pando Numer Trzy; cześć, pando Numer Cztery; cześć pando Numer Pięć”. Potem mogli już spokojnie oglądać pozostałe zwierzęta. W porze obiadu kupili jedzenie na jednym ze stoisk. Poszli z nim na wybieg dla pand rudych, Olivia bowiem uparła się, że chce zjeść przy nich. I tak zrobili. „Jadła zbyt szybko i prawie nie przeżuwała, chociaż mówiłam, żeby tak nie robiła”. Ale ona się śpieszyła, gdyż chciała się bawić z pandami. Zwłaszcza z pandą Numer Pięć, która była najmniejsza. Kiedy mogła już do niej podejść,

okazało się, że jej nie ma. Zniknęła. Olivia dostała takiego napadu hysterii, że mój ojciec musiał pójść po opiekuna, który wytłumaczył jej, że z pandą Numer Pięć jest wszystko w porządku, że nie uciekła ani się nie rozchorowała, ani tym bardziej nie umarła, czego Olivia najbardziej się obawiała. Jednak zanim do tego doszło, zaczęła się dusić. Nie mogła oddychać. Moja matka zaczęła histeryzować. Pewien mężczyzna, który był tam z trojgiem dzieci, przejął kontrolę nad sytuacją – okazało się, że jest lekarzem. „Musiał być rozwodnikiem. Bardzo przystojny”, zauważyła moja matka w trakcie pełnego niepokoju sprawozdania. Zbadał Olivię, upewnił się, że się nie zadławiła, że drogi oddechowe są drożne. Jednak z każdą minutą było z nią coraz gorzej. Wziął ją na ręce i pobiegł do służb medycznych zoo. Tuż przed dotarciem na miejsce Olivia zwymiotowała i nagle ozdrowiała: nabrała rumieńców, oddech się ustabilizował, i po strachu. „Lekarz został do chwili, aż się nie upewnił, że wszystko jest w porządku. Podziękowałam mu i poprosiłam o numer telefonu i adres, żeby przesłać mu jakiś prezent za okazaną pomoc, chociaż w rzeczywistości pomyślałam, że byłby dla ciebie dobrą partią. Był bardzo przystojny, prawda George?” Przed powrotem Olivia chciała się jeszcze przekonać, że pandzie Numer Pięć nic nie jest. Nie wystarczyło jednak, gdy powiedział jej to pracownik zoo, musiała zobaczyć ją na własne oczy. „Patrz, widzisz, jak je pędy bambusa? Ale przestraszyłeś moją wnuczkę, Numerze Pięć”, zganiał pandę mój ojciec. „No więc tak, wstrząs anafilaktyczny – zakończyła moja matka. – Chcesz numer telefonu do tego lekarza? Ma na imię Donald. Mówiłam mu o tobie, powiedziałam, że jesteś bardzo ładna, a on odparł: «Jeśli jest pani córką, to nie mam najmniejszych wątpliwości». Czarujący, prawda? Ach, i potwierdziło się: niedawno się rozwiódł. I teraz przypadała jego kolej opiekowania się dziećmi. Tak, zapytałam go. Nie patrz na mnie takim wzrokiem jak twój ojciec. Zrobiłam to dla ciebie”.

Moja diagnoza różniła się trochę od diagnozy matki: Olivia miała atak paniki. Co w tak gwałtowny sposób wywracało się w jej małym ciele? Jej relacja ze zdarzenia w zoo była dosyć zwięzła, bezpośrednia i koszmarowa.

– Co ci się stało w zoo, kochanie?

– Poczulałam się źle, bo nie mogłam znaleźć pandy Numer Pięć. Myślałam, że odeszła. Jak tata. Ale potem wróciła, i tyle.

Staralam przekonać samą siebie, że była to tylko zwykła letnia burza, kiedy niespodziewanie mokniesz, ale bez żadnych konsekwencji. Co najwyżej katar. Jednak nie przestawałam myśleć o tym, że przecież ostatni raz byliśmy w zoo z Chrisem. Przed rokiem, też podczas wiosennych wakacji. Wtedy Olivia oświadczyła, że pandy rude są jej ulubionymi zwierzętami. Nie nadała im imion, gdyż nie miała jeszcze obsesji na punkcie porządku, kontroli i numeracji, ale owszem, też musieliśmy zawrócić i zjeść obiad koło wybiegu pand. Czyżby powtarzała ten sam rytuał, żeby sprawdzić, czy w ten sposób jej ojciec nie pojawi

się za rogiem, żeby ją podnieść i posadzić na barana?

Siedziałam w gabinecie ojca przed laptopem i znowu toczyłam boje o to, czy zajrzeć przez swoje akwaria, czy też nie. W rzeczywistości miałam je tak skonfigurowane, że nagrywały wszystko, co się działo. Tak więc nie było ryzyka, że coś mnie ominie. Zresztą tak było lepiej. Zostawić je na kilka dni, żeby nagrywały, a potem przejrzeć cały materiał. Byłby to szybszy proces, mogłabym oglądać wideo z czterokrotnym przyspieszeniem i zatrzymywać tylko wtedy, gdy zauważyłabym coś ciekawego. Zaoszczędziłabym dużo czasu. I to właśnie najbardziej mnie dręczyło: że chociaż wiedziałam o tym wszystkim, ledwie mogłam powstrzymać niewygodne łaskotanie, które czułam w środku. „Tylko jeden rzut oka. Tylko się upewnię, czy wszystkie rybki mają się dobrze i są w łózkach”. „Nie, wytrzymaj, to jest jak z whisky twojego ojca. Musisz czuć, że ty masz nad tym kontrolę, a nie to nad tobą”. Jednak zanim zdołałam wejść (bo jednak miałam zamiar to zrobić), usłyszałam płaczliwy głos Olivii.

– Dlaczego nie śpisz, kochanie?

– Śnił mi koszmar. Był w nim Puchi-Puchi, Numer Pięć, Panda, tata i Oliver. Wszyscy byli w klatce w zoo. Ja ich liczyłam, ale nigdy nie mogłam skończyć, bo myliłam się, zanim dochodziłam do pięciu, i musiałam zaczynać od początku.

– Już dobrze, to minęło, kochanie. Masz, napij się trochę wody. Jesteś odwodniona, spociłaś się.

Dałam jej wody, wytarłam pot z czoła i zmieniłam górną część piżamy, która była mokra.

– Mamo, czy jestem szalona?

Gdy usłyszałam to pytanie, w gardle stanęła mi gęsia skóra i zwilgotniały oczy.

– Nie, kochanie, oczywiście, że nie. Dlaczego tak myślisz?

– W szkole mówią, że jestem szalona, bo robię dziwne rzeczy, i że do psychologa chodzą tylko dzieci, które są szalone. Powiedzieli mi to Beth Yoxhimer, Eric Aver, Gordon Howie, Sandy Karstetter i Steve Poppler.

Wymieniła pięć imion w porządku alfabetycznym. To nie pomagało w zmniejszeniu mojego niepokoju.

– Nie jesteś szalona, Oli. Nie zwracaj na nich uwagi. Jesteś bardzo wrażliwa i jesteś jeszcze trochę smutna ze względu na tatę. To normalne. Nic się nie dzieje. W przyszłym tygodniu pojedziemy na spotkanie z Ruth i ona powie ci to samo.

– Nie chcę spotykać się z Ruth.

– Ale przecież lubisz się z nią widywać...

– Chcę się zobaczyć z Oliverem.

– Gdy tylko wrócimy na wyspę, pójdziemy się z nim zobaczyć.

– Nie, chcę się zobaczyć z nim teraz.

– Kochanie, od domu dzielą nas trzy godziny jazdy. I jest noc. Teraz nie możemy jechać.

– Odkąd wyjechałyśmy, nie łączy się ze mną przez FaceTime’a. Nie widzę go od trzech dni.

– Cóż, nic się nie stało, jeszcze to zrobi.

– Umarł?

– Kto? Oliver? Nie, oczywiście, że nie.

– Kiedy umarł tata, wyjechałyśmy na wyspę. – Wydaje mi się, że pierwszy raz powiedziała, że jej ojciec umarł, przynajmniej w tak jednoznaczny sposób. – Teraz wyjechałyśmy z wyspy, bo umarł Oliver?

– Nie, kochanie. Nie umarł. Nie wyjechałyśmy z wyspy. Oliver jest w swoim domu. Ma wakacje.

– Nie lubię wakacji. – Nie powiedziała tego jak rozhisteryzowane dziecko, ale z głębokim żalem. – Pojedźmy się z nim zobaczyć.

– Posłuchaj, nie wygaduj bzdur, bo się zezłoszczę. – Postanowiłam być twarda, żeby się przekonać, czy to coś zmieni. – Powiedziałam ci, że nie możemy, i koniec. No już, do łóżka. W tej chwili.

Cisza. Zastygła, nic nie mówiła, tylko uważnie patrzyła mi w oczy. Myślałam, że poskutkowało. Ale nie zamykała oczu ani nawet nie mrugała.

– Zamykam oczy i widzę go martwego, tak jak wtedy tatę. Potrzebuję go zobaczyć, mamusiu. Nie mogę oddychać. Nie mogę oddychać...

Nie byłam w stanie tego dłużej wytrzymać.

Nigdy nie włączałam tamtej kamery. Nie zbliżałam się do tamtego akwarium. Nigdy nie robiłam tego w pokoju osoby niepełnoletniej. Była to zasada, którą sobie narzuciłam. Nie włączałam jej nawet po to, żeby sprawdzić, czy działa. Ale tak, działała doskonale. Oliver zasnął z otwartą książką na klatce piersiowej. Na nocnym stoliku świeciła się lampka.

Olivia patrzyła na niego z bardzo bliska, niemal dotykała twarzą ekranu laptopa, jakby analizowała autentyczność tej sceny. Minęło trochę czasu, zanim się odezwała, zafascynowana obrazem, który emitował zegar szpiegowski.

– To moja książka, *Wyspa skarbów*. Zostawiłam mu ją. Czyta. Ale się cie...

– Dobrze, już wystarczy, zadowolona? Uspokoilaś się?

– Zaczekaj... Skąd mam wiedzieć, czy śpi, czy jest martwy?

– Kochanie, leży w łóżku i śpi, co ty też powinnaś w tej chwili robić.

Nagle Oliver delikatnie poruszył się, jakby chciał mi pomóc w wyjaśnieniu sprawy swojego zgonu.

– Poruszył się – powiedziała podekscytowana Olivia. – Widziałaś, mammo?

– Pewnie, że widziałam. Poruszył się, bo coś mu się śni.

– Zmarli nie śnią?

– Nie, kochanie, zmarli nie śnią.

– Myślisz, że śni o mnie?

– Na pewno tak...

Do tego momentu nie pomyślałam, że cały ten napad złości Olivii można było załagodzić, dzwoniąc do Marka albo Julii z prośbą, żeby następnego dnia Olivia mogła porozmawiać z Oliverem przez telefon albo przez Skype'a. Owszem, byłam wyczerpana i zdesperowana, ale dlaczego wcześniej nie wpadłam na to proste rozwiązanie? W co ja się wpakowałam? A przede wszystkim, w co wpakowałam Olivię?

– Posłuchaj, Olivio, to bardzo ważne, żebyś pamiętała, o czym wcześniej rozmawialiśmy. Pamiętasz?

– Tak, że to jest nasz sekret – powiedziała zahipnotyzowana, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Właśnie. Nie możesz powiedzieć nic a nic nikomu, ale to nikomu, nikomu.

– Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

– Nie, nie ma żadnych warunków. Koniec z warunkami.

– To jest bardzo mały warunek, mamó.

– Jaki?

– Że każdego wieczoru pozwolisz mi dać Oliverowi buziaka.

Westchnęłam, godząc się niechętnie. Olivia zbliżyła się do ekranu i dała Oliverowi buziaka.

– Dobranoc. – Poczula na ustach delikatne podrażnienie spowodowane elektrycznością statyczną ekranu. Roześmiała się. – Oj, oddał mi buziaka.

– To był prąd, Oli...

– Nie, to był buziak od Olivera. – Wyglądała, jakby ożyła. Była radosna i pełna energii. – I już nie kręci mi się w głowie.

– Wiesz co, Olivia? Jesteś pierdołą, jesteś manieryczna i jesteś straszną furiatką. – Zaczęłam ją przedrzeźniać: – Kręci mi się w głowie, kręci mi się w głowie, nie mogę oddychać, nie mogę oddychać...

Roześmiałyśmy się obie, jakby rozładowanie zmęczenia, które czułyśmy, starło wszystko, co złe z tego dnia, a nawet z całego życia. „Umieściłaś swoją córkę na swojej wyspie, Robinsonie Alice. Właśnie zrobiłaś z niej swojego Piętaszka. Cel osiągnięty. Gratulacje”.

Dni 337–342. Rok I p.Ch.

I wtedy wrócił. John. Nie zaskoczył mnie. Miałam to zaznaczone w kalendarzu. Dzień 337. p.Ch. Czekałam na niego. Myślę, że był to też jeden z powodów swędzenia mojego całego ciała w Providence. Pokładałam w tym tropie wielkie nadzieje.

Odrobiłam swoją pracę domową. Dzięki kamerom i donosicielom miałam pod kontrolą biuro, sypialnię, kuchnię i salon w hotelu. Poza tym kilka razy, wykorzystując nieobecność Karen (mówiąc nieobecność, mam na myśli też to, że czasem była po prostu pijana, prawie nieprzytomna), sprawdzałam Klucz Master; wkładałam go we wszystkie możliwe zamki, ale bez powodzenia. Znalazłam zdjęcia Johna z jego studenckich czasów, kiedy należał do drużyny futbolu amerykańskiego, jak również z okresu, kiedy był drugim trenerem zespołu. Na żadnym nie było Chrisa. Natrafiłam też na fotografię Johna, Marka i Keitha na pokładzie łodzi, łowiących ryby i pozujących z tuńczykiem błękitnym, mającym dwa i pół metra długości i ważącym sto dziewięćdziesiąt kilogramów. Zdjęcie to jedynie wywołało we mnie pragnienie łodzi i Marka. Mrok, wszędzie mrok.

Przez pierwsze dni John był milczący, poważny i zdezorientowany. Karen prawie się do niego nie odzywała. Opowiadała mi, że Johnowi trudno jest z powrotem zintegrować się ze światem po spędzeniu czterech miesięcy w łodzi podwodnej. Potrzebował czasu. Czasu, który poświęcał wyłącznie na przygotowanie żeglarskiego sezonu Ricka (na jego nieszczęście). Zabierał go wcześniej ze szkoły za przyzwoleniem dyrektora, który był jego bliskim przyjacielem. Nie chciał, by cokolwiek albo ktokolwiek zaprzepaścił uniwersyteckie szanse jego syna, a także jego największy cel: igrzyska olimpijskie w 2020 roku w Tokio.

W każdym razie nie zauważyłam żadnej wzmianki, gestu czy działania, które choćby w najmniejszym stopniu mogły go łączyć z Chrisem. Może pokładałam w wątku z Johnem zbyt duże nadzieje? Czego się spodziewałam po jego powrocie? Kolejny raz odniosłam wrażenie, że sama się oszukuję. Że ze wszystkich sił uchwyciłam się jego pośredniego związku z Chrisem. Jego powrotu. Przypuszczam, że po to, aby niekontrolowany pociąg mojego śledztwa się nie wykoleił. Żebym wiedziała, że po drodze jest przynajmniej jedna stacja. Powrót Johna. To był mój ręczny hamulec. A teraz miałam wrażenie, że minęłam tę stację. I co dalej? Dokąd mam iść? Ile jeszcze węgla mi zostało w kotłach obsesji?



- Olivio, nie możesz robić wszystkiego, co chcesz.
- Czego nie mogę robić?
- Dobrze wiesz, o czym mówię. W pokoju Olivera.

– Bawić się w lekarza?

– Tak, tego też nie. Ale nie udawaj mądrali. Widziałam cię. Kiedy do niego przychodzisz, to co robisz najpierw?

Cisza. Kilka razy przyłapałam Olivię na tym, że zaraz po wejściu do pokoju Olivera podchodziła do zegara i robiła dwie rzeczy: ustawiała wskazówki punktualnie na szóstą (bez względu na to, która była godzina) i poprawiała niewielkie odchylenie zegara od pionu, które przeszkadzało jej, kiedy wieczorami ze swojego łóżka mówiła Oliverowi dobranoc.

– Nie możesz przez cały czas poprawiać zegara w jego pokoju.

– Ale się przechyla.

– Kochanie, jeśli zobaczą, że grzebiesz przy zegarze, mogą się zorientować, że... Jest tam coś dziwnego.

– Bo jest coś dziwnego: jest krzywy... Spokojnie, mamó, robię to tak samo dobrze jak ty.

– Jak to jak ja?

– No jak ty. Żeby wszyscy wciąż myśleli, że jesteś dobra.

– A nie jestem dobra?

– Tak, pewnie, że jesteś dobra. Jak ja.

– Jak ty?

– Tak. Ja czasem robię złe rzeczy, ale jestem dobra.

„Dlaczego pozwalam, żeby moja własna córka się w to pakowała? A przede wszystkim musi milczeć, bo ma całkowitą rację”.

– Albo przestaniesz poprawiać zegar Olivera, albo skończy się mówienie mu dobranoc.

– Doooooobrze...

– No już, czas spać.

– Zobacz, mamó, zobacz! – wykrzyknęła, pokazując obraz z akwarium na laptopie. Oliver obrócił się wokół siebie raz w jedną, raz w drugą stronę, tak samo jak Olivia. – To ja go tego nauczyłam – powiedziała z dumą.

Julia, która kładła go do łóżka, popatrzyła na niego zdumiona.

Julia: Co ty robisz, Oliver?

Oliver: Odstraszam koszmara.

Mój Boże, niedługo cała wyspa będzie się obracać wokół własnej osi. Przed wyjściem z pokoju Julia podniosła coś z podłogi.

Julia: Nie zostawiaj tabletu na podłodze, bo znowu na niego nadepniesz i zepsujesz jak ten poprzedni.

To tłumaczyło zniknięcie Olivera w czasie wakacji.

Olivia pocałowała ekran laptopa. Znowu poczuła prąd i bardzo się ucieszyła.

– Dobranoc, Oli.

– Dobranoc i co jeszcze?

– Do jutra, Oli. – Do widzenia nadal było zabronione. Liczyły się tylko te słowa, które oznaczały kontynuację, które łączyły się z przyszłością; słowa, dzięki którym można było dalej iść przez życie.

Mark nie odezwał się tej nocy. Nie mam na myśli siebie, lecz jego dom. Nie pojawił się.



– Od kiedy się znamy? – zapytała mnie Julia.

– Chyba od ponad siedmiu miesięcy.

– Ja bym powiedziała, że od piętnastu dni. Od kiedy spotkałyśmy się tutaj i zamieniłyśmy kawę na wino.

– Tak, też racja... – To prawda, że poziom naszej zażyłości wzrósł w tej kawiarni, prawie zawsze pustej, tylko dla nas.

– Myślę więc, że nie minęło jeszcze wystarczająco dużo czasu...

– Na co?

– Żeby ci opowiedzieć, że kilka lat temu miałam romans.

Staralam się, żeby ani moja twarz, ani moje ciało nie zareagowały na falę dreszczy, które poczułam, słysząc te słowa. Romans. Kilka lat temu. Chris?

– Romans? Powiedziałaś romans? Co za koszmar – zgañiła się. – Jakbym była Nicholasem Sparksem. Czego bym chciała, nawiasem mówiąc... Spotykałam się z innym mężczyzną przez prawie trzy lata... A wiesz, jak Mark się dowiedział?

– Ruchem głowy odpowiedziałam, że nie wiem. – Czytając moją ostatnią powieść.

– Ale przecież w powieści nie ma mowy o żadnej niewierności.

– Właśnie dlatego. Tak bardzo starałam się to ukryć i o tym nie napisać, że ostatecznie zrobiło się to ewidentne. A do tego powieść okazała się bezwartościową szmirą – powiedziała, nie ukrywając złości. – Często się zastanawiam, do jakiego stopnia prowokuję rzeczy, które mi się przytrafiają, żeby mieć materiał do swoich powieści... Myślę, że boję się spokojnego życia. Apatia klasy średniej. Dobrze jest o niej pisać, ale nie w nią popaść.

– A zatem nie wiem, czy to jest odpowiednie miejsce na szukanie historii.

– To jest idealne miejsce na szukanie historii. Im więcej spokoju jest na powierzchni, tym więcej lawy gotowej do wybuchu jest pod nią. Co za gówniane zdanie. Nie pozwól mi, żebym kiedykolwiek napisała tak w książce. Chociaż teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że już to zrobiłam... – Beształa się tak samo, jak ja to robiłam w stosunku do siebie. Dzięki temu czułam się trochę normalniej. – W każdym razie uważaj.

– Na co?

– Na to, co robisz. – Podążanie za tym gównianym zdaniem podgrzało magmę mojej paranoi. – Wszystko, co widzę i słyszę, może trafić do jednej z moich powieści.



Dostałam przez kuriera wynik testu DNA.

Ruby i Olivia II.

Prawdopodobieństwo pokrewieństwa: 0,00001%.

Wiedziałam, że ta maleńka możliwość, którą tak konsekwentnie zaznaczali, te śmieszne drzwi, które zostawiali uchylone, wiązała się tylko z kwestiami prawnymi, żeby oszczędzić sobie ewentualnych pozwów.

Przyczepiłam wynik blu tackiem na tablicy.

„Cieszę się, naprawdę bardzo się cieszę. Ale to jeszcze nie koniec, Summer Monfilletto. Nie spocznę, póki nie odkryję, kim był nieżyjący ojciec Olivii Drugiej”.

To nieżyjący należy rozumieć w sensie dosłownym czy w przenośni? A poza tym skąd ten upór, skoro nie ma to już związku z Chrisem? Bo jestem ciekawa. Nie, to coś więcej. Mam potrzebę, by się dowiedzieć. Czyżbym trzymała się tej zagadki, ponieważ czułam, że nie mam już sznurków, za które mogę pociągać? Bałam się, że całą tę szopkę urządziłam na NIC.

Popatrzyłam na monitory. Na akwaria. Był to czas najintensywniejszego odbioru. Piąta po południu, kiedy wszystkie rybki wracają do swoich domów i zajmują się różnymi zajęciami. Pięćdziesiąt kamer umieszczonych po to, żeby zapełnić pustkę w moim życiu obrazami z głębi i z szumem. Nie mogłam dalej ciągnąć tych tortur i dywagacji, ponieważ uświadomiłam sobie, że coś jest nie tak. Inaczej. Nie tylko w jednym akwarium, lecz we wszystkich naraz. Nie potrafiłam jednak zidentyfikować problemu. Aż zobaczyłam Olivię. Była w domu ojca Henry’ego, w salonie, na swoich cotygodniowych zajęciach z jego córką. Podczas gdy Wendy poprawiała jej zadania z matematyki, Olivia wstała i podeszła do ściany, na której wisiał zegar w kształcie krzyża, zamówiony u mnie przez ojca Henry’ego. Zatrzymała się i popatrzyła przenikliwie w środek, bezpośrednio w kamerę, jakby patrzyła na mnie. I ustawiła zegar prosto. Kiedy skończyła, uśmiechnęła się, puściła oko do kamery (co właśnie nauczyłam ją robić) i wróciła do Wendy.

– Nie mogę w to uwierzyć... – wyszeptalam. – Ale co ta dziewczyna...

Wyrównała prawie wszystkie zegary w prawie wszystkich domach naszych sąsiadów na wyspie. To właśnie było „złe” – brakowało idealnie pionowego ustawienia. Jak mogła wydedukować, że skoro w jednym zegarze jest kamera, to są we wszystkich?

Żeby to wyjaśnić, postanowiłam monitorować własny korytarz i poddasze. Zainstalowałam kamerę w stojaku na parasole przy wejściu, skąd przy jej dobrym ustawieniu można było uzyskać obraz drzwi na poddasze. Drugą schowałam w środku, na tablicy, kierując ją na monitory.

Rezultaty były natychmiastowe.

Korytarz w domu. Godzina 7.01. Dzień 342. p.Ch.

Olivia wychodzi na korytarz w swoich kapciach świnkach.

Zagląda do mojej sypialni, żeby sprawdzić, czy śpię.

Wraca do swojego pokoju.

Czarno.

Piętnaście sekund później.

Olivia wychodzi z krzeselkiem od swojego biurka i z poduszką.

Ustawia krzeselko naprzeciwko drzwi na poddasze. Na wierzchu kładzie złożoną na pół poduszkę.

Wchodzi na krzeselko. Staje na palcach, sięga po klucz.

Schodzi. Otwiera kłódkę.

Wchodzi na poddasze.

Czarno.

Dwadzieścia sekund później.

Olivia wchodzi po schodach.

Idzie od razu do monitorów.

Wyprowadza je ze stanu uśpienia, poruszając myszką.

Patrzy na kamery. Patrzy na wszystkie, jedna po drugiej, od lewej do prawej.

Zajmuje jej to dobrą chwilę, wydaje się, że liczy.

Potem od lewej do prawej i z góry na dół.

Olivia: Dzień dobry, Oliverze... Dzień dobry, Julio... Dzień dobry, panie i pani DeRoller... Dzień dobry, Dan... Dzień dobry, Franku i Barbaro... Dzień dobry, nie wiem, jak się nazywasz... Dzień dobry, Miriam i Chloe... Dzień dobry, Aleksie i Amando... Dzień dobry, też nie wiem, jak się nazywasz... Dzień dobry, szefowo Margaret... Dzień dobry, Summer... Dzień dobry, Jennifer i Stephenie... Dzień dobry, Olivio Druga...

Skończyła.

Wychodzi z poddasza.

Czarno.

Dziesięć sekund później.

Olivia zamyka kłódkę.

Wchodzi na krzeselko z poduszką.

Kładzie klucz na swoim miejscu, tak jak leżał.

Zagląda do mnie, żeby się upewnić, czy nadal śpię.

Wraca do swojego pokoju.

Czarno.

Piętnaście minut później.

Wychodzę z sypialni, zakładając koszulkę Chrisa.

Zaglądam do pokoju Olivii.

Ja: Oli, dlaczego już nie śpisz? Co robisz?

Olivia: Nic, swoje rzeczy...

Ja: Chodź, trzeba się ubierać i zjeść śniadanie, kochanie.

Olivia: Okej, już idę, mamusiu.

Schodzę po schodach niczym zombie.

Czarno.

Posadziłam Olivie przed komputerem i pokazałam jej nagranie. Nic nie powiedziała. Nie okazała ani zaskoczenia, ani strachu. Nie próbowała się usprawiedliwiać ani nie spuściła wzroku. Była spokojna i zuchwała. W jej krótkim życiu tylko dwa razy miałam ochotę ją uderzyć. To był jeden z nich. A pierwszy raz, gdy skończyła cztery lata i podczas przyjęcia urodzinowego powiedziała mi, że chce, aby tata był jej mężem i chce mieszkać w domu tylko z nim, a ja mam się wynieść do dziadków. Powiedziała to przy wszystkich po zdmuchnięciu świeczek. To było jej życzenie. Wszyscy bili brawo i śmiali się z dowcipu małej dziewczynki. Wszyscy z wyjątkiem mnie, bo byłam absurdalnie obrażona i zła. Teraz, kiedy o tym myślę, przypominam sobie, że w tamtym czasie Chris zaczął coraz częściej wyjeżdżać i uważałam, iż to bardzo niesprawiedliwe, że Olivia nie docenia mojego wysiłku, zaangażowania i poświęcenia. Tak, wiem, to była dziecinada. Ale czy przypadkiem niezadowolenie, które odczuwałam, nie wiązało się bardziej z nieobecnością Chrisa niż z życzeniem Olivii? Czyżbym przeczuwała już coś podświadomie? Może podejrzewałam coś przez cały czas, nie pozwalając, żeby to zajęło miejsce w moich myślach? Bo oczywiście ja byłam tą dobrą, tolerancyjną i ufną towarzyszką, która nie znosiła nieufnych, podejrzliwych i kontrolujących żon. „I dokąd cię to zaprowadziło? Zamieniłaś się w kogoś jeszcze gorszego: w nieufną, podejrzliwą i kontrolującą wdowę”.

– Nic nie powiesz?

Musiałam wyłączyć monitory, bo Olivia patrzyła na nie zahipnotyzowana, tak samo jak ja to robiłam.

– Olivio, czy ty mnie słyszysz?!

– Tak.

– I nie masz nic do powiedzenia?

– Nie gniewaj się, mamusiu.

– Gniewam się. Bardzo się gniewam. Wiesz, że jest absolutny zakaz wchodzenia tutaj. Wiesz czy nie wiesz?

– Tak, wiem.

– To dlaczego to zrobiłaś?

– Muszę policzyć je rano. Dzięki temu do szkoły idę zadowolona.

– Już nigdy więcej tutaj nie wejdiesz. Zrozumiano?

– Ale Ruby z tobą wchodzi. Dlaczego ja nie?

– Nie udawaj mądrali, Olivio, bo kara będzie jeszcze większa, uwierz mi...

– Nie zrobiłam nic złego.
– Jak to nie zrobiłaś nic złego? Naprawdę myślisz, że nie zrobiłaś nic złego?
– Wejście tutaj nie jest czymś złym.
– Tak, jest czymś złym. Bardzo złym. Ponieważ zrobiłaś to bez mojego pozwolenia. Oszukałaś mnie.
– Zgoda, to jest złe. Przepraszam. Ale, mamusiu, chcę ci tylko coś powiedzieć.

– Nie chcę, żebyś mi cokolwiek mówiła.
– Myślałam, że masz tutaj złe rzeczy, rzeczy, których będę się bała. Ale nie, to są dobre rzeczy. A skoro to są dobre rzeczy, wejście nie jest złe. To, co tutaj masz, jest piękne. Bardzo mi się podoba. To jest bardzo dobre dla wszystkich. Opiekujesz się nimi.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że poczułam pewien komfort, słysząc te słowa z ust swojej córki. Jakbym została usprawiedliwiona i odzyskała motywację, żeby nadal robić to z całkowitą moralną bezkarnością. Te uczucia znowu graniczyły z szaleństwem, a nie mogłam sobie na nie pozwolić.

– Masz tygodniowy zakaz widywania Sunset i Pandy. I lepiej nie próbuj znowu tutaj wchodzić. Nigdy więcej, rozumiesz? A teraz wynocha. I to już!



Był środek nocy, a mnie wciąż pochłaniała afera Olivigate i jej możliwe konsekwencje, myślałam też o tym, że to siebie powinnam ukarać całkowitym zakazem wchodzenia na poddasze.

Miałam już zamiar opuścić swoje stanowisko obserwacyjne, kiedy zobaczyłam, że John wchodzi do biura w kapciach i szlafroku. Niósł filiżankę parującej czekolady i dwa herbatniki w ustach. Widząc, że zamyka drzwi na klucz, od razu nastawiłam uszu. Usiadł przed komputerem i go włączył. Pomyślałam, że wreszcie odkryję, co takiego robi zamknięty w biurze, kiedy Karen śpi. Ale nie. John zadzwonił do Keitha przez Skype'a.

John: Noc pokera!

Keith: Noc pokera! Taaaaak! W końcu! Pierwsza w sezonie!

Nigdy wcześniej nie widziałam Keitha, by tak wylewnie okazywał przyjaźń Johnowi. Obaj zalogowali się do gry w pokera online.

„No i masz, co za porażka. Chodź, Alice, czas do łóżka. Jest późno, na dzisiaj ci już wystarczy”.

Keith: A moja siostra?

John: Wrzuciłem jej lorazepam do butelki wina. Wypiła całą, tak więc... Wszystko załatwione. I żebyś wiedział, że w tym sezonie nie mam zamiaru dać się ograć.

Keith: Tak, tak, na pewno. Zawsze ta sama stara śpiewka... A co ty tam

jesz? To jest gorąca czekolada? I herbatniki? To wszystko kalorie, których nie spalisz.

John: Pewnie, że je spalę, bo cię dopadnę...

„Alice, chodź... Musisz nadrobić godziny, dni, tygodnie snu”.

Keith: A potem będziesz narzekał na ten swój wielki brzuch.

John: Cholera, przecież w łodzi podwodnej... Co chcesz, żebym tam robił? I zamknij się, lisico, bo wiem, że uwielbiasz mój brzuch.

„I zamknij się, lisico, bo wiem, że uwielbiasz mój brzuch...” – powtórzyłam na głos, natychmiast się rozbudzając. Przepraszam?

Zaczęli grać. Po sprawdzeniu kart John wymienił jedną.

Keith: Jedna karta? Co tam masz? Gówniane dwie pary czy zbierasz do strita?

John: Zamknij się i wymieniaj.

Keith: Nie, czekam.

John: Czekasz? Bzdury opowiadasz. Blefujesz. Bufon, jesteś bufonem.

Zaczęli licytację, przebijając się kilka razy, czemu towarzyszyły wszelkiego rodzaju przyjacielskie obelgi, aż w końcu odkryli swoje karty.

John: Strit od damy. Ha, ha, ha!

Keith: Strit od tego, kim jestem ja, od króla. Ha, ha, ha, ha, ha, ha! I co ty na to, księżniczko?!

John: Na pewno oszukujesz!

Keith: Tak, tak, jasne, szpieguję cię, mam tam zamontowaną kamerę, wyobraź sobie... No dalej, nie ociągaj się i dawaj fanta.

Fanta?

John: Mam całe mnóstwo fantów. Jestem nimi objuczony. Chcesz fanta? Trzymaj fanta.

John wstał i zdjął spodnie od piżamy.

Keith: Ach, widzę, że mocno zaczynasz... Nie chcesz tracić czasu, co?

John: Nie, nie, zaczekaj. Spodnie nie są fantem. To jest fant...

John się odwrócił, pochylił, podciągnął szlafrok na plecy, zdjął slipki i zaczął dawać sobie klapsy, pokazując Keithowi tyłek.

John: Korzystaj i patrz uważnie, bo to jedyne, co zobaczysz dzisiejszej nocy, lisicooo!

Nie, nie, nie, nieeeeeeeee... Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Po raz pierwszy poczułam do Johna sympatię. Jak miał nie maltretować syna, skoro przez całe życie ukrywał swoje homoseksualne ciągoty? „Nie, ale na poważnie: będziecie dalej ściągać z siebie ubrania? Czy to był tylko koleżeński żart?” – zapytałam ich w duchu.

Keith przegrał drugie rozdanie i zdjął koszulę.

John: Ach, te piersiatka, jakże mi się podobają te twoje miękkie piersiatka.

Nie mogłam przestać się śmiać nawet wtedy, gdy przypominałam sobie o powiązaniach Johna z Chrisem, i zastanawiałam się, w jaki sposób ta nowa informacja mogłaby się z nim łączyć. Innymi słowy, właśnie zaistniała możliwość, że Chris był gejem. Naprawdę? Czy nie chciałaś sznurka, za który mogłabyś pociągać? Więc proszę bardzo. Kolejna noc bez zmrużenia oka. Znowu zaczęłam przeglądać roczniki Chrisa z Uniwersytetu Wirginii, gdyż obawiałam się, że wcześniej mogłam przeoczyć jakiś szczegół. Staralam się przypomnieć sobie jakiegokolwiek doświadczenie, bodziec albo obawę Chrisa związane z homoseksualizmem. Przypominałam sobie, jak opowiadał mi, że kiedy miał dwanaście lat, jego kuzyn Kenny (kolejny raz ten nieszczęsny kuzyn Kenny) miał pierwszy nocny wytrysk i że opowiedział mu o tym, jakby oznaczało to, że wreszcie stał się mężczyzną. „Jeśli się nie spuszczaś, nie jesteś mężczyzną, jesteś gejem”, tak właśnie powiedział mu ten skończony kretyn. „Jakby jedno miało związek z drugim. Ale oczywiście ja byłem dzieckiem z niewielką czy nawet żadną wiedzą seksualną. Przez całe tamto lato zamartwiałem się, myśląc, że jestem gejem, nie mając odwagi spojrzeć w twarz żadnemu z przyjaciół i masturbując się w swoim pokoju, żeby się przekonać, czy wyjdzie mi nasienie. W rezultacie wylądowałem na pogotowiu, gdyż na skórze penisa pojawiły mi się bąble. Opuchlizna była tak duża, że z trudem mogłem sikać. Bo robiłem to źle. Myślałem, że aby wyszło nasienie, trzeba na maksa ścisnąć penis. Aż niemal zdarłem z niego skórę. Na pogotowiu trafiłem na bardzo miłego lekarza, który musiał domyślić się przyczyny tej rzezi i wyjaśnił mi, że jestem jeszcze bardzo mały i żebym się nie przejmował, bo wszystko się stanie we właściwym czasie. Powiedział mi, że niektórzy chłopcy szybciej dojrzewają i czasem są bezlitośni w tych sprawach. Żeby nie dotykał penisa, tylko o niego dbał, bo ma mi wystarczyć na całe życie, a w takim tempie szybko go wyeksploatują. Tydzień później miałem pierwszy wytrysk, śniąc o Tammy Gerow. Upiekłem dwie pieczenie na jednym ogniu”.

Zauważyłam, że partyjka pokera była już w bardzo zaawansowanej fazie, a obaj gracze praktycznie nadzy. John właśnie przegrał rozdanie i zdjął szlafrok – jedyne ubranie, jakie mu zostało.

Keith: Ha, ha! Nic ci nie zostało. Pokonałem cię.

John: Nie tak szybko! Została mi jeszcze obrączka ślubna, lisicooo.

John macha palcem serdecznym lewej ręki przed kamerą w komputerze.

Keith: Nie pokazuj mi tego paluszka, bo wyobrażam go sobie tam, gdzie go sobie wyobrażam, i zaraz oszaleję...

Niedługo potem zaczęli się masturbować, patrząc jeden na drugiego i obrażając się jak napaleni chłopcy, którzy nie wiedzą, jak wyrazić swoje uczucia, i uciekają się do zwierzęcych instynktów. Patrzenie na to już mnie tak nie śmieszyło. Nie było to przyjemne do oglądania.

Naprawdę brałam pod uwagę możliwość, że Chris był gejem? W tym

momencie może tak, ale nie wyobrażałam sobie, że mógłby spotykać się z którymś z tych dwóch gejów. To było zupełnie nieprawdopodobne. Usiłowałam się zdecydować, czy wolałabym, żeby Chris miał romans z kobietą czy z mężczyzną. W przypadku mężczyzny oznaczało to wyższy poziom kłamstwa, ponieważ oprócz niewierności dochodziłoby jeszcze ukrywanie orientacji seksualnej. Ale myśl, że spotykał się z inną kobietą, przynosiła mi lawinę zazdrości, a nigdy nie byłam o niego zazdrosna. Znowu zaatakowały mnie duchy w postaci pytań i wyrzutów: „Jakie to ma znaczenie, czy był to mężczyzna, czy kobieta? Czemu to wszystko służy? Czy przypadkiem to może ci go zwrócić? Może chcesz go już z powrotem? Dlaczego tak się upieram, żeby odkryć prawdę? Dlaczego? Ponieważ boisz się, że całe twoje życie było kłamstwem. A teraz co zrobiłaś? Co teraz robisz? Zobacz, co zrobiłaś. Usiałaś wyspę kamerami, są w ponad trzydziestu domach. Swoją strach zamieniłaś w rzeczywistość. Zamieniłaś swoje życie w kłamstwo. Sama to zrobiłaś”.

Dni 343–344. Rok I p.Ch.

Jennifer i Summer ogłosiły zawieszenie broni i przestały się wrogo traktować, chociaż komunikacja między nimi była praktycznie zerowa. Summer ograniczała się do dawania piersi Olivii II trzy razy dziennie. To był jej jedyny obowiązek wobec dziecka. Resztę czasu spędzała, oglądając *reality show* w telewizji i nakładając na piersi krem, żeby uniknąć rozstępów. Dziewczynką przez cały dzień zajmowała się Jennifer. Moją uwagę w zachowaniu Summer zwróciło to, że ledwie wychodziła z dzieckiem na spacer. Wyglądało to tak, jakby chciała je ukryć przed resztą mieszkańców. Ona zawsze była dość osobliwa i nieśmiała, jednak teraz, kiedy miała dziecko, jeszcze bardziej rzucało się to w oczy.

Najbardziej zaintrygowała mnie rozmowa telefoniczna Summer z przyjaciółką (być może jedyną) spoza wyspy.

Summer: No mam tego dość, dziewczyno, nawet nie wiesz, jaką mam ochotę, żeby stąd zwiać... Nie uwierzysz, ale siedząc tutaj, w zamknięciu, człowiek strasznie łamie sobie głowę. I tyle czasu karmienia piersią... Nie wiem, chociaż nawet jeśli nie chcesz, siłą rzeczy zaczynasz się do niej przywiązywać. Nie wiem, mam mętlik w głowie. I nawet zastanawiałam się nad tym, żeby ją sobie zostawić. Mówię ci... Jak to, nie jest moja? To ja ją urodziłam. Dziecko jest moje, jeśli tak zechcę. Dziewczyno, ty zawsze z takim negatywnym podejściem. Opowiadam ci o moich zmartwieniach, bo nie mam nikogo innego, z kim mogłabym o tym porozmawiać, a ty zamiast mnie wspierać, jeszcze bardziej mnie dobijasz.

Wszystko wskazywało na to, że ma zamiar oddać dziecko do adopcji. Komu? Mogła też być matką do wynajęcia. Dla kogo? Odpowiedzi na oba pytania bezpośrednio wskazywały na Jennifer.

Potem zobaczyłam, jak Olivia bawi się w lekarza z Oliverem w jego pokoju. Włożyła stetoskop, żeby go osłuchać, ale zawahała się. Wstała. Podeszła do zegara szpiegowskiego. Przez chwilę patrzyła na niego (patrzyła na mnie) uważnie. Pokazała (mi) język i zakryła zegar (kamerę) książką *Wyspa skarbów*, którą pożyczyła Oliverowi.

Oliver: Dlaczego wkładasz tam książkę?

Olivia: Żeby nie zarazić zegara Puchi-Puchi, bo jesteś bardzo chory... Zdejmij koszulkę, zaraz cię wyleczę.

Tego samego popołudnia przyszedł do nas Frank, żeby złożyć Rose jedną ze swoich częstych już wizyt.

– Przejazdźka na Pandzie gratis! – wykrzyknęła Olivia, kiedy tylko go zobaczyła. I uściśnęła Franka, jakby był księciem, który przybył, żeby uwolnić ją z lochu. Oczywiście ja byłam nikczemnym smokiem.

– Nic z tego. Jesteś ukarana.

– Nie. To się nie liczy. Jeśli Frank przychodzi, to kara się nie liczy. Frank nie ma związku z karą.

– Owszem, liczy się. Tydzień bez kucyka to tydzień bez kucyka.

– To jedźmy.

– Jedźmy dokąd?

– Z wyspy. Powiedziałaś, że kiedy będę chciała wyjechać, to wyjedziemy.

Taka była umowa.

Nie zaskoczyło mnie, że przypomniała sobie o rozmowie, którą odbyłyśmy na promie po pierwszej wizycie u psycholożki, chociaż od tamtej pory minęło prawie sześć miesięcy.

– Olivia, przestań wygadywać bzdury, proszę. Idź do swojego pokoju, zanim jeszcze bardziej się rozzłoszczę.

– Jesteś kłamczuchą – powiedziała, odchodząc rozgniewana.

– Ach, ta moja rozrabiaka Rose – powiedział do mnie Frank. – W co się wpakowała?

– To coś bardzo poważnego, mój drogi Franku.

– Więc dzisiaj nie będziemy jeść razem naleśników?

– Tak, tak, będziemy. Ale ze mną. Może być ze mną?

– Pewnie, że może być. Uwielbiam jeść naleśniki ze swoją córką.

Właśnie zamienił matkę swojej żony w swoją córkę Barbarę. Tylko tego brakowało.



Śledziłam wszystkie kroki Johna na wyspie. Dzień i noc stałam na straży, w razie gdyby zrobił coś dziwnego albo opuścił Robin Island. Pewnego dnia postanowiłam nawet udać, że spotkałam go przypadkiem. Czasem patrzenie i słyszenie kogoś tylko za pośrednictwem akwarium odczłowieczało go, czyniło nierzeczywistym. Potrzebowałam dotknąć prawdziwych postaci, bez szyby pośrodku. „Postaci? W którym momencie osoby zamieniłaś w postaci?”

– Cześć, Alice, co słyhać? Słyszałem, że odniosłaś sukces na Cherry Blossom Art Fair – powiedział John. „Spotkałam” go w aptece.

– Tak, nie poszło mi najgorzej.

– Zalałaś mi dom zegarami. Ale są piękne, bez dwóch zdań.

Widać, że jest w dobrym nastroju. Zadowolony. Partyjki pokera przywróciły go do życia. Mówię w liczbie mnogiej, ponieważ jego partyjki z Keithem odbywały się prawie każdej nocy. Nawet nie zwracałam już na nie większej uwagi. Prawdę mówiąc, nie miałam ochoty oglądać zarośniętego tyłka Johna. Zresztą sam Keith wyrażał się krytycznie na temat przywiązania Johna do owłosienia na swoim ciele. „Depiluj się pedały”, stwierdził John. „Jasne, bo w rozbieranego pokera z mężczyznami grają supermacho. To nie budzi w tobie wstrętu...”, zauważył

Keith. Aż podczas jednej z partyjek John nabrał odwagi i postanowił, że jeśli przegra, to wydepiluje sobie całe owłosienie łonowe i będzie wyglądał jak dziecko. Oczywiście przegrał, ku uciesze Keitha, lecz nie chciał wywiązać się z zakładu.

John: A co powiem Karen, kiedy mnie zobaczy?

Keith: Kiedy moja siostra ostatni raz widziała cię nago?

John: Słuchaj, my też robimy te rzeczy. Muszę spełniać swoje obowiązki jako mąż.

Keith: Przestań, przestań, nie bądź odrażający, bo już przewraca mi się w żołądku.

John: Nie ma mowy, pasuję.

Keith: Jeśli tego nie zrobisz, to ani myślę zbliżać się do ciebie tam, na dole, żebyś wiedział.

John: Przecież nigdy tego nie robiłeś.

Keith: No właśnie dlatego, stary, właśnie dlatego. Zapamiętaj to sobie...

A teraz John stał w dziale produktów do higieny osobistej i oglądał plastry z woskiem do depilacji.

– To dla Karen – usprawiedliwił się.

– Tak, oczywiście, tak... – powiedziała z uśmiechem. – Jak było w łodzi podwodnej? Gdzie wykonywaliście manewry?

– Nie mogę powiedzieć. To tajna informacja. Są w moim życiu rzeczy, o których nie mogę mówić.

Uśmiechnęłam się wyrozumiale. „Oczywiście, John, masz rację”.

– Skoro już cię widzę, to skorzystam z okazji, żeby coś ci dać. Zaoszczędzę na znaczku.

Przeszukał swój plecak z odznaką marynarki wojennej i wyjął kopertę, na której było napisane moje nazwisko i adres.

– To zaproszenie. Keith organizuje wielkie przyjęcie z okazji swoich pięćdziesiątych urodzin.

– Ach, tak, Karen już mi mówiła. Znakomicie. Cieszę się, że będę mogła na nim być – powiedziała, naprawdę się ciesząc. Ważna była każda impreza, która pozwalała mi być blisko niego.

– Dobrze, zobaczymy, czy tym razem będziesz miała szczęście. Wiesz, co mam na myśli, prawda? – powiedział, puszczając oko.

– Tak, wiem. No zobaczymy, czy będę miała szczęście... – powiedziała, udając nieśmiałą. Potem wzięłam z półki opakowanie plastrów do depilacji z wyciągiem z nagietka, rumianku i aloesu. – Weź Karen te, są znacznie lepsze.



– A Mark? – czułam się w obowiązku zapytać o niego Julię podczas naszego tradycyjnego porannego spotkania w Le Cafe.

W tym momencie jego nieobecność stała się tak zauważalna, że byłoby dziwne, gdybym nie zapytała. Julia mogła zrozumieć moją dotychczasową dyskrecję jako niewtrącanie się do jej życia prywatnego, ale mogła też inaczej zinterpretować mój brak ciekawości, łącząc go z moim związkiem z Markiem albo zainteresowaniem nim. Przynajmniej tak mi się wydawało w mojej paranoi. Chociaż Julia, mimo że zapamiętała numer telefonu, którego używałam do komunikacji z Markiem, nigdy go nie wybrała. Ale on i owszem – nadal wysyłał mi wiadomości niemal codziennie.

Cześć?

Jesteś tam?

Zmieniłaś numer? Wyświetla mi się jako nieprzeczytane

Tak, przeczytałaś

Cholera, Alice, przynajmniej powiedz mi, co się dzieje

Zasługuję na wyjaśnienie...

Nie, nie zasługuję na wyjaśnienie, przepraszam, tracę głowę. Po prostu mam ochotę Cię zobaczyć

Bardzo

Uznałem, że cisza z Twojej strony jest czymś dobrym

Tak więc nie odpowiadaj mi ani nie pisz, dzięki temu będę wiedział, że mnie kochasz, bo w głębi duszy mnie kochasz

Ja też Cię kocham

Myślę, że ty jesteś moją Samanthą

Zgodzisz się, żebym został twoim Paulem?

Samantha była narzeczoną mojego brata Paula, tego, który umarł, jeśli nie pamiętasz

Przepraszam, wczorajszej nocy byłem bardzo pijany, czuję się samotny

Jestem patetyczny, wiem. Sam się sobą brzydzę

Nie jestem taki, przynajmniej taki nie byłem. Nie wiem, co do cholery się ze mną dzieje

Przestanę do Ciebie pisać, nie chcę, żebyś zapamiętała mnie takim, chcę być dla Ciebie mężczyzną, który pomógł Ci sprowadzić na świat nowe życie

Chcę, żeby między nami wszystko było dobrze, jesteś jedną z nielicznych dobrych osób, które mieszkają na wyspie

Dużo mi dałaś i pomogłaś, nie potrzebuję już nic więcej od Ciebie

Całuję Cię, Alice

Teraz już na pewno będę szanował Twoją ciszę

Alice, jesteś tam?

Zawsze tutaj będę, na każde Twoje skinienie

Od dwóch dni do Ciebie nie piszę, ale nie przestałem o Tobie myśleć

Jestem w NY

Bardzo bym chciał, żebyś była ze mną
Myślę, że się rozwiodę
Nie jestem szczęśliwy
Twoja cisza nie oddala mnie od Ciebie, oddala mnie od Julii
Dzięki temu wszystko widzę wyraźniej
Dziękuję, Alice, że jesteś, nie będąc
Nie zamierzam być z Tobą, naprawdę nie
Zamierzam być ze sobą
Wyrzucę ten telefon do Hudsonu, pozbędę się go
To moja wiadomość w butelce dla Ciebie
Kocham Cię, M

Kiedy go poznałam, był pewnym siebie i pełnym życia mężczyzną. Zaskakiwało mnie i wywoływało brak akceptacji to, że pragnie mnie tak desperacko, że nie może zapanować nad swoim postępowaniem. Był słaby i wrażliwy. Ale odnosiłam wrażenie, że dlatego wciąż do mnie pisał, bo oddzielałam coś w jego życiu, a moja cisza była tego potwierdzeniem. Dlaczego mu nie odpowiadałam albo nie pojechałam do niego, żeby zakończyć tę sprawę? Czyżbym chciała, żeby tam był? Żeby nadal wysyłał mi te żalose, lecz pełne uczuć wiadomości? Minęły trzy dni, odkąd rzekomo wyrzucił telefon do Hudsonu. Na początku byłam wdzięczna za tę jego ciszę, jednak teraz naprawdę się o niego martwiłam. Chciałam wiedzieć, czy wszystko u niego w porządku. Być może dlatego zapytałam o niego Julię.

– Jest w Nowym Jorku. Siedzi tam od tygodnia. Ale dla mnie może już nie wracać.

– Co takiego?

– Która jest godzina? – zapytała, spoglądając na komórkę. – Wpół do dwunastej. Trochę za wcześnie, prawda?

– Na co?

– Mindy, przynieś nam dwa razy to, co zawsze – poprosiła Julia.

– W końcu przeprowadzą kontrolę i zobaczysz... – uskarżała się Mindy, chociaż bez przekonania.

– Tak, jasne... I żeby nie przyszło ci do głowy znowu podać wino w filiżankach do kawy, przecież nie ma prohibicji.

I nie czekając, aż alkohol dotrze do krwi, zaczęła mówić.

– Myślę, że teraz to Mark ma albo miał romans. Znowu powiedziałam romans? Nie umiem temu zaradzić...

Wypiłam wino dwoma łykami.

– A dlaczego tak myślisz?

– Ponieważ nagle wszystko zaczęło się między nami układać. Znowu na mnie patrzył. Widział. Znowu był obecny.

– Nie rozumiem. – Oczywiście, że rozumiałam. – To, że między dwojgiem ludzi się układa, jest oznaką romansu? Wydaje mi się to dość pokręcone. Nie uważasz?

– Poczucie winy jest jednym z najpotężniejszych motorów funkcjonowania naszego społeczeństwa... Poczucie winy, strach i zemsta są niebywale trujące, ale odpowiednio dozowane, tworzą bardzo ożywczy koktajl.

– O tym są trochę twoje powieści, prawda? – zapytałam, żeby powiedzieć cokolwiek i żeby nie było po mnie widać, że ogarnął mnie śmiertelny strach.

– O tym trochę jest życie, nieprawdaż?

– Chyba tak... – Uśmiechnęłam się i zmusiłam, by nie pochylić głowy ani nie szukać ucieczki w prawie pustym już kieliszku.

– Wiesz, o czym jest powieść, którą teraz piszę? O słynnej powieściopisarce pogrążonej w rzekomym kryzysie twórczym, ponieważ zawsze posilała się tym, co przeżywała i czego doświadczała. A że właśnie ma za sobą związek pozamałżeński, brakuje jej odwagi, by o tym pisać, boi się bowiem, że jej mąż się tego domyśli. Ostatecznie zdaje sobie sprawę, że to on ma namiętny i pasjonujący romans... Powiedziałam: namiętny i pasjonujący romans? Mój Boże, ależ ze mną źle... Żaden Nicholas Sparks, przypominam Danielle Steel. Czego, nawiasem mówiąc, też bym chciała.

– Brzmi bardzo interesująco – zmusiłam się do odpowiedzi. Umierałam ze strachu, że zbliża się prawda albo że zostanę przyłapana, że to jest pułapka, którą na mnie zastawiła. Czułam się jak mucha w pajęczej sieci. I tak, nie mogąc pohamować swoich odruchów, zadałam najbardziej logiczne pytanie: – I jak się kończy ta historia?

Dała sobie czas na odpowiedź, jakby celebrowała coś w środku.

– Chyba nie chcesz, żebym ci zaspojlerowała, prawda? Będiesz musiała przeczytać powieść. O ile kiedyś ją skończę...

Roześmiałyśmy się i luźny ton, jaki przybrała rozmowa, wykluczył jakikolwiek powrót do tego tematu. Skłamałabym, mówiąc, że nie byłam za to wdzięczna. Byłam bardzo wdzięczna.

– A te klucze? – Julia wskazała klucze, które miałam zawieszane na łańcuszku na szyi. Po Oliviagate postanowiłam nie rozstawać się z narzędziem umożliwiającym dostęp na poddasze i trzymać w ten sposób Olivie z dala od pokusy. Drugim kluczem był Klucz Master. – Są identyczne. Otwierają to samo?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie, nie otwierają tego samego. I jeszcze nie odkryłam, co otwierają. Wiem tylko, że jeden służy do tego, żeby wejść, a drugi, żeby wyjść.

Julia się zaśmiała.

– Mam wielką ochotę napisać o tobie, Alice.

Z jej spojrzenia oraz ciszy, jaka zapadła po tych słowach, wywnioskowałam,

że w rzeczywistości chciała mi powiedzieć: „Już to robię, już o tobie piszę. Wszystko, nawet Chris, jest częścią mojej powieści”. I oczywiście, że się przestraszyłam. Jeszcze bardziej.

Dni 345–349. Rok I p.Ch.

– Cześć, ulubiona blondyneczka! Tęsknić za tobą. – Antonio jak zwykle wylewnie się ze mną przywitał.

Od czasu, kiedy praktycznie opróżniłam Night Eyes, kupując pięćdziesiąt kamer, nie byłam w jego sklepie. Antonio pogłaskał Ruby, którą jak zwykle miałam w nosidelku.

– Cześć, mały kangur. Jak bardzo urosła.

To prawda, że bardzo urosła. Już mniej spała, zaczęła się więcej rozglądać. Była wspaniałą obserwatorką, przede wszystkim dlatego, że robiła to z dużym zaciekawieniem i w ciszy. Przestałam nawet brać ją ze sobą na poddasze (wcześniej zawsze to robiłam, kiedy karmiłam ją piersią), gdyż czułam, że zaczęła wszystko chłonąć; patrzyła jak zahipnotyzowana w monitory, uzależniała się od akwariów tak samo jak ja, tak samo jak jej siostra, którą na tym przyłapałam. Owszem, miała dopiero niewiele ponad dziesięć miesięcy, ale nie chciałam, żeby jakoś szczególnie zapamiętała poddasze, chciałam raczej, żeby czuła, że jest to normalne miejsce, do którego można wchodzić.

– Potrzebuję zhakować komputer – powiedziałam po wzajemnych powitaniach.

– Jaki komputer? Komputer CIA? FBI? Pentagonu? Białego Domu?

– Nie, zwykły komputer. Taki jak mój.

– Chcesz zhakować własny komputer?

– Nie, Antonio, taki jak mój. Nie mój.

– To był żart, blondyneczka! Słaby żart, ale żart. – I zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, dodał: – Wiem, ty nigdy nie żartować. Zobaczmy, ty mieć dostęp do zwykły komputer, jak twój? Móc siedzieć fizycznie przed komputerem, który chce zhakować sama ty?

– Eee, tak, chyba tak...

– Więc jeśli móc siedzieć sama ty przed komputerem przez minutę, to jest bardzo proste. Nawet Hiszpan móc to zrobić.

Zaczekałam, aż Olivia utworzy idealny trójkąt z kawałków miecznika, którego jadła. Nauczyła się posługiwać nożem, by mieć większą precyzję przy krojeniu. Nie brała jednak przypadkowego kawałka miecznika: musiał mieć taką samą grubość, a kontur okrągły, pozbawiony nierównych brzegów. Ray Schepler, sprzedawca ryb, handlarz narkotykami, na mojej liście podejrzany numer sześć, pokładał się ze śmiechu, kiedy mu opowiadałam, że używałam metalowych foremek z cukierni, żeby pokroić ryby przed usmażeniem.

– I już, resztę zostawisz?

Olivia nie odpowiedziała. Nieco sfrustrowana obserwowała rybę, jakby nie wiedziała, jak dalej się do niej zabrać, żeby jedząc, zachować jednocześnie jej

geometryczny kształt. Odkąd ukarałam ją tygodniem bez odwiedzania Sunset i Pandy i zabroniłam wchodzenia na poddasze, przestała się do mnie odzywać. Gorzej spała, miała koszmary, zły nastrój i była przygaszona. Nie zaliczyła nawet testu z matematyki, oczywiście tylko po to, żeby prowokować.

– Wiem, że jesteś głodna i chcesz zjeść więcej, prawda? Przecież uwielbiasz ryby-miecze.

Znów nie odpowiedziała.

– Wiesz, co możesz zrobić z trójkątem? Zamienić go w romb, krojąc po skosie dolną prawą i dolną lewą część.

Zbliżyłam swój nóż, żeby pokazać jej, gdzie trzeba przekroić.

– Nie dotykaj. Wiem już, jak zrobić romb. Wendy mnie nauczyła.

Rzeczywiście wiedziała. Zjadła z apetytem dwa odkrojone kawałki i znów patrzyła na rybę, zastanawiając się, jak dalej ją jeść.

– A teraz, jeśli przekroisz romb na pół, będziesz miała...

– Dwa trójkąty... Przecież już to wiem!

– Nie podnoś głosu albo będziesz miała karę na kolejny tydzień.

– Wszystko mi jedno.

Nie chciałam z nią dyskutować ani znowu jej karać. Zdawałam sobie sprawę z tego, że to nie przyniesie żadnego efektu. Skoro jednak wiedziała już o istnieniu kamer, to czy naprawdę byłoby to takie złe, gdybym pozwoliła jej wchodzić na poddasze? A jeśli zakaz doprowadzi do tego, że mnie zdradzi i świadomie albo nieświadomie odkryje intrygę? Jej frustracja może przybrać taką formę, której nawet ona sama nie będzie w stanie kontrolować, jak ZOK-u. A jeśli te wszystkie wątpliwości były wyłącznie absurdalnym wykrętem, żeby wykorzystać córkę dla własnych potrzeb i interesów?

– Zawrzyjmy umowę. Chcesz zawrzeć umowę?

– Nie, bo później ich nie dotrzymujesz...

– To nie jest najlepszy sposób negocjowania, Oli. Chcesz, żebym odwołała karę?

– Karę na wszystko?

– Na prawie wszystko. Znów będziesz mogła odwiedzać stadninę koni, widywać Sunset i jeździć na Pandzie. Pozwolę ci całować na dobranoc Olivera w łóżku na moim laptopie, jak robiłyśmy to do tej pory. I... raz dziennie, rano, po wstaniu z łóżka, pozwolę ci wejść ze sobą na poddasze, żebyś przywitała się, z kim zechcesz.

– Dobrze, zgadzam się.

– Nie, nie: dobrze, zgadzam się. To musi być w zamian za coś. To jest umowa, pamiętasz?

– A zatem w zamian za co?

– Za to, że po tym, jak przywitasz się z sąsiadami, przywitasz się też

z Kucykiem, nałożysz mu jedzenie do miski i nalejesz wody.

- Muszę go dotykać?
- Byłoby dobrze, gdybyś go pogłaskała, ale na razie wystarczy, żebyś go nie kopała.
- Dobrze.
- Ach, i jeszcze jedno...
- Nie, już się nie liczy, to jest pułapka. Mamy już umowę.
- Nie przejmuj się, bo ta mała rzecz ci się spodoba. To jest gra.



Pierwszy raz jadłam kolację w domu Julii. Chociaż tak naprawdę jedli Oliver i Olivia, podczas gdy Julia i ja degustowałyśmy ostrygi z Bishop Oyster Farm, które wcześniej kupiłam, ponieważ stanowiły część mojego planu. Mark wciąż był poza domem – nie byłam pewna, czy w Nowym Jorku, czy na wygnaniu w biurze. Już do mnie nie napisał. „I powiedz mi, Alice, jak się czujesz z tym, że przestał cię męczyć i rozpaczliwie domagać się twojej obecności? Podoba ci się to?”

Julia, podobnie jak ja, drzwi do swojego gabinetu zamykała na klucz. Nie lubiła, kiedy ktoś wchodził na jej przestrzeń. Robiła to nawet pod nieobecność Marka. Podczas jednego z naszych spotkań tłumaczyła mi, że to paranoje i manie pisarki, jakby obawiała się, że uciekną jej napisane słowa. Klucz trzymała w torebce, którą zawsze zostawiała na wieszaku przy wejściu.

Obliczyłam, że w sumie potrzebowałabym trzech – czterech minut. Mogłabym wyjść do toalety, z tym że gabinet znajdował się na piętrze, a toaleta była obok kuchni. Korzystanie z niej byłoby bardzo dziwne i podejrzane. Wtedy do gry miała wejść Olivia.

– Popatrz, kochanie, to jest bardzo proste. Pamiętasz, jak trzy miesiące temu narobiłaś zamieszania w toalecie?

- Z papierem?
 - Tak, z papierem. Wycierałaś pupę i uparłaś się, że musisz urywać papier toaletowy dokładnie wzdłuż linii, a gdy ci się to nie udawało, urywałaś coraz więcej i więcej, wrzucając wszystko do sedesu, i zmarnowałaś praktycznie całą rolkę, ale w końcu ci się udało. A potem oczywiście spuściłaś wodę i co się stało?
 - Narobiłam zamieszania... I musiałaś wezwać hydraulika. Tatę Chloe.
 - Tak, Mike’a... Myślisz, że mogłabyś to powtórzyć?
 - Nauczyłam się już lepiej urywać papier. Prawie zawsze wychodzi mi za pierwszym razem.
 - Tak, ale chodzi o to, żeby znowu zapchać sedes. Mogłabyś to zrobić?
 - Nie chcę znowu widzieć Mike’a. Boję się go.
 - W tym konkretnym przypadku nie będziesz musiała go oglądać.
- Olivia doskonale wykonała operację „zapychanie sedesu w toalecie obok

kuchni Julii”. Dziesięć minut chaosu, wymówka typu: po ostrygach źle się czuję, krótki pobyt w toalecie na piętrze po uprzednim złowieniu kluczy do gabinetu Julii, chwila paniki, że wzięłam nie te klucze, druga chwila paniki na myśl, że być może Julia ma w domu założony monitoring, trzecia chwila paniki przy podłączaniu pendrive’a z trojanem do gniazda USB w jej komputerze, czwarta chwila paniki w momencie wychodzenia z gabinetu, gdy zdałam sobie sprawę z tego, jaka jestem głupia, zostawiając podłączony pendrive, wymioty w toalecie, które sama wywołałam, żeby moja nieobecność była wiarygodna, następne wymioty, które pojawiły się już same – z powodu zdenerwowania i załatwionej sprawy. Ale miałam już dostęp do fortecy pisarki.

Po powrocie do domu czułam, że jestem niezwykła.

– Mamo, myślisz, że Julia jest na mnie zła?

– Nie, skądże.

– A Oliver? Myślisz, że uważa, że jestem głupia?

– Nie, Oliver pokładał się ze śmiechu.

– Tak, to prawda, że trochę się śmiał.

– Widzisz? Wszystko jest w porządku.

– A dlaczego chciałaś, żebym to zrobiła?

– Umówiliśmy się, że nie będzie żadnych pytań. Że to zrobisz i koniec. Taka była umowa.

– A będziemy dalej robić takie rzeczy?

– Na razie nie.

– Lubię ci pomagać.

– A ja lubię, gdy mi pomagasz... Posłuchaj, kiedy mi mówiłaś, że chcesz wyjechać z wyspy... – Chociaż był to efekt złości, martwiła mnie ta sprawa.

– Już nie. Powiedziałaś tak, bo byłam na ciebie zła.

– Ależ ty jesteś kłamczuszką... – Zaśmiałam się i dałam jej buziaka. – Do jutra, córeczko. Odpoczywaj. Kocham cię.

– Jak też cię bardzo kocham, mamusiu. Do jutra.

Obrót w jedną i w drugą stronę.

Wykorzystywałam momenty, kiedy Julii nie było przed komputerem ani w gabinecie, żeby dostać się do wszystkich jej plików i dokumentów. Bałam się, że przy wprowadzaniu trojana coś poszło źle i się zorientuje. Najpierw sprawdziłam jej e-maile. Przeszukałam je, wpisując słowo „Chris”. Nic. Potem drugi raz ze słowem „Williams”. Też nic.



Przeczytanie niedokończonych powieści zajęło mi cztery dni. Zaczęłam ją czytać z sercem walącym jak młot, szukając Chrisa zaplątanego, schwytanego, ukrytego albo biegnącego swobodnie w świetle dnia po którejkolwiek ze stron,

a skończyłam zaplątana, schwytna, ukryta, biegnąc swobodnie po stronach. Zajęło mi to cztery dni, kiedy nie chodziłam do Le Cafe, głównie z obawy, że nie będę mogła się powstrzymać i powiem jej, jak bardzo mi się podoba jej książka. Że będę ją wypytywać o postaci, a przede wszystkim, że będę chciała się dowiedzieć, jak się skończy. To była historia zakazanej miłości, bardzo intensywna, opowiedziana niemal bez opowiadania, w ciszy, jak prawdopodobnie ona sama ją przeżyła. Bardzo niepokojące było uczucie pograżania się w świecie absolutnej normalności i pozornego szczęścia, ale stanowiły one jedynie cienką i delikatną warstwę, śliską powierzchnię, która ledwie pozwalała wyczuć wewnętrzną otchłań jej postaci. Postaci bez imion, co jeszcze bardziej podkreślało tajemnicę wokół prawdy, którą usiłowały ukryć, kłamstwo ich własnej egzystencji. Tyleż anonimowi, co typowi.

I piątego dnia poszłam.

– Myślałam już, że po tym, jak umierałaś w moim domu po ostrzygach, nie chcesz mnie znać.

– Skądże. Chciałam tylko zostawić cię w spokoju. Przychodzę tutaj od tygodni i odnoszę wrażenie, że nie pozwalałam ci pisać.

– Mylisz się. I chociaż nie uwierzysz, między innymi dlatego, że tego nie widziałaś, ale w tym czasie, kiedy spotykałam się z tobą, dużo napisałam. Zrobiłam postępy. A oto i dowód.

Położyła rękę na grubej białej kopercie formatu A4. Od razu wiedziałam, że była w niej powieść. Cała moja operacja na próżno. „Ale jak dobrze się przy tym bawiłaś, Alice. Ten przyływ adrenaliny, który czułaś, czyż nie? Co powiesz mi o tym, *spy yonky?*”

– Czy to jest to, o czym myślę? – zapytałam.

– Nie mam ani agenta, ani wydawcy, ani męża. Padło na ciebie...

– Wow... Co za zaszczyt... Nie wiem, co powiedzieć. Ale ja nie jestem fachowcem. Chodzi mi o to, że moja opinia...

– Twoja opinia jest twoją opinią i to właśnie ona mnie teraz interesuje. Trzymaj. – Wręczyła mi ołówek. – Mam nadzieję, że kiedy skończysz czytać powieść, zużyjesz go, zapisując uwagi na marginesach.

– Jest już skończona? – zapytałam dla niepoznaki, ale też dlatego, że przez moment pomyślałam, iż może to szorstkie zakończenie bez zakończenia jednak jest zakończeniem. Bo czy przypadkiem nie takie są wszystkie zakończenia w życiu?

– Powieści nigdy nie są skończone, nawet po ich opublikowaniu. Tak czy owak, nie, jeszcze nie ma zakończenia. Nie wiem, jak ją zakończyć... Może ty mi pomożesz.

Wtedy otworzyły się drzwi i wszedł Mark. Zaskoczył nas obie. A po minie, jaką zrobił, wywnioskowałam, że też się nas tutaj nie spodziewał.

– Cześć – powiedział. – Właśnie wróciłem z Nowego Jorku.

- Właśnie widzę – powiedziała oschle Julia.
- Chciałem kawę.
- A więc jesteś we właściwym miejscu.

Mark podszedł do lady, prosząc Mindy o średnie karmelowe frappuccino. Przez cztery minuty, jakie spędził w kawiarni (Mindy w przygotowanie każdej kawy wkładała całe serce), nikt nie powiedział ani słowa. Wykonałam gest w stronę Julii, dając jej do zrozumienia, że jeśli chce, to zostawię ich samych, ale delikatnie kręcąc głową, przekazała mi informację, że nie ma takiej potrzeby. Mindy podała Markowi kawę. Zapłacił, zostawił napiwek, zdjął pokrywkę, wsypał dwie saszetki brązowego cukru, spokojnie zamieszał, z powrotem nałożył pokrywkę i wyszedł, biorąc łyk kawy.

- Do widzenia – powiedział.
- Do widzenia – powiedziała Julia.
- Do widzenia – powiedziałam.

Posmutniałam na jego widok. Kiedy się pojawił, unikałam z nim najmniejszego kontaktu wzrokowego. To uświadomiło mi, że za nim tęskniłam. Dlatego nie odpowiedziałam na żadną z jego wiadomości. Nie chciałam kończyć tego związku. Naszego związku. Podobało mi się, że mam go tutaj. Zmuszałam się do wyboru między Julią a Markiem, a teraz okazało się, że chciałam mieć ich oboje. A tak nie mogło być. A może mogło?

Dni 353–361. Rok I p.Ch.

– Dziewczyno, zniknęłaś na tyle czasu. Jak mogłaś mi to zrobić? – zarzuciła mi Karen w drodze na urodzinową imprezę Keitha na Napoleon Island.

John sterował łodzią, nie odzywając się, z piwem w ręku, pogrążony w myślach. Jak ja bardzo chciałam zainstalować trojana w jego mózgu, żeby zhakować jego umysł i wytropić Chrisa. „Pewnego dnia pojawi się taka technologia”, pomyślałam, słuchając trajkoczącej Karen.

– Pięćdziesiąt lat. Ale on jest jak dobre wino. Im starszy, tym lepszy. Będą bardzo ważni ludzie ze świata kultury i polityki. Lepiej wykorzystaj tę szansę, bo w przeciwnym razie poszukam dla niego innej, lepszej kandydatki.

Karen nadal wierzyła, że bylibyśmy bardzo dobraną parą. Tak, znakomitą. Szkoda tylko, że nie lubię grać w rozbieranego pokera. Dlaczego Keith ukrywa przed swoją siostrą, że jest gejem? I skąd ten upór Karen, żeby za wszelką cenę miał partnerkę? Czy mogło to mieć związek z tym, że przeczuwała, co łączy Keitha z Johnem? A wyswatanie go było jedynym sposobem, jaki przyszedł jej do głowy, żeby znaleźć wyjście z tej dziwnej sytuacji? Oczywiście oprócz wpędzenia się w alkoholizm.

Miriam, która wciąż była bardzo smutna z powodu zniknięcia Sandy, a przede wszystkim dlatego, że straciła wszelką nadzieję na jej odnalezienie, też robiła mi wyrzuty z powodu ukrywania się. „Rozmawiamy o naszej przyjaźni, razem płaczemy, ściskamy się, zacieśniamy więzy, a potem ty i tak robisz swoje. Gdybym o tym wiedziała, nie sprzedałabym ci domu. Niewdzięcznica”. To prawda, że po zainstalowaniu kamer w domach większość czasu spędzałam na poddaszu. Nie potrzebowałam już tak bardzo integrować się, by zdobywać informacje. Obiecałam Miriam wspólną kolację dwa razy w miesiącu, jeśli pójdzie ze mną na urodzinowe przyjęcie Keitha. Bez względu na to, jak bardzo musiałam tam być, nie chciałam iść sama. Zostawiłyśmy Ruby i Chloe w żłobku Tiny, a Oliwię z Barbarą w Horse Rush Farm. Już zainaugurowali sezon i otworzyli drzwi dla wszystkich zainteresowanych.

Bez wątpienia Napoleon Island była wyjątkowa. Na środku wznosił się wspaniały zamek w średniowiecznym stylu, zbudowany w 1901 roku. Należał do rodziny słynnego architekta z tamtego okresu, Napoleona LeCaptain, który zaprojektował liczne kościoły w Filadelfii (skąd pochodził) i w Nowym Jorku, między innymi kościół Jana Chrzciciela, a oprócz tego mnóstwo remiz strażackich i wiele z pierwszych drapaczy chmur, jak Metropolitan Life Insurance Company Tower. Żeby zbudować zamek, trzeba było z Martha's Vineyard sprowadzić tony granitu przez zamrożone wody, które łączyły obie wyspy. Napoleon zatrudnił włoskich kamieniarzy do pracy nad granitem, z którego powstał czteropiętrowy zamek z dwudziestoma ośmioma pokojami i podziemnymi lochami oraz

korytarzami. Z Falmouth przetransportowano ponad dwa tysiące ładunków ziemi, żeby pokryć osiem hektarów skał i otoczyć zamek wspaniałym kobiercem trawy. Napoleon, darując wyspę swojej żonie i dzieciom, pragnął im zrobić niespodziankę – chciał, żeby mogła z nimi tam wypoczywać. To był prezent za pięćset tysięcy dolarów. Umarł na wyspie na zawał podczas snu zaledwie dziesięć dni po zakończeniu wszystkich prac. Rodzina LeCaptainów już nigdy więcej na nią nie przyjechała, uważając, że jest przeklęta.

Gdybym nie wiedziała, co Keith robi z Johnem, to myślę, że naprawdę dałabym mu szansę. W tym miejscu można się było zakochać, przyciągało jak magnes. A on był idealnym gospodarzem. Kiedy tylko nas zobaczył, wziął mnie pod ramię w celu ochrony przed natarczywością swojej siostry i oprowadził po zamku, opowiadając historię wyspy. Tutaj bardzo rzucało się w oczy, jak jest dobrze wychowany, delikatny, a nawet atrakcyjny, co ogromnie kontrastowało z wulgarnością, jaką okazywał podczas partyjek pokera. Ale prawda była taka, że wcale mnie to nie dziwiło, uważałam nawet, że to jest zdrowe. Życie w samotności w tym ogromnym zamku mogłoby się kiedyś zamienić w więzienie. Wszystko tutaj stale by mu przypominało, że nie ma rodziny, z którą mógłby zajmować te pokoje. Chociaż, jak się wydaje, był filantropem i przyjmował pod swój dach wszelkiej maści artystów szukających inspiracji, nie biorąc od nich ani grosza.

– W każdym razie nie mieszkam sam – powiedział mi. Miał ośmiu pracowników, którzy przebywali w zamku na stałe, i kolejnych siedmiu, którzy dołączali na okres od wiosny do jesieni. – Nie licząc ducha Napoleona. Jest moim najlepszym przyjacielem i wiernym towarzyszem. Tam, gdzie jestem ja, jest i on, nie opuszcza mnie nawet w nocy. – Napoleon był bardzo przyjaznym i ekstrawertycznym człowiekiem, który uwielbiał towarzystwo i ciągle otaczał się ludźmi. Nie tylko nadzorował wszystkie prace, ale nie wahał się też założyć kask i wspiąć się na rusztowanie, by pomóc robotnikom, jeśli była taka potrzeba.

– W zamku rzadko coś nie działa. Mam teorię, że on sam zakasuje rękawy i usuwa każdą awarię. Drzwi zaczynają skrzypieć, a dwa dni później przestają i są doskonale nasmarowane, chociaż żaden z pracowników nic przy nich nie robił. Napoleon to wspaniały człowiek. Bardzo bym chciał, żebyś go poznała. Nie sądzę jednak, by mogło do tego dojść dzisiaj, bo jest bardzo dyskretny i nie chce nikogo przestraszyć. Będziesz musiała odwiedzić mnie innego dnia – powiedział, puszczając oko, co wydawało się jasną i wprawiającą mnie w zakłopotanie aluzją.

I wtedy zobaczyłam Marka. Stał z kieliszkiem szampana w ręku, trochę z dala od pozostałych gości, odwrócony plecami, na skraju małej skarpy opadającej ku morzu. Jakby wyczuł moją obecność, obrócił się delikatnie, by na mnie spojrzeć, podniósł swój kieliszek na znak toastu i napił się, odwracając jednocześnie wzrok ku morzu i nie czekając na moją odpowiedź. Był bardzo przystojny. Świetnie wyglądał. Zapewne zaczął żeglować, gdyż jego skóra była już

brązowa, a włosy jaśniejsze i pokręcone. A przede wszystkim wyglądał na zrelaksowanego, czego od dawna u niego nie widziałam. A nic nie podoba mi się bardziej niż spokojny mężczyzna.

Bawiliśmy się znakomicie. Muzyka na żywo w wykonaniu folkowego zespołu, wyborne jedzenie, piękna letnia pogoda. A co ciekawe, John i Keith nie zamienili ze sobą ani jednego słowa, nawet na siebie nie patrzyli.

Po zjedzeniu tortu (Keith nie chciał zdmuchnąć świeczek, twierdził bowiem, że jest to zbyt pospolite) Miriam postanowiła uciąć sobie drzemkę na jednym z hamaków przy basenie, bo od wina kręciło jej się w głowie. Ja natomiast poszłam na spacer dookoła maleńkiej wyspy, uciekając trochę od tłumu.

Myślałam, że Mark już opuścił przyjęcie, gdyż od dłuższego czasu go nie widziałam. Dlatego byłam zaskoczona, kiedy spotkałam go na wąskiej ścieżce, która oplatała wyspę. „Zaskoczona? Czy przypadkiem go nie szukałaś?” Szedł w przeciwnym kierunku.

- Cześć.
- Cześć... Myślałam, że już poszedłeś.
- Chciałem, ale uznałem, że to nieładnie wychodzić przed tortem.
- Tak...
- Szukałaś mnie?
- Co? Nie, nie... – Byłam bardzo onieśmielona, sama nie wiem dlaczego. – Chciałam się trochę przejść po jedzeniu.
- Ach, więc nie będę ci przeszkadzał?
- Jeśli chcesz mi towarzyszyć, nie mam nic przeciwko.
- Dobrze, pójdę z tobą, żebyś nie zgubiła się na tej bezkresnej wyspie – zażartował zmieszany podobnie jak ja.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Odprężyło mnie to, że nie czułam urazy ani napięcia seksualnego. Może między nami wydarzyło się już wszystko? A może oboje udawaliśmy, a w środku prowadziliśmy zaciętą walkę?

I wtedy zobaczyłam go w głębi, za szeregami jodeł. Kort tenisowy. Twardą nawierzchnię (cementową albo akrylową) w kolorze niebieskim i białym. Instynktownie się zatrzymałam, ale natychmiast ruszyłam do przodu, obawiając się, że Mark dostrzeże, iż jestem w stanie poprzedzającym atak paniki. Chciałam mu powiedzieć, żebyśmy wracali, że robi się późno, ale nasz spacer nie trwał jeszcze nawet pięciu minut. Kort tenisowy znajdował się na krańcu wyspy. Zastanawiałam się, dlaczego właśnie tam, a nie bliżej zamku. Czyżby to był kort Chrisa? Jeśli chciałam to sprawdzić, musiałam się do niego dostać, zobaczyć nawierzchnię, poszukać jakiejś tabliczki albo blaszki z nazwą firmy Chrisa, co Markowi mogłoby się wydać raczej dziwne. Poczułam, że tak, że chcę, żeby to był kort Chrisa, bo to pomogłoby wyjaśnić pewne rzeczy albo przynajmniej jego częściowy związek z wyspą. Wolałam jednak iść dalej, oddalić się od tego miejsca,

ruszyć w przeciwnym kierunku. Ale Mark mnie zatrzymał. Tutaj. Akurat tutaj?

– Alice, chciałbym cię przeprosić za swoje zachowanie. – Nie miałam pewności, czy jestem w stanie prowadzić rozmowę, tym bardziej taką. – Przestaliśmy się widywać z dnia na dzień, bez żadnych wyjaśnień. Nie rozumiałem tego. Wiem, że to śmieszne, ale czułem się wykorzystany. Podczas gdy – teraz to wiem – to ja wykorzystywałem ciebie. W tym czasie wiele spraw się również naprawiło. Ogólnie układało mi się lepiej, zwłaszcza z Julią. Bałem się, że jeśli przestanę się z tobą spotykać, to wszystko znowu się posypie. Bardzo mnie to zdenerwowało i głupio się zachowałem, sam to zepsułem. Wiem, że chcę mieć wszystko, a w życiu tak się nie da. Wiem o tym doskonale, chociaż próbowałem, ale na próżno, albo właśnie dlatego, że próbowałem, przekonałem się o tym.

To przyznanie się do błędu w tak spokojny i dość uporządkowany sposób przywiodło mi na myśl Marka, który mi się podobał i do którego się przywiązałam, co nie pomagało mi kontrolować niepokoju. Ani to, ani również nagłe przypomnienie sobie, że chociaż Chris używał wielu nawierzchni w różnych kolorach, w zależności od tego, co podobało się klientowi, to akrylowa (nazywa się chyba DecoTurf) w kolorze niebieskim i białym – jak ta na wyspie – była jego ulubioną.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Julia miała romans? – Postanowiłam włączyć się w tę rozmowę, gdyż zaczynały zawodzić mnie nogi.

– Bo jeśli ktoś bardzo ci się podoba, to za wszelką cenę starasz się ukryć swoje wady.

– To, że Julia miała romans, jest twoją wadą?

– Wadą, porażką, błędem, brakiem, niedoskonałością, wielką kupą gówna. Nazwij to, jak chcesz, ale ja tak to odczuwałem. I nadal odczuwam.

Tego właśnie doświadczałam przez długi czas, gdy odkryłam kłamstwa Chrisa; szukałam w sobie błędu, który doprowadził do tego, że Chris uciekał na Robin Island. Czy nasza historia miłosna nie była zbyt idealna, zbyt piękna? A teraz może byłam tylko zdenerwowana i zszokowana, gdyż zauważyłam, że na jednym ze słupków ogrodzenia znajduje się tabliczka, na której było napisane wielkimi literami: WTT? Williams Tennis Tech. Firma Chrisa. Czy kort tenisowy był owocem jego pobytu na wyspie?

Po powrocie do domu natychmiast zabrałam się do sprawdzania wszystkich dokumentów i umów dotyczących produkcji i konserwacji kortów Chrisa. Były ich setki. Zachował wszystkie kopie. Jednak na żadnym nie znalazłam Napoleon Island ani nazwiska Keitha. Czyżbym się pomyliła? Nie, to niemożliwe, chyba że miałam halucynacje. Przecież sama pomagałam Chrisowi zaprojektować jego firmową tabliczkę. A teraz znajdowała się na Napoleon Island, na wyspie, która już oficjalnie została podejrzaną numer dwadzieścia.



Podczas ostatnich zakupów w Night Eyes, zanim wyszłam ze wszystkim, co było mi potrzebne do zhakowania komputera Julii, połączenie mojej wyższej siły przetrwania, przynależności do społeczeństwa konsumpcyjnego i potrzeby, by nadal się oszukiwać, ale mieć też iskrę nadziei, sprawiło, że zwróciłam uwagę na modulator głosu. Inny model. „Szybki i łatwy w obsłudze. Zmienia ton, barwę, wysokość dźwięku, oktawę. 50 pamięci. Znakomita oferta. Do wszystkich rodzajów smartfonów. Tak dobry, że nie rozpozna cię własna matka! Okazja. Wcześniej: 695. Teraz: 529”. Była to oferta nie do odrzucenia. Kupno tego modulatora zostało w pełni usprawiedliwione, postanowiłam bowiem, że Chris wykona dwa połączenia z za grobu.

Modulator głosu. Tryb: mężczyzna – pamięć 14.

Dzień 354. Godzina 11.20.

Dzwoni telefon komórkowy Keitha.

Keith: Tak?

Ja: Cześć, Keith.

Keith: Cześć, kto mówi?

Ja: Chris.

Keith: Chris? Jaki Chris?

Ja: Williams.

Keith: Przepraszam, jak? Bardzo źle cię słysząc. Gdzie jesteś? Twój głos brzmi bardzo dziwnie. Halo?

Ja: Jestem Chris Williams.

Keith: Chris Williams? Nie przypominam sobie.

Ja: Ten od kortu tenisowego.

Keith: Przepraszam?

Ja: Ten od kortu tenisowego.

Keith: Od kortu tenisowego?... Ach! Chris! Kawał czasu! Jak się masz? Nie mów, że coś ci jestem winien?

Ja: Nie, nie...

Keith: A zatem czemu zawdzięczam?... Zaraz... To niemożliwe. Przecież mój szwagier powiedział mi, że... Powtórz, jak się nazywasz?

Rozłączam się.

Karen's Petite Maison. Biuro. Dzień 355. Godzina 1.35.

Keith i John szykują się do partyjki rozbieranego pokera.

Keith: Dzisiaj rano przytrafiło mi się coś bardzo dziwnego.

John: Co takiego?

Keith: Mówiłeś mi, że twój kolega Chris Williams nie żyje, prawda? Ten od kortu tenisowego.

John: Nie mów. Dzwonił do ciebie.

Keith: Skąd wiesz?

John: Jaki miał głos? Dziwny i trochę zniekształcony, tak?

Keith: Tak, a w tle było dosyć głośno.

John: Co za skurwysyn!

Keith: Kto? Chris?

John: Nie, nie, ten sukinsyn, który się za niego podaje.

Keith: Ale skąd ty to wiesz?

John: Bo przez jakiś czas ciągle do mnie wydzwaniał.

Keith: W celu?

John: Bez powodu, żeby grać mi na nerwach.

Keith: Ale jesteś pewien, że Chris...

John: Jasne, że tak, jasne, że tak. Zmarł rok temu czy coś koło tego. Czytałem w magazynie stowarzyszenia studentów Uniwersytetu Wirginii.

Keith: To bardzo dziwne...

John: Miałeś kontakt z Chrisem po budowie kortu?

Keith: Skąd.

John: A zapłaciłeś mu wszystko?

Keith: Tak. Wszystko. Ale jak teraz o tym mówisz... Było dziwnie.

John: Dlaczego?

Keith: Bo nie chciał wystawić faktury. Poprosił, żebym zapłacił mu gotówką. Na czarno. Nie pamiętam, dlaczego się zgodziłem. To było już ponad trzy lata temu...

John: Myślę, że ten gamoń, kimkolwiek by był, chce cię szantażować. Ciebie albo mnie, albo nas obu...

Keith: Szantażować nas? Po co?

John: Słuchaj, chyba nikomu nie powiedziałeś o tym, że...

Keith: Nie. Tylko mojej siostrze, przecież to oczywiste... No pewnie, że nie!

John: Dobrze, w każdym razie żebyś nie puścił pary z ust, jeśli znów do ciebie zadzwoni. O niczym.

Keith: Słuchaj, a ty?

John: Co ja? Czy coś powiedziałem? Oszalałeś?

Keith: Nie, chodzi mi o to, czy miałeś jeszcze z nim kontakt?

John: Nie, nie, nigdy więcej...

Keith: Na pewno?

John: Co jest? Będziesz teraz zazdrosny? Uwielbiam to.

Keith: Albo mi odpowiesz, albo nie gram.

John: Tym gorzej dla ciebie, bo mam pewną niespodziankę.

Keith: Ach, tak? Jaka?

John: Chcesz odpowiedź?

Keith: Nie dam się oszukać...

John wstaje, odwraca się, zdejmuje piżamę razem z bokserkami i na krótką chwilę pokazuje mu swój wydepilowany tyłek.

Keith: Ha, ha, ha! Bardzo mi się podoba. Ha, ha, ha! Jak ciota... Pokonałeś mnie. Ha, ha, ha!

Już więcej nie wspomnieli o Chrisie. Zastanawiałam się, czy to Chris nawiązał kontakt z Keithem, będąc na Robin Island, i Keith złożył u niego zamówienie. Czy było na odwrót? Może budowa kortu przywiodła go na wyspę? Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć: powrót na Napoleon Island.



Keith był zachwycony (tak się wyraził), że przyjął jego zaproszenie, aby osobiście poznać ducha Napoleona i razem z dziewczynkami spędzić na wyspie weekend. Zabrałam ze sobą także zegar szpiegowski w kształcie steru. „To prezent, chociaż wiem, że nie pasuje za bardzo do miejsca o takiej historii i tradycji”. „Co ty mówisz?! Nie opowiadaj bzdur, bardzo mi się podoba! Jest idealny na mój jacht”.

Keith przygotował niesamowite rozrywki dla Olivii. W sobotę przebrał za piratów wszystkich swoich pracowników, a także siebie (był Barbarosą). Zorganizował na wyspie zabawę w poszukiwanie ukrytego skarbu. Olivia doskonale się bawiła, odkrywając ślady, uciekając z przerażeniem przed „złymi” piratami, żeglując w poszukiwaniu nowych szlaków (na plastikowej szalupie w basenie), zaprzyjaźniając się z duchem Napoleona, żeby jej pomógł (skrzypienie i inne dziwne odgłosy były jej kompasem, wyznaczały drogę, którą powinna podążać), pokonując przełęcz (dróżkę, która prowadzi do przystani) i niebezpieczne mosty (na stawie) na grzbiecie Pandy (Keith, kiedy usłyszał, jak bardzo Olivia tęskni za kucykiem, porozmawiał z Barbarą i sprowadził go tutaj). Została schwytana przez kulawego pirata i wtrącona do lochu, żeby potem uratował ją rozbitek, który pojawił się na wyspie (oczywiście ja grałam rozbitek, pasował do mnie jak ulał), aż w końcu znalazła sekretną kryjówkę prowadzącą do skarbu: kufra – przysięgłabym, że pochodził z XVIII wieku – który zawierał... „Och, nie, co za koszmar, w środku nie ma nic! Nic!” Pirat Barbarossa śmiał się złośliwie, widząc niespodziewany zwrot wydarzeń i rozczarowaną buzię Olivii.

– Drogi chłopcze pokładowy – zwrócił się do niej Keith – w każdej przygodzie najważniejsze jest nie to, gdzie się dociera. Największą i jedyną nagrodą jest droga, to wszystko, co przeżyłeś, to wszystko, czego się nauczyłeś, to wszystko, czego doświadczyłeś. Najlepszym skarbem na koniec przygody jesteś ty.

– Co za gówno – powiedziała Olivia.

Później okazało się, że w swoim pokoju znalazła całą górę zabawek

i słodczy.

Po przybyciu na wyspę przy pierwszej nadarzającej się okazji wymknęłam się na chwilę, żeby sprawdzić, czy faktycznie kort tenisowy należał do WTT, ale nie odważyłam się zapytać Keitha o nic, co się z nim wiązało. Zamiast tego poświęciłam weekend na oglądanie niektórych pokoi z większą uwagą i z Kluczem Master gotowym do użycia. Gdyby przyłapał mnie któryś z pracowników, powiedziałabym, że się zgubiłam, gdyż naprawdę łatwo było się tam zgubić. Chociaż można też było dać się ponieść i włóczyć po różnych pokojach, gdyż wszystkie miały swoje historie. To był zamek-muzeum. A czego szukałam? Wiedziałam już, że nie znajdę żadnej umowy z Chrisem. Co zatem powodowało mną, kiedy węszyłam po pokojach, oprócz tego, że szukałam wątpliwego zamka, który otworzyłby Klucz Master? Prawdziwym źródłem informacji był Keith. To ten zamek musiałam otworzyć. Musiałam z nim porozmawiać. Zyskać jego zaufanie, spędzać z nim trochę czasu, jak właśnie teraz, wieczorem, kiedy tylko we dwoje siedzieliśmy w salonie naprzeciwko kominka, pijąc wino gran reserva z Burgundii, które wydawało się bardzo drogie.

– Kiedy kupiłeś wyspę? Dużo musiałeś odnawiać? – zapytałam go.

Minęło już sześć lat od czasu, gdy został właścicielem wyspy, a mieszkał na niej od czterech. Wnętrza zamku prawie nie dotykał. Tylko to, czego nie widać: rurociągi, kanalizacja, instalacja elektryczna i tak dalej. Podobało mu się, że jest stary. Na zewnątrz, i owszem, zmienił więcej. Właściwie przeprowadził dwa wielkie remonty. Jeden przed przeprowadzką na wyspę i drugi, jeszcze większy, po przejściu huraganu Sandy. Chciałam, pragnęłam, potrzebowałam zwerbalizować pytania, które dotyczyły Chrisa i na które on mógł odpowiedzieć. Ale nie byłam w stanie tego zrobić. Wszystkie te pytania skumulowały się w moim gardle, przylegając jedno do drugiego i tworząc wielką kulę. Udało mi się przemycić jedynie dwa pytania: „Regularnie grywasz w tenisa? Ten kort jest dosyć nowy, prawda?”. Odpowiedział, że nie, że prawie z niego nie korzysta, że w zasadzie jest do użytku gości, i ciągnął swoją litanię dotyczącą remontu. Że ogród japoński zaprojektował Yoshimi Kono; że trawa jest typu Bermuda, taka sama jak na polu golfowym w Auguście, gdzie rozgrywany jest turniej Masters; że pomost został zrobiony z białego dębu amerykańskiego; że basen zaprojektował niejaki Cipriano, Włoch, który importował szklane kafelki z wyspy Murano. Ale ani słowa o kortie tenisowym, bo – prawdę powiedziawszy – kort tenisowy to tylko kort tenisowy. Chociaż w tym momencie ten kort był moim jedynym śladem.

Dzień 0. Rok II p.Ch.

Plaża jest pusta. Kłosa tańczą, poruszane wiatrem z północnego wschodu. Piasek tworzy małe wiry na wydmach. Jest zimno, mimo że mamy dopiero początek września. Jakiś człowiek na brzegu obserwuje wzburzone i hipnotyczne morze. Nie mogę dostrzec jego twarzy. Nie muszę jej widzieć. Rozwiane i poskręcane przez wiatr i sól włosy. Jest bosy i ma na sobie dwukrotnie podwinięte spodnie w kolorze khaki. Piękne wściekłe fale uderzają o brzeg. Prąd strugowy kreśli bruzdy wokół jego stóp. Zbliżam się powoli, jakbym chciała zrobić mu niespodziankę albo jakbym się bała go przestraszyć. Jestem prawie naga, mam na sobie tylko męski sweter, bardzo szeroki, sięgający mi niemal do kolan. Wydaje mi się, że właśnie się kochałam z tym mężczyzną i że sweter należy do niego. Rzenie kilku dzikich koni. Mewa zawieszona w powietrzu. Już nie wiem, co czuję do tego mężczyzny. Nie wiem, czy chcę go przestraszyć, odsunąć, uderzyć, pocałować, objąć, kochać. Podchodzę do niego. Odwraca się i na mnie patrzy. Uśmiecha się do mnie.

– Alice, szukaj prostych rzeczy. Życie nie jest tak skomplikowane, jak się wydaje.

Policzkuję go. On pozostaje niewzruszony.

– Życie jest ciągiem niewyjaśnionych spraw, Alice. I dobrze, że tak jest.

Znowu go policzkuję, tym razem mocniej. Nawet się nie poruszył, chociaż widzę krew w kącie jego ust.

– Dlaczego mnie o to nie zapytasz? No dalej, zapytaj mnie o to. Zapytaj mnie, co robię na wyspie.

Kolejne uderzenie w twarz. I jeszcze jedno. I jeszcze jedno. Coraz mocniejsze, z coraz większą wściekłością. Wkrótce jednak uderzenia zamieniają się w pragnienie, w podniecenie. Całuję go. Jego usta mają metaliczny smak z powodu krwi. Podoba mi się to. Jeszcze bardziej mnie podnieca. Osuwamy się na ziemię, nie robiąc sobie krzywdy. Zaczynamy się kochać. Fale głaszczą nasze stopy. On kładzie się na mnie. Jego pchnięciom towarzyszy uderzanie fal, coraz mocniejsze z powodu zbliżającego się przyływu, coraz bliżej orgazmu. Połykam wodę. Staram się go powstrzymać, chociaż nie chcę, by przerywał. Fale pociągają mnie ze sobą. Tylko mnie.

Umieram z rozkoszy. Umieram, topiąc się.

Obudziłam się nagle mokra od łez, potu i wydzieliny z pochwy. Wciąż byłam podniecona i starałam się złapać oddech.

Bałam się spojrzeć na zegarek, myśląc, że jest 00.01. Przeklęta godzina, o której odebrałam telefon od dziewczyny z pogotowia powiadamiającej mnie o wypadku Chrisa. Ale nie. Albo tak, ponieważ wszystkie godziny, minuty i sekundy tej nocy były przeklęte. Nocy, kiedy umarł Chris. Była 5.30. Rozpłakałam się, przypomniawszy sobie dojmującą samotność, którą czułam

właśnie rok temu, praktycznie o tej samej godzinie, kiedy patrzyłam na wschód słońca w szpitalu Saint Luke w New Bedford i rozmawiałam przez telefon ze swoją matką, kłamiąc, bo nie byłam w stanie powiedzieć jej prawdy.

Pomyślałam, by pójść do łóżka Olivii, ale nie chciałam, żeby udzieliło jej się moje zdenerwowanie, chociaż byłam już trochę spokojniejsza. Tak więc wstałam, włożyłam bluzę Chrisa i wyszłam na ganek z kocem, by jeszcze trochę popłakać i popatrzeć przez łyzy na wschód słońca.



– Ile czasu minęło, mamusiu?

Wzruszyło mnie to, że moja córka, królowa liczb, mająca ogromne doświadczenie w liczeniu rozmaitych rzeczy, nie wiedziała, że właśnie tego dnia mijał rok od śmierci jej ojca.

– Dzisiaj mija rok, Oli.

– A czy rok później trzeba płakać?

– Jeśli odczuwasz potrzebę, żeby płakać, to tak, oczywiście. Rób to, czego domaga się twoje ciało, kochanie.

– Ciało domaga się tego, żebym zmieniła kwiaty. Mogę ułożyć je na swój sposób?

– Ale przecież sama wybrałaś bukiet. Jest śliczny. Po co chcesz zmieniać kwiaty?

– Nie chcę ich zmieniać, chcę je uporządkować, bo jeśli nie ułożę ich na swój sposób, wtedy będę miała ochotę płakać.

– Więc płacz, dziecko, to znaczy porządkuj, co chcesz.

Przyszliśmy na cmentarz, by spędzić tutaj dzień, by znowu urządzić piknik przy grobie Chrisa i tak karmić łabędzie i kaczki w stawie, aby nie zobaczył tego strażnik cmentarza. Był śliczny, słoneczny dzień. W przeciwnym razie nie zabrałabym Olivii. Chciałam, żeby kojarzyła to miejsce z czymś pięknym, co ukołoby oczywisty smutek z powodu tego, że jej ojca nie ma już z nami.

– Prawda, że jest znacznie lepiej? – zapytała Olivia.

Zburzyła bukiet i rozłożyła kwiaty wzdłuż grobu, tworząc słowo DAD¹⁸. Każda litera składała się z innego rodzaju kwiatu i koloru. W kwiaciarni upierała się, że chce trzy różne rodzaje kwiatów: białe róże, żółte stokrotki i purpurowe irysy. I taką samą liczbę każdego z nich.

– Już w kwiaciarni wiedziałaś, że to zrobisz?

– No pewnie, mamusiu.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Bo to miała być niespodzianka. Ja też mam swoje sekreciki...

– Więc muszę przyznać, że twój sekrecik wyszedł ci bardzo ładnie, córeczko. Cudowny pomysł.

Następnie wyjęła z kieszeni taśmę klejącą (co wskazywało, że faktycznie wszystko zaplanowała jeszcze przed wyjściem z domu) i zaczęła przyklejać kwiaty do płyty, żeby się nie przesunęły.

Wtedy zanurzyłam się w krzak, żeby dostać się do kamery. Do tej pory nie miałam z niej żadnego pożytku. Roześmiałam się, przypomniawszy sobie pierwsze zdjęcie, które zrobiłam na cmentarzu. Wózek Ruby z wsadzonymi do niego grabiami, mającymi udawać osobę średniego wzrostu. „Ileż przeszłam w ciągu tego roku”, pomyślałam. Doznałam najgorszej krzywdy, a wciąż się trzymałam. Dorosłam czy też raczej zostałam zmuszona, by dorosnąć (dorosnąć albo dojrzeć, nie byłam tego pewna) bardziej niż w jakimkolwiek innym roku mojego życia. Być może bardziej niż w całym moim dotychczasowym życiu. Pamiętałam niepokój i zdenerwowanie wtedy na cmentarzu, kiedy umieszczałam kamerę. A teraz wydawało mi się to tak banalnie proste i naturalne, jak czyszczenie zębów. Tyle że wcześniej nie robiłam nic trudniejszego ani bardziej ryzykownego. Nagle poczułam się jak Katniss Everdeen, bohaterka *Igrzysk śmierci*, jednej z moich ulubionych sag. Chris też ją uwielbiał. Kładliśmy się razem do łóżka, każde ze swoim e-bookiem, i czytaliśmy symultanicznie, strona po stronie, zgrani, w tym samym rytmie. Wciąż pamiętam, jak bardzo się wściekłam, kiedy Chris w czasie jednej ze swoich podróży nie mógł się powstrzymać i przeczytał zakończenie drugiej książki z serii. A to było absolutnie zabronione. Mogliśmy czytać, tylko będąc razem. Wypatrywałam go, obgryzając paznokcie, bo nie mogłam się doczekać chwili, kiedy poznam zakończenie, a on przyprawił mi „rogi”. Czy przyprawił mi rogi, tylko czytając te strony? Ciekawe jest to, że go przyłapałam. Gdy tylko wrócił z tamtej podróży, po szybkim numerku, od razu zaczęliśmy czytać i go przyłapałam. Niemal natychmiast zauważyłam, że już przeczytał zakończenie. Udawanie wychodziło mu naprawdę kiepsko. Nic nie robił ani nie mówił, chowając się za swoim czytnikiem. Ale się zorientowałam. „Przeczytałeś! Przeczytałeś zakończenie!”, zgańłam go. „Nie, co ty mówisz! Cicho bądź i czytaj dalej, bo zaczyna być bardzo ciekawie!”, powiedział, czerwieniejąc jak burak. Wkurzyłam się nie na żarty, bynajmniej, wkurzyłam się naprawdę. Jak to możliwe, że przyłapywałam go na tych wszystkich niewinnych kłamstewkach, niemalże niedostrzegalnych, a nie zauważyłam wielkiego kłamstwa, w którym żyłam? Nie chciałam go widzieć? Czy o to naprawdę chodziło?

Cztery tysiące trzysta czterdzieści cztery nowe zdjęcia z osiemnastu tysięcy trzystu pięćdziesięciu ośmiu. Niezły plon, zważywszy, że od ostatniego zbioru minął zaledwie miesiąc. Pomyślałam, że wiosna zachęca rodziny do odwiedzania grobów swoich bliskich. Cieszyłam się, że mam przed sobą dwa albo trzy dni pracy przy przeglądaniu zdjęć, co jednak nie przestawało być również niepokojące. Baterię i kartę pamięci zmieniłam w ostatniej chwili przed nadejściem moich rodziców i Williamsów.

– Mamo, postarajmy się, żeby to był szczęśliwy i piękny dzień dla dziewczynek – szepnęłam, ściskając ją na powitanie. – Żadnego rozpaczania ani zawodzącego płaczu, dobrze?

Wbrew wszelkim prognozom moja matka dotrzymała słowa. Chociaż płakała, pewnie, że płakała. Wszyscy płakaliśmy. Ale był to płacz wyzwalający, któremu towarzyszyły uśmiechy i zabawne anegdoty związane z Chrisem. Hołd jak się patrzy. Skorzystałam z okazji i przypomniałam okres w życiu Chrisa, kiedy będąc jeszcze dzieckiem, myślał, że jest adoptowany, ponieważ nie miał diastemy jak jego matka, ciotka, siostra i kuzynka. Wszystko przez głupiego kuzyna Kenny'ego i nieszczęsną przerwę między zębami. Betty opowiedziała, że postanowili pokazać mu wideo z jego narodzin, żeby się uspokoił, ale chociaż dokładnie przeszukali pudła w piwnicy, nie mogli go znaleźć i ostatecznie pokazali mu nagranie z narodzin Tricii. Było między nimi tylko kilka lat różnicy, a poza tym niemowlę to niemowlę, trudno je rozpoznać. Chris się uspokoił i już nigdy więcej nie wracał do tego tematu. I chociaż śmiałam się z tej opowieści, byłam podejrzliwa, robiąc notatki w myślach i przypominając sobie tezę, według mnie solidną (ale już obaloną), o ewentualnym pokrewieństwie Chrisa i Stephena. Wszystko wskazywało jednak na to, że się pomyliłam. A jeśli to Jennifer w jakiś sposób była spokrewniona z Chrisem? Chociaż wiedziałam aż za dobrze, że to podejrzenie odpowiadało bardziej mojemu pragnieniu niż rzeczywistości. Bardzo bym chciała mieć taką siostrę jak Jennifer. Jak Jennifer albo jak Miriam, albo jak Julia, a nawet jak Karen. „Może każdej z nich powinnaś zrobić test DNA. A później, co oczywiste, wszystkim pozostałym mieszkańcom wyspy... No już, dalej, do roboty. Szczęśliwego II roku p.Ch.”.

Dni 1–7. Rok II p.Ch.

Byłam dopiero przy sześćset dwudziestym piątym zdjęciu z czterech tysięcy trzystu czterdziestu czterech, kiedy moją uwagę zwróciło jedno z akwariów. Kolejna kłótnia (i wydawało się, że ostatnia) między Jennifer i Summer. Jennifer nigdy nie lubiła kłócić się przy Stephenie, jakby nie chciała burzyć jego spokoju w stanie śpiączki. Być może dlatego Summer – wiedząc, że na tym terenie ma przewagę – postanowiła rzucić bombę właśnie tutaj.

Summer: Wyjeżdżam.

Jennifer: Chcesz wyjechać?

Summer: Tak, z wyspy. Na zawsze. Bye, bye, Robin Island. Ta mama ucieka z Mom's Island.

Jennifer: Jak to wyjeżdżasz na zawsze?

Summer: Umówiliśmy się, że będę musiała karmić piersią przez trzy miesiące.

Jennifer: Nie, umówiliśmy się, że przez sześć i że możemy ponegocjować, by zejść do pięciu. A nie minęły nawet trzy, o których ty mówisz.

Summer: A możesz mi pokazać, gdzie mamy to zapisane?

Jennifer: Jak to zapisane? Niczego nie podpisywałyśmy.

Summer: No właśnie... Nie mam zamiaru spędzić tutaj kolejnego lata, zanudzając się na śmierć. Dawaj mi resztę kasy i ciao!

Jennifer: Summer, miejmy spokojne święto.

Summer: Wiesz, w czym rzecz? Że im więcej czasu spędzam z małą, tym bardziej się do niej przywiązuję. Tak więc wybieraj, ciociu Jenny: albo stąd spadam, albo zatrzymuję dziecko. W życiu nie można mieć wszystkiego...

Niemal równocześnie zobaczyłam, jak wyłącza się akwarium w biurze Karen's Petite Maison. Karen rozmawiała przez telefon z firmą zajmującą się konserwacją basenów, prosząc, żeby przed rozpoczęciem lata przyjechali wyczyścić jej basen. Obraz zrobił się czarny, a dźwięk się urwał. Znikł sygnał. Sprawdziłam, czy działają pozostałe połączenia. Wszystko było w porządku. Kamera się zepsuła. Nie ona pierwsza szwankowała. Czasem były zakłócenia, czasem brakowało sygnału albo w ogóle zanikał na kilka godzin, a nawet dni, a potem wracał. Zależało to od wielu czynników: klimatycznych, środowiskowych albo od przypadku. W tym momencie nie przywiązywałam do tego dużej wagi. Zignorowałam trzepot skrzydeł motyla, zwiastujący chaos, który już niebawem miał mnie ogarnąć.

Kolejny raz czytając powieść Julii (tym razem w formie papierowej, którą mi dała), próbowałam to robić między wierszami i znaleźć jakiś ślad Chrisa. Ale znowu niemal od początku się wciągnęłam, zapominając o swoim celu, i odłożyłam notatnik i ołówek, którym miałam zapisywać uwagi.

Godzinę i dwa wina później podczas naszego spotkania w Le Cafe Julia wreszcie przestała traktować z niedowierzaniem każdy mój pozytywny komentarz.

– Bardzo mi się podoba, że postaci nie mają imion. To sprawia, że są bardziej tajemnicze, a jednocześnie rozpoznawalne.

– Na początku miały imiona: Paul i Samantha, jak brat Marka i jego narzeczona. Samantha zginęła w wypadku w noc balu na zakończenie szkoły. Paul był z nią.

Doskonale znałam smutną historię Paula i Samantha i wiedziałam też, że w pierwotnej wersji postaci nosiły właśnie takie imiona, ponieważ pamiętałam kłótnię Julii z Markiem, kiedy przyłapała go na czytaniu powieści w Wigilię Bożego Narodzenia.

– I dlaczego zrezygnowałaś z imion?

– Mogłabym cię okłamać i powiedzieć coś metaforycznego, ale prawda jest taka, że zrobiłam to z powodu czystej złośliwości. Byłam wściekła na Marka i uznałam, że nie zasługuje na to, abym oddała jakikolwiek hołd jego bratu czy jego narzeczonej, a nawet ich idealnej miłości.

– Idealną miłością może być tylko przerwana miłość, mówi ona w powieści.

– Dobra pamięć.

– Myślisz, że to zdanie jest prawdziwe?

– Nie wiem. A ty? – Zanim mogłam cokolwiek powiedzieć, Julia się poprawiła. – Przepraszam, co za brak taktu. Nie chciałam. Zapomniałam, że... Ale ze mnie idiotka. Przepraszam.

– Nie przejmuj się. Nic się nie stało. I nie, nie uważam, by to zdanie było prawdziwe. Przynajmniej chcę wierzyć, że nie jest prawdziwe. Właściwie w moim przypadku jest na odwrót. Moja miłość była idealna do czasu, gdy została przerwana.

– Ale musi być coś, co ci się nie podobało.

– Tak, jest jedna rzecz, której nie mogłam znieść: to, że nie ma zakończenia. Jak kończy się powieść?

– Nie wiem, jestem zablokowana, dlatego też ci ją dałam. Od dwóch tygodni nie napisałam ani jednego zdania. Czasem myślę, że najlepszym zakończeniem byłby brak zakończenia. Ale sądzę, że to tylko marne kłamstwo, żeby jakoś z tego wybrnąć. Tak więc nie pytaj, czy jest zakończona ani jak się zakończy, Alice. Ty mi powiedz, jak chcesz, żeby zakończyła się ta historia.



– Dzień dobry, Oliverze... Dzień dobry, Julio... Dzień dobry, Miriam i Chloe... Dzień dobry, szefowo Margaret...

Podczas gdy Olivia wykonywała swój poranny rytuał, witając się z sąsiadami z wyspy, ja nadal przeglądałam na laptopie zdjęcia zrobione na cmentarzu. Na

większości z nich byli przechodnie odwiedzający inne groby, strażnik robiący obchód (czasem pieszo, czasem rowerem, czasem samochodem), ogrodnik i przemykające przed kamerą ptaki. Przypominało to fotograficzny esej, studium życia poprzez śmierć. Pomyślałam, że jakiś wybitny malarz specjalizujący się w przedstawianiu codzienności (jak Norman Rockwell, Edward Hopper, Andrew Wyeth czy choćby Diego Sánchez Sanz) wykorzystałby te zdjęcia jako lustro społeczeństwa i przygotowałby bogatą i sugestywną kolekcję obrazów, każdy z tym samym kadrem. Zaczynając od pierwszego zdjęcia, tego z wózkiem Ruby i wsadzonymi do niego grabiami. To bez wątplenia powinien być pierwszy obraz z serii. „A dlaczego sama tego nie zrobisz albo przynajmniej nie spróbujesz?”

Kiedy oglądałam dwa tysiące pięćset dziesiąte zdjęcie z czterech tysięcy trzystu czterdziestu czterech, Olivia wykrzyknęła:

– Mamooooo!!!

– Co się dzieje, Oli?! Ale mnie przestraszyłaś.

– Domy gasną.

– Jak to gasną? Wiesz dobrze, że od czasu do czasu sygnał w niektórych zanika, a potem wraca.

– Nie, zobacz. Nie ma Jennifer ani Stephena. Ani DeRollerów. Ani Karen i Johna. Ani pana i pani niepamiętamjaksięnazywają...

Olivia знаła dokładne położenie każdej rodziny na każdym małym ekranie monitorów.

– Pewnie wyszli z pokoju. Wiesz, że kamery aktywują się, kiedy wyczuwają ruch.

– Nie, pan i pani niepamiętamjaksięnazywają jedli śniadanie i zniknęli – powiedziała rozhisteryzowanym głosem.

Podeszłam i przekonałam się, że rzeczywiście straciłyśmy sygnał ze wszystkich tych akwariów i natychmiast zrozumiałam to, czego nie chciałam przyjąć do wiadomości wcześniej: wyczerpały się baterie.

– Czy oni umarli, mamo?

– Nie, nadal tam są. Wszyscy zajmują się swoimi sprawami – powiedziałam podczas sprawdzania połączeń i routerów, wiedząc z góry, że nic to nie da.

– Mamo, zrób coś, żeby wrócili...

– To kamery, wyczerpały się baterie...

– No to je wymień...

– To nie takie proste... – powiedziałam, zapadając się w swojej głupocie.

– Pomogę ci, jestem dobra w pomaganiu tobie.

– Oli, nie. Ubieraj się i do szkoły! Już!

Nie mogłam się powstrzymać, by na nią nie krzyknąć. Doznałam niepokonanego ataku gniewu, poczułam ogromną wewnętrzną złość, którą wyładowałam na swojej córce. Bo wiedziałam, że tak się stanie. Oczywiście, że

wiedziałam. No, może nie tak szybko. Jednak to się miało stać. Wiedziałam, że to wszystko jest prowizoryczne, ale myślałam, że wcześniej rozwiążę tajemnicę.



– Powiedziałaś, że rok.

Wyglądało na to, że nie wystarczyło mi wyładowanie frustracji na Olivii, teraz obiektem mojego gniewu był Antonio. Za każdym razem, kiedy wchodziłam do Night Eyes, opanowywała mnie mieszanka strachu, zdenerwowania, konspiracji i nadziei. Teraz czułam tylko złość.

– Rok w trybie *standby*, blondyneczka. A wydaje się mało *standby*. Kamery i ty. Ty zawsze aktywna.

– Proszę cię, żebyś sobie ze mnie nie żartował.

Czyżby Antonio okłamywał mnie przez cały ten czas, uprzedzając moje działania i potrzeby? Zmuszając mnie do ponoszenia absurdalnych wydatków i prowadząc o wiele dłuższą drogą, niż było to potrzebne, niczym taksówkarz wiozący roztargnionego turystę. A jeśli to on zmienił mnie w *spy yonky*?

– To nie był żart... Blondyneczka, nie mów, nie pomyślałaś wcześniej. Na pewno pomyślałaś wcześniej. Ty bardzo bystra.

– Nie, wydaje mi się, że tutaj jedyną bystrą osobą jesteś ty.

– Ej, ej, opanuj się – powiedział z poważnym wyrazem twarzy. – Nie rób agresywna, bo nie podoba. Ja dla dobrych jestem dobry, ale dla złych jestem zły, Alice.

Co winien jest biedny Antonio, który zawsze z uśmiechem i anielską cierpliwością znosił moje szaleństwo i zły humor? Już chciałam przeprosić go z całego serca, kiedy uzmysłowiłam sobie, że wymówił moje imię.

– Skąd wiesz, jak mam na imię?

– Rejestracja samochodu, Alice. Sprawdzać rzeczy znacznie łatwiej, niż się wydaje. Powinnaś bardziej urozmaicać. Nie kupować zawsze tutaj. Błąd debutantki. Wiesz, że ustawa jedenaście W obliguje nas do zgłaszania władze dziwne zachowania? A to u ciebie ewidentne.

Miałam ochotę się rozplakać i wszystko mu wyznać, opowiedzieć całą historię od początku, a potem zaoferować mu jakąkolwiek usługę seksualną. Cokolwiek, byle tylko na mnie nie doniósł.

– Co mam zrobić, żebyś na mnie nie doniósł?

Zwlekał z odpowiedzią dwie sekundy, które wydały mi się całą wiecznością. Poczułam zawroty głowy i chciałam wybiec ze sklepu, ale w tym przypadku to na nic by się nie zdało.

– Alice, dwie sprawy: jeśli nie masz nic przeciwko, wolę dalej zwracać się do ciebie blondyneczka. To bardzo przykre, że jeszcze nie zorientowałaś, jestem twoim sprzymierzeńcem. I nigdy bym nie doniósł, chociaż mnie maltretować.

– Przepraszam, Antonio, przykro mi, naprawdę, po prostu...

– Ej, ej, zaczekaj. Jeszcze druga sprawa. – W tym momencie pomyślałam, że nastąpi dramatyczny zwrot akcji albo poprosi mnie o jakąś usługę seksualną. – Uśmiechnij się trochę. Uśmiechnij się do mnie. Jeden uśmiech, blondyneczka.

Nie uśmiechnęłam się od razu, ale Ruby i owszem. Pewnie pomyślała, że to ją o to prosił. Zaraziła mnie tym swoim beztroskim i radosnym uśmiechem.

– Jak cudownie. Widzisz, łatwo być szczęśliwym, kiedy człowiek chce.

Antonio miał całkowitą rację. Wystarczył uśmiech mojej córki, żeby niebo się rozchmurzyło, jednak w tej chwili nie byłam zainteresowana własnym szczęściem.

– Tak, oczywiście, że o tym pomyślałam – powiedziałam zmęczona do granic sama sobą. – Pewnie, że pomyślałam, że wcześniej czy później przestaną działać...

– Mogę zadać pytanie? Co chcesz sprawdzić? Co kontrolujesz? Dlaczego zabiera to tyle czasu i wysiłku? Zastanów się, bo może robić coś źle?

– Codziennie, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– A może wszystko robisz dobrze.

– Antonio, znowu cię nie rozumiem.

– A ja znowu myślę, że rozumiesz.

Przypuszczam, że chodziło mu o to, że może wszystkie moje wysiłki skupiałam na tym, żeby nie sprawdzać. Oszukiwać się. Niewykluczone. W tym momencie było mi wszystko jedno. Zanim wyszłam, Antonio, chcąc zaradzić mojemu przygnębieniu, wyjął spod lady kamerę.

– Połączenie wi-fi, jakość HD, żadnych zakłóceń. Pozwala widzieć z daleka i nagrywać. Aktywuje na ruch.

– Nie widzę różnicy w porównaniu z kamerami, które kupiłam wcześniej.

– Jest różnica, której może nie znać: kabel zasilający. Podłączyć do gniazdka i bingo, sygnał całe życie. Coś ci przypomina?

Widząc, że nie reaguję, dodał:

– Słuchaj, zrobimy jedną rzecz. Dziś lepiej iść do domu i trochę odpocząć. Niczego nie kupować. Pomyśleć o sobie i o tym, co chcesz robić w życiu. Ja zawsze być tutaj, na co zechcesz. Ale pozwól zrobić prezent. Pozwól podaruję ci kamerę.

To było jak dawanie działki uzależnionemu po wyjściu ze spotkania Anonimowych Narkomanów. Nasiliło też moje podejrzenia, że Antonio mną manipuluje, że jestem jego drogocenną zabawką, jego ulubioną grą wideo, i chce, żebym przeszła na następny poziom. Tak czy owak, oczywiście przyjąłam jego prezent.



Kiedy byłam przy trzy tysiące pięćset dziesiątym zdjęciu z czterech tysięcy trzystu czterdziestu czterech, zobaczyłam, że John i Keith grają w rozbieranego pokera już praktycznie nadzy. Nie wspominali więcej o Chrisie. „Co za gówno – pomyślałam. – Jak niewiele ich obchodzi”. Kim dla nich był? Nikim. Dla Johna znajomym z uczelni. Dla Keitha gościem, który buduje korty tenisowe. Skoro przyjeżdżał na Robin Island przez ponad dwa lata, to jak to możliwe, że John już się z nim nie spotkał? Kłamał? Budowa kortu bez faktury i umowy, inkasowanie pieniędzy w gotówce? Chris był bardzo skrupulatny w kwestii legalnego funkcjonowania firmy. Nic z tego nie rozumiałam. Byłam wściekła. Chciałam się na nich rzucić. Ukarać ich za to, że prowadzą swoje seksualne gierki jakby nigdy nic.

Na stole leżała kamera, którą podarował mi Antonio. Nie myślałam o tym, żeby ją rozpakować. Nie miałam takiego zamiaru. Przynajmniej na razie. Musiałam poważnie przemyśleć to, co robię i dokąd zmierzam. Szłam, a raczej biegłam; nie, nawet nie biegłam, uciekałam, toczyłam wewnętrzną debatę, ale bez żadnej refleksji, stale poruszając się po powierzchni spraw, pluskając się, płosząc je, przykrywając, zamiast się w nie zagłębiać. Walki, które prowadziłam sama ze sobą, ciągłe strofowanie się, doprowadziły do tego, że popełniłam największy z błędów. Błąd, o którym swego czasu mówiła mi już doktor Ruth: niesłuchanie. Nie słuchałam siebie.

Karen's Petite Maison. Biuro. Dzień 7. Godzina 1.35.

Keith i John grają w rozbieranego pokera.

Dzwoni telefon w biurze.

John: Dziwne, co? Kto to może być o tej porze?

Keith: Nie odbieraj.

John: Może to coś pilnego. Nie chcę obudzić Karen (odbiera). Tak?

Ja (z modulatorem głosu): Cześć, mówi Chris Williams i wiem, co robicie.

Rozłączam się.

Dni 8–10. Rok II p.Ch.

I wtedy się pojawiło. Cztery tysiące dwieście dziewiąte zdjęcie z czterech tysięcy trzystu czterdziestu czterech. Szybko przewijałam galerię fotografii, nie zwracając na nie większej uwagi. Byłam zmartwiona tym, że straciłam sygnał z kolejnych trzech kamer, a poza tym czułam się fatalnie, ponieważ poprzedniej nocy dopuściłam się absolutnie podłego pod każdym względem czynu. Biedni John i Keith. Ale najedli się strachu. Natychmiast zerwali połączenie. Nie zasłużyli na to. Zupełnie nieuzasadnione działanie.

Tak więc pominęłam kilka zdjęć – od czterech tysięcy dwieście dziewiątego do czterech tysięcy dwieście dwudziestego pierwszego – i wtedy zauważyłam, że osoba, która pojawiła się po lewej stronie ekranu, przeszła obok, a potem zawróciła i stanęła nad grobem, plecami do kamery. I stała tak bez ruchu.

Najpierw przeszłam przez fazę wyparcia (która musiała trwać około dwóch lub trzech sekund), jakbym nie dowierzała, że te zdjęcia są prawdziwe albo jakbym nie znała tej osoby (a dobrze ją znałam), albo jakby to było coś tak przypadkowego i nieistotnego, jak przysiadająca na płycie nagrobnej modrosójka błękitna. Potem wszystko przyspieszyło albo się zatrzymało, nie byłam pewna, chociaż gdybym miała wybierać, postawiłabym na tę drugą opcję. Ponieważ najlepiej pamiętam to, że byłam bliska euforii, uzmysłowiwszy sobie, że moja pierwsza myśl, moje pierwsze działanie, którym było umieszczenie kamery przy grobie Chrisa, dało mi najważniejszy jak dotąd trop i że osoba, która była na tym zdjęciu, powiedzmy winna – żeby ją nazwać – znajdowała się na mojej liście podejrzanych. Ale jednocześnie, w równoległej rzeczywistości, też zawieszona w czasie, trzęsłam się i płakałam. W innej myślałam, że nadszedł czas karmienia Ruby. W innej widziałam rudzika uderzającego o okno – to byłam ja. W innej czułam, że umieram. W innej czułam się martwa. W innej widziałam doskonale, jak niebo się rozchmurza. W innej chciałam skasować zdjęcia. W innej chciałam do kogoś zadzwonić, żeby się tym podzielić, ale nie miałam do kogo. W innej zobaczyłam mapę wyspy ze znakiem X, który oznaczał miejsce skarbu. W innej chciałam o tym zapomnieć. W innej Klucz Master w końcu otwierał jakąś kłódkę, tę, której szukałam. W innej widziałam małą dziewczynkę, która nie potrafiła ani nie chciała mieszkać bez swoich rodziców. W innej nie mogłam oddychać ani myśleć. W innej nie chciałam oddychać ani myśleć. W innej widziałam ułożone puzzle, bo składały się tylko z jednego elementu. W innej miałam ochotę po raz pierwszy w tym roku wykapać się w morzu. W innej chciałam utonąć w morzu. W innej była noc, chciało mi się spać i chciałam zasnąć, i nigdy się już nie obudzić. I w innej, lecz nie ostatniej, bo wszystkie pojawiły się naraz, zobaczyłam na jednym z monitorów, w akwariu z kuchni Miriam, jak zakręciło jej się w głowie, co wyglądało jak hipoglikemia (czasem zdarzało jej się to, kiedy byłyśmy razem), gdy na jednym

ogniu podgrzewała w bemarze papkę dla Chloe, a na drugim gotowała sobie coś, czego nie rozpoznałam. Cudem się nie przewróciła, gdyż przytrzymała się krawędzi blatu kuchennego. Potem potknęła się, uderzając łokciem w garnek z papką, który spadł na podłogę, wskutek czego dziecko się przestraszyło i zaczęło płakać. Podniosła się z wielkim trudem, żeby sięgnąć do lodówki po strzykawkę z glukozą, którą trzymała tam w razie takich wypadków, jednak nie zdążyła tym razem i straciła przytomność, a upadając, uderzyła głową o drzwi lodówki. Miriam już jakiś czas temu opowiadała mi, że jej hipoglikemie są szczególnie zdradzieckie, ponieważ nigdy nie ma wcześniej żadnych objawów, wręcz przeciwnie, czuje się znakomicie, jak ktoś płynący z prądem kajakiem po spokojnych i krystalicznych wodach, nie wiedząc, że kilka metrów dalej jest wodospad (z kim w tym momencie ja też bardzo się utożsamiałam). W kieszeni zawsze miała dwie saszetki cukru, ale nieraz zdarzało się, że nie zdążyła na czas wykorzystać ich zawartości. I że jedyne, za czym tęskniła z czasów, kiedy była z Mikiem, to spokój, który czuła, wiedząc, że w takich przypadkach może liczyć na jego pomoc, przede wszystkim teraz, gdy miała Chloe.

Zaczekałam. Niedługo, ale czekałam. Nie mogłam interweniować. Przecież teoretycznie niczego nie widziałam. Zaczekałam, by się przekonać, czy odzyska przytomność, weźmie coś, żeby podnieść poziom glukozy, wyłączy palnik kuchenki i utuli Chloe. Jednak tak się nie stało. I kiedy stojąca na ogniu patelnia zaczęła się palić, pobiegłam tam.

Dziennie pokonywałam dziesięć kilometrów i na każdym kilometrze wykonywałam półminutowy sprint na pełnej szybkości. Byłam w bardzo dobrej formie. Bieganie stało się jednym z moich najważniejszych sposobów ucieczki w tym ostatnim roku i ogólnie w moim życiu. Gdy biegałam, życie zawsze było trochę lepsze. Mimo to podczas tych stu metrów, które dzieliły dom Miriam od mojego, czułam się tak, jakbym pierwszy raz stawiała stopy na ziemi, jakbym znajdowała się w jednym z tych koszmarów, kiedy nie można biec, chociaż próbuje się z całych sił; brakowało mi tchu, jakbym miała płuca nałogowego palacza, który od lat nie podnosi się z kanapy. Ale – chociaż wydawało mi się, że biegnę całą wieczność – z pewnością dotarłam na miejsce, bijąc jakiś światowy rekord.

Kiedy wpadłam do kuchni, ogień z patelni zaczął się rozprzestrzeniać po tapecie na ścianie, pochłaniając zdobiące go kwiatowe motywy, i mało brakowało, by przeszedł na drewniane szafki u góry. Chwyciłam patelnię. Odrzuciłam ją jednak natychmiast, bo się oparzyłam. Powtórzyłam operację, chroniąc rękę kuchenną ściereczką, i cisnęłam patelnię do zlewu. Odkręciłam kurek. Ugasiłam ogień. Zakręciłam palniki na kuchence i z tej samej patelni chlusnęłam wodą na ścianę.

Niezdarnie przesunęłam Miriam, bo blokowała drzwi lodówki. Wiedziałam, gdzie trzyma glukagon, zastrzyki z glukozy w razie takich sytuacji jak ta –

widziałam je podczas wielu wizyt u niej w domu. Ale nie wiedziałam, jak należy wykonać zastrzyk, zakładałam, że – ponieważ chodziło o natychmiastowe udzielenie pomocy – można w jakakolwiek część ciała. Zrobiłam go jej w brzuch, gdzie wstrzykiwała sobie insulinę. Gdy czekałam i modliłam się, nie modląc, żeby zadziałało, położyłam Miriam na boku i upewniłam się, że oddycha i że nie ma zatkanego gardła językiem albo wymiocinami; obmacałam też jej głowę, sprawdzając, czy nie krwawi. Następnie poszłam po Chloe, która wciąż płakała. Wzięłam ją na ręce i starałam się ją uspokoić.

– Już, już po wszystkim, Chloe, już po wszystkim. – Kołysałam ją, myśląc o tym, że gdyby Miriam umarła, to z wielką chęcią bym ją zatrzymała. W takich sytuacjach zawsze nachodziły mnie dziwne myśli. – Nie płacz, maleńka, skończyło się tylko na strachu.

Wtedy Miriam odzyskała przytomność. Uśmiechnęła się do mnie jak ktoś, kto budzi się z najlepszego i najprzyjemniejszego snu.

– Cześć... – wymamrotała. – Skąd się wzięłaś? Nie ma cię tutaj, prawda? Jestem martwa.

– Włączył się alarm przeciwpożarowy i go usłyszałam – wyszeptałam kłamstwo. Chloe właśnie przestała płakać i zasnęła, wykończona tą stresową sytuacją.

– Bardzo cię kocham, mój aniele stróżu – powiedziała z całą miłością, jaką zdołała wykrzesać ze swojego osłabionego organizmu.

Wracałam do domu upojona euforią, że uratowałam życie dwóm tak kochanym przez siebie osobom. Bawienie się w Boga było bardzo przyjemnym uczuciem. Zawsze kwestionowałam słuszność tego wszystkiego i nagle zostałam w pełni usprawiedliwiona. Było warto. Czy to był cel mojego życia? Bycie bogiem wyspy, okiem, które wszystko widzi, osobą pociągającą za niewidzialne sznurki, kierujące światem, moim światem, wyspą? Zrobiłam zegary, żeby wcisnąć się do ich domów. Teraz sama wyspa stała się zegarem, a ja miałam dostęp do wewnętrznego mechanizmu, który wszystko kontroluje.

Ale wtedy weszłam do domu, zobaczyłam otwarte drzwi na poddasze i przypomniałam sobie to, co zobaczyłam przed wypadkiem w domu Miriam. Kompletnie o tym zapomniałam. Poczucie triumfu, moja mania wielkości i rozpierająca mnie duma błyskawicznie się ulotniły. Nie wspominając już o tym, że wszystkie te akwaria, dzięki którym czułam się nowym mesjaszem, powoli gasły. Zastygłam naprzeciwko drzwi, nie wiedząc, czy mam wejść, czy nie. A jeśli się pomyliłam? Jeśli osoba ze zdjęcia cztery tysiące dwieście dziewiętego nie była tą, o której myślałam? Zdjęcia miały dobrą rozdzielczość, ale były robione z dość dużej odległości. I nie wykonałam zbliżenia, aby potwierdzić swoje podejrzenia, nie miałam na to czasu, gdyż moją uwagę przykuł płacz Chloe. „Dobra, wchodź i sprawdź, no już. Czego bardziej się boisz: tego, że to ona czy że to nie ona?

Chociaż ty doskonale wiesz, kto to jest. Pewnie, że to ona”.

Ruby była w swoim kojcu w salonie; przestała się bawić i teraz stała, trzymając się poręczy. Pierwszy raz sama wstała. Patrzyła na mnie w ciszy, ciekawa tego, co mam zamiar zrobić. Jaki będzie mój następny i decydujący krok. Wydawało się, że chce mi coś przekazać. Jakby już jakiś czas temu nauczyła się sama wstawać, ale wolała poczekać i pokazać mi to w konkretnym dniu, w ważnym momencie. A ten moment oczywiście taki był.

Drzwi na poddasze zamknęłam na klucz.

Olivia była na urodzinach Beth Yoxhimer. Zadzwoiłam do Julii, prosząc, żeby ją odebrała (Oliver też tam był) i wzięła do siebie do domu. „Jasne, nie ma problemu. Ale wszystko u ciebie w porządku? Masz trochę dziwny głos”, powiedziała. Mówiłam powoli, ponieważ z trudem przychodziło mi artykułowanie słów, a nie chciałam stracić panowania nad sobą. „Tak, jasne, wszystko dobrze. Później po nią przyjadę”, odparłam i rozłączyłam się, zanim mogła coś odpowiedzieć.

Całe popołudnie spędziłam, siedząc na krześle w kuchni – gdzie nakarmiłam Ruby, po czym znów włożyłam ją do kojca, by ucieła sobie drzemkę – patrząc w kierunku drzwi na poddasze, jakby w środku był potwór, który miał mnie pożreć. I faktycznie był, ogromny: zdjęcie cztery tysiące dwieście dziewięć. Jedną z nielicznych wyraźnych myśli, które wciąż pamiętam z tamtych godzin, jest ta, że zdjęcie cztery tysiące dwieście dziewięć powinno być ostatnim zdjęciem z serii obrazów Chris/Christ. Przyczyna, skutek. Umieszczasz kamerę, masz rezultat. „Zdjęcie cztery tysiące dwieście dziewięć, nie, lepiej cztery tysiące dwieście dwudzieste pierwsze, na którym ona stoi nad grobem, plecami do kamery, nie pokazując twarzy. Właśnie, nie pokaże twarzy. Nikt jej nie rozpozna. Nawet ja jej nie rozpoznam. Nie, od tej pory będę ją ignorować. Nic nie chcę o niej wiedzieć (tak, to jakaś *ona*, jakaś kobieta). Zapomnę wszystko, co o niej wiem. Ten skarb nie zostanie otwarty. Ta część wyspy nie będzie przeszukana. Ta tajemnica nie zostanie rozwiązana”. Bałam się. Panikowałam. Odrzucałam to, czego z takim uporem szukałam. Zastanawiałam się, czy poznanie prawdy było tak ważne. Zasłaniałam się szacunkiem dla Chrisa, ochroną jego prywatności, ale absurdem było uciekanie od prawdy na tym etapie. Chronić się. Schronienie. To właśnie czułam: że zostałam bez schronienia. Moim schronieniem było kłamstwo Chrisa. To była moja jedyna prawda i byłam o krok od jej utraty. Co mogłam zrobić, żeby tego uniknąć? Bo bez względu na to, jak bardzo chciałam to zasłonić, zapomnieć, wiedziałam, że to jest tylko naturalna reakcja na strach przed tym, co nieznanne. Że powrót do zdjęć i podążanie tym śladem były tylko kwestią czasu. Ale ja się opierałam. Nie chciałam tego kończyć, bo dopiero zaczęłam. Dopiero co odniosłam swoje pierwsze wielkie zwycięstwo nad życiem. Wtedy się rozplakałam, przypominając sobie wypadek Miriam i swoją ingerencję, jakby zakończyło się to

źle. Bo właściwie zakończyło się źle. Teraz powinnam siedzieć na poddaszu z kieliszkiem wina, świętując swój sukces; powinnam patrzeć, jak Miriam czyści spaloną ścianę w kuchni, upewniając się, że nie przytrafi jej się kolejna hipolikemia, zastanawiać się, w jaki sposób rozwiązać problem wyczerpanych baterii i szukać dobrych pomysłów na przygotowanie nowych akwariów. To właśnie powinnam była robić. To właśnie chciałam robić. I byłam bardzo smutna, bo nie mogłam tego zrobić. Dlatego płakałam.

Opuściłam swoje stanowisko dowodzenia na poddaszu; udało mi się nie podejść do monitorów, bo jeden z zegarów szpiegowskich (wciąż działający) znajdował się w salonie kobiety ze zdjęcia cztery tysiące dwieście dziewiątego. Dlatego, żeby nie patrzeć, przeoczyłam zdarzenie, które miało poważne skutki. Natychmiastowe.

Chciałam tylko, żeby ten dzień już się skończył. Ale to dzień miał skończyć ze mną. Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, był już późny wieczór. Poczulałam ulgę, widząc przez wizjer Miriam. Otworzyłam.

– Cześć, Miriam.

Byłam tak zmęczona, że nie spostrzegłam, co trzyma w rękach, dopóki jej poważny wyraz twarzy i brak odpowiedzi na powitanie nie sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać, co się stało. W rękach miała zegar. Zegar w kształcie księżyca, który jej podarowałam.

– Mój alarm przeciwpożarowy od miesiąca jest bez baterii. Zbyt łatwo się włączał...

Panika. Po co jej mówiłam o tym alarmie przeciwpożarowym? Mogłam jej powiedzieć, że przyszłam pożyczyć sól albo po prostu że chciałam ją odwiedzić. Nie potrzebowałam żadnej wymówki, żeby ją odwiedzić, tak samo jak ona jej nie potrzebowała, żeby przyjść do mnie. Czyżbym sprowokowała tę sytuację? Podświadomy krzyk o pomoc mojej ciągłej potrzeby spotkania kogoś, z kim mogłabym porozmawiać, kogoś, kto uporządkowałby chaos spowodowany moimi wewnętrznymi głosami, kto by mnie zrozumiał i zmniejszył moje szaleństwo, a przynajmniej sprawił, żeby stało się znośniejsze.

– Co ty robisz? To Mike? To on cię poprosił, żebyś mnie nagrywała, żebyś mnie szpiegowała? To był on? Pomagasz mu w odebraniu mi opieki nad Chloe?

„Opowiedz jej o wszystkim, Alice, wyznaj jej prawdę”.

– Nie, to nie Mike – powiedziałam oschle.

– A więc o co chodzi? Jesteś zboczona? Podniecasz się na mój widok? Z iloma jeszcze to robisz? Wszystkie sprzedane zegary są z kamerami? Pokaż mi, gdzie to wszystko masz. Chcę to zobaczyć. Masz to w domu, prawda? Na poddaszu. Wyspa Mamy, tam to trzymasz, tak?

„Uratowałaś jej życie, jest twoją dłużniczką. I cię kocha”.

– Nie ma nawet potrzeby, żebym na ciebie donosiła – ciągnęła dalej wobec

mojego irytującego milczenia. – Wystarczy, że opowiem o tym jednej osobie, tylko jednej osobie, żeby w ciągu kilku sekund wiedziała o tym cała wyspa. Tego właśnie chcesz?

„To, co cię teraz czeka, będzie bardzo ciężkie, to prawdopodobnie najtrudniejszy etap ze wszystkich: prawda. Potrzebujesz sprzymierzeńca, kogoś dojrzałego, przyjaciółki”.

– Nic nie powiesz? Nie spróbujesz chociaż podać jakiegokolwiek wymówki?

– Uratowałam życie twoje i twojej córki – odezwałam się w końcu, szcząc się swoim wielkim dokonaniem.

– Szpiegowałaś mnie! Mnie i moją córkę! Dlaczego?! Wyjaśnij mi dlaczego! Mogłam ci opowiedzieć wszystko, co tylko byś chciała. JUŻ ci opowiedziałam. Opowiedziałam ci CAŁE swoje życie. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, do cholery! Dlaczego mnie szpiegujesz?! Dlaczego?!

Miriam płakała i ja też byłam bliska płaczu. Powinnam się poddać, ale walczyłam sama ze sobą. Wiosłowałam przeciwko swoim potrzebom. To, czego chciałam, brało górę nad tym, czego potrzebowałam, przynajmniej na razie.

– Sędzia nie powinien zobaczyć, że w każdej chwili możesz stracić przytomność i narazić na niebezpieczeństwo życie swojej córki.

Nie pamiętam, czy mnie spoliczkowała i nazwała dziwką, czy tylko pragnęłam, żeby to zrobiła. Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie plecami. Wtedy dopiero dałam upust emocjom: zaczęłam szlochać i się trząść, na próżno starając się nie robić hałasu. Płonęła mi twarz, jakbym znalazła się w piekle. Rozpadałam się na kawałki z powodu kontrastu między chłodem, jaki pokazałam, i pożarem, który mnie trawił. Mimo to nie rozumiałam, jak mogłam zachować się w taki sposób.

Popędziłam na poddasze z zamiarem zdemontowania wszystkiego. Po części czułam wdzięczność, bo pomagało mi to zapomnieć o tym, czego nie mogłam zapomnieć. Albo przynajmniej odłożyć to na później. Teraz było coś o wiele pilniejszego: pozbycie się wszystkich dowodów i każdego elementu, który mógłby mnie zdradzić. Ale kiedy weszłam na schody i popatrzyłam na wszystko, co miałam, zastygłam. Niemożliwe było usunięcie tego całego systemu operacyjnego w ciągu kilku minut: komputerów, monitorów, routerów, regeneratorów sygnału, stołu do taśmowego montowania zegarów szpiegowskich, różnych gadżetów, które zgromadziłam, tablicy, mapy, książek, filmów, seriali, notatników, notatek, listów. Część mnie czuła ogromną dumę, ale druga, ta potężniejsza i bardziej przygnębiona, absolutną pustkę. Wyspa pełna była trupów, ślepych akwariów i głuchych donosicieli. Mój domek z kart. Jeden podmuch wiatru wszystko zniszczył. Tylko jeden podmuch wiatru? Gasnące kamery, zdjęcie numer cztery tysiące dwieście dziewięć, Miriam i jej wypadek. Trzy kolejne podmuchy wiatru. Zmarnowałam mnóstwo czasu i pieniędzy. Na co? Żeby narazić na

niebezpieczeństwo swoje życie, swój świat i na dodatek wplątać w to córkę. Wszystko poszło w cholerę. Nagle. Byłam tylko małą, która bawiła się w detektywa. Skończyły się dodatkowe życia. Skończyła się twoja gra wideo. *Game over*. Idiotka. Kretynka. Głupia. Żalсна. Zejdź mi z oczu. Umrzyj.

Ruszyłam na tablicę w sposób zajadły, agresywny, posepny. Była moim przewodnikiem, moim oparciem, dzięki niej nie gubiłam się na wyspie, podchodziłam do niej za każdym razem, kiedy traciłam orientację albo o czymś zapomniałam. Ołtarz, przy którym rozmyślałam i szukałam inspiracji. Na niej znajdowały się wszystkie nazwiska, wszystkie powiązania, wszystkie ślady, wszystkie kwestie, które krążyły mi po głowie, wszystkie pytania, które nie potrzebowały już odpowiedzi. A ponadto wszystkie te informacje były unikatowe, nie było kopii zabezpieczającej, znajdowały się tutaj i tylko tutaj. Nieraz myślałam o tym, że powinnam zrobić zdjęcia na wypadek, gdyby to wszystko się starło, ale tego nie zrobiłam i teraz się z tego cieszyłam. Oderwałam karteczki samoprzylepne i starłam wszystkie zapiski, które zrobiłam kredą. Najpierw gąbką, a potem z furią samymi rękami, gdyż chciałam, żeby nic nie zostało, nawet najmniejszy ślad.

Na koniec zostawiłam dwa pytania, nie wiem, czy świadomie, w każdym razie były one znaczące i konkretne.

CO CHRIS ROBIŁ NA WYSPIE?

DLACZEGO PO PROSTU NIE ZAPYTASZ, ALICE?

DLACZEGO?!!!!

Popatrzyłam na nie prawie bez tchu. Od wysiłku bolały mnie ręce. Po chwili wahania starłam je do połowy, bo nie miałam już siły i wyczerpana upadłam na podłogę, żalując tego, co właśnie zrobiłam. Cała moja praca nie zasłużyła na taki finał. Nie chciałam, żeby wszystko zakończyło się w taki sposób. Nie, to nie mógł być koniec.

Sprawdziłam nagranie z akwarium Miriam. To właśnie przegapiłam, kiedy nie było mnie na poddaszu:

Miriam przygotowuje ciasto, prawdopodobnie dla mnie, żeby mi podziękować.

Wkłada je do piekarnika i nastawia minutnik na kuchence.

Zamyśla się.

Przez chwilę patrzy na sufit.

Wchodzi na krzesło, chcąc dostać się do alarmu przeciwpożarowego. Nie dosięga, nawet stając na palcach.

Schodzi i po chwili przynosi małą drabinę z czterema szczeblami. Teraz dosięga.

Zdejmuje alarm przeciwpożarowy.

Schodzi.

Zdejmuje osłonę przegródki na baterie, żeby potwierdzić to, co podejrzewała: nie ma ich.

W pierwszym odruchu chwyta za telefon; wydaje się, jakby chciała do mnie zadzwonić, żeby powiedzieć mi o tym zupełnie normalnym tonem, nawet ze śmiechem, bo pewnie jest inne wyjaśnienie, dlaczego się u niej znalazłam, i po prostu była ciekawa. Możliwe nawet, że powiedziałam jej coś innego, a ona źle zrozumiała, bo była jeszcze zamroczona.

Jednak nie wybiera numeru.

Rozgląda się dookoła, nie wiedząc, czego szuka, aż jej wzrok pada na zegar ścienny. Na zegar księżycowy, jak go nazwała.

Podchodzi, jakby nie chciała go wystraszyć.

Patrzy na niego uważnie.

Zdejmuje go.

Znowu na niego patrzy i odwraca.

Obraz z kamery robi się czarny, kiedy kładzie zegar na stole.

Dźwięk odsuwanej szuflady.

Dźwięk grzebiącej w szufladzie ręki szukającej noża.

Dźwięk noża odkręcającego pokrywę zegara. Bez skutku.

Dźwięk innej odsuwanej szuflady.

Dźwięk młotka wściekle walącego w pokrywę i rozstraskującego kawałki sklejki.

Cisza.

Obraz wraca.

Miriam na pierwszym planie, patrząca w kamerę szpiegowską, którą właśnie odkryła.

Nie chciałam stracić Miriam. Była moim największym wsparciem na wyspie. I chociaż wiedziałam, że wszystko było kruche, ponieważ moje wielkie kłamstwo sprawiało, że wszystko było fikcją z bajkowymi postaciami, chciałam dobrze zakończyć naszą przyjaźń. Chciałam się też upewnić, że przynajmniej na mnie nie doniesie ani nikomu o tym nie powie.

Spojrzałam na niedokończony zegar, który stał na regale. Był jedną z wielu nieudanych prób, jednym z tych, które nie spełniały norm jakości. Miał kształt gitary elektrycznej, ale porzuciłam pracę nad nim w połowie, bo nie podobało mi się, jak wyszedł gryf i stroik – o wiele za małe w stosunku do całości. Teraz jednak uznałam, że jest idealny do mojego celu. Teraz wymagania znacznie się obniżyły, gdyż nie miałam już czasu do stracenia.



Przez cały ten rok bardzo się bałam, nigdy jednak nie obawiałam się o swoje bezpieczeństwo. Aż do tego dnia. Przed wyjściem z domu przypomniałam sobie o rewolwerze volga. Wciąż leżał w pudełku na poddaszu. Chciałam go wziąć, chociaż nie był naładowany, ale zrezygnowałam – tym sposobem nigdy nie wygram. Gdyby Mike odkrył, że mam przy sobie broń, usprawiedliwiłby każde działanie w obronie własnej. „Twoim rewolwerem jest zegar, Alice. A twoją kulą kamera”.

Kiedy dotarłam do Dirty Works, była dwunasta w południe, a neon, który głosi „Ktoś musi to robić, prawda?”, jeszcze się nie świecił. Wcześniej zostawiłam Ruby w żłobku Tiny. Dziwnie się czułam, nie mając jej ze sobą. Naga. Bezbronna. Ale uznałam, że mogłaby być balastem, przede wszystkim dlatego, że nie byłam pewna, jak daleko się posunę, realizując swoje plany, a Mike realizując swoje. W każdym razie nie miałam zamiaru wyjść stamtąd bez tego, co zamierzałam zdobyć.

Mike był szefem i właścicielem Dirty Works, ale prawie nigdy nie wykonywał brudnej roboty. Robił to tylko wtedy, gdy jego dwaj chłopcy (jego kuzyn i przyjaciel kuzyna, Pat i Junior) sami nie dawali sobie rady. Tak więc Mike miał więcej czasu na to, co naprawdę lubił: leżenie na sofie, oglądanie telewizji w samych slipkach, nawet w środku zimy, picie, palenie, zarywanie nocy i kombinowanie z narkotykami. Gdy zobaczyłam, jak w sylwestra odbierał przemywany towar, nie podejmowałam tego tropu, tak naprawdę nie interesowało mnie to. Miałam wystarczająco dużo zmartwień związanych ze swoim śledztwem i nie chciałam tracić czasu jeszcze na to. Do teraz.

Od rozwodu Mike w siedzibie firmy także mieszkał; urządził się (powiedzmy) na zapleczu. Po prostu wstawił sofę, która zawsze była rozłożona (po co tracić czas na jej składanie) oraz siedemdziesięciocalowy telewizor LED, jak przystało na handlarza narkotyków, który chełpi się tym, że nim jest. Na szczęście, kiedy Mike otworzył drzwi i zaprosił mnie do środka, był już po dwóch piwach.

– Co za zaszczyt, Alice. Myślałam, że dzięki mojej byłej postawiłaś na mnie krzyżyk. Idź precz, szatanie!

– Prawdę mówiąc, trochę tak. Ale zaczynają mi w domu śmierdzieć ścieki i nie jestem pewna, jaka jest przyczyna tego przykrego zapachu, więc coś muszę z tym zrobić.

– Mnie zapach gówna uspokaja. Jeśli czujesz gówno, możesz je kontrolować. Najgorsze jest gówno, którego nie czuć, jest zdradzieckie. I kiedy najmniej się tego spodziewasz, otacza cię i wciąga.

– Skoro tak... W każdym razie wolę, żebyś rzucił okiem.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy mam ochotę. Zbyt dobrze to mnie nie traktowałaś...

Zazwyczaj jestem bardzo taktowna, ale do Mike'a nigdy, kiedy go

spotykałam, nie ukrywałam niechęci.

– Dlatego przyniosłam ci to. Powiedzmy, że w ten sposób ofiarowuję ci fajkę pokoju – powiedziałam, podając mu zegar w kształcie gitary elektrycznej. Jeszcze pachniał świeżą farbą.

– Sama to zrobiłaś? – zapytał z podziwem.

– Wiem, że jesteś muzykiem i że gitara jest twoim ulubionym instrumentem, dlatego pomyślałam, że ci się spodoba.

– Cholera, Alice, jest super. Jak miło...

– Cieszę się, że ci się podoba... Dobrze, zostawię cię już, bo pewnie jesteś zajęty.

– Nie, czekaj, czekaj, pomóż mi go powiesić, co? Wybrać dla niego miejsce w mojej małej rezydencji. Pomożesz mi?

Wiedziałam, że wpadnie w moje sidła. Byłam pewna, że zaprosi mnie do środka, zwłaszcza że szybko chciałam odejść.

Kiedy weszłam, dyskretnie omiotłam wzrokiem pomieszczenie w poszukiwaniu psa Miriam albo chociaż jakiegoś śladu, który potwierdzałby, że żyje, ale wszystko było tak brudne i panował taki bałagan, że było to niemożliwe. Gdzie go schował? Czy naprawdę był w stanie go zabić?

Uznałam, że zegar najlepiej będzie wyglądał między ukradzioną tablicą z Route 66 i neonem Foxy Girls, baru topless z Las Vegas.

– Tutaj pasuje idealnie, między twoimi łupami z polowań – powiedziałam, wywołując uśmiech Mike'a. Wypił już kolejne piwo. Ja podziękowałam. – Dobrze, teraz już naprawdę idę...

– Nie, nie, czekaj, czekaj... Nie możesz ofiarować mi fajki pokoju i sobie pójść. Fajki pokoju się nie ofiaruje, ale się pali. Jeśli nie wypalimy, pokój nigdy nie zostanie przypieczętowany, Alice. I zapach gówna w twoim domu nie zniknie. Uwierz mi.

Kolejny raz wpadł w moje sidła. Trochę się brzydziłam usiąść na nieposłanym łóżku i na porozrzucanych wszędzie brudnych ubraniach. Mike wrócił z pudełkiem w kształcie szkatułki. Wtedy pił już trzecie piwo (nie licząc tych przed moim przyjściem i tych z poprzedniego wieczoru). Ja w końcu zgodziłam się na jedno, bo bałam się palić na pusty żołądek. Wiem, że piwo nie jest najlepszym sposobem odżywiania się, ale potrzebowałam trochę uspokoić nerwy. Chciałam, żeby wszystko wyglądało naturalnie, żeby Mike był zrelaksowany i wesoły i wygadał mi to, co ostatecznie wygadał.

– Śmieję się z przemytu narkotyków na granicy z Meksykiem – powiedział, nabijając bongo marihuaną. – Granica między Kanadą a Maine to jest dopiero prawdziwe sitko.

– A ty co robisz? Wykonujesz brudną robotę, sprowadzając je na wyspę? Jak głosi twoje hasło: Ktoś musi to robić, prawda?

– Ale trafiłaś... – powiedział, śmiejąc się z mojego porównania. – Chociaż, uwaga, uprawiam też lokalny produkt. Mam małą plantację maryski w szklarni, którą zainstalowałem w garażu. Zobacz, sama spróbuj.

Zapalił, dmuchnął w rurkę i podał mi bongo. Od bardzo dawna nie paliłam marihuany, od czasu pobytu w Madrycie, na jednej z imprez, żeby Diego nie myślał, że jestem świętoszkowata. Wtedy wystarczyły dwa sztachnięcia, żeby zakręciło mi się głowie i żebym zwymiotowała. Od tamtej pory już nie próbowałam. Gdy wzięłam do ręki bongo, natychmiast uaktywnił się mój lęk przed omdleniem. Było to najgorsze miejsce, w którym mogłam stracić przytomność. Miałam nadzieję, że częstoskurcz i przyływ adrenaliny, które czułam, zrównoważą efekty. Zaciągnęłam się. „Dobra, niech będzie, co ma być. Jeśli zemdleję i mnie zgwałci, przynajmniej będę to miała nagrane”, pomyślałam.

– Bardzo dobra – powiedziałam. Naprawdę była dobra. – A zatem już, fajka pokoju wypalona. – Niemal natychmiast poczułam rozluźnienie. Ożywiłam się. Miałam tylko nadzieję, że upadek nie będzie bolesny. – A jakie inne skarby trzymasz w tym pudełeczku?

Chociaż miałam wystarczająco dużo nagranych materiału i moje cele już zrealizowałam, chciałam, żeby się upaprał do końca, żeby utonął we własnym gównie jak świnia, którą był.

– Tutaj przechowuję swój zbiór próbek wszystkiego, co mogę zaoferować. Człowiek zawsze musi najpierw spróbować towaru, prawda? – „Właśnie tak, bardzo dobrze, Mike, tylko tak dalej”. – Ryzyko zawodowe. – Zaśmiał się i otworzył szkatułkę. – Zobaczmy, co my tutaj mamy: koka, oxi, marihuana, anielski pył, niebieska metamfetamina, którą rozślawił serial *Breaking Bad*, niebieska, ludzie chcą tylko niebieskiej, cholera, jacy głupi jesteśmy, że ulegamy modzie, którą przynosi telewizja. Co jeszcze: sterydy anaboliczne, propofol – to gówno, które zabiło Michaela Jacksona, nawet tego nie próbowałam. I spójrzmy, ach, mój ulubiony, MDMA, narkotyk miłości. – Puścił do mnie oko. – Decydujemy się?

– Myślałam, że bardziej mi to utrudnisz – powiedziałam z uśmiechem.

„Wpadłeś po uszy, głupku”. Miałam ochotę splunąć mu w twarz. W środku czułam tak wielką radość, że zaciągnęłam się raz jeszcze.

– A powiedz mi, droga Alice: dlaczego miałbym ci to utrudnić?

Nie wiem, jak wyszłam stamtąd w jednym kawałku, bo byłam tak upalona, że nawet tego nie pamiętam. Ale zrobiłam to. Kiedy wróciłam do domu, zobaczyłam, że w torebce mam mały woreczek marihuany, dwie tabletki MDMA i jedną propofolu, który od razu wyrzuciłam do muszli klozetowej. Resztę zostawiłam.

Dokonałam edycji nagrania wideo, wyrzucając fragmenty, w których mówił o innych mieszkańcach wyspy. Bo Mike po pokazaniu mi całego posiadanego

arsenału zaczął wyliczać długą listę swoich klientów. Nie chciałam, by się dowiedziano, że Conrad czasami zażywa propofol, żeby spać (co tłumaczyło jego długi sen w dniu, w którym tak bardzo najadłam się strachu, myśląc, że nie żyje), ale tylko w weekendy, kiedy nie otwiera banku, prawdopodobnie po to, żeby złagodzić pustkę i samotność; albo że ojciec Henry bierze anielski pył, ponieważ dzięki temu czuje, że jest bliżej Boga; albo że John, tak, John, kupił MDMA (Mike myślał, że po to, aby wziąć go z Karen, ale ja wiedziałam, że nie takie było przeznaczenie tego narkotyku); albo że większość chłopców ze szkoły średniej, którzy uprawiają sport, bierze sterydy anaboliczne. Żadnej z tych transakcji nie dokonywał osobiście, jednak z czasem, nabrawszy doświadczenia, dowiedział się, kim są jego klienci. „Niektórzy zostawiają mi zamówienia w skrzynce pocztowej, ale teraz prawie wszystko załatwia się przez Internet”, powiedział, a następnie wytłumaczył, że na stronie Dirty Works jest zakładka z czatem, gdzie można zostawiać komentarze i zadawać pytania bez rejestracji czy czegoś podobnego. Tam ludzie anonimowo tworzą swój nick i składają zamówienie, podając w nim preferowane miejsce dostawy. Na przykład: „Ecstasy, 50 dolarów, totem plemienia Wampanoagów”. Furgonetką posyłał wtedy swoich chłopców z zamówieniem, a gdy na miejscu za tabliczką było pięćdziesiąt dolarów („Jeśli nie ma pieniędzy, to oczywiście nie ma transakcji”), zostawiali narkotyk i na czacie informowali daną osobę, że jej zamówienie zostało zrealizowane. „Koniec transakcji. *Finito*. Super, co? Dobrze sobie to wykombinowałem! Czyż nie dobrze sobie to wykombinowałem, Alice?” Kusiło mnie, żeby poinformować szefową Margaret o tym, co się dzieje. Ale to nie ona była adresatką wideo. Poza tym skąd mogłam wiedzieć, czy nie ukrywa się pod jakimś nickiem, żeby zaopatrywać się w cholera wie jaki narkotyk, bo czasem była zbyt żwawa na tle pozornego (ale tylko pozornego) spokoju i sennego stylu życia, jaki dominował na wyspie.

– Czego, do diabła, chcesz? – zapytała Miriam z poważnym wyrazem twarzy, otwierając mi drzwi swojego domu.

– Doskonale wiesz, że nie znoszę Mike’a i że nigdy nie zrobiłabym niczego, co by cię skrzywdziło. Chcę cię przeprosić za to, co ci zrobiłam. Bardzo mi przykro, naprawdę. Czuję, że zawiodłam twoje zaufanie. To już się więcej nie powtórzy.

I w tym momencie powinnam była wyznać jej prawdę i z płaczem rzucić się w jej ramiona, szukając pocieszenia, zrozumienia i współpracy. Ale tylko wręczyłam jej pendrive’a z nagraniem zwierzeń Mike’a oraz wideo, na którym widać, jak porywa Sandy.

– Weź to, żeby Sandy wróciła do domu i w razie gdyby kiedyś Mike próbował odebrać ci opiekę nad Chloe albo przestał płacić alimenty.

Miriam nie odezwała się ani słowem. Nie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi. Wzięła tylko pendrive’a i zamknęła drzwi. Nie trzasnęła. Zrobiła to

delikatnie, gdyż musiała przeczuwać, że zawartość pendrive'a bardzo ją ucieszy i nas pogodzi.

Dni 11–16. Rok II p.Ch.

„I co teraz?” – zastanawiałam się. „Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak stawić czoło temu, czemu muszę stawić czoło. Zdjęciu cztery tysiące dwieście dziewiętemu”. Ale nagle, jakby załatwienie sprawy z Miriam rozwiało część gęstej mgły w mojej głowie, wpadłam na coś, co było zupełnie logiczne: może tamta wizyta na cmentarzu nic nie znaczyła? To znaczy, znaczyła, ale może chodziło tylko o uczczenie pamięci Chrisa. Oddanie mu hołdu rok po śmierci przez znajomą, która go lubiła? Chris odwiedzał wyspę przez długi czas. Przy jego dobrym podejściu do ludzi, wielkim ekstrawertyzmie oraz umiejętności wzbudzania sympatii i dobrego wrażenia z pewnością nawiązał wiele przyjaźni. A poza tym dlaczego przyjmowałam za pewnik, że ona wie, że byłam jego żoną, a Olivia i Ruby jego córkami? Ukrywałam to. Nie miała jak się tego dowiedzieć.

Fakt, że uznałam ten trop za mało istotny, ożywił mnie i podniósł na duchu. Dlaczego uznałam, że wydarzenia z ostatnich dni zniszczyły mój domek z kart? Teraz uważałam, że jest na odwrót: miałam więcej kart, żeby budować go dalej, dodając kolejne piętra.

Cztery tysiące dwieście dziewięć zdjęcie z czterech tysięcy trzystu czterdziestu czterech. Była tam tego samego dnia, co my. W rocznicę śmierci Chrisa. Niewiele wcześniej. Ile wcześniej? Godziny? Minuty? Nie zwróciłam uwagi na godzinę zaznaczoną w górnym lewym rogu zdjęcia. Szybko je przewijałam, ponieważ byłam przekonana, że nie znajdę już nic ciekawego oprócz nas na cmentarzu. Dlatego przeżyłam taki szok, że zastygłam, wpatrując się w zdjęcie numer cztery tysiące dwieście dwadzieścia jeden. Nie dokończyłam oglądać całej serii. Nie widziałam jej, jak wychodzi z kadru. Ile czasu tam spędziła?

Przyszła o 9.56. To oznacza, że wsiadła na pierwszy prom odpływający z Robin Island, ten o 7.30. „Wystarczająco wcześnie, żeby z nikim się nie spotkać”, pomyślałam. Od zrobienia zdjęcia cztery tysiące dwieście dwudziestego pierwszego, czyli kiedy stanęła nad grobem, do cztery tysiące dwieście dwudziestego drugiego minęły trzy minuty. Przez trzy minuty stała nad grobem, w ogóle się nie poruszając. Między cztery tysiące dwieście dwudziestym drugim a cztery tysiące dwieście dwudziestym czwartym usiadła na krawędzi płyty. Na zdjęciu cztery tysiące dwieście dwudziestym szóstym, pięć minut później, podniosła się, żeby odejść. Wyszła z kadru, idąc w tę samą stronę, skąd przyszła dziewięć minut wcześniej; na zdjęciu cztery tysiące dwieście trzydziestym trzecim już jej nie było. O 10.05.

Raz jeszcze sprawdziłam sekwencję zdjęć, starając się niczego nie przesądzać. Zachowywałam zimną krew, z wielkim trudem powstrzymując burzę emocji, która tłoczyła się w mojej głowie, sercu, klatce piersiowej i żołądku.

Zostawiła coś na płycie nagrobnej. Położyła to, zanim się podniosła. A że była odwrócona tyłem do kamery, ten gest nie został zarejestrowany, ale leżało tam coś, czego wcześniej nie było. Wyglądało jak papierek, karteczka, notatka. Chociaż wykonałam największe zbliżenie, nie mogłam rozpoznać, co to jest. Coś, co musiał zabrać podmuch wiatru, ponieważ na zdjęciu cztery tysiące dwieście pięćdziesiątym czwartym już tego nie było. Czyli piętnaście minut przed naszym przyjściem, co uwidoczniło zdjęcie cztery tysiące dwieście sześćdziesiąte siódme z godziny 11.35 (niewiele ponad półtorej godziny po jej odejściu). Reszta zdjęć była wypełniona nami, aż do momentu, gdy podeszłam do kamery, żeby wyjąć kartę pamięci.

Czy na pewno nie było jej przy grobie wcześniej? Miałam wątpliwości. Czy to jednak takie ważne? Owszem, musiało wydać mi się to ważne, bo jeszcze raz sprawdziłam osiemnaście tysięcy trzysta pięćdziesiąt osiem zdjęć. Zajęło mi to dwa dni, w czasie których prawie nie spałam, wykorzystując każdą chwilę, jaką dawały mi dziewczynki.

Rezultat był jeszcze bardziej zagadkowy. Oczywiście, że była. Jeszcze trzy razy w ciągu roku. Ale nie podchodziła do grobu. Przechodziła za nim, alejką, i siadała nieopodal na ławce. Rozpoznanie jej twarzy było praktycznie niemożliwe. Nic dziwnego, że nie zwróciłam na nią uwagi. Wydawało się, że odwiedza inny grób albo po prostu odpoczywa. Za każdym razem siadała w tym samym miejscu, twarzą do wejścia na cmentarz. Patrzyła, czy przypadkiem się nie pojawię? I dlaczego tak daleko? Z powodu strachu, z powodu szacunku? Wstydu?

Trzy razy. Pierwszy trwał dwadzieścia minut. Drugi – szesnaście. Trzeci – jedenaście. Półtora miesiąca przerwy między pierwszą a drugą wizytą. Dwa miesiące między drugą a trzecią. Dwa miesiące i dwanaście dni między trzecią a czwartą wizytą, ostatnią, tą ze zdjęcia cztery tysiące dwieście dziewiętego, kiedy zostawiła coś na płycie.

Wiatr porwał papierek przed trzynastoma dniami. Absurdem było go szukać. Najprawdopodobniej strata czasu. I być może właśnie dlatego to zrobiłam.

Jadąc na cmentarz, zastanawiałam się, dlaczego jej wizyty stawały się coraz krótsze i bardziej rozciągnięte w czasie. Godziła się z jego śmiercią? Przewycięzała żalobę? Może pomogłaby mi przewyciężyć moją? Cztery wizyty w ciągu roku. To dużo czy mało? Dużo, bez dwóch zdań. Cztery razy oznaczało coś więcej niż zwykłe pożegnanie kogoś znajomego, nawet przyjaciela. To tworzyło między nimi tyleż ewidentną, co podejrzaną więź. A przede wszystkim przychodziła sama. Ona też coś ukrywała. Potrzebowała miejsca, w którym mogłaby płakać w samotności, i tym miejscem był cmentarz, chociaż znajdował się dość daleko. Ale zaraz, zaraz... Skąd wiedziała, że tutaj jest grób Chrisa? Z ławki, na której siadała, nie można było przeczytać, co jest napisane na płycie. To oznaczało, że była tutaj już wcześniej. Że przemierzyła ten ogromny cmentarz,

żeby znaleźć grób, a potem dyskretnie wycofać się na ławkę. Pierwszy raz była tutaj, zanim umieściłam kamerę. Na pewno. Była tutaj przynajmniej pięć razy. W tym momencie poczułam nienawiść. Byłam wściekła. Musiałam być wściekła, żeby utrzymać się na nogach i się nie załamać.

Kiedy przyszłam na cmentarz, od razu rzuciłam okiem na nowe zdjęcia na ekranie LCD kamery kamuflowanej. Osiemset dwa. Minęło mało czasu, ale chciałam sprawdzić, czy była tu jeszcze raz. Nie była.

Zaczęłam przeczesywać teren w promieniu jakichś dziesięciu metrów, szukając w krzewach, wokół drzew i innych grobów tego, co tutaj zostawiła, jak ktoś, kto szuka igły w stogu siana. Chociaż wcześniej pokazałam już samej sobie, że takie rzeczy mnie nie odstraszą, przeciwnie – im trudniej znaleźć prawdę i im mniej jest szans na zbliżenie się do niej, tym swobodniej się czuję. Dlatego też zdziwiłam się, że zaledwie pięć minut zajęło mi odnalezienie zdjęcia; co ciekawe, było bardzo blisko krzaka, w którym ukryłam kamerę. Leżało odwrócone spodem do góry. Rewers matowego papieru fotografii był brudny, prawie cały pokryty ziemią. Było to zdjęcie zrobione polaroidem, powykęcane wskutek wilgoci. Kiedy się schyliłam, by je podnieść, wiedziałam, że tego właśnie szukam. Gdy je odwróciłam, nie byłam w stanie niczego dostrzec, gdyż było pokryte błotem i zaschniętą ziemią. Przejechałam po nim palcem, żeby je wyczyścić. Pierwsze, co zobaczyłam, to moja twarz.

To było zdjęcie rodzinne. Zdjęcie mojej rodziny. Olivia siedzi na grzbiecie Pandy w swoim kasku, trzymając uzdę, dumna, że nie potrzebuje pomocy. Ruby na Sunset, przytrzymywana przeze mnie, żeby nie spadła. I Kucyk jęczący ze strachu, bo myśli, że Olivia i Ruby są w niebezpieczeństwie i coś im się stanie. To zdjęcie zostało zrobione podczas naszej ostatniej wizyty w Horse Rush Farm.

Po oczyszczeniu awersu zrobiłam to samo z rewersem, odkrywając napisany odręcznie tekst: „W końcu ci się udało, LeCaptainie. Twoja podróż się opłaciła, mój ukochany Niewidzialny Człowieku”. Podpisano: „Bresnam”.

Zdjęcie zrobiła ta sama osoba, która położyła je na grobie Chrisa. Ta sama, która przychodziła tutaj przynajmniej pięć razy, by uczcić jego pamięć. Podejrzana numer trzystaście. Podejrzana, która nią została podczas burzy w mojej głowie w sylwestrową noc. Podejrzana, która była podejrzana, bo miała błękitne oczy o kocim kształcie i zazdrościłam jej dołeczków w policzkach, i dawała sobie czas ze swoim narzeczonym, pilotem Jeffreyem. Ta od ojca z alzheimerem, który dla Olivii był już jak dziadek. Ta od Franka. Ta od Pandy. Ta od Sunset. Ta od zawrotów głowy, kiedy urodziłam. Weterynarka ze stadniny koni Horse Rush Farm. Barbara Rush. Ale wszystkie te Barbary, które znałam, natychmiast zniknęły. Teraz moje myśli zajmowała tylko jedna: Barbara Chrisa.



To zdjęcie potwierdzało oczywiście, że wiedziała, kim jesteśmy, i że wiedziała o tym od początku. To ona uparła się, żeby je zrobić. „Chodźcie, zrobimy zdjęcie. Zdjęcie rodzinne. Nie, ty nie, tato”. A Frank: „Dlaczego, skoro to jest moja rodzina?”. Na co ja: „Pozwól mu, żeby też stanął, Barbaro”. A Barbara: „Nie, nie. To jest zdjęcie samych dziewczyn. Pięć dziewczyn”. A Frank: „Ach, no dobrze, okej, trzeba było mówić tak od razu”. Barbara: „Cicho, Kucyku, spokojnie, siedź spokojnie. Uśmiechnijcie się. Pa-ta-ta”. Zdjęcie. „Poczekajcie, jeszcze jedno, na wszelki wypadek zrobimy jeszcze jedno”. Zdjęcie. Dała mi jedno. Drugie zostawiła sobie i umieściła na grobie Chrisa. Co miał oznaczać ten gest? Dlaczego to zrobiła? Czy chciałam to sprawdzić? Nie, chyba nie chciałam tego sprawdzać, ale potrzebowałam to zrobić. „Nie mogę, nie chcę”, powtarzałam sobie we łzach.

Mogłabym umieścić kamery i donosicieli w każdym zakątku stadniny, wcisnąć się do jej domu, przewrócić go do góry nogami i poszukać kłódki, którą otwiera Klucz Master, śledzić każdy jej ruch, a nawet jeszcze bardziej się z nią zaprzyjaźnić. Ale wiedziałam, że to wszystko byłoby na nic. Ona wiedziała, kim jestem. Wiedziała od początku? Dlaczego nigdy nic mi nie powiedziała? „O, cześć, ty jesteś żoną Chrisa, prawda?” Ale czy zostawienie tego zdjęcia nie było przypadkiem niczym zostawienie wizytówki?

Przypomniałam sobie nasze pierwsze spotkania. Musiałam wysilić pamięć, żeby sobie przypomnieć, czy nie przeoczyłam jakiegoś komentarza, jakiegoś gestu. Pierwszy raz spotkałam ją, kiedy rodziłam Ruby. Była bardzo staranna i kontrolowała wszystko razem z Markiem, a gdy owinęła Ruby w ręcznik i położyła ją na moich piersiach, zakreśliło jej się w głowie. Myślałam, że z wrażenia albo z powodu spadku napięcia po tym, co właśnie przeszła, ale może też dlatego, że mnie rozpoznała?

Tak, było coś, co zwracało moją uwagę: nigdy nie podchodziła, żeby się ze mną przywitać albo porozmawiać *motu proprio*. Za każdym razem były to spotkania przypadkowe. Unikała mnie? Tak naprawdę Barbara ledwie była widywana na wyspie, w zasadzie mieszkała zamknięta w stadninie ze swoimi końmi. Przed czymś uciekała? „Tak jak ty, prawda?” Przed urodzinową kolacją Karen w hotelu prawie się nie widywałyśmy, a to było pod koniec grudnia. A później? Później był Frank, jego alzheimer i wizyty u mnie w domu w poszukiwaniu Rose. To zacieśniło między nami więzy. I kucyki, rzecz jasna. Panda i Sunset. W ten sposób Barbara weszła do naszego życia, a nasze wizyty w stadninie stały się regularne. Bardzo dobrze nam to zrobiło, zwłaszcza Olivii, chociaż teraz wywraca mi się żołądek i mam ochotę zwymiotować. Nasze spotkania zawsze były sympatyczne. Serdeczne. Nigdy nie rozmawiałyśmy o życiu prywatnym. Barbara nie zadawała osobistych pytań. Za co byłam wdzięczna, gdyż uważałam, że to ja mam więcej spraw do przemilczenia. Teraz widzę, że się myliłam.

Zegar szpiegowski umieszczony w domu Rushów był w kształcie obrazu z dzikimi koźmi, jej koźmi, biegnącymi po plaży. Był to prawdopodobnie jeden z najpiękniejszych obrazów, jakie namalowałam. Powiesili go w salonie-jadalni nad kominkiem. I co widziałam przez to akwarium? Niewiele. Nic znaczącego. Zwykłą codzienność. Barbara z Frankiem codziennie jedli razem kolację, nie oglądając telewizji, ale rozmawiając i opowiadając sobie o swoich sprawach. Raz w tygodniu, w niedzielę, przychodził Jeffrey, bo mimo że Barbara i on dawali sobie czas, dla niego – sieroty – Frank był jak ojciec, a Jeffrey był dla Franka jak syn. A o czym rozmawiali podczas tych wspólnych kolacji? Prawie wyłącznie o zwierzętach. Rzadko kiedy wspominali o kimś z wyspy, chyba że był bezpośrednio związany z ich zwierzętami. Nie byli z tych, którzy plotkują. A o mnie? Rozmawiali o mnie? Albo o Olivii? Tak, pewnie, że to robili. Ale to zawsze Frank poruszał ten temat, opowiadając o naszych wizytach w klinice i anegdoty o Kucyku. Albo anegdotę o Olivii i sadze Flintów. Albo któregoś dnia: „To ciekawe, że mieszkają w tym samym domu, co Rose, kiedy była nastolatką, gdzie zwykłem chodzić, żeby zabiegać o jej względy, słuchać płyt i jeść naleśniki, oczywiście pod czujnym okiem twoich dziadków”. Barbara zawsze uważnie słuchała, nie okazując specjalnego zaciekawienia i nie pytając o nic więcej. Tylko raz wspomniała o mnie podczas jednej z rozmów. Kiedy kupiłam Sunset. Cieszyła się, ponieważ dla nich był to znaczący zastrzyk gotówki, bo nie tylko chodziło o pieniądze ze sprzedaży, lecz także na utrzymanie zwierzęcia. I nic więcej, żadnej innej wzmianki.

Prawie nic z tego nie pamiętałam, gdyż ledwie zwróciło to moją uwagę. To streszczenie zrobiłam po skrupulatnym sprawdzeniu nagrań z ich akwarium. Jedno po drugim. Szukając spojrzeń, gestów, niewygodnego milczenia, ukrytych słów. Nie znalazłam niczego konkretnego. Zachowywała przymusowy dystans; może sobie to wymyśliłam, ale wyglądało na to, że postanowiła nie angażować się emocjonalnie w nic, co miało związek z nami. Przynajmniej na początku. Stopniowo zrzucała ten balast, dając się ponieść. Okazywała nawet radość, widząc postępy Olivii na grzbiecie Pandy. Chociaż, zaznaczam, możliwe, że to wszystko było wymysłem mojej wyobraźni. Nie mogłam już sobie ufać.

– Jazda na Pandzie gratis! Super!

Wzdrygnęłam się, słysząc to zdanie. Frank właśnie wszedł do domu. Przez moment chciałam zostać na gorze, ukryć się na poddaszu, dopóki sobie nie pójdzie. Ale coś we mnie zapragnęło – jeżeli miałabym to jakoś nazwać – zemścić się.

Prawie zbiegłam na dół.

– Mamusiu, przyszedł dziadek Frank. Jedziemy do stadniny!

– Cześć, Barbara – powiedział do mnie Frank. Znowu pomylił mnie ze swoją córką. To, co wcześniej wydawało mi się zabawne, teraz wywoływało awersję.

– Frank, nie jestem Barbarą. Jestem Alice – odparłam bardzo oschle. I zanim

mógł cokolwiek powiedzieć, o ile w ogóle chciał to zrobić, dodałam: – To nie jest dom Rose, to jest nasz dom. Rose tutaj nie ma. Tak więc proszę cię, żebyś sobie poszedł. Już. Proszę.

– Mamusiu, nie mów tak do dziadka Franka. Pozwól mu zostać.

– Cicho bądź, Olivia. On nie jest twoim dziadkiem!

To spoliczkowanie rzeczywistością musiało obudzić Franka, bo natychmiast poczuł się zawstydzony. Spuścił głowę jak chłopiec, który zsikał się na środku klasy.

– Przepraszam, ja... – Odwrócił się, żeby wyjść.

„Co biedny Frank ma z tym wszystkim wspólnego?”, pomyślałam skruszona. „Może dużo, co ty wiesz?”, odpowiedziałam sobie.

– Zaczekaj, Frank – powiedziałam, nie mając tak naprawdę zamiaru go zatrzymać, kiedy wiedziałam, że już nie wróci. Zostawił stary przenośny gramofon.

– Och, mamu, zrobiło mi się smutno – powiedziała Olivia na granicy płaczu. Chociaż bardziej niż na smutną wyglądała na przestraszoną przez własną matkę.

Od razu zareagowałam. Przytuliłam ją i pocałowałam. Rozpłakała się.

– Przepraszam, Oli. Miałam bardzo zły dzień.

– Gorszy niż dzień, w którym umarł tata?

– Nie, nie tak zły, maleńka. Już nigdy nie będziemy miały tak złego dnia, jak tamten. Nie bój się, dobrze?

– Dobrze... Ale jedna rzecz, mamusiu. – Doskonale wiedziałam, co będzie dalej. – Dlaczego nie jeździmy już do stadniny koni?

Od prawie tygodnia, od kiedy zdjęcie numer cztery tysiące dwieście dziewięć wtargnęło do mojego życia, nie byliśmy w Horse Rush Farm.

– Mówiłam ci, że jest w remoncie.

– Moja przyjaciółka Kendall powiedziała mi, że była tam w ten weekend... – I po chwili: – Czy Panda albo Sunset umarły?

– Nie, Oli, nie zaczynaj.

Prostackie wymówki, jakie podawałam swojej córce, zaczynały się robić nieznośne. Poza tym jak mogłabym zabronić Olivii jednej z jej największych przyjemności, jej najlepszej terapii? W furii, która wciąż we mnie buzowała, w jakiś chory sposób myślałam, że nie pozwolę Barbarze – jeszcze bardziej – zaprzyjaźnić się ze swoją córką, jakbym była przekonana, że chce mi ją ukraść.

Nie miałam odwagi się z nią zobaczyć, bo nie wiedziałam, jak zareaguję. Nie sądziłam, że będę mogła udawać, zachowywać się normalnie, być miłą, serdeczną i uprzejmą, jak zawsze, kiedy się spotykałyśmy. Możliwe, że bym ją zaatakowała, że rzuciłabym się na nią albobym się załamała i zaczęła płakać. Możliwe, że poprosiłabym ją o wyjaśnienia albo torturowałabym ją, żeby zdobyć informacje. A może wszystko naraz? Prawda była taka, że akceptowałam każdą wymówkę,

żeby się z nią nie spotkać. Ale brakowało mi już zakątków, w których mogłabym się ukryć.

Problem polegał na tym, że bałam się wychodzenia z domu, robienia zakupów, biegania czy spacerowania z Ruby i Kucykiem. Bałam się, że ją spotkam. Tak więc coraz częściej zamykałam się w domu, a wychodziłam tylko wtedy, gdy było to konieczne i – w miarę możliwości – w godzinach, w których był najmniejszy ruch. Chociaż uważałam, że właśnie nadeszła najpiękniejsza pora roku, dla mnie wyspa nagle stała się miejscem niewygodnym, nieprzyjaznym i ciasnym. „Czy przypadkiem nie było tak zawsze, Alice? A – najważniejsze – do kiedy masz zamiar tutaj zostać?”

Dni 17–27. Rok II p.Ch.

Dni mijały, a akwaria gasły bezpowrotnie. Znikały obiekty obserwacji, co potęgowało tylko mój lęk. Czułam, że tracę uchwyt, którego się trzymałam. Czułam się, jakbym była na statku na środku wzburzonego morza. Wyspa trzęsła się pod moimi stopami, Wyspa Mamy się zapadała, a ja nie wiedziałam, co mam zrobić, żeby wyciągnąć ją na powierzchnię. W zasadzie wiedziałam, ale nie miałam odwagi, by to zrobić.

Olivia, podobnie jak ja, fatalnie znosiła to, że akwaria się psuły. Do tego wręcz stopnia, że się uparła i wyniosła z pokoju Olivera zegar w kształcie szopa („Mamo, nie chcę, żeby Oliverowi przytrafiło się to samo, co pozostałym. Nie chcę, żeby odchodził”), kazała mi go rozkręcić, żeby naładować baterię, i odniosła z powrotem na swoje miejsce. Ale oprócz tego akwarium działały już tylko cztery. Olivia często miała koszmary, pomimo zwiększonych wysiłków włożonych w obracanie się w łóżku. Musiałam ustąpić w sprawie stadniny koni. Nie mogłam dłużej trzymać jej od niej z daleka. W kolejną sobotę i niedzielę Maureen, matka Kendall, zabrała Olivię do stadniny. „Bardzo chętnie, będę miała sposobność, aby znowu pogadać z Barbarą”, powiedziała mi. Maureen i jej mąż, Pat Heise, od dłuższego czasu nie dawali Barbarze spokoju, chcieli bowiem kupić teren sąsiadujący z jej działką, by zbudować tam pole golfowe, ale Barbara się nie zgadzała (popierałam ją, chociaż niechętnie się do tego przyznawałam).

Aż pewien ciąg zdarzeń zobligował mnie, zmusił albo zachęcił do wyjścia z mojego zamknięcia zarówno fizycznego, jak i mentalnego. Jakby to był pokaz sztucznych ogni 4 lipca. Wybuchły prawie wszystkie naraz, nachodząc jedne na drugie – seria eksplozji, po której nastąpiła absolutna pustka; jakby porwała mnie lawina śniegu i zostawiła samą, unoszącą się w białej przestrzeni, odrażającej i duszącej, w niebywalej ciszy, bez wejścia ani wyjścia, bez dróg, którymi można podążać. W miejscu bez początku i końca. Miejscu nieprzyjaznym, w którym kłamstwa nie mogły już przetrwać. W miejscu, które nazywa się prawdą.



Stephen zmarł. Jennifer go odłączyła. Stało się to tydzień po tym, jak Summer wyjechała na zawsze i rozwiały się obawy, że może zabrać dziecko. Dziecko, którego Jennifer i jej mąż zawsze pragnęli, a nie mogli mieć. Jennifer nie potrzebowała już Stephena, żeby dalej żyć. Po wielu latach obcowania ze śmiercią teraz wreszcie mogła cieszyć się życiem. W pokoju obecny był lekarz ze szpitala Cape Cod i ojciec Henry. Jennifer zapytała mnie, czy mogłabym być wtedy przy niej. Zgodziłam się z radością. Zgodziłabym się na wszystko, co wyciągnęłoby mnie z błędnego koła, w którym się znalazłam. Byłam w szoku wskutek stresu potraumatycznego. Władady mną zniechęcenie i mentalny zamęt.

Jennifer położyła Olivię II na klatce piersiowej Stephena. Przed odłączeniem rurek podali mu środek uspokajający, żeby zapobiec konwulsjom i nieprzyjemnym sytuacjom. Stephen odszedł w ciągu kilku minut, spokojnie, prawdopodobnie na poziomie pod- albo superświadomości, szczęśliwy, że niedawno został ojcem. Chociaż po raz pierwszy w życiu byłam obecna przy śmierci (odczuwając znajomy strach, że zemdleję), był to dla mnie bardzo wzruszający moment. Pełen miłości. Lekcja życia i przewycięzania siebie, która spowodowała, że zastanawiałam się nad zrzucaniem balastu, zostawieniem za sobą rzeczy, których nie możemy już mieć, osób, z którymi nie możemy być, miłości, które muszą zostać za nami, byśmy mogli kroczyć naprzód, rozwijać się i żyć. I ze łzami w oczach pomyślałam: „Alice, ty też – podobnie jak Jennifer – masz dzieci. Ty też musisz pozwolić odejść Chrisowi”.

Zaraz po tym, gdy lekarz zapisał godzinę śmierci Stephena, ojciec Henry ochrzcił Olivię II: Bertha Stephanie Fay. Jennifer nie wyjaśniała mi, dlaczego zatrzymała dziecko. Mogła powiedzieć, że Summer nie chciała się nim zająć, że żałowała czy coś podobnego. Ale nie. A ja oczywiście nie pytałam. Ona prawdopodobnie wiedziała, że ja wiem. „Ojciec nie żyje”, powiedziała Summer. To było ewidentne nawiązanie do Stephena. To on był ojcem Olivii II. Ale tak naprawdę nawet bez donosicieli, akwariów czy testu na ojcostwo mogłabym sama pojąć tę historię i nadać jej kształt: Jennifer i Stephen zawsze chcieli mieć dziecko. Próbowali bez powodzenia. To, co na początku wydawało się jego problemem ze względu na wiek, ostatecznie okazało się jej problemem. Stephen doznał zawału mózgu na łodzi i ona została ze swoim pragnieniem sama. Wtedy pojawiła się szalona Summer, by spędzić na wyspie trochę czasu z dala od kłopotów, a Jennifer zaproponowała jej, żeby w zamian za sówitą zapłatę została jej matką do wynajęcia, jej żywym inkubatorem.



Od dwóch tygodni nie miałam wieści od Miriam. Milczała, odkąd dałam jej pendrive'a z nagraniem Mike'a. Aż pewnego dnia jej akwarium się włączyło. Miriam postanowiła z powrotem powiesić zegar księżycowy w swojej kuchni, umieścić kamerę szpiegowską na swoim miejscu, naładować baterię i go włączyć. Popatrzyła prosto w kamerę. Poważna, jakby upewniała się, że wszystko jest jak należy, albo przygotowywała dowód, żeby donieść na mnie policji. Gdy je obserwowałam, ogarniał mnie coraz większy strach. Aż się uśmiechnęła. I przemówiła. Nie słyszałam jej, zepsuł się mikrofon, ale mogłam odczytać to, co powiedziała, z ruchu jej ust, bo przekazała mi tylko jedną wiadomość: „Dbaj o mnie”. Potem zostawiła zegar tak, jak wisiał.

Po kilku minutach zobaczyłam, że pies Sandy biega szczęśliwy po jej kuchni. Odzyskała go. Wykorzystała wideo? Chyba tak, a przynajmniej jego część,

bo tego samego wieczoru odkryłam, że ktoś przebił mi wszystkie opony w cherokee, w wózku golfowym i w rowerach. Oprócz tego zbił lusterka boczne i dosłownie nasrał na drzwi wejściowe do domu. Nie przejmowałam się tym, gdyż wciąż byłam w stanie szoku i nie potrafiłam odpowiednio zareagować. Nie chciałam też składać doniesienia. Lepiej było zostawić to tak, jak jest. Chciałam zatrzymać ten łańcuch zemsty. To, że na niego nie doniosłam, było moim sposobem na pogodzenie się z karą; pokazaniem, że jesteśmy kwita, z przeświadczeniem, że jeśli ja przestanę mu dokuczać, on też to zrobi. I tak było. Zadzwoiłam do warsztatu samochodowego spoza wyspy, żeby nie wzbudzać podejrzeń ani nie dawać pożywki dla plotek, i wymieniłam czternaście kół oraz cztery lusterka boczne. Kosztowało mnie to prawie dwa tysiące dolarów.



Przestałam spotykać się z Julią w Le Cafe. Tak więc pewnego dnia postanowiła złożyć mi niezapowiedzianą wizytę.

Kiedy usłyszałam dzwonek do drzwi, serce podskoczyło mi do gardła: przestraszyłam się, że to może być Frank albo jeszcze gorzej, Barbara. Widząc, że to Julia, pomyślałam o dalszym ciągu nieszczęsnych zdarzeń – że przyszła, no nie wiem, powiedzieć mi, iż wie o zhakowaniu swojego komputera albo o szpiegowaniu, albo o mnie i o Marku. To nie była żadna z tych rzeczy, ale prawie.

Zaprosiłam ją na mrożoną herbatę do ogrodu.

– Jak ci idzie pisanie?

Przestałam zaglądać do jej komputera, żeby czytać powieść. Kolejna krzywda, którą wyrządziło zdjęcie cztery tysiące dwieście dziewięć.

Julia delikatnie pokręciła głową.

– Straciłam historię, swoją historię. Wymyka mi się z rąk. I czuję, że nie mogę już zrobić nic, żeby temu zaradzić.

– Ale dlaczego? Nie rozumiem, Julio, powieść jest znakomita. Dopisz zakończenie i gotowe.

– Pamiętasz, jak cię prosiłam, żebyś pomogła mi z zakończeniem?

– Tak, oczywiście, że pamiętam. I bardzo bym chciała, ale nie mogę tego zrobić.

– Masz rację. Pomyliłam się. Nie chcę, żebyś pomogła mi dokończyć. Chcę, żebyś pomogła mi ją kontynuować.

O czym ona mówiła: o tym, co pisała, czy o tym, co przeżywała? O swojej powieści czy o swoim związku? Prosiła mnie o to, o czym myślałam?

– Mark wyjeżdża. Bierze łódź i chce żeglować wzdłuż całego Wschodniego Wybrzeża aż do Zatoki Meksykańskiej, potem przepłynie przez Kanał Panamski i nie wiem, gdzie dalej. W każdym razie wypływa na dwa miesiące... Potem

odejdzie definitywnie.

– Jak to definitywnie?

– Rozwodzimy się. Kiedy skończy się lato, przeprowadzi się do Nowego Jorku.

Julia się rozpląkała. I mało brakowało, a płakałabym z nią.

– Nie pytaj, czyja to była decyzja, bo nie potrafię ci odpowiedzieć. A właściwie tak, potrafię. To decyzja nas obojga, chociaż nie została podjęta teraz. Podjęliśmy ją już wiele lat temu, kiedy postanowiliśmy być Samanthą i Paulem. On moim Paulem, ja jego Samanthą. Ale w końcu i dla mnie, i dla niego okazało się to balastem. Ja uciekam do fikcji, żeby uzupełnić swoją rzeczywistość. On robi podobnie. Marzenie, aby znaleźć swoją Samanthę, jest tak wielkie, tak nierealne, że nie mieści się tylko w jednej kobiecie czy w jednym związku.

Bardzo mnie przestraszyła, kiedy płacząc, podniosła wzrok i na mnie popatrzyła.

– Nie chcę, żeby odchodził, Alice. Nie dlatego, że pragnę, byśmy się pogodzili. Nie dbam o to. Od dawna przestałam się o to starać. Ale... – Po krótkiej przerwie, tak bezbronna i malutka, jakiej nigdy jej jeszcze nie widziałam, powiedziała: – Jestem w ciąży.

Moja głowa nie nadążała z przetwarzaniem informacji.

– Powiedziałaś mu?

Julia zaprzeczyła, kręcąc głową.

– To powiedz mu. Jeśli mu powiesz, na pewno zostanie.

– Tak, wiem. I wiem, że byłabym w stanie zrobić to bez żadnego wahania. Ale nie byłabym szczęśliwa. Za takie rzeczy, chociaż robi się je z przekonaniem, dla dobra dzieci, ostatecznie przychodzi zapłacić. Wiem, znam go. I nie jest to kwestia tego, żeby został. To kwestia tego, żeby wyspa przestała go parzyć. Ponieważ w tej chwili Marka parzy wyspa.

Jak znajomo to zabrzmiało.

– Dlaczego ty z nim nie porozmawiasz? – zapytała.

– Z Markiem? Ja?

– Chociaż nigdy o nim nie mówisz, wiem, że... Łączą was dobre relacje. Że łączyły was dobre relacje. – Kiedy powtórzyła to w czasie przeszłym, wiedziałam, że dała sygnał, iż wie o naszej przygodzie. Czy powinnam raczej powiedzieć: romansie, jak ona? – Twój przyjazd na wyspę dobrze mu zrobił. Nam dobrze zrobił...

Pierwszy raz w życiu bardzo chciałam zemdleć. Pragnęłam, żeby moja fobia przejęła panowanie nad sytuacją i wyciągnęła mnie z tego miejsca.

– Nie do końca rozumiem, o co mnie prosisz.

– Już ci powiedziałam, pomóż mi kontynuować – wyjaśniła już uspokojona, żeby nie zabrzmiało to jak desperacka czy emocjonalna prośba. Wręcz przeciwnie.

Była bardzo przemyślana. Sugerowała, że wie, że to ja byłem tą kobietą od wiadomości, tą od udaremnionego wypadu do Nowego Jorku, jego kochanką. Mało tego, pokazywała, że nic jej to nie obchodzi, że to w porządku, dawała mi zielone światło i schodziła nam z drogi. Czy naprawdę myślała, że najzdrowsze i najkorzystniejsze będzie dla niej to, żeby jej mąż został na wyspie z inną kobietą, podczas gdy ona jest w ciąży?

A ja? Czego ja chciałem? Chyba nie było to dla mnie tak oczywiste, gdyż przez wiele dni z trudem powstrzymywałem się, żeby nie zobaczyć Marka. By nie schronić się na jego łodzi, w jego ramionach i by się z nim nie kochać. Wiedziałam jednak, że gdybym to zrobiła, rozbiłabym się. Zniszczyłabym się. I wiem, że on byłby zachwycony: zebrałby moje kawałki i złożył je, uratowałby mnie, jak czynił to już wcześniej. A ja pozwoliłabym się uratować. Tylko dokąd by mnie to zaprowadziło? Dokąd nas by to zaprowadziło? „I co z tego, Alice? To niczego nie zmienia. To nie zetrze zdjęcia cztery tysiące dwieście dziewiętego, nie zetrze Barbary. To nie rozwiąże żadnego twojego problemu. Niczego!” Chciałem, żeby moja głowa przestała myśleć. Była przepełniona. Skąd się wzięła ta cała lawina zdarzeń? Ale czy w głębi duszy nie byłam za to wdzięczna losowi? Czy przypadkiem nie zbierałam plonów tego, co sama siałam przez ponad rok? „Ciesz się swoimi zbiorami, Alice. Niewątpliwie są bogate”.

Aż pewnej nocy nie mogłam dłużej wytrzymać i poszłam do portu z zamiarem odwiedzenia Marka na łodzi. Już jej nie było. Odpłynął. Płakałam przez całą drogę powrotną do domu.

Zasnęłam w ręczniku od razu po wyjściu spod prysznic, wyczerpana, ale niekoniecznie wysiłkiem fizycznym. Obudziłam się po kilku godzinach mokra od potu i zdezorientowana. Musiała minąć dłuższa chwila, zanim uświadomiłam sobie, gdzie jestem. Miałam rozstrojony żołądek; klatka piersiowa paliła mnie i kłuła; dostałam wysypki. Kiedy patrzyłam na siebie w lustrze, zastanawiając się, czy wywołać wymioty, żeby sobie ulżyć, nagle pojawiły się w mojej głowie rozmaite myśli dotyczące Barbary. Zaczęły przeć na pełnych obrotach jak mająca się przelać woda w chwili otwarcia stawidła zapory. To były nitki, linie, wątki, pytania, hipotezy, spekulacje i kilka pewników, powracające do mnie każdego dnia od chwili pojawienia się zdjęcia cztery tysiące dwieście dziewiętego i odtwarzające się w kółko, ale w sposób przypadkowy. Zawsze była to ta sama muzyka, te same piosenki, te same nachalne i łatwo wpadające w ucho refreny. Aż nagle płyta się zarysowała, wywołując u mnie konwulsje w postaci snopu iskier. Były to słowa Barbary, które pojawiły się w serii trzasków, flashbacków, które przeszywały całe moje ciało i dotknęły mnie do żywego:

„Właściciel na pewno dziś tutaj nie przyjdzie”.

„Nie ma problemu, może nadal przychodzić i jeździć na Pandzie. Do wiosny pewnie nikt nie zdecyduje się tutaj przyjechać”.

„Pozwól jej, żeby na niej jeździła, a potem zobaczymy. Nic się nie stanie, jeśli przywiąże się do zwierzęcia. Nigdzie stąd nie odejdzie...”

Panda, kucyk. To Chris go kupił. Należał do Chrisa. Byłam tego pewna. Po części dlatego, że kiedy o tym pomyślałam, zegar w telefonie pokazywał godzinę 00.01. Ta przekłeta godzina właśnie się nade mną ulitowała. Albo wręcz przeciwnie. Zwymiotowałam – i nie musiałam tego prowokować.

Dzień 28. Rok II p.Ch.

Zobaczyłam Barbarę w jednej ze stajni.

A ona zobaczyła mnie.

I po moim spojrzeniu wiedziała, o co chodzi.

A ja po jej spojrzeniu wiedziałam, że wie.

I że jest gotowa na wszystko, czego będę od niej chciała.

– Dużo myślałam o tym, ile ci opowiem, kiedy nadejdzie ten moment, bo wiedziałam, że nadejdzie – powiedziała Barbara z taką uprzejmością, że jeszcze bardziej się wystraszyłam. – I uważam, że powinnaś wiedzieć wszystko. Bo w przeciwnym razie wyjedziesz stąd, czując, że utknęłaś w połowie drogi. Myślę, że musimy przejść ją razem, do końca.

Zakładałam przynęty na całej wyspie, a nagle poczułam się tak, jakbym sama złapała się na jedną z nich. Barbara zastawiła na mnie pułapkę, która przywiodła mnie do jej domu, do Horse Rush Farm, i bałam się, że mnie rozgniecie. Mimo że przez ponad rok przygotowywałam się na ten moment, nie czułam się na siłach, żeby poznać prawdę. Wszystko było nierealne. Właściwie nawet nie wiedziałam, jak się tutaj dostałam. Jak byłam w stanie obudzić Olivię, zrobić jej śniadanie, zawieźć na hydroplan, nakarmić Ruby i zostawić ją u Jennifer, która z radością się nią zajęła.

Chciałam się odwrócić i wyjść.

„Nie mogę, nie chcę”.

Ale Barbara mi nie pozwoliła. Musiała przeczuwać, jak trudno było mi wykonać ten krok, i nie chciała, żeby mój wysiłek poszedł na marne.

– Jak chcesz to zrobić? Wolisz zadawać mi pytania?

Moja głowa zaprzeczyła za mnie.

– Tylko jedno – odparłam. – A potem chcę, żebyś ty mówiła. Chcę, żebyś opowiedziała mi wszystko. Jakby mnie tu nie było.

– Dobrze. Jak brzmi pytanie?

Zanim zaczęłam płakać, udało mi się wypowiedzieć słabym głosem:

– Co Chris robił na wyspie?

horse rush farm



CZĘŚĆ CZWARTA
NIEWIDZIALNY CZŁOWIEK

„Ja jestem Niewidzialnym Człowiekiem”.

„Sądziłem, że na tej drodze zdobędę wszystko, czego zapragnę. Chociaż jednak niewidzialność mogła mi wszystko zapewnić, ale jednocześnie uniemożliwiała używanie wszelkich zdobyczy”.

„Możemy rozważyć wszystkie dodatnie strony niewidzialności, zastanowić się, co ona zapewnia. Wygodna jest właściwie tylko w dwu wypadkach: przy ucieczce i przy zbliżaniu się”.

H.G. WELLS, *Niewidzialny człowiek*¹⁹ (1897)

Dzień 299. Rok III p.Ch. – dzień 0. Rok I p.Ch.

Nie pamiętam, czy było to w formie stwierdzenia: „Pomożesz mi być niewidzialnym, Barb”, czy w formie pytania: „Barb, mogłabyś mi pomóc być niewidzialnym?”. Wiem tylko, że niedługo po usłyszeniu tego stwierdzenia czy pytania zaczęłam się w Chrisie zakochiwać. Nie chciałam, by do tego doszło, Alice, naprawdę nie chciałam. Ale nie mogłam temu zapobiec.

Kiedy zobaczyłam go pierwszy raz, nie widziałam jego twarzy. Stał tuż przy młynie odwrócony plecami. Przestraszyłam się, a on się odwrócił, uśmiechnął do mnie i podał mi rękę na powitanie, jakbyśmy znali się od zawsze. Byłam na codziennej przejażdżce na mojej Nessy. „Przepraszam, ale to jest własność prywatna”. W taki sposób odpowiedziałam na jego powitanie. Przeprosił i już miał zamiar odejść. Poczułam się jednak źle i zaczęłam go zapewniać, że nic się nie stało, że może zostać. „Nie jesteś stąd, prawda?”, zapytałam, jeszcze z pewną nieufnością. Potwierdził ruchem głowy i opowiedział, że znalazł się na wyspie niemal przywleczony siłą wskutek przypadkowego spotkania z byłym studentem Uniwersytetu Wirginii, Johnem jakimś tam, którego nawet dobrze nie znał. Ale John znał jego. Przez dwa lata byli razem na uczelni, kiedy John skończył już studia i pracował jako koordynator defensywy w drużynie futbolu amerykańskiego. Jak się okazało, John uwielbiał tenis i często chodził na kort, by patrzeć, jak Chris gra. Później śledził jego karierę, był przekonany, że zajdzie bardzo wysoko w rankingu ATP, tak więc kiedy dowiedział się o jego kontuzji ścięgna Achillesa, odczuł to tak, jakby jemu się to przytrafiło. Od lat nie miał o Chrisie żadnych wieści. Dlatego, kiedy spotkał go tego przedpołudnia w New Seabury Country Club w Mashpee, gdzie grał z potencjalnym klientem, a John ze swoim szwagrem (oczywiście z Keithem, ale wtedy, gdy rozmawialiśmy, nie pamiętał jego imienia), oszalał z radości i uparł się, by połączyć oba mecze i w ten sposób stworzyć warunki do rozmowy o tym, co tak w ogóle u niego słyhać. To jednak mu nie wystarczyło, bo później zaprosił go na piwo, a kiedy Chris był już wstawiony, powiedział mu: „Tutaj, gdzie patrzysz, mój szwagier ma wyspę, własną, tylko jego, teraz ją odnawia, czy jak tam się to mówi. I chce mieć nowy kort tenisowy, bo ten obecny jest bardzo stary i trawiasty, i w ogóle gówniany, szczerze mówiąc. I nagle pojawiaasz się ty, mój idolu, i na dodatek okazuje się, że prowadzisz firmę zajmującą się budową kortów tenisowych. To przypadkowe spotkanie trzeba natychmiast wykorzystać”. Szwagier Johna poprosił Chrisa o wizytówkę, żeby się z nim umówić kiedyś na spotkanie, na spokojnie. Potem John zaprosił Chrisa na Robin Island. „Nigdy nie słyszałeś o Robin Island? Tym lepiej, doskonale. A wiesz dlaczego? Bo jest to najpilniej strzeżony sekret w całych Stanach”. I zanim zdążył w ogóle zareagować, byli już na promie w drodze na wyspę. Chris się zgodził, bo właśnie rozbudowywał swoją firmę, starając się zapuścić korzenie w stanach

sąsiadujących z Rhode Island.

Podszedł do mnie, uściśnął mi dłoń i się przedstawił:

– Przepraszam, nie przedstawiłem się. Jestem Chris Williams.

– Barbara – powiedziałam, uściśnęłam mu rękę, nie schodząc z konia. W siodle, wysoko, czułam się o wiele pewniej. – Jak to się stało, że znalazłeś się w tym miejscu, przy moim młynie?

Chris, jako że miał jeszcze trochę czasu, w drodze do portu postanowił wybrać się na spacer, bo zachwyił go pejzaż i spokój panujący na wyspie, która od razu go urzekła. Dużo podróżował i znał mnóstwo miejsc, jednak to jakby go zahipnotyzowało. Być może dlatego, że Cape Cod nigdy go nie interesował. Wydawał mu się znajomy i jednocześnie egzotyczny, nowy i swojski, gościnny. „Trochę jak moja żona”, rzucił stanowczo, jakby chciał wykluczyć jakąkolwiek możliwość podrywu, żeby nie odniosła mylnego wrażenia, co wydało mi się urocze i faktycznie rozluźniło mnie. Kończąc odpowiadać na moje pytanie, wyznał, że kiedy oprzytomniał, było już za późno, by zdążyć na ostatni prom. Żona Johna ogromnie nalegała, żeby został na noc w hotelu. „Takiej gwiazdzie jak ty, dam *suite*, który ma jacuzzi i inne atrakcje”, powiedziała.

– Tak więc przed powrotem, chroniąc się przed nadmierną gościnnością Johna i Karen, wszedłem na twoją działkę bez pozwolenia.

Wtedy dostałam wiadomość od ojca, że nasza klacz, kucyk Snow White²⁰, zaczęła się żrebić.

– Pędzę, bo zaraz ma przyjść na świat jeden z malców – powiedziałam, żegnając się. – I oczywiście możesz się tu włóczyć, ile chcesz. Czuj się jak u siebie. Zachód słońca w tym miejscu jest przepiękny.

Polubiłam go, a on mnie. Pierwsze przyjemne, przyjacielskie i niewinne spotkanie.

Nie pamiętałam, jak długo nie miałam o nim żadnej wiadomości. On mi to przypomniał, a nawet swoje imię, które także zapomniałam, pomimo krótkotrwałej fascynacji, którą odczułam. „Minęło półtora miesiąca. Mam na imię Chris. A ty Barbara”. Pamiętał też o Snow White, bo zapytał, jak przebiegł poród. Odpowiedziałam, że bardzo dobrze i że jeśli chce, to mogę pokazać mu rezultat. Właśnie wtedy zobaczył Pandę. „Wygląda jak panda”, powiedział. „Dlatego ma na imię Panda” – odparłam. „Matka jest biała, Snow White, a ojciec, Batman, jest czarny. Od obojga dostał to, co najlepsze”.

Chris wyjawiał mi powód swojej drugiej wizyty. Keith zadzwonił do niego miesiąc po tamtym spotkaniu. W końcu zdecydował się na wymianę kortu tenisowego. Chris właśnie stamtąd wracał. Keith zaproponował mu, żeby zrobili to w tajemnicy, ponieważ chciał sprawić niespodziankę Johnowi, który uwielbia tenis i prawdopodobnie to on najczęściej miał korzystać z kortu. Chris uznał, że to genialny pomysł, gdyż dzięki temu nie musiałby znosić Johna. „Biedak, nie zrozum

mnie źle, lubię go, to dobry człowiek, tylko że... po prostu jest bardzo męczący”, tłumaczył się. Będąc na Napoleon Island, Chris zainteresował się dziejami tej wysepki i życiem Napoleona LeCaptaina. Keith opowiedział mu o ciekawym życiu architekta i o jego marzeniu, by stworzyć wyspę, na której będą mogły wypoczywać jego rodzina i następne pokolenia. Zafascynowało go zwłaszcza jego pragnienie, by zachować wszystko w tajemnicy przed żoną i całą rodziną, i to, że mu się to udało. Udało mu się dzięki pomocy wiernego przyjaciela i dowódcy batalionu Johna J. Bresnama oraz chłopców z brygady strażackiej z Precinto 8 w Nowym Jorku, dla których zaprojektował i zbudował remizę.

Wyznał mi, że dzień, w którym się poznaliśmy – jego pierwszy dzień na wyspie – był dla niego trudny i męczący. Ale że spacer po stadninie koni okazał się zasłużoną rekompensatą. Odkrył cudowne miejsce, gdzie pewnego dnia mógłby was zabrać, ciebie i waszą córkę, i postanowił, że nie powie ci o tym, bo chciałby ci zrobić niespodziankę, a także córcę, która ma słabość do koni, a zwłaszcza do kucyków.

– Mój problem polega na tym, że nie umiem udawać. Nie lubię kłamać. Trochę dlatego, że zawsze to po mnie widać. Przede wszystkim poznaje to Alice. Zawsze mnie przyłapuje. Alice jest jakby okiem wszystkiego, co widzi: nic nie umknie jej uwadze, a nasza córka, Olivia, odziedziczyła to po niej. Są bardzo podobne, nawet za bardzo. A zatem, żeby ją okłamać, najpierw muszę okłamać samego siebie i uwierzyć w swoje kłamstwo, bo jeśli nie uwierzę w nie, będzie po mnie widać, że oszukuję.

Wtedy znowu wspomniał o Napoleonie LeCaptainie – że jest dla niego źródłem inspiracji. A ponadto moja stadnina, moje dzikie konie, moje kucyki i zachód słońca przy starym młynie, który został zniszczony po przejściu huraganu Sandy. Powiedział, że ma pewien pomysł, wizję, marzenie i po prostu chce wiedzieć, czy jest to możliwe do zrealizowania, bo jeśli nie, zrozumie i wyrzuci to z głowy. Wyjawił mi to wszystko od razu, gdyż uważał, że nie będzie w stanie przez dłuższy czas utrzymać takiej sprawy w tajemnicy przed tobą. Byłam bardzo zaintrygowana jego planami. Zachęciłam go, żeby się nie męczył i opowiedział mi, co mu chodzi po głowie.

Chris powiedział, że WTT, jego firma, jest jego wielkim projektem zawodowym, że bardzo lubi swoją pracę, ale od wielu miesięcy brakuje mu jeszcze czegoś. Od szóstego roku życia grał w tenisa, rywalizując z innymi. To sprawiło, że uzależnił się od adrenaliny, od bycia w centrum uwagi, od ryzyka, od balansowania na cienkiej linie, od wysiłku, zwycięstw, porażek. To wszystko sprowadzało się dla niego do jednego słowa: pasja. Chciał ją odzyskać, ale nie wiedział jak, aż znalazł się na terenie stadniny, spacerując między wydłmami i docierając do młyna, akurat wtedy, gdy zachodziło słońce. Kiedy mi to opowiedział, przeszedł do rzeczy.

– Nie wiem, czy kucyk Panda jest na sprzedaż. Bardzo chciałbym podarować

go swojej córce.

– Jest bardzo mały. Jeszcze nie został odsadzony.

– Wiem o tym. Nie ma pośpiechu. Kucyk to tylko część, bardzo mała część niespodzianki, którą planuję. Bo tak naprawdę zależy mi na tym, żeby kupić od ciebie młyn. Chciałbym sam go odnowić, bez niczyjej pomocy, bo traktuję to jako osobiste wyzwanie i im mniej osób będzie w to zaangażowanych, tym lepiej. Chciałbym zrobić to krok po kroku, wykorzystując swoje wyjazdy służbowe, i bez wiedzy żony i córki zamienić go w dom dla swojej rodziny. To byłby nasz zamek, nasz drugi dom, nasze miejsce, w którym moglibyśmy wypoczywać – podobnie jak Napoleon LeCaptain – gdzie będziemy mogli spędzać szczęśliwe chwile i gdzie moja córka będzie jeździć na kucyku. Gdy myślałem o tym, o spełnieniu tego marzenia, podczas oglądania zachodu słońca, serce zaczęło mi bić mocniej i dostałem gęsiej skórki, tak jak teraz, zobacz. – Pokazał mi stojące włosy na ręce. – Odzyskałem pasję. Jeśli więc uważasz, że to wszystko jest wykonalne, opowiem ci, jak to widzę, przede wszystkim dlatego, że potrzebuję kogoś, kto sprawi, że mój plan stanie się doskonały, a także pomoże mi go wdrożyć, pokonać wszystkie przeszkody, które pojawią się na drodze, bo na pewno się pojawią. Potrzebuję dowódcy batalionu, podobnie jak LeCaptain miał Johna J. Bresnama. – Przerwał, a po chwili dodał: – I tutaj ty jesteś mi potrzebna. Barb, mogłabyś mi pomóc być niewidzialnym?

Zapytał albo stwierdził: „Pomożesz mi być niewidzialnym, Barb”. Tak czy inaczej, zgodziłam się. Oczywiście, że to zrobiłam. Nie widziałam powodu, dla którego miałabym odmówić, chociaż później nie byłam już co do tego taka przekonana.

Dostęp do młyna nie jest łatwy, ponieważ sąsiadujące z nim tereny są własnością prywatną. To sprawia, że jest on wyjątkowym zakątkiem, a jako że znajduje się na południu, pozwala cieszyć się zarówno wschodami, jak i zachodami słońca. Położony jest na wzgórzu tuż obok strumienia Haven Creek, który wpada do morza. Nie był na sprzedaż. Maureen i jej mąż, Pat Heise, od lat próbowali go ode mnie kupić – młyn oraz teren, na którym stoi, bo prawie z tego nie korzystaliśmy. Tylko od czasu do czasu pasły się tam konie, piły wodę ze strumienia i jadły jabłka z drzew. Chcieli zbudować pole golfowe. Teren należał do mnie, odziedziczyłam go po dziadku i nie miałam zamiaru się go pozbywać. Jednak pomysł Chrisa wydał mi się tak wyjątkowy, że zaczęłam to rozważać.

Nie powiedziałam mu tak. Co więcej, oświadczyłam, że prawie na pewno nie i że muszę to skonsultować z ojcem, co nie było prawdą. Stwierdziłam, że jesteśmy bardzo przywiązani do tej działki. „Jakoś tego nie widać”, zażartował, nawiązując do rozpadającego się młyna. Chociaż miałam zamiar się nie zgodzić, poprosiłam go o czas do namysłu. Nie lubię być radykalna i pomyślałam, że w ten sposób odmowa zabrzmiałaby mniej brutalnie. Zgodził się i poprosił, żebyśmy nie zwlekąły zbyt

długo, bo wtedy ewentualnie łatwiej mu będzie zrezygnować z tego pomysłu i skupić energię na innym miejscu, chociaż żadne nie będzie mu się podobało już tak bardzo jak to.

Zanim się rozstaliśmy, przypomniał mi pewną zasadę zen, jakby to miało rozwiązać moje wątpliwości, według której sprawy najwyższej wagi trzeba traktować delikatnie, a sprawy delikatne z najwyższą wagą. „Ta maksyma przywiodła mnie teraz tutaj”.

Nie podzieliłam się tym, co usłyszałam, ani z ojcem, ani z Jeffreyem. Nie dlatego, że chciałam, aby to była moja decyzja, gdyż decyzja została już podjęta i odpowiedź brzmiała: nie. Problem polegał na tym, że to nagłe pojawienie się Chrisa mnie obudziło. Sprawilo, że zaczęłam zastanawiać się nad różnymi rzeczami, na co wcześniej sobie nie pozwalałam. Kiedy ostatni raz czułam takie uniesienie? Konie mnie pasjonowały, były moim życiem. Ale były także ucieczką. Jeffrey często żartował, że powinien mieć pysk, ogon, grzywę, cztery nogi i kopyta i umieć od czasu do czasu zarzeć, bo w ten sposób na pewno zwracałabym na niego większą uwagę. I przypuszczam, że po części miał rację. Ale ja odczuwałam to wszystko w kategoriach dobrych relacji w związku dwojga ludzi. Lubiłam spokojne i uporządkowane życie. Stabilizacja była dla mnie jedną z najważniejszych rzeczy. Nie rozumiałam, jak można źle się z kimś czuć. Z Jeffreyem zawsze była wiosna – nigdy nie było zimno, nigdy też nie było gorąco. Nasz miłosny termostat miał zawsze dwadzieścia dwa stopnie. Chciałam wyjść za mąż, założyć rodzinę i kiedy przyjdzie czas, mieć z Jeffreyem dzieci. Wiele razy o tym rozmawialiśmy. Było to tak wygodne, że aż wydawało się podejrzane. A przynajmniej tak mi się zaczęło wydawać od czasu, gdy w moim życiu pojawił się Chris, ze swoimi dobrymi kłamstwami, niewidzialnością i miłością do ciebie. Kiedy Chris oglądał zachód słońca przy młynie, jego serce zaczynało bić szybciej. A gdy o tym opowiadał, mnie też zaczynało bić szybciej. Czego więc chciałam? Żeby ktoś zrobił dla mnie tyle, co Chris dla ciebie? Żebym ja zrobiła tyle dla kogoś? Żeby Chris zrobił tyle dla mnie? Żebym ja zrobiła tyle dla Chrisa?

Cztery dni po wizycie Chrisa z powodu tej mentalnej dyskusji nie mogłam spać, więc wybrałam się na przejażdżkę na Nessy, żeby obejrzeć wschód słońca. Dotarłam do młyna i nagle wszystko stało się jasne i klarowne. Roześmiałam się na myśl o swoich problemach w związku tą sprawą. Wszystko było o wiele prostsze. „Sprawy najwyższej wagi trzeba traktować delikatnie, a sprawy delikatne z najwyższą wagą”. To prawda. Chciałam być Johnem J. Bresnamem, chciałam być dowódcą batalionu Chrisa, pomóc mu być niewidzialnym, pomóc w tym, żeby mógł cię zaskoczyć. Być częścią tego dowodu miłości. I przy okazji podreperować trochę finanse stadniny, ponieważ z powodu kryzysu gospodarczego i huraganu Sandy mieliśmy ciężkie lata. Pieniądze ze sprzedaży tej działki byłyby przyjemną finansową bryzą. A ponadto pomyślałam, że chyba dlatego prawie nigdy nie

zapuszczalam się w okolice młyna, bo za każdym razem, gdy widziałam, w jakiej jest ruinie, ogarniał mnie wielki smutek. Nawet bym się nie zorientowała, że już do mnie nie należy.

Oklamywałam się. Tamtego ranka się okłamałam. Oszukałam siebie, nie wiedząc, co robię. Uwierzyłam we wszystko, o czym pomyślałam. Zajęło mi trochę czasu, zanim zdałam sobie z tego sprawę i niemal tak samo tego żałowałam, jak się tym cieszyłam. I od tamtego dnia zaczęłam częściej przyjeżdżać do młyna.

– Właśnie uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. – Uścisnął mnie wylewnie, z poufałością, która jeszcze nas nie łączyła.

– Nie wynegocjowaliśmy ceny – powiedziałam, uspokajając emocje. Byłam czerwona jak burak.

– Pieniądze nie stanowią problemu. Ale nie pomyśl sobie teraz, że jestem milionerem i ze mnie zedrzesz. A jeśli zapłacę ci w gotówce, to dasz mi zniżkę, prawda?

Chris mi powiedział, że wszystkie transakcje i wydatki związane z kupnem i odbudową młyna muszą być pokryte gotówką bez ruszania grosza z jego czy z waszego wspólnego konta. Nie mogło też być najmniejszego nawet śladu na wyciągach z kart kredytowych, z konta PayPal czy jakiegokolwiek innego, ponieważ wiedział, że każdy podejrzany wydatek wcześniej czy później może zniszczyć jego plan. A był to plan średnio- i długoterminowy.

Przyznaję, że wtedy się trochę przestraszyłam, bo pomyślałam, że może była to jakaś operacja prania brudnych pieniędzy. Chris musiał dostrzec to na mojej twarzy, gdyż od razu pośpieszył z wyjaśnieniem, skąd weźmie pieniądze. Kiedy skończył dwanaście lat, postanowił, że każdego dnia będzie odkładał dolara. W znacznej mierze zrobił to z powodu swojego ojca, który tego dnia podarował mu banknot studolarowy, coś, czego Chris nigdy w życiu nie miał, i powiedział: „To nie jest prezent. To jest odpowiedzialność. Ponieważ pewnego dnia będziesz potrzebował tego banknotu studolarowego. Potrzebował go naprawdę. Możesz go wydać, na co zechcesz. Nigdy nie będę ci robił wyrzutów z tego powodu, wierz mi. Jest twój. To będzie twoja decyzja. Ale proszę cię tylko o to, abyś pomyślał, zanim to zrobisz, czy to, na co masz zamiar go wydać, jest ci naprawdę potrzebne. Powtarzam, nie liczy się to, czy tego chcesz. To musi być coś, czego POTRZEBUJESZ”.

– Wyobraź sobie, jak się tym zestresowałam. Banknot był dla mnie gorszy niż kryptonit dla Supermana. Miałem koszmary, w których wydawałam go na przyjemności i budziłem się z płaczem. Wtedy zacząłem oszczędzać na wypadek, gdyby wydarzyło się jakieś nieszczęście i nie wystarczyłby nawet banknot studolarowy. Wyzaczyłem sobie cel, że będę odkładać jednego dolara dziennie. Zawsze miałem smykałkę do oszczędzania. Jedni nazywają to skąpstwem, a ja nazywam to byciem mrówką. Moja matka dawała mi dwa dolary na drugie

śniadanie w szkole. Każdego ranka po kryjomu robiłem sobie kanapkę i w ten sposób zaoszczędzałem dolara. Teraz mam trzydzieści trzy lata. Od dwudziestu jeden odkładałem dolara dziennie. Dwadzieścia jeden lat razy trzysta sześćdziesiąt pięć dni to siedem tysięcy sześćset sześćdziesiąt pięć. Jeden dolar dziennie równa się siedem tysięcy sześćset sześćdziesiąt pięć dolarów.

– I za te pieniądze chcesz kupić działkę nad morzem z młynem, który chociaż jest bardzo zniszczony, jest młynem historycznym?

– Nie, siedem tysięcy sześćset sześćdziesiąt pięć plus banknot studolarowy. To jest siedem tysięcy siedemset sześćdziesiąt pięć dolarów, Barb.

– Ach, to co innego, a więc sprawa załatwiona – powiedziałam ze śmiechem.

– Nie, teraz na poważnie. Tę obietnicę złożyłem sobie, kiedy miałem dwanaście lat, a pracuję nieprzerwanie od piętnastego roku życia. Nie będę cię zanudzał niekończącą się listą gównianych zajęć, których się miałem. Ale począwszy od pierwszej pracy, zacząłem powiększać odkładaną sumę. Od jednego dolara przeszedłem do dwóch. Kiedy miałem siedemnaście lat – do trzech. Kiedy miałem osiemnaście – do pięciu. A potem na uniwersytecie... Widziałaś *Kolor pieniędzy* z Tomem Cruise'em i Paulem Newmanem, którzy grają w bilard, zakładają się i oszukują ludzi w knajpach całego kraju? – Przytaknęłam. – Tak więc robiłem to samo na uniwersytecie, grając w tenisa. Wygrałem dużo pieniędzy. Pozwalałem najpierw ograć się bogatemu, rozpieszczonemu dzieciakowi, a następnie postanawiałem podwoić albo potroić stawkę w rewanżu. Później skończyłem studia, zacząłem zawodowo grać w tenisa i wtedy suma, którą odkładałem, znacznie wzrosła. I nigdy, nawet przez jeden dzień od ukończenia dwunastu lat, nie przestałem spełniać danej sobie obietnicy.

– A gdzie trzymasz całą tę gotówkę?

– Banknot studolarowy w portfelu. Mam go zawsze przy sobie. Jestem dosyć przesądny i mam różne manie. Myślę, że moja córka trochę to po mnie odziedziczyła. A resztę mam tutaj.

Z bagażnika swojej terenówki wyjął dziecięcy plecak z jednym z żółwi ninja.

– Ten plecak też dostałem na dwunaste urodziny. To prezent od mojego wujostwa. Pamiętam, że się zezłościłem, bo jak widzisz, jest tu Donatello, a ja uwielbiałem Leonarda, tak więc zniechęciłem się do plecaka i nigdy go nie nosiłem. Leżał w mojej szafie, aż uznałem, że jest dobry na przechowywanie pieniędzy.

– Ale twoja żona musi o tym wiedzieć? Że trzymasz tutaj Bóg wie ile pieniędzy.

– Nikt o tym nie wie. Pamiętasz, co ci mówiłem? Muszę uwierzyć w swoje kłamstwo, aby móc kłamać. O tym nie wie nikt. Nawet Alice. Ponieważ to – powiedział, pokazując na plecak – nie istnieje.

Nie wiem dlaczego, ale poczułam ulgę, wiedząc, że owszem, potrafi kłamać, ale nie jest taki nieskazitelny, jak mówił, że ma ciemną stronę. Co ciekawe,

rozluźniło mnie to i nabrałam do niego większego zaufania.

– I nigdy nie wzięłaś ani centa z tych pieniędzy?

– Ani centa. Bo wiedziałem, że pewnego dnia będę ich potrzebował ja, ktoś z mojej rodziny czy jakiś bliski przyjaciel. Chciałem mieć pewność, że jestem przygotowany na ten moment. Nie wiem dlaczego, ale zawsze myślałem, że wykorzystam te pieniądze, żeby zapobiec skutkom jakiegoś dramatycznego zdarzenia: kradzieży, wypadku, katastrofy naturalnej. I zobacz, ostatecznie przeznaczę je na to, co mam nadzieję, będzie najpiękniejszym gestem w moim życiu. Ponieważ tak naprawdę to wszystko jest bardziej dla mojej żony niż dla mnie.

Opowiedział mi, że odkąd jesteście razem, widzi, jak dokonujecie małych, nic nieznaczących poświęceń, które oczywiście wychodziły od ciebie. Była to rezygnacja z rzeczy, o których człowiek nawet nie wie, że z nich rezygnuje, gdyż są częścią życia, dojrzewania, podejmowania decyzji. I wszyscy stale, każdego dnia, to robimy. Jednak w twoim przypadku odnosił wrażenie, że takie postępowanie oddaliło cię od twojego marzenia o byciu artystką. Alice, powiedział mi, jest nauczycielką plastyki w szkole podstawowej, uwielbia swoją pracę i jest szczęśliwa, ale... On miał szansę, żeby pokazać się jako tenisista. Tak się złożyło. Wprawdzie nie udało mu się odnieść sukcesu i nic się nie stało, bo próbował. A wiedział, że ty nigdy nie próbowałaś, że krok po kroku podcinałaś sobie skrzydła. Albo może to on nieświadomie je tobie podcinał, co bardzo go dręczyło. Tamtego wieczoru przy młynie przypominał sobie wszystkich malarzy, o których z takim podziwem mu opowiadałaś, i pomyślał, jak bardzo pejzaż roztaczający się przed jego oczami przypominał mu twoje ulubione obrazy, a także, że będąc tutaj, mogłabyś mieć prawdziwą szansę, żeby spróbować. Wiedział, że aby zostać wielkim malarzem, nie wystarczy mieć widok jak ze snów. Często mówiłaś mu, że maluje się z zewnątrz do środka, a nie ze środka na zewnątrz. Ale Chris wiedział, że w środku masz bardzo dużo, ale jeszcze nie potrafiłaś tego wydobyć. I kiedy tutaj trafił i poznał nazwę wyspy, uznał, że to piękny znak. Robin Island, Wyspa Rudzika. Wyobraził sobie swoją rudą dziewczynę rozkładającą skrzydła i beztrosko poruszającą nimi. To właśnie chciał ci podarować. Skrzydła. Okno, przez które mogłabyś patrzeć do środka, na zewnątrz, gdziekolwiek. Poleciałabyś, gdzie tylko byś chciała. Poddasze młyna. Tam stworzyłabyś swoją przestrzeń. Miejsce tylko dla siebie. Twoją pracownię. Twoją wyspę...

Podniósł plecak.

– Sprawdźmy, czy mam w plecaku wystarczająco dużo pieniędzy, żeby spełnić swoje marzenie?

Owszem, miał. Wystarczająco dużo, żeby kupić działkę i młyn. Wiedział, że ma, a ja bardzo się z tego ucieszyłam. W każdym razie później mi powiedział, że trzymał jeszcze asa w rękawie. Wszystkie pieniądze, które miał dostać za budowę

kortu tenisowego u Keitha, chciał zainwestować w młyn. Po trosze z powodów sentymentalnych, ponieważ właśnie z tego powodu znalazł się na wyspie, a po trosze dlatego, że nie chciał żadnej umowy ani żeby figurowało to w księdze przychodów i rozchodów WTT. Ostatecznie miał zrobić ten kort Keithowi też w tajemnicy. Aby go przekonać, by zapłacił mu na czarno, powiedział mu tylko: ty chcesz zrobić niespodziankę Johnowi, a ja innej osobie. I Keith się zgodził.

Młyn, w stylu *smock*, miał osiemnaście metrów wysokości. Był to budynek na planie ośmiokąta, z fundamentem z brązowej cegły wysokim na trzy piętra, drewnianą wieżą obejmującą dwa piętra i kopułą obrotową. Został zbudowany w 1752 roku przez Nathana Wilbura, marynarza z Nantucket, który rok spędził w Holandii. Nazywano go Wilbur Mill. W 1828 roku budowla była już w fatalnym stanie i została sprzedana za piętnaście dolarów stolarzowi Donaldowi Herringowi z przeznaczeniem na opał, jednak nowy właściciel, zamiast go zburzyć, postanowił go odbudować, aby znów mleć ziarno, i dlatego zaczął się nazywać Herring Mill. W 1894 roku definitywnie przestał działać. W 1899 został sprzedany w drodze licytacji publicznej łącznie z całym terenem, który teraz zajmuje moja stadnina Horse Rush Farm, za tysiąc pięćset pięćdziesiąt dolarów Johnowi Francisowi Rushowi, mojemu pradziadkowi, i od tamtej pory nazywa się Rush Mill. W 1978 roku został wpisany do Narodowego Rejestru Miejsc Historycznych. Jedynym warunkiem, jaki postawiłam Chrisowi, było to, że nie może zmienić jego nazwy. Zgodził się. Uścisnęliśmy sobie dłonie i mnie objął. Był szczęśliwy.

Chris opowiedział mi o planie, który przygotował, by pozostać na wyspie absolutnie niezauważonym. Pomysł polegał na tym, żeby prace w młynie wyglądały na moje, a nie jego, tak jakbym to ja jego zatrudniła do ich wykonania.

– Nikt na pewno nie może wiedzieć, że mi go sprzedałaś.

Z drugiej ręki kupił szarą (kolor neutralny, nijaki) furgonetkę, by nią przyjeżdżać na wyspę z materiałami. Bo gdyby robił to swoim cadillakiem escalade, zwracałby na siebie uwagę. A tak mógł spokojnie uchodzić za zwykłego budowlańca, którym na wyspie był.

– A John? Co będzie, jeśli spotkasz Johna? Co mu powiesz?

Chris zbladł.

– Cholera, o tym nie pomyślałem. – Ale uśmiech szybko wrócił na jego twarz. – Pewnie, że pomyślałem. Ale nie mogę ci wyjawić wszystkich swoich sekretów.

Bardzo spodobał mi się ten pomysł. Tajemniczość wszystkiego. Tak mnie to urzekło, że znów postanowiłam ukryć to przed swoim ojcem i Jeffreyem. Nic by się nie stało, gdybym im powiedziała – dochowaliby tajemnicy i też spodobałby im się ten wspaniały dowód miłości. Ale powiedziałam im jedynie, że pewien bogaty człowiek z Rhode Island zobaczył na naszej stronie internetowej zdjęcia małej Pandy, zwierzę tak go oczarowało, że kupił je dla swojej córki za grube pieniądze.

Co było prawdą. Wymyśliłam kłamstwo, że te pieniądze przeznaczę na odbudowę młyna, ponieważ Miriam powiedziała mi, że rynek nieruchomości zaczyna się ożywiać (co też było prawdą), a jako że od kilku lat nosiłam się z zamiarem sprzedania tej działki, pomyślałam, że z młynem w idealnym stanie będzie więcej warta. Mój ojciec, który darzył mnie zaufaniem, wiedząc, że jestem odpowiedzialną osobą, o nic nie pytał ani niczego nie kwestionował. Podobnie jak Jeffrey, zaoferował, że pomoże mi we wszystkim, czego tylko będę potrzebować, i powiedział, żebym nie wahała się poprosić go o pomoc. Nigdy tego nie zrobiłam.

W tym miejscu mogłabym skończyć opowieść, Alice. Pokazać ci młyn, twój młyn, całkowicie odnowiony, który tylko trzeba umeblować. Ale nie poznałabyś znacznej części tej historii. Bo to jest dopiero początek. To wydarzyło się podczas pierwszych trzech miesięcy. A przyjeżdżał tutaj przez ponad dwa lata.



Chris przyjeżdżał mniej więcej co miesiąc. Wykorzystywał swoje podróże po stanach Nowej Anglii, żeby „się wymknąć”, albo planował zmyślane wyjazdy i spędzał tutaj trzy albo cztery całe dni (tyle maksymalnie, by móc się usprawiedliwić i by nie wyglądało to podejrzanie). Wtedy praca przy odbudowie bardzo się posuwała. Znalazłam mu dwóch chłopców z wyspy do pomocy przy odgruzowywaniu. Wszystko teoretycznie pod moimi rozkazami. Rozkazami, które Chris uprzednio mi przekazywał. Nie korzystał z poczty elektronicznej, telefonu ani niczego, co mogłoby zostawić ślad w świecie 2.0, w którym żyjemy. Sięgnął do zapomnianego tradycyjnego sposobu: do listów.

Cześć, Barb!

Co słyhać? Ciężka zima? Spokojnie, już coraz bliżej wiosny, jeszcze tylko pięć miesięcy...

Przyjadę na wyspę najpóźniej 10 albo 11 tego miesiąca. Zostanę na dwa dni. Żeby w pełni wykorzystać pobyt, dołączam Ci listę materiałów i adresów, gdzie można je kupić w dobrej cenie w razie, gdybyśmy nie dostali ich na wyspie. Powinny być na miejscu, kiedy przyjadę (to nie jest rozkaz, to prośba).

Wiesz, gdzie są pieniądze. I uważaj, ile wydajesz, bo Donatello jest złośliwy i jeśli przekroczysz budżet, może urwać Ci rękę...

Czy chłopcy wyburzyli ściany, które zaznaczyłem X?

Mam nadzieję, że się nie pomylili, bo kiedy przyjadę i nie będzie już młyna, to ci z Narodowego Rejestru Miejsc Historycznych podadzą mnie do sądu. Tak, wiem, nie kontroluję wszystkiego jak należy i nie pomaga to, że nie ma mnie tam dniami i nocami.

Ale cóż, ufam Tobie – prawie – bezgranicznie.

X, ściany z X, na Boga! Namalowałem je bardzo wyraźnie! O matko, mam koszmary związane z X.

Mam ochotę już tam być, szefowo batalionu Bresnam. Czy od tej pory mogę Cię nazywać Bresnam?

Jakaś prośba albo kaprys, coś, czego potrzebujesz ze stałego lądu? Ach, nie, przecież nie możesz do mnie pisać...

Do zobaczenia,

Ch.

Uwielbiałam dostawać jego listy, ale już nie za bardzo to, że nie mogłam na nie odpowiadać i oddać mu chociaż części złości. Komunikacja odbywała się tylko w jedną stronę: od niego do mnie. Wykonywałam jego rozkazy (czy też prośby) co do joty. Co więcej, te ściany z X, o których wspominał, wyburzyłam sama, bo – podobnie jak on – nie ufałam dwóm upalonym koleśiom, którzy przychodzili tylko po to, żeby zbytnio się nie napracować, wyciągnąć trochę kasy i wydać ją u Mike'a na marihuanę.

Kiedy Chris przyjeżdżał, wszystkie materiały, o które prosił, były już w młynie. I nie tylko te, lecz jeszcze inne, które uznałam, że będą potrzebne. Poza tym kupowałam mu też podstawowe rzeczy, aby mógł tutaj nocować, nie cierpiąc głodu ani chłodu. Najważniejsze rzeczy, by móc prowadzić wygodne, a jednocześnie zwyczajne życie.

Zawsze gdy przyjeżdżał i widział, że prace były znacznie bardziej zaawansowane, niż się spodziewał, udawał, że jest zły. „Bresnam, zostaw coś dla mnie...”. „Bresnam, swój przydomek potraktowałaś zbyt dosłownie... Cały dzień spędzasz na gaszeniu pożarów...”. „Bresnam, wydaje się, że chcesz pozbyć się mnie jak najszybciej...”. „Bresnam, wydaje się, że ci przeszkadzam; jeśli chcesz, już nie przyjadę...”. „Bresnam, przecież to jest mój młyn. Poszukaj sobie swojego i zostaw mój w spokoju...”. Wszystko zawsze w pogodnym i zabawnym tonie.

Nie wiem, jak to robiłam, ale w te trzy czy cztery dni w miesiącu, które Chris spędzał w młynie, udawało mi się uwalniać od wszelkich domowych i zawodowych obowiązków, a ponadto mój ojciec oraz Jeffrey to rozumieli, chociaż dokładnie im nie wyjaśniałam, dlaczego będę niedostępna. Z wyjątkiem nagłych przypadków.

A co się działo podczas jego pobytów? Nic, wszystko, dużo, mało. Doniosłość małych decyzji. Lekkość wielkich spraw. Pracowaliśmy. Słuchaliśmy muzyki przez przenośne głośniki. Na przemian jego wykonawców i moich. On najbardziej lubił heavy metal, a ja diwy popu: Madonnę, Adele, Amy Winehouse, Alicję Keys, Lady Gagę, Katy Perry, Avril Lavigne, Rihannę i przede wszystkim Taylor Swift. Dosyć wybuchowa mieszanka.

Zaprzyjaźniliśmy się. Bardzo. Stworzyliśmy taki rodzaj przyjaźni, jaki zazwyczaj nawiązują rozbitkowie z katastrofy: mocna, wyjątkowa i niemal

natychmiastowa więź. Tyle że w tym przypadku początkiem było coś dobrego, wspólny cel. I tutaj zaczęłam się mylić. Wspólny cel? Nie, to nie był wspólny, to był jego cel. Ale tak się zaangażowałam, że wydawało się, iż to ja nakreśliłam cały plan. Powiedziałam nawet swojemu ojcu i Jeffreyowi, żeby tam nie chodzili, mieli zobaczyć młyn dopiero wtedy, kiedy będzie skończony, żebym mogła ich zaskoczyć. I pewnie, że ich zaskoczyłam, negatywnie, ale zaskoczyłam.

Śmialiśmy się. Wytykaliśmy sobie nasze manie, a było ich sporo. Tańczyliśmy – on do moich nudnych piosenek, a ja do jego chuligańskich. Piliśmy piwo, jedliśmy z puszek Campbell's czarną fasolę z pikantnym chili (jego ulubiona). Podtrzymywaliśmy jedno drugie, żeby nie spać (w znaczeniu dosłownym i przenośnym). Nie ocenialiśmy się. Nie musieliśmy znosić siebie nawzajem, bo spędzaliśmy razem mało czasu. Nie było konfliktów. Nie chcieliśmy się sobie podobać, ponieważ on był szczęśliwy z tobą, a ja z Jeffreyem. To nie była praca, to było raczej jak przerwa w szkole. Robiliśmy to, kiedy nie mieliśmy nic do roboty. To było niewinne. Niewinne? Dotknięcie dłoni w zwolnionym tempie, kiedy coś mu podawałam. Spojrzenie w blasku słońca, wydobywające blask z moich oczu i dołeczki w policzkach. Jakiś nieznany mi uśmiech. Dotyk, który istniał tylko w naszych pragnieniach. Łaskotanie, o którym zapomniałam. Upojenie bez alkoholu. Bezsenna noc spędzona na patrzeniu w gwiazdy, oświetlana co dziesięć sekund przez wiązkę światła latarni.

To było jak obóz latem, wiosną, jesienią i zimą. Jak obóz, na którym chciałoby się być zawsze.

– Zimno, co? – zapytałam, chociaż wcale nie było mi zimno. – Ogrzewanie jest włączone?

– Nie musisz zostawać, Bresnam.

– Jestem dowódcą batalionu, LeCaptainie.

Zasypianie w objęciach bez dotykania. Przebudzenie, o jakim nie odważyłabym się marzyć.

Ale to nie wydarzyło się z dnia na dzień, tylko z miesiąca na miesiąc, dlatego wydawało się czymś tak naturalnym, stosownym. Ponieważ nie było nic więcej. Nie było nic wyraźnie seksualnego, nic, za co można by było nas potępić, czego nie można by było wytłumaczyć przed trybunałem do spraw miłosnych.

A w czasie między poszczególnymi spotkaniami on żył swoim życiem, a ja swoim, i nadal przychodziły jego listy, coraz częściej, zawsze pod pretekstem, bym zrobiła to czy tamto w związku z młynem, ale z dodatkiem tych typowych złośliwości, czynionych niby mimochodem, żeby przemyścić uczucia.

No dalej, pośpiesz się, Bresnam. Chciałbym skończyć młyn do czasu przejścia na emeryturę.

Wiesz, co najbardziej lubię, pisząc do Ciebie, Bresnam? Że Ty nie możesz mi odpowiedzieć.

Chciałbym tam być, Bresnam, ale nie żeby Cię zobaczyć... Tylko dlatego, że zaczyna się robić ładnie...

Nie zjedz mojej czarnej fasoli z pikantnym chili Campbell's, Bresnam. Widzę Cię! Zaczekaj na mnie i zjemy ją razem...

Wiesz? Zawsze byłem wielkim indywidualistą, nie lubię pracować w grupie. Ale z Tobą jest inaczej, Bresnam. Tworzymy dobry tandem. Lubię mieć Cię obok siebie.

Trochę za Tobą tęsknię, Bresnam. Tylko trochę.

Jak chciałbym, żeby przyszła już jesień, Bresnam. Zachowaj jakiś ładny zachód słońca, żebyśmy mogli oglądać go razem.

Posłuchaj, Bresnam, ważna sprawa: przypominam Ci, że klauzula poufności, którą podpisałaś, obejmuje też zakaz mówienia, że płakałem jak mała dziewczynka, kiedy czytaliśmy razem zakończenie drugiej części *Igrzysk śmierci*.

Jak dobrze, że Cię poznałem, Bresnam. W przeciwnym razie nic z tego, co robimy, nie byłoby możliwe.

Wiesz co, Bresnam? Przestałem jeść czarną fasolę z pikantnym chili Campbell's, ale nie dlatego, że mi nie smakuje. Przeciwnie, wiesz, że to moja ulubiona. Ale teraz kojarzy mi się tylko z młynem. No dobrze, i z Tobą. Chcę ją jeść tylko tam razem z Tobą.

Tęsknisz za mną trochę, Bresnam? Zobacz, teraz żałuję, że nie możesz mi odpowiedzieć.

Młyn nie jest już młynem. Młyn jest młynem i Tobą. (Coraz bardziej podoba mi się mój młyn).

Tęsknię za Tobą, Bresnam. Za wszystkim. Tęsknię nawet za Taylor Swift!

I minął rok, odkąd się poznaliśmy. Bardzo się ucieszyłam, gdy tego dnia otrzymałam od niego list. Pamiętałam o tym, bo to były urodziny Pandy. Ale nie sądziłam, że on też będzie pamiętał.

Rok, Bresnam, dzisiaj mija rok, odkąd się poznaliśmy!

Czasem się zastanawiam, czy chcę dokończyć ten remont. Z każdym dniem daje mi coraz więcej radości. Na początku bardzo się zadręczałem, bo myślałem, że Alice mnie przyłapie. Za każdym razem, kiedy wyjeżdżałem albo wracałem, udawanie dużo mnie kosztowało. Dlatego wybieram najdłuższą trasę zarówno w tamtą stronę, jak i z powrotem. W tamtą stronę dlatego, że potrzebuję czasu, aby przestać czuć się źle, a z powrotem dlatego, że muszę się pozbyć zapachów wyspy. Czy raczej Twoich, Bresnam? Ale teraz, kiedy wszystko jest już na właściwych torach i mój udoskonalony przez Ciebie plan wszedł w życie, nie mogę się doczekać, kiedy znowu będę mógł tam się wymknąć. Ale i tak pojedę tą samą, najdłuższą trasą. Łatwo się przyzwyczajam, znasz mnie.

Do zobaczenia, Bresnam. Nie mówię Ci już, że za Tobą tęsknię, bo doskonale o tym wiesz.

Całuję,

Ch.

PS Przekaż ode mnie życzenia Pandzie. Bo przypominam Ci, że jest moja, no dobrze, trochę też Twoja...

Zawsze odważniejszy był w listach niż na miejscu. Jakby na ten już wcale nie niewinny flirt pozwalał sobie tylko z dystansu. Kiedy byliśmy razem, nigdy nie mówił mi rzeczy, o których pisał. Czasem odnosiłam wrażenie, że może sama to sobie wymyśliłam. Że te wszystkie tęsknię za tobą, mam ochotę cię zobaczyć, a zwłaszcza całuję, nie były niczym więcej jak tylko czułymi dopiskami bez żadnego romantycznego znaczenia. Przypuszczam, że po części byłam za to wdzięczna, bo nie musiałam mieć wyrzutów, że robimy coś złego. Ale jeśli się w to zagłębić, pojawiała się ochota na więcej. Ochota na niego.

Tak bardzo uwierzyłam w nasze kłamstwo, że wydawało mi się, że robię to dla siebie, dla nas. Czy jemu też tak się wydawało? Imię twoje i Jeffreya już prawie się nie pojawiało w naszych rozmowach. Razem podejmowaliśmy decyzje w sprawie płytek do kuchni i łazienki. Kolorów w pokojach. Rodzaju drewna na podłogi i schody. Decyzje, które na początku Chris podejmował bez mrugnięcia okiem, teraz uzgadniał ze mną. Chciał, żeby wszystko podobało mi się tak samo, jak jemu.

Jedynym miejscem w młynie, które pozostało poza wszelką ingerencją, było poddasze. Ono było przeznaczone wyłącznie dla ciebie, Alice. Nie dotykaliśmy go. Było nieskazitelnie czyste i jasne, żebyś mogła zrobić z nim to, co tylko będziesz chciała. Żebyś mogła urządzić je po swojemu.

Nawet w tym miejscu mogłabym skończyć opowieść, Alice, pomijając niektóre akapity niektórych listów. Ale został nam jeszcze ponad rok tej historii.



Pierwszy i jedyny „kryzys w związku” nastąpił wtedy, gdy się dowiedział, że jesteś w ciąży. Zniknął. Nie przyjeżdżał do młyna, a ja bardzo się martwiłam. Myślałam, że coś mu się stało, bo przez wiele tygodni nie przysyłał też listów. Mimo że miałam absolutny zakaz dzwonienia do niego, nie mogłam się powstrzymać i wykonałam połączenie z zastrzeżonego numeru na jego telefon służbowy. Kiedy odebrał, poczułam zarówno ulgę, jak i złość. Rozłączyłam się, nie mówiąc ani słowa. Czyżby zapomniał o młynie? Stracił zainteresowanie? Zapomniał o mnie?

Bresnam!

Przepraszam za moją nieobecność. Miałem bardzo dużo pracy, wyskoczyło mi coś niespodziewanego i musiałem zrezygnować z wyjazdu na wyspę.

Przepraszam, że Cię nie uprzedziłem.

A poza tym po raz drugi zostanę ojcem!! Tadam! Alice jest w piątym tygodniu ciąży. Naprawdę jesteśmy bardzo szczęśliwi.

Oczywiście na razie nie znamy płci dziecka, tak więc nie malujemy ścian w pokoju 3, dopóki się nie dowiemy. OK?

Organizuję się i zobaczę, kiedy będę mógł przyjechać. Dam Ci znać, dobrze?
Pozdrowienia,

Ch.

„Pozdrowienia”? Po przeczytaniu tego listu płakałam przez pół godziny. Zostałam spoliczkowana przez rzeczywistość i minęło trochę czasu, zanim zareagowałam. Poczułam się zdradzona, oszukana i głupia, ale nie była to wina Chrisa – to ja zdradziłam i oszukałam samą siebie. W co ja grałam? Zbierałam jego listy jak jakaś idiotka, odpowiadając mu na wszystkie. Nie wysyłałam ich jednak, lecz trzymałam w tym samym pudełku, poukładane według dat. Bo kto wie, może kiedyś będzie to piękna historia miłosna, którą można opowiadać wnukom.

Dwie następne wizyty Chrisa na wyspie były okropne, nie miały końca. Fatalnie je znosiłam, udawałam, uśmiechając się, i sprawiałam wrażenie, jakby nic się nie stało. Mogłam nie przyjść, zajmować się swoimi sprawami, ale nie, chciałam mu pokazać, że bardzo się cieszę z dobrej nowiny i że nic się nie zmieniło. A on, mimo że też starał się udawać, był dziwny. Zaszliśmy zbyt daleko, idąc donikąd. On to sobie uzmysłowił, ja to sobie uzmysłowiłam i umieraliśmy ze wstydu. Przynajmniej ja.

Zastanawiałam się, dlaczego zrobiłam coś takiego Jeffreyowi? Ale było coś, co irytowało mnie jeszcze bardziej: dlaczego Jeffrey nic z tym nie zrobił? Gdyby było na odwrót, powiedziałabym mu, co o tym wszystkim myślę, i prawdopodobnie bym go rzuciła. Zaniedbałam nasz związek, byłam mniej czuła, nieprzystępna i nieobecna. Zachowywałam się tak od miesięcy. To oczywiste, że coś się ze mną działo. Czy byłam zakochana w Jeffreyu? Albo jeszcze gorzej: czy zakochałam się w żonatym mężczyźnie z dzieckiem i z drugim w drodze?

Nawet w tym miejscu mogłabym skończyć opowieść, Alice, pomijając niektóre szczegóły. Ale zostało nam jeszcze sześć miesięcy tej historii.



Podczas następnej wizyty Chrisa zobaczyłam to wyraźnie. Postanowiłam się odsunąć, zbliżać się tylko po to, aby się upewnić, że wszystko w młynie idzie zgodnie z planem. Fatalnie to znosiłam. Miałam drgawki. Cała drżałam. Nawet zajmując się końmi, nie mogłam oprzeć się sile, która popychała mnie w jego stronę. Cierpiałam. Byłam zakochana. Uznałam, że nie mogę tego dalej ciągnąć.

Przynajmniej z Jeffreyem, nie zasłużył na to.

- Nie wiem, czy jestem zakochana.
- Ja też nie wiem, czy jesteś.
- Muszę się o tym przekonać.
- Skoro musisz się o tym przekonać, to znaczy, że nie jesteś.
- Dlaczego nic nie zrobiłeś?
- Coś by to zmieniło?

Płakaliśmy razem i zerwaliśmy.

Tego wieczoru wróciłam do domu tylko po to, żeby wziąć pudełko z listami Chrisa i swoimi. Wyszłam tylnymi drzwiami, by nie zobaczył mnie ojciec. Przy nim mogłam się załamać i prawdopodobnie wszystko bym mu wyznała. Poszłam do młyna, bo chciałam być sama. Chciałam spalić listy, jeść czarną fasolkę z pikantnym chili i pić piwo. Musiałam przejść przez podwójną żalobę.

I wtedy stało się to, o czym Chris i ja wiedzieliśmy, że wcześniej czy później się wydarzy: Chris, czekając na ostatni prom do Hyannis, spotkał Johna i w rezultacie nie opuścił wyspy tego wieczoru.

Kiedy wszedł do młyna, leżałam na materacu przykryta pierzyną i jadłam zimną fasolkę bezpośrednio z puszki. Wcześniej wypiałam już dwa piwa. Pierwsze słowa, które wypowiedział, brzmiały:

- Wiedziałem, że jesz fasolkę za moimi plecami.

Pomyślałam, że przyjechał po mnie, że dowiedział się, że zerwałam z Jeffreyem, i nie widział już żadnych przeszkód, aby nasz związek stał się realny. Ale tak nie było.

– Pamiętasz, gdy ci mówiłem, że jeśli spotkam Johna, to mam pewien plan?
– Przytaknęłam. – Oszukałem cię. Nie miałem planu. Spotkałem go w porcie, kiedy miał już zjeżdżać z promu, i wymknąłem się jak szczur. Spóźniłem się na prom.

- Przynajmniej cię nie zobaczył?

Chris przytaknął.

- Nie zapytasz, co tutaj robię? – zapytałam.

– To jest twój dom.

– Nie, to nie jest mój dom, to jest twój dom i twojej żony, i twojej córki, i twojej przyszłej córki.

Chciałam, żeby te słowa zabrzmiały bez urazy, ale nie sędzę, by mi się to udało. W każdym razie chyba nawet się nie zorientował, bo całą uwagę skierował na plik listów, jego i moich, które leżały na materacu. Jeszcze nie zdecydowałam, czy je spalę.

- Co to jest? – zapytał i chciał je wziąć.

Przeszkodziłam mu.

- Nawet nie waż się ich tknąć – zagroziłam, chwytając je zdecydowanie.

– Pisałaś do mnie?

Nie odezwałam się.

– Odpowiadałaś na moje listy?

– Na niektóre – przyznałam. Chociaż odpisałam na wszystkie. – To tylko błażostki.

– Bardzo chciałbym je przeczytać.

– Kiedy je spalę, wszystkie będą twoje.

– Barb...

– Nie jestem już Bresnamem?

– Barb, pozwól mi je przeczytać – powiedział niezwykle łagodnie. – Bardzo chciałbym je przeczytać.

– Dlaczego?

– Bo je do mnie napisałaś.

– Nie napisałam ich do ciebie. Napisałam je dla siebie. – Byłam wściekła jak mała dziewczynka. – Nie powinno cię tutaj być.

– Ani ciebie.

– Nie powinno cię być w moim życiu.

Nie odpowiedział.

– Zerwałam z Jeffreyem.

– I chcesz, żebyśmy o tym porozmawiali przed przeczytaniem listów czy potem? – zapytał łagodnym, a zarazem stanowczym tonem.

Przejrzałam w myślach wszystkie listy, jakbym potrafiła w ciągu kilku sekund przeskanować ich zawartość i wykryć jakąś obelgę czy zbyt otwarte wyznanie miłości. Nie byłam w stanie tego zrobić, zwłaszcza wtedy, ale wiedziałam, że jest tam wszystkiego po trochu.

– Potem nie będzie potrzeby, żeby o tym rozmawiać. I nie czytaj ich na głos, proszę.

Podaliśmy mu je. Nie miałam już siły. Chciałam, żeby mnie objął. Pozwolenie na przeczytanie listów było najlepszym sposobem – i być może jedynym – żeby do tego doszło.

Pewnie, że możesz nazywać mnie Bresnam. Właściwie podoba mi się to. Być Twoim Bresnamem. A czy ja mogę zwracać się do Ciebie LeCaptain?

To Ty się pośpiesz, LeCaptainie. Przypominam Ci, że – w przeciwieństwie do was – my, kobiety, jednocześnie możemy robić więcej rzeczy niż jedną.

Ty może i lubisz do mnie pisać, bo nie mogę Ci odpowiedzieć. Ale ja lubię do Ciebie pisać, bo wiem, że tego nie przeczytasz. Mam znacznie większą swobodę, żeby Cię obrażać, zdecydowanie.

Ja też chciałabym, żebyś tutaj był, LeCaptainie, ale nie po to, żeby się z Tobą zobaczyć, nie! Tylko dlatego, że... Tak, chcę się z Tobą zobaczyć.

Jem Twoją czarną fasolę z pikantnym chili Campbell's, jeśli mam na to ochotę. Zostawiasz mnie tutaj na całe tygodnie, więc pozwól mi chociaż na to.

I jem ją także trochę dlatego, ale tylko trochę, bo przypomina mi Ciebie. Upsss, wiem, przekraczam granicę...

To ciekawe: chociaż wiem, że tego nie przeczytasz, nie mam odwagi napisać Ci wielu rzeczy.

Ale co się ze mną dzieje przy Tobie?! Omamiałeś mnie! Co za ohyda! Głupek, imbecyl, łajdak!

Nie odpowiem Ci już na żaden list. Jestem na Ciebie zła, bo mam ochotę być na Ciebie zła...

Tak naprawdę jestem zła na samą siebie, ponieważ bardzo mi się podobasz. Dużo o Tobie myślę. Przy okazji: pamiętasz tę mokrą od potu koszulkę Virginia Cavaliers, którą zdjąłeś i nigdy nie znalazłeś? Zgadnij, kto ją ma.

Zachowuję dla Ciebie wszystkie zachody słońca. Zachowuję je wszystkie w swoich oczach.

Klauzula poufności?! Ja niczego nie podpisywałam! Ha, ha! Ale spokojnie, nikomu o tym nie powiem, bo nie potrafiłabym opisać tego, co czułam, kiedy przykryci jednym kocem czytaliśmy razem zakończenie *W pierścieniu ognia*. Ja, owszem, byłam cała w ogniu...

Dlaczego nie powiesz mi tych wszystkich miłych rzeczy, o których do mnie piszesz?! Ale ja robię to samo. Co za para tchórzy...

Wiesz co, LeCaptainie? Ja też przestałam jeść czarną fasolkę z pikantnym chili Campbell's, bo kiedy ją jem, tak bardzo mi Ciebie przypomina, że ogarnia mnie wielki smutek. Przyjedź szybko. Już nawet nie mam ochoty, żeby Cię obrażać.

Czasem żałuję, że nie możesz tego przeczytać.

Bardzo mi się podobasz, LeCaptainie. Chyba się w Tobie zakochuję.

Nie pisz mi: całuję. Pocałuj mnie.

Och, LeCaptainie, mój LeCaptainie...

Dużo myślę o Twoim pierwszym pocałunku na piśmie. Wciąż pamiętam smak listu. Chcę, żebyś mnie pocałował. Chcę Cię całować.

Cześć, LeCaptainie,

ale się ucieszyłam z Twojego listu! I z tego, że pamiętałeś, że minął rok od naszego spotkania, i że w ogóle wysłałeś list wcześniej, żebym dostała go właśnie dzisiaj. Muszę przyznać, że się denerwowałam, pragnęłam, żebyś nie zapomniał, bo ja myślałam o tym od razu po przebudzeniu. Po przeczytaniu Twojego listu upiekłam Pandzie szarlotkę z marchewką zamiast świeczki i zaśpiewałam jej od Ciebie *Sto lat*.

Mnie przytrafia się to samo, co Tobie, i chociaż nie muszę jeździć tam i z powrotem, bo tutaj mieszkam, to muszę się przewietrzyć, zanim wrócę do prawdziwego życia. Zazwyczaj wybieram się na dwugodzinną przejażdżkę na Nessay, aż ani ona, ani ja nie damy już rady i aż rozrzucę po całej wyspie moje

uczucia do Ciebie. Nie mogę ani nie chcę przynosić ich do domu. Chyba nigdy w życiu nie byłam pretensjonalna. To Twoja wina!

Zastanawiałeś się nad tym, że może wszystko to, co się z nami dzieje, wynika z tego, że nigdy się nie pocałowaliśmy? Może powinniśmy to zrobić, żeby raz na zawsze wyrzucić to z głowy? To są katusze, nie sądzisz? Czy dla Ciebie to są katusze?

Bresnam

PS Ja też nie chcę, żeby skończył się remont. Pod Twoją nieobecność celowo zniszczyłam kilka rzeczy. Przyznaję się. Prawdopodobnie nadal będę to robić. Oskarż mnie.

Czuję się okropnie z powodu Jeffrey'a. W normalnych okolicznościach już bym go zostawiła. To niesprawiedliwe wobec niego. Ale tak naprawdę niczego nie zrobiliśmy. To wszystko jest tylko fantazją! Chociaż już samo fantazjowanie nie jest dobrym sygnałem.

W złą godzinę pojawiłeś się w moim życiu, LeCaptainie. Odejdź, zniknij...

Nie, nie odchodź nigdy. Zostań u mojego boku. Ja już jestem u Twojego.

Tak naprawdę nie wiem, kiedy skończył czytać, ponieważ początkowy śmiech ustępował miejsca wymownej ciszy, w miarę jak zbliżał się do bardziej intymnych wyznań. A ja już od dłuższej chwili na niego nie patrzyłam. Zaczynało się robić późno i wypiliśmy zbyt dużo piwa. Leżałam na materacu, skulona w pozycji embrionalnej, plecami do niego.

Najpierw usłyszałam, że porządkuje listy i ostrożnie je odkłada. Potem się rozebrał. Zdjął buty, dzinsy i golf, który tak bardzo mi się podobał. Wśliznął się pod pierzynę. Poczułam jego ciepło i zimne stopy. Poczułam, jak wacha moje włosy. Byłam półprzytomna i nie miałam odwagi, by się poruszyć, niczym myśliwy, który śledzi zwierzynę i nie chce jej spłoszyć. Objął mnie. Czy nie tego właśnie chciałam? Tak, właśnie tego chciałam. Nie chciałam niczego więcej. „Nie rób nic więcej”, pomyślałam. I nie zrobił. Jego spokojny oddech mnie zaraził i wyzwolił spod wszelkich napięć, i zasnęłam głębokim snem w jego ramionach.

Kiedy się obudziłam, już go nie było. Zostawił mi list.

Cześć, Bresnam,

bardzo mi się podobasz. Nikt, z wyjątkiem Alice, nie podobał mi się tak bardzo jak Ty. Nigdy. Co więcej, podejrzewam nawet, że na pomysł tego wszystkiego, co robię, wpadłem nie podczas słuchania historii o Napoleonie LeCaptainie i nie podczas oglądania młyna o zachodzie słońca. Myślę, że wpadłem na ten pomysł podczas spotkania z Tobą.

Nie mogłem spać przez całą noc, myślałem o tym, co do mnie napisałaś. I kiedy tak o tym myślałem, mając Cię w ramionach, chciałem napisać Ci jeszcze więcej miłych rzeczy, ale musimy się zatrzymać. Przynajmniej ja.

Między nami do niczego nie dojdzie. Do niczego więcej, ponieważ to oczywiste, że wydarzyło się już wiele rzeczy. Przysięgam Ci, że bardzo bym chciał, codziennie marzę, by to zrobić. Chciałbym wiedzieć, jakie są Twoje pocałunki, i chciałbym wachać Twoje włosy bez udawania, że tego nie robię, ale stałbym się takiego rodzaju mężczyzną, jakiego zawsze nienawidziłem. Nie mogę tego zrobić swojej żonie, bo ją kocham, naprawdę ją kocham, i kocham wszystko to, co razem stworzyliśmy. I nie mogę tego też zrobić Tobie, ale przede wszystkim nie mogę tego zrobić sobie.

Wiedziałem, że po drodze napotkam przeszkody, ale ta mnie zaskoczyła. Teraz to wszystko też muszę zamienić w kłamstwo. Kłamstwo o kłamstwie. Muszę przekonać samego siebie, że nic do Ciebie nie czuję. I to kłamstwo będzie mnie kosztować o wiele więcej niż to drugie kłamstwo, to, na które przygotowuję się od dwunastego roku życia. I nie wiem, czy któreś z tych kłamstw będzie miało szczęśliwe zakończenie.

I co teraz, Bresnam? Co zrobimy? Nie wiem, jak dalej postępować, to jest dla mnie dziwne... Potrzebuję pomocy mojej szefowej batalionu. Pomożesz mi, żeby przynajmniej jedno z kłamstw dobrze się skończyło?

LeCaptain

Myślałam, że wyjechał. Nawet bym wołała. Ale nie, siedział na zewnątrz, obserwując, jak słońce pojawia się nieśmiało nad spokojnym morzem. W rękach trzymał listy, swoje i moje. Usiadłam obok niego. Popatrzył na mnie przez chwilę i się uśmiechnął. Po raz pierwszy zauważyłam u niego nieśmiałość i niepewność. Też się do niego uśmiechnęłam, chociaż wtedy już na mnie nie patrzył. Czułam się dobrze, właściwie bardzo dobrze. Uspokoiliam się, wiedząc, że uczucia były obustronne, że nie wymyśliłam sobie tego wszystkiego, co się stało, chociaż nic się nie stało. To mi wystarczało, nie potrzebowałam niczego więcej. Przeżyliśmy krótką historię niemożliwej miłości. Trzeba ją było zakończyć. Chwyciłam berło dowódcy, które mi przekazał. Doszłam do wniosku, że przez cały ten czas nazywaliśmy się LeCaptain i Bresnam, ponieważ to oddalało nas od siebie, od Chrisa i Barbary, i od innych, od Jeffreya i od ciebie, oddalało nas od naszego prawdziwego życia, zamieniało nas w aktorów, w ten sposób mogliśmy odgrywać nasze role, czuć i przeżywać różne rzeczy w inny sposób, w sposób, na który sobie pozwalaliśmy.

– Spalimy listy – powiedziałam. – Razem. A potem zakończymy to, co zaczęliśmy. Musimy przestać, żeby móc dotrzeć do końca. Musimy na powrót zwracać się do siebie Chris i Barb. Musimy dokończyć młyn.

Razem spaliliśmy listy. Był to moment *katharsis*, oczyszczenia, wymazania, zrzucenia balastu, byśmy znowu mogli żyć w zgodzie ze sobą i z życiem. Kiedy skończyliśmy, powiedział ze szklanymi z powodu ognia i dymu (przynajmniej na

to wyglądało) oczami:

– Bardzo bym chciał, żebyś zwracała się do mnie LeCaptain... I wiedziałem, że wzięłaś sobie moją koszulkę.

Nawet w tym miejscu mogłabym skończyć opowieść, Alice, pomijając sporo szczegółów. Ale zostało nam jeszcze trochę tej historii.



Przez resztę zimy i początek wiosny bardzo ciężko pracowaliśmy. Mieliśmy mniej czasu na rozważania i odpoczynek, ale zniknął niewygodny ciężar z tych poprzednich jego pobytów. Zerwanie z Jeffreyem częściowo uwolniło mnie od strapienia, które czułam, będąc u boku Chrisa. Pomyślałam nawet, że może moja obsesja i zakochanie były tylko pretekstem do zakończenia tamtego związku. W każdym razie uzmysłowiłam sobie, że zdarzyło się najlepsze, co mogło się zdarzyć. Cieszyłam się, że nic z tego nie wyszło, że się zatrzymaliśmy. Tego właśnie oczekiwałam od Chrisa. Ponieważ Chris był wartościowym mężczyzną. Nie chciałam czuć, że zakochałam się w kimś, kto jest w stanie zdradzić swoją ciężarną żonę. Nie wiem, czy to zakończenie było najpiękniejsze, ale przynajmniej było najlepsze. Dla wszystkich.

Znowu dobrze się bawiliśmy, czerpaliśmy radość z tej przygody. Jak przyjaciele. Cudownie było czuć, że potrafilismy sobie wszystko wyjaśnić. Czasem nawet żartowaliśmy na temat tego, co nam się przytrafiło, jakby stało się to wiele lat temu, kiedy byliśmy dziećmi albo nastolatkami.

Problem polegał tylko na tym, że bez względu na to, jak bardzo bym wierzyła w kłamstwo, że wszystko jest w porządku, nadal byłam przywiązana do Chrisa. Ale poziom moich dywagacji zmalał niemal do minimum. Prawie nie zastanawiałam się nad tymi sprawami ani się nimi nie przejmowałam, ponieważ czułam się dobrze, a poza tym wiosna przyniosła na wyspę pozytywną energię. Odzyskałam zapał. Remont był już w bardzo zaawansowanej fazie, zbliżał się ku końcowi. Kończył się jeden z najbardziej intensywnych etapów w moim życiu. Ta krótka miłość na letnim obozie. Letnim obozie, który trwał ponad dwa lata, a to, co się na nim wydarzyło, już zawsze będzie zajmowało wyjątkowe miejsce w moim sercu. Było mi żal, oczywiście, ale nic ponadto. Nie czułam urazy ani smutku. Ukończenie pracy w młynie oznaczało, że wszystko wróci na swoje miejsce, i zarówno Chris, jak i ja będziemy mogli dalej żyć swoim życiem.

Dlatego tak bardzo zaskoczył mnie kolejny list od Chrisa. Jego ostatni list. Zostawił mi go na kłamce drzwi wejściowych do młyna. Nie miał stempla pocztowego, napisał go na miejscu. To był nasz ostatni dzień. Wreszcie skończyliśmy remont, zostało tylko poddasze, najlepsze pomieszczenie w młynie, z ogromnym oknem dookoła i panoramicznym widokiem na cieśninę Nantucket. Twoja pracownia malarska. Chris nic w niej nie robił. Była kompletnie pusta, żebyś

urządziła ją sobie tak, jak zechcesz.

Umówiliśmy się, że zrobimy generalne porządki i wzniesiemy toast z okazji ukończenia dzieła. Dlatego miałam ze sobą butelkę szampana i pojemnik z kostkami lodu, chciałam uczcić to razem z nim. Ale jego nie było. Ani jego, ani plecaka z Donatellem.

Droga Bresnam,

piszę do Ciebie zdrętwiały i osłabiony. Kręci mi się w głowie, mam problemy ze wzrokiem i nigdy wcześniej tak bardzo nie bolała mnie głowa. Nie śpię od dwóch nocy. Nie mogę się skoncentrować i jestem przestraszony, co w moim życiu zdarza się bardzo rzadko.

Nie uwierzyłem w kłamstwo o kłamstwie. Myślę, że udało mi się sprawić, że Ty w nie uwierzyłaś, a nawet uwierzyłaby w nie Alice. W oba kłamstwa. Ale nie udało mi się oszukać samego siebie. Zostałem z Tobą, osiadając w fantazji, która robiła się coraz większa i większa. I czuję, że zaraz eksploduje w mojej głowie. Dlatego odchodzę.

Przestanę przyjeżdżać, moja droga Bresnam. Wydawało nam się, że razem potrafimy to przezwyciężyć, jak dwie dorosłe i rozsądne osoby, które umieją wszystko sobie wyjaśnić i żyć w harmonii. Ale prawda jest taka, że nadal każdego dnia pragnąłem całować Twoje dołeczki w policzkach i otwarcie wachać Twoje włosy. I nie tylko to. Tak więc nie ma sensu tego ciągnąć.

Nie cierpię przegrywać, a teraz czuję, że to robię. Ze wszystkimi naraz. A ktoś z tego musi wyjść zwycięsko, prawda? Co się stało, Bresnam? Co mi się stało? Co nam się stało? To powinno być największe moje marzenie, na którego spełnienie oszczędzałem od dwunastego roku życia, prawda? Musi nim być. Między innymi dlatego, że pieniędzy wystarczyło nam akurat na wykończenie młyna. Mówię w liczbie mnogiej, ponieważ Ty radziłaś sobie z tym nawet lepiej ode mnie. Plecak z Donatellem jest pusty. To nie może być zwykły zbieg okoliczności, że gdy poszedłem do Dan's True Value kupić kłódkę, żeby założyć ją na drzwi do pracowni Alice, aby ona i tylko ona miała klucz do swojego świata, Dan wziął ode mnie piętnaście dolarów, dokładnie tyle, ile zostało w plecaku. Tyle i trochę drobniaków. To musi coś oznaczać, prawda? To jest coś dobrego. To nie może się skończyć źle. To nie może tak się skończyć. Ale nie mogę przestać się zastanawiać, czy ta pasja, której mi brakowało, której potrzebowałem, którą odnalazłem w młynie razem z Tobą, miała związek z mankamentami w moim związku, z brakiem radości. Czy mój wielki dowód miłości miał związek z brakiem tejże miłości? Myślałem, że podcinam skrzydła Alice, chciałem dać jej nowe, żeby latała, a teraz się zastanawiam, czy to przypadkiem nie ja miałem podcięte skrzydła, czy w rzeczywistości to wszystko nie było dla mnie, abym to ja latał. Bo to ja boję się latania. Nie ona. Nie chcę w to uwierzyć. Ponieważ to było marzenie dla nas, dla rodziny, ale przede wszystkim dla Alice. Jednak im mocniej przekonuję

samego siebie, że jest inaczej, tym bardziej w to wątpię. Chcę to wymazać z mojej głowy, ale nie mogę, chociaż muszę się tego pozbyć.

Uważałem, że to nie przetrwa, że podekscytowanie nowością szybko mnie opuści. Ale minęły ponad dwa lata, nowość już dawno przestała być nowością, a ja wciąż trzymam się tego równie mocno albo nawet mocniej. Potrzebuję czasu. Wracam do rzeczywistości, porzucam to kłamstwo. Pragnę być z Tobą, ale kocham moją żonę. Ona jest moją rzeczywistością, ona i moje córki. To nie jest akt poświęcenia i ofiarności, to jest akt egoizmu. Robię to, co uważam, że jest dla mnie najlepsze. Chcę być dobrym mężem, dobrym ojcem, dobrym człowiekiem. Dla siebie. A żeby tak się stało, muszę wrócić do domu, czego w ostatnich miesiącach tak naprawdę nie robiłem. Muszę wrócić do żony i czekać na przyście na świat cudownej dziewczynki.

Ale przysięgam ci, że przyjadę z rozwiązanymi problemami i rozwianymi wątpliwościami. Czysty. Mogą minąć tygodnie, miesiące, może lata, ale przyjadę. Tylko jeszcze nie wiem, z kim albo po kogo. Nie proszę Cię, żebyś na mnie czekała. Nie rób tego, Bresnam. Chociaż znajduje się to na mojej liście fantazji. Przetrwało spalenie listów, bo siedziało w mojej głowie, a teraz pali mnie w środku. Chcę, żeby przestała mnie boleć głowa.

I wiem, że umówiliśmy się, że przestaniemy zwracać się do siebie Bresnam i LeCaptain. Ale Ty zawsze będziesz moim Bresnamem. A ja Twoim LeCaptainem. Twoim na zawsze.

KCB, Bresnam.

I Ciebie też, Barb.

PS Udało Ci się osiągnąć to, co nigdy wcześniej nie udało się nikomu: obserwuję na Instagramie Taylor Swift. (Chciałem zakończyć tak, aby spróbować wywołać u Ciebie uśmiech).

Wywołał. Nieoczekiwanie go u mnie wywołał. I wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że uwierzyłam w kłamstwo o kłamstwie. Nie mam na myśli jego kłamstwa o kłamstwie. Mam na myśli swoje kłamstwo o kłamstwie. Nadal byłam w nim zakochana. I czekałam, aż wróci. Bez względu na czas.

Nawet w tym miejscu mogłabym skończyć opowieść, Alice, pomijając jeszcze wiele szczegółów. I wtedy byłby już koniec tej historii. Jak już wiesz, Chris zmarł kilka godzin później.

Dzień 31. Rok I p.Ch. – dzień 28. Rok II p.Ch.

– Barbaro, twoje plombowanie będzie musiało poczekać, ale nam się przydasz. Pomożesz sprowadzić na świat dzikie źrebiątko?

Na początku cię nie rozpoznałam, ścięłaś włosy. Nie zorientowałam się, dopóki nie zobaczyłam Olivii, jej piegawatych, zaróżowionych policzków, kiedy weszła, trzymając za rękę szefową Margaret. Widziałam dziesiątki waszych zdjęć. Chris mi je pokazywał. A teraz ty byłaś na wyspie, rodząc waszą drugą córkę w gabinecie dentystycznym. Z wrażenia zakręciło mi się w głowie. Na początku wszystko było dobrze, bo pomyślałam, że spośród wszystkich obecnych mam największe doświadczenie w sprowadzaniu na świat maleństw i że jestem potrzebna. Ty mnie potrzebowałaś. Chris mnie potrzebował. Wytrzymałam do czasu, aż pojawiła się główka. I kiedy pomyślałam: „Nie wychodzi pośladkami ani nie ma pępowiny zawiniętej wokół szyi. Wszystko w porządku”, opadłam z sił. „Czego się spodziewałaś? Że z mojego brzucha wyjdzie źrebiątko?”, usłyszałam twój głos już z daleka, niczym echo.

Minął ponad miesiąc od czasu, gdy Chris opuścił wyspę. Ciszę z jego strony traktowałam jako niezbędny proces powrotu do rzeczywistości. Wiedziałam, że nie będę otrzymywać listów ani nie będzie mnie odwiedzał, i czułam się z tym dobrze, nie niepokoiłam się. Weszłam w stan samoprogramującej się hibernacji jak załoga statku kosmicznego przekraczająca cichą ciemność, która oddziela Ziemię od odległej i nieznannej planety. Tamto spotkanie sprawiło, jakbym z powrotem znalazła się na Ziemi, bez dekompresji. Gdzie był Chris? Co robiłyście na wyspie bez Chrisa? Niczego nie rozumiałam. Myślałam, że może się pojawić w każdej chwili. Może pojechał do młyna zapakować swój prezent, żeby zrobić wam niespodziankę, a ty w tym czasie zaczęłaś rodzić? Ale nie, nie wróciłby bez uprzedzenia. A przede wszystkim nie tak szybko. To, co on chciał rozwiązać, nie mogło zostać rozwiązane przynajmniej do chwili, gdy stanie się to, co właśnie się stało, do narodzin waszej córki. Poza tym, kiedy zabierali cię do wodnego ambulansu, słyszałam, jak dzwoniłaś do swojej matki, żeby opowiedzieć jej, co się wydarzyło. Mówiłaś jej, że przewożą cię do szpitala Cape Cod i że wszystko jest w porządku, żeby się nie martwiła, gdyż dziewczynka czuje się dobrze. Ani jednego słowa o Chrisie.

Kiedy wróciłam do stadniny, zadzwoniłam z zastrzeżonego numeru na jego telefon służbowy. Po pięciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. To przestraszyło mnie jeszcze bardziej. Chris mi mówił, że nigdy nie aktywował poczty głosowej. Rozłączyłam się, nie zostawiając wiadomości. Co się działo?

Przepełnęłam promem, żeby sprawdzić, czy jego furgonetka jest zaparkowana na parkingu przy terminalu w Hyannis. Stała tam.

Zadzwoniłam do Marka i zapisałam się na wizytę. A przy okazji zadałam mu

kilka pytań na twój temat. Ale dzielna dziewczyna, co? Jak to się stało, że znalazła się na wyspie? A mąż? Żeby przegapić narodziny własnej córki! Nie było go z nimi? Ale Mark też nie znał żadnych pożądaných przeze mnie faktów. Powiedział, że wszystko stało się tak szybko i praktycznie nie było czasu na rozmowę.

Staralam się przekonać samą siebie, że wszystko jest dobrze, a mówiąc „dobrze”, miałam na myśli, że Chris żyje, że podczas porodu był w jednej ze swoich służbowych podróży, a rozmawiał z nim już wcześniej. Takie myślenie nie miało sensu, bo nie było żadnego powodu, żebyś przyplłynęła na wyspę bez niego. Żadnego. Jeszcze dwa razy zadzwoniłam na jego służbowy telefon, ale rezultat był zawsze taki sam: włączała się automatyczna sekretarka. Coś się działo. Coś bardzo złego.

Minęły kolejne dwa dni, zanim odważyłam się wpisać w Google’u: Chris Williams plus WTT plus Providence. Trzeci wynik odesłał mnie do strony „Providence Journal”, do sekcji nekrologów, gdzie znalazłam jego klepsydrę. Zdjęcie uśmiechniętego Chrisa, a pod nim następujący tekst:

WILLIAMS CHRIS M. 35, zmarł 13 maja 2015 roku. Kochany mąż Alice i ojciec Olivii Williams; syn Christophera Sr. i Betty Williamsów; brat Tricii; wnuk Arthura i Lisy Williamsów oraz już nieżyjących Alfreda i Josephine Reisów. Chris uzyskał dyplom *cum laude* na wydziale administracji i zarządzania Uniwersytetu Wirginii i był właścicielem WTT. Był człowiekiem inteligentnym, tryskającym energią, szczerym, pracowitym i silnym, który przeżył swoje życie jak ciąg niekończących się przygód. Chris był oddanym mężem i ojcem. Zawsze wspierał swoich bliskich i dzięki jego obecności świat był o wiele piękniejszy. Wszyscy, którzy go znali, będą go kochać i za nim tęsknić. Nigdy cię nie zapomnimy. Spoczywaj w pokoju.

Chris zmarł. A ja straciłam ochotę do życia.



Trudno było mi się zebrać, żeby pojechać na cmentarz Swan Point. Bałam się, że spotkam tam ciebie, ale tego potrzebowałam. Potrzebowałam być obok niego. Chciałam się z nim pożegnać. Nie udało mi się to.

Od dnia, kiedy dowiedziałam się o jego śmierci, nie jeździłam już na Nessy. Jazda konna jest dla mnie jak oddychanie, jest funkcją automatyczną i mimowolną. Dającą życie. Mój ojciec się wystraszył. Jeffrey się wystraszył. Nie byłam w stanie niczego powiedzieć. Nie rozumieli, co się ze mną dzieje. „Córeczko, powiedz, co się stało? Może będę mógł ci pomóc”, mówił mój ojciec. Ale ja byłam w katatonii. Nie reagowałam i zaczynałam się w sobie zamykać. Wieczorami chodziłam do młyna, kładłam się na materacu i owijałam pierzyną, mimo że było lato. Nie pachniała już Chrisem, chociaż ja wyobrażałam sobie, że tak, i płakałam przez całe

noce, żalując, że nic nie zrobiłam, żeby wyrwać go z twoich objęć, bez względu na twoją ciężę.

Na nowo napisałam listy, które mi wysyłał, jego i swoje. Swego czasu łatwo mi było je spalić, bo znałam je na pamięć. Czytałam je dziesiątki razy. Byłam pewna, że zapomniałam o niektórych szczegółach i pominęłam jakieś informacje, ale to, co ważne, podstawowe, nasza historia, pozostało nienaruszone. A kiedy skończyłam i skompletowałam kolekcję tych, które mi przysłał (łącznie z odpowiednimi datami), pisałam je nadal. Nowe. Kontynuowałam naszą historię. W listach, które wkładałam przez szparę w drzwiach wejściowych do młyna. Nie odważyłam się już tam wejść.

Cześć, LeCaptainie,

tu Bresnam, czekam na Twoje rozkazy.

Pamiętasz, że Ty i ja nigdy nie zostawialiśmy niczego w połowie?

Skończyliśmy remont młyna, ale zostawiliśmy w połowie naszą sprawę. Zabrakło zakończenia. Czy kiedykolwiek miała początek? Owszem, miała początek.

Dlaczego się nie pocałowaliśmy? Dlaczego się nie kochaliśmy? Chociaż trochę tak, robiliśmy to, prawda? Robiliśmy wszystko. Ja czułam wszystko. Nadal czuję. Wszystko.

Tęsknię za Tobą, LeCaptainie.

Czekam na Ciebie, LeCaptainie.

Kocham Cię, LeCaptainie.

Wróć, LeCaptainie.

Czułam się winna. Bardzo winna. Nie przestawałam analizować różnych scenariuszy wydarzeń, które mogły powstrzymać go przed wyjazdem. Nie znałam szczegółów jego śmierci. Wiedziałam tylko, że zmarł tego samego dnia, kiedy opuścił wyspę. Wcześniej przez dwa dni nie przestawał się skarżyć (a nigdy nie narzekał), że kręci mu się w głowie, że ma zaburzenia widzenia i że bardzo boli go głowa. Symptomy, które wyglądały na psychosomatyczne, poprzedzające podjęcie tak trudnej decyzji, jaką było porzucenie niedokończonego marzenia.

Pomyślałam, żeby się z tobą spotkać, potrzebowałam rozmowy, podzielenia się swoją żalobą, ale ledwie miałam siły. Brakowało mi odwagi, żeby opuścić stadninę. Jakby za ogrodzeniem, które wyznaczało granice działki, nie było tlenu. Wtedy tylko raz opuściłam nie tylko wyspę, ale i stadninę, gdy udałam się na cmentarz. Mój ojciec sprowadził bardzo znanego psychiatrę z Bostonu, przyjaciela przyjaciela jego przyjaciela, który spędzał wakacje na Nantucket. Zdiagnozował u mnie depresję i agorafobię.

Kiedy to wszystko się rozpętało, Jeffrey był szczęśliwy, pozbierał się już po naszym zerwaniu. Był w związku z pewną dziewczyną z Martha's Vineyard, poważną i pochodzącą z bardzo dobrej rodziny. Mimo to był tak samo albo nawet

bardziej zaniepokojony niż mój ojciec i codziennie mnie odwiedzał, chociaż często nawet nie wychodził z pokoju. Aż pewnego dnia nie wytrzymał.

– To wszystko przez tego faceta, tego, który tu przyjeżdżał, prawda?

Nie odpowiedziałam.

– Nie ma potrzeby, żebyś opowiadała mi, co się stało. Nie muszę tego wiedzieć. Wystarczy mi, że wiem, że byłaś w nim zakochana. Czasem latałem nad wyspą nie dlatego, że chciałem cię śledzić, ale dlatego, że nie miałem innego wyjścia. Przelatywałem blisko młyna i z wysoka widziałem was, jak pracujecie, naprawiacie dach, piłujecie drewno, malujecie deski, nurkujecie, żeby się odświeżyć, albo pijecie piwo. Patrzyłem na was. Z góry widziałem to, czemu na dole zaprzeczałem. Ale patrząc z góry, nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi. Bo tam, na górze, wszystko widać z innej perspektywy. Człowiek zdaje sobie sprawę, jak jesteśmy mali i nic nieznaczący. I to właśnie zrobimy teraz, pójdziemy do mojego hydroplanu.

– Nie chcę wychodzić.

– Wychodzić dokąd?

– Na zewnątrz.

– Na zewnątrz? Już jesteś na zewnątrz. Zewnątrz to właśnie to. Zewnątrz jest wszystkim. Zewnątrz oznacza każdy zakątek świata.

Delikatnie zaciągnął mnie do hydroplanu. Od tamtej pory codziennie lataliśmy przez godzinę. Najpierw wzdłuż wybrzeża, po Cape Cod, zataczając koła, nie tracąc z oczu wyspy, aż stopniowo zaczął się od niej oddalać, ale tak, że nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy, w sposób naturalny. Wydawało się, jakby na nowo kreślił mapę mojego życia, tkając na niebie ochronny koc, który okrywał mnie, kiedy znalazłam się już na ziemi. Przyływ poczucia winy i smutku, który wszystko zalał, wreszcie zaczął się cofać, ustępując miejsca głębokiemu, wielkiemu żalowi. Żalem się nie przejmowałam, był dla mnie jak przyjaciel, z którym lubiłam przybywać. Nie był agresywny. Żalowi pozwalałam kłaść się do łóżka i ze mną spać. Powoli zaczynałam mieć apetyt i próbowałam pracować w stadninie. Odzyskałam swoje miejsce i swoje konie. Zaczęłam otwierać swoje drzwi, a przynajmniej ich nie zamykać.

I wtedy przybyłaś ty, Alice. Przeprowadziłaś się na wyspę. I to, co wydawało się, że może mi zaszkodzić z uwagi na mój zły stan, wywołało odwrotny efekt. Spodobało mi się. Byłam tak zaintrygowana, że się ożywiłam. Dlaczego postanowiłaś się tutaj przenieść? Czyżby Chris opowiadał ci o wyspie? Nie, to nie miałoby sensu. Bo gdyby tak było, to domagałabyś się tego, co twoje: młyna, swojej działki i kucyka. I dlaczego kłamałaś w sprawie daty i okoliczności śmierci Chrisa? Powiedziałaś Miriam, że twój mąż zginął (dwa miesiące wcześniej, niż faktycznie się to stało) w wypadku awionetki. Co ukrywałaś? Dlaczego nie pytałaś o Chrisa? Nie znajdowałam odpowiedzi na te pytania.

Może odkryłaś część kłamstwa Chrisa albo część prawdy, zależy jak na to spojrzeć. W każdym razie musiałaś podążać za jakimś śladem, który on zostawił, bo tutaj dotarłaś. Znalazłaś pęknięcie w idealnym planie Chrisa, szczelinę, przez którą się prześliznęłaś. Ale było oczywiste, że ten ślad nie prowadził cię do mnie, gdyż nawet nie zbliżałaś się do stadniny ani do młyna, a kiedy cię wielokrotnie spotykałam, nie było z twojej strony żadnej reakcji czy pytań. Zauważyłam, że byłaś zagubiona. Chociaż może wcale nie byłaś zagubiona, lecz po prostu szukałaś. Szukałaś Chrisa.

Nigdy cię nie wypatrywałam ani nie rozpoczynałam z tobą rozmowy z czystej ostrożności, ponieważ nie byłam pewna, ile wiesz i czy mnie znasz. Nie starałam się być miłą, cokolwiek udając, i wyjść na hipokrytkę, bo ty być może wiedziałaś o mnie i Chrisie. Tak więc dałam ci czas, żeby sprawy toczyły się własnym rytmem, przygotowując się na moment, który wcześniej czy później musiał nadejść. Bo w przeciwnym razie jaki byłby sens twojej przeprowadzki na wyspę?

Alice, ty pomogłaś mi wyjść z mojego zamknięcia. To był bardzo powolny proces. Na początku się ciebie bałam, myślałam, że mnie szpiegujesz, śledzisz. Że w każdej chwili możesz stawić mi czoło, a ja nie będę na to przygotowana. Jednak kiedy zdałam sobie sprawę, że nie łączysz mnie z Chrisem, odetchnęłam i powoli zaczęłam się do ciebie zbliżać. Byłam tak bardzo ciekawa, że czasem cię śledziłam (a niekiedy tylko czułam się tak, jakbym cię szpiegowała). Na urodziny Karen poszłam tylko dlatego, żeby być blisko ciebie.

Wtedy do gry wszedł mój ojciec z popisową rolą. W swoim powolnym odrywaniu się od życia, na swojej drodze do zapomnienia, w pragnieniu ponownego spotkania z moją matką zaczął często bywać w twoim domu, w domu mojej matki, kiedy była młoda. Myślałam nawet, że mój ojciec wszystko wie. I mówiąc wszystko, mam na myśli wszystko: że udawał, iż ma alzheimera, byle tylko doprowadzić do naszego spotkania. Ale nie, niestety, to jest mimowolne i nieodwracalne.

Alice, pomogłaś mi przezwyciężyć śmierć Chrisa, bo poznanie ciebie i waszych córek zbliżyło mnie do niego. Byłam zakotwiczona w fantazji o wspólnej przyszłości, którą jego śmierć rozbiła na kawałki, a odłamki nadal we mnie tkwiły, tworząc rany. Wy krok po kroku usuwałyście to ostre szkło, które zostało w moim ciele. Ale nabierałam przekonania, że Chris zrobił to, co miał zrobić, i że ja nie byłam jego bliźniaczą duszą. Ty nią byłaś, Alice. Chciałam cię nienawidzić, a ostatecznie znalazłam się u twojego boku. U waszego boku, was obojga, przy waszej rodzinie. Już nie chciałam ukraść ci Chrisa, pragnęłam być częścią waszej rodziny. Udało mi się to w dniu, w którym Snow White wydała na świat Sunset. Tego dnia zrobiłam wam zdjęcie, prawdziwe rodzinne zdjęcie. Dzięki temu zdjęciu poczułam, że w końcu odzyskałam Chrisa. Dzięki wam ponownie się

z nim spotkałam. Ty pomogłaś mi się z nim pożegnać, przewyciężyć żalobę i żyć dalej. Widziałam też, co robiłaś dla mojego ojca, i pomyślałam, że teraz nadeszła moja kolej, by pomóc tobie. Żebyś też mogła się pożegnać z Chrisem, pogodzić się z nim i żyć dalej.

Kiedy zostawiłam zdjęcie na grobie, chciałam położyć na nim kamień, żeby nie zabrał go wiatr. Żebym miała pewność, że je zobaczysz. Ale tego nie zrobiłam, bo to zdjęcie nie było dla ciebie. Ty miałaś już swoje. Dlatego zrobiłam dwa. To było dla Chrisa. Jego marzenie się spełniło, nasza przygoda dobiegła końca. Udało się. I teraz on zza grobu musiał wykonać ostateczny ruch. Wręczyć ci swoją niespodziankę, klucz do młyna, twojego domu wakacyjnego, twojej pracowni malarskiej. To zadanie nie należało do mnie, lecz do Chrisa. Wiedziałam, że to zdjęcie powinno tam leżeć, kiedy przyjdziecie (bo byłam pewna, że tak się stanie) kilka godzin później. Nie mogłam tego wymusić, a tylko delikatnie pomóc.

Dlatego widząc cię dzisiaj w stadninie, o wiele później, niż się spodziewałam (przypuszczam, że stoczyłaś długą walkę ze sobą), po twoim spojrzeniu wiedziałam, o co chodzi. A ty po moim spojrzeniu wiedziałaś, że wiem. I że jestem gotowa na wszystko, czego będziesz ode mnie chciała.



CZEŚĆ PIĄTA

ALICJA W KRAINIE CZARÓW

„Na pewno tam się dostaniesz, jeśli tylko będziesz szła dość długo”.

„Alicja udzielała sobie często takich dobrych rad – choć rzadko się do nich stosowała”.

„Nie miałoby sensu wracać do dnia wczorajszego, ponieważ byłam wtedy zupełnie inną osobą”.

„Ale jeśli nie jestem sobą, to w takim razie kim jestem? W tym tkwi największa zagadka”.

„– Czy nie mógłby pan mnie poinformować, którądy powinnam pójść?

– To zależy w dużej mierze od tego, dokąd pragnęłabyś zajść.

– Właściwie wszystko mi jedno.

– W takim razie również wszystko jedno, którądy pójdziesz”.

Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*²¹ (1865)

Dzień 91. Rok IV – dzień 117. Rok VI p.Ch.

Stało się to podczas prezentacji czwartej powieści Julii, *Bresnam i LeCaptain*. Było to bardzo kameralne i prywatne spotkanie w ogrodzie Le Cafe, bez mediów czy mistrza ceremonii. Tak chciała Julia – chciała być sama w otoczeniu rodziny i przyjaciół. Kilka słów, przekąski koktajlowe („To w rzeczywistości jedyny powód, dla którego ludzie przychodzą”, mówiła mi) oraz dla wszystkich podpisany egzemplarz powieści z dedykacją („którego większość nie przeczyta”). Miała za sobą liczne spotkania w najważniejszych miastach Stanów Zjednoczonych. Całe poruszenie wywołane *Pogrzebową sukienką* powtórzyło się przy jej trzeciej powieści, *Zakazane słowa*. Książka okazała się bestsellerem, ale przede wszystkim pozwoliła Julii wyjść z dołka psychicznego, w którym się znalazła także z powodu nienowych trudności z napisaniem drugiej powieści. Mimo że książka spotkała się z życzliwością ze strony krytyków, Julia ciągle uważała, że pierwsza książka była szczytowym osiągnięciem w jej krótkiej karierze. To bynajmniej jej nie sfrustrowało, lecz bardziej zmotywowało do napisania kolejnej powieści.

Spotkanie ledwie się rozpoczęło, kiedy z daleka dało się słyszeć policyjny helikopter. Chciałabym powiedzieć, że wszystko działo się w sposób dyskretny, ale tak nie było. Zasmuciło mnie to z powodu Johna. Nie należało wystawiać tego na widok publiczny, traktując Johna jak terrorystę.

Ponad trzy lata zajęło mi odszukanie zwłok Keitha. Przynajmniej tyle mogłam dla niego zrobić, cały czas pamiętając, jak dobrze traktował mnie i dziewczynki. Po bardzo udanym pierwszym pobycie na Napoleon Island nasze weekendowe wizyty stały się bardzo częste. Dla dziewczynek był wujkiem Keithem.

Minęły ponad trzy lata, odkąd jego łódź ugrzęzła na brzegu, a on zaginął. Jego ciało było zakopane w bardzo gęsto zarośniętym miejscu, pełnym krzaków, ciemnych zarośli i trującego bluszczu. Miejscu dzikim i niedostępnym, za murem gęstych winorośli sąsiadujących z polem golfowym New Seabury Country Club, na wysokości dołka numer pięć.

Kluczem do odkrycia tego okazała się seria filmików nagranych telefonem Johna (który miałam zhakowany). Nie skasowałam ich, gdyż uważałam je za nieszkodliwe i absolutnie nieobwiniające Johna. To nie była prawda. Oglądałam je dziesiątki razy, nie przywiązując do nich dużej wagi. Wszystkie były właściwie jednakowe: grają w golfa, John kieruje na siebie komórkę, wykonuje porozumiewawczy gest do kamery, śmiejąc się cicho i szepcząc: „Zaraz zobaczysz, zaraz zobaczysz”. Filmuje Keitha, który przygotowuje się do uderzenia swojej piłeczki. Są przy dołku numer pięć. John: „No dalej, śmiało, Keith, przecież potrafisz, wymierz dobrze. Do chorągiewki”. Keith: „Nie nagrywaj mnie, zostaw

mnie w spokoju, oszuście, daj mi się skoncentrować”. Keith w końcu uderza w piłeczkę i posyła ją poza granice pola. John pokłada się ze śmiechu: „Znowu! Znowu to zrobiłeś! Nie wytrzymam!”. Keith zakrywa palcem kamerę. Koniec nagrania.

Keith i John grywali razem w golfa trzy razy w tygodniu w New Seabury Country Club. Dołek numer pięć nie należy nawet do najtrudniejszych, jednak Keith za każdym razem przy nim posyłał piłeczkę w gęste zarośla, jakby miały jakiś magnes. A John, który wiedział, że tak to się skończy, nagrywał go swoim telefonem i w ten sposób dodatkowo denerwował. Osiem filmików nagranych w różne dni, każdy z takim samym zakończeniem.

Po zniknięciu Keitha, kiedy minęły dwa miesiące paranoi, oszołomienia, smutku, strapienia i chęci opuszczenia tego świata przez Johna (interweniowałam *in extremis*, gdy podejmował dwie próby samobójcze), zaczął on spędzać dużo czasu w klubie golfowym. Kiedy nie był odkomenderowany do łodzi podwodnej, chodził tam codziennie i grał bez względu na pogodę.

Zostałam członkinią (razem z dziewczynkami) New Seabury Country Club. Zapisalam się na intensywną naukę gry w golfa (nigdy tego nie lubiłam, ale okazało się, że nie idzie mi wcale źle) i po siedmiu miesiącach byłam gotowa, żeby wyjść na pole i grać, nie niszcząc przy tym drózek ani greenów. Traktowałam to bardzo poważnie.

W każdą sobotę graliśmy partię w parach. Karen z Markiem, a John ze mną. I zawsze, kiedy dochodziliśmy do dołka numer pięć, by wykonać trzecie uderzenie, John posyłał piłeczkę poza granice pola, w zarośla. Było to miejsce niedostępne. Znajdowały się tam nawet tabliczki ostrzegające przez niebezpieczeństwem. „Uwaga: trujący bluszcz. Nie wchodzić”. A John był dobrym graczem. Miał handicap 10. Dziwne. Obejrzałam jeszcze raz nagrania, na których Keith i on byli przy dołku numer pięć, i doszłam do wniosku, że robił to, żeby po cichu oddać mu hołd. W ten sposób mówił Keithowi, że za nim tęskni. Gdy tracił piłeczkę, nawet się nie wkurzał, a przecież był niebywale ambitny. Przyjmował karę i graliśmy dalej.

Umieściłam kamerę w męskiej szatni naprzeciwko szafki Johna. Poznałam kod do zamka. Weszłam tam kilka razy, kiedy byłam pewna, że nikogo nie będzie. Przeszukałam szafkę. Na początku nie zauważyłam nic szczególnego, ale miałam zaledwie kilka sekund, bo bałam się, że zostanę przyłapana. Aż pewnego dnia podczas pozorowanej akcji gaszenia pożaru w klubie (którą zignorowałam) weszłam do szatni, żeby dokładniej przeszukać szafkę. I wtedy odkryłam sweter w plastikowym worku, który leżał w sportowej torbie na samym dnie szafki, pod torbą z kijami golfowymi, raketami tenisowymi i kilkoma parami butów. Miał postrzępione rękawy i plamy krwi. John musiał go mieć na sobie w tę noc, kiedy doszło do zdarzenia. Na pewno. Nie miałam już najmniejszych wątpliwości, że to

on dokonał zbrodni, chociaż w ciągu tych dwóch lat, które minęły od tamtej pory, wiele razy w to powątpiewałam, a nawet pragnęłam, żeby nie była to prawda, bo bardzo go polubiłam.

Dwa tygodnie później udało mi się pobrać kilka próbek krwi ze swetra i zaniiosłam je do laboratorium (do innego, z dala od Cape Cod; teraz zawsze je zmieniałam), żeby porównać je z próbkami DNA zarówno Johna, jak i Keitha. Wynik był pozytywny. To była krew ich obu. Bardzo się tym zdenerwowałam. Chciałam powiadomić policję, ale ten dowód, bez ciała, na niewiele by się zdał. Obawiałam się, że John pozbędzie się swetra, że zniszczy jedyny mocny dowód, jaki miałam, ale pomyślałam, że skoro nie zrobił tego przez tyle czasu, to prawdopodobnie już tego nie zrobi. Dlaczego się go nie pozbył? Dlaczego go zachował? Bo podarował mu go Keith. Doszłam do takiego wniosku, gdy znalazłam identyczny sweter na Napoleon Island, w szafie Keitha. Mieli takie same swetry. Keith musiał je kupić (bo były naprawdę ładne i w dobrym guście) dla nich obu. Prezent dla jego zakazanej miłości.

I wtedy na to wpadłam: John wcale nie oddawał hołdu Keithowi. Kiedy był przy dołku numer pięć i celowo źle uderzał piłeczkę, robił to nie dlatego, że chciał uczcić jego pamięć, ale żeby się z nim przywitać. Rozdarły sweter. Ich krew. Zarośla. Jacht zakotwiczony na plaży, na wysokości dołka numer dwa pola golfowego. To nie była duża odległość. Dziesięć minut pieszo. Najwyżej piętnaście. Przyciągnął ciało aż tutaj i je zakopał. Bez wątpienia.

Włożyłam spodnie i kurtkę z wytrzymałego materiału, czapsy, by chronić się przed wężami, buty z długimi cholewkami, rękawice, kask z daszkiem, wzięłam latarkę czołową led i wykrywacz metalu. Przeszukiwałam teren (wielkości równej dwóm boiskom piłkarskim) przez dziesięć kolejnych nocy (korzystając z tego, że dziewczynki były na obozie w Horse Rush Farm) i znalazłam zwłoki. A raczej dwa gwoździe z kości udowej Keitha – konsekwencja wypadku, któremu uległ jako dziecko podczas meczu piłki nożnej w okresie wypierania się swojej orientacji homoseksualnej.

Zanim powiadomiłam policję o znalezieniu ciała Keitha, długo prowadziłam ze sobą wewnętrzną walkę. Zastanawiałam się, czy może wystarczy, że znajdą jego szczątki, żeby pochować je jak Bóg przykazał, i po wszystkim; że John zapłacił już za zbrodnię, którą popełnił (spędził trzy lata w piekle). A może powinnam zrobić to dla Karen? To byłby dla niej silny cios. Z wielkim trudem przyszłoby jej pogodzić się z zabójstwem brata (ponieważ nie chciała zaakceptować jego śmierci), a na dodatek musiałyby znieść to, że winnym jest jej mąż. Być może dlatego tak bardzo chciałam poznać powody nieszczęśliwego końca Keitha. Morderstwo to nie to samo, co nieumyślne zabójstwo. Wszystko wskazywało na kłótnię kochanków, która wymknęła się spod kontroli. Nie zwalniało to jednak Johna od zapłacenia za to, co zrobił. Bynajmniej. Ale byłam pewna, że John nie chciał śmierci Keitha.

Nie potrafiłam jednak znaleźć motywów tego czynu ani niczego, co by usprawiedliwiało Johna. Są jeszcze rzeczy, nad którymi nie panuję do końca, i uważam, że to dobrze. Tak więc wykradłam sweter z szafki Johna i zakopałam go obok tego, co zostało z ciała.

Kiedy policja zabierała zakutego w kajdanki Johna, ku wielkiemu zaskoczeniu gości Julii obecnych na prezentacji powieści, nie mogłam uwolnić się od poczucia winy, chociaż uważam, że John w głębi duszy będzie za to wdzięczny, bo w pewien sposób wreszcie odpocznie. Przeżywanie w ciszy śmierci jego ukochanego Keitha za bardzo mu ciążyło.

Dni 28–31. Rok II p.Ch.

– Jak chcesz to zrobić? – zapytała mnie Barbara. – Wolisz zadawać mi pytania?

Moja głowa zaprzeczyła za mnie.

– Tylko jedno – odparłam. – A potem chcę, żebyś ty mówiła. Chcę, żebyś opowiedziała mi wszystko. Jakby mnie tu nie było.

Cisza.

– Dobrze. Jak brzmi pytanie?

– Co Chris robił na wyspie?

– Chodź, przejdźmy się – zaproponowała Barbara.

– Trzęsą mi się nogi.

– Tak, ale w drodze powrotnej już prawdopodobnie nie będą ci się trząść. Zaufaj mi.

I poszliśmy.

– Na początku chcę powiedzieć, że dzięki tobie i waszym córkom czuję się dobrze. Czujemy się dobrze. Mój ojciec i ja. Tyle wam zawdzięczam... Bardzo mi pomogliście. Teraz moja kolej, by pomóc wam.

Barbara mnie oszukała – z młyna wracałam też na drżących nogach.



Po powrocie do domu czułam się tak, jakby nie było mnie tu ze dwa lata, jakbym przez dwa lata podróżowała po życiu Chrisa. Czułam się tak odmieniona, że bałam się, że moje córki mnie nie poznają.

Chodziłam tam przez trzy dni z rzędu. Trzy razy wysłuchałam tej historii. Ani nie zadawałam jej pytań, ani nie przerywałam. Nie dlatego, że szukałam niespójności czy tropiłam brakujące szczegóły, po prostu nie byłam w stanie wydobyć z siebie słowa. Pierwszego dnia z powodu strachu. Drugiego – z powodu wstydu, jakbym była intruzem. A trzeciego – bo już tego nie potrzebowałam. Widać było, że Barbara bardzo długo czekała i przygotowywała się na ten moment. Opowieść za każdym razem trwała tyle samo, zawsze była identyczna. Mnie jednak wydawało się, że każdego dnia była to inna historia. Pierwszego dnia była to historia Chrisa. Drugiego dnia – historia Barbary. Trzeciego dnia – historia obojga. Nigdy nie była to historia o mnie. Mnie nie było w tej opowieści.

Barbara dała mi listy, które do siebie pisali, ale nie chciałam ich czytać. Nie chciałam też przez te trzy dni wchodzić do młyna. Tym bardziej nie chciałam tam wchodzić Kucyk, bo kiedy zobaczył straszne skrzydła, zaczął cicho popiskiwać. Skoro był to prezent dla nas wszystkich, to powinnam „rozpakować go” z Olivią i Ruby. Poza tym czułam, że jest to tylko ich miejsce, Chrisa i Barbary. Sekretne. Zakazane. Jedynym sposobem, żeby zmienić to moje odczucie, było wejście tam

pod rękę z córkami.

Czwartego dnia, 13 czerwca, w dniu pierwszych urodzin Ruby, zabrałam je tam. Od śmierci Chrisa minęło trzynaście miesięcy. Trzynaście miesięcy od 13 maja. Barbara była podejrzaną numer trzynaście. Czy powinnam zaczekać jeszcze jeden dzień, żeby uniknąć aż tylu trzynastek? Nie, ta kumulacja trzynastek była moim sposobem na ponowne spotkanie ze szczęściem mojej liczby. Na pogodzenie się z nią. Ponieważ uświadomiłam sobie, że Chris miał wypadek dwunastego. Trzynasty dzień po prostu przyszedł mnie objąć, potowarzyszyć mi, abym nie czuła się taka samotna w tych chwilach absolutnego opuszczenia. Chciał mi pomóc, a ja nie zdawałam sobie z tego sprawy, gdyż byłam z nim skłócona. Już nigdy więcej nie przestanę go słuchać.

– Kochanie, muszę ci coś powiedzieć – zwróciłam się do Olivii. – I powiem ci to, bo wiem, że jesteś już dojrzałą dziewczynką.

– Pewnie, że tak, mamusiu. Jestem bardzo dojrzała.

– Oli... Byłabyś w stanie opiekować się dwoma kucykami zamiast jednym?

Oliwię ogarnęło takie wzruszenie, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– Panda też jest dla ciebie. Dla ciebie i dla twojej siostry. Panda i Sunset są wasze. Musicie się nimi opiekować. Zawsze. Przez całe życie.

Olivia zaczęła płakać.

– Dlaczego płacze, mamusiu? Przecież bardzo się cieszę...

– Bo jesteś bardzo wzruszona. Czasem płacze się z radości.

– A więc to jest dobre?

– Oczywiście, kochanie, bardzo dobre.

Pojechały na kucykach aż do młyna. Olivia na grzbiecie Pandy, a Ruby, przytrzymywana przez Barbarę, na Sunset. Po drodze płakałam, wyobrażając sobie Chrisa przeżywającego ten moment, prowadzącego swoje trzy dziewczyny. A właściwie cztery, pomyślałam, spoglądając na Barbarę. Ona też była jego dziewczyną. I na przekór wszystkiemu uśmiechnęłam się, nie przestając płakać. Czułam się pogodzona, nie wiedziałam tylko, czy z Chrisem, czy z Barbarą, ale było mi wszystko jedno, bo czułam się dobrze. Olivia dostrzegła moje łzy.

– Ty też płaczesz z radości, mamo?

– Teraz tak, Oli.

– I też pierwszy raz, tak jak ja?

– Nie, już kilka razy płakałam z radości. Na przykład wtedy, kiedy się urodziłaś.

– Ach, no jasne – powiedziała. Potem pokazała coś palcem. – Zobacz, ten piękny młyn.

– Już go widziałaś?

– Pewnie, wiele razy przyjeżdżałyśmy tutaj na kucyku. Już ci o tym mówiłam.

Rzeczywiście. Kiedyś mi opowiadała, że na terenie stadniny jest młyn i że Barbara wytłumaczyła jej, do czego dawniej służył. Ja też widziałam go wiele razy: z promu, z łodzi Marka albo z Góry Drzewa Pocałunków. I zawsze reagowałam tak samo jak moja córka: „Zobacz, ten piękny młyn”.

Nie powiedziałam jej, że należy do nas, że podarował nam go jej ojciec. Zbyt wiele emocji jak na jeden dzień. Poza tym nie chciałam, żeby zaczęła zarzucać mnie pytaniami. To nie był dzień na pytania.

– Och, wszystko jest nowe! – wykrzyknęła Olivia, kiedy weszła do młyna i zaczęła piąć się po kręconych schodach, oczywiście licząc stopnie. Chociaż w tym momencie te liczby wydawały mi się błogosławieństwem. Olivia swoją niewinnością i swoim światłem błogosławiła każdy zakątek tego miejsca.

Wtedy dotarliśmy na poddasze. Do drzwi. I zobaczyłam pilnującą ich kłódkę. Moja ręka instynktownie dotknęła łańcuszka, który miałam na szyi, z Kluczem Master. Nareszcie. Wiem, że to niemożliwe, ale wydawało mi się, że wibruje. Że przepływa przez niego energia. Wymyślone pole magnetyczne. Prawo przyciągania dwóch przedmiotów. Dwóch osób. Jakby jedyną rzeczą, która mnie tutaj przywiodła, był klucz zawieszony na mojej szyi. Nic więcej. Moje magiczne pióro Dumbo.

Barbara natychmiast przejęła kontrolę nad sytuacją. „Oj, ale stąd nie można już nigdzie wejść, wracamy na dół, Oli”. Wzięła Ruby na rękę, Olivie za rękę i zeszła z nimi po schodach, żeby pokazać, gdzie będą spać, kiedy tu przyjadą. „Ach, możemy tutaj spać?”, zapytała zachwycona Olivia. „No pewnie, zawsze, kiedy będziecie chcieli”. „A Panda i Sunset też?” „Oczywiście, Panda i Sunset też. Ale na zewnątrz, czekając na ciebie, aż wyjdiesz, żeby zabrać cię, gdziekolwiek zechcesz”. „A czy Kucyk też może zostać na zewnątrz?” „Nie, Kucyk nie może zostać na zewnątrz”.

Pomyliłam klucze. Wzięłam ten od poddasza zamiast Klucza Master. I chociaż są takie same, rozróżniłam je, malując czerwoną farbą ślad wystarczająco gruby, żeby poznać tylko po dotyku. Zaśmiałam się. Ten moment wywołał we mnie rozrzewnienie. Moment absolutnego apogeum zepsuty przez drobną pomyłkę. A może to nie była pomyłka. Może wiedziałam, że oba klucze otwierają to samo – tę samą kłódkę kupioną w tym samym miejscu, pilnującą tego samego – że mają ten sam cel. Moją wyspę. Mój świat. Różnica była jednak taka, że drzwi, które otwierał Klucz Master, nie prowadziły do odosobnienia. Nie prowadziły do żadnego akwarium. Prowadziły do okna. Mojego okna na wyspę. Mojego okna na świat. Miejsca osobistej realizacji, abym mogła robić to, co chcę. Miejsca jedyne w swoim rodzaju. Miejsca, w którym mogłam być sobą. Po prostu sobą.

Weszłam, patrząc na stopy (bo wiedziałam, że Chris kazałyby mi wejść z zamkniętymi oczami), i usiadłam na podłodze na środku pomieszczenia. Białe deski z drzewa dębowego. Moje ulubione. Dotknęłam ich. Dostałam gęziej skórki.

Łza spadła na jedną z desek. Starłam ją palcem. Musiało minąć trochę czasu, zanim podniosłam wzrok i popatrzyłam na pejzaż rozciągający się za wielkim oknem. Plaża, wydmy, wzburzone morze. Po chwili zdałam sobie sprawę, że plaża, którą miałam przed oczami, to plaża z mojego powracającego koszmaru. Moja podświadomość nie chciała mnie dręczyć, chciała podrzucić mi trop, którego nie potrafiłam rozpoznać.

Wtedy coś zauważyłam – banknot dolarowy. Był na środku okna, przyklejony do szyby bezbarwną taśmą. Wstałam i podeszłam do niego. Coś było na nim napisane ręką Chrisa:

Zacznijmy oszczędzać na nasze nowe marzenie.

Kocham Cię, Ch.

Znowu się rozplakałam, ale w tej chwili, mimo że wszystkie moje emocje były jeszcze wzburzone niczym morze, a myśli bezładne jak piasek na plaży, zrozumiałam, że ja też od dawna przygotowywałam się na ten moment, zaskoczyła mnie bowiem łatwość, z jaką wszystko sobie uporządkowałam. Ucieszyłam się, że minęło trzynaście miesięcy. Potrzebowałam tych trzynastu miesięcy, żeby stawić czoło sekretowi/kłamstwu/tajemnicy Chrisa. Żeby go nie zniszczyć, nie wyrzucić do góry nogami i znowu składać, próbując rozwikłać mechanizm, który skrywał. Krótko mówiąc, nie starałam się tego zrozumieć ani osądzać, ani klasyfikować, żeby się przekonać, czy jest dobre, czy złe. Po prostu się z tym pogodziłam i przyjęłam tę historię za prawdziwą. Nie chciałam się wikłać w analizowanie ani odkrywanie, czy to wszystko było prawdą. Między innymi dlatego, że wiele części mi się nie podobało, bolało mnie. Była to opowieść z cudownym początkiem i tragicznym końcem, z ciemnymi i słodko-gorzkiemi fragmentami i gdybym się zagapiła, mogłabym się pogubić i cierpieć przez kolejny rok, wątpiąc w niego i w siebie. Nie dałam się ponieść gniewowi, zazdrości i odrzuceniu. Czułam ulgę. Czułam, że zrzucam z siebie ciężar. Ciężar winy, tego, co zrobiłam źle. Nie zrobiłam nic źle. Uważałam, że muszę znaleźć Chrisa, zanim odszukam samą siebie. Myliłam się. Najpierw należało odszukać samą siebie, a potem Chrisa.

Śmiechy, odgłosy zabawy i zdanie wypowiedziane przez Barbarę zakończyły moje rozmyślania. Nie wiedziałam, ile minęło czasu.

– Chodź, Olivia, zrobimy zdjęcie Kucykowi na kucyku.

– Nie, tylko nie to, tylko nie to! Toniejestkucyk nie! – wykrzyknęła Olivia.

– Tak, zobaczysz, że będzie zabawnie – nalegała Barbara.

„No to zaraz będzie awantura”, powiedziałam do siebie. Podniosłam się i podeszłam do okna dokładnie w chwili, kiedy Barbara brała na ręce Kucyka.

– Chodź, Kucyku, na górę. Hop – powiedziała, sadzając psa na Pandzie.

Ale nie to mnie wzruszyło. Wzruszył mnie niekontrolowany wybuch śmiechu Olivii. To, że pozwoliła, aby Kucyk zbliżył się, dotknął, a nawet usiadł na jej najcenniejszym skarbie. Ostatnim prezencie z ostatniej podróży jej ojca – na

Pandzie.

Potem odwróciła się do młyna, do mnie, jakby wiedziała, że stoję w oknie (ta niezniszczalna łącząca nas więź) i powiedziała:

– Zobacz, mam, Toniejestkucyk na kucyku!

I znów śmiała się i piszczała.

A ja przestałam płakać i też się śmiałam.

Dni 32–120. Rok II p.Ch.

Przez następne tygodnie poważnie zastanawiałam się nad wyjazdem. Opuszczeniem wyspy. Już mogłam wyjechać. Już mogłam wrócić. Wszystko zdemontować. Ale tego nie zrobiłam. Dokąd miałabym wracać? Tutaj był mój dom, mój młyn, dwie córki, dwa kucyki, pies oraz gupik o wątłym zdrowiu. Zostało mi jeszcze wiele spraw do rozwiązania. Rozwiązałam jedną, pierwotną, matkę wszystkich spraw, lecz czułam, że jeszcze nie skończyłam. „Pomóż mi kontynuować”, poprosiła mnie Julia. Te słowa nie przestawały rozbrzmiewać w mojej głowie. Ja też tego chciałam, chciałam kontynuować. Potrzebowałam tego.

Miałam nieuniknione poczucie pustki. Nie, nie pustki. Nieważkości. Było to dobre uczucie, jak wtedy, gdy robi się generalne porządki i wyrzuca niepotrzebne rzeczy, które trzymało się od długiego czasu. Najwięcej miejsca w mojej głowie zajmowały rzeczy brudne i ciężkie. Bałagan. Byłam wdzięczna za to uczucie lekkości. Przestronne miejsce, które podarował mi Chris. Ale bałam się też, że się zgubię, że nie będę miała żadnego celu. Motor napędowy i motywacje mutowały się, zmieniały, dojrzewały, zapuszczały korzenie, które mocno w sobie czułam. Znalazłam coś, co dobrze mi wychodziło. Coś, co lubiłam. Nie była to tylko droga ucieczki, lecz także droga życia. Mojego życia.

Ale nie znalazłam się nawet w miejscu, w którym powinnam się usprawiedliwiać. Jakimś cudem przestałam się osądzać, przynajmniej na razie. I miałam zamiar to wykorzystać.

Tak więc do dzieła.

Popatrzyłam na kamerę, tę, którą podarował mi Antonio. Leżała na stole nierozpakowana. Pomyślałam, że potrzebuję się czegoś uchwycić, żeby znowu nie pogubić się po drodze, żeby mieć rozrywkę i nie myśleć, nie pozwolić na wewnętrzny dialog. Poczułam takie samo łaskotanie jak wtedy, kiedy miałam cztery lata i ojciec podarował mi pierwszy zestaw akwareli – przemożne pragnienie, by ich użyć, mieszać kolory, malować, zanurzyć się w nowe światy. Tworzyć. Chciałam wykorzystać kamerę, żeby tworzyć. Rozłożyć skrzydła. Zacząć latać.

Skonstruowałam z drewna małą replikę totemu Indian z plemienia Wampanoagów, pozostając absolutnie wierna oryginałowi. Chciałam zamienić ją w stojącą lampę, a w środku konstrukcji schować kamerę, która będzie wyglądała przez oczy rudzika. Pierwszy element moich nowych puzzli. Rudzik, który patrzy, ale jego nikt nie widzi. Tak jak ja.

Po ukończeniu lampy-totemu włączyłam ją na poddaszu, żeby sprawdzić oświetlenie i sygnał z kamery. Popatrzyłam na siebie na monitorze, zadumana i podekscytowana świadomością, że to akwarium nigdy nie zgaśnie. Poza tym chciałam się przekonać, czy wyglądam korzystnie w pomarańczowej czerwieni

lampy led, którą emitowała pierś rudzika.

Następnego dnia pojechałam do Night Eyes i poprosiłam Antonia o pięćdziesiąt kamer takich samych jak ta, którą mi podarował. Bardzo się ucieszył, że połknęłam haczyk, ale przede wszystkim widząc mnie uśmiechniętą i w znakomitej formie. „Już nie czarna chmura nad tobą” – powiedział, by po chwili dodać: – „Skoro już nie czarna chmura, już nie potrzebuje wnosić światło twoje życie. Po co chce kamery?” „Żeby wnieść trochę światła w życie innych”, chciałam mu odpowiedzieć, ale nie zrobiłam tego, tylko się uśmiechnęłam. Przed wyjściem ze sklepu zostałam przez Antonia poinformowana: „Niedługo wprowadzam przyszłość szpiegowania: dron. Spodoba się”.

Zacząłam taśmowo tworzyć dekoracyjne lampy – stojące, nocne, ścienne i obrazowe, o różnych kształtach i z różnymi motywami – w które wkładałam ukryte kamery. Akwaria, które nigdy nie zgasną.

Umówiłam się z Miriam, że pokaże mi lokale do wynajęcia. Nie widziałyśmy się od kilku tygodni, bo chciałyśmy, żeby minęło trochę czasu i wszystko w sposób naturalny wróciło na swoje miejsce. Żebyśmy nie musiały rozmawiać o zegarach szpiegowskich ani o moich planach z nimi związanych. Żeby oczyścić powietrze i zacząć naszą przyjaźń od nowa. Jednak bez względu na to, jak bardzo udawałyśmy, że wszystko między nami jest w porządku, nic nie było takie jak wcześniej, nie było już takiego samego porozumienia. I był tylko jeden sposób, żeby temu zaradzić. Podobnie jak ona zachowała się wspaniale wobec mnie (naprawiła zegar i znowu powiesiła go w kuchni), ja powinnam zachować się tak samo wobec niej. Ważne było tylko jedno: powiedzieć jej prawdę. Oczywiście, niecałą prawdę. Nie o tym, co robiłam na wyspie, tylko o tym, co mnie tutaj sprowadziło. Musiałam powiedzieć jej o Chrisie, o Barbarze, o młynie.

Kilka tygodni później, kiedy wreszcie za bardzo dobrą cenę wynajęłam lokal naprzeciwko Le Cafe, przy Grand Ave, postanowiłam jej powiedzieć. Ale kiedy odkorkowałyśmy butelkę szampana i wznosiłyśmy toast, by uczcić transakcję, Miriam mnie uprzedziła i powiedziała, że to lokal po okazyjnej cenie (zrezygnowała ze swojej prowizji), gdyż jest prezentem pożegnalnym, bo wyjeżdża, opuszcza wyspę, przeprowadza się do Pasadeny w Kalifornii. Musi rozpocząć od zera i zamieszkać jak najdalej od swojego byłego. Potem uśmiechnęła się i powiedziała, że widać po mnie, że znalazłam na wyspie to, czego szukałam, i chociaż jej się to nie udało, to bardzo się cieszy. Obiecałyśmy sobie, że nigdy nie stracimy ze sobą kontaktu i zatopiłyśmy się w długim uścisku.

Nie opowiedziałam jej tego, co miałam zamiar opowiedzieć.



Nadal czułam się fatalnie, że ucięłam tak drastycznie partyjki rozbieranego pokera Johna z Keithem. Zauważyłam też, że John zachowuje się trochę

paranoicznie. Podobnie jak ja, kiedy przybyłam na wyspę i obawiałam się wszystkich i wszystkiego. Był nieufny. Postanowiłam więc temu zaradzić i zadzwoniłam do niego, wykorzystując modulator głosu. Jako kobieta (bo tak jest o wiele łatwiej oszukać), naśladowując akcent z Georgii mojej kuzynki Jodie, powiedziałam mu, że jestem z FBI, z departamentu przestępstw cybernetycznych, i chciałam go poinformować, że ostatnio został zatrzymany człowiek, kto przybierał fałszywą tożsamość, podając się na ogół za osobę zmarłą, żeby szantażować rodzinę i znajomych. Że nie mogę podać więcej szczegółów, bo jest to informacja niejawną, ale że ta osoba przyznała się do popełnionych czynów i odsiaduje już karę w jednym z więzień stanowych, a cały zarekwirowany u niej materiał został zniszczony, aby chronić prywatność poszkodowanych. Dodałam, by się nie przejmował, bo jest to sprawa, którą potraktowano z największą dyskrecją, co wyklucza jakiegokolwiek przecieki.

Trzy tygodnie później John z Keithem wznowili swoje nocne partyjki. Nigdy nie pomyślałabym, że możliwość ponownego oglądania owłosionego tyłka Johna sprawi mi tyle radości.



Od czasu, gdy w tak brzydki sposób wyrzuciłam ze swojego domu Franka, już więcej się u nas nie pojawił. A akwarium w Family Pet Land zgasło już dawno temu. Martwiłam się i źle się z tym czułam.

Popatrzyłam na jego przenośny gramofon Victrola, który zostawił u mnie, a który wcześniej zawsze ze sobą zabierał. Był naprawdę piękny. Klejnot *vintage*. Szkoda, że już nie działał. Zastanawiałam się, jak mogłabym go wykorzystać.

– Cześć, Frank – powiedziałam, wchodząc do Family Pet Land z Ruby i Kucykiem. Olivia była w stadninie z Barbarą i jeździła na Pandzie.

– Cześć, Alice, Ruby i Kucyku. W czym mogę wam pomóc? – zapytał nieco oschle. Był urażony czy tylko mi się wydawało?

– Nie przyszłyśmy, żeby coś kupić. Przyszłyśmy, żeby wręczyć ci prezent.

– Mnie? Z jakiej okazji? Z tego, co wiem, nie mam dzisiaj urodzin. Chociaż ostatnio się gubię i nie wiem nawet, jaki mamy dzień i rok. – Tak, był urażony, chociaż tylko na poziomie podświadomości.

– Nie, z tego, co wiem, nie masz dzisiaj urodzin. Ale chyba nie trzeba mieć urodzin, żeby przyjąć prezent, prawda? Barb mi mówiła, że Rose mieszkała w naszym domu, kiedy była młoda. To prawda?

– Mieszkasz pod numerem czterdzieści osiem przy Shelter Road? – zapytał, jakby nigdy wcześniej u mnie nie był. Przytaknęłam. Od razu się rozluźnił. – A więc tak, cóż za miły zbieg okoliczności.

– Wczoraj coś znalazłam, przetrząsając poddasze, służące mi za graciarnię. Mam na nim straszny bałagan, więc rzadko tam zaglądam. Gdy to znalazłam,

powiedziałam do siebie: oj, przecież to nie jest moje. I pomyślałam: może należy do Rose.

– A co to takiego?

W tej chwili już jadł mi z ręki. Wystarczyło wspomnieć imię Rose, żeby cała jego uwaga skupiła się na mnie.

Pokazałam mu walizkę z gramofonem. Natychmiast ją rozpoznał.

– Victrola! Mój Boże, ileż wspomnień przywołuje ten rupieć.

– Włączyłam go w domu, żeby sprawdzić, czy działa, ale niestety, nie.

– Zepsuł się od częstego używania. Włączaliśmy go na cały regulator, żeby jej rodzice nie słyszeli, co robimy, a my się całowaliśmy i przytulaliśmy – powiedział podekscytowany. Odzyskałam filuternego i kochliwego młodzieńca. Brakowało mi go.

– Za zgodą twoją i Rose pozwoliłam sobie dokonać pewnych niewielkich modyfikacji. Masz gniazdko?

Frank wskazał mi miejsce za ladą, gdzie podłączyłam gramofon. Postawiłam go na stole i podniosłam pokrywę.

Talerz gramofonu zastąpiłam twardym plastikiem, przez który na samym środku prześwitywała róża (namalowana przeze mnie). Wiem, że było to trochę kiczowate, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

– Teraz, kiedy go włączysz, nie będziesz mógł słuchać swoich ulubionych piosenek, ale przynajmniej będziesz mógł przypominać sobie światło Rose.

Włączyłam gramofon i róża się podświetliła, wypełniając pomieszczenie ciepłym blaskiem.

– A tutaj, gdzie wcześniej zmieniałeś prędkość obrotów płyty, teraz możesz zmieniać tonację koloru.

Frank był wyraźnie wzruszony i nostalgiczny.

– Dziękuję, córeczko – powiedział. I tym razem mi to nie przeszkadzało.

– Ach, i kiedy będziesz miał ochotę, żeby przyjść do domu i powspominać dawne czasy, nie musisz nawet dzwonić do drzwi. A gramofon lepiej, żeby został tutaj, nie musisz go przynosić.

Wewnątrz gramofonu, na wysokości przedniego głośnika, umieściłam kamerę.



Jennifer poznała kogoś. „Jak szybko”, pomyślałam. Ale okazało się, że to stary przyjaciel Stephena, który dowiedziawszy się o jego śmierci, zatelefonował do Jennifer, żeby złożyć jej kondolencje. Potem wymienili kilka e-maili i dzwonili do siebie, czasem nawet przez Skype’a. On pojechał na wakacje na Nantucket. A skoro już byli tak blisko siebie, umówili się na kawę. Zaiskrzyło. Zaczęli się widywać mniej więcej raz w tygodniu. On przypląwał po nią swoją łodzią

i żeglowali razem z Berthą/Olivią II. Jennifer nie lubiła szemrania na wyspie. Byłam wściekała. Mimo że ten niejaki Chad Miller był uprzejmy, dobrze wychowany, dosyć atrakcyjny (choć nie tak jak Stephen), to w jego zachowaniu, w jego wyszukanej grzeczności było coś, co zgrzytało. Wszystko wydawało mi się trochę wymuszone. Nie ufałam temu człowiekowi. Bardzo lubiłam Jennifer. Miała za sobą okropny okres, powrót do normalnego życia zajął jej trochę czasu, i oczywiście chciałam, żeby znowu się zakochała. Tylko musiałam się upewnić, że w odpowiednim mężczyźnie, a nie w pierwszym lepszym, który mimochodem pojawia się za rogiem na Nantucket.

Tak więc postanowiłam go śledzić, umieścić donosiciela na jego łodzi i zamienić go w podejrzanego. Ale zaraz. W podejrzanego numer ile? Powinnam zacząć od początku? Wymazać wszystkich poprzednich? Nie, postanowiłam tego nie robić. Nie chciałam zapomnieć o przeszłości. Nie chciałam wymazywać tego, co robiłam wcześniej. Akwaria mi się rozleciały. Rozbiły się na kawałki, zniknęły. Podobnie jak donosiciele. Tych numerów nie przyznaje się od początku. Trzeba iść dalej. Zawsze do przodu. I chociaż natura podejrzeń uległa zmianie, podejrzanym to zawsze podejrzanym. Dlatego też Chad Miller został podejrzanym numer dwadzieścia jeden.



Mark wrócił ze swojej wyprawy wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, żeby spędzić dwa tygodnie z Oliverem, zamknąć swój gabinet, zabrać rzeczy i definitywnie przenieść się do Nowego Jorku.

Julia była bardzo smutna, nie zażywała antydepresantów z obawy przed zagrożeniem, jakie mogły stanowić dla dziecka, ale zarzuciła pisanie powieści i wyznała mi, że nie powiedziała jeszcze Markowi o ciąży, ponieważ upierała się, by nie warunkować jego decyzji – nie chciała, żeby został z nią z poczucia obowiązku. Dopełniając obrazu nieszczęść, należy wspomnieć, że Olivia była bardzo przejęta, bo Oliver ostatnio nie chciał się z nią widzieć ani się bawić. Zapytałam ją dlaczego, na co ona ze łzami w oczach i w chaosie słów rzuciła takie zdania: „Bo mówi, że nie mam taty... I że może on też zostanie bez taty z mojej winy... Że mówiłam mu o tym, jak to jest nie mieć taty... I że teraz to samo przytrafia się jemu... I że nie chce już, byśmy byli przyjaciółmi ani narzeczonymi. Zwłaszcza narzeczonymi... Czy ja wystraszałam tatusiów...? Już nigdy nie będę miała taty, mamusiu?”.

Tamten związek, tamta rodzina była całkowicie rozbita. Czułam, że trochę z mojej winy. Najpierw z powodu mojego wtrącania się, później przez zaniedbanie ich. Wydawało mi się to bardzo odległe. Jakby to było coś, co robiłam w innym życiu. Do tej pory moje ingerencje miały pozytywny wpływ na ludzi: Miriam, Frank, Jennifer – na przykład. Ale w przypadku Julii i Marka poniosłam klęskę.

Wciąż pamiętałam ich z pikniku z okazji Dnia Pracy, siedzących pod parasolem plecami do siebie. Obrazek doskonale ilustrujący brak komunikacji i kryzys w związku. Zainterweniowałam, wmieszałam się w ich życie i udało mi się spowodować, by przez pewien czas wszystko układało się jak najlepiej każdemu z nas osobno i całej trójce razem. A teraz wracaliśmy do punktu wyjścia. Nie, jeszcze gorzej. Julia była w ciąży i w depresji. Mark opuszczał wyspę, nie mając pojęcia o ciąży swojej żony. W środku tego wszystkiego był Oliver, który cierpiał. A ja? Co ja? „Ty też się liczysz, Alice. Jak się czujesz w tej sytuacji?”

Szukałam idealnej równowagi między Markiem a Julią, zastanawiałam się, jaką obrać strategię, żeby nie stracić żadnego z nich. A kiedy zdałam sobie sprawę, że to jest niemożliwe, stanęłam po jednej ze stron. Wydawało mi się to jednak trochę niesprawiedliwe i kapryśne, jakbym się nimi bawiła, wykorzystywała ich, a następnie chciała się ich pozbyć, nie zważając na konsekwencje. A nie lubię postępować w taki sposób. Nie jestem taka. Moje zaniedbanie spowodowało spustoszenie, dlatego czułam się w obowiązku coś zrobić. Nie wiedziałam, którą drogę obrać, więc przez miesiące zastanawiałam się nad tym. A wynikało to z mojej niepewności – nie wiedziałam jeszcze, jak chcę, żeby się skończyła (albo toczyła się dalej) ta historia. Gdybym tylko była pewna odpowiedzi, wiedziałabym, co robić. „Czego ty chcesz, Alice?”

Moje myśli popłynęły w stronę tego, co najbliższe, najważniejsze. Chris. Chris i Barbara. Tamta historia. Tamto doświadczenie musiało mnie czegoś nauczyć, otworzyć mi oczy. W nim powinnam znaleźć swoją odpowiedź. Każda podróż, którą warto odbyć, zostawia ślad. Wynosisz z niej pożyteczne doświadczenia, żeby wzbogacić swoje życie. Żeby poprawić swoją codzienność, swoją normalność.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że nie dokończyłam podróży. Cztery razy pokonałam drogę do młyna z Barbarą. Nigdy jednak nie dotarłam do końca. I nie dotrę tam, dopóki nie przeczytam listów.

Barbara trzymała je uporządkowane w małej szkatułce. Nie była zaskoczona, kiedy przyszłam do stadniny i ją o nie poprosiłam. Przeciwnie, wiedziała, że to się kiedyś stanie. „Masz kopie? Na wypadek gdybym je zniszczyła”, zapytałam, starając się rozładować panujące napięcie. „Nie, nie mam kopii. Zabierz je do domu. Przeczytaj i zrób z nimi to, co musisz zrobić”.

Niewątpliwie było to najbardziej intensywne przeżycie od czasu narodzin Ruby. Mówię przeżycie, bo było związane z życiem, a nie ze śmiercią, jak do tej pory. I dlatego, że było też jak poród. Było to wydostanie na zewnątrz czegoś, co nosiłam w sobie przez ponad trzynaście miesięcy. Ponieważ go zobaczyłam. Zobaczyłam Chrisa. Przede mną. Prawdziwego Chrisa. Tego, którego kochałam do szaleństwa. Tego, który zniknął. Nie była to zniekształcona postać, pełna znaków zapytania, z którą obcowałam od czasu jego śmierci. Widziałam go wyraźniej niż

wtedy, gdy przeglądałam jego zdjęcia i nagrania wideo. Widziałam go żywego. Jakbym znalazła się w innym wymiarze. Mogłam go dotykać, głaskać, obejmować, całować, a nawet policzkować, krzyczeć i przeklinać za to, że nas zostawił. Nie mogłam przestać płakać. I chciałam go znienawidzić, naprawdę chciałam. Starłam się wyrzucić z siebie złość i absolutną awersję, jaką czułam, czytając niektóre fragmenty. Myślałam, że tego potrzebuję, aby móc dalej żyć swoim życiem. Ale nie mogłam (być może dlatego, że było to coś, co już zrobiłam). Ani do niego, ani do Barbary. Podobnie jak nie mogłam zniszczyć tych listów. Jakkolwiek żałośnie brzmi przyznanie się do tego, był to prawdopodobnie największy skarb, jaki znalazłam. Tyle że ten skarb nie należał do mnie.

Utwierdziłam się w przekonaniu, że nie zrobiłam nic złego. Ale Chris też nie. Ponieważ wszystko, co zrobił, zrobił z miłości, czy to do Barbary, czy do mnie. I pomyślałam: „A jakie to ma znaczenie do kogo? Czy to takie ważne? Udało mu się sprawić, że była to piękna historia miłości zarówno dla Barbary, jak i dla mnie. A ten niemożliwy wyczyn kosztował go życie”.

Dzień po przeczytaniu listów poszłam do biura zobaczyć się z Markiem. Musiałam dać się ponieść temu przyływowi energii i emocji.

Myślałam, że pożegnam się z Markiem, naprawdę tak myślałam. Uwolnię się od niego. A nie było to dla mnie wcale łatwe, bo wciąż go pragnęłam. Taka była prawda. Emocjonalnie i seksualnie. Ale chciałam przywrócić równowagę, postanowiłam sobie, że tak zrobię. „Mark, nasz związek nie był historią miłości, był historią przetrwania”, to miałam zamiar mu powiedzieć. Chociaż oczywiście historie miłości, te naprawdę dobre, nigdy nie zaczynają się jako takie. Historia Chrisa i Barbary też oczywiście się, tak nie rozpoczęła.

Po drodze do żaglowca w głowie nie przestawały mi rozbrzmiewać luźne zdania, które definiowały środowisko moich sprzeczności. „Tam, gdzie idę, nie mogę cię zabrać, Mark, a tam, skąd przychodzę, tym bardziej, ale tutaj, gdzie jestem, potrzebuję cię”. „To nie jest kompatybilne”. „To nie jest kwestia kompatybilności, to kwestia pragnienia, chcenia, potrzeb”. „A twoja własna równowaga wewnętrzna? Kto ją przywróci?” „Masz zamiar skończyć czy kontynuować?” „Pomyśl o tym, co jest teraz”. „Już nigdy nie będę miała taty, mam?” „Marka parzy wyspa”. „Mark ci pomógł, żeby wyspa przestała cię parzyć”. „Nieważne, jak bardzo się oddaliłaś, uczucia do niego cię nie opuściły”. „«Dbaj o mnie», powiedziała mi Miriam”. „To właśnie będę robić. Dbać”. „A kto będzie dbał o mnie?” „Żeby dbać o innych, najpierw trzeba zadbać o siebie”. „Czego potrzebuje Alice, żeby być Alice?” „Marka”. „Teraz”.

Kiedy zobaczyłam go, jak sprawdza takielunek, wszystkie te zdania się rozplynęły, a węzeł wątpliwości, niestałości, niepokoju, strachu i dezorientacji odnośnie do niego się rozwiązał, ustępując miejsca czemuś o wiele wyraźniejszemu, krystalicznemu. I faktycznie się uwolniłam. Tyle że nie tak, jak

sobie to wyobrażałam. Widziałam, że jest wypoczęty, spokojny i smutny, ale przede wszystkim czysty. Albo może to ja byłam czysta? Nie wiedziałam.

Swego czasu, kiedy zapytałam Marka, dlaczego zataił przede mną romans Julii, powiedział mi coś, co było najbardziej zbliżone do miłosnego wyznania: „Jeśli ktoś bardzo ci się podoba, to za wszelką cenę starasz się ukryć swoje wady. Wady, porażki, błędy, braki, niedoskonałości, wielką kupę gówna”.

Tak więc gdy wciąż był odwrócony do mnie plecami, nie wiedząc o mojej obecności, postanowiłam go sparafrazować:

– Ja też ukrywałam przed tobą niektóre swoje wady, porażki, błędy, braki, niedoskonałości, wielką kupę gówna. Nazwij to, jak chcesz. Całe mnóstwo. Prawie wszystkie.

Mark odwrócił się dopiero, gdy skończyłam mówić. Nasze spojrzenia się spotkały, nie potrzeba było więcej słów. Musiał to wszystko zrozumieć jako mój sposób odpowiedzi na jego wyznanie miłości, ponieważ za gęstą brodą, którą zapuścił, zarysował się uśmiech. Ja zaś poczułam coś najbardziej zbliżonego do motyli w brzuchu, na co w tej chwili mogłam sobie pozwolić.

– Popływamy? – zaproponował.

Zgodziłam się.

Kochaliśmy się na pełnym morzu. Wiedziałam, że do tego dojdzie. Miałam to przemyślane i postanowione. Wybrane słowa. Zaplanowane chwile. Sparafrazowanie go. Pójście z nim do łóżka. Nic nie było wynikiem improwizacji. Ponieważ wszystko prowadziło do jednego: do pożegnania.

I on to przeczuwał.

– Odnoszę wrażenie, że się ze mną żegnasz. Że się żegnamy. Żegnamy się?

Wtedy zdałam sobie sprawę, że to nie była kwestia wyboru między skończeniem a kontynuowaniem. Chodziło o skończenie, żeby móc kontynuować. Należało pożegnać się z pewnymi rzeczami, aby można było iść dalej.

– Tak, robimy to. Żegnamy się... Ale żeby móc kontynuować.

I kiedy upewniłam się, że zrozumiał pozytywną stronę tego, co robimy, dodałam coś kluczowego, żeby to kontynuowanie było możliwe:

– Nie mogę być twoją Samantha. Ani ty moim Paulem.

– Wiem... – powiedział bez cienia frustracji. – Zadowolę się tym, że możesz być moją Alice. A ja twoim Markiem. Nie mam na myśli dzisiaj ani jutra. Ponieważ wiem, że teraz nie możesz. I tak naprawdę ja też nie mogę. Ale chciałbym myśleć, że kiedyś będzie możliwe wspólne żeglowanie, nie tylko łodzią. Sądzisz, że będzie możliwe?

Odpowiedziałam mu spojrzeniem. Spojrzeniem, które nie było przemyślane ani przeciwiczone. Spojrzeniem, które narysowałam morską bryzą. Dla niego.

Myślałam, że zaaranżowałam piękne pożegnanie, a w rzeczywistości okazało się to wzruszającym spotkaniem. Kiedy sobie to uzmysłowiłam, zamiast się

przestraszyć albo nastawić obronnie, zaczęło mi się to podobać. Pokrzepiło mnie i dałam się ponieść. Poczułam upojenie, niemające wiele wspólnego z winem, które piliśmy na dziobie z Markiem, nadzy, okryci tylko kocem, jednym kocem. Położyłam głowę na jego ramieniu, mocno chwyciłam jego rękę i powiedziałam:

– Chyba już czas wracać do domu.

I doskonale rozumiał, że nie miałam na myśli tylko powrotu do portu.

Cztery dni później poszłam z dziewczynkami na plażę i z daleka zobaczyłam Marka i Julię spacerujących brzegiem morza, w ciszy, z Oliverem w środku, trzymającym za ręce swoich rodziców. Właśnie przekazali mu dwie dobre wiadomości: że będzie miał siostrzyczkę i że będzie miał dwa domy na wyspie, dom mamy i dom taty. Wszystkie dobre rzeczy w obu domach. Podwójnie. W pewnym momencie, nie wiem, czy przed, w trakcie czy po tym, jak mnie minęli, Julia, z ledwie widocznym brzuszkim, odwróciła się, by na mnie spojrzeć, i uśmiechnęła się delikatnie i znacząco. Tamtego dnia Mark definitywnie wyjeżdżał z wyspy.



Biegałam każdego ranka, zmieniałam trasy, ale zawsze kończyłam przy młynie. Nie weszłam do niego od tamtego dnia, kiedy byłam w nim z dziewczynkami. Jeszcze mnie onieśmielał. I za każdym razem, kiedy tutaj docierałam, gdy piłam wodę i łapałam oddech, zastanawiałam się, czy zamienić młyn w swoje nowe centrum dowodzenia. Aż pewnego dnia odrzuciłam tę możliwość, ponieważ nie taki był cel Chrisa. To by mu się nie spodobało. Miał służyć temu, co zostało zaplanowane. Miał być miejscem osobistej realizacji. Miejscem jedynym w swoim rodzaju. Miejscem, w którym będę mogła być sobą. Po prostu sobą.

Umówiłam się z Barbarą, żeby dopełnić formalności, które były związane z przekazaniem młyna. Powiedziała mi, że jedynym warunkiem, jaki postawiła Chrisowi, kiedy mu go sprzedawała, było to, że nie może zmienić jego nazwy, na co on przystał. Jednak teraz, owszem, chciała ją zmienić. Chciała go nazwać Chris Mill.

– Zgadzasz się? – zapytała.


Młyn Chrisa. Skrzydła. X na mapie. Tam znajdował się skarb, którego tak długo szukałam. Jego sekret/kłamstwo/tajemnica. Koniec końców nie było to nic z tych rzeczy, tylko niespodzianka.

– Zgadzam się – odparłam.

Chciałam, żeby przestała to być Wyspa Chrisa. Nadanie jego imienia czemuś tak konkretnemu i znajdującemu się w tak konkretnym miejscu zwalniało resztę wyspy dla mnie, mogłam przejąć ją w posiadanie. Podbić ją. Uczynić swoją. I wreszcie patrzeć bez strachu, że jestem obserwowana.

Wzięłam z garażu obraz Diega Sáncheza Sanza – stał tam oparty o ścianę, na absolutnym wygnaniu – i zaniósłam go na poddasze do młyna. Tam mi nie przeszkadzał, tam mogłam na siebie patrzeć. Kiedy go powiesiłam, zdjęłam kłódkę z drzwi, bo nie było potrzeby zamykania ich na klucz.

Potem nago wykapałam się w morzu. Nie było nikogo. Z łańcuszka zdjęłam Klucz Master i rzuciłam go daleko, najdalej jak mogłam, w głąb cieśniny Nantucket. Nie potrzebowałam go już, żeby latać.



Olivia uparła się, żebym zapisała ją na letni obóz matematyczny w Barnstable, gdzie zdobyła kilka złotych medali na olimpiadzie, na której rywalizowała nawet z dziewięciolatkami. „Mamusiu, dali mi medale za liczenie rzeczy! To jest raj!”

Ruby zaczęła malować swoje pierwsze rysunki (a raczej bazgroły), nauczyła się mówić „Mama, Oli, Panda, Sunset i Puchi-Puchi”, spodobało jej się uderzanie w klawisze białego fortepianu (wreszcie jakaś pianistka w rodzinie) i zaczęła sama chodzić. Ona także nieraz próbowała otwierać drzwi na poddasze. Bardzo mnie denerwowało to wrodzone zamiłowanie pań Williams-Dupont.

Obejrzałam ostatnie odcinki *Breaking Bad*, płacząc z powodu Chrisa i Waltera White’a, ale potem byłam zadowolona, bo skończyło się tak, jak miało się skończyć. A w życiu bardzo ważne jest, żeby sprawy się kończyły i żeby kończyły się tak, jak powinny, chociaż nie zawsze całkiem dobrze.

Zakończył życie Flint V i zastąpiłam go Flintem VI, zanim Olivia się zorientowała. Spoczywaj w pokoju, Flincie V. Żyj długo, Flincie VI.

I ani się obejrzałam, a minęło lato i remont mojego lokalu został ukończony. Miałam przygotowanych dwadzieścia osiem lamp szpiegowskich i postanowiłam nazwać swój sklep z kreatywnym oświetleniem Alice in Wonderlight. Nie było już powodów, by zwlekać z jego otwarciem.

Inauguracja nastąpiła w weekend Dnia Pracy, w ten sam weekend, kiedy przed rokiem przeprowadziłam się na wyspę. Cel osiągnięty? Koniec? Kontynuacja? Początek?

Moi rodzice przyjechali, żeby mnie wesprzeć (sama ich zaprosiłam, nie musieli się wpraszać). Zostali na cały weekend i całą rodziną poszliśmy na zorganizowany na plaży piknik, gdzie moja matka nawiązywała ożywione rozmowy między innymi z: Karen, ojcem Henrym, Gail, Benem, Maureen, szefową Margaret, Amandą i Alekssem (z Alekssem Jr., a ona znowu była w ciąży), Mindy, Jodie i Keevanem O’Gormanami, Nguyenami, Burrami, Wilkinsami, Conradem, burmistrznią Gwen i wreszcie z Frankiem, Jeffreyem i Barbarą. I na przekór wszelkim prognozom wcale mnie nie dręczyła. No, prawie wcale.



Popatrzyłam na tablicę na poddaszu. Na pierwotne pytania. „Dlaczego po prostu nie zapytasz, Alice?” Już zapytałam. Starłam pytanie. „Co Chris robił na wyspie?” Już się dowiedziałam. Starłam pytanie. I czułam, że brakuje mi nagłówka, a bardzo go potrzebowałam. Zaczęłam się zastanawiać. „Czego szukam? Nie szukam. Patrzę. Obserwuję. Pilnuję. Czuwam. Dbam. Co mam teraz zrobić? Nie, to nie jest kwestia tego, co masz zrobić. To jest kwestia tego, co zrobią pozostali”.

Napisałam we właściwym miejscu:

CO INNI ROBIĄ NA WYSPIE?

I w ten sposób wreszcie poczułam, że Robin Island nie jest już Wyspą Taty. Wyspą Chrisa. Teraz to jest moja wyspa. Mom's Island. Wyspa Mamy. Wyspa Rudej. Wyspa Alice. Równowaga została przywrócona.



Poszłam do młyna. I malowałam.

Dzień 131. Rok II p.Ch.

Plaża jest pusta. Kłosa tańczą, poruszane wiatrem z północnego wschodu. Jest bezchmurny, letni dzień pod koniec września. Stado rudzików wykonuje piękną abstrakcyjną choreografię. Chris w ciszy obserwuje morze. Jest boso i ma na sobie dwukrotnie podwinięte spodnie w kolorze khaki. Stoi przy brzegu. Morze dotyka jego stóp. Olivia, Ruby, Kucyk i ja spacerujemy brzegiem. Przechodzimy obok niego, za jego plecami. Odwraca się. Patrzy na mnie. Patrzy na nas. Nie patrzę na niego. Nie potrzebuję na niego patrzeć. Nie szukam go, bo już go znalazłam. Chris o tym wie, czuje, że został znaleziony, i się uśmiecha. Idziemy dalej. Nie podąża za nami, pozwala nam odejść, oddalić się, ponieważ wie, że już się nie zgubimy, a jeśli to zrobimy, to zawsze będziemy mieć punkt spotkań, młyn. Jego młyn. Chris Mill.

– *Posłuchaj, Oli. Jedno pytanie. Teraz, kiedy mieszkamy na wyspie już od roku, wciąż ci się podoba?*

– *Tak, pewnie, że mi się podoba.*

– *Bardziej czy mniej niż ostatnim razem, kiedy cię pytałam?*

– *Bardziej, bo lato mi się bardzo podobało, bo nie było zimno i dlatego, że teraz mam Sunset, Pandę i życie tutaj.*

– *Cieszę się. Ale pamiętaj, że umowa wciąż jest aktualna. I jeśli kiedyś będziesz chciała, byśmy wróciły do Providence, powiesz mi o tym i wyjedziemy. Zgoda?*

– *Zgoda. Ale jedna sprawa, mam.*

– *Tak?*

– *Mogłabyś nauczyć mnie zabawy w Boga?*

– *Jak to zabawy w Boga?*

– *Bo ty się bawisz w Boga.*

– *Dlaczego tak mówisz?*

– *Bo ty co chwilę przywracasz do życia Flinta. Za każdym razem, kiedy umiera, przywracasz go do życia. W wodzie jest martwy, dotykam go palcem i się nie rusza, a nagle, wracam ze szkoły i jest taki szczęśliwy. Przywracasz go do życia.*

Patrzę na Oliwię, jakbym nie wiedziała, o czym mówi. Śmieje się.

– *Przylapałam cię, mamusi! Zawsze wiem, kiedy robisz coś dobrego albo złego.*

Mam ochotę ją przytulić, pocałować i powiedzieć, jak bardzo jest bystra, a zarazem obsesyjna i kompulsywna. Ale postanawiam coś jej uzmysłwić.

– *Oli, mieszkamy na wyspie. Jesteśmy otoczone tysiącami, milionami ryb. Dlaczego tak się upierasz, żeby mieć rybę w akwarium?*

Tymczasem to ona mi coś uświadamia.

– *Bo my jesteśmy jak Flint. Mieszkamy w akwarium. Jesteśmy rybami, a wyspa jest naszym akwarium.*

Zadziwia mnie i niepokoi ta łatwość tworzenia porównań. Ta umysłowa więź. Nigdy jej nie mówiłam, że moje akwaria nazywam akwariami.

I na dodatek mówi jeszcze:

– A ty, mamusiu, dbasz o wszystkie rybki. Jesteś bogiem rybek!

Poddaję się przed tym cudownym potworem, w którego się zamienia (albo to ja ją w niego zamieniam).

– Bogiem? Ja nie jestem bogiem rybek! Jestem Puchi-Puchi rybek! I je zjem!

Biegnę za nią, jakbym była złym i głodnym szopem. Olivia ucieka przerażona. Biegnie, piszczy i się śmieje. I ja biegnę, piszczę i śmieję się razem z nią.

I uświadamiam sobie, że koszmar zamienił się w sen. A sen w rzeczywistość. A rzeczywistość w koniec. A koniec w kontynuację. A kontynuacja w początek.

I tak aż do rozpoczęcia wszystkiego, co ma nadejść.

Podziękowania

Mojemu ojcu i mojemu bratu, Ignaciowi, za to, że zawsze idą przede mną w kwestiach literackich i filmowych, zmuszając mnie, abym podążał ich śladem. Co prawie nigdy mi się nie udaje. Kocham was.

Anie Hernández i jej oczom, które jako pierwsze zajrzały do powieści.

Sarze Muñoz, która przeczytała trzy różne wersje z takim samym entuzjazmem i niepokojem (abym niczego nie popsuł).

Oskarowi Santosowi, mojemu najwierniejszemu, najbardziej porywczemu i krytycznemu przyjacielowi/czytelnikowi.

Currowi Novallasowi za – między innymi – opiekowanie się Brigi podczas moich wyjazdów do Stanów Zjednoczonych w celu zbierania dokumentacji.

Davidowi Serranowi za – między innymi – towarzyszenie mi podczas wielu z tych wyjazdów i za to, że był pierwszą osobą, która zachęciła mnie do zamienienia tej historii w powieść.

Elíasowi Leónowi Siminianiemu za – między innymi – pokazywanie mi zawsze innych dróg, chociaż prawie nigdy ich nie obierałem.

Quimowi Gutiérrezowi za – między innymi – bycie zawsze obok, żeby złapać mnie w razie omdlenia.

Andrésowi Torbadowi za to, że jest bardziej moim przyjacielem niż agentem. Dbaj o mnie, proszę.

Innym niezwykle ważnym osobom z mojej wyspy: Antoniowi, Raúlowi, Jafowi i Joserrze.

Ainhoa Ramírez, Sandrze Collantes, Cristinie Sutherland i Loli Castejón za pomoc w oszlifowaniu chropowatości i wypolerowaniu powieści.

Belén Ruedzie, Lluvii Rojo i Gail Siegal za przyjęcie mnie w Nowym Jorku, gdy poszukiwałem inspiracji.

Moim siostrzenicom, Olivii i Ruby, za użyczenie postaciom z tej książki swoich imion, swoich uśmiechów oraz ekspresji.

Héctorowi Colomé za bycie moim wzorem w życiu. Ta książka opowiada o pewnej kobiecie, która chcąc przezwyciężyć ból po stracie swojego męża, chwytą się sekretu i chce go odkryć, a także życia na wyspie. Ja, podobnie jak Alice, uchwyciłem się powieści jak ostatniej deski ratunku, uchwyciłem się jej, Olivii i wyspy, żeby przetrwać długą i straszną chorobę, która go zabrała. Bardzo za tobą tęsknimy, Héctorze.

Mojej matce, tak, jeszcze raz. Dlatego, że jest moją matką, i dlatego, że pewnie teraz płacze po przeczytaniu poprzedniego akapitu. Nie martw się, mamó, wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

I tobie za to, że tutaj dotarłeś, że sprawiasz, iż każdego dnia czuję się kimś absolutnie wyjątkowym, i za to, że pozwalasz mi, abym nadal zamieniał swoją

fikcję w rzeczywistość. Moje życie w życie.

- ¹ Cytaty z *Moby Dicka* w przekładzie Bronisława Zielińskiego.
- ² Chrystus (ang.)
- ³ Bóg (ang.)
- ⁴ Rudzik po angielsku to *robin*, a w rdzennym języku Amerykanów – *opechee*.
- ⁵ Wyspa Mamy (ang.)
- ⁶ Ci, którzy na mnie patrzyli (ang.)
- ⁷ Łabędź (ang.)
- ⁸ Schronienie (ang.).
- ⁹ Cytaty z *Wyspy skarbów* w przekładzie Józefa Birkenmajera.
- ¹⁰ Alicja w Krainie Światła (ang.)
- ¹¹ Przyjemna Plaża (ang.)
- ¹² Biuro (ang.)
- ¹³ Zew krwi (ang.)
- ¹⁴ Świeży jak promień (ang.). Gra słów: Ray to imię i promień.
- ¹⁵ Cytaty z *Robinsona Crusoe* w przekładzie Franciszka Mirandoli.
- ¹⁶ Alicja w Krainie Czasu (ang.)
- ¹⁷ Zachód słońca (ang.)
- ¹⁸ Tata (ang.)
- ¹⁹ Cytaty z *Niewidzialnego człowieka* w przekładzie Eugenii Żmijewskiej.
- ²⁰ Śnieżka (ang.)
- ²¹ Cytaty z *Alicji w Krainie Czarów* w przekładzie Antoniego Marianowicza.

